

CRAIG ALANSON

EXPEDITIONARY FORCE

TOM 1



DZIEŃ KOLUMBA

CRAIG ALANSON
EXPEDITIONARY FORCE
—TOM I—

DZIEŃ KOLUMBA

Przekład
Paweł Dembowski



Warszawa 2020

Tytuł oryginału: *Expeditionary Force #1: Columbus Day*

Text copyright © 2016 by Craig Alanson

All rights reserved

Warszawa 2020

Projekt okładki: Tomasz Maroński

Redakcja: Rafał Dębski

Korekta: Agnieszka Pawlikowska

Skład i łamanie: Karolina Kaiser

Opracowanie wersji elektronicznej: **mobi**sfera

Książka ani żadna jej część nie może być kopiowana w urządzeniach przetwarzania danych ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Utwór niniejszy jest dziełem fikcyjnym i stanowi produkt wyobraźni Autora. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

Wydawca:

Drageus Publishing House Sp. z o.o.

ul. Kopernika 5/L6

00-367 Warszawa

e-mail: drageus@drageus.com

www.drageus.com

ISBN EPUB: 978-83-66375-36-9

ISBN MOBI: 978-83-66375-37-6

1. DZIEŃ KOLUMBA

Ruharowie uderzyli w Dzień Kolumba. Każdy kraj miał nazwę dla dnia, w którym zaatakowali nas kosmici, ale po jakimś czasie przyjęła się właśnie ta. Ma to pewien sens. Dryfowaliśmy sobie niewinnie przez kosmos na naszej niebieskiej kulce, niczym rdzenni mieszkańcy Ameryki w 1492 roku. Zza horyzontu wyłoniły się okręty technologicznie zaawansowanej i agresywnej kultury i... BUM! Skończyły się stare dobre czasy, kiedy ludzie zabijali się tylko nawzajem. Pasuje.

Gdy na porannym niebie pojawiły się rozbłyski, które później okazały się okrętami Ruharów skaczącymi na wysoką orbitę, na początku nas to zaciekawilo. Gdy elektrownie, rafinerie, fabryki i inne ośrodki przemysłowe na całej planecie zaczęły obrywać z naddźwiękowych dział elektromagnetycznych na orbicie, byliśmy w szoku. Ja osobiście zaniepokoiłem się naprawdę dopiero wtedy, gdy z nieba zleciał transporter bojowy Ruharów i wylądował na polu ziemniaków pod moim malutkim miasteczkiem w północnym Maine. Był poniedziałkowy poranek na początku października i Ameryka obchodziła właśnie Dzień Kolumba. Byłem w domu na przepustce z wojska – odwiedzałem rodziców. Miałem chwilę wytchnienia, gdyż mój batalion wycofano z misji pokojowej w Nigerii. Cieszyłem się, że w końcu znowu jestem w Stanach.

Mój urlop zakończyła jednak ognista smuga na niebie. Transportowiec Ruharów przeleciał tuż nad moją furgonetką, nad jeziorem i wbił się w pole ziemniaczane Olafsena, aż skończył z dziobem do połowy zanurzonym w stawie. Przez minutę kołysał się na boki przy akompaniamencie wycia silników, po czym znów wystartował, żeby przelecieć nisko i chwiejnie nad linią drzew w stronę centrum miasteczka. Spod kadłuba unosił się dym.

Nasi tak zwani sojusznicy, Kristangowie, uważają, że transportowiec szturmowy Ruharów uległ uszkodzeniu podczas lotu z orbity i nie trafił w zamierzony cel. To jedyny możliwy powód, dla którego mogliby najechać na Thompson Corners w stanie Maine. Cholera, sam już miałem dość tego miejsca, dlatego się zaciągnąłem. Moje rodzinne miasteczko nie jest złe, ale to nic specjalnego. Sporo krów, owiec, różnych upraw. Niektórzy ludzie, jak mój tata, pracowali w papierni w Milliconack, dało się też wyżyć z pracy drwala, przewodnika myśliwych czy wędkarzy, czasami ze spawania.

Nikt w północnym Maine nie żyje z tylko jednej pracy. W każdym razie Thompson Corners to nie żaden ważny cel strategiczny, o którym by pomyślano, rozsyłając transportowce bojowe z kilkunastoma ciężko uzbrojonymi żołnierzami. Żołnierze Ruharów – pocieszne, futrzaste

dranie – zapewne czekali, aż ich jednostka w końcu zatrzyma się przed szkołą podstawową w środku miasteczka, otworzyli drzwi, ujrzeli wspaniałą panoramę Thompson Corners i spytali pilota, gdzie się, do cholery, znajdują. Żołnierze to żołnierze, czy mają futro, skórę, czy łuski. Zatem, zgodnie z logiką, Ruharowie wystrzelili rakietę w najbardziej majestatyczną budowlę w okolicy, czyli skład ziemniaków i imponująco zrównali go z ziemią. Wybuch był taki, że chyba naprawdę musieli nie znosić kartofli. Następnie zniszczyli dwa mosty przez rzekę Scanicutt: kolejowy i starą betonową przeprawę drogową, która była tam od czasu, gdy zbudowano ją za Roosevelta w latach trzydziestych. Mieliśmy sporo deszczu i poziom wody w rzece był wysoki, więc bez mostu jedynym sposobem na dostanie się do miasteczka została podróż do Woodford i skorzystanie z tamtejszej przeprawy. To byłby świetny pomysł, gdyby spanikowani kierowcy nie zapchali dróg, bo sto innych osób wpadło na dokładnie ten sam pomysł.

Gdy zobaczyłem, że okręt szturmowy leci w stronę centrum Thompson Corners, ciągnąc za sobą smugę dymu, właśnie jechałem do miasta furgonetką rodziców, aby odebrać siostrę z domu jej koleżanki. Minęło dziesięć minut od pierwszych ataków i w radiu mówili, że gubernator ogłosił stan wyjątkowy i poprosił wszystkich, aby zachowali spokój.

Następnie wysiadła cała komunikacja. Radio, telefony, telewizja, do tego jeszcze elektryczność. Nie musiałem czekać na instrukcje, zamierzałem pojechać po siostrę, wrócić do domu i przeczekać wraz z rodziną do czasu, aż dowiemy się, co się tu właściwie dzieje. Za siedzeniem miałem strzelbę ojca do polowania na ptaki i pudełko amunicji dobrej na kaczki i niewiele więcej. To pokazuje, jak trzeźwo myślałem tamtego ranka. Cały sprzęt z wojska, w tym karabin, zostawiłem w Fort Drum, w stanie Nowy Jork. W końcu byłem na przepustce. Wyjeżdżając zza wzgórze, zobaczyłem ruiny mostów i niemal zderzyłem się z samochodami, które również utknęły, próbując dostać się do miasteczka.

Bill Geary, ochotniczy strażak i emerytowany kapitan Gwardii Narodowej Maine, organizował ludzi, żeby pojechać do Woodford i dostać się do Thompson Corners starą drogą pożarową. Jak głupek krzyknąłem, że moja furgonetka ma napęd na cztery koła. Prawie każdy w północnym Maine ma napęd na cztery koła, nawet jeśli to stare, zajeżdżone subaru. Jako że byłem ostatni w kolejce, szybko zawróciłem i trzech gości, których samochody wpadły do rowu, wsiadło do mojej furgonetki. Pędziliśmy jak kawaleria jadąca na ratunek w starym filmie.

Gdy w końcu przebiliśmy się przez korki, przejechaliśmy przez most w Woodford i pokonaliśmy połowę drogi kiepsko konserwowaną drogą pożarową, Ruharowie zajęli już centrum Thompson Corners – puste, bo

żaden człowiek nie czekał na imienne zaproszenie, by stamtąd spejrzeć. Jeden zastępca szeryfa spanikował i wystrzelił kilka razy z dziewiątki, aż Ruharowie się wkurzyli i rozwalili stację benzynową.

Widziałem wtedy wielokrotnie Ruharów z bliska. Nie, nie jedzą ludzi. I nie zabijają małych dzieci. Możecie wierzyć sobie w propagandę, ale wiem, co widziałem. Gdyby ten zastępca szeryfa nie otworzył ognia, Ruharowie mogliby nie zabić ani jednej osoby w miasteczku. Nie winięm ich nawet. Gdyby jakiś idiota próbował mnie ostrzelać, też dałbym mu popalić. Wiem, bo robiłem to samo w Nigerii.

W każdym razie brama Służb Leśnych na drodze pożarowej była zamknięta, więc straciliśmy pięć minut, czekając, aż trzy samochody przed nami facet spróbuje rozwalić zamek ze strzelby. Niespodzianka! Leśnicy to przewidzieli i zamek ani drgnął. Więc facet staranował bramę i rozwalił zarówno ją, jak i swój samochód, który trzeba było zepchnąć na pobocze.

Tak, tak, każdy ma jakąś historię z tego dnia, ale ta jest moja, więc zamknij się i słuchaj! Jedno, czego się dowiedziałem, to tego, że trepy z armii Ruharów są dokładnie jak trepy w całej Galaktyce. Chcieli, żeby walki w końcu się skończyły, żeby mogli wrócić do koszar czy innych nor. Czy ich nienawidziłem? Jasne, ale nie uważam, że mieli na celu zabijanie ludzi, chyba że jako skutek uboczny działań. Jaki by nie był cel ich przybycia na Ziemię, wylądowali nie tam, gdzie trzeba, i robili, co mogli najlepszego w tej sytuacji. Wszyscy lepiej by na tym wyszli, gdyby Ruharowie siedzieli w uszkodzonym transportowcu z palcami w tyłkach i zadzwonili po swój odpowiednik pomocy drogowej. Ale to tak nie działa. W każdej misji nieuchronnie coś się spierdoli. Dostosowujesz się, jak tylko dajesz radę, i robisz, co możesz, żeby osiągnąć cele. Ta grupa Ruharów uznała, że ich celem jest zajęcie hrabstwa Penobscot, czy to miało sens, czy nie. Kristangowie mówią, że najprawdopodobniej plan Ruharów zakładał zniszczenie naszej infrastruktury przemysłowej i cofnięcie nas do epoki kamiennej, żebyśmy nie stanowili dla nich zagrożenia. Jeśli o to chodziło, minęli cel o kilkaset kilometrów, lądując w Thompson Corners. Kristangowie zapewne mówili prawdę o tym, dlaczego zaatakowali nas Ruharowie, chociaż kłamali o wszystkim innym, ale do tego jeszcze dojdę.

Nie powinniśmy walczyć z Ruharami. To nie oni są naszymi wrogami, tylko nasi sojusznicy.

Jednak lepiej zacząć od początku.

Nazywam się Joe Bishop. Miałem dwadzieścia lat w dniu, gdy Ruharowie zaatakowali Ziemię, i byłem starszym kapralem w Armii Stanów Zjednoczonych. Przed wojskiem miałem nieco dłuższe włosy o nieokreślonym kolorze między blond a brązem, który odziedziczyłem po matce. Nazywała ten kolor „mysim” i farbowała swoje na złoty blond,

odkąd pamiętam. Niebieskie oczy mam po obojgu rodziców, a metr dziewięćdziesiąt wzrostu zdecydowanie po tacie. Moja mama ma ledwie metr sześćdziesiąt. W liceum grałem na trzeciej bazie w drużynie bejsbolowej, jako skrzydłowy w futbolu amerykańskim i rezerwowi rzucający obrońca w koszykówce, chociaż nie grałem w kosza w ostatniej klasie. Prawda jest taka, że w bejsbolu i futbolu też nie byłem gwiazdą. Pracowałem ciężko, stawiałem zwycięstwo drużyny na pierwszym miejscu i zdarzało nam się wygrywać. Gdy przyszedł czas rekrutacji na studia, nie wiedziałem, dokąd chcę iść ani kim chcę być w przyszłości. Wiedziałem tylko, że nie zamierzam siedzieć całymi dniami za biurkiem. Chciałem też wydostać się z Thompson Corners. Mój ojciec przez kilka lat służył w lotnictwie, po czym przeszedł do rezerwy jako mechanik. To samo robił w papierni. Lubił mieć wciąż zajęte czymś ręce, naprawiać rzeczy – i ja w zasadzie też. Nie przelewało nam się i nie chciałem pogrążyć się w długach przez kredyt studencki, więc wybrałem armię.

Gdy się zaciągnąłem, zrobiłem to, bo chciałem służyć ojczyźnie oraz po to, aby armia opłaciła mi studia. Poza tym to życie do mnie przemawiało. Lubiłem otwarte przestrzenie, biwakowanie, piesze wędrówki, kajakarstwo. Jasne, że szkolenie było ciężkie, ale nie napotkałem w nim nic, czego się nie spodziewałem, i byłem dumny z tego, że trafiłem tam, gdzie chciałem, czyli do 10 Dywizji Górskiej Piechoty w Fort Drum w stanie Nowy Jork. Misja pokojowa w Nigerii nie była wymarzoną wyprawą, jednak dostaliśmy rozkazy. Zaskoczyło mnie bardzo, że misja pokojowa oznacza zabijanie tak wielu ludzi. Ale jest, jak jest.

Teraz już wiecie, dlaczego leżałem pod krzakiem na wzgórzu, z którego miałem widok na centrum miasteczka, patrzyłem na uszkodzony transportowiec Ruharów i zastanawiałem się, co powinniśmy zrobić. O ile w ogóle powinniśmy podejmować jakieś działania.

– To naprawdę wielki chomik, Bish, nie kłamałeś – stwierdził Tom Paulson, oddając mi lornetkę. – Co robimy?

– Jeszcze nie wiem. Pomyślę.

W okolicy mieszkało sporo weteranów. Jeden z nich był ze mną, ale Tom służył jako zaopatrzeniowiec w marynarce dwadzieścia lat temu, a ja byłem w czynnej służbie w piechocie i całkiem niedawno sprawdziłem się w boju. Pewnie miało sens, że inni czekali, aż coś wymyślę. Wiedzieli, że walczyłem w Nigerii, ale walka z paramilitarnymi bandami w buszu to coś zupełnie innego niż wielkie kosmiczne chomiki w moim rodzinnym miasteczku.

– Cholera, gdzie ci wszyscy fanatycy broni, gdy ich potrzeba? Tylko tyle mamy? – Z niepokojem spoglądałem na kolekcję sztucerów

myśliwskich, strzelb i paru pistoletów kalibru dziewięciu milimetrów. Każdy w Thompson Corners miał broń, bo każdy polował, a przynajmniej musiał odstraszać niedźwiedzie od karmników dla ptaków na podwórzu. – Nikt nie ma starego M60 na poddaszu? Może kałacha?

– Cholera, Bish, zabijam łosie, żeby je zjeść, a nie, żeby nic z nich nie zostało – odparł Tom. – Licencja myśliwska tania nie jest.

– Dobra, dobra, ja też. – Znowu spojrzałem przez lornetkę na chomiki patrolujące ulice miasteczka. Na czarny dym dochodzący ze składu ziemniaków po drugiej stronie miejscowości. Na prom chomików, czy też lądownik lub okręt szturmowy, czy jak go tam zwali. Był brzydki, kanciasty i wyglądał groźnie z wgniecionym dziobem i pogiętym skrzydłem. Spoczywał przed miejscową podstawówką.

Chomiki. Mieliśmy na nich inne nazwy: szczury, łasice, gryzonie, ale z uwagi na złociste futro, okrągłe twarze i wąsiki najbardziej przypominali chomiki. Tyle że zwykle chomiki nie miały metra osiemdziesięciu wzrostu, nie nosiły pancerzy, hełmów i gogli, wrednie wyglądającej broni i nie przylatywały z orbity w lądownikach. Przynajmniej o ile mi wiadomo. Znaczący się nigdy nie miałem chomika, więc co ja tam wiem? Nie mieliśmy pojęcia, że to chomiki, do czasu aż jeden z nich we włazie do ich pojazdu – może pilot, bo nie miał broni – zdjął hełm, wyciągnął coś z kieszeni i zaczął to jeść. Nakrzyczano na niego i znowu założył hełm, ale zdążyliśmy zobaczyć jego futrzasty łeb i chomicze uszy. No, nie do końca chomicze, ale dość podobne.

Susie Tobin oderwała wzrok od celownika sztucera.

– A co z kamieniołomem? Mają tam dynamit, prawda?

Susie miała jakieś metr pięćdziesiąt wzrostu i na co dzień pracowała jako nauczycielka w lokalnym gimnazjum. Na pierwszy rzut oka uznalibyście, że nie potrafiłaby nawet unieść swojej broni. Ale widziałem rzędy poroży wzdłuż ściany jej stodoły, więc najwyraźniej umiała się nią posługiwać.

– Co zrobimy z dynamitem? – parsknął Diego. – Podbiegniemy do tego ich statku i wrzucimy przez drzwi? Nie zdążylibyśmy się nawet zbliżyć na sto metrów.

– Susie ma rację – powiedziałem, myśląc o kłopotach, jakie improwizowane ładunki wybuchowe sprawiły nam w Nigerii. Stanowiły problem na drogach, ale zwłaszcza kiedy patrolowaliśmy wioskę i mieliśmy ograniczony ogląd, a miejsc do schowania bomby było mnóstwo.

Patrolowaliśmy tak, jak teraz chomiki. Pary gryzoni zaglądały do budynków w centrum miasteczka, co niewiele im dawało, zważywszy że to Thompson Corners. Można by pomyśleć, że w Dzień Kolumba okolica będzie się roiła od turystów. Można by, jeśli nie miało się szczęścia zawitać kiedykolwiek do mojej rodzinnej miejscowości. Dzień Kolumba

to w Nowej Anglii czas, kiedy miastowi z południa przyjeżdżają na prowincję, żeby zobaczyć kolorowe liście na drzewach, nocują w staroświeckich pensjonatach i robią mnóstwo zdjęć.

W naszej części Wielkich Lasów Północnych mieszkamy turyści, ale nie z tych gapiących się na drzewa. Do czasu Dnia Kolumba większość zdążyła zgubić liście, a nasza część Maine i tak jest dość płaska, no i sosnowe igły nie zmieniają barwy. Ludzie przyjeżdżają tu kajakować, łowić ryby, polować i jeździć na skuterach śnieżnych. Niewiele z tego ma sens w pierwszej połowie października, więc kiedy rozbili się tu Ruharowie, miasteczko okazało się dość puste. I dobrze, bo nie wyobrażam sobie, co by się stało, gdyby podstawówka była wtedy pełna. Nie musiałem zresztą wyobrażać sobie tego scenariusza, bo widziałem coś takiego w filmie „Czerwony świt”. Tym dobrym, z czasów Reagana, nie tym kiepskim remake’u.

W każdym razie miałem pomysł.

– Susie, twój ojciec pracuje w kamieniołomie, prawda? Idź z Tomem i przynieście dynamit, detonatory, druty, wszystko, czego trzeba, żeby coś wysadzić. – Nie miałem pojęcia, jak to zrobić, jako że nigdy nie widziałem na żywo laski dynamitu. – Diego, zostań tu i wypatruj chomików, zobacz, jakie trasy patrolują, a zwłaszcza jak często przechodzą obok starego ratusza. Stan, Deb, zobaczcie, czy uda wam się zdobyć jakąś ciężarówkę lub furgonetkę dość dużą, żeby z tyłu zmieściło się kilka osób. Ale zakrytą, nie z otwartą platformą z tyłu. Trzymajcie się tej strony miasteczka, nie próbujcie przejechać przez szosę jedenaście, bo zobaczą was chomiki. Jeśli coś znajdziecie, podjedźcie do drogi na Red Brook i czekajcie. Tam się spotkamy.

– Dobra, Bish. – Tom skinął głową. – Co robimy?

Spojrzałem jeszcze raz na Ruharów, notując w myślach rozmieszczenie ich sił, trasy patroli, pozycje obronne.

– Idziemy do dentysty.

*

– Chyba żartujesz – wypaliłem.

– Bish – próbował mnie udobruchać Stan – to najlepsze, co udało się znaleźć. Albo to, albo stary dodge neon.

– Większość ludzi wsiadła do samochodów i wyjechała w pośpiechu. Wygląda na to, że po tej stronie rzeki zostało niewiele aut – stwierdziła Debbie.

– Tak, ale...

Tom pokręcił głową.

– Nie ma, kurwa, mowy, nie będę tego prowadzić. Walczymy z inwazją kosmitów. Nie możemy jechać tym czymś.

Musiałem się zgodzić. Była to w sumie idealna fura, poza jedną kwestią. Znaleźli wóz dostawczy, taki, jakiego używa FedEx. Był w niezłym stanie technicznym, miał opony w dobrym stanie, jedynie w paru miejscach przeświecała rdza. Furgonetka miała spore tylne drzwi, więc kilkoro ludzi mogło szybko wsiadać lub wysiadać i ponoć jeździło się nią całkiem niezle. Znaleźli ją za garażem braci Davis, gdzie musiała przechodzić renowację wnętrza, bo wywalono z niego wszystko poza fotelem kierowcy. To był dobry wóz, poza jedną rzeczą.

Barney.

Barney, wielki fioletowy dinozaur z kreskówki, z wiecznym głupawym uśmiechem. Na furgonetce wymalowany był Barney i smerfy, Myszka Miki, jednorożce i sporo innych fikcyjnych postaci. Ktokolwiek ją pomalował, dokonał ciekawych wyborów artystycznych, bo na przykład dlaczego Iron Man machał do smerfów? I czy przy prawym przednim błotniku był Darth Vader? Czyżby ktoś próbował zamalować na czarno rdzę i postanowił być kreatywny? Większość postaci namalowano koślawo i trochę mi zajęło zorientowanie się, że ta, którą wziąłem za siedzącego Buddę, miała być Kubusiem Puchatkiem. To był oczywiście samochód sprzedawcy, jeśli ktoś jeszcze nie zgadł. Absurdalna lodziarka, która zapewne nie miała pozwolenia na użycie żadnej z postaci będących zarejestrowanymi znakami handlowymi. I nie było na niej znajomego logo „Mister Softie” – zamiast tego napisano od szablonu „Super Softie”. Supermiękkie lody? Czy to znaczyło, że były roztopione?

To wyraźnie była nielegalna lodziarka, która jeździła kiedyś po przedmieściach większego miasta, sprzedawała przeterminowane lody i starała się unikać policji. Wielkiego fioletowego Barneya wymalowanego po obu bokach i pluszowego Barneya na masce nie dało się przeoczyć. Kimkolwiek był właściciel wozu, musiał naprawdę lubić Barneya.

– Moglibyśmy go szybko przemalować.

– Nie mamy na to czasu, do cholery – warknąłem. Nie podobał mi się ten pomysł, ale nie mieliśmy specjalnego wyboru. – Poza tym chomiki nie wiedzą, kim jest Barney. Może uznają, że to groźny drapieżca.

Sam w to nie wierzyłem.

– Na litość boską – jęknęła Susie. – Czy wy boicie się jechać samochodem z napisem „Softie”? Dorośnijcie wreszcie. Ja mogę kierować. Joe, jaki mamy plan?

*

– Dalej, gazu! – krzyknęliśmy ze Stanem, gdy wskoczyliśmy do środka i padliśmy na podłogę samochodu. Susie nie trzeba było dwa razy powtarzać, wcisnęła gaz do dechy, gdy jeszcze znajdowaliśmy się w

powietrzu. Stan wyleciałby ze środka, gdyby Deb nie złapała go za kołnierz. Tom wkopał nogi Stana do środka i zamknął tylne drzwi. Furgonetka przejechała właśnie nad sporą dziurą w drodze, a Tom wylądował tyłkiem na żołnierzu Ruharów. Chomik warczał, co oznaczało, że wciąż żyje. Bo nie byłem do końca pewien, czy nie jest martwy, gdy go pochwyciliśmy.

Z perspektywy czasu to był głupi plan i po prostu się nam poszczęściło. Zauważyłem, że chomiki przechodzą przez alejkę między restauracją a sklepem z narzędziami. Podczas gdy reszta z nas poszła po zaopatrzenie, Diego stał na czatach i potwierdził, że patrole chomików przeczesują okolicę, zaglądając do okien i wyważając drzwi. Robili to w całym miasteczku. Wybrałem knajpkę, bo od rzeki prosto na jej tyły prowadziła krótka polna dróżka. Przechodziła przez las i zapewniała niezłą osłonę. Wiatr z północnego wschodu przyniósł ostatnio sporo deszczu, więc rzeka wyglądała niemal jak w czasie wiosennych powodzi, a pokonując skały i płynąc pod mostami, szumiała tak, że zagłuszała silnik naszego samochodu. Dynamit umieściliśmy w środku knajpy, przy ceglanej ścianie zewnętrznej, i wysadziliśmy budynek, gdy chomiki znajdowały się w połowie alejki.

Nikt z nas nie wiedział, ile użyć środków wybuchowych, więc daliśmy za dużo. Większość ściany zawaliła się na alejkę i nawet nasz samochód dostał paroma cegłami. Ale improwizowana bomba zrobiła to, co miała zrobić – pogrzebała dwa chomiki pod stertą cegieł. Tom, Stan i ja chwyciliśmy bliższego z nich, mniej zakopanego w cegłach. Debbie osłaniała nas ze strzelbą, podczas gdy Tom i Stan złapali obcego za ręce, a ja za nogi i potykając się o cegły, podbiegliśmy z nim do łodziarki i rzuciliśmy go na pakę.

Tak, to był głupi plan. Diego obserwował nas ze wzgórza z krótkofalówką, którą Susie wzięła z kamieniołomu. Drugą miała w samochodzie. Diego zgłosił się, gdy tylko dynamit wybuchł. Sześć chomików wybiegło z lądownika. Jeszcze trzydzieści sekund i by nas dorwali. Gdyby z jakiegoś powodu żadne z nas nie wiedziało, jak użyć dynamitu, bomba by nie wybuchła i te dwa chomiki zobaczyłyby samochód, którego wcześniej nie widziały. Nasze szanse przeciwko obcym żołnierzom w pancerzach i z zaawansowaną bronią nie wyglądały za dobrze.

Ale mieliśmy szczęście, nawet jeśli Tom znów upadł, tym razem na przycisk sterujący głośnikami samochodu i na dachu rozległa się melodia „Turkey in the Straw”, podczas gdy my podskakiwaliśmy na zwirowanej drodze, biegnącej wzdłuż rzeki.

– Wyłącz to cholerstwo! – krzyknęła Susie do Stana. Wystarczyło jej, że musi prowadzić. Fotel kierowcy nie miał pasów bezpieczeństwa, a stopami ledwie sięgała do pedałów. Ale chociaż jakoś się ruszaliśmy.

Stan wciskał przyciski i muzyka zmieniła się najpierw na „Camptown Races”, a potem na „Pop Goes the Weasel” i kilka melodyjek z gier komputerowych, których nie rozpoznawałem. W końcu udało mu się to wyłączyć. Nigdy nie czułem się tak idiotycznie, jak kiedy próbowałem trzymać obcego żołnierza z tyłu furgonetki, uderzając szczęką o metalową podłogę, podczas gdy z głośników dochodziła głupawa muzyka, a Barney uśmiechał się demonicznie z obu stron pojazdu.

Przejechaliśmy przez przesiekę między drzewami nad rzeką. Wtedy stwierdziłem, że chomiki nas pewnie zastrzelą. Myślę, że nie zaatakowały dlatego, że zdały sobie sprawę, iż dorwaliśmy jednego z nich. W każdym razie udało nam się przejechać bezpiecznie. Między nami a centrum miasteczka teren nieco się wznosił, a Susie przyhamowała, żeby bezpiecznie skręcić. Gdy wjechaliśmy w końcu na porządną drogę, wcisnęła gaz do dechy. Jechaliśmy już spokojniej, więc Tom i ja związaliśmy chomikowi ręce za plecami i zaczęliśmy wiązać nogi. Jego wyposażenie położyliśmy pod czterema ołowianymi fartuchami, jakie dentyści zakładają na pacjentów przed zrobieniem zdjęcia rentgenowskiego. Uznałem, że w ten sposób zablokujemy sygnał wszelkich urządzeń lokalizujących. Pancierz na torsie miał prosty mechanizm zwalnający, tak jak się spodziewałem, bo czy człowiek, czy obcy, żołnierz musi być w stanie szybko założyć i zdjąć sprzęt.

Odpiąłem też hełm i po raz pierwszy porządnie przyjrzałem się wrogowi. Jedno z oczu miał otwarte, rana na policzku krwawiła, ale nie wydawał się ciężko ranny, głównie oszołomiony i zdezorientowany. Miał na sobie słuchawki i mikrofon, które z niego zdjąłem, a przy pasie jakiś rodzaj radia. Kazałem Tomowi wyrzucić wszystko przez okno. Mogliśmy w razie potrzeby po to wrócić, ale na razie priorytetem było schwytanie obcego jeńca, żeby nasze wojsko mogło go dokładnie zbadać i ustalić, z jakim wrogiem się mierzymy.

Zgodnie z planem Susie zawiozła nas milę dalej, na farmę Toma. Miał tam stodołę i wjechała prosto przez otwarte drzwi, zatrzymując się z piskiem opon. Nie mogliśmy uwierzyć w to, co się działo. Chomik się wiercił, więc Tom usiadł na nim, a ja trzymałem pistolet wycelowany w jego twarz. To go uspokoiło. Pewnie nigdy nie widział sig sauera, ale potrafił rozpoznać broń.

– Nie słyszę już Diega – oznajmiła Deb, trzymając krótkofalówkę. – Ostatnie, co powiedział, to że obcy biegają w kółko, ale ich statek się nie rusza.

Moje ostatnie instrukcje dla Diega kazały mu odjechać jak najdalej w przeciwnym kierunku, gdy tylko straci nasz wóz z oczu. Na pewno był bezpieczny, znał okoliczne lasy jak własną kieszeń.

- Czekają na pomoc drogową – wysunąłem przypuszczenie.
- Co? – spytała Susie, jakby źle usłyszała.

– Pomoc drogową. Ich okręt jest uszkodzony, więc musieli skontaktować się z resztą floty i czekają na kogoś, kto go naprawi albo ich stąd zabierze. Weźmy naszego futrzaka do piwnicy, zanim jego kumple się ogarną i zaczną go szukać.

Pod domem Toma mieściła się stara piwnica. Sam dom był z połowy dziewiętnastego wieku, a piwnica pozostała jeszcze po poprzednim budynku. W latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku rodzina, do której należał dom, poszerzyła ją i zmieniła w schron przeciwlotniczy, a teraz Tom i jego żona Margie używali jej jako składziku. Znieśliśmy chomika po schodach i nieco uprzętnęliśmy, żeby zrobić dla niego miejsce. Tom spętał go łańcuchem, który przymocował do wystającej z podłogi rury. Dla reszty z nas zostało mało miejsca, bo wokół było pełno półek. Mówiłem już, że Tom i Margie lubią robić przetwory? Cała piwnica była pełna słoików. Większość ludzi w tej okolicy robi zapasy na zimę, bo to znacznie tańsze niż kupowanie w sklepie. Moi rodzice robili mus jabłkowy, powidła, puszkowali pomidory, fasolę i co tylko rosło w ogrodzie. Schron Toma wyglądał, jakby Margie planowała zaprosić na kolację całą 10 Dywizję i chciała, żeby jeszcze sporo jej zostało.

– Co teraz? – spytał Sam, spoglądając wyglodniałym wzrokiem na słoik dżemu jeżynowego.

– Teraz czekamy. Na pewno wkrótce zjawi się tu wojsko.

Dziwiliśmy się, że wciąż nie widzimy na niebie żadnych śmigłowców ani myśliwców. Oznaczało to, że wróg ma pełną kontrolę nad przestrzenią powietrzną.

– Miejmy nadzieję, że jego kumple wkrótce odlecą. Gdy dotrze tu nasza kawaleria, przekazemy im go.

– Skąd pomysł, że odlecą? – spytała Deb.

– Bo nie ma szans, aby najeźdźcy z kosmosu obrali sobie Thompson Corners za jeden z podstawowych celów. Trafili tu tylko dlatego, że mieli awarię. Obawiam się tylko, że zostaną na tyle długo, żeby znaleźć swojego futrzastego kolegę, nawet gdy dostaną wsparcie techniczne. Zostanę z nim, a wy lepiej jedźcie na południe i zobaczcie, czy uda wam się znaleźć Gwardię Narodową albo chociaż gliniarzy stanowych.

Susie się oburzyła.

– Odsyłasz kobiety w bezpieczne miejsce? – spytała z rękami na biodrach. Wiedziałem, co to znaczy.

– Masz rodzinę...

– Tom też.

– Tom dostał esemesa od Margie – broniłem się. – Jej i dzieciom nic nie jest, jadą do jej matki. A żona Stana jest w Portland.

– Mój mąż jest w Milliconnack, a dzieci w Bangor, u siostry. Zostają tutaj. – Uniosła broń dla podkreślenia swoich słów.

– Dobrze – zgodziłem się. Tak naprawdę nie chciałem zostać sam. – Ty

i Stan macie broń długą, więc osłaniajcie drogę prowadzącą z lasu za domem. Deb, idź na półkę skalną, wiesz którą. Dasz znać Susie i Stanowi, jeśli zobaczysz, że coś się zbliża. Tom i ja zostaniemy z futrzakiem.

*

Chomik nie był zbyt gadatliwy. Tom i ja próbowaliśmy porozumieć się z nim za pomocą gestów, ale siedział z kamienną twarzą. Poza chwilami, kiedy się wiercił, wtedy robił krzywą minę. Na jego biodrze była krew, czerwona krew. Przynajmniej mieli czerwoną, a nie zieloną czy niebieską. Podszedłem powoli z wyciągniętymi rękami, żeby pokazać, że nie mam przy sobie noża.

– Musimy obejrzeć twoją ranę – powiedziałem głośno i wyraźnie, co zawsze jest najlepszym sposobem na porozumienie z obcokrajowcami. Pamiętajcie, obcokrajowcy są głupi, więc trzeba mówić głośno i wyraźnie, żeby was zrozumieli.

Chomik próbował jak najbardziej się cofnąć, ale nie miał zbyt dużego pola manewru. Wskazałem na swoje biodro, potem na jego, po czym dotknąłem czerwonej kałuży na podłodze i podniosłem palec tak, żeby zobaczył krew. Pokręciłem głową i pomachałem palcem.

– Jesteś ranny. To niedobrze.

– Bish – odezwał się niepewnie Tom – jesteś pewien, że można dotykać jego krwi?

– Na pewno. Masz tu jakieś bandaże?

– Tak, w szafce jest apteczka. Mamy też papierowe ręczniki. Margie kupuje je hurtem.

Chomik nie był ciężko ranny. Oczyszczyłem ranę wodą utlenioną, co sprawiło, że znowu się wzdrygnął, po czym posmarowałem ją maścią antyseptyczną i zawiązałem bandaż. Patrzył potem na mnie inaczej, jakby nie spodziewał się, że ludzie będą cywilizowani. Wydał z siebie jakiś rodzaj cmoknięcia.

– Chyba chce wodę? – zgadywał Tom.

Margie kupowała też hurtem butelki wody. Wyciągnęliśmy trzy. Tom i ja napiliśmy się ze swoich, po czym otworzyłem trzecią i przyłożyłem chomikowi do ust. Wypił duszkiem połowę zawartości, patrząc mi wciąż w oczy, co nieco mnie zmroziło. Następnie spojrzął znacząco na lewą przednią kieszeń, wskazując na nią nosem. Ostrożnie otworzyłem magnetyczną klapę i wyciągnąłem coś, co wyglądało jak baton energetyczny. Nie miało jaskrawego opakowania jak batony, które znamy z armii. Po prostu szczelny zielony płat plastiku z białymi napisami w obcym alfabecie. Oderwałem końcówkę plastikowego opakowania, trzymając je z dala od twarzy. Nie było to zbyt mądre, bo co, gdyby to był jakiś materiał wybuchowy i w ten sposób wywołałbym

eksplozję? Ale nic się nie stało. Powąchałem ostrożnie zawartość. Pachniała jak cukier i gałka muszkatołowa wymieszana z trocinami. To zdecydowanie był baton energetyczny. Oderwałem kawałek i podałem go do ust chomikowi. Przez dłuższą chwilę żuł, zapewne ich batony są tak twarde, jak nasze. Po około dziesięciu minutach zjadł połowę, wypił więcej wody, po czym pokręcił głową, gdy podałem mu kolejny kawałek. Reagowałem podobnie na nasze. Połowa zwykle wystarczyła, zanim zaczynała mnie boleć szczęka.

W ramach dalszej współpracy międzygatunkowej owinąłem resztę batona w opakowanie i włożyłem z powrotem do kieszeni jeńca, obok dwóch kolejnych. Uśmiechnął się albo próbował. Bez wzajemnego porozumienia uśmiech można zrozumieć jako groźne obnażenie zębów. Jego zęby nie różniły się szczególnie od ludzkich, tyle że wyglądały jak pokryte emalią. Dwa przednie siekacze były większe niż u ludzi, ale nie komicznie wielkie jak u bobra. Teraz, gdy znalazłem się bliżej, zobaczyłem, że futro pokrywa całą skórę, ale jest rzadsze i krótsze niż na ludzkiej brodzie.

– Słyszałeś? – spytał Tom. – Coś jakby krzyki.

Drzwi do schronu były uchylone, żebyśmy mogli słyszeć Susie. Tom wyszedł na zewnątrz. Słyszałem, że coś krzyczy do Stana. Wsunął głowę do środka.

– Mówią, że przyleciała pomoc drogowa.

Zostawiliśmy chomika w schronie i ruszyliśmy do lasu za domem Toma.

– Przyleciało z północnego zachodu, widziałam najpierw smugę – oznajmiła Deb. – Wleciało prosto w środek miasta. Chyba miałeś rację, Joe. Chomiki wezwały pomoc.

– Mam nadzieję, że jakąkolwiek mają misję, jest ważniejsza niż znalezienie jednego zagubionego żołnierza. – Gdyby nowy okręt obcych zebrał zgubione chomiki i odleciał, planowałem załadować futrzaka z powrotem do lodziarki i pojechać na południe, aż znajdziemy jakąś jednostkę wojskową, pewnie Gwardię Narodową, która go od nas przejmie. – Chodźmy na półkę skalną i rozejrzyjmy się.

Nie zobaczyliśmy nic dobrego. Nowy okręt obcych, tego samego typu co pierwszy, krążył nad miasteczkiem na wysokości około stu pięćdziesięciu metrów. Wyglądało na to, że czegoś szuka. Z jego boków wystawały wysunięte wyrzutnie rakiet. Zobaczyliśmy rozbłysk, usłyszeliśmy grzmot i ze środka miasteczka uniosła się kolumna dymu.

– Rozwalili uszkodzony okręt – stwierdziłem, zupełnie jakby wszyscy się tego nie domyślili. – Ciekawe.

– Dlaczego? – spytała Deb.

– To chyba znaczy, że nie zamierzają tu zostać. Przynajmniej nie konkretnie tutaj. I nie chcą, żebyśmy grzebali przy ich sprzeczce. Gdyby

planowali zostać na dłużej, sprowadziliby ekipę naprawczą.

Okręt poleciał nieco w górę i ruszył powoli w naszą stronę. Nie całkiem naszą, ale na wschód, a potem wzdłuż rzeki.

– Cholera. – Stan splunął na ziemię. – Musieli odebrać sygnał z tego, co wyrzuciliśmy z wozu.

Próbowałem wszystkich uspokoić.

– Nie panikujcie. Dlatego to wyrzuciliśmy i dlatego nasz chomik jest teraz głęboko pod ziemią i betonem, za stalowymi drzwiami – Gdy nasz jeniec trafił do piwnicy, Stan zarzucił na maskę i rurę wydechową samochodu koce ołowiane, żeby zamaskować źródło ciepła. – O ile w jakiś sposób nie pojadą za nami aż do stodoły Toma, przeszukanie okolicy zajmie im sporo czasu. Nie wiedzą, czy nie pojechaliśmy już dziesięć kilometrów dalej.

Stan i Deb proponowali, żeby jechać, zamiast zatrzymać się u Toma, żeby znaleźć się jak najdalej od Thompson Corners, zanim przybędzie więcej kosmitów. Zawetowałem ten pomysł, bo nie wiedzieliśmy, kiedy to się stanie, a poza tym nie do końca byłem pewien, że ołów zablokuje sygnał. Nie wiedzieliśmy nawet, czy używają radia, czy jakiejś bardziej egzotycznej technologii. Gdyby obcy byli w stanie nas namierzyć, nie miałyby znaczenia, czy znajdujemy się kilometr, czy pięćdziesiąt kilometrów dalej. Schron Toma wydawał się za to idealnym miejscem na ukrycie technologicznie zaawansowanego kosmity. To, czy mój plan był dobry, zależało od tego, co zrobią najeźdźcy.

Okręt obcych powoli przesunął się wzdłuż rzeki, a następnie przyspieszył i ruszył nad szosą na południe, w naszą stronę. Zrobił dwa okrążenia i opadł poniżej linii drzew. Przez jedną spokojną chwilę wszystko wyglądało jak zwykły październikowy dzień w Maine. Dom Toma i Margie był starannie utrzymany, za budynkiem znajdowało się kilka stosików drzewa na opał. Margie owinęła łodygi kukurydzy wokół latarni w ogrodzie przed domem w ramach przygotowań do Halloween. Za domem miała przyozdobioną wannową Madonnę z...

A, lepiej wyjaśnię, czym jest wannowa Madonna, bo widać, że nie znacie się na kulturze. Bierze się starą wannę, do połowy zakopuje w ziemi, maluje z zewnątrz na biało, a w środku na niebiesko, po czym umieszcza się wewnątrz figurkę Dziewicy Maryi, jak w grocie. To rodzaj kapliczki domowej roboty. Obecnie da się takie kupić gotowe, zrobione z betonu, ale to oszustwo, a Bóg wie, kiedy oszukujesz. Większość ludzi otacza je kamieniami albo kwiatami. Kapliczka Margie otoczona była jaskrawymi chryzantemami. A przynajmniej tak mi się wydaje, nie jestem ekspertem od kwiatów. Madonna była tam już, gdy Tom i Margie kupili dom. Margie przyozdabiała ją odpowiednio na każdą porę roku. W okolicy Bożego Narodzenia Maryja nosiła czapkę Świętego Mikołaja. Obecnie, na Halloween, była ubrana jak rycerz Jedi, razem ze

świecącym mieczem świetlnym, który Tom podłączył do prądu. Mam nadzieję, że Bóg ma poczucie humoru.

Po drugiej stronie drogi było mnóstwo sosen, dalej płaskie pola i zarys rzeki. Był miły, słoneczny dzień. Poza słupami dymu od strony miasteczka i spalonym okrętem obcych. I poza tym, że drugi okręt obcych właśnie znów wlatywał w górę. Uniósł się na wysokość jakichś trzystu metrów i znieruchomiał.

– Musieli znaleźć ten sprzęt, który wyrzuciliśmy z samochodu, i zostawili na ziemi paru żołnierzy, żeby się rozejrzeli – stwierdziłem. – Okręt zapewnia wsparcie powietrzne oddziałowi w dole. Tom, między nami a nimi jest ile, sześć, siedem budynków?

– Dziesięć. Nie policzyłeś McDonaldsów i Burgessów na poboczu. I starej stacji benzynowej nieużywanej od dwudziestu lat. To dziesięć miejsc z dodatkowymi budynkami, jak szopy i garaże. Będą musieli dokładnie je przeszukać, a to zajmie im nieco czasu.

Przygryzłem wargę, co zwykle robię, gdy się zamyślę.

– Ich dowódca nie ma pojęcia, gdzie zabraliśmy futrzaka. – Co ja bym zrobił w tej sytuacji? – Moglibyśmy być w dowolnym z tych budynków, w jakiejś jaskini, w lesie albo piętnaście kilometrów dalej. Nie może wiedzieć.

Chyba że nasz jeniec miał jakiś rodzaj nadajnika, który można było wykryć nawet w schronie. W końcu dysponowali technologią podróży międzygwiazdnych. Podrapałem się po brodzie. To też robię, gdy myślę.

– Wysłali tylko jeden okręt. Gdyby to była misja poszukiwawcza, wysłaliby kilka. Ich pilot musiał wystartować z orbity, zanim złapaliśmy chomika. Planował tylko zabrać załogę z pierwszego okrętu i odlecieć.

– Co to znaczy? – spytała Susie.

– Że następne pięć minut powie nam, co zdecydowali. Jeśli okręt odleci, to znaczy, że trzymają się pierwotnego planu i przeprowadzą poszukiwania później. Jeśli zostaną dłużej, oznacza, że porzucili pierwotny plan i czekają na posiłki, by dokładnie przeczesać okolicę.

– To byś zrobił? – spytała Susie.

– To drugie byśmy zrobili w armii.

Obcy okręt znów obniżył lot, po czym ponownie uniósł się, bliżej nas.

– Cholera! Czyli opcja B! Zostawił na ziemi kolejny oddział i będą przeszukiwać budynki. – Spostrzegłem, że Susie znów spogląda na broń. – Dziewczyno, zapomnij o obronie Alamo! – rzuciłem. – Mamy tylko trzy karabiny, strzelbę i dwa pistolety. Jeśli się zbliżą, pojedziemy przez las na wschód. Rakiety na tym okręcie mogłyby nas wszystkich zabić z wysokości trzech kilometrów.

– Mamy się poddać?

– Nie, ale bądźmy realistami. – Nie mogłem uwierzyć, że kłóczę się o to z Susie. – Nie możemy użyć znowu łodziarki, zbyt się wyróżnia, a obcy

są blisko.

– Dobrze! – odparła. – Opatulimy futrzaka w ołowiane koce i zaniemy do lasu. To tylko półtora kilometra od rzeki, a będziemy mogli...

– Hej! – zawołała Deb. – Niebo! Więcej światła! – Unieśliśmy wzrok i zobaczyliśmy kolejne błyski. – O cholera! Sprowadzają posiłki? To nie może... Cholera jasna!

Odwróciliśmy wzrok, mając mroczki w oczach od niezwykle jasnej eksplozji nad nami. Mrugałem, patrząc na ziemię. Mój cień migotał od kolejnych wybuchów.

– O tak! – Stan uniósł pięść. – Dostają za swoje! Atomówkami w nich!

– Niemożliwe. – Pokręciłem głową. – Nasze atomówki nie namierzają celów, mogą uderzać tylko w zaprogramowane cele na Ziemi.

O ile lotnictwo nie dysponowało jakimiś ekstra zabawkami, o których nie wiedziałem. Wciąż mieniło mi się w oczach. Zasłoniłem je i spojrzałem ku horyzontowi. Więcej eksplozji na niebie, dalej od nas.

– To nie my.

Czy to wybuch elektromagnetyczny? Obcy zdetonowali atomówki wysoko na niebie, żeby unieszkodliwić naszą elektronikę? Wówczas tego nie wiedzieliśmy, ale druga fala rozbłysków to była grupa bojowa Kristangów, skacząca na orbitę i atakująca Ruharów.

– To kto to jest? – spytał Tom.

– Hej, patrzcie! – Deb wskazała na drogę. Obcy okręt, szukający naszego jeńca, obniżał znów lot. Znalazł się na ziemi tylko na kilka minut, zanim ponownie odleciał. Tym razem prosto w górę. Usłyszeliśmy grom naddźwiękowy i zobaczyliśmy pozostawioną za nim smugę. Gdziekolwiek leciał, bardzo się spieszył.

– Cokolwiek tam się dzieje, ten okręt właśnie dostał nowe rozkazy. Wsadźmy futrzaka z powrotem do fury i zawieźmy go do arsenału Gwardii Narodowej.

– I co wtedy? – spytał Tom, gdy ruszyliśmy z powrotem, spoglądając co chwila na niebo. Musieliśmy zabrać chomika, zanim kosmici znów zmienią zdanie.

– Wtedy zobaczymy, jakie mam rozkazy. – Gdybym nie mógł skontaktować się z 10 Dywizją, zamierzałem na razie dołączyć do lokalnej jednostki Gwardii Narodowej albo rezerwy. – I jakoś przetrwamy. Mam poczucie, że słoiki Margie okażą się dużo ważniejsze niż broń, gdy przyjdzie zima.

2. MISJA

Wiosną byłem w Ekwadorze, czekając, aż wyślą mnie do walki z chomikami w kosmosie. Zaskoczyło mnie, jak chłodno było w górach równikowego kraju. Zawsze wyobrażałem sobie Amerykę Południową jako miejsce, gdzie panuje duszący upał, jak w Nigerii. Zima w Maine była trudna nie, jeśli chodzi o temperaturę i opady śniegu, bo były dość przeciętne. Po prostu przez dłuższy czas nie mieliśmy elektryczności, a benzynę i olej opałowy trzeba było oszczędzać. Moje miasteczko było lepiej przygotowane na tę zimę niż większość kraju. Rodzice mieli w domu piecyk na drewno i drugi w garażu. Zresztą w garażu zamieszkała po świętach pewna rodzina z dalszej części stanu, którą wymroziło z jej mieszkania. Mój ojciec przehandlował naprawę traktora za bale słomy, z których zrobiliśmy izolację ścian, a potem zakryliśmy je brezentem. Odwiedziłem kilka razy rodziców i w garażu było ciepło i przytulnie. Pachniało tam świeżo skoszoną słomą. W domu mieszkała poza tym jeszcze jedna trzyosobowa rodzina i samotna kobieta, zakwaterowana w ramach rządowego programu przesiedleńczego.

Wszyscy starali się sobie pomagać przez całą zimę.

Rząd federalny i stany nie miały łatwo po ataku Ruharów. Początkowo reagowały na kryzys dość chaotycznie, ale w końcu ogarnęły się i skupiły na tym, żeby po prostu pomóc ludziom przetrwać zimę. Atak nie wyglądał tak jak w filmach fantastycznych. Zamiast uderzać w bazy wojskowe i centra populacji, obcy zniszczyli głównie elektrownie i ośrodki przemysłowe. Dziwnie było patrzeć na obrazy satelitarne Nowego Jorku i Waszyngtonu po ataku. Poza brakiem światła i ruchu na drogach metropolie pozostały nietknięte. Po tym jak Kristangowie wykopali Ruharów z Układu Słonecznego, Stanom zostało niewiele infrastruktury energetycznej. Telefony i Internet nie działały, prąd docierał tylko tu i ówdzie, radio nadawało ledwie kilka razy dziennie ważne komunikaty. Telewizji nie było. Marynarka sprowadziła do portów w co większych nadmorskich miastach nuklearne okręty podwodne i lotniskowce, żeby zrobić z nich pływające elektrownie, zasilające szpitale i inne najpotrzebniejsze instytucje. Powoli odzyskiwaliśmy sieć energetyczną w reszcie kraju, ale kluczowe słowo brzmiało „powoli”. Gdy wyjechałem do Ekwadoru, moi rodzice wciąż nie mieli prądu, poza generatorem, który ojciec zrobił z wału odbioru mocy traktora. Zasilął traktor mieszanką bimbrowa i benzyny w proporcji pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Alkohol uszkadzał uszczelki w silniku, więc ojciec i facet mieszkający w garażu wymieniali je co miesiąc. Uruchamiali generator tylko rano i wieczorem, bo na więcej nie wystarczało paliwa.

Największym problemem Ameryki nie był jednak brak elektryczności, lecz krach ekonomiczny po ataku. Ojciec stracił pracę, kiedy zamknięto papiernię. Drwalom brakowało benzyny do ciężarówek, a nawet do pił łańcuchowych. Bez pulpy drzewnej papiernia nie mogła nic produkować. Rynek papieru tak czy siak zapadł się razem z resztą globalnej ekonomii. Uprzemysłowione kraje, takie jak USA, Japonia, Chiny czy cała Europa, jak na ironię miały się gorzej niż słabiej rozwinięte części świata. Im wyższy był poziom technologii jakiegoś kraju, tym mocniej uderzał w niego kryzys. Firmy z branży technologicznej natychmiast straciły na wartości, nie tylko ze względu na brak popytu. Kto chciałby inwestować w Dolinę Krzemową, kiedy nasi nowi sojusznicy – Kristangowie – mieli podzielić się z nami niesamowitą technologią?

Tylko że tego nie zrobili. Kristangowie mówili, że nie jesteśmy gotowi, więc nie można nam jeszcze powierzyć zabawek na ich poziomie, że musimy skupić się na odbudowie infrastruktury. Nasi nowi sojusznicy byli rozczarowujący poza tym, że przegonili Ruharów. Większość grupy bojowej Kristangów odleciała w ciągu tygodnia po pokonaniu najeźdźców, bo Ziemia nie dysponowała odpowiednimi dokami czy stacjami naprawczymi i resztą infrastruktury orbitalnej, jakiej potrzebowali. Nie walczyli z Ruharami dla dobra ludzkości, po prostu chcieli pozbawić ich bazy w naszym zakątku Galaktyki. Ziemia była teraz jak Guadalcanal w czasie drugiej wojny światowej, jak to opisał jeden z oficerów Gwardii Narodowej. Miejscem, które tak naprawdę nie obchodziło żadnej ze stron, ale stanowiło odskocznnię do czegoś ważniejszego. USA i Japonia nie były wówczas zainteresowane samą wyspą ani jej rdzennymi mieszkańcami, podobnie jak Kristangowie i Ruharowie Ziemią. Jako Amerykanie, obywatele supermocarstwa z najsilniejszą armią w historii, mieliśmy problem z przyzwyczajeniem się do tego, że teraz to my jesteśmy prymitywnymi tubylcami, patrzącymi jak siły Kristangów i Ruharów biją się o naszą planetę z użyciem broni, której działanie ledwie rozumiemy.

– Hej! Bishop! Hej!

Odwróciłem się zaskoczony i zobaczyłem faceta z mojego starego oddziału – gościa, którego nie spodziewałem się już więcej zobaczyć.

– Placek Kukurydziany! – zawołałem.

– Chleb z Puszki! – odpowiedział. Uścisnęliśmy się i pokleпалиśmy tak mocno po plecach, że niemal się zakrztusiłem. Jesse Colter z Arkansas był dumnym synem Południa, co oznajmił mi, gdy pierwszy raz go spotkałem podczas szkolenia. Nazwałem go Plackiem Kukurydzianym, bo to chyba jedli na Południu. Jego odpowiedź odnosiła się do słodzonego melasą chleba z rodzynkami w puszcze, który stanowił tradycyjne pożywienie w Nowej Anglii. Kiedyś poczęstowałem go

kromką. Niektórzy podgrzewają puszkę w gorącej wodzie, ale ja wolę opiekać każdą kromkę. Odcina się oba końce puszkę i wyciska z niej chleb.

Wiem, wiem. Ale zaufajcie mi, jest pyszny.

– A może teraz powinienem nazywać cię Barney? – roześmiał się Jesse.

Cholera. Historia się rozeszła. Całą zimę kolesie z Gwardii Narodowej się z tego śmiali. Nazywali mnie i resztę ludzi, z którymi schwytałem obcego żołnierza, Barney i Smerfy.

– Cholera, czy wszyscy teraz o tym wiedzą?

– Internet zaczyna wracać, więc cała planeta już wie. Cholera, dobrze cię widzieć. Jest tu jeszcze kilku z Dziesiątej, ale nikogo więcej z naszego oddziału.

– Jesteś pierwszą osobą z Dziesiątej, którą widzę – przyznałem, rozglądając się w poszukiwaniu znajomych twarzy.

– Jak się tu znalazłeś? – spytał Jesse, schylając się, żeby podnieść worek, który rzucił, kiedy mnie zobaczył.

– Po Dniu Kolumba chciałem dostać się z powrotem do Fort Drum, ale nikt nie miał dość benzyny, żeby mnie tam zawieźć. Więc spiknąłem się z lokalną jednostką Gwardii Narodowej i spytałem, czy wiedzą, co się dzieje. Pułkownik Gwardii wcielił mnie do swojej jednostki, zresztą i tak przejął ich rząd federalny. Uznałem, że niech będzie, skoro dają mi karabin, hełm i jedzenie. Rozkazy oficjalnie przydzielające mnie do Gwardii przyszły przez radio nieco później. Więc bawiłem się w żołnierza w Maine, pomagałem w żniwach, pilnowałem konwojów z paliwem i jedzeniem. A potem kazano mi przyjechać tutaj, więc wsiadłem w pociąg do Bostonu.

Pociąg towarowy. Czuję się jak włóczęga, nawet jeśli miałem bilet od rządu Stanów Zjednoczonych.

– Nie, chodzi mi o to, jak znalazłeś się tutaj? Przyleciałeś?

– A, tak. Z Bostonu przez pięć dni jechaliśmy pociągiem do Miami. Przylecieliśmy jakieś dwie godziny temu boeingiem, który widział lepsze dni.

Jesse skinął głową.

– Ja pojechałem pociągiem do Dallas i czekałem tam ze trzy dni na jakiś lot. Cholerne lotnictwo nie znalazło dość paliwa dla samolotów. Słyszałem, że niektóre jednostki przyplływają statkami z Nowego Orleanu i Houston.

– Widziałeś tę całą wieżę?

– Winda? Tyle, co sam teraz widzisz. Nic o tym nie wiem, *compadre*.

Spojrzelśmy na górę, której wierzchołek był ledwie widoczny na zachmurzonym niebie. Ze szczytu góry wystrzeliwała wstęga białego światła. Gdy ONZ zgodziła się dostarczyć Kristangom żołnierzy, którzy będą walczyć pod ich dowództwem, ci w mniej niż miesiąc zbudowali

coś, co nazywali windą kosmiczną. Wybrali tę górę w Ekwadorze, bo znajdowała się na samym równiku. Na jej szczycie zbudowali bazę z reaktorem fuzyjnym, a tysiące kilometrów nad nami, na orbicie geosynchronicznej, znajdowała się stacja. Obie łączyło cienkie pole magnetyczne, w zasadzie stacjonarny piorun. Mieliśmy dostać się na orbitę w windzie jadącej na błyskawicy. Jeden z gości z lotnictwa w moim samolocie powiedział, że Kristangowie wysyłają przez pole magnetyczne impulsy, które popychają kabiny. Winda w Ekwadorze była ukończona jako pierwsza, ale obcy już mówili o zbudowaniu kolejnych dwóch, jednej w Afryce, a drugiej w Indonezji. Zmrużyłem oczy i osłoniłem je dłonią, przyglądając się cienkiemu promieniowi światła.

– Nie wiem, co o tym myśleć. Ale jeśli Kristangowie potrafią zrobić coś takiego, to dobrze, że są po naszej stronie.

– Zdecydowanie, *amigo* – odparł Jesse.

Patrząc na błyskawicę, po której miałem pojechać na orbitę, zastanowiłem się, co stało się z futrzakiem. Jechaliśmy wtedy lodziarką, aż trafiliśmy na zablokowaną przez policję drogę, ale gdy policjanci zobaczyli, kogo wieziemy, odeskortowali nas aż do Lincoln, gdzie chomika zabrał śmigłowiec Gwardii Narodowej. Potem wszelkie informacje o nim utajniono i poproszono nas, abyśmy przestali o nim opowiadać i o niego pytać. Gdziekolwiek był, miałem nadzieję, że dobrze go traktują.

Naszą uwagę przykuło brzęczenie. Obróciliśmy się i zobaczyliśmy grupę pomalowanych na szaro pionowzlotów, lecących z zachodu. Zwolniły nieco i ustawiły śmigła pionowo, lądując jak helikoptery. Jesse wyjaśnił, zanim zdążyłem spytać:

– Marynarka trzyma przy wybrzeżu dwie grupy lotniskowców, „Lincolna” i „Reagana”. Spotkałem tu dzisiaj paru marines.

– Lecą z nami? – Dwie grupy lotniskowców brzmiałyby imponująco przed atakiem Ruharów. W porównaniu z obcymi wojskami, które mogły zawieźć człowieka na orbitę na błyskawicy, nasze atomowe lotniskowce zdawały się przestarzałe jak czółna.

– Niektóre jednostki marines owszem, ale tamci? Nie, po prostu zabezpieczają windę.

Słyszałem przez radio, że Kristangowie pozostawili kwestie bezpieczeństwa windy kosmicznej Amerykanom. Roześmiałem się.

– Na pewno są przeszcześliwi.

Żaden prawdziwy marine Stanów Zjednoczonych nie chciał tkwić na warcie, podczas gdy Armia USA leciała w kosmos, by pomścić atak na naszą planetę.

– Żebyś, kurwa, wiedział. Proponowali mi sporą kasę za ten drobiazg. – Jesse pogładził błękitną naszywkę SEONZ na prawym

ramieniu z logo Sił Ekspedycyjnych Stanów Zjednoczonych, jak nas teraz nazywano. Narodowe naszywki, w naszym przypadku flagi USA, nosiliśmy na lewym ramieniu. – Tak jakby pieniądze były teraz coś warte.

Zmarszczył czoło i spojrzał na swoje ubranie.

– Przynajmniej oni mają prawdziwe mundury. Ja kupiłem to w sklepie z rzeczami z demobilu w Arkansas.

Spodnie miał dobre, ale górę o trzy rozmiary za dużą.

Mój własny „mundur” także składał się z niedopasowanych części. Spodnie od Gwardii Narodowej Maine, a góra, którą dostałem w pociągu do Miami, pokryta była starym wzorem kamuflażu i wyglądała, jakby leżała w magazynie od czasu wojny w Iraku. Tej pierwszej. A może wojny hiszpańsko-amerykańskiej. Nadal śmierdziała kulkami na mole.

– Może armia da nam nowe.

– Nie liczcie na to – warknął znajomy głos. Obróciliśmy się i zobaczyliśmy porucznika Amosa Gonzaleza, dowódcę plutonu w Dziesiątej. Jesse i ja stanęliśmy na baczność i zaszalutowaliśmy. – Spocznijcie. Bishop i Colter, tak? – Uśmiechnął się. – Miło was znów widzieć. Dobrze, że dotarliście na imprezę.

– Pana też miło zobaczyć, poruczniku – odparł Jesse. – Wie pan, ilu nas tu jest?

Pokręcił głową i spuścił wzrok.

– Nadal mamy problemy z komunikacją. Wszystko ogarniamy na bieżąco.

Jesse zmarszczył brwi, słysząc, jak Gonzalez unika odpowiedzi na pytanie.

– Hej, poruczniku, widziałem jak na razie nas i ludzi z Bekających Bekasów, Trzecią Piechoty i marines. Nie bierzemy ze sobą żadnych jednostek pancernych?

Porucznik Gonzalez spojrzał na niego z ukosa.

– Colter, naprawdę chcesz siedzieć w czołgu, walcząc z wrogiem, który może strzelać do ciebie z orbity? – Nie czekał na odpowiedź. – To bilet na długą drzemkę w ziemi. Kristangowie powiedzieli, że potrzebują piechoty, więc ją dostaną. Czołgiści i lotnicy będą musieli poczekać.

– Przepraszam, sir, ale na co, do cholery, zda się piechota przeciwko Ruharom? – spytałem. – Nie mam nawet broni.

Gonzalez ze współczuciem skinął głową.

– Kristangowie nie pozwalają na broń podczas jazdy windą. Mamy dostać wszystko, gdy dotrzemy na miejsce. Osobiście lubię swojego starego M4, ale nie chcę iść z nim na Ruharów.

– Służymy z marines, sir? – spytałem.

– Z brygadą marines, tak. I, z tego, co słyszałem, z Brytolami, Francuzami, Chińczykami, może jakimiś Ruskimi i Indianami.

Zameldowaliście się już?

– Nie, sir. Jestem tu prosto z autobusu z lotniska – odparłem.

Wciąż czułem stalową ramę siedzenia na tyłku. Przyjechaliśmy z lotniska w konwoju pomalowanych na jaskrawe kolory starych szkolnych autobusów, stanowiących zapewne najlepszy transport dostępny w tej części Ekwadoru.

Jesse też pokręcił głową.

– Jestem tu od rana, ale jak tylko wysiadłem z autobusu, marines kazali mi nosić skrzynki z jedzeniem.

– Lepiej dopilnujcie formalności. Potrzebujecie badań lekarskich, zanim polecicie w kosmos na latającym dywanie. Widzicie ten wielki namiot cyrkowy z flagą ONZ? – Nie żartowałem, to naprawdę był namiot cyrkowy. – Biegnijcie tam, winda odjeżdża o siedemnastej.

*

Wnętrze namiotu wyglądało jak dom wariatów. Nie uśmiechało nam się rozbieranie i klucie igłami przez lekarzy armii, ale niepotrzebnie się martwiliśmy. Badanie polegało na staniu w ubraniu w kabynie wielkości prysznicza i byciu prześwietlanym przez jakieś światło. Gdy wyszedłem z kabiny, lekarz nawet nie uniósł wzroku znad komputera.

– Przeżyjesz, Bishop.

Widziałem na ekranie plik z moim zdjęciem. Lekarz kliknął parę przycisków i zamiast mojego zdjęcia pojawiło się inne.

– Następnym!

– Przepraszam, sir, ale to wszystko? – spytałem zdziwiony.

– To wszystko. Właśnie przeszedłeś pierwsze badanie skanerem medycznym Kristangów. Mówi, że jesteś zdrowy. Dalej, nie mamy na to całego dnia!

Po badaniu czekał nas prysznic z prawdziwą ciepłą wodą, lecz nadal nie dostaliśmy nowych mundurów i musieliśmy znów założyć stare. Następnie poszliśmy do kolejnego namiotu na ciepły posiłek w stylu armii. Jeśli o mnie chodzi, „w stylu armii” było zaletą, bo oznaczało sporo jedzenia. Przeczekałem kolejkę i stałem z tacą w rękach, szukając miejsca, gdzie mógłbym usiąść, kiedy Jesse wstał i gestem przywołał mnie do swojego stolika.

– To Gus z Pierwszej Pancерnej – powiedział z ustami pełnymi chleba kukurydzianego, wskazując na faceta siedzącego obok.

– Myślałem, że tylko piechota jedzie na przejażdżkę.

Gus wzruszył ramionami.

– Prowadziłem bradleya. Widać potrzebują tam kierowców.

Jeśli Kristangowie uważali, że potrzebujemy kierowców, to znaczyło, że piechota nie będzie wszędzie poruszać się na piechotę.

Placek Kukurydziany zamoczył chleb w sosie.

– Nie wiem, dokąd lecimy, ale skoro oznacza to trzy ciepłe posiłki i pryczę, to jak dla mnie bomba. W domu się teraz nie przelewa.

*

Nie wiem, czego dokładnie spodziewałem się po windzie kosmicznej, ale nie była taka, jak oczekiwałem. Wyglądała w zasadzie jak poczekalnia na lotnisku. Wielka kabina w kształcie dysku miała cztery poziomy, z czego najniższy zawierał całą maszynię. Albo tak mi się wydawało, bo mieliśmy wstęp tylko na trzy górne. Na samym dole zwisły moduły towarowe. Każdy z poziomów mieszkalnych podzielony był na osiem przedziałów, zawierających rzędy plastikowych foteli z pasami bezpieczeństwa. Podróż do stacji orbitalnej miała zająć dziewięć godzin, które umilić miał jedynie widok na coraz mniejszą powierzchnię naszej planety. Po jakimś czasie nawet to nam się znudziło. Winda nie była niczym luksusowym i zaprojektowano ją, by przewozić jak najwięcej żołnierzy w jak najkrótszym czasie. Wygoda nie wydawała się dla Kristangów priorytetem. Nie było tu nawet bufetu, więc armia ustawiła na każdy poziomie przenośną kuchnię, a jedzenia mieliśmy w bród. Zjadłem swojego pierwszego porządnego cheeseburgera od bardzo dawna, po czym poszedłem po dokładkę. Jesse i ja rozejrzeliśmy się po okolicy, poznaliśmy żołnierzy, z którymi mieliśmy służyć, wymieniliśmy się opowieściami, wysłuchaliśmy sprzecznych plotek. Jako że winda mieściła pięć tysięcy ludzi, na pokładzie znajdowała się większa część dywizji. Minęliśmy jeden przedział, w którym umieszczono prowizoryczną mesę oficerską, po czym poszliśmy dalej, do reszty szwejów.

Po wypiciu trzech napojów gazowanych, jako że armia nie zapewniła alkoholu, musiałem znaleźć łazienkę, czego się nieco obawiałem. Jak wyglądały toalety Kristangów? Okazało się, że albo mieli podobne funkcje biologiczne, albo skonsultowali się z ziemskimi hydraulikami, bo niepotrzebnie się martwiłem. Wyglądała jak zwykła łazienka na przydrożnej stacji benzynowej, tylko nowa i czystsza. W dozownikach było nawet mydło.

Początkowo poruszaliśmy się powoli i rzeczywiście czuliśmy się, jakbyśmy jechali windą. Odczuwaliśmy lekkie ciśnienie dodatkowej grawitacji i ledwie zauważalne wibracje. Ale stopniowo atmosfera się przerzedzała, a my przyspieszaliśmy. Uruchomiono sztuczną grawitację, która, jak nam powiedziano, wynosiła osiemdziesiąt pięć procent ziemskiej. Rozmawiałem z jednym wojskowym kucharzem, który jechał już parę razy w obie strony i wyjaśnił, że zwolnimy, ale nic nie pocujemy ze względu na tę sztuczną grawitację. Wyraziłem

wątpliwości co do bezpieczeństwa jazdy na błyskawicy, zwłaszcza że nadal mogli gdzieś czyhać Ruharowie, ale kucharz powiedział, że nie ma się czym przejmować. Kilka dni wcześniej fregata Ruharów wyskoczyła z nadprzestrzeni, kiedy winda znajdowała się w połowie drogi do stacji, w najbardziej narażonym na atak punkcie. Zdążyła wystrzelić dwie rakiety, zanim usmażyły ją niszczyciele Kristangów, a z samymi raketami poradziły sobie lasery obronne na szczycie kabiny. Dobrze było wiedzieć, że nie jesteśmy całkiem bezbronni.

Udało mi się zasnąć w fotelu. Obudziłem się, gdy jeden z marines kopnął mnie w stopę.

– Wstawaj, śpiąca królowno. Zbierz swoje rzeczy, jeśli jakieś masz.

Marine poszedł dalej, budząc kolejnych śpiochów.

Jesse spał na podłodze za mną, z workiem jako poduszką. Potrząsnąłem go za ramię.

– Stary, nie chciałem widzieć po przebudzeniu twojej paskudnej gęby – marudził. – Czego? – spytał, ziewając.

– Chyba zbliżamy się do stacji. Chcesz zobaczyć?

*

Stacja wyglądała jak pączek z dziurką, z czterema wyciągniętymi na boki ramionami. Na końcach dwóch z nich znajdowały się okręty należące zapewne do Kristangów, spoczywające na czymś w rodzaju platform. Jeden był smukły i ciemny, drugi dużo większy, ale wyglądał na mniej potężny. Podczas gdy gapiliśmy się na wszystko, podszedł do nas kucharz, z którym wcześniej rozmawiałem.

– To jest krążownik. – Wskazał mniejszą jednostkę. – A ten brzydki, gruby obok niego to transportowiec.

– Byłeś tam? – spytał Jesse.

– Nie, wpuścili nas tylko na stację podczas rozładowywania windy, po czym wróciliśmy po kolejnych. Słyszałem, że transportowiec mieści całą grupę i gdy tylko wejdziecie na pokład, odlatuje.

– Wiesz może, gdzie nas wysyłają? – Uznałem, że może udało mu się coś usłyszeć.

Pokręcił głową.

– Nie wiem, a jeśli któryś z naszych oficerów wie, to się tym nie podzielił. Osobiście myślę, że Kristangowie trzymają te informacje dla siebie. – W ciszy patrzyliśmy, jak zbliżamy się do stacji, aż w końcu na okno padł jej cień. – Chciałbym polecieć z wami, próbowałem przenieść się do piechoty. – Naszywka na mundurze wskazywała, że był z 1 Pancерnej. – Ale armia mówi, że skoro jestem kucharzem, to mam być kucharzem – stwierdził gorzko.

– Hej, robisz naprawdę świetne cheeseburgery. – Wyciągnąłem rękę.

Wytarł dłoń o fartuch i wymieniliśmy mocny uścisk. Spojrzał mi prosto w oczy.

– Skopiecie im tyłki, prawda?

– Bez wątpienia – odparłem z pełnym przekonaniem. Nie wiedziałem, czy wróćę, ale zamierzałem zabić tyle chomików, ile się da. Każdy żołnierz, z którym rozmawiałem, czuł podobnie. Zaatakowano nas, zagrożono istnieniu naszego gatunku. Gniew nie wyrażał w pełni tego, co w nas się kłębiło. Na dworcu w Bostonie szedłem razem z trzema innymi żołnierzami. Wszyscy jechaliśmy na wojnę w kosmosie. Ludzie zatrzymywali się, spontanicznie salutowali, bili nam brawa. Naprawdę mnie to wzruszyło. Jeden starszy facet szedł z chłopcem, pewnie wnukiem. Pokazał małemu, jak stanąć na baczność i zsalutować. Wyraz twarzy dziadka mówił mi wszystko o tym, jak postrzegano żołnierzy Sił Ekspedycyjnych ONZ. Pokładali w nas wszelkie nadzieje i nie chodziło tylko o zemstę. Mieli nadzieję na przetrwanie ludzkiego gatunku. To było inne w tej wojnie, po raz pierwszy chodziło o nas wszystkich.

– No jasne, że spuścimy im wpierdol – dodał z powagą Jesse. – Armia zawsze sobie poradzi. Hoo-ah!

Podobnie jak kucharz, niewiele zobaczyliśmy po opuszczeniu windy. Wartownicy z marines skierowali nas do stacji kosmicznej generującej błyskawicę. Ustawiliśmy się w kolejkę, czekając nie wiem na co. Stacja była wielka i na głos zastanawiałem się, jak ją tak szybko zbudowali.

– Gwiezdny lotniskowiec Thuránów przywiózł ją w kawałkach i na miejscu ją tylko złożyli – poinformował nas porucznik stojący przed nami.

– Sir? – spytałem. – Kim są ci Thuranie?

– Thuranie to patroni Kristangów. – Widząc w oczach moich, Placka Kukurydzianego i wszystkich innych zupełne niezrozumienie, wystąpił z kolejki, żeby z nami pogadać. Po naszym widać było, że jest z 3 Dywizji Piechoty. – Niczego wam nie powiedzieli?

– Sir, jestem z północnego Maine, Internet dotarł tam dopiero tydzień przed atakiem Ruharów. – Sądząc z jego miny, wyraźnie nie doceniał mojego poczucia humoru. – Nigdy nie słyzałem o Thuranach, sir.

Pokręcił palcem w powietrzu.

– Ta stacja, winda, to wszystko technologia Thuránów. Kristangowie nie mają na swoich okrętach nawet sztucznej grawitacji.

– Sir? – Twarz Jessego zaczęła robić się zielona, gdy to usłyszał. Wszyscy wokół wyraźnie czuli się niepewnie na myśl o nieważkości. – Nie byliśmy szkoleni do działania bez grawitacji.

– Dlatego stoicie w kolejce, żeby dostać leki zapobiegające chorobie kosmicznej. Nie chcemy, żebyście wyrzygiwali wnętrzości na transportowcu Kristangów.

– Nie lecimy na okręcie Thurarów? – spytałem. Mdlilo mnie na samą myśl i żałowałem tego drugiego cheeseburgera. Kolejka przesunęła się do przodu i szuraliśmy stopami po pokładzie.

– Lotniskowce Thurarów rzadko zapuszczają się do studni grawitacyjnych. Zwykle trzymają się za Obłokami Oorta układów gwiazdnych. – Widząc znów niezrozumienie w oczach kolegów, poczułem zadowolenie z siebie, bo wiedziałem, co to Obłok Oorta. Porucznik uściślił: – Czyli w naszym systemie daleko za orbitą Plutona, gdzie czasoprzestrzeń jest płaska i łatwiej im formować pola skoku. Okręty Kristangów potrafią skakać tylko na niewielkie odległości, sześć do ośmiu godzin świetlnych, czyli jak stąd do Neptuna. Robią kilka małych skoków do miejsca, gdzie parkuje lotniskowiec Thurarów. Lotniskowiec jest duży, z długą osią i stanowiskami, do których przyczepiają się mniejsze jednostki. Lotniskowiec dysponuje zaawansowanym napędem skokowym, dużo lepszym niż to, co mają Kristangowie, więc Thuranie przenoszą okręty Kristangów między układami gwiazdnymi. Wywiad uważa, że okręty Kristangów tak naprawdę nie potrafią podróżować między gwiazdami. Z ich krótkimi skokami i koniecznością ładowania silników między nimi, zwykle poruszają się z prędkością mniejszą niż światło. Dotarcie do najbliższej gwiazdy zajęłoby im ponad cztery lata. Wygląda na to, że Thuranie potrafią poruszać się z prędkością trzysta razy przewyższającą prędkość światła, w skokach na odległość około roku świetlnego.

Nie podobały mi się obliczenia, które krążyły mi gorączkowo po głowie. Trzystukrotność prędkości światła brzmiała oszałamiająco, ale oznaczało to, że jeśli lecieliśmy na planetę znajdującą się, na przykład, ledwie sto lat świetlnych stąd, i tak spędzimy cztery miesiące w podróży! Cztery miesiące. Na obcym okręcie, w nieważkości. A sto lat świetlnych brzmi może imponująco, tylko że Galaktyka jest wielka. Jakoś udało mi się zapamiętać ze szkoły, że Ziemia znajduje się dwadzieścia siedem tysięcy lat świetlnych od jej centrum, a całość dysku ma jakieś sto tysięcy lat świetlnych średnicy. Nie myślałem o tym wszystkim, kiedy wcześniej tak mi się spieszyło, by odlecieć z Ziemi i walczyć z Ruharami.

– Sir – spytałem powoli – gdzie my lecimy?

– To nie tajemnica. Lecimy na planetę, na której Kristangowie urządzili nam bazę szkoleniową. Nazywamy ją Obozem Alfa.

– Jak daleko stąd? – spytał Placek Kukurydziany i znacząco spojrział mi w oczy. Też musiał coś sobie policzyć.

– Kristangowie nam nie mówią, ale ludzie, którzy tam byli, zrobili zdjęcia nocnego nieba. Na podstawie pozycji gwiazd nasi astronomowie ustalili, że mieści się tysiąc dwieście dwadzieścia trzy lata świetlne od Ziemi.

Wtedy właśnie otworzyły się drzwi i wezwano porucznika.

O Boże. Tysiąc dwieście lat świetlnych na pokładzie okrętu podróżującego z prędkością trzysta razy większą niż światło. Oznaczało to cztery lata na pokładzie okrętu Kristangów, przyczepionego do lotniskowca gwiazdowego Thuranów! Słyszałem, jakie problemy mieli astronauta przebywający w nieważkości na międzynarodowej stacji kosmicznej. Pogorszył im się wzrok, kości stały się kruche, po kilku miesiącach mieli atrofię mięśni. Na co się komu zdadzą ludzcy żołnierze po czterech latach w nieważkości? Byłem w szoku. W tamtej chwili nie przyszło mi nawet do głowy, że porucznik powiedział, że ludzie odwiedzili już Obóz Alfa i wrócili.

– Cztery lata, cholera! Dobrze liczę, tysiąc dwieście lat świetlnych stąd, trzysta rocznie? – głos Jessego wyrażał szok, który poczuliśmy wszyscy. – Może nas zamrożą, uspią na całą drogę? Tak było w „Avatarze”, oglądałeś?

Rozległ się głośny szmer rozmów żołnierzy, oszołomionych tym, co powiedział porucznik. Wtedy nadszedł mój czas na spotkanie z lekarką, ubraną w cywilny strój i biały fartuch. Wyglądała na znużoną.

– Muszę zdjąć koszulę, ma’am?

Miałem nadzieję, że chociaż spodni nie będę musiał ściągać. Czulem się dostatecznie zawstydzony, stojąc w samych bokserkach przed lekarzem mężczyzną, a z kobietą byłoby jeszcze gorzej. Znaczą się nie chciałem, żeby mój mały przyjaciel ucieszył się na jej widok, jeśli wicie, o co mi chodzi. Ale może jeszcze gorzej by było, gdyby nie stanął na baczność. Lekarka była ładna, a ja byłem zdrowym mężczyzną, więc czulem, że z szacunku do niej powinienem chociaż w połowie...

– Nie, proszę niczego nie zdejmować. Unieść brodę.

Przyłożyła do mojego lewego ucha coś, co wyglądało jak plastikowy pistolet, i nacisnęła spust. Ledwie cokolwiek poczułem. To samo przy prawym. Odłożyła pistolet na bok, przyjrzała się monitorowi komputera, wcisnęła coś na nim parę razy i powiedziała:

– Wygląda dobrze. Dostał pan zastrzyk z nanomaszyn Kristangów, które wkrótce przejdą do pańskiego ucha wewnętrznego i będą zapobiegać chorobie kosmicznej. Po jakimś czasie się rozłożą bez efektów ubocznych. Jeśli straci pan poczucie równowagi, proszę skontaktować się z personelem medycznym na pokładzie okrętu.

– Czy wie pani, jak długo będziemy...

– Odprawa odbędzie się na pokładzie okrętu.

Otworzyły się drzwi naprzeciwko tych, przez które wszedłem, i odebrałem to jako sygnał do wyjścia. Grawitacja działała jak należy, ale na myśl o tym, że wstrzyknięto mi miniaturowe maszyny, kręciło mi się w głowie. Mikroskopijne obce roboty krążyły w mojej krwi. Upierne.

Gdy cała nasza grupa przeszła już procedurę medyczną, wartownicy skierowali nas do transportowca. Na stacji nie mieliśmy czasu na zwiedzanie, zresztą nie było co zwiedzać. Ściany korytarzy miały kolor błękitu, z napisami w kilku ludzkich językach. Okręt Kristangów był dużo ciekawszy, z mnóstwem paneli dostępowych, rozwidlających się korytarzy, rur i przewodów wzdłuż sufitów. W ścianach i podłogach znajdowały się uchwyty, zapewne na czas, kiedy okręt znajdzie się w stanie nieważkości. Nie widzieliśmy żadnego Kristanga. Naszą grupę przejął jakiś marine i skierował mężczyzn do jednego przedziału, a kobiety do drugiego. W tym, do którego trafiłem, znajdowały się rzędy trzypiętrowych łóżek. Każde z nich przymocowano do ramienia, które mogło nimi manewrować, kiedy okręt będzie przyspieszał. Marine powiedział, że znajdujemy się w wielofunkcyjnej kapsule Kristangów, obecnie skonfigurowanej do transportu wojska.

Mieliśmy szczęście, jak nam powiedział, że łóżka zbudowano dla Kristangów, którzy byli przeciętnie nieco więksi niż ludzie. Wzruszyłem ramionami, znalazłem pustą koję i rzuciłem na nią worek, a następnie przymocowałem go paskiem, który zapewne do tego właśnie służył. Łóżko nie było złe. Ponad dwa metry długości, metr dwadzieścia pod łóżkiem wyżej. Luksus. Ktoś już zaczął grać w karty i Jesse podszedł do graczy, podczas gdy ja położyłem się na koi i zacząłem czytać książkę na tablecie. Nieco niepokoiłem się już o tablet, bo zostało ćwierć ładunku baterii, a nie widziałem nigdzie gniazdka. Wyglądało na to, że głupio zrobiłem, biorąc go ze sobą w kosmos.

W drzwiach stanął jakiś sierżant, który odchrząknął, żeby przyciągnąć naszą uwagę. Rozbawiło mnie, że ma na sobie taką samą przestarzałą górę od munduru jak ja.

– Jestem sierżant sztabowy Raynor. Dowodzę tym przedziałem i dwoma po obu waszych stronach. Za dwie godziny okręt wyjdzie z doku i zacznie opuszczać orbitę Ziemi. Dziesięć minut przed odlotem macie być przypięci do łóżek. Jeśli nie wiecie jak, starszy kapral Edwards wam pokaże. Po opuszczeniu stacji ustanie działanie sztucznej grawitacji, więc dopilnujcie, żeby nic nie zostawiać luzem, bo odleci. Okręt przyspieszy na jakąś godzinę. Przyspieszenie wynosić będzie około trzydziestu procent normalnego ciężenia, nie jak w rakietach NASA. Następnie wykonamy skok przez nadprzestrzeń. Będziecie mogli opuścić koje, gdy Kristangowie dadzą sygnał, w ciągu jakichś dziewięćdziesięciu minut. Następnie będziecie mogli swobodnie się poruszać, ale pamiętajcie, że będziemy w nieważkości. Nie chcę tu żadnych wygłupów! Gdy okręt znajdzie się w odpowiedniej odległości od Ziemi, wykonamy serię skoków nadprzestrzennych i będziecie musieli znowu być przypięci. Nasz ostateczny cel to planeta, na której Kristangowie zbudowali bazę szkoleniową. Jeśli macie pytania,

dostaniecie szansę na ich zadanie później.

Jeśli miałem być przykuty do łóżka przez ponad godzinę, postanowiłem najpierw skoczyć do łazienki. Wyszedłem i spytałem wartownika, gdzie ją znajdę. Wskazał z krzywym uśmiechem na dalszą część korytarza.

Toalety wyglądały interesująco. Nie było pisuarów. Dało się normalnie usiąść, ale zaprojektowano je do nieważkości, były tam pasy do przypięcia się, a muszla szczelnie obejmowała tyłek. Była też elastyczna rura z wymiennymi końcówkami. W kabinie wisiały tabliczki z instrukcjami w kilku ziemskich językach i nie było to tak skomplikowane, jak brzmi. Wszystkim zajął się komputer pokładowy. Punkt dla technologii. Kristangowie najwyraźniej używali koedukacyjnych toalet, więc wchodziliśmy na zmianę – pięć kobiet, pięciu mężczyzn. Cholera, kobiety siedzą tam w nieskończoność. Ale było ich mniej niż mężczyzn, więc nie stanowiło to aż tak wielkiego problemu. W drodze powrotnej spotkałem kapitana stojącego na korytarzu i czytającego coś na tablicie. Zasalutowałem mu i zatrzymałem się, żeby z nim porozmawiać.

– Przepraszam, sir, jak się tu ładuje tablet?

– W każdym przedziale znajdują się płytki magnetyczne. Wystarczy położyć na nich tablet i się naładuje. Automatycznie wykrywają, ile energii potrzebuje dane urządzenie, więc go nie przepalą. Urządzenia Thuraków są sprytnie.

– Kim są Thuranie, sir?

Kapitan pokręcił głową.

– Thuranie to bardzo zaawansowana rasa, dowodzą koalicją, do której należą Kristangowie. Słyszałem, że wyglądają trochę jak kosmici ze starych filmów: niscy i chudzi, z wielkimi łysymi głowami.

Teraz byłem zdezorientowany.

– Kristangowie tu nie rządzą?

– Jeśli chodzi o nas, ludzi, to tak. Wszystko związane z Ziemią podlega pod Kristangów. Thuranie to patroni Kristangów, jeśli można to tak nazwać. W każdym razie trzeba tylko wiedzieć, że podróż między gwiazdami na okręcie Kristangów to powolny proces, więc przyczepiają się do większych jednostek Thuraków na dłuższe skoki. I zanim ktokolwiek spyta, to nie, nie widziałem nigdy Thuranina, zostajemy na pokładzie okrętów Kristangów.

– To brzmi skomplikowanie, sir.

Skinął głową ze współczuciem.

– Pomyślcie o tym w ten sposób: Thuranie to gracze z pierwszej ligi, a Kristangowie to mocny lokalny klub sportowy. A my jesteśmy półprofesjonalną drużyną, która chce awansować do rozgrywek ligowych. Ale najpierw musimy dowieść swojej wartości. Wracaj do

przedziału, żołnierzu. Niedługo ruszamy z orbity. Odprawa będzie później.

*

Po godzinie łagodnego przyspieszenia i dziesięciu minutach tego, co, jak zgadywałem, było przygotowaniem, nasz transportowiec w końcu skoczył. Nic nie widziałem, przypięty do łóżka. Czułem się, jakby przez ułamek sekundy cała moja skóra była naelektryzowana, po czym wróciliśmy do stanu nieważkości. Pilnowałem zegarka i czas między pierwszym a drugim skokiem wyniósł osiem godzin i dwadzieścia jeden minut. Później dowiedziałem się, że okręty Kristangów zasilane są przez reaktory fuzyjne, a silniki skokowe potrzebują około ośmiu godzin, by zgromadzić dość mocy. To opóźnienie między skokami potrafi być sporym problemem dla atakującej floty: nacierające okręty, które właśnie skoczyły na pole bitwy, zwykle nie mogą od razu uciekać w razie kłopotów, podczas gdy broniąca się jednostka z naładowanymi silnikami może natychmiast przenieść się w inne miejsce w razie poważnego zagrożenia. Jednak w prawdziwej bitwie przerwa między skokami nie jest aż tak istotną kwestią. Okręty zawsze zachowują rezerwę energii, wystarczającą na krótkie skoki awaryjne. Nie da się skakać w nadprzestrzeni w pobliżu dużych pól grawitacyjnych, takich jak planety. Pole skoku może się zniekształcić i rozerwać okręt na strzępy. Atakujące siły muszą więc wyjść z nadprzestrzeni z dala od planety i podróżować przez normalną przestrzeń, by dolecieć na orbitę. Gdy doleczą dość blisko planety, by użyć broni, znajdują się na tyle głęboko w polu grawitacyjnym, że nawet okręty z w pełni naładowanymi silnikami nie mogą bezpiecznie skakać. Broniące się jednostki, które nie wiedzą, gdzie napastnik może wyjść z nadprzestrzeni, zwykle trzymają się blisko planet, a następnie obierają kurs przechwytyjący. Jeśli to brzmi jak gra z masą zasad do zapamiętania, to tak właśnie jest. Na szczęście dla nas, ludzi, nie musimy o tym myśleć. Nie mamy okrętów, a Kristangowie żadnych nam nie dają. Jesteśmy piechotą, walczymy na ziemi. Kristangowie nas transportują, a my zajmujemy się walką. Tak przynajmniej wszyscy wtedy myśleliśmy.

Między skokami okręt był pod przyspieszeniem przez jakieś dwie godziny i mieliśmy nieco czasu na ruch. Wszyscy eksperymentowali z poruszaniem się w nieważkości. Po paru minutach stwierdziłem, że powinni dać nam hełmy. Sierżant Raynor przyszedł nakrzyczeć na nas za głośność, ale cóż, doświadczenie to najlepsza nauka.

Jedną z popisujących się osób był Jeff Murdock. Przybył do naszego plutonu w Nigerii, w połowie mojej tamtejszej misji. Nie znałem go zbyt dobrze, ale czuł się w nieważkości jak ryba w wodzie. Robił fikołki, od

których byłoby mi niedobrze, odpychał się od ścian i leciał gdzie chciał, pływając w powietrzu. Zwisał z łóżka głową w dół, trzymając się w miejscu nogami.

– Ale ekstra! Nie mogę się doczekać biotechnologii Kristangów. Będę superżołnierzem!

Pozostali nie byli tak pełni entuzjazmu, patrząc, jak facet lata wokół niczym wielka wiewiórka.

– Murdock, nie potrzebujesz zaawansowanej technologii kosmitów, żeby być żołnierzem. Potrzebujesz cholernego cudu – śmiał się Garcia.

– Ta, stary, potrzeba ci mózgu, lepiej pogadaj o tym z Czarnoksiężnikiem z Krainy Oz – dodał Thomson.

– Hej, pierdolcie się! – odwarknął Murdock. Przeleciał przez pomieszczenie i z gracją wylądował na przeciwległej ścianie. – Zobaczycie jeszcze.

*

Zaprowadzono nas do tamtejszego odpowiednika mesy czy jak ją tam zwać na okręcie kosmitów. Doświadczenia z nieważkością w naszym przedziale pomogły, kiedy musieliśmy przelecieć przez korytarze okrętu. Mesa mieściła około setki ludzi, miała stoły i krzesła przytwierdzone na stałe do podłogi, zaopatrzone w pasy bezpieczeństwa. Na obiad były gotowe racje żywnościowe: ludzie nie mogli jeść pokarmu Kristangów, a Kristangowie nie chcieli, żebyśmy plątali się w nieważkości po ich kuchni. Gotowe zestawy przypominały mi o biwakach w dzieciństwie i nie były takie złe, ale dość się już ich najadłem w Nigerii, więc spożywałem posiłek z ponurą miną, wymieniając się zawartością z pozostałymi.

Placek Kukurydziany był wyjątkowo głodny. Szybko pożarł swoją rację i wyżebrał ode mnie paczkę krakersów. W połowie przerwy na posiłek do pomieszczenia wleciał major, zręcznie dotarł do przeciwległej ściany i przypiął do niej stopy. W jego wykonaniu wyglądało to wszystko na bardzo łatwe.

– Wszystkim smakuje obiad astronautów? – Rozległy się śmiechy. – Rozumiem, że krążą różne głupie plotki, więc zaczniemy od początku. Po pierwsze, nie będziemy lecieć w nieważkości przez całą drogę. Okręt Kristangów zadokuje przy lotniskowcu gwiazdnym Thurarów na resztę drogi. Platformy lotniskowca mają sztuczną grawitację, więc po zadokowaniu będziemy dysponować ciężeniem wynoszącym osiemdziesiąt pięć procent, standardowym dla Thurarów. Po drugie, ta podróż nie zajmie czterech lat i nie będziecie zamrożeni. Więc będziecie musieli słuchać chrapania kolegów. – Znow wywołało to śmiech. – Lotniskowiec Thurarów skoczy do sztucznego tunelu

czasoprzestrzennego i przeleci na drugą stronę, mieszczącą się setki lat świetlnych stąd. Lotniskowiec podróżuje między tunelami i większość drogi pokonuje przez nie. Ziemię i cel dzieli siedemnaście dni. Naszym pierwszym celem jest planeta, którą nazywamy Obozem Alfa. To baza szkoleniowa, w której otrzymacie nową broń i inny sprzęt, tam też poznacie zasady walki. Kristangom zależy, żebyśmy ściśle trzymali się reguł, więc lepiej uważajcie. Nie będziemy sprawiać kłopotów naszym nowym sojusznikom. Co do Obozu Alfa, byłem tam już i powiem, że to doskonałe miejsce, by skupić się na misji szkoleniowej.

Zgromadzony tłum jęknął znacząco. Wszyscy rozumieliśmy, że w żargonie armii oznacza to straszną dziurę, gdzie nie ma do roboty nic innego. Spojrzałem na Jessego i obaj wzruszyliśmy ramionami. Bywało gorzej, a nie lecieliśmy przecież w kosmos na rejs turystyczny. Major nie poprosił o pytania i opuścił mesę, gdy tylko skończył mówić. Czułem się dużo lepiej, wiedząc, że nie utknąłem na całe lata w nieważkości.

*

Po czwartym skoku kazano nam pozostać na kojach, jako że transportowiec miał zacząć manewr dokowania do okrętu Thuranów. Usłyszeliśmy metaliczny brzęk i poczuliśmy wibracje. Powoli wracała grawitacja, ku zadowoleniu wszystkich. Zwłaszcza że ogłoszono, iż na kolację dostaniemy ciepły posiłek, jako że kuchnia miała już ciążenie. Był to gulasz wołowy, w którym więcej było ziemniaków i warzyw niż wołowiny, ale oznaczało to, że nie będziemy musieli żywić się tylko żelaznymi racjami przez kolejne trzy tygodnie. A krakersy były ciepłe i świeże. Dobre jedzenie jest kluczowe dla morale.

Lotniskowiec Thuranów, czy też statek matka, jak go tam zwać, odbył następnie serię skoków, których rachubę w końcu zgubiłem, bo część z nich miała miejsce, gdy spałem. Niektórzy z pozostałych próbowali po amatorsku zliczać manewry okrętu: skoki, czas między skokami, długość i poziom przyspieszenia. Osobiście zgubiłem się po drugim kroku i uznałem, że mamy od tego odpowiednich ludzi. Głośniki obudziły nas pewnej nocy około trzeciej, zapowiadając, że zbliżamy się do tunelu czasoprzestrzennego. Żałowałem, że nie ostrzegli nas wcześniej, bo pęcherz wysyłał mi już wiadome sygnały. Myśl o tym, że wlecimy do tunelu w czasoprzestrzeni, zostaniemy rozłożeni na atomy i złożeni ponownie, czy co tam miało się dziać, nieco mnie przerażała. Leżałem sztywno na łóżku, czekając na nieznane, gdy usłyszałem komunikat:

– Przejście przez tunel zakończone. Normalne manewry kosmiczne wznowione.

Cholera. Nie dość, że niepotrzebnie się martwiłem, to nawet nie zauważyłem, kiedy to się stało. Potem były kolejne skoki, więcej

czekania na skoki i mnóstwo nudy. Ćwiczyliśmy na zmiany z użyciem sprzętu przywiezionego z Ziemi. Lubiłem biegać, ale nie na ruchomych bieżniach, bo to straszna nuda. Nawet współzawodnictwo z facetem na bieżni obok nie pomagało po pierwszych paru dniach. Graliśmy w gry na tabletach, ćwiczyliśmy, czytaliśmy książki i oglądaliśmy filmy. Zapewne podobnie czuli się żołnierze w czasie drugiej wojny światowej, płynący przez Atlantyk czy Pacyfik w powolnych okrętach transportowych. Tylko że oni mogli wyjść na pokład, zaczerpnąć świeżego powietrza i zobaczyć słońce czy horyzont.

Mieliśmy niezłe żarcie i dość przestrzeni na okręcie, ale nie mieliśmy żadnych widoków za oknem. Ani nawet okien. Nie mieliśmy też kontaktu z Ziemią. W Nigerii mogłem korzystać z Internetu, wysyłać e-maile i prowadzić rozmowy wideo z rodziną czy kumplami, przynajmniej czasami. Tutaj nie mieliśmy żadnego kontaktu z domem. Jak się okazało, nawet technologicznie zaawansowani Thuranie nie dysponowali komunikacją nadświetlną, poza wyposażonymi w napędy skokowe dronami przenoszącymi informacje. Były trochę jak kosmiczne gołębie pocztowe.

Po jakimś czasie czułem się jak turysta trzeciej klasy na kiepskim rejsie turystycznym, a nie żołnierz. Po paru kolejnych skokach, których już nawet nie liczyłem, dostaliśmy się na obrzeża jakiegoś układu gwiazdowego. Okręt Kristangów znów znalazł się w stanie nieważkości, odłączył się od lotniskowca i cztery razy skoczył. W końcu wlecieliśmy na orbitę wokół celu podróży. Podsumowując, moja pierwsza wyprawa międzygwiazdowa oznaczała głównie przesiadywanie w przedziale bez okien. Nie polecam nikomu takich wakacji.

Z orbity byliśmy już w stanie zobaczyć planetę, nie wyglądała zbyt zachęcająco. Ziemia z orbity jest niebieska, zielona, brązowa tam, gdzie są pustynie i stepy, i biała na biegunach. Ten glob był cały brązowoczerwony. Nawet miejsca z wodą nie miały koloru ładnego błękitu. Jedyne bieguny, który widziałem, miał ledwie brudnobiaławą warstwę wyglądającą jak resztki śniegu przy drodze w kwietniu.

Kolejne grupy udawały się do mesy na odprawę. Porucznik Gonzalez stanął na krześle i poczekał, aż wszyscy usiądą.

– Witajcie w Obozie Alfa. Kristangowie nie chcieli podać nam swojej nazwy dla tej planety, więc tak ją określamy.

Ktoś z przodu zapytał:

– Ale wiemy, gdzie jesteśmy, panie poruczniku? Znaczy się ktoś to ustalił?

– Tak – uśmiechnął się Gonzalez. – Nasi ludzie wysłani tu jako pierwsi zrobili zdjęcia nocnego nieba i astronomowie na Ziemi wyliczyli, skąd musiano je zrobić. Kristangowie chyba celowo bawili się z nami, trzymając w tajemnicy coś, co wiedzieli, że w końcu ustalimy. Nadal

znajdujemy się w Ramieniu Oriona, około tysiąca dwustu dwudziestu trzech lat świetlnych od Ziemi. Na tyle daleko, że nie widać stąd bez teleskopu naszego Słońca. Zresztą ponoć jest niezbyt wyróżniającą się gwiazdą.

Milczał przez chwilę, zanim podjął:

– Czy wszyscy wyjrżeli przez okno i zobaczyli, gdzie odbędziemy szkolenie? Obóz Alfa to nie miejsce, do którego wyjechalibyście na wakacje. To miejsce, gdzie szkoli się żołnierzy i robi się z nich armię, której będą się bali Ruharowie. Kristangowie wyznaczyli tę planetę na bazę szkoleniową dla ludzi z trzech powodów. Po pierwsze, nikt inny jej nie chciał. Jest sucha, słyszałem, że w dzień temperatura sięga czterdziestu pięciu stopni, a w nocy spada do minus trzydziestu. A to i tak w tej przyjaznej części, gdzie mieści się baza. Światło słoneczne jest bladobłękitne i bez odpowiedniej ochrony spali wam skórę. Po drugie, przez to, że to tak paskudne miejsce, jest idealne na szkolenie. Nie każda planeta będzie jak Ziemia, tu trzeba nauczyć się używać sprzętu dostarczanego przez Kristangów i przetrwać w trudnych warunkach. Jeśli nie potraficie być gotowi do walki tutaj, to was nie potrzebujemy. Po trzecie, Kristangowie wybrali to miejsce, bo uważają, że nie wiedzą o nim Ruharowie. Jeszcze.

– Sir – odezwał się ktoś – czemu ta planeta jest cała brązowa i wygląda jak spalona?

– Tutejsze słońce to gwiazda zmienna. Co jakiś czas ma czkawkę i zwiększa intensywność. Wtedy przypala cały układ, po czym się uspokaja.

Czkawka? Niezły eufemizm. Niepewnie spoglądaliśmy po sobie, rozległy się szept.

– Nie musicie się tym martwić. Kristangowie znają cykl gwiazdy i zapewnają, że nie rozpali się przez kolejne dziesięć do pięćdziesięciu tysięcy lat – dodał pospiesznie Gonzalez. To brzmiało, jakby Kristangowie nie mieli pojęcia, kiedy gwiazda wybuchnie. – W broszurach macie wszelkie potrzebne informacje o planecie, więc wspomnę tylko o najważniejszych kwestiach. Istnieje tam życie. Największe zwierzę to owad o długości około ośmiu centymetrów. Ma ostre szczypce i jest jadowity, ale jad nie jest dla ludzi śmiertelny i powoduje najwyżej lekką wysypkę. Większość w ogóle nie wykazuje reakcji alergicznej. Niebezpieczny jest tam tylko klimat, który jest na zmianę bardzo gorący i bardzo zimny, oraz nasza własna głupota. Zachowujcie zdrowy rozsądek i pamiętajcie, że przylecieliście na szkolenie. Przeczytajcie zasady, napisano je tak, żebyście pozostali żywi i gotowi do walki. Rozdzielimy was na jednostki, gdy wylądujemy. Na razie trzymajcie się instrukcji.

3. OBÓZ ALFA

Do Obozu Alfa nie było windy kosmicznej, więc poleciliśmy na powierzchnię promem Kristangów. Tylko, jak się dowiedziałem, formalnie rzecz biorąc, nie był to prom ani lądownik czy wahadłowiec, jak nazywali go inni. Armia nazywała go pojazdem orbita–ziemia albo POZ-em. W praktyce nazywaliśmy je albo lądownikami, albo pozerami. Pozery potrafiły same latać na orbitę bez modułów raketowych, a niektóre z większych modeli latały nawet między planetami, jeśli ktoś miał naprawdę sporo czasu i dogadywał się dobrze z towarzyszami podróży, nawet w ścisku. Kristangowie i inne gatunki dysponowali pojazdami, które czasami nazywali lądownikami desantowymi, ale używano ich do większych inwazji, do przewożenia znacznych sił i sprzętu na powierzchnię, lecz tylko w jedną stronę. Technicznie rzecz biorąc, były czymś w rodzaju szybowców. Potrafiły przetrwać wejście w atmosferę, nieco manewrować przed lądowaniem i wylądować pionowo, ale to wszystko. Były jednorazowego użytku, podczas gdy pozery potrafiły podróżować wielokrotnie w obie strony. To rozróżnienie nie miało dla mnie wielkiego znaczenia, jako że i tak byłem tylko pasażerem, ale dobrze wiedzieć, jak prowadzili działania nasi starsi partnerzy. Czułem się dzięki temu jak członek drużyny, a nie tylko trybik w maszynie.

Pojazd, do którego się wcisnąłem, mieścił dwieście dwadzieścia osób ze sprzętem i był wielkości boeinga 747. Większość z tego zajmowały silniki i zbiorniki paliwa. Podróż w dół była pełna turbulencji. Gdy wlecieliśmy w atmosferę, czułem się, jakbym miał na piersi worek betonu. A potem zrobiło się gorzej. Cieszyłem się, gdy w końcu wyrównaliśmy lot i przez chwilę lecieliśmy jak samolot. Wszyscy wydali z siebie radosny okrzyk. Samo lądowanie przebiegło spokojnie. Zdałem sobie sprawę, że jesteśmy na miejscu, dopiero gdy ucichł silnik.

Lądowałem na obcej planecie. Kto by pomyślał...

– Poruczniku – odezwał się ktoś – czy wie pan, kto był pierwszym człowiekiem, który postawił nogę na obcej planecie?

– Pewnie generał Meers – stwierdził ktoś za mną. Meers dowodził SEONZ.

– Nie – pokręcił głową Gonzalez. – To była kobieta, kapitan brytyjskiej armii, z międzynarodowego zespołu rozpoznawczego. Zgodnie z planem pierwszy miał iść chiński pułkownik, ale Brytyjka siedziała przy drzwiach i gdy wylądowali, pilot Kristangów kazał im szybko wysiadać. Kristangowie nie uważali pierwszego lądowania ludzi na innej planecie za coś istotnego, chcieli się ich szybko pozbyć z pokładu, żeby polecieć po kolejną grupę.

Cholera. Miałem nadzieję, że pierwszy był Amerykanin. No cóż, nadal mieliśmy Neila Armstronga, który poleciał na Księżyc dzięki starej dobrej amerykańskiej technice. Brytyjka była tylko pasażerką w kosmicznym autobusie.

Mój własny pierwszy krok sprawił, że nieco najadłem się wstydu. Przyzwyczailem się do grawitacji lotniskowca gwiazdowego Thuranów, a potem znowu do nieważkości, zaś ciężenie w Obozie Alfa wynosiło sto siedem procent ziemskiego. Nieprzyzwyczajony do tego, że nagle ważyć więcej, chwiejnie zszedłem po rampie. Porucznik Gonzalez nie żartował sobie z upału. Gdy opuściliśmy lądownik, załała mnie nagła fala gorąca. I wilgoci. Żadnego tam mniej odczuwalnego upału, bo jest sucho. Było też tak jasno, że musiałem osłaniać i mrużyć oczy, aby przejść sto metrów do miejsca, gdzie zaparkowano wozy transportowe. Wszystko śmierdziało spalenizną, jak po pożarze. W atmosferze rzekomo było tylko nieco mniej tlenu niż na Ziemi, ale i tak czułem się, jakby oddychanie na niewiele się zdawało. Może wylądowaliśmy na dużej wysokości? Niemal dotarłem do transportera i stałem w kolejce do wejścia na pokład, ale kobieta za mną zachwiała się i zaczęła upadać. Rzuciłem się na pomoc, chociaż w głowie kręciło mi się od gorąca, jakbym wstał zbyt gwałtownie na plaży. Protestowała i próbowała mnie odepchnąć, ale wyraźnie nogi się pod nią uginały.

– Słuchaj... – Sprawdziłem nazwisko na naszywce nad lewą kieszenią. – Słuchaj, Miller, w armii siła – powtórzyłem slogan rekrutacyjny. – Nie zostawiamy swoich, nie w walce i na pewno nie w tym upale. Łapiesz?

Gniewnie skinęła głową i oparła się o mnie, dysząc ciężko, aż w końcu była w stanie ustać o własnych siłach. Widać było, że fakt, iż chociaż przez chwilę potrzebowała pomocy, zranił jej dumę.

– Dzięki... – spojrzała na moją naszywkę – Bishop. Cholera, gorąco tu. Jestem z Seattle.

– Ha! Ja północne Maine. Nie masz pojęcia, co to mróz. – Pozwoliła mi trzymać się przez chwilę za ramiona, aż nogi przestały się pod nią trząść. Trzy metry dalej kolana jakiegoś faceta też nagle się ugięły i wylądował twarzą na ziemi. Miller uspokoiła się i wdrapała sztywno na tył samochodu. Gdy paka była pełna, pojechaliśmy w stronę obozowiska, które ustawiano na skarpie. Rozejrzałem się, próbując chłonąć pierwsze chwile na obcym świecie. Nie było jednak czym się nacieszyć. Okolica była sucha, pylista, a powietrze nadal śmierdziało spalenizną, więc zapach nie pochodził z dysz lądownika. Wśród skał widziałem kępki roślinności wyglądające jak rodzaj mięsistych porostów. Zapewne przechowywały wodę, jak kaktusy. Spoglądaliśmy po sobie z krzywym uśmiechem. Obóz Alfa był naszą pierwszą obcą planetą. I okazał się do dupy.

Wolny czas miałem, tylko siedząc w furgonetce, bo gdy dojechaliśmy do obozu, zapędzono nas do roboty przy rozbijaniu namiotów. Upał nie wydawał się taki zły, jak się przyzwyczailiśmy, ale dodatkowa grawitacja mocno przeszkadzała, a zapach spalenizny wciąż wypełniał mi nos. Sierżant sztabowy przydzielił mnie, Placka i pięciu innych do rozkładania sporej konstrukcji medycznej, zbudowanej z prefabrykowanych, izolowanych paneli ściennych. Było to trudne zadanie.

– Zacznijmy od tej bocznej ściany – zaproponowałem, uznawszy, że im szybciej skończymy, tym szybciej dostaniemy żarcie.

Wtedy usłyszeliśmy stłumiony dźwięk brzmący jak bardzo długi, wysoki pierd, po czym zaczęło się zawodzenie.

– Czy to dudy? Co, do cholery? – odezwał się Jesse.

– Tak, po drugiej stronie stacjonuje brytyjski batalion. – Wskazałem kciukiem za plecy, gdzie widziałem Brytoli rozstawiających obozowisko.

– I grają na dudach? Serio? Myślałem, że to irlandzki instrument.

Garibaldi roześmiał się.

– Szkocki, nie irlandzki, przygłupie. Gdzieś ty się chował?

Valdez wtrącił:

– Hej, znacie ten kawał o Szkocie? Siedzi w barze, topi smutki w whisky.

– Wszyscy mocno trzymają? – spytałem. – Podnoście nogami, nie plecami.

Placek Kukurydziany parsknął.

– Cholera, Bish, gadasz jak moja matka. Spokojnie.

– No więc mówi do barmana... – Valdez stękał z wysiłku. – Mówi: zbudujesz trzydzieści domów, ale gdy idziesz ulicą, czy ludzie mówią: „O, idzie MacDougal, budowniczy domów”? Otóż nie.

Unieśliśmy ścianę i kazałem wszystkim stanąć pod nią, żeby wziąć ją na barki. Większa od ziemskiej grawitacja dawała się we znaki.

– Potem mówi: uratujesz pięcioro dzieci z płonącego budynku, ale gdy idziesz ulicą, czy ludzie mówią: „O, idzie MacDougal, ratownik”? Otóż nie.

– Valdez, zamknij się na chwilę. Dobra, podnosić! – powiedziałem, starając się, żeby w moim głosie rozbrzmiewał autorytet.

Unieśliśmy ściankę na barki i wygrywaliśmy bitwę z grawitacją, gdy Valdez zrobił wdech.

– A wtedy MacDougal mówi: „Ale przeleć no tylko jedną owcę...”.

Nie wytrzymałiśmy. Ścianka spadła na ziemię, a ludzie tarzali się ze śmiechu. Próbowałem warczeć rozkazy, ale śmiałem się tak bardzo, że z nosa poleciały mi smarki, i gdy ludzie to zobaczyli, znowu wybuchnęli śmiechem.

Porucznik Gonzalez spojrział na nas z ukosa i jakiś sierżant zaczął iść

w naszym kierunku. Cóż, wyglądało na to, że oficjalnie nie nadawałem się do dowodzenia. Armia popełniła błąd, czyniąc mnie odpowiedzialnym choćby za rozkładanie namiotów. Kazałem swoim ludziom wziąć się w garść i próbowaliśmy znowu unieść ściankę, ale za każdym razem, gdy podnosiliśmy ją choćby o kilkanaście centymetrów, Valdez zaczynał śmiać się z własnego dowcipu i znowu rozśmieszał pozostałych. W końcu wysłałem go po wodę, zawołałem kilku kolejnych ludzi i udało nam się postawić ścianę tam, gdzie trzeba.

– Jedną owcę – roześmiał się Placek Kukurydziany i sam też nie mogłem się powstrzymać.

*

Gdy rozłożyliśmy już konstrukcję, Jesse i ja w końcu spotkaliśmy dwie kolejne osoby z naszego starego oddziału – sierżanta Grega Kocha i szeregowego Dave’a Czajkę. Nazywaliśmy Kocha sierżantem. Miał ksywę, ale trzeba było być przynajmniej równym mu stopniem, żeby jej używać, o ile nie chciało się podpaść dwumetrowemu, ogolonemu na łyso czarnemu facetowi z Georgii. Nie polecam. Dave’a nazywaliśmy Ski, bo był z polskiego miasteczka z okolic Milwaukee. I chociaż jego nazwisko nie kończyło się na „-ski”, to uznaliśmy, że powinno. Sam był sobie winien, że nie dorobił się porządnej ksywki przed dołączeniem do naszego oddziału. Cholera, dobrze było znowu widzieć starą ekipę! Zaufałbym całej tej trójce, nawet gdyby zależało od tego moje życie. I tak w końcu było.

W Nigerii bywało naprawdę nieciekawie, a wyszliśmy z tego jedynie z bliznami i kiepskimi wspomnieniami. Zanim wyjechałem z domu, z rzadka wymienialiśmy się mailami, ale od tamtego czasu nie miałem z nimi kontaktu. Placek i ja nie wiedzieliśmy, czy któryś z nich opuścił Ziemię. Okazało się, że lecieli innym okrętem Kristangów i dotarli do Obozu Alfa parę godzin przed nami. Koch przydzielił nas do jednego namiotu, który musieliśmy rozłożyć, i dowiedział się, gdzie można dostać żarcie. Mieliśmy wszystko, czego nam trzeba.

Sierżant Koch poszedł wypełniać jakieś ważne obowiązki sierżanta, a jadłodajnia miała zacząć wydawać kolację dopiero za trzy godziny, więc Jesse wyciągnął przekąski z plecaka.

– Co tam masz? – zapytał Ski.

Placek mrugnął.

– Hm, zobaczmy! Mam tu prawdziwą ucztę z batonów!

– Uczę, naprawdę? – spytałem szeptycznie.

– O tak! Prawdziwą wyżerkę, jak Boga kocham! – wymawiał to zabawnie, z przesadzonym południowym akcentem.

– Przestań pieprzyć, bo robię się głodny – zaprotestował Ski. – Jakie

masz tam smaki?

– No cóż, karton cynamonowy, żwir z rodzynkami i mój ulubiony: oryginalne trociny.

Cholera. Dostałem żwir z rodzynkami. Rodzynki były twardsze i trudniejsze do przeżucia niż żwir.

*

Kolejnego ranka zaprowadzono nas po śniadaniu na strzelnicę. Było zimno, termometr na zewnątrz namiotu pokazywał blisko zera. Wszyscy byliśmy podekscytowani. Spodziewaliśmy się dostać wreszcie jakieś niesamowite zabawki Kristangów. I może ubranie, które automatycznie ogrzewało się i chłodziło. Czułem się nagi bez karabinu. Przed nami stał starszy sierżant marines z fryzurą na jeża tak ostro przyciętą, że wyglądała, jakby można się było na niej skaleczyć. Miał na sobie mundurowe spodnie i buty, ale na górze nosił czerwoną bluzę.

– Jestem starszy sierżant Cragen z Korpusu Marines Stanów Zjednoczonych. – Cragen poczekał, aż ucichną okrzyki „oo-rah” i „semper fi”. – Cieszę się, że mamy wśród nas kilku porządnych strzelców. Ale skoro reszta z was jest z armii, postaram się mówić powoli, żebyście wszystko zrozumieli. – Pozostali marines roześmiali się. – Słuchajcie, ludzie!

Na stole przed Cragenem stało szare pudło. Dotknął przycisku na jednym z boków i pudło cicho się otworzyło. Wszyscy wyciągali szyje, w końcu mieliśmy wreszcie zobaczyć superzaawansowaną broń, z której będziemy zabijać chomiki. Zrozumiałe więc było, że rozległy się jęki rozczarowania, gdy sierżant Cragen wyciągnął z pudła coś, co wyglądało jak standardowy karabin M4.

– O, ja pierdolę.

– Jaja sobie robicie?

– Co za gównno.

– M-kurwa-cztery?

– Whiskey Tango Foxtrot?! – co oznaczało oczywiście „what the fuck?”.

– Mamy przejebane – szepnął Ski do mnie i Placka. Jesse po prostu splunął na spaloną ziemię.

To były co łagodniejsze z komentarzy. Cragen poczekał, aż głosy oburzenia nieco ucichną, zamiast zbesztać nas za brak dyscypliny.

– Powitajcie to, co my, ludzie, nazywamy M4B1. Kristangowie nie ufają nam na tyle, żeby dać nam coś mocniejszego, ale na razie nic takiego nie potrzebujemy do najbliższych misji. M4 Bravo strzela amunicją podobną do standardowych kul pięć pięćdziesiąt sześć. Różnica jest taka... – Podniósł pocisk ze stołu i wskazał na jego czubek. – To jest ładunek wybuchowy. Kristangowie zapewniają, że ta amunicja spenetruje

pancerze żołnierzy Ruharów, jeśli wybieriecie opcję wybuchową, bo to ładunek kumulacyjny, taki jakich używają nasze czołgi. Można też dezaktywować ładunek, co zrobicie zależnie od zasad danej misji. Tryb strzału wybieracie tym. – Wskazał na przycisk z tyłu kolby, w miejscu wygodnym zarówno dla praworęcznych, jak i leworęcznych. – Przesuwacie w górę tę pokrywę, żeby odsłonić przycisk. To po to, żebyście nie aktywowali opcji wybuchowej niechcący. Po wystrzeleniu dziewięciu pocisków, albo pojedynczych, albo w seriach po trzy, trzeba znów go wcisnąć, żeby aktywować tryb wybuchowy.

Cragen dokładnie omówił działanie M4 Bravo, ale większości z nas ekscytacja minęła. Gdzie pociski samonaprowadzające, lasery, modyfikacje genetyczne, które miały zrobić z nas superżołnierzy? Gdzie bioniczne oczy, mechy, które pozwalały skakać na dziesięć metrów i biec sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę? Gdzie te wszystkie fajne zabawki z filmów? Co za gówno! Ruharowie mogli nawalać w nas z orbity z maserów, dział elektromagnetycznych i inteligentnych rakiet, a my mieliśmy karabiny z epoki wojny w Wietnamie, tyle że z dodatkowymi fajerwerkami?

Straszne gówno.

*

Kilka godzin później na strzelnicy dostałem karabin do rąk. Trzymało się go dokładnie tak samo jak mojego starego dobrego M4, którego zostawiłem w Fort Drum, kiedy pojechałem do domu na przepustkę. Nigdy nie wróciłem do Drum, więc mógł tam nadal być. Kristangowie dostarczyli nam zestawy do przerabiania zwykłych M4 i amunicję z wybuchowymi końcówkami. Dowiedzieliśmy się później, że spora część naszej amunicji pochodziła z Ziemi i była zwyczajna, bo Kristangowie dysponowali ograniczonymi zasobami swojej. Tylko połowę standardowego zapasu amunicji, którą dostał każdy oddział, stanowiły nowe pociski. Nasi sojusznicy uznali, że nie potrzebujemy aż tyle specjalnych kulek na misjach, na które nas wysyłają. Czułem się nieco urażony. Wszelkie naprawdę poważne bitwy rozgrywali dorośli, a my siedzieliśmy wciąż przy stoliku dla dzieci.

Dostałem M4B1 z dwoma magazynkami wybuchowej amunicji. Na strzelnicy ćwiczyłem wciskanie i odciskanie przycisku wybierającego tryb strzału. Tryb wybuchowy robił wrażenie i wszyscy krzyczeli radośnie, gdy widzieli, jak rozwała metalowe cele. Nasze zwykłe kule odbijały się od nich, zostawiając tylko niewielkie ślady. Jedną z zalet amunicji Kristangów było to, że każdy nabój był dokładnie taki sam, nawet na mikroskopowym poziomie. Nawet bardziej niż nasza amunicja snajperska. Strzelało się nimi gładko, bez ryzyka uszkodzenia lufy.

Wciąż musieliśmy jednak umieć rozmontować i zmontować broń. Z zawiązanymi oczami. I czyścić ją. Wyjąłem jedną z kulek Kristangów z magazynka i przyjrzałem jej się uważnie. Poza tym, że była innego koloru i idealnie gładka, wyglądała jak standardowa amunicja NATO.

Czekała nas bitwa bez żadnego supersprzętu, na jaki mieliśmy nadzieję, musiano nas podwozić na każdą planetę i nie powierzono nam żadnych ważnych zadań. Jakby Kristangowie tylko pobłażali naszej chęci udziału w walce. Taka była przyszłość.

Zupełnie inna, niż się spodziewałem.

*

Pierwszego popołudnia, kiedy przebywaliśmy na strzelnicy, po niebie przeleciała grupa pojazdów powietrznych, na tyle nisko i blisko nas, że dobrze im się przyjrzelśmy. Krążyły godzinami, ćwicząc lądowania, starty i loty w szyku. Mówię powietrznych, nie kosmicznych, bo instruktorzy na strzelnicy powiedzieli nam, że przeznaczone są tylko do lotów atmosferycznych. Zdziwiło mnie, że były to pojazdy Ruharów, nie Kristangów. Gdziekolwiek mieliśmy się teraz udać, Kristangowie chcieli, aby nasi piloci byli w stanie korzystać ze sprzętu zabranego chomikom, zamiast transportować własny pośród gwiazd. Udostępniono nam dwa modele, które znaleźliśmy pod nazwami nadanymi im wśród ludzi: myszołów, który był transportowcem jak V-22 Osprey, i rodzaj śmigłowca szturmowego, który nazywaliśmy kurczakiem. Tak samo jak Ruharów nazywaliśmy chomikami, ich pojazdom też nadaliśmy niezbyt dumnie brzmiące imiona. Oba potrafiły startować pionowo, ale na końcach krótkich skrzydeł miały silniki odrzutowe, nie śmigła. Musieliśmy przyznać, że nieźle wyglądają. I byliśmy dumni, że wkrótce będą nimi latać ludzie. I to w walce. Mieliśmy nadzieję, że już niedługo.

*

Następnego dnia dostaliśmy kolejne lekko ulepszone zabawki, na które pozwolili nam Kristangowie. Najbardziej użyteczną z nich było osobiste radio taktyczne skaczące po częstotliwościach, nadające zaszyfrowane fragmenty i generujące szum tła tak, aby trudno było je namierzyć. Każdy dostał jedno, wielkości typowego ziemskiego smartfona, poza tym, że cienkie jak karta kredytowa, z ekranem dotykowym, którego nie dało się uszkodzić, chyba że za pomocą materiałów wybuchowych. W zestawie z radiem znalazły się słuchawki i mikrofony, które nosiliśmy pod hełmami.

Kamery w hełmach przekazywały obraz przez radio, więc dowódcy kompanii widzieli to, co żołnierze. Mogliśmy też odpiąć radia od pasów i

na ekranie oglądać widok z kamer pozostałych członków zespołu. I zamiast wyznaczonego radiooperatora w oddziale, który taszczył ze sobą ciężki sprzęt, każdy żołnierz mógł teraz komunikować się z każdym na całej planecie. Ekran dotykowy wyświetlał menu w dowolnym ziemskim języku, w którym tylko się do niego odezwałeś. Angielski, hiszpański, francuski, mandaryński, hindi i co tam jeszcze. Trzeba przyznać, że był to niezły gadżet. Ludzie specjalizujący się w obsłudze urządzeń komunikacyjnych stracili pracę, jako że nie wolno im było gmerać przy sprzęcie, którego i tak nie rozumieliśmy. Jak dla mnie, to było jak magia.

Armia chciała, żebyśmy nazywali te nowe radia taktyczne TakR. Jacyś żartownisie nazwali je „zFon”, bo Z było tak daleko za I w alfabecie, jak zFon za iPhone’em. Na pewno armia miała dla nich specjalny kod, jak radio taktyczne, wielofunkcyjne, produkcji Kristangów, zgodne ze standardem wojskowym, coś tam, coś tam. Mniejsza z tym. Najciekawszą funkcją takrów było to, że dało się ich używać jak translatorów, co było przydatne o tyle, że żaden z nas nie znał ani słowa po ruharsku. Mówiłem w łamanym hiszpańskim i w Nigerii poznałem nieco użytecznych fraz w językach hausa i yoruba, ale tak naprawdę nie mówiłem najlepiej nawet po angielsku. Moja mama wkurzała się, kiedy wysyłałem jej maile pełne błędów ortograficznych. W trybie tłumaczeniowym trzeba było włożyć słuchawkę do ucha i mówić wyraźnie do mikrofonu. Przy pierwszym użyciu trzeba było przeczytać kilka stron w ojczystym języku, żeby translator mógł poznać dobrze głos i akcent użytkownika. Udało mu się jakoś rozróżnić mój akcent z Maine od południowego Jessego. Całkiem imponujące. Odzywałeś się do mikrofonu, po czym twoje słowa tłumaczone były na dowolny wybrany język. Można było nawet wybrać dowolny słyszany w okolicy język i przetłumaczyć go na swój. Jakość dźwięku była lepsza, niż się spodziewałem, chociaż głos brzmiał dość mechanicznie. Zrobiło na mnie jednak spore wrażenie, że takr radził sobie niezłe ze slangiem, nawet wojskowym. Kiedy czegoś nie rozumiał, wydawał z siebie rodzaj brzęczenia.

Parę kilometrów od nas stacjonował francuski batalion i kilka z ich oddziałów kiedyś przyjechało w odwiedziny. Postanowiliśmy więc wypróbować translator w praktyce. Wyszło super. Oni mówili po żabojadzkę, a ja słyszałem ich po angielsku. Dowiedziałem się, na przykład, że francuskie tosty nazywają się we Francji *pain perdu*. Co ma pewien sens, w końcu czy Francuzi nie nazywaliby ich po prostu tostami? Chociaż w takim razie czemu my mówiliśmy o amerykańskim serze, a nie po prostu serze? Ale mniejsza z tym. W każdym razie dziwnie było mówić i słyszeć, jak takr powtarza moje słowa po francusku, zwłaszcza że rzeczywiście mówił z francuskim akcentem. Dla

obu stron było to przezabawne i mieliśmy sporo rozrywki z mówienia głupot i słuchania tłumaczenia. Pewnie nie o taki trening chodziło naszym oficerom, ale przyzwyczailiśmy się w ten sposób do nowego narzędzia.

Niektórzy mówili, że testowali translator na Chińczykach i Hindusach podczas wizyt w innych częściach bazy i wychodziło całkiem nieźle. Miałem wtedy nadzieję, że w polu będzie działać tak dobrze, jak podczas zabawy.

*

Kolejna nowa zabawka nas rozczarowała. Sierżant Cragen znów stał na platformie przed nami i tym razem wyjął z pudła grubą rurę.

– Przywitajcie się z rakieta FGM-148 Javelin Bravo.

Cholera. Javelin to ręczny przeciwpancerny pocisk kierowany, którego używałem w Nigerii. Miał pewne wady. Po pierwsze, „ręczny” było nieco naciągane. Ważył ponad dwadzieścia kilo. Cywile mogą uważać, że broń pozwalająca pojedynczemu żołnierzowi rozwalić czołg jest warta każdego kilograma, ale nie muszą dźwigać jej przez busz każdego dnia. A to dodatkowe dwadzieścia kilo oprócz karabinu, stu osiemdziesięciu naboju, radia, manierki, racji żywnościowych i wszystkiego innego, co armia uważała za niezbędne. Javeliny przydzielano więc przynajmniej dwuosobowym zespołom. W czasie bitwy jeden robił za wypatrywacza, a drugi używał broni, żeby obaj mogli jak najszybciej stamtąd spieprzać. Strzelać i spierdzielać, jak mówiliśmy.

Cragen mówił dalej:

– Wszyscy znacie wady i zalety javelinów. Nasi sojusznicy pomogli nam z najważniejszą wadą: podczerwonym systemem celowania. Instrukcja mówi, że wymaga kilku sekund, zanim się rozgrzeje, ale wszyscy wiemy, że zależy to od warunków. Kristangowie dostarczyli nam sprzęt pozwalający ulepszyć układy celowania. Teraz można z nich korzystać w pół sekundy. I pozostają aktywne przez pół godziny. Po tym czasie trzeba je wyłączyć, ale dziesięć minut później znów można z nich korzystać. Pamiętajcie, że z każdym użyciem ten czas się wydłuża, wszystko jest w instrukcji. Ulepszyliśmy też system obrazowania, więc chociaż dawniej w gorący dzień broń miała problem z rozpoznaniem celu równie ciepłego co otoczenie, to nie stanowi już problemu. Poza tym gdy namierzycie jakiś cel, nadal pozostanie namierzony, nawet jeśli się poruszy.

Rozległy się powolne, ironiczne oklaski. Cragen spojrzął na nas z ukosa.

– Wiem, że spodziewaliście się laserów i granatów atomowych. Nie mamy tego, ale mamy to, co mamy. – Uniósł javelina bravo nad głowę. –

I będziemy walczyć tak dobrze, jak tylko możemy.

Nie powiedział, że moglibyśmy walczyć lepiej z lepszą bronią. No cóż, armia zawsze mówi, że trzeba walczyć z tym, co się ma. Hooah.

*

Po nieco przygnębiającym i rozczarowującym tygodniu ćwiczeń w końcu dostaliśmy zaawansowane technologicznie zabawki. Pocisków przeciwczołgowych Javelin Bravo, podobnie jak oryginalnych javelinów, można było użyć także jako rakiet ziemia-powietrze krótkiego zasięgu przeciwko latającym nisko śmigłowcom. Kristangowie musieli uznać, że żadne z naszych rakiet MANPAD, czyli przenośnych przeciwlotniczych zestawów raketowych, nie będą tu użyteczne. Używałem stingerów podczas ćwiczeń, nie w prawdziwej walce, i były to pociski nieźle sprawiające się przeciwko helikopterom, dronom, co wolniejszym samolotom, a nawet odrzutowcom przy odrobinie szczęścia, jeśli za szybko nie odleciały poza zasięg. Ale w przypadku naddźwiękowych lądowców potrafiących odlatywać pionowo na orbitę nie miały szans. Widziałem, że nawet nasze zdobyczne kurczaki Ruharów potrafiły lecieć prosto w górę z niesamowitą prędkością. Wszyscy zgadzali się, że potrzebujemy czegoś poważnego przeciwko celom powietrznym, bo inaczej każda walka skończy się, zanim się zacznie.

Rakiety MANPAD, które dostaliśmy od Kristangów, natychmiast nazwaliśmy zingerami. Ważyły około czternastu kilo, czyli podobnie jak stingery. Różnica polegała na tym, że system celowania zingerów był wbudowany w wyrzutnię, jednorazowego użytku. Zingery były naddźwiękowe, potrafiły wzlecieć na dwadzieścia pięć kilometrów i jeśli nie trafiły w jeden cel, mogły rozejrzeć się i obrać inny same albo sterowane przez zFona. Komunikowały się też w tym celu z innymi zingerami w okolicy. Rozkładały szeroko skrzydła tak, aby lecieć przez dwadzieścia minut nawet po wyczerpaniu paliwa. Dzięki temu mogliśmy wystrzelić je z wyprzedzeniem, po czym ulotnić się z miejsca ataku.

Zinger spotkał się z prawdziwie entuzjastycznym przyjęciem i mieliśmy okazję wypróbować go na dronach. Widok rozwalanych w powietrzu dronów był satysfakcjonujący.

Potem zrobiło się jednak trudniej. Początkowo drony były głupie, potrafiły tylko nieco manewrować, by unikać rakiet, dysponowały niewielkimi możliwościami obronnymi. Następnie ćwiczyliśmy na dronach symulujących takie pojazdy Ruharów jak kurczaki, myszołowy i lądowcy desantowe, które zwaliśmy sępami. Dysponowały laserami albo promieniami cząstek, które potrafiły zdeorientować lub po prostu usmażyć zingera, nawet robiącego manewry unikowe. Zingery musiały

też radzić sobie z elektronicznymi zakłócającymi, nie tylko w podczerwieni czy mikrofalach. Jednostki powietrzne Ruharów dysponowały aktywnym maskowaniem, które sprawiało, że trudno je było zobaczyć, także w spektrum widzialnym. Nie stawały się wtedy niewidzialne, ale powietrze wokół nich falowało, rozmywając ich kształty. Wokół jednostki migąły wielokolorowe światła, sprawiając, że trudno było stwierdzić, co jest czym.

Kristangowie nauczyli nas taktyki polegającej na wystrzeleniu kilku zingerów w jeden cel jednocześnie. W praktyce podnosiliśmy wyrzutnię, rozwijaliśmy ekran z jej boku, wyznaczaliśmy cel i strzelaliśmy w mniej niż minutę. Jeden dwuosobowy zespół mógł nieść i wystrzelić cztery zingery. Jedna osoba zajmowała się wystrzeliwaniem pocisków, a druga wypatrywaniem celów. Pamiętajcie, że dwa zingery ważyły prawie trzydzieści kilo i nadal trzeba było unieść też karabin, amunicję, manierkę, zFona, pancierz i wszystko inne. Oczywiście gdy ustawiasz się do drugiego strzału, wróg już cię szuka i zaczyna ostrzał, co skraca potencjalny czas życia, a więc i skuteczność bitewną.

To ostatnie nie jest jakimś żartem, który sam wymyśliłem. Napisano to w podręczniku użytkownika, który dostaliśmy od Kristangów. Naprawdę powinni popracować nad PR-em.

W każdym razie dzięki zingerom po raz pierwszy czuliśmy się choć trochę odpowiednio wyposażeni na walkę, a nie tylko jak mięso armatnie. Mieliśmy z czego strzelać. Oczywiście nie mieliśmy jak walczyć z okrętami na orbicie, ale dało nam to nadzieję. Jeśli Kristangowie ufali nam dość, by dać swoje zabawki, to mieli dla nas w planach coś użytecznego.

*

Większość szkolenia w Obozie Alfa nie polegała na korzystaniu ze zmodyfikowanej broni. Zamiast tego mieliśmy powtórkę z podstaw dla żołnierzy takich jak ja, którzy kosili siano i pomagali cywilom od czasu ataku Ruharów. Praca w Gwardii Narodowej w Maine była żmudna i nie przygotowała mnie na walkę. Ostatnio strzelałem z karabinu w Nigerii, jeśli nie liczyć polowań. Nieco wyszedłem z wprawy. Spacerzy z ważącymi pięćdziesiąt kilo plecakami, walka wręcz i biegi z przeszkodami szybko mnie znów wdroszyły do sprawności i byłem za to wdzięczny. Wiedziałem, że Ruharowie nie obejdą się z nami łagodnie, więc lepiej było przelać morze potu i cierpieć zakwasy, niż zawieść w akcji.

Bieganie w upale wydawało się udręką, szczególnie w dodatkowej grawitacji. Przy połączeniu tych dwóch czynników, nogi trzęsły mi się z wyczerpania po kilku kilometrach. Placek Kukurydziany padł na kolana

i zrzygał się trzy razy podczas pierwszego biegu na osiem kilometrów. Po tym wszystkim sierżant Koch uznał, że będziemy wstawać dużo wcześniej, żeby biegać, zanim zrobi się tak gorąco. W Obozie Alfa temperatura gwałtownie przeskakiwała między ekstremami. Gdy gwiazda rano wstawała nad horyzontem, szybko robiło się gorąco. Po zachodzie słońca temperatura nagle spadała. Trzeciego dnia wstaliśmy nad ranem, żeby pobiegać w chłodzie przed świtem. Doba na planecie trwała nieco ponad dwadzieścia osiem godzin. Dysponowaliśmy solidnymi siedmioma godzinami snu, nawet gdy wstawaliśmy wcześniej.

Poza dziennym upałem musieliśmy martwić się tylko większą od ziemskiej grawitacją. I śmierdzącym spalenizną zwirom. I miażdżącym rozczarowaniem, że lot pośród gwiazd nie sprawił, że staliśmy się nagle superżołnierzami. Musieliśmy nimi zostać po staremu, ciężką pracą, jak oznajmił sierżant Koch. Te słowa brzmiały inspirująco aż do trzeciego kilometra, kiedy wszyscy dostaliśmy zadyszki.

Nasz oddział nie wstawał wcześniej na ćwiczenia jako jedyny. Drugiego ranka biegów znajdowaliśmy się jakieś półtora kilometra od bazy, do której wracaliśmy, gdy okrążywszy wzgórze, zobaczyliśmy szóstkę ludzi po drugiej stronie, też wracających do obozu. Przyspieszyliśmy bez słowa. I oni też. Wkrótce biegliśmy sprintem. Wysunąłem się na prowadzenie – biegałem, odkąd byłem małym dzieckiem. Mama tak mnie wychowała. Druga grupa miała dwoje szybkich biegaczy, potem jednego. Przed nami ścieżki się zbiegały. Dotarłem do skrzyżowania tuż przed nim, ale zrównał się ze mną i biegliśmy tak szybko, jak mogliśmy, podczas gdy reszta nam kibicowała.

Tylko że to nie był on, lecz ona. Wiedziałem, że powinienem zgadnąć po kucyku podskakującym na karku. Cholera, nawet ją nieco znałem, była w batalionie wsparcia naszej brygady i miała na imię Shauna czy jakoś tak, ale ostatnio widziałem ją miesiąc przed wyjazdem z Nigerii do domu. Nie wiedziałem, że jest taka szybka. Wysunęła się na prowadzenie, najpierw o ledwie trzydzieści centymetrów, potem o pół metra i nie mogłem jej przegonić, nieważne, jak bardzo się starałem. Ona też wkładała w to resztki sił, biegła nierówno i tak samo nierówno oddychała. Gdy przebiegliśmy obok dwóch głązów stanowiących nieoficjalną krawędź bazy, padłem na kolana. Żeby wstać znowu, musiałem podeprzeć się rękami. Stała obok mnie z dłońmi na kolanach, dysząc.

– Cholera.

– Ja pierdołę. Chciałaś mnie zabić?

– Hej, to ty cisnąłeś.

Wyciągnąłem rękę.

– Joe Bishop.

– Tak, znam cię. Jesteś tym od Barneya, tak? Shauna Jarrett. –

Uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Chcesz mój autograf? – tylko nieco żartowałem. Cała ta historia z Barneyem zaczynała mnie nużyć.

Przechyliła głowę.

– Dlaczego, często dzięki temu zaliczasz?

W mojej głowie zapaliła się lampka. Tak, wiem, za każdym razem gdy dziewczyna uśmiecha się do faceta, ten ma nadzieję, że jest zainteresowana, ale tym razem serio myślałem, że jest szansa.

– Na razie nie. – Mrugnąłem.

Pięknie się roześmiała.

– Nie trać nadziei, Joe.

Dotarła do nas reszta. Jej ludzie pokleпали ją po plecach, gratulując wygranej, i cała grupa zaczęła zbierać się do odejścia.

Jeśli była jakaś szansa, to nie zamierzałem jej zmarnować. Znajdowaliśmy się daleko od Ziemi, w stanie wojny i nie było w okolicy zbyt wielu kobiet.

– Hej, Shauna, do zobaczenia.

Ku mojemu zachwytowi z uśmiechem obejrzała się przez ramię.

– Może?

*

Poza okazjami do zapoznania się z nowym sprzętem i powracaniem do formy mieliśmy też zajęcia teoretyczne, podczas których siedzieliśmy na ziemi w namiocie, słuchając wykładów o wrogu, strukturze dowodzenia naszego sojuszu i, co najważniejsze, o Zasadach. Gdy pierwszy raz o nich usłyszałem, osłupiałem, więc zaraz wszystko wyjaśnię. Lepiej wygodnie usiądźcie, bo na koniec będzie sprawdzian.

Poczekam, aż weźmiecie sobie piwo.

Już?

Dobra, po pierwsze, najpierw podstawowe informacje. Kristangowie nie znajdują się na samym szczycie sojuszniczej koalicji, jak już wiedziałem, zważywszy na fakt, że musieli podczepić się pod Thuraków, żeby odbyć podróż międzygwiazdową. Ale nowością dla mnie było to, że Thuranie też tu nie rządzą. Przywódcami koalicji są kotowaci kosmici zwani Maxolhxami. A przynajmniej plotki mówiły, że przypominają koty, bo żaden człowiek nigdy ich nie widział. I bardzo niewielu Kristangów. Jako że szanse na to, że ktokolwiek z naszego gatunku ujrzy za mojego życia jakiegoś Maxolhxa, są niewielkie, powiem tylko, że to starożytna rasa z niesamowitą technologią. Gdy oni walczyli, na pewno dysponowali czymś znacznie lepszym niż pieprzone ziemskie karabiny. I wiem, że Maxolhx to dziwna nazwa, ale według naszego wywiadu tak wyglądała najwierniejsza próba odwzorowania tego, jak wymawiali ją

Kristangowie.

Ojczysta planeta Maxolhxów znajduje się dwie trzecie Galaktyki od Ziemi. Jeśli ci to coś mówi, bo mnie nie bardzo. Ale to cholernie daleko. Thuranie, jak się dowiedzieliśmy, nie byli jedyni. Powierzono im pieczę nad małym kawałkiem Galaktyki pod kontrolą Maxolhxów, a Kristangowie zajmowali się kilkoma tysiącami sześciennych lat świetlnych pod kontrolą Thurarów. Maxolhxowie mieli też pod sobą inne gatunki drugiego poziomu, a Thuranie poza Kristangami mieli pod sobą dwa inne. Thuranie to takie małe zielone ludziki, niższe niż przeciętny człowiek, humanoidalne, z dwiema nogami, dwiema rękami, dwójgiem oczu i łysymi głowami. Ludzie, którzy mieli okazję rozmawiać z Kristangami, mieli wrażenie, że nie przepadają za swoimi „patronami”, z pełną wzajemnością. Thuranie gardzili każdą słabiej rozwiniętą cywilizacją. Ciekawe, co myśleli o żalosnych ludziach?

Po stronie wroga sytuacja wyglądała podobnie. Na szczycie znajdowali się Rindhalu, wyglądający jak obrzydliwe pająki. Miałem ciarki na samą myśl. Ich sojusznikami drugiego poziomu w tej części Galaktyki są owadokształtni Jeraptha, niewiele mniej ohydni. Nie są rojem, jak pszczoły, przypominają raczej chrząszcze. Ruharowie stanowili gatunek kliencki Jeraptha, tak samo jak Kristangowie byli klientami Thurarów. W oparciu o niektóre wypowiedzi Kristangów nasz wywiad spekulował, że Ruharowie dysponują nieco lepszą technologią niż Kristangowie.

Propaganda Kristangów – mówię propaganda, bo tak to dla mnie brzmiało – głosiła, że Rindhalu byli starsi, znacznie starsi od Maxolhxów i próbowali zatrzymać rozwój innych inteligentnych gatunków w Galaktyce do czasu, aż szlachetni Maxolhxowie zbuntowali się wiele tysięcy lat temu. Alianci walczyli o prawo rozumnych gatunków do samodzielnego rozwoju, podczas gdy wrogie rasy były niewolnikami upiornych pajaków, które chciały totalnej kontroli. Jak na zaawansowany gatunek, propaganda Kristangów była dość toporna. Trochę jak w Związku Radzieckim, Korei Północnej albo Trzeciej Rzeszy. Jesteśmy sojusznikami walczącymi z nikczemnym wrogiem dla dobra wspaniałego, szlachetnego ludu! Pod chwalebny przewódnictwem naszych najwyższych przywódców słuszna sprawa zatriumfuje! Siła poprzez jedność! I tak dalej. W każdym razie to nam powiedziano. Na pewno prawda jest dużo bardziej skomplikowana, jak zawsze.

Niesamowita technologia Maxolhxów i Rindhalu nie obejmowała tworzenia, a nawet obsługiwania tuneli czasoprzestrzennych, pozwalających przemieszczać się na duże odległości w sensownym czasie. Stworzył je miliony lat temu dawno wymarły gatunek, który znamy tylko z tego, co po sobie zostawili. Kristangowie nazywali budowniczych tuneli Pradawnymi. Tuneli nie obchodziło, kto przez nie przelatuje, i nie znano sposobu na kontrolę nad nimi czy ich zamknięcie.

Ani nawet uszkodzenie. Działy i tyle musieliśmy wiedzieć.

Wtedy doszliśmy do Zasad.

Chodziło o zasady walki, do których stosowały się obie strony i których przestrzegania pilnowali Maxolhxowie oraz Rindhalu. Zrozumieliśmy, dlaczego wojna toczyła się od tysięcy lat i żaden z gatunków nie zyskał znaczącej przewagi, nie pozbył się przez ten czas rywala. Podstawą Zasad było to, że Maxolhxowie i Rindhalu nie mogli pozwolić sobie na bezpośrednią walkę, tak samo jak Ameryka i Chiny nie mogłyby ze sobą walczyć bezpośrednio. Na Ziemi kraje z megatonami bomb atomowych nie mogłyby walczyć między sobą bez wzajemnej zagłady. Zaś w dalekim kosmosie gatunki z bronią, która sprawiała, że atomówki były jak petardy, także nie mogły sobie pozwolić na bezpośrednie starcie. Walczyły więc poprzez gatunki klienckie, a one przez swoich klientów i tak dalej. Większość prawdziwych wojen i umierania dotyczyła gatunków trzeciego stopnia, jak Ruharowie i Kristangowie. A także ich klientów, jak ludzie.

W każdym razie oto Zasady.

Lepiej je sobie zapiszcie.

Zasada numer jeden: żadnych atomówek ani innych rodzajów broni radiologicznej na lub w pobliżu zamieszkałych planet. Oraz żadnej antymaterii, bo też wyzwała promieniowanie, nawet jeśli na krótko. Tę zasadę wymieniono jako pierwszą, bo Rindhalu i Maxolhxowie nie chcieli, aby ich prymitywni podwładni zanieczyścili planetę, którą chcieliby potem wykorzystać sami. Nawet w Drodze Mlecznej liczba zdalnych do zamieszkania planet w praktycznej odległości od tuneli czasoprzestrzennych była ograniczona, więc żadna ze stron nie zamierzała pozbywać się ich tylko dlatego, że ktoś zbyt zaszalał.

Zasada numer dwa: żadnej broni chemicznej, z tego samego powodu, co w zasadzie numer jeden. Co wredniejsze chemikalia pozostawały w środowisku przez cholernie długi czas. Nie powiedziano wyraźnie, że gatunek porzucający planetę ma po sobie posprzątać i zabrać śmieci, ale uznałem, że to rozumie się samo przez się.

Zasada numer trzy: żadnej broni nanotechnologicznej. Nanotechnologii powszechnie używano do celów produkcyjnych, ale nie wolno było wykorzystywać jej do celów bojowych. Nawet Kristangowie nie znali logicznych podstaw dla tej zasady, ale zgodnie z dawnymi plotkami doszło do incydentu, podczas którego nanoboty wymknęły się spod kontroli i doprowadziły do permanentnej kwarantanny całego układu gwiazdowego.

Zasada numer cztery: żadnej broni biologicznej. To służyło nie tyle ochronie Maxolhxów i Rindhalu, bo gatunki różniły się tak bardzo, że patogen zabójczy dla jednego nie miał większego wpływu na drugi, ale raczej było czymś w rodzaju konwencji genewskiej. Mianowicie

walczący zgodzali się nie robić czegoś wrogowi, żeby wróg nie robił tego im. Inaczej każda strona po prostu zrzuciłaby na kontrolowane przez wroga planety kanistry z wrednymi wirusami i wkrótce nastąpiłaby pełna eksterminacja.

Powiedziano nam, że z zasadą numer cztery w praktyce bywało różnie, jako że wirusy, bakterie i inne zagrożenia biologiczne z czasem mutowały i jeśli znany, naturalny wirus stawał się bardziej zabójczy, nikt nie mógł stwierdzić, czy doszło do tego naturalnie, czy to celowe działanie. Zasada ta miała zapobiegać katastrofalnym w skutkach atakom biologicznym, ale najwyraźniej w pewnym stopniu przymykano oko na jej naginanie. Kristangowie powiedzieli, że Ruharom często się to zdarzało. Pewnie Ruharowie powiedzieliby to samo o Kristangach. Myśl o broni biologicznej sprawiała, że przechodziły mnie ciarki, mimo zapewnień Kristangów, że Ruharowie nie wiedzą dość o ludzkiej biologii, żeby stworzyć skuteczną broń. Ale Kristangowie dysponowali technologią medyczną przewyższającą znacznie to, co zabraliśmy ze sobą do gwiazd i się nią z nami nie dzielili. Mówili, że bez lat badań nad ludzką biologią nie mogą dostosować jej do nas. Oznaczało to, że nawet wirus zwykłego przeziębienia, którego ludzie przywlekli ze sobą z Ziemi, mógł stanowić poważny problem dla Sił Ekspedycyjnych. A rannych żołnierzy mogliśmy leczyć tylko tym, co było na miejscu. Ewakuacja do domu nie wchodziła w grę.

Zasada numer pięć polegała na zakazie zrzucania kamieni. Nie wolno było kierować asteroidami czy kometami tak, aby zderzyły się z zamieszkałą planetą. Oznaczało to również, że nie wolno brać nawet niewielkich głazów i uderzać nimi w planety z prędkościami relatywistycznymi. Każda planeta z porządną populacją dysponowała systemami wykrywającymi i odbijającymi skały, które w naturalny sposób znalazły się na jej drodze, więc zasada miała na celu powstrzymanie walczących przed nadmiernym wyczerpaniem tych systemów czy maskowaniem skał. A co z działami elektromagnetycznymi? Okręty często wykorzystywały je do przyspieszania pocisków kinetycznych do prędkości relatywistycznych i wykorzystywano je zarówno do walki w kosmosie, jak i bombardowań planetarnych. W drugim przypadku kluczem był wpływ na planetę. Należało ograniczyć energię wyzwalaną przez pojedynczy pocisk do mniej niż megatony i nie wolno było atakować tak intensywnie, żeby wpływało to na klimat planety. Porządne bombardowanie mogło wnieść chmury pyłu i doprowadzić do gwałtownego oziębienia.

Takie więc były Zasady. To nie ja zapisałem je wielką literą, tak wyglądały na slajdach SEONZ. W Zasadach nie chodziło o chronienie żołnierzy czy cywili po którejkolwiek ze stron, nie było obcego odpowiednika konwencji genewskich do walki w kosmosie.

Maxolhxowie i Rindhalu opracowali Zasady, aby ich starożytna wojna nie wymknęła się spod kontroli. Dopóki niższe gatunki stosowały się do nich, dopóty mogły zabijać się do woli.

Jeśli chodzi o mnie, nie miałem zastrzeżeń do Zasad, zwłaszcza że SEONZ w Obozie Alfa nie dysponowały żadną bronią atomową, nanotechnologiczną, biologiczną, chemiczną ani relatywistycznymi działami elektromagnetycznymi. Zasady oznaczały więc, że żaden wróg nie mógł użyć ich przeciwko nam. Może poza bronią biologiczną, jeśli by uznali, że uda im się zrobić to po cichu.

*

Nie widziałem więcej Shauny podczas porannych biegów i nie chciałem być nachalny, pisząc do niej przez zFona. Ucieszyłem się więc, kiedy natknąłem się na nią w stołówce. Był to sporej wielkości namiot z brezentem na podłodze, żeby się nie pyliło. Miałem w rękach tacę, a na niej kanapkę z masłem orzechowym oraz jakieś tajemnicze mięso z ziemniakami, sosem i zieloną fasolką. Nawet nieszczególnie rozgotowaną. A także bułkę z masłem. Po męczącym dniu byłem głodny i każde jedzenie wyglądało dobrze. Odwróciłem się, żeby poszukać stolika, i niemal zderzyłem się z Shauną.

– Hej, Shaunna – zagailem tak nonszalancko, jak tylko umialem.

– Hej. – Spojrzała na moją tacę. Na swojej miała tylko kanapkę, fasolkę i jabłko. – Poszukamy stolika?

Nie ufając sobie na tyle, żeby uwierzyć, iż nie powiem nic głupiego, po prostu skinąłem głową i poszedłem za nią w niezbyt zatłoczone miejsce.

– Wiesz, co ja robiłem w Dzień Kolumba – powiedziałem, żeby jakoś zacząć konwersację. Mogło wyjść na to, że się przechwalam, więc dodałem: – A ty robiłaś coś głupiego?

– Byłam z przyjaciółmi w Phoenix.

– Nie pojechałaś gapić się na liście?

Jeśli nie wiecie, łażenie po lasach na początku jesieni i przyglądanie się czerwieniejącym liściom to popularna rozrywka w Nowej Anglii.

– Ludzie z Phoenix raczej tego nie robią.

– Łapię. Moja rodzina nie musi szukać liści, bo do Dnia Kolumba wszędzie mamy grubą na pół metra warstwę.

– Nie jesz? – Spojrzała na mój wciąż pełny talerz.

– A, tak. Nie chciałem gadać z pełnymi ustami. – Ugryzłem kanapkę i powoli przełknąłem.

– Wróciłam do domu, żeby zobaczyć, czy z moją mamą wszystko w porządku. Mój ojciec pojechał w delegację służbową do Houston. Potem odwiedziłam babcię. Mieszka w wieżowcu i bez elektryczności nie ma jak się ruszyć. Po schodach nie zaszłaby daleko. Ma problemy z nogami,

jest stara. – Głos dziewczyny nieco drżał. Wspomnienia przywoływały emocje z tamtego dnia. – Była przerażona i powiedziała mi, żebym się o nią nie martwiła. Powiedziała, że jestem młoda i silna, więc muszę uciekać z miasta gdzieś, gdzie nie dorwą mnie kosmici. Mówiła, że to koniec świata, dzień sądu i że muszę ją zostawić, żeby jakoś przeżyć. W mieście nie wylądowały okręty Ruharów, widzieliśmy tylko światła i smugi na niebie oraz słupy dymu w miejscach, które zaatakowali. Wiedziałam, że to inwazja obcych tylko dzięki oficjalnym komunikatom radiowym. I na początku nie wierzyłam. – Zjadła resztę fasolki, odsunęła tacę na bok. – Te chomiki wystraszyły moją babcię niemal na śmierć. Nienawidzę ich za to. Dlatego tu jestem. Nie chcę, żeby moja babcia albo ktokolwiek inny kiedykolwiek tak się bał.

– Tak, kiedyś zdarzało mi się w bezchmurne noce spoglądać na niebo i zastanawiać się, czy jesteśmy sami we wszechświecie. Teraz, po Dniu Kolumba, spoglądam na niebo i jeśli gwiazdy migoczą, przez chwilę myślę, że to okręty wroga skaczące na orbitę.

– Tak! Właśnie tak! – Uderzyła otwartą dłońią w stół. – Przez chomiki nikt już nie może spoglądać na niebo bez strachu. Za to właśnie nienawidzę tych skurwysynów.

– Skradli naszą niewinność, tak? – wymamrotałem z ustami pełnymi ziemniaków.

– Tak, coś w tym stylu. Nie twoją czy moją, bo widzieliśmy niejedno w Nigerii. Ale większość ludzi, żyjących z dnia na dzień, już nigdy nie pomyśli, że są bezpieczni. – Na chwilę odwróciła wzrok. – Teraz wiem, że mamy całą Galaktykę pełną wrogów.

Rozmawialiśmy o tym, jak idiotyczne było to, że mieliśmy ruszyć do walki z praktycznie takim samym sprzętem, jakiego armia używa od dekad, i wymieniliśmy się plotkami co do naszej pierwszej misji. Żadne z nas nie wiedziało, gdzie nas wyślą Kristangowie. Oboje zastanawialiśmy się z niepokojem, co się dzieje w domu. Wreszcie skończyłem obiad, a ona zjadła jabłko. Jej rodzina była w dużo gorszej sytuacji niż moja. Oboje rodzice stracili pracę i przesiedlono ich wraz z młodszym synem i babcią do wschodniego Teksasu, gdzie ojciec pracował na farmie, a matka w przedszkolu. Stanowiło to dla nich sporą zmianę. Matka Shauny była wcześniej agentką nieruchomości, a ojciec przedstawicielem handlowym firmy informatycznej, ale kiedy miejsca pracy trafił szlag, gdy gospodarka się załamała, ich mieszkanie w Phoenix stało się nie do życia bez prądu.

Mój ojciec stracił robotę w papierni, ale przez pierwsze kilka miesięcy jakoś sobie dawał radę, wykonując różne dorywcze prace – ścinając drzewa, spawając i naprawiając samochody. Moja matka wciąż miała stabilną pracę jako nauczycielka, zwłaszcza zważywszy na to, ile rodzin wyjechało na wieś z pozbawionych prądu miast. Pod koniec grudnia

ktoś wpadł na pomysł, że papiernia, w której wcześniej pracował mój ojciec, a która dysponowała zakładową elektrownią kogeneracyjną spalającą trociny, mogłaby generować prąd dla całej okolicy. Mój tata wrócił wtedy do pracy w starym miejscu, ale problem polegał na tym, że brakowało drewna, bo nie wystarczyło oleju napędowego dla wożących je ciężarówek. Wielkie Lasy Północne drewna mają pod dostatkiem, lecz nie było jak go przewozić. Ledwie wystarczyło paliwa do pociągów. Rozwiązaniem było przywiezienie starych parowozów z kolejki turystycznej w New Hampshire, i to razem z facetami, którzy nadal potrafili je obsługiwać, aby jeździły zasilane drewnem zamiast węglem czy olejem. Stara dobra amerykańska pomysłowość. Teraz parowozy woziły drewno do papierni robiącej za elektrownię. Odbudowywano całą strukturę energetyczną kraju jako „inteligentną sieć”, którą powinniśmy byli dysponować dekady temu. Mnóstwo małych elektrowni zamiast jednej wielkiej dla całego regionu.

Kristangowie niewiele pomagali w odbudowie, poza obszarami przemysłowymi potrzebnymi do produkcji sprzętu wojskowego. Nasi nowi sojusznicy z pogardą spoglądali na to, że wciąż polegamy na paliwach kopalnych, i postawili kilka reaktorów fuzyjnych dla własnych potrzeb. Chociaż wyjaśnili ich działanie naszym naukowcom, zbudowanie własnych urządzeń wymagało dekad.

Gdy wyjechałem, z prądem nadal bywało różnie. Większość mocy nowej elektrowni w Milliconack szła w okolice Bangor. Moi rodzice ogrzewali dom piecami na drewno, nie potrzebowali klimatyzacji, a ogród, który rozbudowaliśmy przez zimę, powinien zapewnić dość plonów, by wyżywić moją rodzinę i mieszkających u nich ludzi, nawet z nadwyżką, którą można sprzedać. Mieli teraz dwie krowy i kury nioski. Kiedy wyjeżdżałem, moja mama targowała się o parę prosiąt. Podobnie było na całym świecie – ludzie znajdujący się wyżej na drabinie społecznej przed atakiem Ruharów teraz byli czasami w gorszym położeniu niż ci, którzy dawniej ledwie wiąźali koniec z końcem. Jeśli ktoś był rolnikiem przed Dniem Kolumba, to jego życie nie zmieniło się diametralnie, poza brakami paliwa, jako że wszyscy wciąż potrzebowali jedzenia, więc popyt nie malał. Jak to napisali w Biblii, „ostatni będą pierwszymi”. Nikt nie spodziewał się, że inwazja kosmitów spełni biblijne przepowiednie.

– Zapierdalam, jak tylko mogę, żeby zakwalifikować się do czynnej walki na froncie. Początkowo prawie mi się udało, ale upadłam na torze przeszkód i naderwałam sobie więzadło. Trafiłam więc do logistyki. Ale chcę walczyć, Joe!

Jako ktoś, kto służył w piechocie i widział w życiu niejedną walkę, chciałem ostrzec ją przed nadmiernym entuzjazmem. Ale to nie była moja sprawa, więc trzymałem głowę na kłódkę. Skończyliśmy posiłek,

podeszło do nas kilka osób z jej drużyny, żeby z nią pogadać, i w końcu sobie poszła. Jeśli to miała być nasza pierwsza randka, nie poszła najlepiej.

*

Pierwsze manewry wojskowe w Obozie Alfa otrzymały nazwę Operacja Waleczna Tarcza. Nazwy kodowe operacji w idealnych warunkach wybierane byłyby losowo, żeby wróg nie poznał intencji. Operacja Pustynna Burza fajnie się nazywała, ale Irakijczykom było dość łatwo zorientować się, że chodziło w niej o ofensywę na pustyni. Nie żeby miało to wtedy aż takie znaczenie. Problem z przypadkowymi słowami był jednak taki, że otrzymywało się głupio czy żałośnie brzmiące nazwy, jak Płomienny Króliczek czy Kulawa Sprawiedliwość. W rzeczywistości więc wymyślali je, albo przynajmniej zatwierdzali, ludzie z działu PR SEONZ. Nazwa Waleczna Tarcza miała być zapewne inspirująca dla żołnierzy, ale myślałem tylko o tym, że mieliśmy walecznie zginąć. Jak w starym powiedzeniu, że żołnierz ma wracać z tarczą albo na tarczy.

Chciałbym móc powiedzieć, że podczas pierwszych manewrów wymyśliłem jakąś niesamowicie genialną taktykę, na którą nikt inny nie wpadł, a dzięki której osiągnęliśmy zwycięstwo. Mógłbym to powiedzieć i byłaby to świetna historia, prawda? Może coś takiego opowiem kiedyś wnukom, kiedy będą narzekać, że dziadek jest starym prykiem. Albo jak się kiedyś upiję i uznam, że pomoże mi to w podrywie. Prawda jest niestety taka, że wraz z całą resztą dwóch plutonów naszej kompanii zostałem uznany za martwego w wyniku bombardowania orbitalnego mniej niż godzinę po rozpoczęciu gry. Przemykaliśmy się przez wąski kanion, od osłony do osłony, kiedy zabrzączał mój zFon i piskliwym głosem ogłosił, że nie żyję. A następnie całkiem przestał działać. Cholera. Dwa plutony piechoty były warte bombardowania elektromagnetycznego? Kompania rozdzieliła się, żeby nie stanowić smacznego kąska, ale i tak się nie udało.

Protokół kazał nam czekać na miejscu na sygnał, który mógł nadejść dopiero kolejnego dnia, zależnie od tego, jak szła reszta manewrów. Słońce pojawiło się nad horyzontem i robiło się już gorąco. Nasi oficerowie uznali, że możemy nieco pooszukiwać i wrócić wzdłuż kanionu, aby schronić się pod wiszącą skałą. Tam właśnie spędziłem resztę dnia, całą noc i połowę kolejnego poranka. Kończyła nam się woda, a od bazy dzieliło nas sześć godzin, bo na miejsce przywiózł nas myszołów przed rozpoczęciem manewrów. Ktoś w dowództwie się nad nami wreszcie zlitował i przysłał samochody. Nie miały klimatyzacji, ale i tak docenialiśmy, że nie musimy wracać na piechotę.

*

Manewry nauczyły nas jednego: kluczem do przetrwania na powierzchni planety w tej wojnie, w sytuacji gdy wróg ma przewagę na orbicie, jest to samo, co w sytuacjach, gdy wróg może użyć taktycznej broni atomowej. Należy unikać koncentrowania sił i osłaniać się na tyle, na ile to możliwe. W sytuacji potencjalnej wojny atomowej nie podsuwa się wrogowi celu, który może być na tyle kuszący, by uderzyć w niego atomówką, na przykład sił wielkości batalionu, dużych składów amunicji, lotnisk, ważnych mostów i tak dalej. Kristangowie nie używali atomówek przeciwko celom lądowym. Można by pomyśleć, że to dobrze, ale tak naprawdę czyniło sytuację groźniejszą. Decyzja, by użyć broni atomowej, wymaga sporego namysłu dowództwa nad eskalacją nuklearną konfliktu, której nie można po prostu przerwać. Tego dzina nie schowa się z powrotem do butelki. Użycie dział elektromagnetycznych, przyspieszających pociski do znacznego procenta prędkości światła i mających podobną niszczycielską energię, co taktyczne atomówki, jest tak proste, że to praktycznie pewnik w wojnie międzygwiazdnej. Dla nas, szwejków na powierzchni planety, oznaczało to, że pytanie brzmiało raczej „kiedy” niż „czy”.

W czasie naszej gry niebieskie siły SEONZ zostały zmiażdżone przez symulowane czerwone siły Ruharów. Kristangowie ponoć byli bardzo zadowoleni z wyniku. Nie z tego, że tysiące żołnierzy SEONZ „zginęły”, ale że wytrzymały dość długo, aby opóźnić zajęcie powierzchni przez Ruharów. Rozproszone siły SEONZ wykorzystywały taktykę partyzancką do ataków na czerwonych po wylądowaniu. Nasze zespoły z zingerami „zestrzeliły” całkiem sporo lądowców desantowych. A do czasu, gdy Kristangowie wstrzymali manewry, niebieskim zostało mniej niż sto jednostek powietrznych. Jeśli myślicie, że to źle, to Kristangowie spodziewali się, że stracimy wszystkie pojazdy latające w ciągu pierwszych dwunastu godzin.

Dwa dni po manewrach mój zespół ogniowy oglądał mecz koszykówki: nasz batalion kontra Brytole, zajadając się hot dogami i popcornem. Usiadł obok nas porucznik armii w kombinezonie lotniczym.

– Hej, jest pan pilotem, sir? – spytałem głupio.

– Aha – odparł między kęsami hot doga. – Kiedyś latałem apaczem, teraz kurczakiem.

– Jak wam poszło w czasie manewrów? – zapytałem. Nasłuchałem się sporo od ludzi na ziemi, ale nie od naszych lotników. Nie pomyślałem nawet, że mógł właśnie skończyć dłuższy lot i chciał się odprężyć, obejrzeć mecz, zamiast opowiadać mi tę samą historię, którą opowiadał setki razy. Ale nie było czym się martwić, bo chyba żaden pilot nigdy nie męczył się gadaniem o lataniu.

– Poszło w porządku – powiedział po chwili, patrząc na grę. – Zestrzeliłem dodo i sępa.

– Serio? To prawdziwy as z pana! – Uniosłem dłoń i ucieszyłem się, gdy przybił mi piątkę.

– Dziękuję, żołnierzu. Oczywiście rozwalila mnie rakietą z krążownika Ruharów dwie minuty później. Ale i tak cieszyłem się, że pożyłem dłużej, niż się spodziewałem.

– Zestrzelił pan sępa? – spytał Ski. – To ich śmigłowiec bojowy?

– Coś w tym stylu. Dodo właśnie zostawił na ziemi transport wojska. Sześć innych leciało w szyku w eskorcie sępów z powrotem na orbitę, kiedy zaatakowaliśmy z dwóch stron. To był prawdziwy kocioł, rozwaliliśmy wszystkie dodo, oczywiście symulowane, i straciliśmy połowę naszych. Tego ostatniego sępa musiałem gonić na wysokość dwudziestu jeden kilometrów, a to maksymalna wysokość dla kurczaka. Nie przewidziano ich do walki poza atmosferą. Ledwie byłem w stanie sterować. Sęp znajdował się daleko nade mną, leciał z przyspieszeniem dwóch g, podczas gdy ja traciłem kontrolę nad sprzętem. Wystrzeliłem ostatnie cztery rakiety i mój działonowy przywalił w sępa promieniem cząstek. Jest niby tylko obronny, ale zajął systemy defensywne tamtego na tyle długo, żeby jedna z rakiet się przebiła. – Lotnik znów zaczął przyglądać się meczowi. – Ich aktywne maskowanie nie działa tak dobrze poza atmosferą. Nie powiedzieli nam tego, ale sam to odkryłem. – Wziął garść kukurydzy i zaczął jeść powoli, w zamyśleniu. – Wiecie, niebo na tamtej wysokości nie jest błękitne, ale prawie czarne i widać, że planeta na dole jest okrągła. A krążownik Ruharów, który mnie dorwał? Widziałem go. Nie jako symulacyjnego ducha. To był prawdziwy okręt, wiszący na niebie. Ciarki mnie przeszły. Obraz na wyświetlaczu pokazywał okręt Ruharów nałożony na prawdziwy okręt Kristangów. Gdy wyłączyłem HUD, widziałem prawdziwy krążownik. Okręt kosmiczny wiszący na niskiej orbicie. Był to wspaniały widok, póki nie przywalił laserem w moją gondolę. Zacząłem koziołkować. Ledwie udało mi się utrzymać kurs, kiedy dostałem rakieta. Oczywiście symulowaną, ale czułem się, jakby była prawdziwa. Autopilot przejął sterowanie i pokierował mnie w dół, na wysokość dziewięciu kilometrów.

– Cholera – mruknął Ski. – Myślałem, że to my na dole mieliśmy ciężko.

– Mieliście. Tam, na niebie jesteśmy bardziej odsłonięci, ale mamy przeciwśrodki na rakiety. Zabawne, że jesteśmy prawie jak w czasie drugiej wojny światowej, zanim w walce w powietrzu pojawiły się naprowadzane pociski. Maskowanie i przeciwśrodki oznaczają, że nie tak łatwo namierzyć wroga. Trafia się może piętnaście, dwadzieścia razy na sto. Kristangowie dokładnie nam nie podają. Zgadujemy, że

dwadzieścia w oparciu o taktykę, jakiej nas uczą. – Zaśmiał się. – Zabawne, wysłali mnie tu, bo uznali, że pilot śmigłowca lepiej nada się do pilotowania kurczaka czy myszołowa. I jasne, gdy się po prostu unoszą w powietrzu, to tak. Ale kurczak może latać z prędkością naddźwiękową i wznosić się wyżej niż nasze odrzutowce. Nie byłem na to gotowy, poprzednio leciałem samolotem dawno temu, podczas szkolenia. Mój kurczak jest zwrotniejszy niż F-22, zwykle lata się nim jak odrzutowcem, nie śmigłowcem. Myszołów bardziej przypomina ospreya, nie lata naddźwiękowo. – Pokręcił głową. – Techniki, których nauczyliśmy się na Ziemi, tutaj nie działają. Muszę przypominać sobie, żeby nie martwić się przeciążeniem śmigieł i nie pilnować wirnika ogonowego przy lądowaniu, bo go nie mam.

– Sir – odezwał się Placek Kukurydziany – mamy tylko samoloty, tak? A wróg dysponuje lądownikami kosmicznymi. Naprawdę mamy z nimi szanse? – Wskazał na niebo.

– O tak. Rozumiem cię. Ale mamy. W walce powietrznej mamy nawet przewagę nad lądownikami. Są wielkie, ciężkie i niezbyt zwrotne w atmosferze. Przy maskowaniu i przeciwśrodkach pierwsza salwa nic nie robi, zmniejszasz dystans do wroga i manewrujesz w powietrzu z użyciem działek. Kluczem jest energia kinetyczna. Jeśli stracisz za dużo prędkości przy skręcie, jesteś martwy. Lądowniki przy maksymalnych prędkościach są szybsze od naszych jednostek powietrznych, osiągają prędkość ucieczki, ale nie przyspieszają tak szybko. Szybciej nabieramy prędkości.

Trochę jeszcze gadał o taktyce w walce powietrznej i cała nasza trójka była zafascynowana. W tamtej chwili wydawał się nam najfajniejszym gościem na świecie. Wstałem, żeby zdobyć dla niego jeszcze jednego hot doga, żeby nie przestał gadać. Mecz się skończył. Brytyjczycy wygrali dwoma punktami i przyszła grupa pilotów, do której nasz rozmówca dołączył.

– Cholera – odezwał się Ski. – Chciałbym być pilotem. Myślałem nawet o tym, bo jeden z moich wujków jest w klubie lotniczym. Kiedyś przeleciałem się z nim do Minneapolis na mecz, było super. Ale nie stać mnie było na lekcje latania.

– Fajna fucha – zgodziłem się.

– Taa, ale i tak zginął w grze – przypomniał Placek.

– No tak – odparł Ski. – Ale my też i gówno zrobiliśmy przed śmiercią. Wolę zginąć na niebie, robiąc coś sensownego, niż bezsensownie w bombardowaniu.

*

Zainspirowani meczem koszykówki, poszliśmy na inne boisko i

znaleźliśmy grę, do której mogliśmy dołączyć. Ski całkiem nieźle rzucał, a ja skupiałem się na podawaniu mu piłki i przebijaniu się przez obronę. Dobrze było wyładować frustrację w czasie gry. Wszyscy byliśmy wkurzeni, że zginęliśmy, nic nie osiągając. Jasne, rozwalenie nas z orbity było realistycznym scenariuszem, ale czego mieliśmy się z tego nauczyć? I jak Kristangowie mieli ocenić nasze możliwości bojowe, jeśli wystarczył pechowy rzut kością jakiegoś ich komputera na orbicie? Gdyby te wyimaginowane kości potoczyły się inaczej, jacyś inni nieszczęśliwi dranie „zginęliby” zamiast nas.

Przypięty do pasa zFon zaczął wibrować w czasie gry. Nie sprawdzałem go, zanim nie zrobiliśmy przerwy, żeby napić się wody. Była to wiadomość od Shauny, chciała wiedzieć, czy jestem zajęty, a jeśli nie, to czy nie chcę się spotkać.

Czy chciałem?

A czy słońce wstaje na wschodzie? Znaczą się na Ziemi.

Oto prosty test na to, czy facet chce spotkać się z dziewczyną:

Krok pierwszy: czy ma puls?

Krok drugi: czy jest przytomny?

Nie ma trzeciego kroku.

Jak idiota, którym jestem, napisałem: „Czy chcesz mnie zaciągnąć do łóżka?” i dodałem mrugającą emotkę.

Na szczęście instynkt przetrwania kazał mi to usunąć, zanim wysłałem. Zamiast tego napisałem jak gdyby od niechcienia: „Jasne! Gramy w kosza, właśnie wygrywamy. Zaraz skończę”.

Dostałem opieprz od Placka i Skiego, bo wyraźnie nie myślałem już o grze. Wciąż wydawało mi się, że czuję wibracje zFona. I tak wygraliśmy.

Cholera. Gra się skończyła i wciąż nie miałem wiadomości od Shauny. Czy zabrzmiałem zbyt ochoczo? Albo poczuła, że ją zbywam? Cholera. Babcia opowiadała mi, jak to siedziała w domu przy telefonie, to było w czasach przed komórkami, czekając, aż facet do niej zadzwoni. Brzmiało to dla mnie wtedy żałośnie. Siedzieć przy telefonie, zamiast się bawić, bo nie wiadomo było, czy jakiś koleś zadzwoni, czy nie?

Ale gdy Ski i Placek zasugerowali, żebyśmy poszli zobaczyć film, który grali w namiocie kinowym, powiedziałem, że jestem zmęczony i idę się zdrzemnąć. Dziwnie na mnie spojrzeli, ale nie komentowali. No i byłem bez kumpli, nie z powrotem w namiocie, bo mogli tam pójść. Siedziałem sam pod koszem i czekałem, aż dziewczyna mi odpisze.

Kobiety, które czekają, aż facet do nich w końcu zadzwoni albo wyśle wiadomość – teraz wiem, jak się czujecie. Kiepskie doświadczenie.

A wtedy mój zFon zabrzączał.

Spodziewałem się, że Shauna zasugeruje, żebyśmy się gdzieś spotkali, pogadali, może spędzili czas z jej znajomymi, coś w ten deseń. Zaskoczyła mnie zupełnie propozycją spotkania przy bramie do ogrodzonego parkingu dla samochodów Kristangów, których używaliśmy. Miała kod do bramy i przemknęliśmy się do środka. Poszedłem cicho za nią, po tym jak przyłożyła palec do ust. Weszliśmy pomiędzy ciasno zaparkowane furgonetki, nie wiedziałem, gdzie mnie prowadzi, aż zatrzymaliśmy się przy jednym z wozów. Miał rodzaj zadaszania z brezentu, które otworzyła. Zaświeciła do środka latarką. Przez chwilę obawiałem się, że są tam inni i że Shauna chce mnie wciągnąć w jakieś kłopoty. Wolałbym tego uniknąć, bo i tak już sporo zdążyłem sobie nagrabić.

Nie było tam jednak nikogo. Tylko sterta koców.

W moich oczach musiało być widać zaskoczenie, bo Shauna złapała mnie za koszulę i namiętnie pocałowała.

– Wszystko w porządku? – Jej oczy lśniły w blasku świateł bezpieczeństwa. – Słodki jesteś. Trochę durny, ale słodki.

Skinąłem głową jak czterolatek pytany, czy ma ochotę na słodycze.

– Tak, jasne. Tak!

*

Tych z was, którzy uprawiali już seks, nie będę zanudzać szczegółami tego, co robiliśmy z Shauną. Wiecie, jak to jest, i na pewno nie robiliśmy nic, czego nie robiliście wcześniej. Albo nie chcieliście robić.

A tym z was, którzy tego nie robili, nie będę psuł niespodzianki.

Podpowiem tylko, że jest s-u-p-e-r. Wow.

*

Zrobiliśmy sobie przerwę na pogaduszki. Leżała na plecach obok mnie. Po chwili zacząłem gładzić ją po szyi, między piersiami, na brzuchu i niżej.

– Co robisz? – zachichotała.

– Gładzę cię po włosach – powiedziałem niewinnie.

– Zdecydowanie robisz coś innego! – Ze śmiechem dała mi klapsa.

– Czy to nie romantyczne?

– Ta, widzę właśnie, że twojemu przyjacielowi... – Dotknęła mojego przyjaciela. – Tak, jemu chodzi tylko o romans.

– Hej! – Obudził się od jej dotyku. – Jest bardzo romantyczny.

– Tak, tak. Na pewno. Jest romantyczny, gdy ma z tego seks.

– No dobra, przyznaję, że niezły z niego napaleniak. Czasami nie mam nad nim kontroli...

– Oho, nie masz kontroli? Nie panujesz nad nim?

– Nie masz pojęcia. – Pokręciłem głową. – Czasami budzę się o czwartej nad ranem, bo zapomniał klucza do drzwi i pytam go, gdzie był, a on mi na to: „Nigdzie, tylko poszedłem na spacer”. Śmierdzi wódką i perfumami, i dobrze wiem, że znowu wpakował się w jakieś kłopoty.

– Klucza? Gdzie go chowa? Sam wychodzi? – roześmiała się.

– No, z chłopakami. Cała trójka to zgrana ekipa. Ale kłopoty, w które się pakuje, to nie moja wina. Ja mam czyste sumienie.

– Pełne czystych bzdur, Joe, ale jesteś zabawny. – Znow się zaśmiała. – Cóż, pogadam z twoim przyjacielem, zobaczymy, co na to powie. Nie masz nic przeciwko, prawda?

– Nie, ależ skąd, możesz rozmawiać z nim do woli.

*

Kilka godzin później Shauna powiedziała, że musimy już iść, bo przechodzić tam będą wartownicy. Zwykle patrol trwał tylko parę minut, żeby upewnić się, że wszystko w porządku. Nie dziwiłem się, w końcu kto kradłby samochód na tej planecie? Co mógłby z nim zrobić?

– To może zadzwonię do ciebie? Jutro? – Cholera, powinienem powiedzieć to, zanim znowu założyłem koszulę i spodnie. Na moją obronę: w ciężarówce robiło się chłodno.

– Zadzwonisz? Ty do mnie?

– Albo napiszę? – spytałem ostrożnie, czując, że powiedziałem coś nie tak.

– Ty do mnie zadzwonisz? Ha! – Wyraźnie była z czegoś niezadowolona. – Wkurzyłabym się, ale słodki jesteś.

– To prawda, takie jest moje przekleństwo. Wiesz, nie chciałbym, żebyś pomyślała, no wiesz...

– Co? Że mnie wykorzystujesz? Joe, nie jestem jakąś głupią licealistką. To ja wykorzystuję ciebie.

– Ach.

– To jakiś problem?

– Nie, żaden problem! – skłamałem, chociaż był to pewien kłopot dla mojego ego. Tak, wiem, dla większości facetów to wymarzona sytuacja, a przynajmniej pozornie. Tak naprawdę mężczyzna lubi myśleć, że coś znaczył dla dziewczyny, nawet jeśli to jednorazowy wyskok.

Tak, to kwestia męskiego ego. Co poradzę?

– Słuchaj, Joe, jesteśmy na obcej planecie – powiedziała przez ciepły koc na głowie, pod którym zakładała ubranie. Szkoda, że sam o tym nie pomyślałem. – Nie wiemy, gdzie nas wyślą. Może nawet trafimy na różne planety. Robię, co mogę, żeby zakwalifikować się do czynnej walki. Chcę się jakoś przydać w tej wojnie i na tym się skupiam. Nie

mam czasu na chłopaka. Ty nie masz czasu na dziewczynę. Lubię cię, ty lubisz mnie, dziewczyny czasami mają ochotę, a ty całkiem dobrze się sprawiasz. Żadnych zobowiązań. Możemy nie komplikować sprawy?

– Hmm. – Teraz, gdy zrozumiałem, trochę się rozchmurzyłem. – Jasne, tak!

– Dobrze. – Wyciągnęła nogi spod koca, założyła buty, stanęła i pocałowała mnie w policzek. – Ja zadzwonię do ciebie.

Poczułem się trochę dziwnie.

Zadzwoniła dwie noce później i mało co nie rozwaliliśmy ciężarówki.

Było wspaniale.

*

Wszelkie złudzenia, że moje nocne przygody miłosne pozostały niezauważone, uleciały podczas śniadania kolejnego ranka. Sierżant Koch kazał nam przebiec po ciemku przez tor przeszkód, ja byłem niewyspany i wszyscy trzej byliśmy cholernie głodni.

– Co to? – wymamrotał z pełnymi ustami Placek, wskazując kromką chleba na miskę Skiego.

Też na to spojrzałem.

– Cholera, Ski. Co ty robisz? – spytałem.

Zamiast jajek, tostów, smażonych ziemniaków czy czegokolwiek dobrego miał tylko ledwie posmarowaną masłem kromkę chleba i miskę czegoś, co wyglądało na zwykłą owsiankę. Znaczący się na owies zamoczony w wodzie. Żadnych rodzynek, cukru, orzechów czy śmietany. Czymś takim karmi się konie. Pychota. – To wygląda na miskę mokrego... smutku.

– Miska smutku. – Placek tak się roześmiał, że aż się zakrztusił. – Czy to marka firmy Kellogg's?

– Serio – powiedziałem w kamienną twarz Skiego. – Jedzenie czegoś takiego musi być jak bycie fanem Cubsów. Jasne, co jakiś czas przypadkiem zdarzy im się wygrać, a tobie może zdarzyć się znaleźć piankę w talerzu, ale daj spokój, wiesz, że i tak pod koniec sezonu czeka cię miska mokrego smutku.

– Zamknij się – warknął Ski, ale z błyskiem w oku.

Placek uderzył w stół.

– Bish, stary, wyluzuj.

Podaliśmy Skiemu tosta, ale ten odmówił.

– Nie, stary, wczorajszy klops leży mi na żołądku. Po tym torze przeszkód potrzebuję czegoś mdłego.

– A, tak, klops. Co to miał być za sos? – pokręcił głową Placek. – Smakował jak olej napędowy.

– Nie, to chyba płyn hydrauliczny, którego chomiki używają na tych

swoich myślołowach. Mniam. – Oblizalem wargi. – Tajemnicze mięso w płynie hydraulicznym.

– Aha – zgodził się Placek, wpychając do ust smażone ziemniaki. – A kiedy zaczyna stygnąć, zostawia na górze taką skórkę i...

Twarz Skiego zaczęła robić się zielona. Odsunął owsiankę na bok.

– Zamknijcie się. Zaraz będę rzygał.

Dokuczanie sobie było kluczową częścią życia w armii, ale wiedzieliśmy, kiedy przestać. Nie chcieliśmy, żeby Ski puścił pawia na stół. To dopiero przysporzyłoby nam popularności w plutonie.

– Masz. – Wziąłem z talerza Placka dwa tosty i położyłem na talerzu Skiego. – Tym się najedz. Mamy dziś sporo do zrobienia.

Czekała nas godzina na strzelnicy, potem dwudziestokilometrowy spacer do pięciu punktów nawigacyjnych przed przerwą obiadową. W ten sposób przygotowywaliśmy się do przyszłotygodniowych manewrów, podczas których mieliśmy pokazać Kristangom, jakimi świetnymi żołnierzami są ludzie w symulowanej walce. Część powstającego wciąż scenariusza obejmowała bombardowania orbitalne i walkę w zdobycznych pojazdach Ruharów z lądownikami Kristangów. SEONZ znów miały stanowić błękitną drużynę broniącą planety, a Kristangowie czerwoną, udającą Ruharów i korzystającą z ich taktyki.

Kilka kromek chleba sprawiło, że Ski poczuł się na tyle lepiej, żeby ukraść mi jeszcze jednego tosta. I żeby spytać:

– Hej, Bish, jak ci idzie z tą tam dziewczyną, Shauną?

– No właśnie, jak tam? – Placek wbił mi łokieć w żebra. Niemal się zakrztusiłem.

– Jak tam? Jest tak, że po pierwsze to kobieta, nie dziewczyna...

– Wiesz, co mam na myśli – Placek nie zamierzał zmieniać tematu.

– ...i to nie wasz zasrany interes. Spotkaliśmy się podczas kolacji i gadaliśmy. Nic takiego.

– Gadałeś z prawdziwą, żywą dziewczyną. Może nawet jej dotknąłeś. To nie jest nic takiego – nie zgadzał się ze mną Ski.

– Bish, wiesz co? – odezwał się Placek. – Słyszałem, że w całych SEONZ tylko szesnaście procent to kobiety. Szesnaście! To oznacza, że na każdego faceta... znaczy się na każdą dziewczynę przypada.... hmm... czterech facetów!

– Chyba musisz sprawdzić swoje obliczenia, Jesse – wciął się Ski. – Chodzi o to, że przy takich szansach jesteśmy nieco zdesperowani. I jeśli komukolwiek na tej planecie udało się zaliczyć, to chcemy chociaż znać szczegóły.

– Nie dostaniecie żadnych szczegółów.

– Aha! – Placek uderzył znowu w stół, przyciągając uwagę innych. – Są jakieś szczegóły.

Cholera, spięrzyłem to.

– Słuchajcie, hipotetycznie, jakiś facet, powiedzmy, cieszy się na tej planecie towarzystwem kobiety. Myślicie, że gadając o tym, polepszy szanse pozostałych? Czy może lepiej, żeby trzymał mordę w kubeł? Myślicie, że kobiety na tej planecie chciałyby, aby faceci opowiadali o szczegółach?

– Cholera – skrzywił się Ski. – Ma rację.

– Możesz się przechwalać albo możesz zaliczać. To proste – skończyłem.

– Cholera. W takim razie – stwierdził ponuro Placek – biorę resztę twojego żarcia.

*

Mój zFon zabrzączał pewnego ranka, gdy przebywałem na strzelnicy. Dostałem wiadomość ze swojego plutonu, każącą zgłosić się do kapitana Andrews po drugiej stronie bazy. Andrews dowodził kompanią w innym batalionie naszej brygady. Wiadomość nie zawierała słowa „niezwłocznie”, ale raczej sugerowała pośpiech. Gdy znalazłem namiot, którego Andrews używał jako kwatery głównej kompanii, wszedłem do środka i zasalutowałem.

– Starszy kapral Bishop melduje się na rozkaz, sir.

– Bishop. – Ledwie uniósł wzrok znad laptopa. – Spocznij. Na pewno wiesz, że opuściliśmy Ziemię bez pełnego składu. Gdy ktoś nie dotarł do Ekwadoru na czas, zostawał.

Skinąłem głową. Transport do Ekwadoru był, jak na ironię, bardziej skomplikowany niż transport na orbitę i lot pośród gwiazd. Ze względu na braki kadrowe mieliśmy sierżantów dowodzących plutonami, poruczników pełniących obowiązki kapitanów i tak dalej. Pozostałe zespoły ogniowe w moim oddziale miały tylko po trzech żołnierzy. Ogólnie rzecz biorąc, 10 Dywizja dysponowała o czternaście procent mniejszym składem, niż powinna, nawet jeśli nie liczyć pozostawionych celowo na Ziemi batalionów artylerii polowej. Ani większości brygady wsparcia logistycznego, która również została z tyłu, więc brakowało nam inżynierów bojowych. Stanowiło to spory problem, z którym dywizja radziła sobie jak mogła.

– Mam tu twoje akta – ciągnął Andrews i mina mi nieco zrzędała.

Widziałem swoje akta, oryginalne, na papierze, po powrocie z Nigerii. „Niesubordynowany” było tam zapisane wielkimi literami i dwukrotnie podkreślone. W literze „o” nie było nawet uśmiešku, więc wiedziałem, że to poważna sprawa. Miałem nadzieję, że kapitan Andrews nie podkreśli tego jeszcze raz i nie doda gniewnej twarzy. Nie przypominałem sobie jednak, żebym coś wyjątkowo spieprzył od czasu opuszczenia Ziemi. Moją niesubordynację równoważyło Purpurowe

Serce wyjaśniające blizny na lewym ramieniu. Miałem nawet szanse na Brązową Gwiazdę, ale zatrzymano papiery na poziomie brygady. Co było nawet zrozumiałe, zważywszy na okoliczności, ale i tak doceniałem gest.

– Znasz sierżanta sztabowego Agnellego? – spytał Anderson i znów skinąłem głową. Następnie powiedział coś nieoczekiwanego: – W jego oddziale jest miejsce dla sierżanta i dostałeś rekomendację. – Nie powiedział, od kogo. – Jest twoje, jeśli chcesz. Nie mamy czasu ani środków na standardowe szkolenie, więc nauczysz się na miejscu. Jeśli jesteś zainteresowany, zgłoś się do Agnellego. Zajmę się papierami.

Cholera, nie wiedziałem, czy jestem gotów na dowodzenie zespołem ogniowym, czyli trzema nieznanymi facetami. Andrews odchrząknął.

– Czekam na odpowiedź, Bishop. Wiem, że to nie jest standardowa procedura, ale nie mamy na nią czasu.

– Tak, sir. Dziękuję. To znaczy tak, to dla mnie zaszczyt. Tak.

Proces awansu powinien być bardziej formalny. Wziął mnie z zaskoczenia. Ale dywizja miała dziury, które trzeba było zapchać.

– Aha. – Chyba nie był przekonany. – Agnelli dopilnuje, żebyś nie pakował się w kłopoty. A, jeszcze jedno, Bishop?

– Tak?

– Nie baw się więcej w łodziarza.

Nie uśmiechał się, mówiąc to.

*

Objęcie dowodzenia nad nowym zespołem ogniowym nie było najtrudniejszą częścią awansu. Wszyscy z moich podkomendnych mieli doświadczenie w Nigerii i nie musiałem im wiele tłumaczyć. Sierżant sztabowy Agnelli był cierpliwy i poza częścią administracyjną, która początkowo nieco mnie przytłaczała, nie miałem problemów z przystosowaniem. Armia nie miała czasu na szkolenie, co oszczędziło mi wkuwania bzdur, choć podejrzewałem, że w końcu się to na mnie odbije. Najtrudniejsze było zostawienie starych kumpli: sierżanta Kocha, Skiego i szczególnie Placka. Jesse miał łyzy w oczach, przez piach, jak powiedział. Ja też zacząłem łzawić.

– Cholera – powiedział. – Pomyśl, w jakie kłopoty się wpakujesz beze mnie. Jak ty sobie poradzisz? Armia dała akurat tobie dowodzenie nad zespołem ogniowym? – Pokręcił ze smutkiem głową.

– Jeśli zobaczę łodziarkę, zacznę uciekać w drugą stronę.

Parsknął.

– Bish, to rozwiązuje jakieś dziesięć procent problemów. Jak się w coś wpieprzysz, to pomyśl: „Co zrobiłby Jesse?”

– I wtedy mam zrobić coś dokładnie przeciwnego? – roześmiałem się.

Ostentacyjnie wzruszył ramionami, po czym uściśnął mnie.

– Trzymaj się i nie zapomnij pisać listów.

Wyciągnąłem zFona.

– Pisać? Dzięki tej zabawce mogę w każdej chwili oglądać twój paskudny ryj.

– A, cholera. – Przewrócił oczami. – Zupełnie zapomniałem. – Wyciągnął swój aparat. – Jak tu się blokuje ludzi?

*

Kristangowie może nie dysponowali komunikacją nadświetlną, ale plotki w armii owszem.

– Sierżant Bishop? – Shauna zadzwoniła do mnie jako pierwsza. – Cholera, awansują teraz byle kogo.

– To prawda.

– A tak serio, gratulacje, Bish.

– Szczerze? Nie mam pojęcia, co mam robić.

– Bish, będziemy walczyć z kosmitami. Nikt nie ma pojęcia, jak to robić. Jakoś to będzie.

Cholera, dobrze było usłyszeć jej głos. Co przypomniało mi, że trzeba zajrzeć do regulaminu. Shauna nie podlegała mi bezpośrednio, należała do innego batalionu. Czy to znaczyło, że mogłem dalej się z nią spotykać? Miałem taką nadzieję.

*

Moim nowym oddziałem dowodził sierżant sztabowy Salvatore Agnelli, który mimo nazwiska miał blond włosy i wyglądał bardziej na Niemca niż Włocha. Miałem szczęście, jeśli chodzi o zespół ogniowy, i obaj z Agnellim to wiedzieliśmy. Szeregowi Chen i Baker oraz starszy kapral Sanchez byli weteranami z Nigerii, a Sanchez służył też wcześniej krótko w Korei. Greg Chen był urodzonym w USA Chińczykiem z przedmieścia w Maryland. Jeron Baker dorastał na farmie w Alabamie, z czego był niezwykle dumny. Był też niezwykle dumny, że się stamtąd wyrwał. Pete Sanchez pochodził ze wschodniego Kansas. Jego rodzice mieli małą farmę, ale jego matka pracowała jako pielęgniarka, a ojciec był dilerem samochodów. Farma nie wystarczyła, by zapewnić im utrzymanie.

Ich poprzedni sierżant był teraz sierżantem sztabowym dowodzącym oddziałem w 2 Brygadzie. Mieliśmy niezły początek, bo żaden z nich nie żartował sobie z Barneya ani nie pytał, co robiłem, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem Ruhara. Wszyscy o tym czytali, ale to były dawne dzieje, które teraz nie miały znaczenia. Nasza czwórka poznała się

dobrze przez kolejne tygodnie podczas ćwiczeń. Co noc padałem na łóżko kompletnie wyczerpany i dawno nie byłem szczęśliwszy. Miałem świetny zespół i przygotowywaliśmy się do walki z wrogiem, który zagroził naszej planecie. Potrzebowaliśmy tylko prawdziwej misji.

Osiem dni po moim awansie na sierżanta brygada dostała nowe rozkazy. Przygotowywaliśmy się do kolejnych manewrów, Operacji Brzytwa, za dziesięć dni. Otrzymaliśmy wieści od kapitana Tellera, który zebrał kompanię w pustym hangarze na skraju bazy. Stanął na podwyższeniu, a my stłoczyliśmy się wokół.

– Słuchajcie, mamy szansę.

Chen jęknął i szepnął:

– BOHICA¹...

Było to popularne w armii powiedzenie oznaczające „pochyl się, zaraz powtórka”. Używane zwłaszcza wtedy, gdy oficer mówił o „szansach”. Oznaczało zwykle, że mamy w ten czy inny sposób przejebane.

Teller czekał, aż nieuniknione szepty ucichną.

– Mamy szansę przetestować nasze nowe zabawki i zrobić coś pożytecznego w tej wojnie. SEONZ otrzymały rozkazy, wyruszamy za dwa dni i jedną noc. Pierwsza Brygada leci z jednym brytyjskim i jednym francuskim batalionem. Ostatecznie w ciągu dwóch tygodni polecimy wszyscy.

Jakiś facet z przodu odezwał się:

– Co to za misja, panie kapitanie? Lecimy skopać tyłki gryzoniom?

Zadał to pytanie z pełną powagą.

Teller zrobił minę, jakby właśnie ugryzł cytrynę.

– Nie, Kristangowie mówią, że nie jesteśmy jeszcze na to gotowi. Widziałem ich symulacje i mają rację, nie jesteśmy. Tylko byśmy zawadzali. Większość walk toczy się na orbicie albo dalej, a jako że nie dysponujemy flotą kosmiczną, niewiele tam pomożemy. Kristangowie odbili kolonię, którą wcześniej zajęli Ruharowie, i teraz wykurzają Ruharów z planety. Zawarli rozejm, który pozwala Ruharom ewakuować ludność cywilną w okresie trzynastu miesięcy. Zajmie to tyle, bo jest tam prawie milion Ruharów. Naszym zadaniem jest okupacja planety i pomoc w ewakuacji.

To nie ucieszyło żołnierzy.

– To misja pokojowa? Cholera.

– Będziemy nosić pierdolone niebieskie hełmy?

Teller uniósł dłonie i poczekał, aż się uciszymy.

– Przyleciałem tu, żeby walczyć z Ruharami tak samo jak wy. Żeby zabijać te szcurze mordy. Ale nie mogę robić tego, co mi się spodoba. Jestem w armii. Naszym zadaniem jest ochrona Ziemi, a jako że okazało się, iż sami nie damy sobie z tym rady, najlepiej zrobimy to, współpracując z naszymi sojusznikami. Kristangowie mają teraz sporo

na głowie i za mało żołnierzy, żeby pilnować miejsc, które zajęli. Dlatego prosili o piechotę. Na planecie jest jakieś zagrożenie biologiczne, powstrzymujące Kristangów przed lądowaniem od razu. Twierdzą, że Ruharowie złamali czwartą zasadę. Ruharowie twierdzą, że wirus, czy co to tam jest, został z czasów, kiedy planetę okupowali Kristangowie. Ale to sprawa między nimi. W każdym razie Kristangowie nie mogą wysłać tam swoich żołnierzy, chyba że w skafandrach, ale tego nie planują. Do czasu aż Kristangowie wynajdą antidotum na wirusa i zaszczepią żołnierzy, planetę zająć mają SEONZ. To coś, co możemy zrobić i zrobimy to najlepiej jak możemy. Takie mamy rozkazy.

– Jakie są zasady działań siłowych? – odezwał się głos z tyłu.

– Żadnego strzelania, chyba że oni zaczną. Czy ich lubimy, czy nie, Ruharowie na tej planecie to głównie rolnicy, w tym kobiety i dzieci. Kristangowie mówią, że nie powinniśmy spodziewać się dużego oporu. Ich cywile cieszą się, że żyją i mogą wrócić do domu.

Rozległy się pomruki niezadowolenia, ale Teller nawet nie mrugnął.

– To nasz egzamin, jeśli jeszcze się nie zorientowaliście. Jak na razie Kristangowie widzieli tylko, jak giniemy, nie zadając większych szkód Ruharom. – Zamilkł na chwilę, po czym mówił dalej: – W drugiej wojnie światowej Armia USA nie wylądowała od razu na plażach Normandii. Najpierw wysłaliśmy ludzi do Afryki Północnej i ci z was, którzy znają historię, wiedzą, że bardzo dobrze, że tak się stało. Byliśmy cholernie nieprzygotowani do walki z Niemcami w czterdziestym drugim roku. Gdybyśmy od razu popłynęli na Normandię, skopaliby nam dupy. Walcząc w Afryce Północnej, Sycylii i Włoszech, nauczyliśmy się skutecznie stawiać czoła wrogowi. Kristangowie dali nam kilka nowych zabawek, ale to nie znaczy, że znamy najlepszą taktykę ich użycia przeciwko Ruharom w prawdziwej walce. Kristangowie powierzyli nam proste zadanie, więc nie możemy go spieprzyć. Przejmujemy kontrolę nad planetą, wysyłamy cywili w kosmos windami, zabezpieczamy okolicę do czasu, aż Kristangowie będą mogli wylądować osobiście. Pokażemy Kristangom, że Siły Ekspedycyjne ONZ są zdyscyplinowane, kompetentne i gotowe do działań bojowych w przyszłości. Dowódcy plutonów, macie przygotować swoich ludzi na inspekcję o godzinie czternastej pojutrze. Jakies pytania?

Odezwałem się:

– Sir, gdzie lecimy i jakich warunków możemy się spodziewać?

Chciałem wiedzieć tyle, ile się da, o tym, w co się pakujemy.

– Krótka odpowiedź jest taka, że lecimy na zadupiaatego Neptuna. – Uśmiech wykrzywił tylko jedną stronę jego ust. – Atmosfera tlenowo-azotowa, nieco więcej tlenu niż na Ziemi. Grawitacja o dwa procent większa. Gwiazda jest gorętsza od naszego Słońca, ale planeta znajduje się dalej, więc klimat jest podobny do ziemskiego: gorący na równiku,

czapy lodowe na biegunach. To głównie rolnicza kolonia, którą Ruharowie nazywają Gethanu, co można przetłumaczyć jako Nowe Pole czy coś w ten deseń. – To wywołało śmiech. – Kristangowie nazywają ją Pradassis. A my nazwaliśmy ją Paradise. Ma jeden wielki kontynent, kilka archipelagów i sporych wysp wielkości Grenlandii, reszta to ocean. Nasi PowerPoint Rangers opracowali pakiet informacyjny, który dowódcy plutonów powinni otrzymać na tablety. Główny kontynent to w większości trawiaste stopy. Sporo farm obsługiwanych częściowo przez roboty. Ruharowie skupieni są w wioskach. Wszystko powinniście niedługo dostać w formie elektronicznej. Niech wszyscy dokładnie to przeczytają przed odlotem. Cała dywizja, plus nasi brytyjscy i francuscy przyjaciele, polecimy na trzech transportowcach. Podróż potrwa szesnaście dni. Kristangowie będą trzymać niszczyciel i dwie fregaty na orbicie jako wsparcie, ale to nasze show. Generał Meers zapewnił Kristangów, że damy sobie radę, i nie zamierzamy go zawieść.

Shauna zadzwoniła, zanim ja zdążyłem to zrobić.

– Słyszałeś? Wylatujemy!

– Tak, lecimy na Paradise.

– Do raju? – roześmiała się.

Nie widzieliśmy się od czasu mojego awansu na sierżanta. Oboje byliśmy zbyt zajęci, a ja cholernie zmęczony. Przyszło mi do głowy, że możemy się już więcej nie zobaczyć. Gdy opuścimy Obóz Alfa, zapewne trafimy na różne okręty i na różne obszary Paradise.

– Hej, powodzenia w czynnej służbie bojowej. – Nie chciałem kończyć rozmowy, ale nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Dzięki. Ale to poczeka, aż tam trafimy. – W tle słychać było donośne głosy. – Joe, muszę uciekać. Będziemy w kontakcie?

– Jasne.

I to by było na tyle. Przynajmniej lecieliśmy na tę samą planetę.

*

Można by pomyśleć, że „za dwa dni i jedną noc” może oznaczać dwa dni plus pełny sen, zanim w końcu wyruszymy. Cóż, byłaby to błędna myśl. Pobudka miała miejsce w środku nocy. Czuję się, jakbym ledwie zdążył położyć głowę na poduszce, kiedy w namiocie zapaliły się wszystkie światła i musiałem wstać. Wczesna pobudka nie była dla mnie niczym nowym, chociaż generalnie nie byłem rannym ptaszkiem. Moja siostra była prawdziwym skowronkiem i dorastając, nieraz miałem ochotę udusić ją poduszką.

W każdym razie musiałem wstać w środku nocy, a następnie obudzić resztę swojego zespołu. Nie dość, że kazano nam zerwać się o nieludzkiej porze, to jeszcze musieliśmy przygotować swoje rzeczy i

ustawić się w oczekiwaniu na inspekcję, żeby czekać przez cholerne trzy godziny, przez które można by zamiast tego robić coś produktywnego. Na przykład spać. Jako sierżant musiałem znosić wyrzut w oczach swoich ludzi, podczas gdy sam powinienem zachować neutralny wyraz twarzy.

Na lądowisku panował jeden wielki chaos. Kristangowie chcieli załadować promy tak szybko i wydajnie jak to możliwe, czyli w praktyce wcisnąć do nich w pośpiechu maksymalną liczbę ludzi, nawet jeśli oznaczało to rozdzielanie plutonów, drużyn, a nawet zespołów ogniowych. Gdy w końcu mieliśmy wchodzić do jednego z nich, Baker i Chen stali jedną nogą w drzwiach, gdy żandarmka uniosła rękę, aby zatrzymać kolejnych wsiadających.

– Mamy komplet, idźcie dalej – oznajmiła.

Energicznie pociągnąłem Bakera i Chena na zewnątrz za plecaki i dałem znak dwóm innym żołnierzom, żeby wchodzili. Nie zamierzałem rozdzielić swojego zespołu. Można by pomyśleć, że bylibyśmy pierwsi w kolejce do kolejnego promu, ale żandarmi mieli inne pomysły i odleciało kilka okrętów, zanim w końcu przyszła nasza kolej. Ale na tym nie koniec zamieszania. Gdy nasz prom zadokował do okrętu Kristangów, odkryliśmy, że nie tylko trafiliśmy na inny okręt niż reszta plutonu, ale większość naszych towarzyszy podróży była z 3 Dywizji Piechoty, nie z 10. Poza tym spotkaliśmy kompanię marines, nieco więcej niż kompanię Chińczyków, dwa oddziały Brytoli i garstkę Hindusów. Albo Kristangowie nie rozumieli naszego systemu organizacji, albo uznali go za nieistotny. Ponoć kwatera główna SEONZ próbowała ustalić, kto gdzie się znalazł, ale nie miałem możliwości skontaktować się z kimkolwiek w swoim łańcuchu dowodzenia. Zorganizowałem wspólny pokój dla nas i innych żołnierzy z Dziesiątej. Czekala nas samotna podróż i byłem wdzięczny, że moi ludzie wzruszyli ramionami jak gdyby nigdy nic. Jeśli to miało być najgorsze, w co się wpakowaliśmy, nie było tak źle.

4. PARADISE

Inaczej niż Alfa, Paradise miało windę kosmiczną. Wyglądała nieco inaczej niż ta unosząca się nad Ziemią. Ktoś powiedział, że tę postavili Ruharowie. To mnie zaskoczyło, bo spodziewałem się, że winda Ruharów uległaby uszkodzeniu podczas zdobywania planety przez Kristangów. Może było to sprzeczne z jakąś niepisaną zasadą? A może była to po prostu kwestia praktyczna? Zdobywcy nie chcieli zniszczyć cennego zasobu, a obrońcy uznali, że nawet jeśli przegrali tę bitwę, to może jeszcze kiedyś odzyskają planetę.

Winda Ruharów jeździła po błyskawicy, jak ta na Ziemi, ale podczas gdy „kabel” Thurarów składał się z czystej energii, ta dysponowała fizycznym przewodem, cieńszym niż ludzki włos, umiejscowionym w samym środku pioruna. Ze względu na to Ruharowie nie trzymali żadnych ważnych instalacji na równiku Paradise, bo gdyby kabel kiedyś się zerwał, owinąłby się kilka razy wokół planety i uderzył z potężną siłą, mimo niewielkiej masy. Powiedziano nam, że wzdłuż kabla zamontowano ładunki wybuchowe, aby jego potencjalne zerwanie było mniej katastrofalne, ale zdecydowanie nie chciałem stacjonować na równiku. Co chwila zerkałbym z niepokojem w niebo.

Jazda w dół nie różniła się szczególnie od podróży z Ziemi na orbitę poza tym, że żaden uśmiechnięty kucharz nie serwował pysznych cheeseburgerów. Musiały nam wystarczyć żelazne racje. Kabina windowa miała więcej okien, a część pasażerska była jakieś trzy razy większa niż ta na Ziemi. Zapewne tę przeznaczono głównie do użytku cywilnego.

Mieliśmy okazję dobrze przyjrzeć się Paradise, mimo że jechaliśmy dość szybko i odczuwaliśmy większe wibracje niż poprzednio. Planeta wyglądała dobrze, miała przynajmniej sporo błękitu i zieleni, a nie same odcienie brązu jak Alfa. Gdy zbliżyliśmy się na tyle, żeby rozpoznać zarysy wiosek, pomyślałem, że zaraz postawię stopę na swoim trzecim globie. Byłaby to moja pierwsza planeta stanowiąca terytorium wroga, gdyby wróg nie zdążył się poddać Kristangom.

Gdy znaleźliśmy się na tyle nisko, żeby dostrzec poszczególne budynki, dotknąłem oznak sierżanta na ramieniu. To miejsce było domem moich wrogów, obcych, którzy zaatakowali Ziemię. Nie żebym potrzebował dodatkowej motywacji, ale w tej chwili byłem zdeterminowany, aby zabrać stąd Ruharów zgodnie z planem i pokazać naszym zbawcom, Kristangom, że ludziom można powierzyć w przyszłości ważniejsze zadania. A jeśli jakieś cholerne chomiki miały stanąć mi na drodze, to cóż, pamiętałem o Zasadach, ale w razie czego zamierzałem odpłacić im pięknym za nadobne. Uznałem, że będę dla

nich tak samo łaskawy, jak oni dla nas, kiedy podstępnie zaatakowali Ziemię i zniszczyli naszą infrastrukturę energetyczną.

Gdy winda wylądowała z głuchym odgłosem, kazano nam jak najszybciej ją opuścić. Już dziesięć minut po tym, jak ostatni z nas znaleźli się poza windą, odezwał się alarm i kabina ruszyła w górę, by odebrać kolejną grupę z orbity.

Przyglądałem się jej, wciąż pod wrażeniem, podczas gdy strażnicy zagonili nas na lotnisko, gdzie czekał szereg największych samolotów, jakie widziałem. Strażnicy nazywali je dumbbo, ze względu na długie kadłuby i względnie małe skrzydła. Miały po cztery silniki, umieszczone wewnątrz skrzydeł obok śmigieł, i były jakieś sześć razy większe niż C-17, do których byłem przyzwyczajony. Dumbbo potrzebowały tylko krótkiego pasa startowego, ale nie potrafiły startować pionowo. To wymagałoby zbyt wiele mocy. Jeden z nich ruszył przed siebie i wzniósł się w powietrze z rykiem silników. Przysięgam, że wzniósł się już po jakichś trzystu pięćdziesięciu metrach. Opuszczał wylot silnika w dół, żeby łatwiej się unieść, po czym pałeczkę przejmowały skrzydła. Ponieważ wznosił się nieoczekiwanie wolno, wyglądało to, jakby trzymał się na niewidzialnym sznurku. Podobnie jak myszołowy, dumbbo stanowiły sprzęt pozostawiony przez Ruharów, który mieliśmy obsługiwać do czasu, aż planetę przejmą Kristangowie.

Mieliśmy ustawić się plutonami, tylko że mój zespół ogniowy był sam. Dopiero po jakimś czasie dowiedziałem się, że w końcu mamy połączyć się z naszym plutonem. Gdy sierżanci sztabowi przeliczyli głowy na poziomie oddziałów, plutonów i kompanii, czekaliśmy. I czekaliśmy. I czekaliśmy jeszcze dłużej w palącym słońcu. Musieliśmy tak stać przez godzinę, w ciągu której inne plutony i kompanie maszerowały obok nas i kolejne dumbbo lądowały, brały ludzi na pokład, żeby znów odlecieć. Widziałem krążące dalej znane z Alfy kurczaki i myszołowy.

Tyle dobrze, że nawierzchnia była jasnobrażowa i nie topiła się od upału jak asfalt na Ziemi. Po godzinie, podczas której moi podkomendni wciąż zachowywali się wzorowo, w końcu przemaszerowaliśmy przez lotnisko obok kilku pustych, czekających samolotów do naszego dumbbo. Dobrze było widzieć, że Armia USA była tak samo doskonale zorganizowana na innych planetach, jak na Ziemi. Wcisnęliśmy się w niewygodne fotele i znów musieliśmy czekać. Z wentylatorów na przodzie kabiny leciało chłodne powietrze, ale zanim dotarło do nas, na tyłach, robiło się gorące i wilgotne prawie jak na zewnątrz.

Na tylnej rampie zapanowało zamieszanie. Jakiś kapitan wskazywał na tablet i kłócił się z porucznikiem. Porucznik pokręcił głową i ruszył w naszą stronę, wyraźnie niezadowolony. Zbliżył się na tyle, że na naszym przeczycielem jego nazwisko, „Koenig”. Wstałem i zasalutowałem.

– Co się dzieje, sir?

– Szlag by to – mruknął. – Mówią, że jesteśmy w złej maszynie. Zaraz to wyjaśnimy.

Niezależnie od tego, na czym polegał problem, pięć minut później drzwi się zatrzasnęły i ruszyliśmy. Wszyscy wydali okrzyk zadowolenia. Poszły słuchy, że powinniśmy się odprężyć i przygotować na dwie godziny lotu naddźwiękowego. Gdy osiągnęliśmy standardową prędkość, czyli niecałe półtora macha, pilot oznajmił to przez głośniki. Latałem już wtedy szybciej niż światło przez tunele czasoprzestrzenne i podróżowałem z orbity oraz na orbitę promem, ale i tak ta prędkość zrobiła na mnie wrażenie. Pochyliłem się do podporucznika siedzącego obok mnie.

– Sir, kto tym steruje?

Ziewnął.

– Jakieś palanty z lotnictwa.

– Hm, ile czasu się szkolili? – spytałem powoli, nie chcąc usłyszeć spodziewanej odpowiedzi.

Na Ziemi piloci C-17 musieli przez lata ćwiczyć na symulatorach, zanim usiedli choćby w fotelu drugiego pilota. Nie ma szans, żeby ci tutaj latali dłużej niż przez dwa tygodnie. Zupełnie nowym dla nich, gigantycznym samolotem.

– Nie ma się czym martwić, sierżancie – powiedział, chociaż nie patrzył mi w oczy. – Większość roboty wykonuje komputer, a w razie czego ktoś z Kristangów na orbicie może zdalnie przejąć sterowanie. Kolesie w kokpicie są tylko od parzenia kawy.

Nie roześmiałem się.

*

Lot nie obfitował w wydarzenia poza tym, że zakończył się tak nagłym lądowaniem, że pomyślałem, że pilot musi być z marynarki, nie z lotnictwa, i próbuje wylądować na lotniskowcu. Wtedy zobaczyłem „lotnisko”, które było po prostu polem, gdzie niedawno musiały rosnąć jakieś uprawy. Nie czekając, pomaszzerowaliśmy do czekających myszołowów. Cieszyłem się na myśl o locie nową dla mnie maszyną. Zmieściło się nas w niej trzydziestu. Chciałem siedzieć przy drzwiach, z nogami wiszącymi w powietrzu i karabinem na kolanach, przyglądając się okolicy, ale drugi pilot szybko mnie naprostował.

– To nie blackhawk, sierżancie. Po osiągnięciu odpowiedniej wysokości latamy sześćset pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Jeśli chcesz wylecieć za drzwi, proszę bardzo, ale zamknij je za sobą.

Znalazłem wolny fotel. Sierżant sztabowy uśmiechał się do mnie i później dowiedziałem się, że przyszło mu do głowy to samo. Lot

myszolowem także nie był zbyt ciekawy, leciało się nim dużo spokojniej niż jakimkolwiek śmigłowcem. Przelecieliśmy nad niekończącymi się farmami, lasami i jeziorami. W końcu znaleźliśmy się nad wioską i po paru okrążeniach wylądowaliśmy.

*

Gdy drzwi myszolowa otworzyły się, wszyscy to poczuliśmy. Znacnie zapach świeżo skoszonego siana albo, jeśli mieszkaliście na przedmieściach, świeżo przyciętej trawy? Ten czysty, świeży, dodający sił zapach natury, który przypomina o dzieciństwie, o bieganiu boso przez pole pod błękitnym niebem z pierzastymi chmurami? Tak? No to tam pachniało zupełnie inaczej. Odór dolatujący z pola chomików, gdzie uprawiali cholera wie co, przypominał...

Baker zrobił wdech i zmarszczył nos.

– Kurna, co to jest?

To nie było coś oczywistego, ale raczej z tyłu głowy, z tyłu nosa, zapach, który kazał zatrzymać się i próbować go zidentyfikować. Miałem dobrą pamięć do woni, ale zajęło mi to chwilę, bo był bliski, ale nie do końca identyczny.

– Parmezan – stwierdziłem.

Nie parmezan w ciepłej misce spaghetti w chłodną zimową noc, z paroma soczystymi klopsikami, polanymi pysznym sosem pomidorowym, który cały dzień gotował się na wolnym ogniu, kiedy siedzisz sobie z chlebem czosnkowym i kieliszkiem czerwonego wina i posypujesz miskę parmezanem, który roztapia się w sosie... Zupełnie nie tak. Raczej parmezan w chwilach, kiedy niedobrze ci od grypy albo masz cholernie mocnego kaca i twój żołądek ledwie wytrzymuje zapach parmezanu, który zbyt długo leżał poza lodówką, i wiesz, że zaraz zwymiotujesz. To właśnie smród takiego parmezanu czuliśmy znad pola.

– Parmezan... cholera, śmierdzi jak stopy Sancheza! – powiedział z obrzydzeniem Chen.

– Moje stopy? A wachałeś kiedyś swoje?

– Ja tam swoje myję!

– Może raz na rok.

– Dobra, uspokójcie się – rozkazałem. – Może to jakieś chemikalia, którymi spryskują uprawy, i wkrótce się ulotni. Albo się przyzwyczaimy.

– Cholera. – Chen splunął. – Spałem od tygodni obok Sancheza i nie przyzwyczaiałem się jeszcze do jego śmierdzących stóp. Jeśli cała planeta tak cuchnie, to zapowiada się naprawdę długa misja...

Reszta naszego plutonu już tam była i rozstawiała namioty wokół stodoły. Wioska chomików znajdowała się pół kilometra na wschód.

Zgłosiłem się wraz z zespołem ogniowym do starszego sierżanta, który kazał mi iść do porucznika Charlesa w namiocie.

Wykonałem polecenie.

– Sierżant Bishop zgłasza się wedle rozkazu, sir – zsalutowałem oficerowi.

– Bishop, spodziewałem się twoich ludzi rano – odsalutował od niechcienia. Wydawał się rozproszony. Ale rozstawianie obozu na obcej planecie faktycznie musi przyprawiać o ból głowy.

– Masakra z przydziałem do promów na Alfie, sir. Kristangowie umieścili nas na nie tym, co trzeba. Ale już jesteśmy w komplecie. Sierżant Agnelli wszystkiego pilnuje.

– Tak, SEONZ rozproszono po całej planecie. Ale w końcu dotarliście, chociaż tyle. – Wskazał na mapę rozłożoną na stole.

Prawdziwą mapę, wydrukowaną na jakimś plastiku. Przedstawiała około jednej dziesiątej głównego kontynentu, część, na której się znajdowaliśmy. Głównie farmy na płaskim terenie z niewielkimi wzniesieniami biegnącymi z północy na południe, rzekami i jeziorami tu i ówdzie. Wybrzeże leżało na zachodzie, a winda kosmiczna gdzieś poza mapą na południowym wschodzie.

– Znajdujemy się w tej okolicy. – Wskazał obszar zaznaczony na szaro. – Ruharowie nazywają ją... jakoś tam. – Wskazał na znaki w alfabecie Ruharów. – Ale my nazywamy ją Zadupistanem.

– Zadupistanem?

– Na północ od nas jest Dupistan, więc tu musi być Zadupistan, prawda? Twój zespół ogniowy zajmie wioskę jakieś sto kilometrów na zachód stąd. – Pokazał małą kropkę na mapie. – Tutejsze chomiki to rolnicy, populacja około dwustu pięćdziesięciu, jeśli liczyć wszystkie okoliczne farmy. Jest szkoła, stodoły i silos zbożowy, trochę domów i tyle.

Jeden czteroosobowy zespół ogniowy kontra dwieście pięćdziesiąt chomików? Nie podobało mi się to. Zespoły ogniowe zwykle nie działały w pojedynkę, ale w ramach oddziału dowodzonego przez sierżanta sztabowego.

– Sir, jak jeden zespół ogniowy ma pilnować tylu chomików?

– Nie będzie. To eksperyment. – Skrzywił się. – Genialny pomysł z dywizji. Mamy rozproszone zespoły szybkiego reagowania z mysołowami i kurczakami, ze wsparciem artylerii Kristangów na orbicie. – Spojrzał na sufit namiotu. – Mamy do dyspozycji sporo siły ognia, ale dywizja chce uniknąć jej użycia.

Ręce mi opadły.

– Serca i umysły? – tak w Armii nazywaliśmy próby sprawienia, aby ludność cywilna z nami współpracowała, a przynajmniej nie stawiała aktywnego oporu.

Zacząło się w Wietnamie i próbowano tego w różnych wersjach i pod różnymi nazwami w Iraku, Afganistanie, Nigerii, i praktycznie wszędzie, gdzie wchodziły Stany Zjednoczone. Budowaliśmy szkoły, drogi, wodociągi i sieci energetyczne, pomagaliśmy siać i zbierać plony. Na dłuższą metę unikanie robienia sobie nowych wrogów było tańsze i skuteczniejsze niż zabijanie. Zwłaszcza jeśli wróg, którego zabiłeś, był czyimś krewnym, a wtedy oni, może nawet całe plemię, stawali się twoimi wrogami. Ale jeśli wiecie cokolwiek o historii, to wiecie też, że skutki tych kampanii nie zawsze były najlepsze. Miesiąc po tym, jak wycofaliśmy się z jakiegoś regionu w Trzecim Świecie, ktoś palił szkoły, wysadzał wodociągi, rozkradał kable na złom. Nasi politycy i tak ogłaszali zwycięstwo, po czym brali się za następny kryzys.

– Raczej miękki pokaz siły, Bishop. Nie będziemy budować szkół dla tych chomików, chcemy tylko, żeby zachowały spokój do czasu ewakuacji. Uznaj to za swój własny kawałek rajy – dodał z uśmiechem.

– Sir, jestem świeżo upieczonym sierżantem...

– Jesteś też rolnikiem, dorastałeś na farmie. Podobnie jak Sanchez i Baker. Chomiki to wprawdzie kosmici, ale uprawiają ziemię i mam nadzieję, że lepiej ich zrozumiesz niż niektórzy z naszych miastowych chłopaków. Kolej na ewakuację tego regionu przyjdzie dopiero za jakiś czas, więc jest więcej czasu na to, żeby coś poszło nie tak. – Położył mi rękę na ramieniu i lekko ścisnął. – Nie musicie być mili dla chomików, ale nie próbujcie ich zastraszać. Już się zgodzili opuścić planetę, umowa z Kristangami pozwala im na dalszą uprawę roli i zbiory aż do zakończenia ewakuacji. Ruharowie płacą Kristangom za transport zbiorów. Wiem, brzmi wariacko, ale Kristangowie toczą tę wojnę od dawna, więc wiedzą, co robią. Tutejsi Ruharowie chcą utrzymać transporty żywności, więc powinni mieć dobre powody, żeby z nami współpracować. Jeśli wpadniesz w kłopoty, zadzwoń przez zFona i przyłeci kawaleria. Jeśli zrobi się naprawdę źle, Kristangowie mogą przywalić w dowolne miejsce z orbity i chomiki o tym wiedzą.

Nieszczęśliwie mi ulżyło.

– Agnelli zabierze resztę oddziału do wioski na północ od waszej. Nie jesteście siłami okupacyjnymi, SEONZ nazywają te jednostki zespołami obserwacyjnymi. Wywiad chce wiedzieć jak najwięcej o chomikach. Obserwacja powietrzna czy satelitarna nie powie nam wszystkiego, okresowe patrole też nie. Musimy mieć ludzi na miejscu, żyjących między chomikami. Na tablecie masz dokładne wytyczne i zasady podejmowania działań z użyciem siły. Dobrze by było porządniej was wyszkolić, ale dywizja chce mieć wszystkich na miejscu jak najszybciej, żeby futrzakom nie przychodziły do głowy głupie pomysły.

– Tak jest, sir. Zrobi się.

Nie musiało mi się to podobać. Dlatego nazywano to rozkazami, a nie

sugestiami.

*

Gdy dotarłem do miejsca, którego pluton używał jako parkingu, moja pewność siebie jeszcze bardziej zmaląła.

– Co to jest, do cholery? – spytałem.

– To chomvee, panie sierżancie – odparł mechanik, szczerząc zęby.

– Co takiego?

– Nazywamy to chomvee, bo są trochę jak humvee na Ziemi, ale z przerobionych pojazdów chomików. Bierzemy ich furgonetki, naklejamy pancerz kompozytowy i mamy chomvee.

Wydawał się dumny z kupy złomu, w której mieliśmy patrolować okolicę. Już lodziarka z Barneyem była lepsza. Jakby wziąć SUV z większymi, ale delikatnie wyglądającymi oponami, grubymi szybami w oknach i wielokolorowymi panelami doczepionymi bez ładu i składu tu i ówdzie, to otrzymalibyście coś mniej więcej podobnie brzydkiego.

– Naklejecie?

– Tak. Nie da się przyspawać, bo to nie metal. Używamy tego kleju Kristangów. – Podniósł pistolet uszczelniający, jaki można kupić w każdym sklepie z narzędziami na Ziemi. – Przyczepiamy panele za pomocą tego dynksu, a potem używamy tego wihajstra Kristangów. – Przedmiot wyglądał jak żelazko. – Żeby się nie odczepiało. Cholernie mocna rzecz.

– Dynks? Wihajster? Nie brzmi imponująco.

Wzruszył ramionami.

– Kristangowie mają dla tego wszystkiego własne nazwy, ale trudno je wymówić.

– Macie coś cięższego? – spytałem sceptycznie, przebiegając palcami po pancerzu, który w dotyku był trochę jak styropian. Miał około dziesięciu centymetrów grubości i zwężał się przy krawędziach drzwi, które musiały być słabym punktem. O ile styropian miał jakieś mocne punkty.

– Mamy też chomtraki, coś jak bradleye czy strykery, to ich transportery opancerzone. Ale są do użytku na poziomie kompanii. Nie martwcie się, widziałem demonstrację tego pancerza. – Zastukał pięścią w styropian. – Zwykle kule robią w nim tylko niewielkie wgłębienia. Trzeba przywalić w to samo miejsce kilka razy z wybuchowej amunicji, żeby się przebić. Twarda rzecz. Powinniśmy sprowadzić trochę na Ziemię.

– Demonstrację? Dołączycie do nas na patrolu, jak będą do nas strzelać?

Pokręcił głową i uśmiechnął się.

– Nie moja działka, sierzancie. Ale bawcie się dobrze i nie zarysujcie lakieru. Szeregowy Ringold pokaże wam, jak je prowadzić i ładować akumulatory.

*

Po tym, jak odebraliśmy dwa chomvee, pojechaliśmy do kwatermistrza po sprzęt potrzebny nam do wykonywania zadań. Magazyn wyglądał i śmierdział jak stary kurnik. Najpierw dostaliśmy ekwipunek osobisty: dodatkowe mundury, opancerzenie, wszystko, czego potrzeba żołnierzowi okupującemu obcą planetę. Następnie amunicja i broń ciężka, czyli rakiety Javelin i znajoma niekierowana broń przeciwpancerna, szwedzkie AT4-CS. Byliśmy potężnymi najeźdźcami na obcej planecie, wyposażonymi w broń, z której strzelaliśmy do paramilitarnych bojówek w Nigerii. Jeśli o mnie chodzi, nie brzmiało to dobrze. Ale nikt nie pytał mnie o zdanie.

*

Kolejnego ranka nadszedł czas, aby wyruszyć do celu. Sierżant Mitchell przyszedł nas odprawić.

– Gotowy, Bishop?

– Jakbym powiedział, że nie, czy robiłoby to jakąś różnicę?

Mitchell roześmiał się.

– Porucznik nie wysłałby cię tam, gdyby w pełni ci nie ufał, Bishop. Więc Alpha Mike Foxtrot. – Oznaczało to *adios, motherfucker*. Nic nie odpowiedziałem.

*

Ruszyliśmy w stronę przydzielonej nam wioski. Za nami ciągnął się tuman kurzu unoszącego się wysoko na wietrze, zdradzając naszą pozycję każdemu, kto mógłby nas wypatrywać. Zbliżając się do osady, dotarliśmy do niewielkiego wzniesienia i kazałem naszej kolumnie się zatrzymać. „Kolumna” to przesada, bo mieliśmy tylko dwa chomvee.

Oba pojazdy były pełne wszystkiego, co potrzebne na miesiąc, w tym jedzenia, leków i papieru toaletowego. Dostaliśmy standardowy zapas amunicji do karabinów, zarówno zwykłej, jak i wybuchowej. Poza tym dwa javeliny bravo i dwa AT-4. Żadnych moździerz. W razie potrzeby mieliśmy wzywać kawalerię powietrzną. Starszy sierżant zapewnił mnie, że czekają nas regularne odwiedziny ze strony kwatery głównej plutonu i zaopatrzenie co dwa tygodnie. Jeśli był tak samo sceptyczny co do tej „miękkiej siły” jak ja, nie zdradzał tego w żaden sposób. Osobiście

dawałem temu eksperymentowi mniej niż miesiąc, zanim dywizja albo szczyty z SEONZ pójdą po rozum do głowy. Rozproszenie naszych sił po całej planecie było zaproszeniem chomików do pokonania każdej grupy z osobna dzięki czystej przewadze liczebnej. Gdyby tak się stało, Kristangowie zbombardowaliby ich z orbity, ale nie stanowiłoby to wielkiego pocieszenia dla martwych ludzi.

Zgodnie z planem nad wioską przeleciała para kurczaków, przykuwając uwagę mieszkańców. Kurczaki miały wysunięte dzioba i po przelocie nad główną uliczką uniosły się wyżej i rozdzieliły. Jeden zapewniał wsparcie od północy, a drugi krążył nad nami. Spojrzałem jeszcze raz na pakiet informacyjny w tablecie – zdjęcia satelitarne, raporty od dwóch kolumn zwiadowczych, które przejechały przez wioskę dwa dni wcześniej, i dane regionalnego samorządu chomików. Według ich zapisów obecnie populacja wynosiła sto osiemdziesiąt chomików, czyli mniej niż dwieście pięćdziesiąt, o których słyszałem w plutonie.

Nasze przybycie nie powinno stanowić zaskoczenia, jako że władze Ruharów twierdziły, że skontaktowały się z mieszkańcami i poprosiły o pełną współpracę. Dostaliśmy też laminowane karty, zapisane alfabetem Ruharów, które mieliśmy rozwiesić w ważnych miejscach wioski. Zapisano na nich rzekomo zasady, takie jak godzina policyjna, zakaz noszenia broni i co chomiki mogą zrobić, żeby ułatwić nam zadanie. Czuję się z tym wszystkim nieco niekomfortowo, brzmiało to jak coś, co w okupowanych wioskach robili hitlerowcy czy Sowieci.

Dałem znać pilotowi kurczaka, że jesteśmy gotowi, i kazałem Sanchezowi ruszyć. Nasze wyposażone w silniki elektryczne chomvee niemal bezgłośnie wjechały do wioski. Zwolniliśmy, gdy dotarliśmy do pierwszego budynku, oficjalnego początku wioski. Miejscowość nie była szczególnie spektakularna, chociaż zważywszy na to, że sam pochodzę z wiejskich obszarów, doceniałem dobry stan utrzymania budynków, zarówno domów, jak i stodoł. Przy domach rosły dające cień drzewa, krzaki i kwiaty, ogrodzone były schludnymi płotami. Spodziewałem się, że chomiki nieco się zapuszczą, zapomną o takich rzeczach jak kwiaty czy utrzymanie porządku, jako że mieli niedługo opuścić planetę. Spodziewałem się graffiti, jakiegoś „ludzie do domu” czy czegoś takiego. Zamiast tego wszystko wyglądało tak, jakby gryzonie zamierzały zostać na dłużej. W jednej ze stodoł wymieniano właśnie dach. Czy Ruharowie nie potrafili zaakceptować, że stracili planetę, czy może wiedzieli coś, czego nie wiedziały SEONZ? W każdym razie zamierzałem to zgłosić przełożonym.

Sanchez pochodził ze wschodniego Kansas i stwierdził, że wioska, pola, w ogóle cała okolica przypomina mu dom. Mnie trochę też. Budynki były ładne, ale bez przepychu, każdy miał obok stodołę i szopę.

U nas przed domami wisiłyby ogłoszenia o różnych fuchach, które wykonywali ludzie, żeby jakoś związać koniec z końcem. Wiadomości o uczciwej robocie, jak sprzedaż świeżych jaj, spawanie, naprawa silników, obcinanie włosów, rąbanie drewna, opieka nad dziećmi. Mój ojciec uważał, że można łączyć na przykład rąbanie drewna i opiekę nad dziećmi, zamiast pozwalać dzieciom leniwie spędzać czas z kolorowanymi czy klockami. Mawiał: „Wy, gówniarze, lepiej porąbcie te trzy pieńki do piątej albo nie dostaniecie żadnych soczków w kartonie. I jak się rąbniecie w nogę, to żadnego płakania. To tylko rana powierzchowna”.

No dobra, może nieco przesadzam.

Na drodze i w polu widać było pojazdy i chociaż miały ewidentnie obcą konstrukcję, także przypominały mi dom. Każdy miał pogięte błotniki albo jakiś panel innego koloru niż reszta. Robocze pojazdy ludzi pracy, takich jak ja. No, tylko że nie ludzi. No i takich, którzy bez prowokacji zaatakowali Ziemię. Teraz, jak o tym pomyślałem, miałem nadzieję, że żadnego z naszych chomvee nie zarekwirovano z tej konkretnej wioski. To byłaby niezręczna sytuacja.

Chomik płci męskiej wyszedł na skraj ulicy i pomachał w sposób, jak miałem nadzieję, przyjazny, a przynajmniej niegroźny. Wiedziałem, że to samiec, bo miał twarz całą zarośniętą gęstym futrem. Samice miały na twarzy tylko ledwie widoczne futerko. Samce posiadały też większe wąsiki.

Nosił ogrodniczki z materiału przypominającego dżins, z łatami na kolanach. Identyczne ubrania nosił mój ojciec w czasie prac domowych. Oraz coś w rodzaju słomkowej czapki bejsbolowej. Nadrukowano na niej logo, być może chomiczej drużyny sportowej albo firmy produkującej nasiona czy traktory.

Kazałem Sanchezowi zatrzymać samochód, ale zostawić go na chodzie, i wysiadłem. Karabin odłożyłem na siedzenie. Przy pasie miałem pistolet, ale poza tym byłem nieuzbrojony. Serca i umysły, powtarzałem sobie. Zobaczmy, czy uda się nawiązać pokojowe relacje. Potem mogło zrobić się mniej spokojnie, ale trudno byłoby załagodzić kiepski początek. Poza tym nad nami krążyła para kurczaków, gotowa do działania.

ZFon ustawiony został już na język ruharski. Uniosłem rękę i powiedziałem po prostu:

– Dzień dobry.

Chomik mówił do własnego odpowiednika zFona.

– Dzień dobry. Witajcie w Teskor. Teskor to nasza wioska.

A więc miejscowość nazywała się Teskor, a przynajmniej tak brzmiało jej tłumaczenie. Wskazałem na swoją klatkę piersiową.

– Jestem Joe Bishop. – Nie wspominałem o swoim stopniu, bo nie

wiedziałem, czy kosmici rozumieją, co znaczy „sierżant”.

Chomik skinął głową.

– Ja nazywam się Lester Kukurydziarz.

– Lester Kukurydziarz?

Byłem zaskoczony. Przysięgam na Boga, to właśnie translator powiedział mi do ucha. Powiedziano nam, że nazwy nie podlegają tłumaczeniu, więc dźwięki dla „Teskor” i „Lester Kukurydziarz” brzmiały dokładnie tak w jego ustach, wymawiane nieco piskliwym głosem.

Chomik z uśmiechem odparł:

– Tak.

Baker spytał mnie na kanale taktycznym:

– Czy on właśnie powiedział, że nazywa się Lester Kukuryku?

– Kukurydziarz – odpowiedziałem po zapauzowaniu funkcji translatora.

Cała nasza czwórka roześmiała się i zgodziliśmy się, że to doskonałe nazwisko dla chomiczego rolnika. Włączyłem z powrotem translator.

– Jesteś przywódcą tej wioski?

– Nie przywódcą, nie mamy tu władz. – Wskazał na jeden koniec wioski, a następnie na drugi, zapewne, żeby pokazać, że tak mała miejscowość ich nie potrzebuje. – Wybrano mnie, abym z wami rozmawiał. Będziemy współpracować zgodnie z instrukcjami – mój translator wydał z siebie szum, jakby czegoś nie rozumiał – i mamy nadzieję, że wasz pobyt w Teskor będzie przyjemny. To dobre miejsce.

Wrogi gatunek czy nie, Lester nie zaatakował osobiście Ziemi. Może nawet o niej nie słyszał. Serca i umysły, powtarzałem sobie. Odbiliśmy krótką rozmowę, potwierdzając, że rozumiał datę ewakuacji Teskor do windy kosmicznej i że zarekwirujemy gospodarstwo na obrzeżach miejscowości. Lester powiedział, że już oczyścili to miejsce w oczekiwaniu na nasze przybycie. Mieszkająca tam wcześniej rodzina straciła syna, gdy Kristangowie odzyskali planetę, i przeprowadziła się kilka miesięcy temu do dalszych krewnych. Rozwiesiliśmy plakaty, pojechaliśmy na drugi koniec wioski i z powrotem, a następnie do naszego prowizorycznego posterunku. Nasze przybycie nie było szczególnie spektakularne. Gdy dotarliśmy do domu, w którym mieliśmy się zatrzymać, machnąłem ręką do kurczaków, aby dać im znać, że mogą odlecieć, i zaczęliśmy się rozpakowywać. Czuję się jak dzieciak bawiący się w dom. Wysłałem wiadomość do Shauny, ale nie została odebrana. Być może dziewczyna jeszcze nie wylądowała.

W nocy nie mogłem zasnąć. Zbyt przejmowałem się swoją pierwszą misją jako dowódcy, nawet jeśli tylko zespołu ogniowego. Organizując nasz posterunek, czuję się jak prawdziwy sierżant. Objąłem pierwszą wartę i pozwoliłem pozostałym spać. Nad ranem, jako że nie chciało mi

się spać, zwolniłem Bakera, żeby mógł się nieco zdrzemnąć. Byłem nie tylko podekscytowany, ale i nerwowy. Jeśli chomiki miały wrogie zamiary, to zaatakowałyby pierwszej nocy, zanim rozmieścimy systemy czujników i obsadzimy stanowiska ogniowe. Ustawiliśmy drabinę, aby w czasie warty można było wspiąć się na dach budynku, i tam właśnie siedziałem rano. Dach dawał widok na wszystkie strony, ale miał tę wadę, że osoba pełniąca wartę była odsłonięta. Nasze zFony miały funkcję, która w wypadku śmierci użytkownika, zatrzymania pracy serca, powiadamiała wszystkich w okolicy. Pocieszało mnie to, że jeśli zdejmie mnie snajper, to moich ludzi już nie weźmie z zaskoczenia.

SEONZ uważały, że czteroosobowy zespół ogniowy pozostawiony sam sobie to świetny pomysł. Siedząc tam na dachu wczesnym świtem, nie byłem pewien, czy nas po prostu nie wystawili na odstrzał. O takiej porze, z myślami czarnymi jak niebo, zastanawiałem się, czy SEONZ nie miały nadziei na to, że dojdzie do ataków na posterunki, co dałoby okazję pokazać Kristangom, do czego jesteśmy zdolni w walce. Bóg jeden wie, że Armia USA wysyłała mnie na patrole w Nigerii, które wydawały się nie mieć sensu poza narażaniem nas na improwizowane ładunki wybuchowe i ogień snajperów. Nie żebym nie ufał samej armii, ale rozkazy wydawali politycy. Ludzi w domu podniosłyby bardziej na duchu wieści o tym, że ich pobratymcy biorą udział w walkach niż informacje o patrolowaniu spokojnych wiosek. Politycy kochają sensacyjne nagłówki gazet.

Cóż, przynajmniej w Teskor było spokojnie. Tak spokojnie i ciemno. Planeta była na tyle rzadko zaludniona, że nie było na niej wiele zanieczyszczenia świetlnego. Teskor w nocy było dość ciemne, bez żadnych latarni i tylko z rzadka z jakimiś lampami przed czy za domem. Nie widziałem takich ciemności, odkąd wyjechałem z dotkniętego brakami elektryczności Maine. Nasza baza na Alfie była oświetlona reflektorami tak, że prawie nie było widać gwiazd. Tutaj, na dachu w małej wiosce, na obcej planecie, widziałem niebo. Gwiazdy. Drogę Mleczną. Tak daleko od Ziemi gwiazdozbiory były nie takie jak trzeba, ale Droga Mleczna przecinała niebo w całej swojej chwale. Zapierało dech w piersiach. Musiałem przypominać sobie, żeby wciąż nie gapić się w niebo. Miałem pełnić wartę, a nie przyglądać się gwiazdom. Patrzyłem na horyzont i drogę z wioski w podczerwieni, ale nie dostrzegałem żadnego ruchu. Na wschodnim niebie widać było odrobinę różu zbliżającego się świtu. Owady zaczynały brzęczeć, świergotać i wydawać inne dźwięki. O tej porze na Ziemi zaczynałyby śpiewać ptaki, ale tu żadnych nie było. Według przewodnika po planecie latające zwierzęta inne niż owady nie mogły tu ewoluować jeszcze przez miliony lat.

Patrzyłem, jak wschodnie niebo rozświecła się, słuchałem brzęczenia

owadów. Poczulem tęsknotę za domem. Za Ziemią. Zwłaszcza za Ziemią taką, jaka była kiedyś, przed najazdem obcych, zanim prąd był luksusem, zanim zobaczyłem migoczące światła na niebie i pomyślałem, że to może być coś innego niż deszcz meteorów.

Przed Dniem Kolumba.

*

Podczas śniadania skontaktowali się ze mną Jesse i Shauna. Placek powiedział, że nasz dawny oddział jest teraz częścią grupy szybkiego reagowania stacjonującej około ośmiuset kilometrów na północ od Teskor. Był podekscytowany, bo dostali naprawdę dobry przydział. Dużo lepszy, jak stwierdził drwiąco, niż niańczenie chomików. Musiałem się z nim zgodzić. W zespole ogniowym zastąpił mnie nowy facet z Karoliny Północnej. Placek stwierdził, że jest dużo lepszy, bo ma porządny południowy akcent, a nie mój wieśniacki ze wschodu.

Shauna poinformowała mnie, że jej jednostkę czasowo przydzielono do bazy logistycznej ponad półtora tysiąca kilometrów na wschód od nas. Napisałem do niej trzy wiadomości, skasowałem je i wysłałem prostą odpowiedź. Były spore szanse, że nie zobaczymy się przez dłuższy czas, być może nigdy, i chciałem odpowiedzieć przyjaźnie, ale nie zbyt przyjaźnie, żeby nie czuła się zbyt zobowiązana, co mogłoby zrobić się niezręczne.

*

Trzeciego dnia naszych „patroli” w wiosce zaczęliśmy się czuć dość głupio. Na patrol zakładaliśmy pełne pancerze bojowe, słuchawki od zFona, kamery i mikrofony, ciemne gogle i maszerowaliśmy ulicami z bronią w gotowości i palcami blisko spustu, starając się wyglądać groźnie, gdy przechodziliśmy obok małych domków, stodół, pól i szkoły, aż na skraj wioski, po czym wracaliśmy na posterunek. Nie było łatwo sprawiać wrażenia twardzieli, gdy chomiki siedziały na gankach, piły herbatę i machały do nas. Albo pracowały w polu i przerywały, by do nas pomachać. Albo gdy ich dzieci z ekscytacją przyglądały się nowym kosmitom. Nam.

Aby pokazać chomikom, że mamy porządne wsparcie, przez pierwszy tydzień raz czy dwa razy dziennie nad wioską przelatywały nisko myszołowy i kurczaki. Miało to dodawać nam otuchy, ale gdy patrzyliśmy, jak znikają nad zachodnim horyzontem, uświadamialiśmy tylko sobie, jak bardzo odizolowani jesteśmy.

Punkt zwrotny podczas naszego przydziału do Teskor przyszedł siódmego dnia rano, po tym jak odbyliśmy poranne i wieczorne patrole,

po czym sumiennie wysłałem do dowódcy plutonu raport o niczym. Wziąłem ze sobą Sancheza, żeby przyjrzeć się stodołę, która mnie zaciekała. Nie podejrzewałem chomików o żadną działalność wywrotową, tylko po prostu chciałem zajrzeć do wnętrza. Minęliśmy szkołę, przed którą grupa chomiczych dzieci kopała piłkę wyglądającą jak zrobiona z taśmy klejącej. Wiedzieliśmy, że chomiki nie dostają żadnych luksusowych dóbr spoza planety. Kristangowie dostarczali z orbity tylko podstawowe zaopatrzenie medyczne. Wszystko inne związane z chomikami miało lecieć wyłącznie w górę. Dzieciaki zapewne musiały latać piłkę taśmą.

Stodoła nie była wyjątkowa, zbudowano ją z metalowych belek i jakichś tafli plastiku, których Ruharowie powszechnie używali. Na zewnątrz była czerwona, co zdawało się dość interesujące. Może malowanie stodoł na czerwono było kolejną uniwersalną cechą różnych gatunków? Na początku myślałem, że to jakiś rodzaj kurnika, ale w końcu moje oczy przyzwyczyły się do półmroku. Wtedy zrobiło się dziwnie. Na otaczających nas półkach, owszem, trzymano zwierzęta i śmierdziało jak w chlewie albo kurniku. Dziwne było to, że każde zwierzę, długie prawie na dwa metry i szerokie na metr, miało zamiast głowy srebrną czapę, z której do ścian prowadziły kable i rurki. Zwierzęta leżały spokojnie. Widziałem, że niektóre, w dalszej części stodoły, były mniejsze, może młodsze? Najdziwniejsza była cisza, żadnego gdakania kur ani chrząkania świń. Tylko szum wentylatorów i pomp elektrycznych. A z drugiego końca stodoły szedł w moją stronę mój przyjaciel Lester Kukurydziarz, machając do mnie serdecznie.

– Witaj, Joseph Bishop – zawołał.

– Witaj, Lester Kukurydziarz. – Musiałem wymówić jego nazwisko poprawnie, bo uśmiechnął się i lekko uklonił. – Co to za miejsce? – spytałem. – Co to za zwierzęta?

– Zwierzęta? To nie zwierzęta. Ruharowie nie jedzą zwierząt, od dawna uważamy to za – dokończył po pauzie, dobierając starannie słowa – barbarzyństwo.

Uśmiechnął się przepaszajaco. Zastanowiło mnie, czy po ruharsku brzmiało to jeszcze gorzej niż w tłumaczeniu.

– Jak dla mnie wyglądają na zwierzęta – stwierdził za moimi plecami Sanchez. – Ruszają się.

Pan Kukurydziarz podszedł do jednego ze zwierząt, czy czymkolwiek było, i dotknął go palcem. Nawet nie zareagowało. Ale ruszało się co jakiś czas, kołyszając na boki.

– To źródła pożywienia. – Zapewne nie było to idealne tłumaczenie. – Nie mają mózgow, jedynie ograniczony układ nerwowy. Ich ciała to niemal samo mięso, zostały zaprojektowane genetycznie. Centralny komputer zastępuje ich układ nerwowy. – Wskazał na srebrną czapę i

kable. – Dlatego ruszają się w zaprogramowany sposób, stymulując wzrost mięśni.

– Hm... cholera, fajna sprawa – Sanchez był pod wrażeniem. – Hodują samo mięso, nie całe zwierzę.

Nie wiedziałem, czy powinienem czuć podziw, czy obrzydzenie. Te istoty były bezmyślne, niczym żywe steki zamiast krów. Dziwnie się na nie patrzyło. Miało to sens, było wydajne, ale wciąż mnie niepokoiło. Może nie byłem gotów na taką przyszłość.

Po powrocie do bazy kazałem Bakerowi przejrzeć nasze zaopatrzenie i poszukać pilki nożnej. Wydawało mi się, że widziałem jedną w pakiecie rekreacyjnym, który dostaliśmy z plutonu, zanim wysłano nas na zadupie.

Podczas kolejnego porannego patrolu wziąłem ze sobą pilkę i gdy przechodziliśmy obok szkoły, rzuciłem ją dzieciakom. Z początku cofnęły się zaskoczone, ale gdy wracaliśmy, widzieliśmy, jak ją kopią. Pomachały nam.

Tego wieczora odwiedził nas Lester Kukurydziarz i chciał się ze mną widzieć. Miał wyłączony translator.

– Szoł Biszap – tak wymawiał moje nazwisko, co zapewne było bliższe prawidłowej wymowie niż „Lester Kukurydziarz” w jego przypadku. No bo jakie są szanse...? Przez translator spytał, czy jestem tym Szolem Biszapem, który pojmał żołnierza Ruharów podczas „akcji bojowej” na Ziemi. Nazwę planety wymawiał „Siemnia”.

– Tak. – Skinąłem głową.

Uśmiechnął się i zapauzował translator.

– Ta. – Pokiwał głową. – Neh – Teraz pokręcił.

– Tak. – Skinąłem głową. – Nie. – Pokręciłem. Po czym powiedziałem „ta” i skinąłem, „neh” i pokręciłem. On zrobił to samo, powtarzając „tak” i „nie”.

To była nasza pierwsza prawdziwa komunikacja międzygatunkowa. Gdybyśmy nie znaleźli się na Paradise tylko dlatego, że chomiki zaatakowały Ziemię, bardzo by mnie to ucieszyło.

Znów włączył translator i powiedział mi, że regionalna gubernator Ruharów odwiedzi Teskor za dwa dni i chce się spotkać ze mną na herbatę. Naprawdę? Popołudniowa herbatka z wrogiem? Czy podadzą małe kanapeczki z ogórkiem i babeczki drożdżowe? Lester był w porządku, jak na Ruhara, ale jako rolnik zapewne nie miał nic wspólnego z atakiem na Ziemię, jeśli w ogóle o niej słyszał przed naszym przybyciem. Ale gubernator musiała być częścią rządu Ruharów, który nas zaatakował i zabijał ludzi. Miałem ochotę powiedzieć Lesterowi, że ta suka może sobie wsadzić tę wizytę tam, gdzie słońce nie dochodzi. I że nie jestem małą cyrkową do pokazywania gapiom. „Chodźcie, chodźcie i zobaczcie człowieka, który pojmał ruharskiego żołnierza! Spokojnie,

nie gryzie! Tylko pięć dolarów, w cenie mała pamiątka!”

Serca i umysły, powtarzałem sobie. Jeśli nasz wywiad chciał, żebyśmy gromadzili informacje, regionalna gubernator na pewno wiedziała więcej o sytuacji na Paradise niż mój kumpel Lester.

– Będę zaszczycony spotkaniem z waszą gubernator – powiedziałem ze sztucznym uśmiechem, mając nadzieję, że translator nie tłumaczy sarkazmu.

– Przyniesiesz własną herbatę? Mamy gorącą wodę, ale chyba nie pijecie naszej herbaty?

Do cholery, naprawdę spodziewali się, że będę pił z nimi jakiś napar? Cóż, w którejś z naszych paczek na pewno musiała być herbata w torebkach. Uznałem, że jakoś to wytrzymam bez nadmiernego spoufalania się z cholernymi Ruharami.

5. WYWIAD

Dwa dni później Lester Kukurydziarz zatrzymał mnie podczas porannego patrolu, aby z ekscytacją oznajmić, że regionalna gubernator będzie w jego domu dokładnie o godzinie szesnastej. Dotknął nadgarstka tak, jakby miał na nim zegarek, i poprosił, abym udał się do jego skromnego domostwa. Czasami translator przesadzał, jestem pewien, że nie mówił o „skromnym domostwie” po ruharSKU. Trochę mnie kusilo, żeby kazać chomikom czekać, ale mama dobrze mnie wychowała, a wojsko wbiło do głowy punktualność.

Dokładnie o szesnastej lokalnego czasu przybyłem do rezydencji Kukurydziarzy i zastałem tam gubernator, Lestera Kukurydziarza, panią Kukurydziarz i małe Kukurydziarzątko. Baker czekał na zewnątrz, a Sanchez i Chen zostali na posterunku z ciężką bronią. Wizytę zatwierdziła, a nawet zachęcała mnie do niej kwatery główna plutonu. Zostawiłem karabin, hełm, pancerz i gogle na posterunku, biorąc ze sobą tylko zFona i pistolet. Pistolet dlatego, że bez niego czułem się nagi, a także by przypominał chomikom i mnie, że SEONZ stanowią siły okupacyjne. Z naciskiem na „siły”, jeśli trzeba.

A, i wziąłem ze sobą torebkę herbaty. I saszetkę cukru, na wypadek gdybym jej potrzebował. Lester ochoczo mnie przywitał, regionalni gubernatorzy zapewne nie odwiedzali zbyt często wioski takich jak Teskor. Pewnie bywało tu więcej tornad niż gubernatorów.

– Dziękuję za piłkę – powiedział syn Kukurydziarzy po angielsku, a przynajmniej tak to brzmiało. Byłem naprawdę pod wrażeniem, że małemu futrzakowi chciało się nauczyć tych słów na pamięć, więc odpowiedziałem „ta” i ukloniłem się lekko. Uśmiechnął się, po czym Lester kazał mu zmykać i nalał gorącej wody do dwóch tutejszych odpowiedników filiżanek. Następnie skłonił się głęboko i wyszedł, zostawiając mnie z gubernator. Wyglądała jak inne samice Ruharów, chociaż dość jasne było, że nie jest rolniczką: miała na sobie bluzkę i długą spódnicę z materiału podobnego do jedwabiu, a jej kolczyki i naszyjnik były eleganckie i wyglądały drogo. Nie żebym znał się szczególnie na biżuterii.

Siedziała na ciemnozielonej kanapie z kwiecistą narzutą. Ja usiadłem w fotelu po drugiej stronie stolika. Na pewno nie zamierzałem siadać na kanapie obok niej. Powoli, łyżeczką wzięła trochę liści z pudełka na stoliku, włożyła je do czegoś w kształcie jajka z masą dziur i łańcuszkiem, po czym delikatnie włożyła to do filiżanki. Moja babcia miała niemal identyczne jajo do herbaty czy jak to się tam nazywa.

– Jestem sierżant Joe Bishop – powiedziałem i włożyłem torebkę herbaty do filiżanki. Był to mniej elegancki sposób parzenia niż w jej

przypadku, co z jakiegoś powodu mnie poirytowało. Wiedziałem, że parzyła herbatę tak powoli dlatego, aby dobrze mi się przyjrzeć.

Wydawała się rozbawiona.

– Jestem regionalną gubernator Lesscorty. Nazywam się Baturnah Loghellia. – Poczekala, aż translator za nią nadąży. – Wasi ludzie okupujący moje rodzinne miasto nazywają mnie – znów odczekała – *bürgermeister*. – To ostatnie powiedziała z błyskiem w oku, wyraźnie oczekując rozbawienia z mojej strony. – Myślę, że to łatwiejsze do wymówienia niż moje imię, prawda?

Rzeczywiście mnie to rozbawiło.

– Ta. – Ktokolwiek okupował to miejsce, musiał kiedyś stacjonować w Niemczech. *Bürgermeister* było tamtejszym określeniem burmistrza. Tak mi się wydaje, bo w Niemczech byłem tylko, gdy siedziałem w samolocie transportowym, który zatrzymał się na tankowanie na lotnisku w regionie Ren-Men.

Gubernator gestem wskazała, abym wyjął mikrofon i słuchawkę. Pokazała na moje usta i ucho.

– Potrzebuję tego, żeby się z panią porozumieć.

Ku mojemu zaskoczeniu odpowiedziała w bardzo powolnym i piskliwym angielskim:

– Sierżancie Joe Bishop, proszę zostawić to na zewnątrz. Możesz użyć tego. – W dłoni miała coś, co wyglądało jak zFon Kristangów, ale było nieco mniejsze. Razem z własnym mikrofonem i słuchawką. – Wyjaśnię – powiedziała powoli, jakby zapamiętała tylko kilka zdań po angielsku i miała problemy z ich wymową.

Przez chwilę wahałem się, ale skinąłem głową. Przepisy mówiły, że podczas służby mam się nie rozstawać z zFonem, ale to był sposób na pobawienie się technologią Ruharów i być może dowiedzenie się czegoś istotnego o chomikach. Po to właśnie SEONZ wysłały tu nasze zespoły obserwacyjne. Wyszedłem na zewnątrz, podałem zFona Bakerowi i wróciłem do środka. Założyłem sprzęt Ruharów.

– Dziękuję – powiedziała burmistrzynie po angielsku, po czym założyła własne słuchawki i znów włączyła funkcję translatora. – Czy to wygodne? – Nawet komputerowa wersja jej głosu była piskliwa.

Spojrzałem na ekran urządzenia, spodziewając się, że każe mi najpierw odczytać kilka stron, aby nauczyć się mojego głosu, ale wyświetlał „gotowe” dużymi czerwonymi literami. To wzbudziło moją podejrzliwość.

– Skąd to wie, jak mówię?

Burmistrzynie uśmiechnęła się.

– Twoją mowę nagrano, analizowano, przetłumaczono i zaprogramowano w tym urządzeniu. Nie chcieliśmy marnować czasu na jego konfigurację. Mamy wiele do omówienia.

A więc mnie szpiegowali. No dobrze, oczywiście, że chcieli zebrać informacje o wrogach.

– Dlaczego nie mogę użyć własnego – chciałem powiedzieć „zFona”, ale to pewnie nie przetłumaczyłoby się dobrze na ruharski – radia taktycznego?

Znów się uśmiechnęła. Był to przyjazny uśmiech, ale też taki, który mówi: „Wiem coś, czego nie wiesz”. Trochę mnie irytował.

– Kristangowie nie zapewnili wam zaawansowanej broni. – Wskazała na mój pistolet. – Nie jesteś ciekaw, dlaczego zapewnili wam zaawansowane urządzenia komunikacyjne, których używają wszyscy ludzie na planecie?

To pytanie mnie zaskoczyło.

– Hmm... – Nie byłem specjalistą od łączności. – Zapewne, hmm... każdy kraj na Ziemi używa innego sprzętu radiowego i komputerowego, a jako że nie mamy tu własnych satelitów komunikacyjnych, możemy rozmawiać tylko na wspólnych falach radiowych.

Moje słowa miały sens, chociaż nie zastanawiałem się wcześniej nad tą kwestią.

Tym razem gubernator nie uśmiechnęła się, tylko pokręciła głową. Fascynowało mnie to, że mowa ciała dwóch różnych gatunków zdawała się uniwersalna. Nie potrzebowałem tu tłumaczenia.

– Być może to wygodna wymówka. Prawdziwa przyczyna jest taka, że cała wasza komunikacja idzie przez sieć Kristangów. Kristangowie monitorują każde wasze słowo, przechwytyją wasze transmisje danych, śledzą każdy wasz ruch na planecie. Mogą też w każdej chwili wyłączyć wszelką komunikację. Sierżancie Bishop, gdy pan stąd wyjdzie, na pewno zda pan raport z tej rozmowy ludziom z waszego wywiadu. Sugeruję, aby przeprowadził pan tę rozmowę osobiście, nie przez radio. Chyba że chce pan, aby podsłuchały ją jaszczury.

Cóż, to zapewne była prawda. Wszyscy używaliśmy tylko sprzętu komunikacyjnego Kristangów. Ale dlaczego nie? Był darmowy, działał świetnie i oszczędzał nam wysiłku ustawiania wież mikrofalowych na planecie oraz kombinowania, żeby amerykańskie radia dobrze współpracowały z chińskimi i indyjskimi. Poza tym Kristangowie byli naszymi sojusznikami.

– Może ma pani rację. I co z tego? Kristangowie to nasi sojusznicy.

Wrócił ten irytujący uśmiezek.

– Sojusznicy? Sojusznicy są sobie równi. Kristangowie są waszymi patronami, a wy ich gatunkiem klienckim. Ich zwierzątkami. Albo niewolnikami.

– A wy jesteście naszymi wrogami – powiedziałem bez zastanowienia. Moja mama nie byłaby ze mnie zadowolona. Byłem gościem w domu chomików, piłem tam herbatę i nie byłem grzeczny.

– Nie chcemy być waszymi wrogami. Proszę, poczekaj, aż skończę mówić. – Uniosła dłoń. – Rozumiem, że się gniewacie, ale musicie dowiedzieć się wielu rzeczy, o których nie powiedzieli wam Kristangowie albo co do których was okłamali. Mój gatunek znał wasz od ponad tysiąca waszych lat. Znalazły was nasze sondy dalekiego zasięgu i umieściliśmy na waszej orbicie satelity obserwacyjne. Powiedz mi, czy nie zastanawiałeś się, dlaczego Ziemi nie zaatakowano dużo wcześniej, skoro ta wojna trwa od tysięcy lat?

Szczęka nieco mi opadła. Miała rację, poważnie mnie to zastanawiało i nie tylko ja zadawałem sobie to pytanie. Po co czekać tyle czasu, aż Ziemianie wynajdą broń atomową? Czemu nie najechali nas dużo wcześniej? Nie miało to sensu. Ruharowie nie byli głupi, więc...? Dlaczego? Jeśli dowództwo wiedziało, to nie podzieliło się tą informacją.

Z uwagi na potrzebę korzystania z translatora mówiła bardzo powoli, więc streszczę, co mi powiedziała. Powód, dla którego Ziemi nie zaatakowano wcześniej, był prosty. Do niedawna znajdowała się poza praktycznym zasięgiem lotu dla obu walczących stron. Mogły do nas dotrzeć wyspecjalizowane okręty dalekiego zasięgu, ale nie było to warte zachodu. Z jakiegoś powodu, którego nie znali nawet Maxolhxowie ani Rindhalu, od czasu do czasu tunele czasoprzestrzenne zmieniały połączenia. Zdarzało się to dość przypadkowo, czasami kaskadowo w całym kwadrancie Galaktyki. Zmiana mogła mieć miejsce po kilku dekadach albo po setkach tysięcy lat. Tunel A, który łączył się z tunelem B, nagle zamiast tego łączył się z tunelem C, a B z D. Albo tunel całkiem przestawał działać, a aktywował się inny, dotąd nieznan. Planeta, która była punktem strategicznym, mogła nagle znaleźć się tam, gdzie kosmiczne psy dupami szczekają. Albo inna, która do tej pory znajdowała się daleko od jakiegokolwiek tunelu, nagle stawała się ważną bazą, o którą walczyły obie strony. To właśnie stało się z Ziemią. Szczęśliwie żyliśmy sobie na peryferiach Drogi Mlecznej, na samym skraju terytorium Ruharów, ale na tyle daleko, żeby nie opłacało im się do nas zaglądać. Po czym nastąpiła zmiana i obudził się dawno uspiiony tunel. Jeden jego koniec znajdował się obok Ziemi, a drugi na terytorium Kristangów. Tunel przy Ziemi był na tyle blisko, aby lotniskowiec gwiazdny Thurarów przyleciał do nas w ciągu tygodnia, co stanowiło dobry potencjalny przyczółek dla Kristangów na terenach Ruharów. Przed zmianą tuneli Ziemia znajdowała się zbyt daleko od dominium Ruharów, żeby warto było przeprowadzić tam kampanię wojskową, dla Kristangów była kompletnie niedostępna.

– Zaraz, zaraz – powiedziałem, przetrawiwszy to, co mi powiedziała. – Ale zaatakowaliście Ziemię. Jeśli znajdowaliście się za daleko, żeby było to praktyczne, to po co? To musiało wymagać ogromnego wysiłku.

Pomyślałem o komplikacjach logistycznych związanych z naszą

okupacją Paradise, a my dysponowaliśmy tunelem czasoprzestrzennym, który oszczędzał nam większość drogi. Jeśli Ruharowie musieli przydreptać do nas na piechotę, jak powiedziała by mój dziadek, to jak to zrobili, do cholery? I po co atakować planetę, jeśli nie dało się jej utrzymać? Nie stanowiliśmy przecież dla nich zagrożenia.

Gubernator skinęła głową. Wyraźnie była przygotowana na to pytanie.

– Nie wiem, czy translator dobrze przekazuje moje słowa, więc powiedz mi proszę, jeśli czegoś nie rozumiesz. Gdy zdaliśmy sobie sprawę, że zmiana tuneli wystawia waszą planetę na wyzysk ze strony Kristangów, postanowiliśmy działać pierwsi. Nasi patroni, Jeraptha, zebrali tyle okrętów dalekiego zasięgu, ile mogli. Gdy wiedzieliśmy już na pewno, że Kristangowie zamierzają okupować waszą planetę, postanowiliśmy zdegradować waszą infrastrukturę przemysłową, aby Ziemia stanowiła mniej pożyteczną bazę wypadową dla Kristangów. Był to szybki atak niewielkiej grupy okrętów, nie mogliśmy z takiej odległości przeprowadzić działań na pełną skalę. Nasze okręty podróżowały na Ziemię przez pięć waszych miesięcy i pięć kolejnych z powrotem.

Nie brzmiało to dla mnie wiarygodnie.

– I przybyliście w tej samej chwili co Kristangowie? Jasne.

Wtedy zdałem sobie sprawę, że sarkazm w moim głosie mógł zgubić się w tłumaczeniu. Kazano nam rozmawiać z Ruharami prostym językiem, bo idiomy, slang i emocje były często nieprzetłumaczalne między różnymi gatunkami. Chociaż, zważywszy na moje doświadczenia z Ruharami, język ciała wydawał się uniwersalny, przynajmniej wśród istot dwunożnych.

– Chciałem powiedzieć, że wątpię, aby to, co powiedziałaś, było prawdą.

– Nie przybyliśmy w tym samym czasie co Kristangowie – wyjaśniła z uśmiechem, który zinterpretowałem jako pobłażliwy. – Nasze okręty obserwowały tunel czasoprzestrzenny, na wypadek gdyby Thuranie wysłali przez niego flotę. Wiedzieliśmy, że skanują okolicę, ale nie byliśmy pewni ich zamiarów. Ziemia nie jest jedyną zdatną do zamieszkania planetą w pobliżu nowego tunelu. Po tym, jak przez tunel przeszła flota inwazyjna, czekaliśmy trzy tygodnie, aż okręty Thuraków pokonają całą drogę. Gdy zdaliśmy sobie sprawę, że ich celem jest Ziemia, nasze ciężkie okręty starły się z nimi, podczas gdy lekkie siły uderzeniowe wykonały precyzyjne ataki na Ziemi. Nie atakowaliśmy miast, naszym celem nie było zabijanie was, tylko zredukowanie potencjału przemysłowego, aby Kristangom było trudniej utrzymać przyczółek na skraju naszego terytorium.

– Zabiliście wielu ludzi – warknąłem. – Moich pobratymców.

– Jako żołnierz zapewne zna pan termin „straty uboczne”? – Czekala, aż skinę głową. – Naszym celem były elektrownie, fabryki wytwarzające pewne rodzaje sprzętu i ośrodki przemysłowe produkujące materiały, takie jak metale. Z tej infrastruktury mogliby skorzystać Kristangowie. Gdy zaatakowaliśmy wasze rozszczepieniowe źródła energii – zapewne miała na myśli elektrownie atomowe – zbombardowaliśmy centra dystrybucyjne obok reaktorów, a nie same reaktory. Nie zamierzaliśmy zanieczyścić waszej planety i powodować niepotrzebnej śmierci i cierpienia. Żołnierze Ruharów, którzy byli zmuszeni wylądować w pańskiej rodzinnej wiosce, mieli misję zniszczenia centrum dystrybucyjnego przy elektrowni rozszczepieniowej w miejscu o nazwie Connecticut. – Jako że nie było ruharskiego słowa na Connecticut, to słowo usłyszałem w jej piskliwym głosie bez tłumaczenia. – Nie mogliśmy ryzykować bombardowania tej elektrowni z orbity, nawet inteligentnymi raketami.

To mnie zastanowiło. Mówiła prawdę o atakach na elektrownie atomowe, nie zniszczono żadnego reaktora na planecie.

– Nie chcieliście zanieczyścić planety, którą zamierzaliście zająć! – Gdy próbowała odpowiedzieć, machnąłem ręką, żeby ją uciszyć. – Nie, mam dość waszych kłamstw. – Trzasnąłem w złości filiżanką o stół, wstałem i ukloniłem się sztywno. – Dziękuję pani.

Gdy wyszedłem, zobaczyłem grupę chomiczych dzieciaków kopiących piłkę, którą im przyniosłem, i nie wiedziałem, czy bardziej gniewam się na chomiki i ich próby usprawiedliwienia ataku na Ziemię, czy na siebie, że byłem taki miękki dla wroga. Jedno z dzieci pomachało do mnie, ale zignorowałem je. Potem kiepsko się z tym czułem, to byli kosmici, ale nadal tylko dzieci. One nie zaatakowały Ziemi. Ale musiałem być na kogoś wkurzony.

*

Wkurzony byłem przez blisko tydzień, wściekły, że dałem się zmanipulować. Że próbowała wykorzystać mnie do siania kłamstw i fermentu, do kampanii psychologicznej przeciwko nam. Nie z nami takie numery. Ale kiedy w końcu porozmawiałem o tym z oficerem, podczas jednej z wizyt porucznika Charlesa, przeprowadziłem tę rozmowę twarzą w twarz i gestem dałem mu znać, żeby pozbył się zFona. Ku mojemu zaskoczeniu bez protestów skinął głową i zostawił go poza namiotem.

– Słucham, sierżancie.

– Sir, ta regionalna gubernator powiedziała mi trochę o tym, jak działają tunele czasoprzestrzenne. Może to bzdury, ale uznałem, że warto przekazać to dalej. I powiedziała, żeby nie rozmawiać o tym przez

zFona, bo Kristangowie mogą podsłuchiwać.

Skinął głową.

– Dowództwo martwiło się o to. Nasi sojusznicy kontrolują wszelką naszą komunikację na Paradise. Oraz transport i dostawy żywności. I wszystko inne. Dobrze, czego dowiedziałeś się o tunelach?

Powiedziałem mu tyle, ile zapamiętałem.

– Masz rację, to pewnie bzdury, ale przekazę informacje dowództwu batalionu.

*

Lester Kukurydziarz mówił mi, że burmistrzynie chce znów ze mną porozmawiać. Niemal o to błagał. Było mi go żal, ale nadal byłem wkurzony i nie zamierzałem znów dać się zmanipulować. Według Lestera gubernator przybyła do Teskor specjalnie, żeby się ze mną zobaczyć. Albo raczej do mnie przemawiać. Powiedziałem mu, że dziękuję, ale nie. Wyglądał na zranionego odmową.

*

Trzy dni później na nasz posterunek zajęchały w chmurze pyłu dwa chomvee. Grałem wtedy w kosza z Bakerem, więc szybko przebraliśmy się w koszule. Z pierwszego pojazdu wyszła kobieta w stopniu majora z uzbrojoną obstawą.

– Sierżant Bishop?

Zasalutowałem. Wydawało mi się, że kojarzę ją ze zdjęć jako oficera wywiadu brygady.

– Tak, ma'am.

– Jestem major Perkins. Musimy pilnie porozmawiać. W środku.

Znajomym już gestem wskazała, że mam zostawić zFona na zewnątrz.

Cieszyłem się, że rano w środku nieco posprzątałyśmy, bo trochę się ostatnio zapaściłyśmy.

– Bishop, twoje informacje o tunelach spowodowały niezłą gównoburzę w dowództwie SEONZ. Ktoś wspomniał tam o tych zmianach kierunku tuneli Kristangom i odbiło im. Chcieli wiedzieć, gdzie słyszeliśmy te oburzające kłamstwa, zaprzeczyli wszystkiemu. Co oznacza, że to prawda i pierdolone jaszczury nas okłamują.

Po raz pierwszy słyszałem, żeby oficer mówił w ten sposób o naszych sojusznikach. Zaskoczyło mnie to.

– Słyszałeś to od tej gubernator? Chcę się z nią spotkać.

– Hm... to skomplikowane. Nie mieszka w tej wiosce. Przejeżdża tędy raz na tydzień i spotykamy się w domu jej przyjaciela na herbatę. – Czuję się głupio, mówiąc, że pijam herbatę z wrogiem. – To zwyczaj

chomików, piją herbatę, kiedy się spotykają.

– Kiedy wraca?

– Podobno pojutrze, ale powiedziałem jej przyjacielowi, że nie chcę z nią więcej rozmawiać. Mogę powiedzieć mu, że zmieniłem zdanie.

– Cholera, Bishop, to ja muszę się z nią spotkać. Nie wiesz, jakie pytania jej zadawać. SEONZ chcą się dowiedzieć wielu rzeczy.

– Nie zadaję jej pytań. Ona mówi, a ja słucham. Mówi o tym, o czym chce. Uznałem, że wciska mi kit, żeby nas poróżnić. – Cholera, czy tamta mówiła prawdę? – Chce pani usłyszeć wszystko, co mi powiedziała?

– Tak. – Major wyjęła z plecaka tablet i mikrofon. – Nagram wszystko, co powiesz. Na tym, nie na zFonie, zrozumiano?

– Tak jest, ma'am. Jasne jak słońce.

Położyła tablet na stole, podłączyła mikrofon i rozejrzała się po naszym posterunku. Naprawdę dobrze, że porządnie wysprzątailiśmy to miejsce, nawet je wyszorowaliśmy, a nie tylko zamietliśmy kurz pod meble. Nicco nawet przemeblowaliśmy i użyliśmy urządzenia do czyszczenia podłóg, które zostawiły w szafie chomiki. Działo świetnie, gdy już nauczyliśmy się je obsługiwać po godzinie prób i błędów bez instrukcji. Major Perkins skinęła głową z aprobatą.

– Podoba się tutaj panu, sierżancie? Te całe miejscowe zespoły obserwacyjne są nieco odizolowane.

– Tak, ma'am. Jestem świeżo upieczonym sierżantem, co oznacza, że mogę tu popełniać błędy bez ingerencji żadnego świeżego podporucznika patrzącego mi przez ramię.

Dopiero gdy to powiedziałem, przyszło mi do głowy, że major Perkins sama była kiedyś podporucznikiem.

– Znaczy się... – chciałem coś dodać, choć nie bardzo wiedziałem co.

– Spokojnie, sierżancie – roześmiała się. – Jako podporucznik byłam zapewne najgłupszym oficerem w historii Armii Stanów Zjednoczonych, a konkurencję miałam sporą. Oczywiście wtedy tego nie wiedziałam. To może i zadupie, ale lepiej cieszcie się nim, póki możecie. Wielu podoficerów chętnie skorzystałoby z takiej okazji do samodzielnego działania. A jeśli informacje, które pan dostarcza, są tak solidne, jak myślę w SEONZ, to dobrze się pan tu sprawuje. Zaczynajmy.

Uruchomiła na tablecie aplikację do nagrywania dźwięku.

Major Perkins wróciła dwa dni później, ale gubernator nie, więc siedzieliśmy beczynn timer przez większość dnia, aż młody chomik na rowerze przyjechał mnie szukać i poinformować, że Loghelia jest zajęta i chce się spotkać nazajutrz. Tylko ze mną. Major Perkins nie była zadowolona, ale jakoś to przyjęła do wiadomości i dała mi listę pytań do zapamiętania.

Tak zaczęła się moja krótka kariera oficera wywiadu. Lista pytań nie zdała się na wiele. Gubernator wyraźnie miała plan co do tego, o czym

chce rozmawiać za każdym razem, gdy się widzieliśmy, i tego się trzymała. Spotykałem się z nią dwa razy w tygodniu, a major Perkins, czasami w towarzystwie kapitana z kwatery głównej dywizji, przyjeżdżała następnego dnia, aby mnie przepytac. Czułem się jak dzieciak podający dalej karteczki w liceum.

Podczas naszego czwartego spotkania, gdy już odbębniliśmy ceremonię parzenia herbaty, zadałem burmistrzynie pytanie:

– Dlaczego ja? Czemu nie rozmawiacie z oficerem wywiadu któregoś z naszych państw? Jeśli nie pasują wam Amerykanie, możecie pogadać z Brytyjczykami, Francuzami, Hindusami albo Chińczykami.

Burmistrzynie skrzywiła się.

– Nie chcę być przepytwana. Moim celem jest dostarczenie informacji, wyprostowanie kłamstw, którymi karmili was Kristangowie, i wyjaśnienie rzeczy, które Kristangowie przed wami ukrywają. Nie będę rozmawiać z nikim poza tobą.

– Nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Dlaczego ja? Jestem tylko sierżantem. Ta wioska znajduje się daleko od pani miejsca zamieszkania, więc czemu nie rozmawia pani z kimś tam?

Ponownie miałem poczucie, że jest gotowa na każde moje pytanie. Była cholernie sprytną chomiczycą. Znów się uśmiechnęła. Nie byłem w stanie stwierdzić, czy był to szczerzy uśmiech, czy wyćwiczony, jak to u polityków.

– Przybyłam tu po raz pierwszy, bo chciałam poznać ciebie, Joego Bishopa, zwanego czasem Barneyem. – Moje nazwisko i słowo Barney translator pozostawił bez tłumaczenia, wypowiedane jej piskliwym głosem. Przechyliła głowę, znowu uniwersalna mowa ciała dwunogów. Cholera, mieli dobry wywiad. – Byłam ciekawa, jaki człowiek zranił jednego ruharskiego żołnierza i schwytał innego.

– Miałem pomoc.

– Ze strony cywili. Raporty wskazują, że nie dysponowaliście wojskową bronią.

– Raporty nie zawsze są dokładne. – Nie chciałem dostarczać jej szczegółów taktyki, jakiej wtedy użyłem, ani niczego innego, z czego mogli skorzystać wrogowie. To ona była tu rzekomo po to, by dzielić się informacjami, nie ja.

– Te są. Inny powód, dla którego z tobą rozmawiam, to raport od żołnierza, którego wówczas pojmałeś.

Nie umiałem ukryć zaskoczenia.

Kontynuowała z uśmiechem:

– Nie wiedziałeś? Wypuszczono go w zamian za schwytanego przez nas Kristanga. Nasz żołnierz powiedział, że schwyтали go ludzcy cywile, do czego żołnierze niechętnie się przyznają. Powiedział też, że dobrze go traktowałeś. Doceniamy to.

– Na tyle dobrze, na ile mogłem. Nie mieliśmy jedzenia, które byłby w stanie przetrwać. – Zawsze mnie zastanawiało, co stało się z chomikiem po tym, jak zabrała go Gwardia Narodowa. Zakładałem, że w końcu oddano go Kristangom, zanim umarł z głodu. Kristangowie musieli dysponować ruharskim jedzeniem dla więźniów. – A jak drugi żołnierz, nic mu nie jest? – Nie wyglądał za dobrze, gdy ostatnio widziałem go pod stertą cegieł.

– Nic jej nie jest. Była ranna, ale wróciła do sił. Jej okręt szturmowy uległ uszkodzeniu na orbicie, ale został uratowany przez naszych.

Nie miałem pojęcia, że drugi żołnierz był samicą. W pancerzu i hełmie nie było łatwo stwierdzić. No i była zakopana w szczątkach wysadzonej przez nas ściany.

– Proszę przekazać jej... – prawie chciałem powiedzieć, że mi przykro, ale nie było. Tak już bywa na wojnie. – Proszę jej przekazać, że nie było to nic osobistego. Nie miałem czasu przyjrzeć się jej ranom.

Gubernator skinęła głową.

– To zrozumiałe, w końcu z nami walczyliście. Jeśli kiedyś się z nią skontaktuję, przekażę twoją wiadomość. Sierżancie Bishop, widzę, że zaskoczyło cię, że ranna żołnierka była samicą. Macie samice we własnej armii.

– Owszem, ale to, że kobiety biorą bezpośredni udział w walkach, jest dość nową rzeczą. Chociaż służyły w wojsku i ryzykowały życie od lat. W dzisiejszych czasach trudno stwierdzić, gdzie tak naprawdę jest front.

– Jak Kristangowie zareagowali na walczące kobiety?

Teraz to ja użyłem mowy ciała i pokręciłem głową.

– Nie powiem pani nic o naszych relacjach z sojusznikami. – Było to dość proste, bo nie miałem o tej kwestii zielonego pojęcia. – Dlaczego pani pyta?

– Ponieważ Kristangowie nie pozwalają swoim samicom wstępować do wojska. Czy też obejmować jakichkolwiek istotnych stanowisk w społeczeństwie.

– To nie moja sprawa. – Wyjaśniało to brak osobnych męskich i żeńskich toalet na ich okrętach.

– Istnieje ziemskie powiedzenie, które bardzo mi się podoba: „Znaj swojego wroga”. My również mamy podobne. Sugeruję też, abyście dowiedzieli się więcej o istotach, które błędnie uważacie za sojuszników. Kristangowie nie pozwalają samicom wstępować do wojska, bo nie pozwalają im na udział w rządzeniu społeczeństwem na żadnym szczeblu. Dawno temu kasta wojownicza Kristangów rozpoczęła program inżynierii genetycznej, mający na celu zmniejszenie inteligencji ich samic, aby stały się słabsze, bardziej uległe i łagodne. Program ten zmienił też stosunek liczby samców do samic. Wcześniej proporcje płci były równe, teraz mają pięć samic na każdego samca.

Wojownikom Kristangów samice potrzebne są tylko do przyjemności, rozmnażania i służenia swoim panom. Dlatego właśnie pytam, jak reagują na wasze samice wśród żołnierzy. Oraz wśród oficerów, pilotów i na innych ważnych stanowiskach, gdzie mają władzę nad samcami.

– Nie spotkałem jeszcze żadnego Kristanga. Jestem tylko zwykłym trepem. – Nie wiedziałem, czy słowo „trep” będzie zrozumiałe w tłumaczeniu na ruharski. – Jestem żołnierzem niskiego szczebla, relacjami z Kristangami zajmują się oficerowie. To, co Kristangowie myślą o kobietach w naszym wojsku, nie ma znaczenia.

Tym razem uśmiechnęła się smutno.

– Wciąż tak myślicie. Wciąż uważacie Kristangów za sojuszników. Być może nie przeszkadza wam idea doboru hodowlanego i manipulacji genetycznych? Jak rozumiem, w historii waszego gatunku zdarzył się choćby program eugeniczny w kraju zwanym Niemcami...

Wiedziałem, że mnie podpuszcza, ale nie mogłem tego zlekceważyć.

– Mój kraj stoczył wojnę z nazistami! Przeciwko Niemcom! – odparłem, nie wiedząc, ile rozumiała z ziemskiej historii. – To było dawno temu. To, o czym pani mówi, brzmi okropnie, jeśli to prawda.

Pomyślałem o tym, jak wkurzyło mnie w Nigerii, gdy grupa fanatycznych ignorantów zaatakowała szkołę dla dziewcząt, bo uważała uczenie dziewczynek za grzech. Widok spalonych ciał tych dzieci napełniał mnie gniewem. Miałem ochotę ruszyć do dżungli i zabić każdego z tych tchórzy, którzy użyli karabinów i bomb przeciwko bezbronnym uczennicom i ich nauczycielom. Gdybym tylko mógł ich znaleźć... Co stanowiło główny problem podczas naszego pobytu tam.

Cholera, nienawidziłem tego miejsca.

*

Przez kolejne cztery tygodnie gubernator przekazała mi mnóstwo informacji, niezbyt pomyślnie brzmiących dla ludzi, jeśli były prawdą. Zbyt długo by mi zajęło powtarzanie wszystkiego, co mówiła i co przekazałem major Perkins, więc to streszczę. Czułem się z wieloma z tych rzeczy nieswojo. I nie tylko ja. Widziałem, że pani major błędnie przy niektórych tematach.

Wystawienie Ziemi na inwazję nie było jedynym, ani nawet najważniejszym ze skutków przesunięcia tuneli. Wpłynęło to na cały kwadrant Galaktyki i spowodowało zamieszanie w społeczeństwie Kristangów. Zamieszanie i wojnę domową. Kasta wojowników nie była jednolita, składała się z klanów walczących między sobą o władzę. Gdy tunel obok Ziemi nagle ożył, zbadanie go zajęło Thuranom nieco czasu, bo mieli ważniejsze rzeczy na głowie. Najpierw wysłali automatyczną sondę, aby upewnić się, że drugi koniec tunelu nie znajduje się poza

Galaktyką albo wewnątrz gwiazdy, co też się zdarzało. Gdy ustalono, że jest bezpieczny, Thuranie wysłali przez niego parę okrętów, po czym uznali, że po naszej stronie nie ma nic wartego uwagi. Jasne, Ziemia znajdowała się tydzień drogi od tunelu, ale wciąż daleko od planet Ruharów, a przesunięcie dało im dużo bardziej smaczne kąski gdzie indziej. Zapewne to by było na tyle na całe stulecia i Ziemia dryfowałaby sobie po kosmosie samotna i nieświadoma zagrożeń, ale przesunięcie poważnie zaszkodziło nieradzącemu sobie najlepiej klanowi Kristangów o nazwie Biały Wiatr.

Przed przesunięciem Biały Wiatr kontrolował tylko dwie planety spośród wszystkich rządzonych przez Kristangów. Po przesunięciu do jednej z nich praktycznie stracili dostęp i byli zdesperowani. Jacyś idioci wśród przywódców klanu uznali, że Ziemia to odpowiedź na ich problemy. Gdyby udało im się ją zająć i wykorzystać jako bazę wypadową na terytorium Ruharów, mogliby sprzymierzyć się z silniejszym klanem. Ale to nie wypaliło. Żaden inny klan nie zainteresowałby się Ziemią, a uprzedzający atak Ruharów uszkodził naszą infrastrukturę na tyle, że Biały Wiatr musiał wydać mnóstwo środków na jej odbudowę, żebyśmy byli przydatni. Wtedy przywódcy klanu uznali, że najlepszą inwestycją będzie wypożyczenie ziemskich żołnierzy innym klanom, i dlatego właśnie trafiliśmy na Paradise.

Gubernator ostrzegła mnie, że jeśli Kristangowie zachowają się tak jak zwykle, wkrótce zaczną wymagać od ziemskich rządów wprowadzenia zarządzeń korzystnych dla Kristangów, a niekorzystnych dla ludzi. Jeśli jeszcze tego nie zrobili. Wszystko w imię „wysiłku wojennego”. Cholera, brzmiało to znajomo. Zaczęło się nawet, zanim opuściłem Ziemię i sam myślałem, że ludzie protestujący przeciwko rozkazom naszych sojuszników osłabiają ziemskie siły bojowe. Ostatecznie Kristangowie mieli ustalić, jaki rząd na planecie jest najbardziej opresyjny, autorytarny na tyle, by można powierzyć mu pieczę nad całą planetą, ze wsparciem okrętów Kristangów na orbicie. Tak ponoć robili od dawna: znajdowali najgorszych socjopatów w społeczeństwie, dawali im władzę i oczekiwali kompletnej lojalności. Tak do władzy doszli Hitler i Stalin. Taka była standardowa procedura Kristangów.

Następnie opowiedziała mi o patronach Kristangów, Thuranach. Według niej Thuranie byli małymi zielonymi ludzikami, co potwierdzało plotki, które słyszałem w Obozie Alfa. Ale nie słyszałem o tym, że Thuranie to cyborgi z wszczepionymi do czaszek komputerami, a ich społeczeństwo było w zasadzie siecią komputerową. Kontrolowali okręty poprzez wszczepki komputerowe i rzadko rozmawiali werbalnie, bo komunikowali się cyfrowo. Ich skóra miała kolor zielonkawego beżu, nie czystej zieleni. Wszyscy Thuranie mieli ten sam odcień skóry. Kiedyś różnili się kolorem, ale dominująca rasa popełniła ludobójstwo na

reszcie Thuranów, dawno temu wszystkich ich mordując. Obecnie wszyscy byli klonami „rasy panów”, z niewielkim odchyleniem genetycznym od tego, co „rasa panów” uważała za ideał. Thuranie otwarcie gardzili każdym mniej rozwiniętym technologicznie gatunkiem, ale także i własnymi patronami, Maxolhxami. Ciepłe stosunki najwyraźniej nie stanowiły podstawy koalicji, na której czele stali ci ostatni.

Choć Thuranie odznaczeni się arogancją, tak naprawdę większości swojej technologii nie stworzyli sami. Ukradli ją – tak właśnie wszystkie gatunki pięły się w górę. Napęd skokowy, z którego korzystali Kristangowie, pochodził z przechwyconego drona Jeraphtha. Nie zaprojektowano go do użytku przez pełnowymiarowy okręt i kopia nie była najlepszej jakości, w związku z czym potrafili skakać jedynie na niewielkie odległości. Sami Thuranie ukradli, znaleźli lub kupili dużo lepsze okręty, więc byli w stanie podróżować pośród gwiazd. Każdy gatunek kradł lub kopiował technologię od pozostałych, nawet oba znajdujące się na szczycie – Maxolhxowie i Rindhalu.

Czasami Maxolhxowie i Rindhalu kopiowali technologię od siebie nawzajem, ale na ich poziomie głównym źródłem zaawansowanej techniki były maszyny pozostawione przez starożytny gatunek zwany Pradawnymi. Pradawni byli pierwszym inteligentnym gatunkiem w Drodze Mlecznej i najwyraźniej żyli w niej samotnie przez miliony lat, po czym nagle zniknęli. Nikt nie wiedział, jak wyglądali, dlaczego odeszli ani gdzie. Spekuluje się, że stali się na tyle zaawansowani, iż nie potrzebowali już fizycznej egzystencji. Niezależnie od tych pytań, pozostawili po sobie niesamowite urządzenia, takie jak sieć tuneli czasoprzestrzennych. I broń. Niezwykle potężne urządzenia, które w nieodpowiednich rękach siały ogromne zniszczenie.

Kristangowie powiedzieli nam, że Maxolhxowie zbuntowali się przeciwko staraniom Rindhalu, by zatrzymać rozwój młodszych gatunków, ale według gubernator tak naprawdę Maxolhxowie cieszyli się wsparciem starszych Rindhalu do czasu, aż znaleźli broń Pradawnych i zaatakowali Rindhalu. Obie strony korzystały z broni starszej rasy, ale wojna trwała krótko. Broń Pradawnych przebudziła Strażników, inteligentne maszyny, którym Pradawni kazali pilnować, aby nikt nie wykorzystywał ich technologii w złych celach. Obie strony poniosły olbrzymie straty. Potem Strażnicy znów zapadli w letarg czy jak to zwać w ich przypadku. Najwyraźniej, mimo że Pradawni porzucili Galaktykę, nie chcieli, aby młodsze gatunki bawiły się ich sprzętem.

To, że Strażnicy czaili się gdzieś w cieniu, wyjaśniało dlaczego obecna wojna międzygwiazdowa nie toczyła się bezpośrednio między Maxolhxami a Rindhalu. Te gatunki nie mogły sobie na to pozwolić. Z tego samego powodu nie doszło do bezpośrednich starć między Stanami

Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim w czasie zimnej wojny. Każda taka walka między mocarstwami dysponującymi tysiącami atomówek mogła szybko eskalować, niszcząc obie strony. Każda walka z użyciem broni Pradawnych mogła przebudzić Strażników, więc Maxolhxowie i Rindhalu walczyli o terytorium i zasoby w Galaktyce za pośrednictwem gatunków klienckich, starając się zapędzić drugą stronę w kozi róg.

Mięsem armatnim były gatunki takie jak my. Każdy chciał piąć się po drabinie technologicznej i zyskać własne gatunki klienckie, które będą walczyć i umierać za niego. Obecnie ludzie znajdowali się na dole drabiny. Do czasu, aż wytworzymy lub ukradniemy zaawansowaną technologię, pozostawaliśmy na łasce Kristangów.

Jeśli gubernator mówiła prawdę, mieliśmy przerąbane. Klan Białego Wiatru musiał czerpać jakieś zyski z inwestycji w wyprawę na Ziemię, a Ziemia miała niewiele do zaoferowania. Jasne, technicznie rzecz biorąc, znajdowała się na terytorium Ruharów, ale na tyle daleko od planet zajmowanych przez chomiki, że Ruharowie mogli ignorować obecność Kristangów do czasu, aż będą gotowi, by stawić im czoła. Co nasza planeta miała do zaoferowania Kristangom, a Białemu Wiatrowi w szczególności? Ziemię uprawianą już przez ludzi można było wykorzystać na potrzeby Kristangów. Wydobyć surowce najwydajniejszym możliwym sposobem, ze szkodą dla środowiska i dla ludzi. Ludzkich żołnierzy dało się wynająć do zadań, których nie chcieli wykonywać Kristangowie, takich jak okupacja Paradise. Biały Wiatr musiał trzymać się Ziemi i uczynić z niej przydatną bazę wypadową do czasu, aż jakiś silniejszy klan uzna, że nasza główniana planetka na skraju przestrzeni Ruharów jest cokolwiek warta.

Rozważyłem możliwość, że gubernator przekazuje nam nieco prawdziwych informacji, na przykład o tunelach, żebyśmy uwierzyli w jej kłamstwa o Kristangach. Ale nie moim zadaniem było to oceniać. Ja miałem tylko siedzieć, pić herbatę i jej słuchać, a następnie przekazywać informacje major Perkins.

Czy jej wtedy wierzyłem? Miałem pewne opory. Powiedziała, że koalicja Rindhalu nie ingerowała w rozwój prymitywnych technologicznie gatunków, więc zostawiła Ziemię w spokoju do czasu, aż Kristangowie zmusili Ruharów do działania. Maxolhxowie i ich klienci byli wszyscy brutalnymi ciemieżcami wyzyskującymi słabsze gatunki i pozbawiającymi planety wszelkich zasobów bez względu na skutki dla rdzennej populacji. Ładna historyjka, która sprawiała, że Ruharowie wyglądali dobrze, a Kristangowie źle, więc to właśnie spodziewałem się usłyszeć od wroga. No chyba że mówiła prawdę. O cholera.

Między bezsensownymi patrolami i zbieraniem informacji nad filiżankami herbaty niewiele było do roboty w okolicach Teskor. Musiałem wymyślać zadania, aby czymś zająć ludzi. Kawalek ziemi

obok domu pokryty był betonem, a przynajmniej czymś, co go przypominało, więc powiesiliśmy tam kosz i graliśmy dwóch na dwóch. Patrole z kompanii przejeżdżały na tyle często, że wymierziliśmy boisko do koszykówki, chociaż o metr za krótkie, wymalowaliśmy linie i postawiliśmy drugi kosz. To było jedyne boisko w okolicy, więc patrole zaczęły specjalnie planować pobyt w Teskor, by z nami pograć. Czasami dwa patrole spotykały się na naszym posterunku, aby zrobić sobie przerwę, zjeść lunch i pograć w kosza. Dzięki sprzętowi, który dostaliśmy z dywizji, byliśmy też w stanie grać w softball, siatkówkę, piłkę nożną i ping-ponga. Niestety, stołu bilardowego nie było w zestawie. Ani telewizora. Oczywiście nie mogliśmy oglądać sportu ani wiadomości, ale zawsze dałoby się obejrzeć jakiś film. Ruharowie mieli własne telewizory, ale niestety, nie dało się na nich odtworzyć naszych płyt DVD. Na poziomie kompanii używano przenośnych płaskich ekranów, ale my musieliśmy zadowolić się tabletami i laptopami. Tłoczenie się w czwórkę wokół małego ekranu, żeby obejrzeć film, szybko robi się nużące.

Ale nie myślcie sobie, że tylko uprawialiśmy sport i oglądaliśmy filmy. Wykonywaliśmy też obowiązki żołnierskie. SEONZ umieściły zespoły ogniowe w odosobnionych wioskach po to, aby zbierać informacje na miejscu, zobaczyć, co robią miejscowe chomiki. Patrolowaliśmy więc okolicę, mieliśmy oczy i uszy otwarte. Pewnego ranka głowa Sancheza pojawiła się w drzwiach małego pomieszczenia, którego używaliśmy jako biura. Pisałem właśnie raport dla plutonu.

– Hej, sierżancie, mamy coś dziwnego.

Wyszliśmy na dach, gdzie na wszelki wypadek zbudowaliśmy wcześniej platformę obserwacyjną. Przynajmniej mieliśmy coś do roboty.

– W polu Południe Dwa – powiedział i podał mi lornetkę.

Południe Dwa było pustym polem, z którego plony zebrano dwa tygodnie wcześniej. Patrzyliśmy wtedy, jak wielkie elektryczne kombajny młóć zboże i dostarczają je do spichlerzy. Trzy dni temu ziarno odebrał konwój ciężarówek i zawiózł je na stację kolejową na północ od miasteczka.

– Masz bystre oczy, Sanchez. Dziwne. A z SEONZ dostaliśmy polecenie, aby szukać dziwnych rzeczy. W drogę.

Założyliśmy pełne wyposażenie bojowe i wsiedliśmy do naszego chomvee. Moglibyśmy pojechać przez pola, które obecnie stały puste, ale dostaliśmy instrukcje z dywizji zakazujące znudzonym żołnierzom przejazdów poza drogami. Doszło do kilku wywrotek, co nie brzmi za dobrze, gdy ewakuacja medyczna na Ziemię nie wchodzi w grę. No i rozoranie pól na oczach chomików nie byłoby najlepszym sposobem na zdobycie ich serc i umysłów. Sanchez trzymał się więc drogi. Gdy

dotarliśmy do pola Południe Dwa, zastaliśmy tam dwie wielkie elektryczne maszyny powoli jadące wzdłuż grządek. Wyglądało na to, że siały. Zostawiliśmy nasze chomvee na drodze i poszliśmy przez pole ku maszynom. Jedna z nich przejechała powoli obok nas, a kierowca wesoło pomachał z kabiny. Z tyłu znajdowało się urządzenie robiące dziury w ziemi, wrzucające do nich nasiona i zasypujące dziury. Dziwne. Na tyle dziwne, że złożyliśmy wizytę Kukurydziarzom.

Lester właśnie gościł u siebie chyba połowę wioski, bo wizyty gubernator wyraźnie podniosły jego status w Teskor. Rodziny urządzały piknik za domem, wokół biegały dzieci, trwała jakaś gra podobna do badmintonu i rozgrzewały się dwa grille. Lester przywitał nas ze szpachelką w ręce i w białym fartuchu z plamami czerwonego sosu. Cokolwiek piekł, pachniało przyjemnie, chociaż wiedziałem, że jest niejadalne dla ludzi.

– Witaj, Joe Bishop! – powiedział z przyjacielskim uśmiechem.

Pomyślałem, czy nie wrócić jutro, żeby nie przerywać pikniku. Ale miałem zadanie do wykonania, więc powiedziałem:

– Lester, widzieliśmy maszyny na polu Południe Dwa. – Znał oznaczenia SEONZ. – Rozsiewały nasiona.

– Tak, siejemy... – Translator na chwilę zatrzymał się, po czym powiedział: – Odpowiednik pszenicy. Czy to problem, Joe Bishop?

– Jak długo rośnie ta roślina, zanim jest gotowa do zbiorów?

– Trzy przecinek cztery miesiące – powiedział translator. Ten przelicznik jednostek był nieco irytującą cechą tych urządzeń. Brzmiało to zbyt chłodno. Lester pewnie powiedział coś w rodzaju „pięć naszych miesięcy” Nie potrzebowałem takiej dokładności.

– Ta wioska ma zostać ewakuowana za dwa lub trzy miesiące, przynajmniej na podstawie najnowszego planu SEONZ. Dlaczego teraz siejecie?

Właśnie o tego rodzaju dziwnych zachowaniach chciał wiedzieć wywiad. Czyżby Lester spodziewał się przebywać w Teskor po dacie ewakuacji? Czy chomiki wiedziały coś, o czym nie wiedziały SEONZ?

– Ponieważ nie ma powodu, by tego nie robić – wyjaśnił Lester, szczerząc zęby, co w tych okolicznościach nie wyglądało aż tak przyjaźnie. – Kristangowie pozwalają nam nadal wysyłać żywność poza planetę, ale nie możemy wziąć ze sobą nasion. Więc siejemy je. Jeśli opuścimy Teskor przed porą zbiorów, może ktoś inny je zbierze. – Wzruszył ramionami. – Mój gatunek toczy tę wojnę od bardzo dawna, Joe Bishop. Wiemy, że nic nie jest pewne. Nie wiadomo, czy Kristangowie utrzymają tę planetę, więc wciąż zachowujemy nadzieję i planujemy na przyszłość, aż do chwili gdy odlecimy.

Miało to sens. Nadzieja świetnie podtrzymywała morale.

– Lester, coś jeszcze mnie dziwi. Przewożenie żywności między

gwiazdami musi być strasznie kosztowne. Po co to robicie?

– Ach, to wymagałoby długiego wyjaśnienia, Joe Bishop. – Spojrzał na swoich gości. – Są dwa istotne powody. Nasza ojczysta planeta, która kiedyś była tak zanieczyszczona, jak podobno obecnie jest wasza, skupia populację w miastach, podczas gdy reszta planety stanowi park przyrodniczy, w którym środowisko zostało przywrócone do naturalnego stanu. Uprawia się bardzo niewiele, więc żywność trzeba sprowadzać z zewnątrz. Wiele naszych głównych światów wygląda podobnie, więc inne są przeznaczone albo do produkcji rolnej, albo przemysłowej. Na światach przemysłowych zwykle przed naszym przybyciem nie istniało zbyt wiele życia, więc nasz przemysł nie niszczy szczególnie środowiska. Innym powodem wysyłania żywności poza planetę tak długo, jak tylko możemy, jest to, że zmiana połączeń tuneli czasoprzestrzennych, o której już słyszałeś, odcięła naszą ojczystą planetę od niektórych dotychczasowych źródeł dostaw. Rozumiesz zapewne, dlaczego chcemy wyprodukować jak najwięcej pożywienia, zanim odlecimy?

– Jasne, Lester.

Zostawiliśmy jego piknik w spokoju, a ja wysłałem raport wyżej. Wyjaśnienia Lestera brzmiały dla mnie trochę jak ściema i uznałem, że powinny dowiedzieć się o nich SEONZ. Nasz zespół ogniowy zaczął objeżdżać pola wokół Teskor, również te nieco bardziej oddalone, i sprawdzać ich stan. Gdy skontaktowaliśmy się z plutonem, okazało się, że Teskor to nie jedyna wioska, gdzie chomiki sieją rośliny, które zebrać będzie można dopiero po planowanej ewakuacji. Nie wiedziałem, czy wierzyć Lesterowi, to była sprawa dla ludzi postawionych wyżej.

*

Czasami wydawało się, że gubernator czyta mi w myślach i porusza tematy, o których już myślałem. Zacząłem być podejrzliwy co do tego, czy aby Ruharowie nie podsłuchują naszych rozmów na posterunku, nawet jeśli pluton przeszukał budynek i nie znalazł pluskiew. Tego dnia byłem w ponurym nastroju, który pasował do pogody. Padało od pięciu dni, satelity przewidywały kolejne dwa dni ciągłego deszczu, a następnie tydzień lżejszych opadów. Doskonale. Ruharowie mieli nazwę dla takiej pogody, nazywali ją „szlumpernur”, a przynajmniej tak to dla mnie brzmiało. Tylko bardziej piskliwie. Oznaczało to „wilgotny koc” i uznaliśmy to za tak odpowiednią nazwę, aby wkrótce stała się częścią wojskowego slangu.

Szlumpernur sprawił, że wioska odwołała planowany festiwal dożynkowy, jako że nikt nie miał nastroju do zabaw. Moi ludzie byli marudni przez to, że utkwili na posterunku, zwłaszcza że nadal musieli

chodzić na patrole, sprawdzać warunki na polach i wysyłać raporty do plutonu, żeby utrzymać pozory robienia czegoś pożytecznego.

Każdy film, jakim dysponowaliśmy, zdążyliśmy obejrzyć dwukrotnie, a przy kiepskiej pogodzie patrole nie zatrzymywały się na kosza czy siatkówkę. Próbowaliśmy namawiać ich do grania w rzutki, ale każdy miał rzutki i nikt nie zamierzał wyłączyć z ciepłych, suchych chomvee. Nasza czwórka była więc zdana na siebie. Jasne, przynajmniej żaden oficer nie patrzył nam przez ramię, ale czuliśmy się cholernie samotni. Pomagały zFony, bo mogliśmy rozmawiać z każdym na planecie. Raz dziennie dzwoniłem do Placka, żeby się dowiedzieć, co u niego słychać. Okazało się, że wciąż tylko ćwiczili i ćwiczili. Chomiki nie stawiały oporu, więc nie było na co szybko reagować. Wyglądało na to, że był tak samo znudzony jak ja. Stwierdziliśmy, że gry komputerowe o wojnach w kosmosie nas okłamywały. Wysłałem też krótką wiadomość Shaunie. Odpisała równie krótko, co uznałem za znak, że jest zajęta i dalsze kontakty nie mają sensu, dopóki nie jesteśmy w stanie rzeczywiście się spotkać. Co nie brzmiało zbyt prawdopodobnie, bo stacjonowała ponad tysiąc kilometrów dalej.

Byłem więc w paskudnym nastroju, gdy gubernator zalewała herbatę wrzątkiem.

– Joe Bishop, wydajesz się nieszczęśliwy – powiedziała.

Wzruszyłem ramionami.

– Przez szlumpernur wszyscy źle się czujemy – odparłem z nutą uśmiechu, bo jej oczy zaświeciły się, gdy powiedziałem „szlumpernur”. – A pani nie przekazuje mi najweselszych wieści.

Zakładając, że mówiła prawdę, co w kwaterze głównej SEONZ uważano za całkiem prawdopodobne.

– Mówiłeś, że masz rodzinę na Ziemi.

Nie było sensu zaprzeczać czemuś, co już wiedziała, więc skinąłem głową.

– Rodziców i siostrę.

– Lepiej byś się poczuł, gdybyś miał z nimi kontakt, tak?

– Jasne. – W Nigerii rozmawiałem z rodziną przynajmniej parę razy w tygodniu. Przez Internet śledziliśmy też wieści z domu, więc nie czuliśmy się tak odcięci. – Pisałem listy i nagrywałem wiadomości wideo, ale na razie nie doczekałem się odpowiedzi.

Wysyłaliśmy korespondencję do kwatery głównej SEONZ, gdzie kompresowano ją i przesyłano do Kristangów, ale chociaż na orbitę regularnie przybywały transporty zaopatrzenia, na razie nie otrzymałem żadnych wieści z domu. Ani innych. Dziwne i niepokojące.

– Nie doczekasz się – oznajmiła, przyglądając mi się uważnie z nad filizanki. – Kristangowie nie dostarczają waszych wiadomości na Ziemię. I nie dostarczą żadnych do was. Nie chcą, żebyście wiedzieli, co dzieje

się na waszej planecie. Wasze dowództwo musi o tym wiedzieć.

Cholera. Gdy tylko to powiedziała, rozpoczęła się kolejna ulewa. Coraz lepiej... Albo uznała, że mam już dość złych wieści, albo pogoda ją też przygnębiła, bo zmieniła temat i przez kolejną godzinę rozmawialiśmy o naszych doświadczeniach z dzieciństwa. Nie widziałem powodu, żeby zatajać swoją nudną historię o dorastaniu na zadupiu Maine. Społeczeństwo Ruharów nie różniło się szczególnie od ziemskiego poza tym, że dysponowali niesamowitą technologią, byli rozproszeni po wielu planetach i jej gatunek toczył wojny na długo przed tym, zanim ona, jej rodzice czy jej prapraprapradziadkowie się urodzili. Pewnie jeszcze dłużej. Nie poprawiało mi to nastroju.

*

Chen musiał czytać mi w myślach, bo podczas kolacji tego wieczora, a jedliśmy kurczaka po królewsku, spytał:

– Sierżancie, wiadomo może, kiedy dostaniemy wiadomości z domu?

– Nie. – Wpatrywałem się w swój talerz, żeby zamaskować poczucie winy. – Wiem tyle co wy.

– Cholera. Wczoraj przyleciał z Ziemi nowy okręt transportowy, miałem nadzieję, że przywiezie listy. Albo przynajmniej jakieś wieści.

– Przydałoby się – zgodził się Sanchez. – Martwię się o rodziców.

– Jak my wszyscy – przyznałem.

– Wiecie, co jest najgorsze? – spytał Baker. – Ta misja nie ma końca. Kiedy pojechałem do Nigerii, wiedziałem, że po dwunastu miesiącach wrócę. Nawet podczas drugiej wojny światowej żołnierze wiedzieli, że kiedyś się skończy i po wygranej wrócą do domu. Mogło to zająć lata, ale kiedyś musiała się skończyć. Ale ta wojna trwa od tysięcy lat. Nie ma końca, nie ma zwycięskiej strategii. Nie ma momentu, kiedy będziemy mogli uznać, że wypełniliśmy zadanie. Kiedy nas tu wysyłali, nie powiedzieli, na jak długo.

– Ewakuujemy chomiki z tej planety i wracamy, nie? – stwierdził z nadzieją Chen.

– Może. – Sanchez gmerał w jedzeniu widelcem, zamiast jeść. – Chyba że jaszczury, znaczy się... – spojrzał z niepokojem na mnie – Kristangowie będą nas potrzebowali gdzie indziej. W końcu już nas tu mają, wyszkolonych i doświadczonych. Miałoby sens, gdyby wysłali nas na kolejną misję, zamiast kierować do domu i sprowadzać nowe jednostki.

– Cholera – Chen podsumował to, jak wszyscy się czuliśmy. – Dopiero tu przybyliśmy, a już mam ochotę wracać.

Musiałem jakoś zakończyć tę ponurą rozmowę.

– Słuchajcie, ja też chciałbym wiedzieć, kiedy wrócę. Odliczać dni w

kalendarzu. Plan ewakuacji rozpisano na trzynaście miesięcy, a potem pewnie czeka nas kilka miesięcy odbudowy infrastruktury czy coś w tym stylu. Utrzymanie nas tutaj jest dla Kristangów kosztowne, muszą przewozić jedzenie na odległość tysięcy lat świetlnych. Myślę, że po zakończeniu misji wrócimy do domu. Ile mogą mieć dla nas zadań? Nawet z nowymi zabawkami nie nadajemy się do prawdziwej walki.

– Może i tak. – Sanchez skinął głową bez przekonania.

– Ten cholerny szlumpurnur wszystkich dołuje. – Wyjrzałem przez okno na ulewę. – Gdyby świeciło słońce i gdybyśmy dostali wieści z domu, wszyscy czulibyśmy się lepiej. Jesteśmy tu sami, bez nadzoru oficerów, mamy się w sumie całkiem nieźle. Chen, wyjmij ciasto z lodówki, to, które przywieźli nam trzy dni temu. Uczcijmy to, że pojutrze ma się skończyć deszcz.

*

Zanim kolejnego ranka major Perkins przyjechała mnie przesłuchać, szlumpurnur zmienił się w lekki kapuśniaczek. Spotkaliśmy się w jej chomvee, aby mój zespół mógł zostać na posterunku w czasie deszczu.

– Ma’am, nie wiem, czy większość z tego, co ona mi mówi, to bzdury czy nie, ale nie kłamie co do braku wieści z domu. Czy kwatera główna SEONZ dostaje jakieś komunikaty z Ziemi?

Zmartwiony wyraz jej twarzy powiedział mi wszystko.

– To informacje zastrzeżone dla ludzi wyżej niż pan, sierżancie. I wyżej niż ja.

– Moi ludzie o to pytają.

Przeszyła mnie wzrokiem.

– Nic im pan nie powiedział, prawda?

– Nie, ma’am. Wiedzą, że spotykam się z gubernator i że pani jest z wywiadu dywizji. Potrafią dodać dwa do dwóch, ale nic im nie mówiłem i o nic mnie nie pytali. Tyle że nie muszę nic mówić, żeby wiedzieli, że nie mamy żadnych informacji z Ziemi. Na zFonach wszyscy o tym mówią.

Dzięki zFonom plotki, które dawniej zostałyby w danej jednostce, szerzyły się po całej planecie. Nikt, z kim rozmawiałem, nie otrzymał żadnej wiadomości z Ziemi. A Placek Kukurydziany powiedział mi, że jeden zaopatrzeniowiec, którego zna, twierdził, że dostawy jedzenia z Ziemi stały się ostatnio rzadsze. I były wśród nich nasiona, zupełnie jakby Kristangowie spodziewali się, że zaczniemy uprawiać własne jedzenie.

– Sierżancie. – Spojrzała na deszcz za oknem. – Wiem tyle, co pan. Kwatera główna SEONZ nie mówi mi nic poza tym, co powinnam wiedzieć. Proszę uważać, co mówi pan w sieci. – Wskazała na dach

chomvee. – Nasi przyjaciele słuchają.

*

O czwartej rano kilka dni później zadzwonił mój zFon. To całkiem przydatne urządzenie, ale jeden jego aspekt nie jest taki świetny: dowództwo może człowieka znaleźć zawsze i wszędzie. Połączyć się osobiście, a nie z radiooperatorem. Zsunąłem nogi na podłogę i usiadłem prosto. Ktoś powiedział mi kiedyś, że dzięki temu człowiek nie brzmi tak bardzo, jakby był zaspany.

– Tu sierżant Bishop.

– Bishop, tu porucznik Charles. Wasz zespół ogniowy dzisiaj wraca, macie się spakować i o dziewiątej być w drodze.

To mnie zupełnie rozbudziło.

– Co się dzieje, sir?

– Dowiesz się, jak przyjedziesz.

– Tak jest!

Moi ludzie też byli w szoku. W sieci nie mówiło się nic o żadnych kłopotach, sprawdziliśmy strony SEONZ i wiadomości na nich wyglądały zupełnie zwyczajnie.

Spakowanie się nie zajęło nam dużo czasu, wzięliśmy broń, ale zostawiliśmy wszystko, co mogło się przydać przyszłej załodze posterunku, w tym stół pingpongowy, który sami zbudowaliśmy. Po ostatniej przejażdżce po zabłoconej głównej uliczce zawróciliśmy i opuściliśmy Teskor, zanim większość chomików wstała z łóżek. Żałowałem tylko, że nie miałem okazji pożegnać się z rodziną Kukurydziarzy.

*

Coś mi śmierdziało, gdy przyjechaliśmy do bazy plutonu i zobaczyłem znajomą twarz.

– Major Perkins? Właśnie wycofano nas z Teskor – powiedziałem, chociaż zapewne już to wiedziała. Być może była to nawet jej sprawa. Nigdy nie ufałem ludziom z wywiadu.

– Bishop, porozmawiajmy. – Wskazała, żebym poszedł za nią w stronę lądowiska.

Gdy znaleźliśmy się poza zasięgiem zFonów, wyjaśniła:

– To ja kazałam wycofać pana z Teskor. Kristangowie wiedzą, że ktoś przekazuje nam informacje, wkurzyli się i zaczęli węszyć. Byli coraz bliżej. Na razie ma się pan nie wychylać, więc zostaje pan przeniesiony. Tylko pan, nie pański zespół.

– Dokąd, ma'am?

– Szczerze mówiąc, nie mamy teraz dla pana przydziału, poza tym, że chcemy, aby pan zniknął i nie pojawiał się na kanałach komunikacyjnych. Jeśli to poprawi panu humor, mnie przenoszą do bazy logistycznej w sektorze indyjskim, jako łączniczkę. – Parsknęła. – Nie znam ani słowa w hindi.

– Cholera. Wszystko przez to, że słuchałem chomików? Czy Kristangowie uznali, że nie będziemy z nimi rozmawiać przez cały pobyt tutaj? Musieli wiedzieć, że chomiki wykorzystają każdą okazję, żeby skłócić nas z jaszczu... Kristangami.

– Nie chodzi tylko o rozmowy. Kristangowie wiedzą o plotkach, jakie się pojawiają wśród żołnierzy. Wiedzą więc, że dowództwo SEONZ bierze chomiki na poważnie. Nie tylko pan dostarcza nam informacje, ale powiem tylko, że gubernator to najlepsze źródło i dowództwo sra w gacie, bo wierzą w większość z tego, co mówi. – Spojrzała mi prosto w oczy. – Nadal ma pan o tym nikomu nie mówić. To tajne.

– Tak jest, ma'am.

Głęboko odetchnęła, pomacała kieszeń koszuli i machnęła ręką, krzywiąc się.

– W końcu udało mi się rzucić palenie, gdy skończył się zapas. Kristangowie uważają tytoń za towar luksusowy i nie mają ochoty go przewozić. Czasami mam ochotę kogoś zastrzelić.

– Eisenhower też rzucił palenie z dnia na dzień po pierwszym zawale. – To nie zabrzmiało tak, jak powinno.

– Skoro Ike'owi się udało, to może mnie też, co? Ale on miał wybór. Ja nie mam. Może powinniśmy umieścić nikotynę na liście niezbędnych środków medycznych.

Chciałem powiedzieć, że wiem, jak się czuje, ale nie mogłem. Nigdy nie musiałem rzucać palenia, picia czy narkotyków, więc nie rozumiałem do końca tego, przez co przechodzi.

– To zresztą przez lekarstwa mam kłopoty – powiedziała. – Jaszczurów nie obchodzą plotki, ale wkurzyło ich, gdy przyjęliśmy propozycję Ruharów zapewnienia nam zaawansowanej opieki medycznej. Słyszał pan o kraksie myszołowa w zeszłym miesiącu? Dwóch zginęło, czterech jest rannych, jeden stracił nogę, a drugi złamał kręgosłup. A Kristangowie nie chcą ewakuować ich na Ziemię. Ruharowie usłyszeli o tym i byli zaskoczeni, że ludzie nie potrafią regenerować kończyn i tkanek nerwowych. Dysponują tą technologią na tyle długo, że jest dla nich naturalna. Eksperymentalnie wysłaliśmy paru ciężko rannych do szpitala Ruharów, są tam leczeni, w tym ci dwaj z myszołowa. Tyle że lekarze Ruharów musieli dostosować metody do innej biochemii. Wygląda na to, że wszyscy ranni powinni w końcu wydobrzcć, łącznie z odrośniętą nogą. Kristangowie byli wściekli, gdy usłyszeli, że zgodziliśmy się na opiekę medyczną Ruharów, wezwali dowództwo

SEONZ na dywanik za spoufalanie się z wrogiem. Słyszałam, że rozmowa była gorąca i generał Meers powiedział pierdolonym jaszczurom, że nie musielibyśmy wysyłać naszych do szpitali Ruharów, gdyby to oni podzielili się z nami swoją technologią medyczną. – Uśmiechnęła się. – Stary nie da sobą pomiatać nikomu, ani ludziom, ani gadom.

– Czy będę mieć przez to kłopoty, ma'am?

– Nie, po prostu nie wychylaj się przez parę tygodni, może miesięcy. Uznaj to za szansę na zobaczenie większego kawałka planety.

Ani przez sekundę w to nie wierzyłem.

*

Po pożegnaniu z moim zespołem czekała mnie seria lotów przesiadkowych. Podróż była długa i nudna, a ja byłem w fatalnym nastroju. Nie zrobiłem nic złego, ale SEONZ potrzebowały kozła ofiarnego dla Kristangów. Degradacja była dość prawdopodobna. Ledwie zdążyłem przyzwyczaić się do funkcji sierżanta. Uznałem, że będzie mi brakować dowodzenia zespołem. Dobrze się sprawiliśmy w Teskor. Nie pakowaliśmy się w kłopoty, nawiązaliśmy dobre stosunki z tubylcami, zebraliśmy sporo ciekawych informacji i przekazaliśmy je wyżej. Zbudowaliśmy boisko do koszykówki, które sprawiło, że nasz posterunek stał się popularnym przystankiem dla patroli, co było dobre dla morale. W moim zespole nie było poważniejszych konfliktów, nie bardziej, niż można się spodziewać w przypadku czwórki znudzonych, skazanych na siebie facetów. Z perspektywy czasu okres spędzony w Teskor wydawał mi się prawie idylliczny. Wylądowaliśmy na obcej, wrogiej planecie, przejęliśmy nad nią kontrolę i odgrywaliśmy swoją rolę w wojnie, pokazując Kristangom, że potrafimy dobrze sprawić się na misji, choćby mało istotnej. Mieliśmy poczucie celu i czekaliśmy, aż mieszkańcy Teskor zostaną załadowani na transportery i ewakuowani. To oznaczałoby, że wypełniliśmy misję.

Pobyt w Teskor stał się jednak mniej idylliczny po tym, jak zacząłem otrzymywać informacje od gubernator. Wiedza, że ludzkość została oszukana, że Siły Ekspedycyjne to tylko mięso armatnie do wynajęcia dla Kristangów, że jaszczury uważają Ziemię za zdobycz wojenną, którą mogą do woli eksploatować, trochę zabiła moje poczucie celu. To, że nie mogłem dzielić się tą wiedzą z podwładnymi, nieco mnie od nich oddaliło. Wiedzieli, że spotykam się z wysoko postawioną urzędniczką, widzieli, że odwiedza mnie oficer wywiadu po każdym takim spotkaniu, i dodali dwa do dwóch. Oczywiście było sporo plotek. Niektóre pasowały do informacji otrzymanych przeze mnie od gubernator i sprawiły, że martwiłem się o bezpieczeństwo informacyjne kwatery głównej.

Wkurzało mnie, że to, co krążyło jako plotki, ja miałem traktować jako ściśle tajne. Nie mogłem nawet powiedzieć swoim chłopakom, co z tego to bzdury.

Teraz mój zespół ogniowy dostał nowego sierżanta i stacjonował w kwaterze głównej batalionu. Zastanawiali się, czy zrobili coś nie tak. Nikt nie wierzył w bajanie o tym, że wycofano nas z Teskor, bo misja się skończyła. SEONZ nawet nie wysłały tam nowych ludzi.

Jasne, to wcale nie wyglądało podejrzanie, wszystkie inne posterunki były wciąż obsadzone, poza tą jedną wioską, gdzie spotykałem się z gubernator. Oto, jak cienka była przykrywka SEONZ – dowódca załogi dumba, którym leciałem, facet, którego wcześniej nie widziałem na oczy, spytał, co takiego zrobiłem, że wycofano mnie z Teskor. Plotki o skandalu krążyły po planecie z prędkością światła. Wszelkie środki bezpieczeństwa niweczyło dwóch gości dzielących się informacją przez zFona.

6. FORT ARROW

W kompleksie Wyrzutni zgłosiłem się do kapitana Price'a, do budynku administracyjnego, który SEONZ przejęły od Ruharów. Idąc z lądowiska, widziałem całkiem sporo Ruharów za płotem bazy, którą Siły Ekspedycyjne nazywały Fort Arrow. Jako że ludzie nie wiedzieli, jak obsługiwać czy konserwować wielkie działko elektromagnetyczne wystrzeliwujące towary na orbitę, największa zmiana polegała na tym, jaka flaga wisiała nad bazą. Chomiki nadal obsługiwały reaktor i resztę sprzętu. SEONZ wydzieliły Fort Arrow z miasteczka robotniczego powstałego wokół reaktora fuzyjnego, przejmując istniejące budynki i w minimalnym stopniu zmieniając ich przeznaczenie. Miało to sens, w końcu ludzie nie mieli zostać na Paradise na tyle długo, by warto inwestować w infrastrukturę. Między lądowiskiem a Fort Arrow biegł ogrodzony korytarz, ale po obu jego stronach chomiki wciąż robiły swoje jak gdyby nigdy nic.

Adiutant kapitana Price'a kazał mi czekać niemal godzinę przed jego biurkiem. Siedział tam, słyszałem jego rozmowy przez telefon i dłuższe przerwy między nimi. Nie był na tyle zajęty, żeby nie mógł poświęcić paru minut na moje powitanie. Na dumbo nie podali śniadania, a ja byłem głodny i miałem nadzieję, że coś przekąszę, zanim zamkną stołówkę. W końcu Price wyszedł za drzwi, spojrzął na mnie niezbyt przyjaznym wzrokiem i mruknął, kiedy zaszalutowałem.

– Bishop – nie było to przywitanie, a raczej stwierdzenie.

– Tak, sir. Sierżant Bishop, zgłaszam przybycie do bazy. – Nie dostałem żadnych papierów, które mógłbym mu dać, wszystko było na telefonach i tabletach.

– Wejdźcie.

W biurze nie kazał mi usiąść, więc stałem wyprostowany na prawo od drzwi.

– Bishop – powiedział znowu, wskazując na coś na tablecie, czego nie widziałem. – Ten od Barneya.

Cholera, naprawdę miałem tego dość.

– Mam tu twoje rozkazy i akta – mówił dalej. – Widzę, że niesubordynacja to dla ciebie nie pierwszozna. I lekkomyślność. W Fort Arrow nie będziemy tego tolerować. Możesz myśleć, że pięć minut sławy daje ci prawo do specjalnego traktowania. – Nie protestowałem, bo widać było, że już wyrobił sobie zdanie. – Ale nie masz co na to liczyć, zrozumiano?

– Tak, sir.

Nie wychylać się, powtarzałem w myślach. Major Perkins, a przez nią dowództwo, chciała, żebyśmy się nie wychylał. Trzymanie języka za

zębami było pierwszym krokiem.

Najwyraźniej Price'owi to nie wystarczyło. Był do mnie uprzedzony i zamierzał wykorzystać to, że nie miałem wyboru i musiałem wysłuchać jego tyrady.

– Może słyszałeś, że Fort Arrow to miejsce zsyłki dla nieudaczników i malkontentów. – W zasadzie to o tym nie wiedziałem, a słowa „malkontent” nie słyszałem, od kiedy skończyłem podstawówkę. – Dowództwo SEONZ uważa, że ponieważ Ruharowie potrzebują Wyrzutni do wysyłania ziarna w kosmos, Fort Arrow nie jest narażony na ataki i nie potrzebujemy tu większych zabezpieczeń.

A, więc nie chodziło o mnie. Price miał problem z dowództwem i na mnie tylko wyładowywał frustrację.

– Mylą się – ciągnął oficer. – Wyrzutnia jest na tyle cenna, że to pierwsze miejsce, które spróbują przejąć Ruharowie, gdy tylko podejmą próbę odbicia planety. To elitarne siły. – Dwa razy zastukał palcem o biurko dla podkreślenia swoich słów, ale sprawił tylko, że stwierdziłem, iż powinien obciąć paznokcie. – Elitarne. W Fort Arrow musimy pokazać Ruharom, że nie ma sensu próbować go zdobyć, bo dysponujemy zbyt wielką siłą.

Milcząco skinąłem głową. Milcząco, bo nie chciałem zaprzeczać jego niezbyt logicznym wywodom. Gdyby Ruharowie przylecieli z flotą dość silną, żeby przegonić z orbity Kristangów, pozostali na planecie ludzie nie stanowiliby już szczególnego zagrożenia. Chomiki mogłyby siedzieć na orbicie i precyzyjnymi uderzeniami z dział elektromagnetycznych, maserów i inteligentnych rakiet eliminować ludzki opór, niezależnie od tego, jak silny byłby garnizon w Fort Arrow.

– Nie mamy tu dla ciebie miejsca, a ciebie trzeba do tego jeszcze pilnować. Przydzielam cię do eskorty konwojów, zgłosisz się rano do sierżanta sztabowego Lombarda. Staraj się trzymać z dala od kłopotów i...

– Sir? – adiutant Price'a odezwał się zza drzwi. – Idzie tu pułkownik Young.

Young wparował do środka, rzucił plecak na stół w poczekalni, przetarł dłonią spoconą twarz i oznajmił:

– Cholera, jesteście w dupie. Nasi kumple, Kristangowie, wycofują jutro niszczyciel. Zostaniemy tylko ze wsparciem jednej fregaty na orbicie. Załóż się pan, że fregata spierdoli na widok okrętów chomików? Stary chce planów awaryjnych na wypadek powrotu Ruharów. Musimy być przygotowani do samodzielnej obrony planety.

– Aż tak źle, sir? – spytał kapitan Price, wyraźnie oszołomiony.

– Na tyle, że chcą zabrać stąd jeden z plutonów i wzmocnić ochronę paru baz logistycznych. Dowództwo uważa, że Ruharowie nie zaryzykują uszkodzenia Wyrzutni, więc wycofują stąd ludzi, żeby

chronić bardziej narażone na atak cele. Co? – spytał pułkownik Young w reakcji na uniesioną brew Price'a. Obrócił się w prawo i zauważył mnie. – A ty kim jesteś, sierżancie?

Zasalutowałem sztywno.

– Bishop, sir. Przeniesiono mnie tu rano.

– Bishop? A, ten od Barneya, słyszeliśmy, że cię tu przenoszą. – Kurna, nigdy przed tym nie ucieknę. – Możesz zmykać. I trzymaj gębę na kłódkę. Nie żeby udało się to utrzymać w tajemnicy – westchnął Young.

– Tak, sir. – Wyszedłem tak szybko, jak tylko mogłem bez zupełnej utraty godności.

*

Grupa eskortująca konwoje była w porządku. Dowodził nią podporucznik żółtodziób, lecz dostatecznie inteligentny, aby słuchać swojego sierżanta sztabowego. Nie było tam miejsca dla nowego sierżanta, więc w zasadzie robiłem za doświadczonego starszego kaprała, wykonywałem rozkazy sierżanta sztabowego Lombarda, trzymałem język za zębami i zachowywałem się jak trzeba. Nadal nosiłem paski i pistolet przy pasie, a w systemie widniałem jako E5, więc formalnie mnie nie zdegradowano. Jeszcze.

Ogólnie rzecz biorąc, nie był to zły przydział. Miałem okazję zwiedzić sporą część Paradise, od równikowych dżungli, poprzez górskie przełęcze, aż do stepów. Planeta była ładna, szkoda, że mieszkało na niej pełno chomików i mieliśmy oddać ją Kristangom po ewakuacji. Byłby to całkiem niezły drugi dom dla ludzkości. Ale na razie nie mogliśmy nawet podróżować na inne planety bez pomocy obcych, więc to było tylko myślenie życzeniowe.

Typowa trasa to pięć dni w jedną stronę, pięć w drugą, z ziarnem albo innymi produktami chomików. Ich cywile opuszczali planetę przez windę kosmiczną, nie przez Wyrzutnię, więc nie musieliśmy zajmować się niezadowolonymi chomiczymi rodzinami. Nie mieliśmy kłopotów ze strony Ruharów poza drobnymi, irytującymi aktami sabotażu tu i ówdzie. Interpretowałem je jako pokazywanie SEONZ środkowego palca. Potrafiłem to zrozumieć, w końcu stanowiliśmy siły okupacyjne, byliśmy dla nich przydupasami Kristangów i w ich sytuacji też miałbym ochotę stawiać opór.

Niektóre rodziny Ruharów mieszkały tu od trzech pokoleń i zapuściły korzenie w żyznej glebie Paradise. Spokojnie uprawiały ziemię do czasu, kiedy ostatnie przesunięcie tuneli sprawiło, że Kristangowie postanowili odbić planetę. Eskortowaliśmy konwoje, aby zapobiec problemom, bo uważano, że chomiki mogą zacząć sprawiać większe kłopoty, gdy nadejdzie koniec ewakuacji. Chińczycy i Francuzi znajdowali upartych

Ruharów w miejscach, które miały być już w pełni ewakuowane. Żołnierze wszystkich narodowości natykali się na ukryte składy broni. Może Ruharowie jednak nie zamierzali spokojnie odlecieć?

Między konwojami spędziliśmy dzień czy dwa w Fort Arrow, co oznaczało sen w prawdziwym łóżku, gorące jedzenie, które w dodatku gotował ktoś inny, i możliwość skorzystania z sal gimnastycznych, boisk baseballowych oraz innych atrakcji. Fort Arrow dysponował nawet basenem, którego największą zaletą była możliwość zobaczenia żołnierek w strojach kąpielowych. Niestety, nigdy nie trafiłem na dzień, kiedy serwowano cheeseburgery. Zjadłem niezłe ryby z frytkami i całkiem smacznego klopsa, chociaż z niezbyt wielką zawartością mięsa, oraz gulasz z kurczaka, w którym było więcej warzyw niż samego kurczaka. Na Paradise zaczynało brakować mięsa. Słyszeliśmy plotki, że dostawy z Ziemi są opóźnione albo przylatują nieregularnie, albo że bitwy w innym miejscu sektora sprawiają, że Thuranie muszą lecieć okrężną drogą.

Wkrótce po tym, jak przejęliśmy Wyrzutnię od Ruharów, dowódca bazy SEONZ kazał wydzielić ogród, gdzie mogliśmy uprawiać warzywa i owoce: pomidory, melony, cebulę, szpinak, paprykę, wszystko, co można znaleźć na typowym targowisku. Wiedziałem, że sytuacja robi się coraz bardziej napięta, gdy w porze lunchu w stołówce Fort Arrow można było dostać tylko sałatkę ze szpinaku i wegetariańskie fajty. Jasne, szpinak to dobre i tanie źródło białka, jest też całkiem smaczny, gdy do sałatki dorzuci się orzechy i grzanki, ale czasami żołnierz ma ochotę na kawał mięsa. I sera. I ciepłą bułkę. Z keczupem. Smażona cebula też by się przydała.

Gdy zbliżaliśmy się do Fort Arrow podczas mojego piątego konwoju – czekało nas pięć dni przerwy, bo pojazdy miały iść na przegląd – szeregowy Pope nachylił się do mnie, żeby przekrzyczeć szum silnika elektrycznego ciężarówki.

– Sierżancie, ma pan plany na jutro?

Gdy dołączyłem do jednostki, spotkałem się z ciekawością co do znanego wszystkim zajścia z Barneyem, a następnie co do tego, co spierdoliłem na tyle, że przydzielono mnie właśnie tam. Znosiłem żarty o Barneyu z uśmiechem, jako że słyszałem je już milion razy i miałem odpowiedź na każdy z nich. Nasz porucznik początkowo był do mnie nastawiony sceptycznie, ale sierżant sztabowy Lombard przekazał mi część obowiązków administracyjnych, na które przedtem marnowałem czas. Gdy inni zobaczyli, że Lombard się do mnie przekonał, zostałem zaakceptowany. To było miłe.

– Nie mam żadnych, a co?

Zgodnie z prognozą pogody czekał nas upalny, wilgotny dzień z szansami na popołudniowe burze. Typowe w okolicy równika o tej

porze roku.

– Parę kilometrów na północ od bazy jest rozbity okręt Kristangów – wyjaśnił Pope. – Kilku z nas chce mu się przyjrzeć. Może by się pan z nami wybrał?

– Spadł z orbity? Cholera! Zostało coś z niego? – Nawet nie próbowałem ukrywać ciekawości.

– Aha. Widziałem zdjęcia zrobione przez ludzi, którzy tam byli. Mówią, że to fregata. Spadła w czasie bitwy, kiedy ostatnio Ruharowie odbili planetę, więc jest stary i częściowo zarośnięty przez dżunglę. Chomiki wyciągnęły z niego broń i reaktor. SEONZ odradza grzebanie tam, bo to dla Kristangów delikatna sprawa, ale sporo ludzi i tak odwiedza wrak.

– Jasne, chętnie się wybiorę. – Lepiej jednak nie zabierać pamiątek, Kristangom by się to nie spodobało. – Dzięki.

Ustaliliśmy, że wybierzemy się na miejsce następnego ranka. W czasie śniadania podszedł do nas szeregowy Crockett i szepnął:

– Pospieszcie się. Ma przylecieć hinduski generał i po lunchu wygłosi mowę. Chcą, żebyśmy robili wtedy tłum.

Wszyscy jęknęliśmy. Nikt nie chciał siedzieć w dusznej stołówce i słuchać kolejnej nudnej przemowy. Szybko zjedliśmy jajecznicę i tosty, schowaliśmy kanapki z masłem orzechowym na później i prawie pobiegliśmy w stronę dżungli. Wszyscy, którzy wyglądaliby, jakby nie mieli nic do roboty, zostaliby zgłoszeni na ochotnika do zapewniania frekwencji.

„Kilka kilometrów” do wraku w praktyce oznaczało około piętnastu, i to po bezdrożach, więc musieliśmy iść pieszo. Drogę tę przebyło już tylu ludzi, że przez dżunglę biegł pewien rodzaj ścieżki. Pewien rodzaj, bo szlak ewoluował z czasem, w miarę jak kolejne grupy wynajdywały nowe sposoby dotarcia na miejsce, omijając wzgórza, znajdując płytsze brody przez strumienie, unikając błota i ciernistych roślin. Lepiej by było, gdyby ścieżka została jakoś oznaczona. Tutejsze zwierzęta też wydeptywały swoje trasy, a po drodze było sporo ślepych zaułków. Staraliśmy się podążać szlakami wyglądającymi na bardziej przetarte, ale okazało się to złym pomysłem, bo wyznaczyli je idioci. Więcej niż raz brodziłem po kolana w błocie. Było gorąco i duszno, a w dżungli żyło sporo wielkich, obrzydliwych owadów. Nie były miłym widokiem, nawet jeśli wiedzieliśmy, że ich jad nie działa na ludzi. Wciąż rozgniałem owady, które opadały mi z drzew na szyję, spodziewając się, że się pożywią. Cóż, nie poinformowano ich, że ludzie są dla nich niejadalni. Albo były po prostu nienawistnymi sukinsynami, które miały ochotę kogoś pogryźć czy pożądlić.

Zapowiadane „szanse na opady”, co w tropikach było odpowiednikiem „szans na to, że słońce rano wstanie”, okazały się potężną ulewą. Trwała

niecałe pięć minut, które ciągnęły się dla nas jak godziny, gdy przemokliśmy do suchej nitki już w pierwszej chwili. Niektórzy próbowali chronić się pod większymi drzewami o szerokich liściach, zanim wokół nie zaczęły uderzać pioruny, w związku z czym staraliśmy się trzymać od drzew jak najdalej. Gdy deszcz ustał, wyszło słońce i zrobiło się jak w saunie. Wielkie, podgrzane przez słońce krople spadały nam na głowy, powietrze można było ciąć nożem i wszelkie owady, które spały przed burzą, teraz obudziły się na dobre. I tak zgodzaliśmy się, że to lepsze niż słuchanie przemowy.

Nigdy bym sam nie znalazł tego okrętu. Ludzie zbyt polegali na zaawansowanej technologii, nawet na Ziemi. Zaczęłam tracić podstawowe umiejętności, jak czytanie map czy orientacja w terenie. W końcu natknęliśmy się na wrak, idąc za śladami opakowań po racjach żywnościowych. Z tego, co słyszałem, spodziewałem się, że po okręcie został sam szkielet, ale był w całkiem niezłym stanie. Był spory i jeśli fregaty Kristangów miały takie rozmiary, to nie chciałem się z nimi spotkać w kosmicznej bitwie. Brakowało sporej części sekcji rufowej, zapewne Ruharowie usunęli reaktor. Dziób okrętu zakopany był w błocie.

Oceniałem, że jednostka jest większa od atomowego okrętu podwodnego. Większość stanowiła maszynownia, nie wiem, czy zawierała wcześniej zdatne do oddychania powietrze, ale byłoby to praktyczne, bo silniki musiały wymagać konserwacji. Udało nam się wejść do środka i rozejrzeć z pomocą latarek. Na Paradise nie było na szczęście zbyt wielu niebezpiecznych zwierząt. Na szczęście, bo jedyną bronią, jaką mieliśmy, był mój pistolet. Wnętrze okrętu było brudne, pełne błota, roślin i rojące się od owadów. Po jakimś czasie znudziliśmy się i zrobiliśmy się głodni. Ktoś zasugerował wdrapanie się na górę okrętu.

Był to dobry dzień, spędzony z dala od bazy. Zobaczyłem coś nowego, nikt do mnie nie strzelał. Słodki napój, kanapka z masłem orzechowym, baton, woreczek suszonych owoców. Czego jeszcze chcieć? Krążyły plotki, że na kolację będzie kurczak, zamierzałem wykąpać się w basenie, może pograć w koszykówkę albo softball.

Oślaniając oczy, uniosłem wzrok, aby sprawdzić pozycję słońca, czy też lokalnej gwiazdy, czy jak to się poprawnie mówiło. Zobaczyłem charakterystyczne migotanie okrętu skaczącego do normalnej przestrzeni. Kolejny transportowiec Ruharów? Przylatywały tu regularnie. Wciąż fascynowały mnie podróże z prędkościami nadświatelnymi.

Kolejne migotanie. Nic szczególnego. Transportowce Ruharów czasami przylatywały w grupach, zawsze eskortowane przez okręty Kristangów, zazwyczaj fregaty, nie żebym rozróżniał z powierzchni

globu różne klasy. Hmm... Więcej światła. I jeszcze więcej.

Znacznie więcej.

– Hej, chłopaki. – Pope wskazał na niebo. – Sporo tych okrętów.

Czyżby wróciły siły Kristangów?

Mój zFon wydał cichy pisk i zamilkł. Cholera. To nie brzmiało dobrze. Wcisnąłem ikonę kanału dowodzenia, ale usłyszałem tylko szum. Próbowałem skontaktować się z kimkolwiek, gdy nagle strumień światła z nieba skierował się na Fort Arrow. Na horyzoncie eksplodowała fontanna pyłu przypominająca grzyb atomowy. Wszyscy widzieliśmy to na nagraniach szkoleniowych – atak działa elektromagnetycznego. Mały, gęsty pocisk z wolframu albo jakiegoś egzotycznego obcego materiału, przyspieszony do znacznego procenta prędkości światła, przebijający się przez atmosferę i uderzający w planetę. Patrzyłem bezradnie z rozdziawionymi ustami, jak z nieba opadają po zakrzywionym torze następne smugi trafiające w bazę. Inteligentne rakiety. Nastąpiły kolejne eksplozje w okolicach Fort Arrow.

Wszyscy zareagowali tak samo. Najpierw: „Ja pierdołę”. Potem: „Co teraz?”. Bez rozkazów wszyscy wróciliśmy do środka wraku. Rozejrzałem się wokół, na wypadek gdyby w ciągu ostatniej minuty coś się zmieniło, ale sytuacja była ta sama. Siedemnastu ludzi z tylko jedną sztuką broni, nie licząc noży. Mój pistolet nie mógł się na wiele przydać przeciwko Ruharom.

– Sierzancie, co się dzieje?

„Sierzancie”. Wszystkie pary oczu zwróciły się w moją stronę. Cholera. Sami szeregowcy albo kaprale. Tego ranka miałem po prostu być jeszcze jednym facetem na leśnym spacerze. Teraz moje dystynkcje i broń oznaczały, że musiałem coś zrobić. Cokolwiek.

– Wiecie tyle, co ja. Ktoś złapał sygnał na telefonie? – Wszyscy pokręcili głowami. Przynajmniej mieli dość rozumu, żeby to sprawdzić. – Ruharowie muszą nas zagłuszać, nie mam nawet zamiaru nawigacyjnego i wy też nie, prawda? Dobra, słuchajcie, sieć padła. Przełączcie telefony na tryb odbioru.

To ponoć miało sprawić, że zFony przestaną nadawać jakiegokolwiek sygnały, nawet lokalizacyjne. SEONZ podejrzewały, że Kristangowie mieli sposób na namierzanie nas także w trybie incognito, ale nie mieliśmy wyboru. Ostatnie, czego potrzebowaliśmy, to żeby znalazły nas chomiki. Miałem nadzieję, że nie byli w stanie namierzyć technologii jaszczurów. Po pozbyciu się bazy siedemnastka ludzi byłaby niezłym drugorzędnym celem.

– Bierzcie sprzęt – powiedziałem automatycznie, ignorując fakt, że w tej chwili sprzęt składał się z plecaków i manierek. – Wracamy do bazy.

– Bazy? – Szeregowy Collins wskazał na słup dymu. W tej samej chwili z tego kierunku dobiegł dźwięk kolejnej eksplozji. – Nie ma żadnej bazy!

Nic z niej nie zostało.

– Tego nie wiemy. Na pewno nie możemy kryć się w dżungli. Wracamy do bazy, bo mogą tam być ludzie potrzebujący pomocy oraz dlatego, że to nasz obowiązek. Jeśli potrzebujecie dodatkowej motywacji, tylko Kristangowie mogą zabrać nas do domu i dostarczyć nam jedzenie. Jeśli Ruharowie się tu rozpanoszą, zanim wrócą Kristangowie, mamy przesrane.

– Jeśli pierdolone jaszczury w ogóle wrócą – mruknął Collins. – Jak mamy powstrzymać chomiki przed przejściem planety? Nie mamy nawet broni.

– Odwrócimy ich uwagę i będziemy uderzać, gdy tylko nadarzy się okazja. Kupimy czas grupie uderzeniowej Kristangów. – Rozejrzałem się po ludziach, których ledwie znałem. Niektórych spotkałem po raz pierwszy dopiero w stołówce. – Nie znam wszystkich z was, z niektórymi eskortowałem konwoje i słyszałem od was, że nie przylecieliście tu, aby niańczyć chomiki. To nasza szansa, żeby odpłacić im pięknym za nadobne.

– Sierzancie, garnę się do walki – odezwał się Pope – ale Collins ma rację. Co zwojujemy bez broni?

Odezwała się starsza kapral Amaro. Przysięgam, że stanęła na palcach i podniosła rękę jak w podstawówce.

– Za bazą mieści się magazyn amunicji. To stary skład chomików, zbudowany na wzgórzu przy drodze dojazdowej do Wyrzutni. Dostarczyłam tam zapasy miesiąc temu, może wciąż są?

– Jest tam jakiś personel? Strażnicy? – spytałem. Jeśli nie, zapewne nie mieliśmy szans na otwarcie drzwi do bunkra.

– Dwóch ludzi w momencie, gdy tam byłam. Są ciężkie drzwi i mała stróżówka dla wartowników. Chomiki nie miały nic takiego, nikt tam nie stacjonował. Nie wiem, czy na coś się to zda. – Spojrzała na mapę na zFonie. – Cholera, bez GPS-a nie wiem nawet, gdzie to jest. Ale niedaleko. Widać miejsce, gdzie wykopano w zboczu wzgórza drogę dojazdową. – Wskazała na zachód, na poziomą bliznę we wzniesieniu. Widać było tylko kawałek pośród drzew. Widziałem wcześniej tę drogę podczas lotu do Fort Arrow. Według map obiegała Wyrzutnię po obu stronach, z bocznymi szosami prowadzącymi do samego przewodu co kilometr.

– Dobra, ktoś jeszcze tam był? Nie? – Wszyscy pokręcili głowami. Kusilo mnie, żeby wdrapać się na okręt i lepiej przyjrzeć okolicy. – Możemy pójść stąd prosto do drogi?

Amaro wyglądała na spanikowaną.

– Hm... nie wiem, sierzancie? – W wojsku „nie wiem” to lepsza odpowiedź niż próba ściemniania. Zazwyczaj powinno po niej nastąpić „ale się dowiem”. – Myślę, że między nami a drogą jest urwisko. Ale nie... uch, szlag z tym cholerstwem. – Próbowała coś wydusić z zFona.

– W porządku, Amaro. Wszyscy przyzwyczailiśmy się do zaawansowanej technologii i zaniedbaliśmy podstawowe umiejętności nawigacyjne. – Mówiłem prawdę. Bez nawigacji satelitarnej byliśmy jak dzieci we mgle. Poprawiłem plecak i przyjrzałem się wpatrzonym we mnie żołnierzom. Czasami ludzie potrzebowali tylko usłyszeć, że ktoś ma jakiś rodzaj planu. – Dobra, chodźmy po broń i amunicję. Amaro, prowadź. Bez szarżowania, bo to może być długi spacer.

*

Przeszliśmy pięć, może sześć kilometrów w upale, z czego jakąś jedną trzecią pod górkę. Gdy dotarliśmy do szosy, zrobiło się łatwiej. Amaro zorientowała się, w którą stronę ruszyć dalej po kamieniach. Przyspieszyliśmy mimo coraz wyższej temperatury i pustych manierek. Po drodze łatwiej było biec, no i mieliśmy dodatkową motywację, widząc przelatujące po niebie pojazdy Ruharów. Gdy tylko widzieliśmy te lądowiki szturmowe, zwane przez SEONZ sępami, zmykaliśmy z drogi i kryliśmy się wśród drzew. Uznałem, że przy ich technologii Ruharowie i tak wiedzą, gdzie jesteśmy. Zapewne mała grupka prymitywnych ludzi nie była warta marnowania amunicji.

Skręciliśmy w boczną drogę prowadzącą do magazynu. Przebiegliśmy tylko jakieś pół kilometra, zanim usłyszeliśmy głos zza krzaka przy drodze:

– Stójcie!

Nie podobał mi się drżący głos kogoś, kto celuje do mnie z karabinu.

– Sierżant Joe Bishop, Dziesiąta Piechoty. Kto tu dowodzi?

– Teraz już pan – odezwał się kolejny głos i zza drzewa wyszedł mężczyzna. – Jesteśmy tu tylko my, sierżancie. Jestem starszy kapral Rogen, a tam za krzakiem to szeregowy Wayne.

Cholera. Miałem po cichu nadzieję, że do zbrojowni trafi ktoś wyższy stopniem i zdejmie ze mnie odpowiedzialność.

Rogen dotknął zFona przy pasie.

– Też nie mamy sygnału. – Zauważyłem, że Rogen nadal celuje z karabinu w naszą stronę. Nieco opuścił lufę. On i Wayne mieli na sobie mundury, a my tylko koszulki i szorty. Nie znali nowo przybyłego faceta, twierdzącego, że jest sierżantem. Rogen spojrzał na jednego z ludzi za mną. – Hej, ty jesteś Miller, prawda? Z konwoju.

– Tak – odparł Miller. – Jesteś z drużyny bejsbolowej, tak? Łapacz?

– Druga baza. – Znajoma twarz uspokoiła Rogena. Skinął głową do Wayne'a i zabezpieczyli broń. – Co tu się dzieje, sierżancie?

– Wiemy tyle, co wy. Wybraliśmy się na spacer do wraku, kiedy rozpętało się piekło. Albo Ruharowie dość luźno podchodzą do zawieszenia broni, albo uznali, że chcą odbić planetę. – Przypomniało

mi się to, co mówił wcześniej kapitan Price. Teraz nie mogło już być tajne. – W zeszłym tygodniu słyszałem, że Kristangowie wycofali siły z orbity, zostawili tylko jedną fregatę. Myślę, że Ruharowie zaatakowali Fort Arrow salwą z działa elektromagnetycznego i raketami. – Ze zbrojowni nie widać było bazy, widok, poza słupem ognia, zasłaniało wzgórze. – Przełączcie zFony na tryb odbioru, żeby Ruharowie nie mogli ich namierzyć.

Wayne spojrzał na Rogena tak, jakby odbyli już tę dyskusję i Wayne teraz przegrał.

– Muszą wiedzieć o tym miejscu. – Rogen wskazał ciężkie drzwi do magazynu. – Chomiki je zbudowały. I zobaczą naszą stróżówkę, która oznacza, że go używamy.

Stróżówka wyglądała jak prowizoryczna szopa na narzędzia. Chroniła wartowników jedynie przed deszczem.

– Nie widzę żadnego pojazdu – zauważył Pope. – Macie chomvee?

– Nie. – Wayne pokręcił głową. – Mieli nas zmienić za dwie godziny. Zmiennicy przyjeżdżają samochodem, którym my jedziemy potem do bazy.

– Możecie otworzyć drzwi?

– Mamy kod – powiedział Rogen – ale nie wolno nam...

– Rogen, jeśli pilnowałeś tej broni na czarną godzinę, to właśnie nadeszła. Fort Arrow został zbombardowany i być może jesteśmy jedyną zorganizowaną grupą oporu w okolicy. Potrzebujemy broni. Otwieraj.

*

Mieliśmy szczęście, że w zbrojowni była nie tylko broń, ale też trochę wody i jedzenia, które oczywiście zabraliśmy. Nie znaleźliśmy, niestety, soli ani tabletek elektrolitowych. Kazałem wszystkim zjeść trochę solonych orzeszków i precelków, żeby odzyskać to, co straciliśmy z potem.

– Niech każdy weźmie M4 i amunicję. Dobry zapas i porządne naboje, niestandardowe. – Wszyscy potrafili rozpoznać magazynki z amunicją Kristangów. – Pope, Stallings, uch... Newman i hmm... Wayne, i ty. – Wskazałem pięciu największych facetów w naszej grupie. – Zabierzecie zingery. Pozostali niech wezmą po AT4. Nie wiemy, co nam się przyda, więc trzeba się porządnie zaopatrzyć. – Zarzuciłem zingera na ramię, aby dać przykład. Był ciężki, zwłaszcza że niosłem jeszcze M4. Po chwili zastanowienia odpiąłem kaburę pistoletu od pasa i zostawiłem go na półce. Nie ma sensu brać noża na strzelaninę.

Rogen pomógł Wayne'owi podnieść zingera.

– Hej, jest pan tym Joe Bishopem, co...

– Tak, Rogen. Potem ci o wszystkim opowiem, obiecuję.

Jeśli będzie jakieś „potem”.

– Pancernik, sierżancie? – spytał Pope.

Zmarszczyłem brwi.

– Hmm.. Zostawiam to do waszej decyzji – powiedziawszy to, stwierdziłem, że niezdecydowanie to oznaka tchórzostwa. – Czekajcie, nie, żadnego pancernika. – To nie było zgodne z regulacjami armii. – Musimy poruszać się szybko, a i tak jesteśmy obladowani. – Wszyscy skinęli głowami, co mnie zaskoczyło, bo spodziewałem się usłyszeć jakiś sprzeciw. Zapewne uznali, że kevlar na niewiele się zda przeciwko broni energetycznej Ruharów. Opancerzenie miało głównie chronić tułów żołnierza przed odłamkami, nie przed bezpośrednimi trafieniami. W Nigerii czasami pancernik ratował mnie to przed poważniejszymi ranami, nawet jeśli nienawidziłem wagi wyposażenia. Pomyślałem, że jeśli przeżyję, dostanie mi się za naruszenie regulaminu. Jeśli będzie miał kto udzielić mi reprimendy. Gdy wszyscy wzięli tyle sprzętu ile mogli, znów popatrzyli na mnie.

Co dalej? Bieg po drodze do bazy w pełnym słońcu byłby samobójstwem. Jeśli okręty szturmowe Ruharów wcześniej się nami nie interesowały, na pewno zmieniłoby się to w chwili, gdybyśmy zbliżyli się do bazy z bronią w ręku. Widok pojazdów Ruharów na niebie mówił mi, że nie tylko uderzyli w Fort Arrow, ale ich wojska lądowe ruszyły odbić Wyrzutnię. A jeśli byli na planecie, mieliśmy szansę im zaszkodzić. Jeśli odpowiednio się zbliżymy.

– Czy ktoś ma mapę tego miejsca, kompleksu Wyrzutni, w ogóle wszystkiego?

Orientowałem się tylko w bezpośredniej okolicy Fort Arrow. Odkąd tam przybyłem, Wyrzutnia wystrzeliła towary w kosmos jedynie trzykrotnie, za każdym razem w czasie, gdy akurat pilnowałem konwojów. Widziałem tylko smugę na niebie i usłyszałem niski huk z daleka.

– Mam, sierżancie – odezwała się Amaro.

Podeszła do mnie i wyciągnęła zFona. Wziąłem go i przejrzałem plany, które wcześniej pobrała, odświeżając pamięć. Niewiele to pomogło. Wyrzutnia dysponowała jednym równoległym tunelem dostępowym po południowej stronie i miała boczne szyby łączące się z powierzchnią mniej więcej co kilometr. Znajdowaliśmy się na południu, więc dostanie się do tunelu dostępowego oznaczało wspięcie się na górę nad zakopanym tunelem wyrzutni. Nie było szans przy takim ruchu w powietrzu. Spojrzałem na żołnierzy. Mogliśmy bronić fragmentu Wyrzutni, walczyć na wyczerpanie, aż Ruharowie w końcu wygrają. Słowem, utrzymać pozycję, aż wszyscy zginiemy. Kupić czas za nasze życie w beznadziejnej bitwie. Nie brzmiało to jak dobry plan.

Ruharowie mogli po prostu nas przeczekać albo unieszkodliwić za pomocą jakiegoś gazu. Jeszcze raz przyjrzałem się planom, szukając inspiracji. W czasie bitwy trzeba podejmować szybkie decyzje, a mój mózg był już spowolniony przez zmęczenie. Widziałem wiele małych pomieszczeń po bokach tunelu, gdzie przechowywano sprzęt elektryczny i tak dalej. Ślepe uliczki, które stałyby się śmiertelnymi pułapkami, gdyby Ruharowie nas tam zapędzili.

– Zaraz, co to? – Wyciągnąłem zFona do Amaro. Widniał na nim mniejszy tunel, równoległy do wyrzutni, na północ od nas.

Zmrużyła oczy w bladym świetle i oznajmiła:

– To przewód plazmy z reaktora fuzyjnego. Dostarcza energii magnesom Wyrzutni.

– Skąd to wiesz?

– Przed wojną miałam być inżynierem. Ciekawi mnie to, więc obejrzałam sobie dobrze Wyrzutnię, gdy mnie tu przydzielono.

– Ten przewód jest pełen plazmy? Cholernie rozgrzanego gazu?

– Blisko. Plazma to czwarty stan skupienia, nie jest gazem, płynem ani ciałem stałym. Ale jest cholernie gorąca.

– Ale – w mojej głowie zaczął powstawać pomysł – Wyrzutnia nie strzelała od jakichś trzech dni, tak? Nie dostarczałyby plazmy do przewodu, o ile nie rozgrzewaliby jej przed wystrzałem?

– Tak. Kolejny transport był przewidziany na przyszły tydzień, jako że na orbicie nie było transportowców Ruharów. – Przyglądała mi się szeroko otwartymi oczami. Musiała domyślić się, na jaki szalony pomysł wpadłem. – Teraz kanał plazmy zapewne jest chłodny, ale...

Rozejrzałem się po sporej jamie wykopanej przez Ruharów. SEONZ wykorzystywały tylko niewielką część. Po drugiej stronie pomieszczenia świeciły się złowrogo wyglądające czerwone światła awaryjne, jako że obiekt stracił zasilanie, gdy tylko trafiono w Fort Arrow.

– Potrzebujemy więcej latarek.

Przewód prowadził prosto do serca elektrowni fuzyjnej. Było w nim sporo punktów dostępowych. Najbliższy włącz mieścił się mniej niż kilometr od nas. Minęliśmy go w drodze do magazynu. Poprowadziłem oddział wzdłuż drogi. Wszystkim było trudno w tym upale i przy dodatkowym obciążeniu. Gdy przelatywali nad nami Ruharowie, kryliśmy się na poboczu. Kiedy dotarliśmy do tunelu dostępowego, zostawiłem pozostałych na zewnątrz i wziąłem Amaro ze sobą, by obejrzeć włącz. Miał mnóstwo elektronicznych paneli i czujników, które teraz nie działały. Oraz koło. Zwykle, metalowe koło. Położyłem wyrzutnię na ziemi, chwyciłem za koło i przekręciłem je kilka razy. Włącz otworzył się z podmuchem powietrza. Żadna plazma nas nie spaliła.

– Hmm... – Wsadziłem głowę do środka.

Był to ciemny tunel, ciągnący się tak daleko, jak sięgało światło mojej latarki. Miał około trzech metrów średnicy. Wyłączyłem latarkę i zajrzałem w mrok. Nie widać było żadnych świateł. Na suficie zamontowano lampy, ale nie działały.

Amaro również wsadziła głowę do tunelu.

– Hm... Więc tak to wygląda. Większy, niż myślałam. Tu też odcięto zasilanie. Panie sierżancie, elektrownię też musiano wyłączyć. Albo trafić.

– Ruharowie zapewne starali się nie uszkodzić reaktora. Potrzebują sprawnej Wyrzutni. Zapewne wyłączyła się automatycznie po zniszczeniu Fort Arrow.

Fort znajdował się na północ od reaktora. W miasteczku Ruharów, zbudowanym wokół kompleksu, wciąż żyło sporo chomików, które obsługiwały elektrownię i Wyrzutnię. Nasi technicy do niczego się tu nie nadawali. Fort Arrow oddzielało od miasteczka ogrodzenie i Ruharowie nie mieli do niego wstępu. Zapewne ich flota uważała, żeby nie trafić w ruharską część bazy. Wycofałem się z przewodu i dałem reszcie znak, żeby podeszli bliżej.

– Oto plan: kontratakujemy. Ten korytarz prowadzi prosto do elektrowni, ale możemy wyjść po drodze. Pojawimy się na tyłach wroga i wywołamy nieco chaosu. Zabijmy rano trochę chomików.

*

Na szczęście przewód wciąż pogrążony był w ciemności. Przez całą drogę miałem gęsią skórkę. Obawiałem się, że Ruharowie wykryją nas i wpuszczą do tunelu trochę granatów, które niechybnie by nas zabiły. Albo że uruchomią mechanizm generujący plazmę i nas usmażą. Po cichu miałem nadzieję, że reaktor uległ uszkodzeniu, a nie był tylko czasowo wyłączony, ponieważ wtedy plazmy nie dałoby się puścić jeszcze przez dłuższy czas. Nie widziałem tam żadnych kamer. Zapewne nie było to praktyczne w miejscu pełnym rozgrzanej plazmy. Po drodze musiały jednak znajdować się jakieś sensory monitorujące i miałem nadzieję, że nas nie wykryją. Ruharowie obsługiwali Wyrzutnię i reaktor, sensory, w tym cały sprzęt obserwacyjny. Wiedziałem, że ludzie zajmowali się systemami obronnymi Wyrzutni. Miałem nadzieję, że Ruharowie nie mają dostępu do systemów obserwacyjnych, bo jeśli tak, to mogliby nas wykryć, gdy tylko wyjdziemy z przewodu i wkroczymy na teren bazy.

Czego nie wziąłem pod uwagę, to rzeczy, o które się potykaliśmy. Wyobrażałem sobie ten kanał jako gładką, pustą rurę, ale było inaczej. Amaro wyjaśniła, że plazma wymagała pola generowanego przez rozstawione co kilka metrów magnesy. A magnesy potrzebowały kabli

zasilających, które sprawiały, że żołnierze potykali się i upadali. Jako że w tunelu było miejsce tylko dla jednego rzędu ludzi, oznaczało to nie tylko poobijane kolana i łokcie, ale zatrzymanie całej kolumny. Najbardziej obawiałem się, że czyjś karabin niechcący wystrzeli i ostrzeże Ruharów, więc kazałem wszystkim iść zwawo, ale ostrożnie, co zminimalizowało potknięcia. Czekaliśmy na długą drogę. Przemierzaliśmy całe kilometry w klaustrofobicznych ciemnościach. Na szczęście powietrze było chłodne. Amaro uważała, że to chłód nadprzewodzących magnesów głównej wyrzutni. Poza przekleństwami, gdy ktoś upadał albo obijał się o ściany, oddział zachowywał dyscyplinę. Rozmowy ograniczyliśmy do sporadycznych szeptów. Czy dlatego, że wszyscy byli świetnie wyszkoleni, czy tak samo wystraszeni jak ja, wolałem nie zgadywać. Byłem na tyle przerażony, że latarka drżała mi w dłoni i machałem nią na boki, by to zamaskować.

Wielokilometrowy podziemny spacer dał mi zdecydowanie zbyt dużo czasu do namysłu. Czy prowadziłem tych ludzi na bezsensowną śmierć, bo nie potrafiłem wymyślić nic lepszego? Prawda była taka, że nie potrafiłem. Byliśmy żołnierzami, zaatakowano nas, więc przystąpiliśmy do walki. Proste. Gdyby oficer kazał mi zrobić to, co ja im kazałem, wykonałbym rozkaz bez wahania. Nie znaczy to, że wpadłem na najlepszy możliwy pomysł. Powiedziałem Collinsowi prawdę – jeśli Ruharowie odbijali planetę, mieliśmy małe szanse na przeżycie. Jediną szansą powodzenia misji, przetrwania, było związanie Ruharów walką partyzancką i kupienie Kristangom czasu na odzyskanie przewagi w kosmosie. Jeśli Kristangowie nie mogli albo nie chcieli wrócić, i tak byliśmy już martwi i musieliśmy walczyć za ludzkość, jakoś odplacić się futrzakom i pokazać sojusznikom, że ludzie potrafią być użyteczni i godni zaufania.

Gdy w końcu dotarliśmy do części przewodu przy elektrowni, zobaczyłem, że przed nami tunel zakrzywia się i rozdziela, zapewne prowadząc do miejsca, gdzie generowana jest plazma. Tam nie zamierzałem się zbliżyć. Kazałem wszystkim zatrzymać się i wyłączyć latarki, podczas gdy Amaro i ja przyglądaliśmy się planom na jej telefonie. Próbowałem wyobrazić sobie, gdzie znajduje się reaktor względem Fort Arrow. Wydawało mi się, że na wschodzie, bliżej Wyrzutni. Jeśli znajdowaliśmy się w miejscu, gdzie kanał plazmy łączył się z reaktorem, zaszliśmy za daleko. Nie miałem jednak ochoty zawracać w wąskim tunelu.

– Amaro, ten przewód kończy się przy reaktorze albo blisko niego?

– Nie, reaktor dostarcza zasilanie generatorowi plazmy. Generator to duży, okrągły budynek na zboczu góry, wygląda jak wieża ciśnienia albo cysterna. Obok niego znajduje się wysoki, biały budynek. Musimy być blisko.

– A, tak. Dobrze. – Z pewnością byliśmy blisko miejsca, gdzie chciałem dotrzeć, chociaż zapomniałem, jak wysoko musimy się znajdować. – Myślałem, że to zbiornik z wodą.

Przewód piął się wzwyż na tyle stopniowo, że nawet o tym nie pomyślałem. Wyrzutnia miała wiele kilometrów długości i szła przez górę, od podstawy na zachód od Fort Arrow do otwartego końca na wschodzie, po drugiej stronie grani. Góra chroniła Fort Arrow i cały kompleks przed falami uderzeniowymi, gdy kapsuły towarowe opuszczały Wyrzutnię i trafiały do atmosfery. Podczas konwojów, jeśli miały miejsce w czasie wystrzeżeń, musieliśmy zatrzymać się na godzinę, zabezpieczyć pojazdy i nosić pod hełmami sprzęt chroniący słuch. Zdarzyło mi się to jedynie dwa razy i znajdowaliśmy się na tyle daleko, że widzieliśmy tylko lekki błysk na niebie. Nadal czułem jednak drżenie gruntu od naddźwiękowych fal uderzeniowych. Wszystkie budynki w kompleksie i wokół niego, w tym Fort Arrow, miały systemy wyciszające w ścianach i oknach. Baza w czasie wystrzałów była zamknięta. Chciałem to kiedyś zobaczyć z bliska, ale pewnie już przegapiłem swoją szansę.

Amaro i ja precyzyjnie się obok kolumny i poprowadziliśmy resztę może sto metrów do tyłu, w miejsce, gdzie przegapiliśmy właz. Włazy dysponowały kołowrotami również od środka, a ten miał także niewielkie, grube okienko. Przyłożenie twarzy do szkła nic nie dało. Widziałem tylko odbicie własnego oka. Po drugiej stronie panowała ciemność. Jeśli znajdowały się tam chomiki, miały przerąbane.

– Amaro, przygotuj granat.

Skinęła głową, a ja zacząłem powoli przekręcać kołowrót. Nie trzeszczał, więc kręciłem nim bez zachowywania ostrożności, z całych sił, aż otworzyłem ciężki właz.

Prowadził do ciemnego korytarza. Pustego korytarza o długości trzydziestu metrów. Po drugiej stronie znajdowały się drzwi. Zwykle, solidne, prostokątne drzwi. Dałem Amaro znać, żeby szła za mną, a reszcie, żeby zostali na miejscu, i powoli ruszyłem do przodu. Przy drzwiach znajdowały się nie działające bez zasilania przyciski. Zamiast kołowrotu była dźwignia. Przesunąłem ją z zaskakującą łatwością, zaś same drzwi były niespodziewanie ciężkie.

Za nimi zobaczyłem wnętrze jakiegoś garażu z wysoką, szeroką roletą w drzwiach i furgonetką Ruharów zaparkowaną po lewej. Zwykły samochód, nieprzerobiony na chomvee. Zapewne używali go Ruharowie konserwujący sprzęt Wyrzutni. W garażu było gorąco i wilgotno. Na suficie zamontowano klimatyzację, ale teraz nie działała.

Amaro i ja prześlizgnęliśmy się za ciężarówkę, gdzie mieściły się zwykłe drzwiczki prowadzące do części biurowej. Tam znaleźliśmy dwa mocno zdarte stoły, kilka krzeseł, blat warsztatowy, narzędzia i śmietnik

z opakowaniami po jedzeniu Ruharów. Oraz kurz. Zapewne to miejsce nie było szczególnie często używane. W biurze wyjrzelśmy ostrożnie przez brudne szyby.

Znajdowaliśmy się na zboczu góry, z widokiem na Wyrzutnię, reaktor, miasteczko, Fort Arrow i lądowisko. Kolejne drzwi prowadziły na zewnątrz, przed wielką roletą leżał wybetonowany placyk połączony z drogą dostępową, a nad nim był dach i żuraw.

– Amaro, przyprowadź tu wszystkich i zamknij właz na wypadek, gdyby wróciło zasilanie. Otwarty właz może spowodować alarm.

Wyszedłem pod zadaszenie. Podo mną widać było Fort Arrow, a raczej to, co z niego zostało. Gdy SEONZ wydzieliły bazę z istniejącego uprzednio miasteczka chomików, zburzyliśmy część budynków, żeby postawić ogrodzenie i pole minowe, więc nietrudno było zauważyć, gdzie kończyła się i zaczynała baza. W miejscu stołówki ział krater, z którego uchodziła para zamiast dymu, ponieważ pocisk z działa elektromagnetycznego uszkodził budynek sportowy po drugiej stronie uliczki i zawartość basenu wlała się do krateru. Rakiety trafiły też w koszary, co nie miało szczególnego sensu, jako że Ruharowie musieli wiedzieć, że po południu będą w większości puste, za to budynki administracyjne pozostały prawie nietknięte, poza tymi, w które trafiły odłamki. Podobnie większość innych wewnątrz ogrodzenia Fort Arrow.

Lotnisko na północ od bazy wyglądało kiepsko. Pasy startowe zostały mocno poorane, tak żeby dumba nie były w stanie wystartować, również w każdy z hangarów trafiły rakiety. Byłem w stanie wypatrzeć wraki kurczaków i myszołowów, chyba żaden nie zdążył odlecieć. Choć słup dymu unoszący się z dżungli mógł być jednym z nich, trafionym w locie.

Moi ludzie również wyszli pod zadaszenie. Kazałem im trzymać się cienia i nie zakładać okularów słonecznych ani niczego, co odbijałoby światło. Większości zaparł dech w piersi poziom zniszczeń. Usłyszałem kilka komentarzy, że mieliśmy szczęście, że nie siedzieliśmy w stołówce.

Stołówka. Przed nami z budynku w tym samym celu korzystały chomiki. Szacowałem, że mieściła około czterystu ludzi. Czterysta osób, wszystkie martwe.

– Jaki mamy plan, sierżancie? – spytał Pope.

Mój plan zakładał infiltrację miasteczka wokół Fort Arrow i wykorzystanie osłony chomiczych budynków do ataków na siły Ruharów. Uznałem, że będą z nami raczej walczyć o każdy budynek, a nie zdecydują się na wysadzenie całego miasteczka. Moglibyśmy związać ich na wiele godzin, może dni, dając Kristangom czas na porządki w górze. Gdyby ludzie trzymali część miasteczka, Ruharowie nie zaryzykowałiby uruchomienia Wyrzutni. Wziąłem ze sobą tyle rakiet dlatego, że nie mieliśmy szans, gdyby Ruharowie mogli latać nad

nami i likwidować nas chirurgicznymi uderzeniami. Wystrzelenie co jakiś czas pojedynczego zingera zmusiłoby ich do wycofania wsparcia powietrznego i zmiany taktyki. Wiedziałem o tym, bo widziałem, jak rebelianci w Nigerii wystrzelili na ślepo rakiety w stronę naszych śmigłowców, przez co maszyny musiały się wycofywać.

Na północy za lotniskiem krążyły dwie pary sępów. Jedna zapewniała osłonę drugiej, gdy ta wystrzeliwała rakiety w stronę dżungli. Amaro wskazała na tę akcję, stwierdzając, że jacyś ludzie musieli przeżyć i uciec z lotniska. W tym momencie z dżungli wystrzeliły dwa zingery i ruszyły w stronę jednego z sępów. Jedna z rakiet dostała wiązkę cząstek i zboczyła z kursu, zaś druga spudłowała, ale wybuchła na tyle blisko, że sęp zachwiał się w powietrzu i opadł w stronę lotniska, zostawiając za sobą smugę dymu.

– Lornetka – rozkazałem, wyciągając rękę do Pope’a. Zrobiłem krok do tyłu, w cień, i rozejrzałem się po lotnisku. Na asfalcie stało kilka dodo, rozładowywano też dwa wieloryby. Wieloryby były większe nawet od dumbo. Przewoziły większe ładunki z orbity i miały z tyłu drzwi z rampą. Z jednego wylądowywano właśnie myszołowa ze złożonymi skrzydłami.

– Cholera, niedobrze – powiedziałem cicho, ale nie dość cicho.

– Co takiego? – spytał Pope.

– Jeśli już sprowadzają myszołowy, muszą być pewni, że zostaną tu na dłużej.

Jak mieliśmy dostać się do miasteczka niezauważeni? Nie pomyślałem o tym, że znajdujemy się sto pięćdziesiąt metrów wyżej. Dlaczego nie zdałem sobie sprawy, że...

– Lecą! – zawołał ktoś za mną. Z rykiem turbin dwa lądowiki nadleciały ponad grani za nami, przeleciały blisko garażu i w końcu dotarły na lotnisko. Był to dodo w eskorcie sępa. Wszyscy ścisnęliśmy się przy rolecie, starając się za wszelką cenę trzymać cienia. Patrzyłem, jak lądują, i gdy to zrobiły, jeden z wielorybów uniósł się w chmurze pyłu i ruszył w naszą stronę, po czym przeleciał nad granią za nami i nabral prędkości. Gdy nas mijał, patrzyłem na jego wielkie, grube, podatne na atak podbrzusze.

– Hmmm. – Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. – To teraz ich korytarz lotniczy. Znajdujemy się tuż pod nim. – Gdy stacjonowałem w Fort Arrow, widziałem pojazdy nadlatujące ze wschodu i zachodu, czasami z północy, ale nigdy z południa, od strony góry. To uległo zmianie. – Nasze chłopaki tam, w dżungli, odstraszyły Ruharów na tyle, że nie latają już z tamtej strony. Cholera! Lecą nad nami i nie wiedzą, że tu jesteśmy.

Przez lornetkę spojrzałem na drugiego wieloryba, którego nadal rozładowywano. Wyglądało na to, że przewoził głównie żołnierzy.

Zgodnie z danymi dostarczonymi przez Kristangów wieloryby mieściły około sześciuset pasażerów. Sądząc po sprzęcie, jaki wynosili żołnierze, uznałem, że ten nie transportował maksymalnej liczby chomików.

Sępy nad dżunglą nadal wystrzeliwały co jakiś czas rakiety. Gdybyśmy mogli z naszej pozycji zestrzelić choć jeden lądownik, Ruharowie zapewne wstrzymaliby działania na lotnisku do czasu, aż zyskają pewność, że pozbyli się stawiających opór ludzi. To musiałoby opóźnić przejście Wyrzutni. Być może nawet przekierowałiby tu siły z innych miejsc, co ulżyłoby naszym wojskom w innych miejscach planety. Nawet jeśli Kristangowie nie chcieli albo nie mogli wrócić na Paradise, na pewno w końcu usłyszeli o tym, jak SEONZ dzielnie broniły Wyrzutni, co wpłynęłoby na opinię naszych sojuszników o przydatności bojowej ludzi i pomogło naszym na Ziemi. O to chodziło w Siłach Ekspedycyjnych. Nie byliśmy w stanie sami bronić ojczystej planety przed Ruharami, musieliśmy w tej kwestii polegać na Kristangach. SEONZ poleciały do gwiazd, by dać Kristangom powód, aby obchodziło ich, czy Ziemię podbiją Ruharowie, czy nie. W pewnym sensie więc naszą misją było ratowanie świata.

Tak, wielkimi literami nie bez powodu. Tak wygląda to bardziej dramatycznie. Kiedy mierzysz się z możliwością bycia uwięzionym na zawsze na obcej planecie kontrolowanej przez wroga, dramatyczna motywacja trochę poprawia morale.

Oddałem lornetkę Pope'owi.

– Pope i... Wayne, możecie przebiec przez drogę pod tamte drzewa? Potrzebuję obserwatorów, żeby mieć na oku to, co nadlatuje zza tamtej grani. Na prawej ręce pokazujecie liczbę, a na lewej... hm... Pięść to wieloryb, otwarta dłoń skierowana w dół to dodo, a w górę to sęp, rozumiano? – Nie chciałem marnować zingera na sępa, musieliśmy zrobić coś bardziej spektakularnego niż zestrzelenie dwuosobowego śmigłowca szturmowego.

Pope rozejrzał się na boki.

– Tak, pójdziemy wzdłuż drogi pod drzewa po tej stronie, potem przejdziemy tutaj i wrócimy tędy.

– Dobrze, zostawcie tu rakiety i AT4. Gdy tylko wystrzelimy, wracacie tutaj. Wejdziemy do przewodu i pobiegniemy do kolejnego wyjścia. – Po naszym ataku Ruharowie niechybnie zamienią garaż w kupę gruzu. – Wszyscy inni, przygotować zingery. Amaro, zobacz, czy uda ci się otworzyć tę roletę, musimy szybko się wycofać.

Chwyciłem jeden z zingerów, otworzyłem panel celowniczy i wcisnąłem pierwszy przycisk, by go aktywować. Po aktywacji system namierzania pozostawał czynny przez kilka godzin.

Pope i Wayne odłożyli swoje wyrzutnie, wyjrzeni za krawędź zadaszenia i pobiegli pod drzewa. Kiedy znaleźli się po drugiej stronie

drogi, porozumiewaliśmy się podniesionymi głosami. Sygnały migowe miały służyć do komunikacji w hałasie. Chwilę później usłyszeliśmy ryk silników. Jedno dodo i jeden sęp.

Pokręciłem głową i skierowałem kciuk w dół. Stwierdziłem, że jeśli wkrótce nie zjawią się bardziej kuszące cele, zadowolę się dodo. Martwiłem się, że w końcu wypatrzą nas Ruharowie korzystający z drogi dojazdowej. Niedługo pewnie zaczną przeszukiwać okolicę.

Kolejny lot za naszymi plecami. Jeden sęp. Znowu skierowałem kciuk w dół. Widziałem, że ludzie zaczynają się niecierpliwić.

– Sprawdźcie, czy broń macie zabezpieczoną. Nikt nie strzela, zanim nie wydam rozkazu. – Upewniłem się, że wszyscy mnie rozumieją, patrząc im po kolei w oczy. Sam starałem się wyglądać na spokojnego, a nawet znudzonego. Udałem, że ziewam. – Cholera, mam nadzieję, że wkrótce się zjawią. Głodny jestem. – Wywołało to nerwowy śmiech pozostałych.

Wieloryb na lotnisku skończył rozładunek. Żołnierze Ruharów odmaszerowali w stronę dżungli, a transportowiec wzleciał w górę. Przeleciał niemal bezpośrednio nad nami, na tyle, że zauważyłem oznaczenia na skrzydłach i kadłubie. Upewniłem się, że wszyscy widzą mój kciuk w dół. W razie potrzeby mógłbym zaatakować pusty lądownik, ale wołałem poczekać na pełny.

W końcu rzeczywiście zacząłem się nudzić. Po wielorybie minęło może dziesięć minut bez żadnych lotów w okolicy, poza parą sępów nad dżunglą. Ale nawet one już nie strzelały, a od strony lasu nie leciały zingery. Zacząłem się zastanawiać, czy odpuszczenie dodo albo pustego wieloryba nie było błędem. Tak czy siak, osiągnąłbym nasz główny cel, czyli wstrzymanie lotów przez Ruharów. Mimo wszystko chciałem jednak zadać chomikom znaczne szkody i odpłacić się za wszystkich, którzy zginęli w stołówce Fort Arrow.

Gdy czekaliśmy, kazałem ludziom sprawdzić okolicę. Po wystrzeleniu zingerów musieliśmy szybko uciekać do przewodu i nie mogliśmy marnować czasu na zbieranie rzeczy. Cholera, mogłem zostawić właz otwarty, zamiast marnować czas na kręcenie kołowrotem. Za późno, miałem nauczkę.

– Wieloryby! – krzyknął Wayne i pomachał rękami. Pope miał przy oczach lornetkę i rzucił coś do Wayne'a. Ten uniósł pięść i dwa palce, po czym otwartą w górę dłoń i dwa palce. Dwa wieloryby w eskorcie dwóch sępów. Jeszcze nie było ich słychać, musiały lecieć na znacznej wysokości. W końcu jednak je usłyszeliśmy.

– Przygotować się! – krzyknąłem. – Nie strzelać, póki nie wydam rozkazu! Mamy dwa wieloryby. Ludzie po tej stronie celują w pierwszego, po drugiej razem ze mną w drugiego. Na razie trzymajcie się zadaszenia.

Byłem tak podekscytowany, że dwa razy sprawdziłem zabezpieczenie zingera. Gdy ryk silników odrzutowych zrobił się jeszcze głośniejszy, podszedłem do krawędzi wybetonowanego placyku. Co wiedzieliśmy o wielorybach? Były dobrze chronione, jak na lądowiki, z wieloma miotaczami promieni. Mieliśmy piętnaście zingerów na dwa cele, więc szanse trafienia były spore.

Spojrzałem spod dachu na wieloryby. Znajdowały się blisko, ale leciały nieco na wschód, a nie bezpośrednio nad nami. Żaden nie miał włączonego aktywnego maskowania.

– Przygotować się – rozkazałem głośno i wyszedłem spod dachu. – Uzbroić wyrzutnie!

Rozświetlił się panel celowniczy. Skierowałem celownik na pozostającego z tyłu wieloryba. Jego silnik skierowany był niemal całkiem w dół, bardziej unosząc go w górę niż pchając do przodu, jako że przygotowywał się do lądowania. Najbardziej wrażliwa część.

– Czy każdy namierzył cel? – krzyknąłem i powtórzyłem.

Musieliśmy strzelać szybko. Stojąc na widoku z zingerami, mieliśmy pewność, że wypatrzą nas wkrótce eskortowe sępy. Czternastu ludzi potwierdziło, że tak.

– Gotowi? Ognia! – Wystrzeliłem i zaraz czternaście innych rakiet także wyleciało z wyrzutni.

Pędu nadawał im impuls magnetyczny, aby odrzut nie zabił użytkownika. Dopiero gdy pocisk oddalił się na pięćdziesiąt metrów, odpalała się rakietka i niemal straciłem je z oczu, gdy przyspieszyły. Wszystko działo się tak szybko, że nie wiedziałem, ile z naszych zingerów zostało unieszkodliwionych albo zniszczonych przez systemy obronne wielorybów. Wiem tylko, że oba zachwiały się w powietrzu, gdy zarówno przednie, jak i tylne silniki po ich prawej stronie eksplodowały. Inne rakiety trafiły w spodnią część. Mają tam mniejsze silniki pozwalające im unosić się w powietrzu.

Co jakiś czas śni mi się koszmar, który, mam nadzieję, jest fałszywym wspomnieniem. Nie mogłem tego zobaczyć i w zasadzie nie mogło się zdarzyć, ale i tak wryło mi się w pamięć. Przedziały pasażerskie i towarowe wielorybów nie mają okien, jako że to słabe punkty, a lądownik musi wytrzymać setki, nawet tysiące lotów. Małe okienka są w bocznych drzwiach i z jakiegoś powodu z tyłu przy rampie. I oczywiście w kokpicie. Okna w kokpicie wyglądają jak w komercyjnych samolotach na Ziemi, są na tyle duże, żeby piloci widzieli, co znajduje się na zewnątrz, ale za małe, żeby było dobrze widać, co dzieje się w środku. A wieloryby znajdowały się jakieś osiemset metrów od nas. A jednak mam bardzo żywe wspomnienia o ruharskim pilocie z drugiego wieloryba, do którego sam wystrzeliłem, obracającego się, żeby zobaczyć, skąd nadchodzą rakiety. Gdy pierwsza z nich uderzyła i skierowała dziób

ładownika w moją stronę, pilot przez chwilę patrzył bezpośrednio na mnie. Nie na naszą pozycję, nie na grupę ludzkich żołnierzy, tylko właśnie na mnie.

Tak jakby mnie znał, jakby pytał dlaczego, skoro nasze gatunki pochodzą z różnych, oddalonych o tysiące lat świetlnych światów, skoro nasze życiorysy były zupełnie inne. Dlaczego nasze ścieżki skrzyżowały się w taki właśnie sposób? Dlaczego spotykamy się po raz pierwszy właśnie wtedy, gdy wystrzeliłem rakietę kończącą jego życie? Dlaczego? Nie pytał wszechświata, karmy ani losu, ani żadnego wyznawanego przez siebie bóstwa. Pytał mnie.

Oba wieloryby obróciły się na bok. Jeden z nich przez chwilę zachował resztki kontroli, po czym oba poleciały prosto na zbocze góry, koziołkując i próbując wyhamować mimo kolejnych eksplozji. Powinniśmy wycofać się do przewodu od razu po wystrzale, ale zamiast tego staliśmy, patrząc z rozdziawionymi ustami albo krzycząc radośnie. Tak to jest, kiedy prowizorycznym oddziałem dowodzi niedoświadczony sierżant. Przypomniałem sobie o tym dopiero, gdy przybiegli do nas Wayne i Pope.

– Czas się zbierać, sierżancie? – spytał Pope z szeroko otwartymi oczami.

– Tak. Tak, biegiem. Amaro, otwórz właz!

Jeden z sępów unosił się bezpośrednio nad nami, a drugi zaczął krążyć, szukając celu. Szukając nas. Bez namysłu odbezpieczyłem drugiego zingera. Cieszyłem się teraz, że niosłem ze sobą dodatkowe trzynaście kilo. Wycelowane w sępa i wcisnąłem spust. Jego systemy obronne zniszczyły rakietę, zanim się zbliżyła, ale i tak osiągnąłem swój cel, bo sęp odleciał ze znaczną prędkością, dając nam czas na odwrót.

*

Okazało się, że wysiłki mojego prowizorycznego oddziału nie były potrzebne, a Ruharowie na pokładzie dwóch wielorybów, które zestrzeliliśmy, zginęli na marne. Niecałą godzinę później wróciła grupa uderzeniowa Kristangów i okręty Ruharów wycofały się, porzucając swoje siły na Paradise. Do tego czasu wróciliśmy do generatora plazmy i skryliśmy się w miejscu, którego Ruharowie raczej nie chcieliby uszkodzić. Po tym, jak rozbiły się wieloryby i reszcie Ruharów na ziemi minął początkowy szok, para sępów krążyła wokół jak wściekłe szerszenie, czasami ostrzeliwując coś z laserów. Wiedzieli, gdzie jesteśmy, i wyobrażałem sobie, że piloci proszą o pozwolenie na usmażenie nas, ale w odpowiedzi słyszą, że nie wolno uszkodzić kluczowej dla Wyrzutni maszyny.

Uznałem, że najlepszym wyjściem jest schronić się w łatwym do

obrony miejscu, którego Ruharowie nie będą w stanie ostrzelać z ciężkiej broni. Kupiliśmy sobie w ten sposób nieco czasu. Generator plazmy wydawał się do tego odpowiedni.

Została nam amunicja do karabinów, AT4 i parę zingerów, nieco granatów i poczucie, że zrobiliśmy co tylko można, żeby pomścić naszych. Znaleźliśmy zapasową sterownię umieszczoną pod ziemią, bez żadnych okien. Musieliśmy korzystać z kamer, których, co dziwne, Ruharowie nie wyłączyli. Z jednej z nich mieliśmy widok na wciąż parujący krater po stołówce. Zastanawiałem się, czy ktokolwiek z przebywających tam wówczas ludzi miał jakiegokolwiek pojęcie, że Ruharowie wskoczyli na orbitę, zanim trafił w nich pocisk z działa elektromagnetycznego. Miałem nadzieję, że nie. Lepiej, jeśli zginęli w spokoju, słuchając nudnej przemowy generała, przysypiając i śniąc o czymś przyjemnym, nie wiedząc, że umierają, dopóki nie obudzili się w zaświatach. Ludzie na lotnisku i parkingu nie mieli takiego szczęścia. Widzieli, jak stołówka znika, i dostali odłamkami, zanim trafił w nich deszcz rakiet. Sępy, które nas zignorowały, ostrzelały resztki tych, którzy przeżyli. SEONZ oszacowały, że zginęło sześćset siedemdziesiąt osób ze stacjonujących w Fort Arrow dziewięćuset. To była dla nas ponura lekcja – jeśli nie kontrolujesz orbity, jesteś praktycznie martwy. Okopanie się niewiele pomaga, skoro pocisk z działa elektromagnetycznego może przebić się nawet na trzysta metrów pod ziemię przy pełnej mocy. Ruharowie dysponowali specjalnymi okrętami przeznaczonymi do bombardowania planet. Pakiet informacyjny przedstawiał długą, cienką lufę działa elektromagnetycznego z reaktorami fuzyjnymi na tyle. Po co komu atomówki, kiedy pocisk z takiego działa miał moc dziesięciu kiloton, a okręty mogły wystrzeliwać je jeden po drugim, aż nawet z najtwardszego celu pozostanie tylko chmura atomów?

Zważywszy na to, jak wyglądała przyszłość wojny, co, do cholery, robili tu ludzie?

Amaro jako pierwsza zauważyła zmianę sytuacji. Monitorowała jedną z kamer i zawołała mnie, gdy zobaczyła, że para chomików, która pilnowała naszego reaktora, odłożyła broń i stanęła w zasięgu kamery. Przełączaliśmy widoki i podobnie wyglądała reszta bazy. Chomiki odkładały broń i odchodziły w stronę lotniska. Sępy lądowały, a ich załogi odchodziły, zostawiając otwarte drzwi. Nie zdążyliśmy się zastanowić, co to oznacza, gdy zabrzęczały wszystkie nasze zFony. Wróciła kawaleria. Kristangowie znów przejęli kontrolę nad przestrzenią wokół Paradise, a siły Ruharów na planecie skapitulowały. Przynajmniej na razie.

7. PUŁKOWNIK

Nasze myszołowy przyleciały kilka godzin później. Przez ten czas szukaliśmy innych, którzy przeżyli atak, i pomagaliśmy rannym. Ku mojej uldze znaleźliśmy kapitana, który przejął dowodzenie, a ja wróciłem do wykonywania rozkazów.

Rankiem trzy dni później, kiedy pracowałem z ekipą porządkową, rozpętała się potężna burza. Gdy deszcz ustał, znalazł mnie szeregowiec i powiedział, że mam rozkaz zgłosić się do major Perkins w budynku administracyjnym. Co ona tutaj robiła? Mówiła, że przydzielono ją do sektora indyjskiego. Uznałem, że to zapewne nic dobrego.

– Sierżant Bishop na rozkaz, ma’am. – Od biegu po schodach miałem lekką zadyszkę.

Major Perkins spojrzała na mnie zdziwionym wzrokiem.

– Nie mógł się pan umyć? Co pan tam robił?

Spojrzałem na swoje utyłane ubranie i brudne ręce z czarnymi paznokciami.

– Kazano mi się zgłosić niezwłocznie. Pomagałem czyścić pasy startowe z odłamków.

Odłamków, wśród których były roztrzaskane myszołowy, wciąż zawierające ludzkie ciała.

– Cholera, Bishop, nie chodziło mi o to, że masz tu od razu przybiec. Siadaj. – Wyglądała na tak zmęczoną, jak ja się czułem. – Jak się czujesz?

– Otepiały, ma’am – odpowiedziałem szczerze. – Tak jak pani kazała, nie wychylałem się, pilnowałem konwojów, a tu bum, rozpętało się piekło. – Mimowolnie wzdrygnąłem się, myśląc o tym, co zostało ze stołówki. – Czemu, do cholery, zaatakowali właśnie stołówkę? Trochę wcześniej sam bym tam był.

Perkins wyjrzała przez okno, z którego miała dobry widok na krater.

– Dowódczyni ataku Ruharów, którą przesłuchaliśmy, twierdzi, że uderzenie w stołówkę, główne koszary i budynek administracyjny było celowe. Uznali, że po południu stołówka i koszary będą w większości puste. Gdyby nie wizyta generała Gupty, w jadłodajni nikogo by nie było, a Ruharowie nie mogli wiedzieć o zebraniu przed skokiem na orbitę. Powiedziała, że to był czysty pech, nie chcieli niepotrzebnych ofiar. Nie wiem, czy jej wierzyć, to już stwierdzą ludzie nade mną. Albo Kristangowie. Jutro im ją oddajemy. Dlatego właśnie Ruharów tak wkurzyło zestrzelenie przez pana dwóch wielorybów. W każdym było około pięciuset żołnierzy plus załogi. Ruharowie najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, że zabili tak wielu ludzi w stołówce. Nie mieli czasu przyrzeć się kraterowi. Dla Ruharów, do czasu aż powiedzieliśmy im o stratach po naszej stronie, wasze działania stanowiły niepotrzebną

eskalację konfliktu w chwili, gdy proponowali zawieszenie broni.

– Nie wyglądało na chęć mediacji, gdy ich сэpy ostrzeliwały każdego człowieka w okolicy, ma'am – powiedziałem wzburzony.

– Rozumiem, Bishop. Ale proszę pamiętać, że nasi ludzie tutaj strzelali do nich. Nie mam problemu z pańskimi działaniami, a nawet wnioskowałam o odznaczenie dla pana. Ale nasi, hm, przyjaciele mają inny pomysł. Chcą, żeby SEONZ dały panu awans. – Skrzywiła się, jakby nie zgadzała się z tym pomysłem.

– Zostanę starszym sierżantem? Byłem sierżantem tylko przez...

– Nie, Bishop, nie zostanie pan starszym sierżantem. – Miała niemal pokerową twarz.

Uznałem, że Kristangowie chcieli zrobić mnie starszym sierżantem, ale SEONZ się na to nie zgodziły, bo uznały, że nie jestem gotowy. W pełni się z tym zgadzałem. Nadal nie byłem pewien, czy nadaję się na sierżanta. Może dywizja wysłała tu Perkins, żeby mnie udobruchać, bo pracowaliśmy wcześniej razem.

– U Kristangów awanse wynikają niemal zawsze z sukcesów w walce – mówiła dalej Perkins. – Dochodzą też kwestie polityczne i frakcje w każdym klanie, ale ich system awansów polega na sprawdzeniu się w boju, co definiują poprzez liczbę zabitych wrogów. Żołnierze na wielorybach i straty na dole, gdy wybuchła amunicja na pokładzie... Pańskie działania zabiły ponad tysiąc Ruharów. Kristangowie są pod wrażeniem. Są wkurzeni, że większość ludzkich jednostek nie poczyniła Ruharom większych szkód. Co z tego, że niewiele mogliśmy zrobić, gdy bombardowali nas z orbity? Zabił pan wielu Ruharów, podczas gdy większość SEONZ, zwłaszcza starszych stopniem oficerów, nie zdziałała nic według standardów Kristangów.

Starszych stopniem oficerów, łącznie z major Perkins. Widać było, jak się z tym czuje.

– Kristangowie chcą, żeby... – Major zacięła się na chwilę. – A, cholera, proszę.

Wyjęła z kieszeni małe pudełko, spojrzała na nie z niesmakiem i otworzyła. W środku znajdowały się srebrne insygnia, na każdym orzeł trzymający w szponach strzałę i gałązkę oliwną, z głową zwróconą ku strzałom. Wojenny orzeł. Armia USA nie używała tych symboli od czasu drugiej wojny światowej.

Orzeł stanowił oznakę stopnia pułkownika armii i marines albo kapitana marynarki.

– Wow, ma'am, awansują panią o dwa stopnie? – Byłem pod wrażeniem. Z tego, co wiedziałem, awanse z majora do pełnego pułkownika praktycznie się nie zdarzały.

– Nie, Bishop, ty głupku – odpowiedziała z irytacją Perkins. – Są dla pana. Kristangowie chcą, żeby SEONZ zrobiły pana pułkownikiem.

– Ja pierdolę – wyszeptalem zdruzgotany.

– Owszem, ja pierdolę – zgodziła się z moją diagnozą. – Pułkownik to niżej niż to, czego początkowo domagali się Kristangowie. Oczekiwali, że SEONZ zrobią cię generałem. Pieprzonym generałem. – Pokręciła głową z niedowierzaniem.

– Ma’am, nie wierzę, że zrobiliby mnie pułkownikiem, nie mówiąc o generale.

– Niech panu nie uderzy do głowy woda sodowa. Jest pan całkiem inteligentnym żołnierzem, potrafi się pan dostosować do sytuacji i przejąć w razie potrzeby inicjatywę. Ale prawda jest taka, że nie jest pan bardziej inteligentny ani elastyczny, niż oczekuje tego armia od każdego z żołnierzy.

– Tak jest, ma’am – odparłem, bo była to prawda.

– W każdym razie nie będzie pan generałem. Powiedzieliśmy im, że rola generałów w naszych wojskach jest głównie administracyjna, a pułkownik to najwyższy stopień żołnierzy biorących bezpośredni udział w walkach. To mniej więcej prawda. Zrozumieli to i zadowala ich awans na pułkownika. To stopień – trąciła ręką pudełko ze srebrnymi orłami – dość wysoki, żeby pokazać, że SEONZ ceni sukcesy w walce tak samo jak Kristangowie. Zadowolenie naszych sojuszników jest ważne.

– Hm – mruknąłem, zafascynowany insygniami. Przed atakiem Ruharów chciałem tylko odsłużyć tyle, żeby zarobić na studia i odejść. Teraz przede mną leżała para srebrnych orłów. – Nie jestem najlepszy w pisaniu listów i takich tam.

– Listów?

Oderwałem wzrok od orłów i spojrzałem jej w oczy.

– Wie pani, dziękuję, to wielki zaszczyt, ale nie mogę tego przyjąć. Armia nie działa w ten sposób i...

– Sierżancie, chyba mnie pan nie rozumie. Muszę to panu wyjaśnić prosto jak dinozaur Barney – wyrzuciła to z siebie z frustracją i bez uśmiechu, więc wiedziałem, że nie używa imienia „Barney” ironicznie. – To i tak ostatni moment, w którym mogę wydać panu rozkaz, bo zaraz będzie pan ode mnie wyższy stopniem. SEONZ nie chcą, aby grzecznie odmówił pan awansu. Chcemy, aby z chęcią go pan przyjął, jako należący się panu za zabicie wielu Ruharów. Żeby powiedział pan Kristangom, że żałuje pan tylko, że nie zdążył zabić ich więcej. Proszę być pewnym siebie, śmiałym i żądnym krwi. Takim, jak chcą Kristangowie, bo pilnowanie tej planety to kiepska robota, ale to robota, na którą się zgodziliśmy, a nasi sojusznicy są jedyną szansą na powrót do domu. I naszym jedynym źródłem zaopatrzenia.

– Ja pierdolę – powtórzyłem. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Ja. Pułkownikiem.

Z pierdolonym orłem na pagonie. Ja.

– Co mam robić? Jako pułkownik? – Pułkownik w Armii USA zwykle był dowódcą lub zastępcą dowódcy brygady, dowodził tysiącami żołnierzy. Nie byłem do tego odpowiednio przygotowany.

Major Perkins wzruszyła ramionami i unikała mojego wzroku.

– Cholera wie. SEONZ coś wymyśla.

Szlag, teraz mnie to uderzyło. SEONZ zamierzały wykorzystać mnie na pokaz, żebym paradował przed Kristangami jako przykład idealnego wojowniczego człowieka, podczas gdy za moimi plecami wszyscy będą się ze mnie śmiać. Nie mogłem powstrzymać grymasu odrazy na twarzy.

– Bishop, SEONZ tego potrzebują. Nie musi się to panu podobać, ale to pański obowiązek – napomniała mnie Perkins.

– Jasne. Będę nosić medale na piersi, przemawiać do żołnierzy i może sprzedam nieco obligacji wojennych. Cholera! – A niby awans zwykle był czymś dobrym. – Czy jestem jedyną taką marionetką?

– Nie, jest jeszcze major chińskiej armii, który zostanie podpułkownikiem. Kristangowie byli też zadowoleni z działań jednego kapitana Armii USA, dwóch Hindusów i jednego z Francuzów. Wszyscy zginęli w walce, więc tylko wasza dwójka dożyła zaszczytu.

– Ten Chińczyk dostaje awans tylko o jeden stopień? Dlaczego? – Cholera, ja przecież z byle sierżanta miałem zostać pułkownikiem.

– Jego jednostka broniła kompleksu magazynów, który należał kiedyś do Ruharów, a obecnie używają go SEONZ. Najwyraźniej Ruharowie zostawili tam coś ważnego i bardzo chcieli to odzyskać. Nie mogli ryzykować uszkodzenia tego czegoś, cokolwiek to jest, więc wysłali wojska lądowe. Ten major Chang wciąż kontrolował dwa z magazynów, gdy flota Kristangów przegoniła Ruharów, ale stracił osiemdziesiąt procent ludzi. W tym, jak głosi plotka, syna wysoko postawionego chińskiego urzędnika. Dlatego dostaje awans tylko o stopień. Bishop, jest pan naprawdę niezłym sierżantem, dobrze się pan spisał w Teskor i nikt nie powie, że nie zasłużył pan sobie na jakiś awans. Ale jeśli Kristangowie zaczną uważać ludzkich żołnierzy za cennych, to będzie dobre dla całej ludzkości.

*

Uroczyste nadanie mi nowego stopnia miało miejsce w Fort Olimp, kwaterze głównej SEONZ. Zdziwiło mnie, gdy zobaczyłem, że nie ucierpiała ani trochę w czasie ataku Ruharów. Major Perkins, która towarzyszyła mi w czasie lotu dumba, powiedziała, że według ruharskich jeńców kazano im oszczędzić kwaterę główną, bo chcieli zachować dowództwo, które mogło kazać wszystkim ludziom na Paradise złożyć broń. Co byłoby prostsze, gdyby chomiki nie zakłóciły całej komunikacji. Cóż, kto zrozumie kosmitów?

Spotkanie z generałem Meersem i resztą dowództwa nie było tak straszne, jak się spodziewałem. Obawiałem się długiej, formalnej ceremonii pełnej przemów, podczas której musiałbym mieć na twarzy albo wojowniczy grymas, albo miły uśmiech, zależnie od tego, co zdecydują pijarowcy z SEONZ. Zamiast tego, jako że Kristangowie wciąż nie mogli lądować na Paradise bez skafandrów, żadnego z nich nie było w Fort Olimp i cała ceremonia miała miejsce w biurze generała Meersa, który przypiął mi do munduru srebrne orły w obecności reszty starszych stopniem oficerów. Następnie przyszła pora na pyszny obiad w mesie oficerskiej ze stekami, które smakowały jak świeże. Jak się okazało, dlatego że były napromieniowane i schłodzone, a nie mrożone. Groszek też był lepszy niż standardowa papka ze stołówki, do tego pieczone ziemniaki z masłem, tort czekoladowy i prawdziwa, świeżo parzona kawa.

Starsi stopniem oficerowie dobrze jedli. I do tego mogłem się spokojnie przyzwyczaić. Moja radość trwała do chwili, gdy pułkownik marines podziękował mi za to, że dałem im okazję do uczyty. Generał Meers przez sześć dni w tygodniu kazał starszym oficerom w Fort Olimp żywić się racjami polowymi, aby przypominać dowódcom, jak żyje się ich żołnierzom. Nie wiedziałem wiele o Meersie, ale wtedy zyskał sporo mojego szacunku.

Stek był świetny. Jednak nadal miałem ochotę na cheeseburgera.

*

Po obiedzie generał Meers chciał ze mną porozmawiać na osobności. Tak! Dowódca wszystkich ziemskich sił na Paradise chciał uciąć sobie ze mną pogawędkę.

– Sierz... cholera, pułkowniku, to dla mnie też coś nowego. Bishop – używając nazwiska, mógł unikać zwracania się do mnie stopniem – miał pan cholernie ciekawą karierę, jak na kogoś tak młodego. Nigeria, potem Ruharowie rozbili się w pańskim miasteczku, a pan pojmał jednego z nich. Wywiad mówi mi, że był pan przez jakiś czas świetnym źródłem informacji. A potem zebrał pan własny oddział i zestrzelił dwa wieloryby. Byłem cholernie zaskoczony, gdy dowiedziałem się, że jest pan tym samym Bishopem, który pojmał Ruhara w furgonetce z Barneyem. To spory zbieg okoliczności.

– Moja mama zawsze powtarzała, że jestem magnesem na kłopoty. Zawsze w coś się pakowałem. – W tej chwili słyszałem w głowie jej głos. – To nie taki wielki zbieg okoliczności. Po prostu byłem na przepustce, gdy Ruharowie rozbili się w moim miasteczku. Ale zbiegiem okoliczności nie było, że burmistrzynie...

– Kto?

– Ruharska urzędniczka, nazywaliśmy ją burmistrzynią. Ta, która przekazywała mi informacje o tunelach czasoprzestrzennych i tak dalej. To nie przypadek, że chciała rozmawiać właśnie ze mną. Wyszukała mnie, bo chomik, którego wtedy schwytałem, powiedział swoim, że dobrze go traktowałem, i chciała się ze mną spotkać. Stacjonowałem w Fort Arrow, bo powiedziano mi, że Kristangowie węszą, próbując dowiedzieć się, kto przekazuje nam informacje, więc to nie przypadek, że znalazłem się tam w momencie ataku Ruharów. I zapewne przebywałem w stołówce, tak jak inni, ale kapitan Price miał dość tego, że SEONZ przysyła mu wszystkich, których chcą się pozbyć, i przydzielił mnie do konwoju. Dlatego przebywałem poza bazą, gdy Ruharowie zaatakowali. – Cóż, było to względnie bliskie prawdy. Generał Meers nie musiał znać szczegółów.

– Jedno szło za drugim, co?

– Tak to widzę, sir.

– Może i ma pan rację. Ale teraz, gdy trafił pan tutaj, proszę nie spodziewać się, że może się pan obijać, bo się panu poszczęściło. Kristangowie awansują żołnierzy na podstawie sukcesów w bitwie, ale może pan nie wiedzieć, że degradują równie szybko.

– Sir, nie wiem, co mam teraz robić, ale jakiegokolwiek obowiązki zostaną mi przydzielone, postaram się wypełniać je tak dobrze, jak tylko umiem.

– I świetnie. Ostatnie, czego chcę, to żeby wszyscy w SEONZ myśleli, że skoczą w górę, gdy zrobią coś spektakularnego. Większość poruczników uważa się za mądrzejszych od swoich przełożonych. A sierżanci uważają, że są lepszymi żołnierzami niż przemądrzali porucznicy. – Parsknął. – Cholera, sierżanci pewnie nawet mają rację. Już mieliśmy przypadki ludzi zachowujących się jak Rambo, żeby ich zauważono. Więc zrobienie z pana z powrotem sierżanta albo szeregowca, bo coś pan spieprzy, ułatwiłoby mi życie, rozumiemy się?

– Tak jest, sir. – Nawet się tego spodziewałem. Srebrne orzełki nie były mi pisane.

– Ale mimo wszystko... – Meers przyglądał się widokowi za oknem, gdzie przelatywały dwa kurczaki. – Nie chcę, żeby spieprzył pan sprawę, Bishop. Ostrzegam, że planujemy zajechać pana jak muła, więc jeśli myśli pan, że bycie pułkownikiem polegać będzie na lataniu po planecie i wygłaszaniu przemów, to lepiej proszę wybić to sobie z głowy.

– Nigdy tak nie myślałem, sir.

Dobrze, że mnie ostrzegł.

*

Następnego dnia zacząłem szkolenie co do obowiązków pułkownika

Armii USA i protokołów związanych z kontaktami z Kristangami. Jeden z nich wymagał mdłej diety, którą zaczynało się dzień wcześniej. Kristangowie uważali, że ludzie śmierdzą, a jedzenie mięsa i ostrych potraw sprawiało, że śmierdzieliśmy im jeszcze bardziej. SEONZ słyszały od Ruharów, że Kristangowie myślą tak o wszystkich innych gatunkach i ludzie nie powinni brać sobie tego do serca. Oznaczało to dla mnie owsiankę i herbatę na śniadanie zamiast jajek i kawy. Lunch i kolacja były równie nudne. Inne instrukcje mówiły, że mam nie próbować podawać im ręki, bo nie chcieli nas w ogóle dotykać. I nie odzywać się, póki Kristang nie zada mi pytania. I nie uśmiechać się, bo Kristangowie interpretowali uśmiechy jako niepoważne podejście do sprawy. Kristangowie nie byli szczególnie wesołym gatunkiem.

Instrukcje co do mojej nowej roli jako pułkownika były jednocześnie proste i skomplikowane. Proste, bo pułkownik, któremu powierzono przeprowadzenie szkolenia, wyraźnie nie wiedział, jakie plany wobec mnie miały SEONZ i czy mój stopień jest tylko tymczasową grą pod publiczność, więc jego instrukcje polegały na mówieniu mi, że mam zachowywać się jak oficer i nie robić nic, co mogłoby przynieść wstyd SEONZ. Skomplikowane, bo wysłał mi mnóstwo plików do przeczytania, począwszy od materiałów szkoleniowych, które powinien znać na pamięć podporucznik. Było tego tyle, że zanim wszystko bym przeczytał, wojna dobiegłaby końca.

Kolejnego ranka, po kolejnym mdłym śniadaniu, Kristangowie przysłali prom, który miał zabrać generała Meersa, kilkoro oficerów i mnie. Mieliśmy szczęście, że winda kosmiczna i stacja znajdowały się na tej samej długości geograficznej co Fort Olimp, co oznaczało, że ich ranek nie wypadł w środku naszej nocy. Meers miał rozmawiać z Kristangami o czym tylko chcieli, ja leciałem po to, aby Kristangowie mogli mnie osobiście nagrodzić czy coś takiego. Nie wiedzieliśmy, jak dokładnie ma to wyglądać, poza tym, że żądali przybycia mojego i podpułkownika Changa.

Założyłem świeży mundur galowy, w którym próbowałem siedzieć spokojnie, żeby nie pognieść wyprasowanych spodni. Dzień wcześniej dostałem kolejny zastrzyk magicznych leków Kristangów przeciwko mdłościom, żeby nie zarzygać owsianką siebie i wszystkich innych, gdy prom znajdzie się w nieważkości. Obok mnie siedziała porucznik Reynolds, której jedynym zadaniem było powstrzymywanie mnie przed zrobieniem czegoś głupiego. W tym przed odruchowym salutowaniem jej. Z emfazą pierwsza mi salutowała i mówiła „sir”. Dziwnie się czułem.

Przejażdżka była bardziej gładka, niż kiedy opuszczaliśmy Obóz Alfa. Albo mieliśmy teraz lepszego pilota, albo Kristangowie bardziej uważali na ludzkich VIP-ów. Podczas mojej pierwszej wizyty na stacji kosmicznej widziałem tylko dok i nierobiące szczególnie imponującego wrażenia

korytarze, jako że prosto z okrętu zabrano nas do windy. Teraz prom wleciał do hangaru i mogliśmy się przyjrzeć stacji. Zapierała dech w piersiach. Spodziewałem się po Kristangach surowego, funkcjonalnego wystroju, czegoś industrialnego i wojskowego dla ich kasty wojowniczej. Zamiast tego zobaczyłem bogate zdobienia. Na ścianach wisiały gobeliny, które były piękne nawet dla mnie, przedstawiające krajobrazy na obcych planetach, okręty na tle mgławic, misterne geometryczne wzory, nawet kwiaty. I oczywiście Kristangów w boju, czego się spodziewałem. Kristangowie byli interesującym gatunkiem, pełnym sprzeczności, jeśli to, co powiedziała mi gubernator, było prawdą.

Ceremonia nie trwała długo. Weszliśmy do sporego pomieszczenia z Kristangami siedzącymi po obu stronach. Wysokiej rangi Kristangowie siedzieli na podwyższeniu na drugim końcu. Po raz pierwszy widziałem Kristangów z bliska i byłem onieśmielony. Byli wyżsi od przeciętnego człowieka, muskularni, a ich podstawowym wyrazem twarzy był groźny grymas. Może to była ich wersja przyjaznego uśmiechu. A, i jeszcze jedno, co do tego, że dla Kristangów ludzie śmierdzą: sami mogliby użyć na stacji jakiegoś odświeżacza powietrza. Przebywając w pomieszczeniu z około setką obcych, czułem suchy, skórzasty zapach z nutą starego potu.

Moim zadaniem było wygłoszenie krótkiej, przeciwiczonej dobrze przemowy, którą dla mnie napisano. Porucznik Reynolds powiedziała, że Kristangowie chcieli ją z góry przejrzeć i zatwierdzić. Przemowa, wygłoszona po angielsku i przetłumaczona przez zFona, była pełna żądz walki i krwi. Gdy skończyłem i cofnąłem się, wystąpił Chang i wygłosił podobne przemówienie. Gdy mówił, rozejrzałem się po tłumie. Większość Kristangów wyglądała na znudzonych, nawet lekko zniesmaczonych. Siedzieli z kamiennymi twarzami i wpatrywali się w sufit albo sprawdzali wiadomości czy grali w gry na zFonach. Nawet ich rozumiałem. Kristangom siedzącym po obu stronach pomieszczenia kazano zgłosić się na ochotnika do uczestnictwa w ceremonii i wszyscy nie mogli doczekać się jej końca. Czułem się jak w pomieszczeniu pełnym ludzkich nastolatków. Widok znudzonych Kristangów mówił mi, jak bardzo nieistotny byłem. Nie obchodziło ich, co zrobiłem, czy dostałem awans i czy przeżyję podróż z powrotem na Paradise. Gdy Chang skończył mówić, jeden z Kristangów podał pudełko generałowi Meersowi. Meers wyjął z niego złote wstęgi i przypiął je do naszych mundurów. Jeden z Kristangów na podwyższeniu wstał, zasalutował nam, a ja i Chang odpowiedzieliśmy salutem. I to był koniec. Meers i rzeczywiście ważni oficerowie zaczęli rozmawiać z Kristangami, podczas gdy Chang i ja zostaliśmy oddani pod opiekę Kristanga, który z wyraźną niechęcią podchodził do niańczenia dwóch ludzi.

– Chodźcie ze mną, niższe istoty – powiedział translator, gdy Kristang

wskazał nam, żebyśmy poszli za nim.

Jego wyraz twarzy mówił, że tłumaczenie było wierne. Poprowadził nas z niechęcią okrężną drogą poprzez stację na pokład obserwacyjny, który wydawał się dość pusty. Były tu krzesła, kilka stołów i wielkie okna ze świetnym widokiem na Paradise. Trudno było oprzeć się pokusie krzyknienia „widzę swój dom!”, bo wydawało mi się, że widzę zakola rzeki znajdującej się niedaleko na południe od Teskor. Kristang od niechcenia machnął ręką, wskazując, żebyśmy usiedli, podczas gdy sam ruszył do czegoś w rogu, co wyglądało na bar. Wziął szklanekę i nalał sobie znaczną ilość złotego płynu, dodał dwie kostki lodu i z gniewną miną opadł na krzesło naprzeciwko nas.

– Mam wam pogratulować waszych osiągnięć jako wojowników i powitać was w naszej wspaniałej koalicji. Pffffff.

Wyciągnął język i prychnął na nas pogardliwie.

Przyjrzałem mu się uważnie, podczas gdy wziął spory łyk płynu. Cokolwiek to było, pachniało jak alkohol. Przypominało nieco tequilę. Jego oczy się nieco zaszklily.

Cholera. Już się upił? A może przyszedł na ceremonię pijany i teraz pił jeszcze więcej? To nie wróżyło nic dobrego. Chang zauważył moje znaczące spojrzenie, podczas gdy Kristang spoglądał na okno. Pokręciłem głową. Cokolwiek miało się zdarzyć, powinniśmy zachowywać się jak goście naszych sojuszników.

– Aaaaaach – westchnął Kristang i rozsiadł się jeszcze wygodniej na krześle, przymykając oczy. Miałem nadzieję, że zaśnie i że będę mógł po prostu siedzieć i przyglądać się widokom za oknem, aż ktoś po nas przyjdzie. – Mój dowódca mnie nienawidzi. Inaczej czemu karałby mnie, kładąc wdychać ohydny smród niższych istot?

Założyłem, że nie oczekuje odpowiedzi na to pytanie, i trzymałem język za zębami, podobnie jak Chang.

Kristang pokręcił głową i wskazał na nas swoim zFonem.

– Słyszałem, że potrzebujecie tego, żeby rozmawiać między sobą. Wstyd. Wasz żaloszny gatunek nie powinien mówić w wielu językach, to oznaka słabości! Dominująca grupa na waszej ohydnej planecie powinna była już podbić pozostałe. Ty – wskazał na mnie – jesteś z A-ma-ra-ka?

– Z Ameryki, tak jest, sir – odpowiedziałem. – Służę w Armii Stanów Zjednoczonych.

– Armii? – roześmiał się. – Wy, niższe istoty, nie jesteście żadną armią. Jesteście jak małe dzieci bawiące się zabawkami. Mój domowy chahalk mógłby zabić was setkę. Musiałem czytać o waszej żalosznej planecie, żeby mój dowódca nie tracił czasu. Kolejny znak, że mnie nienawidzi, skoro kazał mi zanieczyszczać umysł historią tak głupiego gatunku. Wasza A-ma-ra-ka miała broń atomową, przez kilka lat jako jedyna, ale

nie wykorzystaliście swojej przewagi, żeby zniszczyć wrogów i podbić całą planetę. Jesteście słabi i żałośni. I zastanawiacie się, dlaczego was nie szanujemy. Taka słabość pokazuje brak silnej woli. Ty – wskazał na mnie – służyłeś w walce gdzieś na swojej planecie, w miejscu o nazwie... – Spojrzał na zFona, niezdarnie wciskając przyciski.

– Nigeria.

– Ni-gi-ri. To miejsce nie ma broni atomowej?

Pokręciłem głową, zaskoczony.

– Nigeria? Nie, nie ma.

– Wasza armia mogła użyć bomb atomowych bez obawy przed rewanzem, a zamiast tego goniliście wrogów po dżungli. Dlaczego? Bo jesteście słabi i niegodni. Jeśli ta Ni-gi-ri sprawiała takie kłopoty, powinniście byli eksterminować jej mieszkańców i zabrać im ich ziemię. – Zrobił przerwę na kolejny łyk napoju i wskazał na nas szklanką. – Wy dwaj jesteście najlepszymi wojownikami waszego gatunku? Ha! Jesteście bezużyteczni w wojnie, wiecie o tym? To, że pozwoliliśmy wam pilnować planety, to tylko zabawa dla rozpieszczonego, głupiego zwierzęcia. Nie powinniśmy was tu sprowadzać! Czy wiecie, co robią ludzie na Ziemi? Zamiast pracować ciężko na potrzeby wojny, narzekają, że szkodzimy środowisku planety. I wasi robotnicy oczekują dni wolnych! Niewolnicy nie mają wakacji! – ostatnią część powiedział z gniewnym sykiem i uderzył szklanką o stół. – Powiedziałem dowódcy, że powinniśmy sprowadzić na Ziemię inny gatunek niewolniczy, żeby pokazać, jak nam służyć. Wy, ludzie, jesteście leniwi i bezużyteczni! – Spojrzał na Paradise za oknem. – Nie powinno was tam być, to Kristangowie powinni zająć się Ruharami! Zdradzieccy Ruharowie zanieczyścili naszą planetę bronią biologiczną, powinniśmy zabić ich wszystkich. – Przez chwilę wściekał się po cichu, sącząc napój, z którego niewiele zostało. – Zgłosiłem się na ochotnika, by przyjąć eksperymentalne serum, które pozwoli Kristangom bezpiecznie przebywać na planecie. Wtedy pokażę wam, jak traktować Ruharów. Tak wielu z nich roi się na naszym świecie, nikomu nie będzie brakować paru tysięcy, co? Ruharowie są słabi i miękczy, ale dobrze się na nich poluje. – Wypił resztkę zawartości szklanki i powiedział cicho: – Nie mogę się doczekać polowania, tak.

Kristang, jakkolwiek się nazywał, położył pustą szklankę na wyściełanej dywanem podłodze i chwiejnie wstał na nogi.

– Cieszcie się widokiem. – Roześmiał się i machnął lekceważąco ręką. – To może być na zawsze wasz dom, jako naszych niewolników. Albo wasz grób. – Znów się roześmiał i nierównym krokiem wyszedł przez drzwi.

– Cholera – odetchnąłem ciężko, gdy się oddalił.

Chang skinął głową. Świetnie mówił po angielsku.

– To chyba nie jest najlepsze miejsce na rozmowę o tym, co powiedział nasz przyjaciel.

Kristangowie niewątpliwie mieli nas pod stałą obserwacją.

– Ma pan rację, pułkowniku Chang. – Głupio mi było, że Chang mówił po angielsku, podczas gdy jedyne słowo, jakie znałem po chińsku, brzmiało *pingguo* i oznaczało chyba „jabłko”. Widziałem je na ciasteczku z wróżbą i jakoś zapamiętałem. Cała moja wiedza o języku najstarszej cywilizacji świata pochodziła z ciasteczka. A ciasteczka z wróżbą wymyślono w Ameryce, nie w Chinach.

– Podpułkowniku – sprostował nieco gorzkim tonem.

– Hej, przynajmniej był pan wcześniej prawdziwym oficerem. Ja mam na sobie mundur pułkownika, ale dobrze wiem, że to tylko gra pod publiczność na potrzeby SEONZ. – W moim głosie również zdecydowanie dał się wyczuć gorzki ton. – Nie mogę się doczekać, aż znajdą jakąś wymówkę, żeby znów zdegradować mnie do sierżanta. Znowu zostanę prawdziwym żołnierzem. Ostatnie, czego chcę, to zostać gryziپیórkiem.

– Gryziپیórkiem? – Uniósł brew.

– A, przepraszam. Kimś siedzącym przy biurku w bazie na tyłach, podczas gdy żołnierze walczą w polu. Kimś zajmującym się papierami, a nie trzymającym karabin.

– A, tak. Również mamy ich w swojej armii. Ale na tej planecie nie ma żadnych tyłów. Gdy wróg może atakować z orbity, każde miejsce na powierzchni stanowi front.

– Prawda. – Wstałem i podszedłem do okna. – Byłem w Fort Arrow. A wcześniej stacjonowałem w wiosce chomików przy tej rzece, na zachód od gór. – Wskazałem, zapewne niezbyt dokładnie. – A pan gdzie stacjonował?

Rozmawialiśmy o naszych doświadczeniach na Paradise i życiu przed atakiem Ruharów. Chang był oficerem artylerii w Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Pochodził z wojskowej rodziny. Tak samo jak ja martwił się o swoich bliskich na Ziemi, bo Chińczycy też nie mieli żadnych wieści. Chang był zawodowcem, na pewno lepszym oficerem niż ja. Również nie uśmiechało mu się bycie częścią akcji pijarowej SEONZ, chociaż uważał, że nie będzie to aż tak istotne, jak mnie się zdawało. W czasie akcji, która poskutkowała jego awansem, stracił większość swoich ludzi, w tym porucznika, który był jedynym synem wysoko postawionego oficjela. Chińska armia na Paradise nie chciała więc szczególnie przechwalać się działaniami Changa. Gdybym ja spowodował śmierć syna senatora, moja kariera pewnie też byłaby zagrożona.

Mój zFon zabręczał. Dzwoniła porucznik Reynolds, zastanawiająca się, gdzie, do cholery, jestem, tylko wyraziła to w uprzejmiejszej formie.

– Jesteśmy na pokładzie obserwacyjnym, chyba dwa... – Chang

pokazał trzy palce. – Nie, trzy poziomy niżej. Jest tu bar. Dla Kristangów – dodałem szybko.

– Co stało się z Kristangiem, którego panom przydzielono?

– Hm... Chyba miał coś ważnego do zrobienia – odparłem, świadom, że Kristangowie niemal na pewno podsłuchują.

– Sir, proszę zostać na miejscu. Czy podpułkownik Chang jest z panem?

– Tak. Nigdzie się nie wybieramy.

Pięć minut później odebrali nas Reynolds i dwóch Kristangów, którzy wyglądali na wkurzonych. Zabrano nas do hangaru, a gdy tylko generał Meers i jego ludzie znaleźli się na pokładzie, zamknięto właz i odezwał się alarm oznajmiający rozszczelnienie. Mimo moich obaw, że Meers będzie na mnie wkurzony, nic nie powiedział, Reynolds też nie wydawała się niczym przejmować, więc podróż na planetę przebiegła gładko.

Chang i ja nigdy nie rozmawialiśmy o tym, co powiedział pijany Kristang, o tym, że nazwał ludzi niewolnikami. Sporo o tym myślałem i zgłosiłem ludziom Meersa z wywiadu. Ku mojej konsternacji zachowywali się, jakby już to wiedzieli, jakby to nie było nic nowego ani wielkiego. Dla mnie to była spora rzecz, potwierdzająca obawy, że chomicza gubernator powiedziała prawdę o Kristangach.

Czy walczyliśmy po złej stronie tej wojny?

8. SADZENIE ZIEMNIAKÓW

Mimo tego, co powiedział generał Meers, pierwszym zadaniem, jakie miały dla mnie SEONZ, było latanie po planecie i wygłaszanie przemów. Trwało to dwa tygodnie i dla nikogo nie było szczególnie przyjemne. Ja się dziwnie czułem, nosząc nowy, świeży mundur przed tłumem żołnierzy, którzy brali udział w walkach tak samo jak ja, czasami bywali w gorszych opałach i nosili wciąż te same mundury, wykonywali tę samą robotę, podczas gdy ja nosiłem srebrne orły, latałem lśniącym myszołowem i dobrze jadałem z oficerami.

Czułem się jak oszust. Żołnierze musieli stać i czekać, aż wygłoszę przemowę. Było to niezręczne, bo wiedzieli, że nie zasługuję na to, by być oficerem, ale nie mogli tego powiedzieć. Kiepska sytuacja. Gdy moja przemowa wreszcie dobiegała końca, zadawałem ludziom pytania, pozwalałem mówić o ich doświadczeniach. Jakoś przełamywało to całą tę niezręczność. Gdy stałem w kręgu żołnierzy, gadając o tym, co robili w czasie przerwanej inwazji Ruharów, mogłem po prostu być Joe Bishopem, a oni żołnierzami, z którymi mogłem swobodnie rozmawiać.

Ale wtedy musiałem wracać do myszołowa, lecieć do kolejnej bazy i powtarzać to jeszcze raz. Nie znosiłem tego.

Ucieszyłem się więc, gdy SEONZ znalazły dla mnie prawdziwą robotę: sadzenie ziemniaków. Kristangowie powiedzieli Siłom Ekspedycyjnym, że czas, aby ludzie zaczęli uprawiać własne jedzenie na Paradise. Miało to zmniejszyć obciążenie logistyczne i zapewnić źródło pożywienia w razie, gdyby w wyniku wojny doszło do przerwy w dostawach. Jakiś geniusz w kwaterze głównej SEONZ musiał uznać, że moje przemowy już się zużyły, przeczytał moje akta, zobaczył, że pochodzę z północnego Maine, i doznał olśnienia, że muszę być ekspertem w sadzeniu ziemniaków. Moim nowym zadaniem było koordynowanie działalności rolniczej na ćwierci kontynentu, który okupowały SEONZ. Oczywiście nie sadziliśmy tylko ziemniaków, mieliśmy program uprawy różnego rodzaju roślin, których nasiona i sadzonki przywieziono z Ziemi. Ale nazywaliśmy to drwiąco sadzeniem ziemniaków, chociaż oczekiwano po mnie oficjalnego entuzjazmu. Ta praca dawała mi okazję do latania po Paradise i bycia widocznym dla żołnierzy oraz, według pijarowców SEONZ, mogłem dzięki temu być postrzegany jako ktoś, kto zasłużył się ciężką pracą i inicjatywą. Cóż, robienie czegoś pożytecznego było pewną ulgą.

*

Poza przyspieszonym kursem rolnictwa dostałem jeszcze parę

bonusów. Jako pułkownik dysponowałem własnym chomvee i miałem kierowcę, szeregowego Randalla, w mojej nowej bazie na granicy między sektorami amerykańskim i chińskim.

– O cholera...

Nie mogłem uwierzyć, gdy Randall pokazał mi przydzielony samochód. Dosłownie osłupiałem. Chomvee było standardowym pojazdem Ruharów, z symbolem SEONZ po obu stronach i na dachu. Oraz z metrowej wysokości fioletowym, pluszowym Barneyem przyczepionym do maskownicy.

– Skąd wy, idioci, wytrzasnęliście Barneya tysiąc lat świetlnych od Ziemi?

Wszelkie zaopatrzenie musiało przebyć drogę do Ekwadoru, w górę windy kosmicznej, na okręt Kristangów, na lotniskowiec Thurarów, przez tunele czasoprzestrzenne i w końcu na Paradise. Wszystko dobierano tak, by jak najefektywniej wykorzystać każdy kilogram masy i każdy metr sześcienny przestrzeni. A jednak jakiemuś żartownisiowi udało się przemyścić wielkiego pluszowego dinozaura do kontenera. Chciałem wiedzieć, po co, do cholery? Co jeszcze przemycono i po cichu rozproszono po powierzchni planety?

– Taktycznie go zdobyliśmy, sir – odparł Randall z kamienną twarzą.

– To znaczy ukradliście.

– Znalezione niekradzione, sir. Chcieliśmy, żeby poczuł się pan mile widziany. Ale koniec żartu, zdejmę go z samochodu.

– Nie, a co tam, zostaw go. – Mój chomvee nie był żartem bardziej niż awans na pułkownika. Podszedłem do maski i przyjrzałem się uśmiechniętej fioletowej gadzinie. – Może dzieciakom chomików się spodoba.

*

To właśnie podczas sadzenia ziemniaków znaleźliśmy nasze pierwsze „ciasteczko z wróżbą”. Od wylądowania na Paradise nie mieliśmy żadnej komunikacji z ojczystą planetą. Kristangowie powiedzieli, że sytuacja bojowa w kosmosie nie pozwala im na luksus wysyłania ludzi, nawet poważnie rannych, z powrotem na Ziemię. Utknęliśmy na Paradise na resztę misji, o ile miała się kiedyś skończyć. Dowództwo SEONZ było sfrustrowane niemożnością wysyłania raportów na Ziemię i otrzymywania porad i rozkazów. Zwykli żołnierze martwili się o rodziny i przyjaciół. Czy ziemskie rządy poczyniły postępy, jeśli chodziło o przywrócenie sieci elektrycznej i reszty infrastruktury? Czy mieliśmy otrzymać zaopatrzenie i posiłki? Czy Ruharowie znów zaatakowali Ziemię? Burmistrzynie twierdziła, że to bardzo mało prawdopodobne, aby mogli czy chcieli wysłać na Ziemię kolejną ekspedycję w ciągu

najbliższych kilku lat. Zakładając, że mówiła prawdę.

A wtedy znaleźliśmy ciasteczka z wróżbą, jak je nazywaliśmy, i wszystko się zmieniło. Kristangowie skanowali wszelkie zaopatrzenie dostarczane na stację kosmiczną w poszukiwaniu kontrabandy. Odkryliśmy, ku naszemu zmartwieniu, że szukali zwłaszcza cyfrowych nośników danych, które przepalali za pomocą impulsów magnetycznych lub ultrafioletowych. Ale nie spodziewali się, że ludzie będą drukować tekst na papierze i wkładać ten papier do paczek z żywnością. Dla skanerów Kristangów kartonowe pudło z napisami w środku wyglądało jak każde inne. Były pakowane na Ziemi, dostarczane na Paradise przez Kristangów i rozpakowywane przez ludzi. Gdy pierwsi zaopatrzeniowcy otworzyli paczkę z żywnością z ciasteczką w środku, na szczęście mieli dość rozumu, żeby nie mówić o tym przez zFony. Wiadomości były ostrożnie wyjmowane z opakowania i dostarczane do kwatery głównej SEONZ, gdzie spowodowały niezłą panikę.

Dowiedziałem się o ciasteczkach bezpośrednio od oficera wywiadu 3 Dywizji, którego ręce dosłownie się trzęsły, gdy przekazywał mi wieści. Informacje z Ziemi nie brzmiały dobrze, a wiadomości zawierały tajne kody dla dowództwa SEONZ, więc wiedzieliśmy, że pochodzą z dobrego źródła. Po tym jak nasze Siły Ekspedycyjne opuściły Ziemię, zaczęła się równia pochyła. Już przed odlotem słyszałem pogłoski o autorytarnych poczynaniach Kristangów. Dyktowali, gdzie mamy skupiać wysiłki naprawcze, przejmowali kopalnie i rafinerie kluczowych surowców i próbowali kontrolować pewne informacje w Internecie. Jak większość ludzi, uznałem, że Kristangowie robią co mogą, aby przygotować nas na powrót Ruharów, i że w przypadku współdziałania dwóch obcych sobie gatunków zawsze dojdzie do pewnych nieporozumień. Poza tym cywile zawsze na wszystko narzekali.

Ciasteczka powiedziały nam, że warunki na Ziemi znacznie się pogorszyły. Kristangowie przejęli wiele z najżyźniejszych obszarów rolnych na planecie, w tym znaczną część amerykańskiego Środkowego Zachodu, i zaczęli uprawiać tam swoje rośliny i hodować własne zwierzęta. Rolnicy nie dostali rekompensaty za utracone pola, a w przypadkach, gdy wspólnie próbowali powstrzymać Kristangów przed zajęciem ich ziemi, zostali zabici maserami z orbity. Ale nie zajęcie gruntów było najgorsze – oni chcieli przejąć całe Jezioro Górne i Morze Kaspijskie, aby hodować tam swoje ryby. Zamierzali wysterylizować akweny za pomocą promieni gamma i wytworzyć tam własną biosferę. Ludzi ostrzeżono, że mają oddalić się na sto kilometrów od tych jezior, gdy uderzą promienie, co miało mieć miejsce, gdy zostaną zbudowane ogromne tamy oraz odpowiednie satelity na orbicie. Za jakiś rok. Protesty w Szanghaju, Chicago, San Francisco i Paryżu zmasakrowano maserami, kiedy Kristangowie uznali, że wysiłki ziemskich rządów są

nieskuteczne wobec „elementów dywersyjnych i zdrajców”.

Ruharowie nas zaatakowali i myśleliśmy, że Kristangowie to nasi zbawcy, ale sami stali się najeźdźcami. To wszystko zmieniało, ale jednocześnie nie zmieniało nic dla nas na Paradise. Co mogły zrobić SEONZ? Całe nasze zaopatrzenie dostarczali Kristangowie. Bez nich nie moglibyśmy wrócić do domu. Nawet jeśli teraz postrzegaliśmy ich jako wrogów, to skąd mieliśmy wiedzieć, czy Ruharowie są lepsi? Chomiki na Paradise i tak nie były nam w stanie pomóc, więc to, czy lubiliśmy Kristangów, i tak nie miało znaczenia.

Ludzie na Paradise tak czy siak mieli przerąbane.

*

Pułkownik Wilson wszedł do biura, gdy dopijałem kawę i czytałem raporty zaopatrzeniowe, przygotowując się na kolejny wyjazd związany z sadzeniem ziemniaków. Kawa była jednocześnie gorzka i mdła, zdążyła wystygnąć, ale z determinacją cieszyłem się każdą kroplą. Ziarna przebyły lata świetlne, aby trafić do mojej filiżanki. Smakowała domem. Nie wiedziałem, czy dostaniemy jeszcze jakąś dostawę z Ziemi. Wilson przelał resztkę zawartości dzbanka do filiżanki, wziął łyk i skrzywił się.

– Przyjechałem z biura generała Meersa. Nie wie, co robić z plotkami o ciasteczkach. Kristangowie w końcu się dowiedzą. Dziwne, że jeszcze nie zaczęli się wściekać. Chyba że zaczęli, ale dowództwo trzyma to w tajemnicy.

Przy niemal totalnej kontroli nad naszą komunikacją nie było szans, żeby Kristangowie nie wiedzieli, co się dzieje. Może ich to nie obchodziło? Ludzie na Ziemi nie mogli nic zrobić z okrętami Kristangów na orbicie zdolnymi zbombardować każde miejsce na planecie.

– Musimy zmienić nastawienie do misji – zasugerowałem. Nastawienie było słowem, które widziałem na niejednym wojskowym slajdzie. – Uważaliśmy, przynajmniej my, Amerykanie, że atak Ruharów to kolejne Pearl Harbor, a teraz walczymy na Pacyfiku. Ale wiemy już, że to gówno prawda. Tak naprawdę to Operacja Torch i nie jesteśmy aliantami ani osi, tylko Berberami.

– Nie wiem, do czego zmierzasz, Bishop. – Jako oficer Armii USA, Wilson chyba powinien wiedzieć, że Operacja Torch była kodem dla amerykańsko-brytyjskiego ataku na Afrykę Północną w październiku 1942. – Berberami?

– Berberami. – Prawie dodałem „sir”. Stopień pułkownika wciąż był dla mnie czymś nowym. – Chyba tak się nazywali rdzenni mieszkańcy Afryki Północnej, którzy znaleźli się między inwazją aliantów po jednej stronie a Niemcami, Włochami i Francją Vichy po drugiej. Nie obchodzili

żadnej ze stron. Niemcy i Włosi chcieli zdobyć Afrykę Północną, aby przejąć kontrolę nad Morzem Śródziemnym, wykurzyć Brytyjczyków z Egiptu i zdobyć dostęp do ich pól naftowych. My i Brytyjczycy chcieliśmy wypchnąć Rommla na drugą stronę morza, żeby uderzyć na Sycylię i Włochy. – Trochę naginałem fakty. Alianci ustalili plan dalszych działań długo po Operacji Torch. – Berberowie znaleźli się pośrodku i mogli tylko wykonywać rozkazy tej ze stron, która akurat zajmowała ich terytorium, usuwać się z drogi i starać się pozostać przy życiu. To właśnie my. Dla obu stron jesteśmy tylko zasobami do wykorzystania. Jesteśmy żwirem pod gąsienicami ich czołgów. Musimy przestać myśleć jak sojusznicy Kristangów i zdać sobie sprawę, że jesteśmy dla nich tylko mięsem armatnim. Wolni Francuzi mieli berberyjskich żołnierzy zwanych goumierami, ale nie byli oni traktowani tak jak francuscy. SEONZ muszą przestać myśleć o jakichś większych ambicjach tutaj i skupić się na przetrwaniu.

Wilson zmarszczył czoło, ale skinął głową.

– Możesz mieć rację, Bishop.

Przełknąłem resztkę kawy, chwyciłem za hełm i gogle.

– Jeśli mamy mieć szanse na przetrwanie, lepiej, żebym wrócił do sadzenia ziemniaków. Mnóstwa ziemniaków.

*

Poleciałem mysołowem do wioski na zadupiu, po drodze słuchając szumu silnika i patrząc na pola. Niestety, zostałem sam z myślami, a w tej chwili nie było to nic przyjemnego.

Gdy zobaczyłem okręt szturmowy Ruharów na polu ziemniaków w moim rodzinnym miasteczku, pierwszym, co przyszło mi do głowy zaraz po „cholera, to się naprawdę dzieje” i „po jaką cholere obcy najeżdżają Thompson Corners”, było „koniec gry”. Poza hollywoodzkimi filmami każdy gatunek z wystarczającą technologią, środkami i motywacją, by podróżować między gwiazdami, byłby w stanie zgnieść ludzkość jak robaka. Nie ma co snuć fantazji o dzielnych ludziach pokonujących kosmitów w konwencjonalnej walce. Obcy mogli siedzieć wygodnie na orbicie i bez problemu zetrzeć nas na proch. Cała determinacja ludzkości nic nie znaczyła, jeśli oni mogli w nas uderzać, a sami byli poza naszym zasięgiem. Nawet gdybyśmy przekierowali na nich międzykontynentalne rakiety z głowicami atomowymi, nie dotarłyby na wysoką orbitę, a poza tym musieliby być ślepi, żeby ich nie zauważyć. Nie było szans, by którakolwiek zbliżyła się choć na sto kilometrów do któregoś z obcych okrętów.

Nie były to tylko moje pesymistyczne myśli o szansach ludzkości na przetrwanie inwazji obcych. To samo powiedzieli nam Kristangowie.

Jaszczury sporo nakłamały, ale w tej kwestii trzymały się faktów. Chcieli, żebyśmy zdali sobie sprawę z tego, jak bardzo potrzebujemy ich obrony przed Ruharami, a przynajmniej tak nam się zdawało. W każdym razie sprowadzało się to do tego, że ludzie tkwili na planecie, a obcy mieli przewagę na orbicie i wyżej.

Gdy postanowiłem pojmać jednego z kosmitów, myślałem tylko, że ludzkość potrzebuje informacji o najeźdźcach, jeśli mamy jakoś przetrwać. I musiałem coś zrobić, nawet jeśli było to pochopne i niemądre. Myślałem, że pewnie zginę, ale ludzkość i tak miała przetrwać.

A wtedy nadleciała kawaleria Kristangów i nas uratowała. Cholera, pamiętam to uczucie, kiedy Ruharowie nas szukali. Miałem mokro w gaciach, nie wstydzę się tego przyznać. W ustach czułem suchość, a ręce mi się trzęsły, ale i tak robiłem swoje. Byłem gotów zginąć w walce, ale wtedy niebo znów zamigotało i zdarzył się cud. Lądownik Ruharów nagle wystrzelił prosto w niebo.

Zostaliśmy uratowani! Cały strach minął i byłem wdzięczny naszym zbawcom.

Oczywiście wszystko to gówno prawda.

Teraz było gorzej.

*

Myszolów wylądował, wsiadłem do chomvee – nie do swojego z Barneyem, ale standardowego modelu – i szybko ruszyliśmy w drogę. Konwój czterech opancerzonych samochodów i sześciu ciężarówek. Irytowało mnie, że wszyscy na mnie czekali. Sam nie znośmłem czekać na oficerów i teraz nie znośmłem tego, że czekano na mnie.

Mój chomvee śmierdział brudnymi stopami. I czymś jak woda kolońska. Musiał być zaparkowany w miejscu, gdzie chomiki używały swoich śmierdzących nawozów, a potem ktoś próbował wysterylizować go tanimi środkami.

– Cholera, śmierdzi jak woda po goleniu mojego dziadka – stwierdziłem.

– Przepraszam, sir – odparła żołnierka prowadząca pojazd, o nazwisku Park. – Śmierdział już tak na parkingu.

– Rano śmierdział gorzej – dodał żołnierz siedzący obok. – Zostawiliśmy okna otwarte, żeby nieco wywietrzało.

– Olafson, tak? – Miał blond włosy i jakieś metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu. – Zawsze byłeś wielki czy armia za dobrze cię karmi?

– Moja mama dobrze gotowała, sir.

– Aha. – Nie byłem w nastroju do pogaduszek, więc gapiłem się na raporty na tablecie, a dwójka żołnierzy na przednich siedzeniach

zrozumiała aluzję. Biuro Wywiadu Rolniczego kwatery głównej SEONZ przygotowało dla mnie serię meldunków o kolejnym obszarze, gdzie mieliśmy sadzić ziemniaki: testy gleby, klimat, opady, wody gruntowe, rodzaje upraw Ruharów i chemikalia, jakich używali. To, że SEONZ szybko ustanowiły Biuro Wywiadu Rolniczego, sporo mówiło o naszej niekomfortowej sytuacji na Paradise. Początkowo myślałem, że to żart, gdy przydzielono mnie do sadzenia żywności, która miała pomóc nam przetrwać na planecie. Pomagałem rodzicom na ich farmie, ale nie był ze mnie żaden ekspert od rolnictwa. Zdumiewało mnie, jak wiele nauczyłem się w tak krótkim czasie. Strach przed głodem daje człowiekowi mnóstwo motywacji.

Miejsce wyglądało na idealne i znajdowało się tak blisko równika, że mogliśmy zebrać plony dwa lub trzy razy w roku, miało sporo opadów i niezłe wody gruntowe do irygacji podczas pory suchej. Sprawdziłem zawartość ciężarówek. Mieliśmy sporo polepszacza gleby. Bo lokalną ziemię trzeba było przygotować, zanim mogły w niej rosnąć ziemskie organizmy. Gdy przeczytałem już o rolnictwie wszystko, co potrafiłem zrozumieć, zacząłem zapoznawać się z innymi raportami, których znajomości oczekiwało ode mnie dowództwo. Kto by pomyślał, że bycie oficerem wymagało tyle czytania? Czuję się jak w szkole. Miałem tylko nadzieję, że nazajutrz nie będzie sprawdzianu.

Przez jakiś czas jechaliśmy w ciszy. Ja przeglądałem raporty, Park i Olafson szeptali do siebie z przodu. Nasza pozycja jako trzeciego pojazdu w konwoju oznaczała, że na zmianę zamykaliśmy okna, żeby nie wlatywał przez nie pył, i otwieraliśmy je, żeby wypuścić zaduch. Poranek był chłodny, ale teraz, gdy jechaliśmy przez płaskie tereny rolnicze, temperatura gwałtownie rosła. Naszym celem był obszar, z którego niedawno ewakuowano Ruharów. Planowaliśmy tam wyrwać resztki ich roślin z korzeniami, przygotować górną warstwę gleby i zasiać własne nasiona. Ewakuacja odbyła się nie bez problemów. Za tę okolicę odpowiadała hinduska armia i według raportów, które właśnie czytałem, musieli siłą wyciągać chomiki z domów i doszło do strzelaniny, w której zginął jeden Hindus, a dwóch ciężko zraniono.

W ogóle sytuacja na Paradise była napięta; Kristangowie wciąż kontrolowali orbitę, chociaż trzymali tam tylko jeden niszczyciel i jedną fregatę. Ruharów wciąż ewakuowano z planety. Co rusz jednak stawiali opór, coraz częściej sabotując działania SEONZ. Obszar u podstawy windy był zatłoczony. Siły zbrojne musiały zorganizować tam obóz dla uchodźców, a logistyka zaopatrzenia i kontroli nad chomikami rozpraszała dowództwo.

Transportowce Ruharów wciąż przybywały, by zabierać swoich, ale nie trzymały się regularnego planu. Było ich coraz mniej, z coraz słabszą eskortą okrętów bojowych Kristangów. Na dole SEONZ bardziej

przejmowały się przetrwaniem, zwłaszcza zapasami żywności, niż pozbyciem się chomików z planety. Społeczności chomików przeszły od współpracy poprzez niechęć aż do aktywnego oporu i sabotażu. Sabotaż nie polegał tylko na uszkodzaniu samochodów, które miały wywozić chomiki z wioski. Wyszadzano mosty, utrudniając lub uniemożliwiając ewakuację drogą lądową. SEONZ zaczęły korzystać z łodzi, uznając, że nikt nie wysadzi rzeki, ale taki transport był powolny i prowadził okrężną drogą, co wymagało większego zaopatrzenia. Przewożenie chomików drogą powietrzną było kosztowną opcją, a przy większej częstotliwości lotów pojazdy wymagały częstszych napraw, co zmniejszało ich dostępność. Raporty, które czytałem, nie miały dobrej odpowiedzi na to, jaki będzie najlepszy scenariusz dalszej ewakuacji, poza tym, że SEONZ musiały utrzymać jej tempo. Im więcej terenów było wolnych od chomików, tym bardziej SEONZ mogły skupić środki i ściślej kontrolować resztę populacji Ruharów.

Grafik napraw i dostępności pojazdów. Tym nigdy wcześniej nie musiałem się przejmować, a teraz, gdy zostałem oficerem, i to wysoko postawionym, musiałem wiedzieć takie rzeczy, rozważać je, wymyślać i wdrażać rozwiązania. Ja.

To nie była tylko pijarowa zagrywka, byłem prawdziwym pułkownikiem w Armii USA. Z autorytetem i obowiązkami prawdziwego pułkownika. Musiałem zachowywać się jak prawdziwy pułkownik.

– Park, Olafson, długo tu stacjonujecie?

– Odkąd przylecieliśmy, sir – odparł Olafson.

– Dajcie mi sitrep.

– Sitrep, sir? – spytała Park z fotela kierowcy. Widziałem jej oczy w lusterku.

Wiedziała, że chodzi mi o raport sytuacyjny, więc wyraziłem się jaśniej:

– Jakież kłopoty z tutejszymi chomikami?

Olafson zaczął się wiercić w fotelu.

– Niewiele, sir. Drobne rzeczy. Trochę sabotażu, przeciąganie ewakuacji, ale bez żadnych poważnych kłopotów, żadnej przemocy. Dogadywaliśmy się z miejscowymi całkiem dobrze, do czasu kiedy, hm – rzucił znaczące spojrzenie Park – do czasu, kiedy rozwalił pan ich lądownicy, sir – powiedział to ostatnie z takim podziwem, że mnie zawstydził.

– Nic takiego wielkiego nie zrobiłem, Olafson. Wyrzutni bronił oddział żołnierzy. To niejedyne miejsce na planecie, które się broniło tamtego dnia.

– Tutaj było dość spokojnie. Nie ma tu nic, o co warto walczyć. Gdybyśmy nie słyszeli o ataku na zFonach i nie widzieli akcji na niebie, to byłby dla nas zwykły dzień.

Park skinęła głową.

– Tak było, sir. Musieliśmy tego dnia dźwigać pełny rynsztunek bojowy, ale nic się nie zdarzyło, aż dostaliśmy sygnał, że już po wszystkim. To prawdziwe zadupie planety. Ale tam dalej, gdzie mamy sadzić ziemniaki czy co tam będziemy robić, chomiki sprawiły Hindusom masę kłopotów. Tu nie było strzelanin, żadnych ofiar po żadnej ze stron, ale te cholerne chomiki...

– W porządku, Park. Jesteś żołnierzem, możesz mówić jak żołnierz.

– Tak, sir. Chomiki opierały się, jak tylko mogły. Sabotowały sprzęt, więc Hindusi nie mogli z niczego korzystać, wszystko musieli sprowadzać z zewnątrz albo naprawiać. Zasoby wody były zanieczyszczone, a chomiki nie potrafiły usiedzieć w miejscu i zakłócały planową ewakuację. Zrobiło się tak źle, że Hindusi zarządzili areszt domowy w całym regionie. A gdy przyjechały autobusy mające odwieźć chomiki do windy, te nie chciały wyjść z domów. Siedziały na podłodze i trzeba było je wynosić i ładować do autobusów. Wszystko strasznie zwolniło, a jaszczu... Kristangowie chcieli już rozwalić wioskę z orbity, żeby chomiki przekonały się, że mają nas traktować poważnie. Ale SEONZ uznały, że jeśli Kristangowie będą musieli interweniować, to uznają naszą misję za porażkę, więc Hindusi sprowadzili brytyjski batalion jako wsparcie...

– Ha, to dopiero – uśmiechnął się Olafson. – Brytole pod dowództwem Hindusów?

Skinąłem po cichu głową. SEONZ podkreślały, jak ważna jest współpraca międzynarodowa, i oficerowie otrzymywali instrukcje, by nie zachęcać ani nie pozwalać na szowinistyczne utarczki. Mimo wszystko istniały pewne granice takich rozkazów.

– Cóż, tutaj jesteśmy wszyscy po prostu ludźmi – stwierdziłem, próbując słabo trzymać się ducha zasad.

– Aha – odparła Park. – Wspólnie jakoś udało im się ewakuować to miejsce na czas, ale zaburzyło to harmonogram w brytyjskim sektorze i próbują teraz nadrabiać terminy.

Harmonogram ewakuacji przyspieszał w miarę, jak zbliżaliśmy się do dnia, gdy ostatni chomik miał pojechać w górę windą kosmiczną.

Początkowo terminy wyglądały nielogicznie, jako że przyznawały priorytet pewnym rzadko zaludnionym obszarom planety. SEONZ spekulowały, że Kristangowie chcą oczyścić je jako pierwsze, bo zamierzają sadzić tam własne plody rolne. Ale jaszczury nie czyniły żadnych kroków, by przygotować porzucone obszary, i wysyłały tam tylko niewielkie zespoły na inspekcje. Krążyła plotka, że podobno w tamtych okolicach znajdować się miały relikty supercywilizacji Pradawnych, które stanowiły prawdziwą nagrodę w walce o kontrolę nad Paradise. Poza tym była to niepozorna planeta rolnicza. Podobnych

było zapewne mnóstwo w Ramieniu Oriona. Cóż, dla SEONZ liczyło się tylko, że Kristangowie kazali nam oczyścić te tereny jako pierwsze, i zrobiliśmy to.

– Zbliżamy się do Habitrail, prosto przed nami – wskazał Olafson.

Droga biegła w górę wzniesienia i przed nami rozciągała się szeroka, płytko dolina rzeki, most drogowy oraz średniej wielkości miasteczko usadowione wzdłuż szosy. Typowe pola, niektóre puste po niedawnych zbiorach, inne złote od odpowiednika pszenicy, który uprawiały chomiki, oraz wielkie silosy zbożowe. Cienka wstążka torów kolejowych szła prosto z południowego wschodu na północny zachód, przecinając naszą ścieżkę. Stała tam, nieco dalej, elektryczna lokomotywa z kilkunastoma wagonami towarowymi. Pociąg tu utkwiał, bo sabotażyści wyrwali lub uszkodzili tory i wysadzili mosty kolejowe w całym regionie. Pierwotny plan SEONZ zakładał szybki transport dużych ilości chomików koleją. Problem w tym, że Ruharowie szybko się zorientowali i sprawili, że żadna linia kolejowa na planecie nie nadawała się do użytku.

– Habitrail? – roześmiałem się.

Olafson uśmiechnął się. Już nie był taki onieśmielony.

– Chomicza nazwa brzmiała jak Ha-ba-tahlin, więc pierwsi żartownisie tutaj postawili znak „Habitrail”. Tutejszy chomiczy burmistrz był wkurzony, gdy dowiedział się, że to ziemski producent klatek dla chomików. Ale pieprzyć go.

*

Usłyszałem przytłumiony głos z mojego zFona. Coś w rodzaju: „Siewnik, tu Stinger”.

– Tu Siewnik – odparłem, gdy wyciągnąłem zFona spod pancerza.

Tak brzmiał mój obecny sygnał wywoławczy. Dostałem go od jakiegoś dowcipnisia w dowództwie SEONZ. Mój tymczasowy adiutant wkurzył się i próbował go zmienić na coś fajniejszego, ale mnie się nawet podobał. Jeśli chomiki nas podsłuchiwały, jak zakładałem, Siewnik brzmiał miło, przyjaźnie, nieagresywnie, co, jak miałem nadzieję, podkreślało pokojową naturę misji, którą mi przydzielono. Zasiewaliśmy tylko pola, z których już ewakuowano chomiki, więc nie zabieraliśmy im żadnych zasobów i unikaliśmy kontaktów z populacjami Ruharów, gdy tylko mogliśmy. Tym razem nie było takiej możliwości, bo nasz konwój musiał przejechać przez Habitrail, tędy prowadziła jedyna droga do celu.

– Słucham, Stinger.

Zgodnie z pakietem informacyjnym Stinger był sygnałem wywoławczym eskorty zapewniającej wsparcie powietrzne. Dwa w

pełni uzbrojone kurczaki miały wybić chomikom z głowy głupie pomysły podczas naszego przejazdu przez miasteczko. Cóż, gdybym ja zobaczył dwa ziemskie śmigłowce używane przeciwko nam samym, raczej bym się wkurzył, niż naprawdę przestraszył. Ale czy wkurzyłbym się na tyle, żeby walczyć, mimo braku szans? Pewnie nie. Tak czy siak, dobrze, że ktoś nas osłaniał.

– Siewnik, mój skrzydłowy ma problem z silnikiem i musi wrócić do bazy. – Teraz słyszałem już, że rozmawiam z kobietą. Miała akcent z amerykańskiego Środkowego Zachodu.

– Przyjąłem. Stinger, możecie nas osłaniać w punkcie Mike Dwa? – Takie było oznaczenie Habitrail na mapie.

– Potwierdzam, Siewnik. Osłonię was od mostu do mostu.

Chodziło jej o mosty po obu stronach miasteczka. Za drugim mostem rozciągały się otwarte pola. Potencjalnymi punktami ryzyka, w których mogło nam się przydać wsparcie, były właśnie te dwa mosty i samo miasteczko.

– Przelecę nisko, żeby ich obudzić – dodała.

– Przyjąłem, Stinger. Bez odbioru.

SEONZ nie były zgodne co do tego, czy lepiej przybywać do osiedli bez zapowiedzi, czy też ogłosić przybycie lotem eskorty powietrznej. Debata w tej kwestii była krótka, ponieważ konwój jadący po drogach wśród pól i tak nie mógł się nigdzie zakraść. Chmura pyłu była widoczna z odległości kilku kilometrów.

Pierwszy most był brzydki i betonowy, zbudowany przez Kristangów, kiedy po raz pierwszy zajęli planetę. Dwaj żołnierze z miejscowego garnizonu machnęli rękami, żebyśmy jechali dalej. Stacjonowali przy moście, aby dopilnować, że nikt przy nim nie majstruje. Z taką właśnie sytuacją się mierzyliśmy – chomiki sabotowały, co tylko mogły. Wystarczyło odwrócić wzrok na kilka godzin, a most zostałby wysadzony albo osłabiony tak, że stałby się bezużyteczny. Łodzie tonęły, wieże komunikacyjne padały, w pozostawionych bez opieki pojazdach wysiadały silniki.

Przejechaliśmy przez miasteczko bez żadnych incydentów. Nawet żaden lekkomyślny dzieciak nie rzucał w nas kamieniami, błotem ani gnojem. Obie strony były do tego na tyle przyzwyczajone, że dzieci czuły się pewniej, bo nauczyły się, że nasi żołnierze do nich nie strzelają. No chyba że one strzelałyby do nas, ale na razie się to nie zdarzyło.

Miasteczko było bardziej zaniedbane niż inne tego rodzaju miejsca, które już widziałem. Zapewne przed próbą przejścia planety miejscowe chomiki miały nadzieję, że ich flota przepędzi Kristangów i wszystko wróci do normy. Gdy atak się nie powiódł, chomiki zdały sobie sprawę, że straciły planetę na dobre i będą zmuszone ją opuścić na zawsze. Nie były już więc zainteresowane utrzymaniem w dobrym stanie tego, co

zostawią Kristangom. Zamiast tego – co potrafiłem zrozumieć – wyraźnie planowały nieco zdemolować co się da, zanim ewakuacja dobiegnie końca. Najważniejsze obiekty, jak Wyrzutnia czy winda kosmiczna albo reaktory fuzyjne, nie były celami ataku, zgodnie z dziwnymi zasadami walki, które najwyraźniej obowiązywały obie strony. Poza tym wysadzenie Wyrzutni oznaczałoby przyznanie, że Ruharowie nigdy nie odzyskają Paradise, a to nie byłoby najlepsze dla ich morale.

Przejechaliśmy przez zaludnioną część miasteczka i zbliżaliśmy się do zachodniego mostu. Czekałem, aż coś się wydarzy. Mowa ciała Park i Olafsona wskazywała, że oni również przygotowali się na kłopoty, ale wszystko było w porządku. Zachodni most był elegancką strukturą, dużo dłuższą niż wschodni. Zbudowali go Ruharowie, ale na fundamentach starego mostu Kristangów. Jadąc przez niego, czułem się odsłonięty i wszyscy głęboko odetchnęliśmy, gdy znaleźliśmy się po drugiej stronie. Wyrzesałem przez okno i patrzyłem na nasz konwój, aż przejechała ostatnia ciężarówka. Zgodnie z mapą i z tym, co widziałem, we wszystkich pozostałych kierunkach rozciągały się płaskie pola.

– Siewnik, tu Stinger.

– Dzięki za eskortę, Stinger. Możecie wracać do bazy.

– Przyjęłam, Siewnik. Bawcie się dobrze i posiejcie nam coś smacznego. Bez odbioru.

Kurczak zatoczył nad nami szerokie koło, po czym schował lufy i przyspieszył, lecąc na wschód. Patrząc, jak odlatuje, pomyślałem, że nasi piloci, którzy dostali do zabawy zaawansowany sprzęt, musieli być zadowoleni z tej misji. Reszta z nas dostała M4. niesprawiedliwe. Dlaczego my nie mogliśmy korzystać z karabinów Ruharów? W końcu zamknąłem okno i usiadłem wygodnie w fotelu.

– Sir? – moje zamyślenie przerwał głos Olafsona. – Spotkał pan Kristangów, prawda? Słyszeliśmy, że poleciał pan na ich stację, kiedy dostał pan awans.

Lekko się skrzywiłem, ale szybko przyjąłem neutralny wyraz twarzy. Olafson zauważył to, bo uniośł brwi.

– Na stacji miała miejsce ceremonia, owszem. Cóż... – starałem się zamaskować błąd – mój żołądek nie zniósł najlepiej jedzenia, które nam podano.

W pewnym sensie była to prawda, chociaż niedobrze zrobiło mi się raczej od słów Kristanga i od tego, że musiałem trzymać język za zębami.

– Jacy są, sir? Jeśli mogę spytać. Nigdy żadnego nie widziałem. – Musiał wyczuć mój dyskomfort związany z tym pytaniem. – Przepraszam, że pytałem, sir. To nie moja sprawa...

Atak nastąpił niespodziewanie.

Żołnierz w przedostatniej ciężarówce powiedział, że widział smugę tuż przed uderzeniem, ale może tylko mu się zdawało. To mogło być działo elektromagnetyczne albo jakiś rodzaj cichej artylerii czy bezdymna rakietka. Cokolwiek to było, trafiło w przyczepy wszystkich ciężarówek, niszcząc cenny polepszacz gleby i nasiona, które były dla nas nie do zastąpienia. Pocisk generował więcej ciepła niż energii eksplozji, zapewne miał spalić nasiona i mikroorganizmy w polepszaczu. Rozrzucone nasiona moglibyśmy zebrać, spalone nie nadawały się do niczego.

To na nasionach im zależało, na tym, aby ludzie nie byli w stanie się wyżywić na Paradise. Chcieli zmusić Kristangów do zmarnowania cennych zasobów na przywiezienie nowych nasion albo zabranie ludzi z powrotem na Ziemię. Nikt w ciężarówkach nie zginął od nieprzyjacielskiego ognia. Śmierć poniósł jedynie żołnierz na przednim fotelu chomvee za ostatnią z nich. Pojazd zderzył się z nagle zatrzymaną przyczepą, kobieta prowadząca chomvee uderzyła czołem o kierownicę. Żołnierz w fotelu pasażera dostał metalowym odłamkiem w głowę i zginął na miejscu. Chomiki chyba nie chciały nikogo zabić, ale dla trupów i rannych nie stanowiło to pociechy.

Szybko wysiedliśmy z pojazdów, szukając wrogów i pomagając rannym. Nie dowiedzieliśmy się, jakiej broni użyli, bo Stinger szybko zareagowała, uderzając dwiema raketami w miejsce, z którego nas zaatakowano. Te wybuchy sprawiły, że znów padliśmy na ziemię, po czym usłyszeliśmy nad głowami ryk silnika kurczaka.

– Siewnik, tu Stinger, żadnych widocznych wrogów, odbiór.

– Przyjąłem, Stinger – odparłem i zarzuciłem M4 na ramię. – Broń zapewne odpalono zdalnie.

– I zdalnie sterowano – dodała Park, patrząc na horyzont przez celownik karabinu. – Ktoś uderzył w nasze przyczepy i tylko w to.

Miała rację. Albo gdzieś czaili się ukryci obserwatorzy, albo broń wyposażono w kamery. Nawet superzaawansowanej inteligentnej broni kosmitów trzeba było rozkazać, w co ma uderzyć. Miałem właśnie powiedzieć Stinger, żeby poszukała obserwatora, co zapewne i tak już robiła, gdy na moim zFonie pojawiło się powiadomienie. Atak na nasz konwój nie był jedynym incydentem, podobne miały miejsce niemal równocześnie na całym kontynencie. Zadzwoiłem do swojego zwierzchnika i przekazałem mu raport sytuacyjny. Przerwał mi w połowie, jako że na razie nic nam nie groziło, w odróżnieniu od innych. Sądząc po odgłosach w tle, w kwaterze głównej panował chaos.

Dostałem wiadomość tekstową z najbliższej bazy lotniczej, że medyczny myszołów jest już w drodze. Chcieli, żebym potwierdził, że można bezpiecznie lądować. Cholera, wyglądało bezpiecznie sekundę przed atakiem i teraz też. Spokojne pola uprawne, jeśli zignorować

czarny dym unoszący z naszych przyczep i kurczaka krążącego wokół z bronią w gotowości, szukającego kłopotów i mającego nadzieję, że je znajdzie. Poza tym wyglądało bezpiecznie. Odpisałem, że tak, i kazałem ludziom rozproszyć się na tyle, żebyśmy nie stanowili jednego celu, ale trzymać się na tyle blisko, żebyśmy w razie czego mogli się nawzajem osłaniać. Myszołów przyleciał i zabrał piątkę rannych, a reszta z nas zawróciła w chomvee w stronę Habitrail. Stinger wciąż zapewniała nam wsparcie z powietrza. Tym razem nie ostrzegła miasteczka, ale zgłosiła, że widzi chomiki gromadzące się przed szkołą. Nie miały widocznej broni i nie było ich więcej niż kilkanaście. Nawet jeśli miejscowe chomiki nie miały nic wspólnego z atakiem, musiały wiedzieć, że coś się wydarzyło.

– Siewnik, tu Kryształowa Forteca – tak brzmiał sygnał wywoławczy sztabu generała Maitlanda, dowódcy regionu. – Potwierdźcie, że macie jednego zabitego, kilometr na zachód od Habitrail.

– Kryształowa Forteca, tu Siewnik. Potwierdzam, jeden zabity, pięciu rannych ewakuowanych myszołowem. Położenie się zgadza, brak widocznej aktywności wroga, odbiór. – Miałem nadzieję, że dostanę więcej wsparcia powietrznego, zanim znów wjadę do miasta.

– Siewnik, czekaj – rozkazało radio.

– Siewnik, słuchaj uważnie – tym razem głos należał do samego generała Maitlanda. – Musimy pokazać chomikom, że to nie zabawa – brzmiał dziwnie, jakby czytał z kartki. – Że nie mogą bezkarnie nas atakować. Wjedźcie do Habitrail i wybierzcie ośmiu przypadkowych Ruharów. Jeśli ktoś będzie się opierać, możecie strzelać, by zabić. Ustawcie tę ósemkę w centrum miasteczka i ich zastrzelcie. Macie to zrobić publicznie.

Musiałem oprzeć się o błotnik chomvee, żeby opanować nagłą słabość. Wszyscy zaczęli się na mnie gapić. Kapitan Rivers po cichu spytał: „Co jest, szefie?”.

*

Przypomniał mi się czas, kiedy miałem osiem lat i łowiłem z kumplami ryby w małej rzeczce w duszny letni dzień, taki jaki na tyle rzadko zdarza się w północnym Maine, że gdy temperatura dochodzi do dwudziestu pięciu, miejscowi narzekają na upał. Ja i moi kumple Bobby, Tommy i nowy dzieciak, Michael. Nie Mickey, tylko Michael, jak powiedział, gdy się poznaliśmy. Okazał się palantem, ale jego ojciec był szyczą w papierni, w której pracował mój tata, więc musieliśmy być dla niego mili i pozwalać mu się z nami bawić. Był z Wisconsin i ciągle mówił o tym, jakim zadupiem jest Maine, o tym, że jesteśmy głupi, że tam mieszkamy, i że to dlatego, że nasi rodzice nie potrafili znaleźć

pracy w lepszym miejscu.

Siedzieliśmy nad strumieniem, bawiąc się w lesie bez nadzoru w sposób, który przerażałby miejskich rodziców – szukając salamandr i łowiąc ryby. Michael miał nową wędkę i przynętę ze sklepu, a reszta z nas stary sprzęt i kawałki chleba czy sera na haczykach. Bobby złapał trzy przyzwoitej wielkości ryby na kolację, a Tommy i ja bawiliśmy się dobrze, ale nie złapaliśmy nic, co warto było zatrzymać. Michael był w kiepskim nastroju, bo nic nie złapał i narzekał, że ryby w rzeczce są głupie, że chlapiemy i rzucamy cienie, które je płoszą. Ignorowaliśmy go, aż przypadkiem złapał na haczyk żabę.

Zamęczył to biedne stworzenie. Nie dość, że rozpruł żabie brzuch haczykiem, to jeszcze zaczął zdzierać jej skórę z nogi, jednocześnie ją dusząc.

Nie powstrzymałem go. Stałem tam, zawstydzony, nie robiąc nic poza patrzeniem w ziemię. Ojciec Bobby'ego też pracował w papierni, ale Bobby był lepszym człowiekiem niż ja, nawet w wieku ośmiu lat. Wyrwał mu żabę i rozdeptał jej głowę na kamieniu, skracając jej cierpienia. Michael zaczął bójkę, którą Bobby i Tommy szybko skończyli, dając mu fangę w nos i wrzucając gnojka do strumienia. Gdy Michael krzyczał, że powie tacie, Bobby wszedł do wody i trzymał jego głowę pod wodą, aż ten w końcu skapitulował. Zanim sobie poszliśmy, Tommy złamał nową wędkę Michaela o kolano i wrzucił jego pudełko z przynętami do wody. Bobby powiedział Michaelowi, że jeśli powie ojcu albo jeśli zobaczymy go jeszcze gdzieś poza szkołą, to spierzemy go na kwaśne jabłko.

Nigdy już nie zobaczyliśmy Michaela. Jego ojca przeniesiono do papierni w Oregonie we wrześniu i pojechał tam wraz z rodziną. Uznałem, że Michael wyrośnie na damskiego boksera albo seryjnego mordercę, albo jedno i drugie. Dwie strony tej samej monety.

Przypomniała mi się ta chwila, bo stałem wtedy beczynnym i nic nie zrobiłem, by powstrzymać okrucieństwo. Nie zamierzałem tego powtarzać. Zwłaszcza w mundurze armii.

*

– Kryształowa Forteca – powiedziałem powoli, na tyle głośno, że żołnierze wokół mnie wszystko słyszeli – proszę potwierdzić, że rozkazujecie mi zamordować ośmiu cywili. – Szczeka mi drżała, gdy to mówiłem. – Ośmiu przypadkowych cywili, publicznie. – Włączyłem tryb głośnomówiący i Maitland wiedział, co robię.

– Cholera, pułkowniku Bishop, mnie też się to nie podoba, tak jak panu. Ale tak dalej być nie może. Ma pan swoje rozkazy. Proszę je wykonać.

– Sir – powiedziałem, patrząc po kolei w oczy swoim żołnierzom – nie mogę tego zrobić.

Ludzie wokół mnie byli w takim samym szoku jak ja. Nawet gdybym wydał rozkaz, to wątpię, aby ktoś z naszego konwoju go wykonał. W co myśmy się wpakowali? Cholera, nie powinniśmy opuszczać Ziemi. Ludzie nie mają czego szukać w kosmosie.

– Bishop, nie nosisz tego ptaka na mundurze na pokaz.

– Sir, z całym szacunkiem, nie może pan uchylić zasad użycia siły ani kodeksu postępowania. – Po co w ogóle o tym dyskutowałem? – Możemy...

Wtrącił się dziwny głos, który rozpoznałem jako Kristanga mówiącego przez translator.

– Pułkowniku Josephie Bishopie, odmawiasz wykonania bezpośredniego rozkazu?

Nawet automatyczny tłumacz nie potrafił usunąć w pełni gadziego syku.

Jaszczury. Odruchowo uniosłem wzrok. Dysponowali okrętami na orbicie, które mogły nas wszystkich zmienić w proch. Musiałem zachować ostrożność, bo zależało od tego życie dwudziestu ludzi pod moim dowództwem. Wyłączyłem na chwilę zFona i włożyłem go do kieszeni. Pospiesznie wyjaśniłem sytuację żołnierzom.

– Jaszczury pokazały mi, kim naprawdę są, kiedy odwiedziłem ich stację z okazji awansu. Plotki, które słyszeliście o ukrytych wiadomościach, są prawdziwe. Nie uratowali Ziemi przed Ruharami, tylko pozbyli się Ruharów, żeby sami mogli wyzyskiwać naszą planetę. Tak czy siak, mamy przejebane i zostało nam tylko nasze człowieczeństwo, którego nie pozwolę nikomu odebrać. Jaszczury rozkazują mi zamordować osiem przypadkowych chomików.

– Dlaczego osiem, sir? – spytał Olafson, co jak dla mnie nie było w tej chwili najważniejszym pytaniem.

Uniosłem ręce i wyjaśniłem:

– Jaszczury mają po osiem palców u każdej dłoni, więc myślą w systemie ósemkowym, nie dziesiętnym, jak my. Mamy zabić ośmiu cywili za każdego człowieka, który zginął. Kiedy Niemcy okupowali Polskę i ludzie stawiali opór, zabijali od dziesięciu do stu cywili za każdego zabitego Niemca. Łapali przypadkowych ludzi z ulicy. Armia Stanów Zjednoczonych tak nie postępuje. – Może nie pamiętałem szczegółów, ale podstawowe fakty się zgadzały.

Włączyłem zFona ponownie i powiedziałem:

– Jako żołnierz Armii Stanów Zjednoczonych, mam obowiązek odmówić wykonania nielegalnych rozkazów. Celowe zabijanie cywili jest nielegalne.

Usłyszałem skrzek wkurzonego Kristanga, który nie został

przetłumaczony, po czym mój zFon przestał działać. Całkowicie, żadnych świateł ani nic. Jaszczury musiały go dezaktywować.

– Co teraz, sir? – spytał kapitan Rivers.

Skąd miałem wiedzieć, że cholery? Żadne szkolenie nie przygotowało mnie na tak pojebaną sytuację.

– Odłączmy pierwszą ciężarówkę od tej spalonej przyczepy. – Tył kabiny był nadpalony i okna rozbite, ale opony wciąż całe. Pozostałe dwie były w gorszym stanie, ich akumulatory złapały ogień. – Sam w niej pojedę. Jeśli jaszczury na górze postanowią mnie ukarać za niesubordynację, to lepiej, żeby nikogo ze mną nie było. I nie kłóćcie się, to rozkaz. Wracamy do bazy, trzymajcie chomvee rozproszone.

Jaszczury mogły uderzyć w nas z orbity nawet przy największym rozproszeniu, ale nie zamierzałem im tego ułatwiać.

– Może powinniśmy włożyć wszystkie zFony do jednej torby – powiedziałem. – Ja ją wezmę, żeby jaszczury nie mogły namierzyć nas po...

Rivers przyłożył rękę do słuchawki, po czym oddał ją i zFona mnie.

– Stinger do pana, sir. – A więc nie wyłączyli wszystkich telefonów, tylko mój.

– Stinger, tu Siewnik, mów.

– Słyszałam waszą rozmowę, sir. Kristangowie rozkazali mi ostrzelać szkołę w Habitrail. Odmówiłam wykonania rozkazu.

Niesubordynacja zaczęła robić się popularna.

– Przyjąłem, Stinger. Dziękuję. Wyruszamy...

– Cholera! – krzyknęła Stinger. – Straciłam kontrolę! Stery nie odpowiadają! Mój działonowy nie może celować!

– Rozproszyć się! – krzyknąłem, wskazując kurczaka, który nadlatywał nisko z południowego zachodu z wysuniętymi lufami. – Jaszczury nim sterują!

Wszyscy się rozbiegli, a ja schowałem się w rowie przy drodze. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak było to bezużyteczne. I samolubne. Jaszczury miały problem ze mną, nie z moimi ludźmi. Wstałem i pomachałem do kurczaka, próbując przykuć jego uwagę. Mój plan, jeśli można nazwać to planem, polegał na tym, że chociaż pokażę im środkowy palec, gdy wystrzelą do mnie rakiety. To też było głupie, bo jaszczury zapewne nie rozpoznawały ludzkich obelżywych gestów.

Ale nie strzelili do mnie. Pozostałe dwie rakiety kurczaka poleciały nad naszymi głowami i uderzyły w szkołę, powodując ognisty wybuch.

– To nie my! – krzyczała w panice Stinger. – O cholera! Odcięli zasilanie! Spadamy!

Patrzyłem, jak kurczak chwieje się w powietrzu, po czym spada jak kamień z wysokości około stu metrów z wielkim impetem, robiąc dziurę w ziemi jakieś czterysta metrów ode mnie. Żołnierze bez słowa pobiegli

do miejsca kraksy. Dotarłem jako pierwszy, bo nie miałem na sobie pełnego rynsztunku jak reszta.

Kurczak był w lepszym stanie, niż się spodziewałem. Nie wiem, z czego budowały je chomiki, ale były to solidne materiały. Ogon i oba skrzydełka odłamały się, ale kokpit i silnik za fotelami były całe. Niestety, nie dało się tego powiedzieć o załodze. Działonowy na przednim fotelu nie miał głowy, odcięło ją ułamane śmigło. Siedząca za nim kobieta miała na mundurze naszywkę z nazwiskiem Collins. Brakowało jej części lewej ręki, krew leciała jej z ust. Była nieprzytomna. Ostrożnie zdjąłem jej hełm, w którym widać było spore pęknięcie, idące wzdłuż głowy. Nie wyglądało najlepiej.

Cholera. Jak to się stało, że taka młoda dziewczyna, to znaczy kobieta, pilotowała kurczaka? Nawet w takim stanie wyglądała na młodszą ode mnie.

– Uchchch – jęknęła i otworzyła jedno oko.

– Ćśś. Nie ruszaj się, Collins. Jestem pułkownik Bishop, Siewnik.

– Nie mogłam ich powstrzymać, sir. Nie mogłam... – Jej głos ucichł, chociaż wargi wciąż się ruszały.

– W porządku, trzymaj się, Collins. Collins?

Jej głowa opadła, z ust wypłynęła ostatnia strużka krwi i to był koniec. Jej słowa nie wyrażały strachu, mówiła mi, że robiła co mogła, że to nie ona zabiła chomiki w szkole. Jakimś zbiegiem okoliczności Collins, młoda dziewczyna, wstąpiła do wojska, została pilotem śmigłowca, zgłosiła się do służby w SEONZ, zakwalifikowała się do pilotowania kurczaka i skończyła tutaj. Umierając w ramionach nieznanego. Zabita przez obcy gatunek, który nie miał własnej koncepcji „człowieczeństwa”. Nie było dobrego powodu, aby jej życie skończyło się właśnie tam, właśnie tego dnia. Załamałem się i zacząłem łkać.

Nie ja jeden. Porucznik Collins nie była jedyną osobą, którą tego dnia straciliśmy, ale jej śmierć przepełniła czarę. Nie zginęła w walce, ale zamordowały ją istoty, które miały być naszymi sojusznikami, naszymi obrońcami, zbawcami. Cała sytuacja na Paradise spierdoliła się cholernie szybko. Straciliśmy całą nadzieję.

Rivers klepnął mnie w ramię, spojrzał mi w oczy i pokręcił głową. Zrozumiałem go bez słów. Starsi rangą oficerowie musieli dawać przykład. Wyprostowałem się i gniewnie przetarłem oczy rękawem. Oddałem zFona Riversowi i kazałem mu zdać raport dowództwu SEONZ, jako że sam nie potrafiłem w tym momencie zachować spokoju.

Żaden z nas nie wiedział, co powiedzieć. Nie było o czym mówić. Po jakimś czasie wyciągnęliśmy oba ciała z kurczaka i załadowaliśmy je na tylne siedzenie ciężarówki, którą poprowadziłem. Po przekroczeniu zachodniego mostu, zamiast jechać drogą przez Habitrail, powiodłem konwój okrężną trasą przez pola, co teraz było łatwiejsze bez przyczep.

Ominięcie miasteczka zajęło nam godzinę i wymagało szukania brodów, żeby przejechać bezpiecznie przez strumienie i błoto. Ale przynajmniej ludzie skupiali się na tym, jak dotrzeć do bazy. Trzymałem się nieco z tyłu, za ostatnim chomvee, w razie gdyby jaszczury postanowiły zlikwidować mnie z użyciem działa elektromagnetycznego. Miało też znaczenie, że to chomvee szukały najlepszej drogi, bo ciężarówka nie była przeznaczona do ostrej jazdy terenowej.

Wróciliśmy na drogę, ale mniej niż pół godziny później kolumna zatrzymała się, a ja stanąłem kilkaset metrów za nimi. Rivers zadzwonił do mnie na zFona nieżyjącego żołnierza.

– Dowództwo każe tu czekać, sir. Przysyłają myszołowa.

Nie powiedzieli, po co. Jeden myszołów nie wystarczyłby na ewakuację nas wszystkich i wątpiłem, aby SEONZ chciały porzucić sprawne chomvee. Może sytuacja pogorszyła się na tyle, że przysyłali nam posiłki z cięższą bronią? Próbowałem sam się dodzwonić, ale mój zFon łączył się tylko z Riversem. Tak właśnie dzieje się, gdy inny gatunek kontroluje całą komunikację. Nie powinniśmy byli na to pozwolić.

Oczywiście inny gatunek kontrolował też naszą żywność i resztę zaopatrzenia, a także orbitę i Ziemię, więc komunikacja na Paradise stanowiła nasze najmniejsze zmartwienie.

W końcu przyleciał myszołów w eskorcie kurczaka. Zrobił kilka okrążeń i wylądował na drodze przed kolumną. Zobaczyłem, że Rivers podchodzi do niego i rozmawia z żołnierzami. Mój zFon odezwał się.

– Sir, chcę, żeby pan tu przyszedł. – W jego głosie brzmiała nuta ostrzeżenia.

Zostawiłem M4 w ciężarówce i ruszyłem truchtem przed siebie. Gdy mijałem chomvee, żołnierze wstawali i salutowali mi, niektórzy ze łzami w oczach. Wszyscy wyglądali na wkurzonych. Co tu się działo? Dotarłem do grupy zgromadzonej wokół myszołowa i zasalutowałem kapitanowi Randolphowi. Myszołów należał do Armii USA, podobnie jak jego załoga.

– Kapitanie Randolph.

Zasalutował i spojrzał mi na chwilę w oczy. O cokolwiek chodziło, czuł się z tym kiepsko.

– Pułkowniku Bishop, mam rozkaz aresztowania pana. Proszę oddać broń. – Wyciągnął rękę z niemal przeproszającą miną.

– Aresztować? – Byłem w szoku. – Pod jakim zarzutem?

– Odmowy wykonania rozkazów, sir.

– Odmowy wykonania nielegalnych rozkazów, kapitanie.

– Sir, to nie moja sprawa – odpowiedział bez przekonania. – Panie pułkowniku, dowództwo kazało aresztować nie tylko pana. Ponoć więcej jednostek odmówiło wykonania rozkazów. Słyszeliśmy, że – ściszył głos. – Kristangowie zbombardowali niektóre oddziały z orbity, gdy

odmówiły podporządkowania się. Sir, proszę, ryzykuję życie swoich ludzi, jeśli pana nie aresztuję.

Wyglądało na to, że jaszczury patrzą i zabiją nas wszystkich, jeśli się nie poddamy.

– Panie pułkowniku – zaczął mówić Rivers, patrząc znacząco na broń, którą gotów był w każdej chwili odbezpieczyć.

– Kapitanie Rivers, pan tu dowodzi. Proszę poprowadzić ludzi bezpiecznie do bazy i unikać po drodze kłopotów – rozkazałem. Chwyciłem dwoma palcami za pistolet i podałem go Randolphowi. – Zabiera mnie pan do kwatery głównej SEONZ?

– Nie, sir. – Jego grdyka chodziła nerwowo. – Wszyscy więźniowie jadą do bazy jasz... Kristangów. Przykro mi, sir.

9. WIĘZIENIE

Umieścili mnie w więzieniu jedynej bazy Kristangów na planecie, obsadzonej przez około trzydzieści jaszczurów, którym podano eksperymentalne środki zabezpieczające ich przed bronią biologiczną na Paradise, samych ochotników. Najbardziej chętnych do bitki i żadnych awansu. Fanatyczne skurwiele, co do jednego. Trzymano mnie w izolacji, prawdziwej izolacji, na tyle, że nie widziałem nawet żadnych jaszczurów. Dostarczano mi jedzenie przez szufladkę raz dziennie. Jediną rozrywką było obserwowanie przez niewielkie okienko wysoko na ścianie zmian kierunku słońca. Oraz słuchanie ciągłych wrzasków i wystrzałów z karabinów co rano. Piątego, może szóstego dnia odwiedził mnie oficer Korpusu Marines Stanów Zjednoczonych.

– Bishop, jestem major Cochrane. Jak się masz, synu? – Rozejrzył się po celi, szukając miejsca, gdzie może powiesić płaszcz, ale ostatecznie zwinął go i włożył pod ramię.

Wyglądał gorzej, niż ja się czułem, miał wory pod oczami i był wychudzony. Oficerowie z kwatery głównej SEONZ dawali przykład, obcinając swoje racje żywnościowe. Istniała możliwość, że skończą nam się zapasy, zanim zbierzemy pierwsze plony.

Oparłem się o ścianę. Nie było żadnego miejsca do siedzenia i leżenia poza twardą, zimną podłogą.

– Nie tak źle, sir, zważywszy na okoliczności. Nie narzekam. Jedzenie mogłoby być lepsze, a łóżko jest twarde, ale przynajmniej równe – odpowiedziałem kiepskim żartem.

– Pytam poważnie. – Cochrane zmarszczył brwi. – Kristangowie chcą zrobić przykład z ciebie i ze wszystkich, którzy sprzeciwili się ich rozkazom.

– Ilu nas jest? Słyszałem plutony egzekucyjne rano.

Cochrane był wyraźnie zboląły.

– Wiem o siedemnastu Amerykanach, próbujemy uzyskać dokładną liczbę. Poza tym Brytyjczycy, Hindusi i Chińczycy, i paru Francuzów.

– Wszyscy w celach śmierci?

Powoli skinął głową.

– I to nie licząc ofiar bombardowania Kristangów z orbity. Uznali to za straty uboczne. – Nerwowo spojrział na sufit, jakby tylko tam jaszczury mogły umieścić podsłuchy. – Uderzyli wyłącznie w miejsca, gdzie nasi ludzie nie chcieli wykonywać rozkazów. Twój ludzie mieli szczęście. Gdyby nie to, że Kristangowie cię już znali, zniszczyliby twój oddział pociskiem z działła elektromagnetycznego razem z Habitrail. Ale chcieli, żebyś patrzył, jak niszczą miejscową szkołę. Kristangowie nie tolerują niesubordynacji ze strony niższych gatunków.

– Dzieci i kobiety chomików nas nie zaatakowały. To po prostu morderstwo. Zrobili mnie pułkownikiem. – Wskazałem na orła na mundurze. – Powiedzieli, że jestem bohaterem, bo zabiłem żołnierzy Ruharów, a teraz chcą mnie zabić za odmowę zamordowania ich dzieci i kobiet.

– Masz spore zasługi, ale...

– Ale przeleć tylko jedną owcę.

– Co? – spytał, szeroko otwierając oczy.

– Taki żart. Proszę o tym zapomnieć. Jedno spieprzenie sprawy zmazuje wszystkie zasługi, co?

– Coś w tym stylu. – Skinął głową.

– A więc jest tu pan, żeby, co, wysłuchać mojego przyznania się do winy, być moim adwokatem czy przynieść mi łyżkę, żebym mógł wykopać tunel? – Wskazałem na podłogę z niezwykle twardego odpowiednika betonu, używanego przez Kristangów.

Pokręcił głową.

– Przykro mi, ale jestem tu tylko po to, żeby przekazać wsparcie i troskę Stanów Zjednoczonych. Kristangowie nie potrzebują przyznania do winy, a ty nie potrzebujesz prawnika, bo nie będzie żadnego procesu ani nawet przesłuchania.

– No tak, po co komu sprawiedliwość, skoro można po prostu urządzić egzekucję? – Machnąłem ręką. Było mi żal tego faceta, bo znalazł się w trudnym położeniu. – Proszę się nie trudzić. Zamierzał pan powiedzieć coś o tym, że obcy mają inną koncepcję sprawiedliwości i dyscypliny wojskowej. Wiem to wszystko. Wiem też, że w tym wypadku dobro czy zło nie zależy od punktu widzenia. To po prostu zło.

Cochrane spojrział na okienko. Nie miał nic więcej do powiedzenia.

– Majorze, ma pan poczucie, że walczymy w tej wojnie po złej stronie? Im więcej dowiaduję się o jaszczurach, tym bardziej przekonuję się, że jesteśmy po stronie hitlerowców. W czasie drugiej wojny światowej SS rozstrzeliwało cywilów w zemście za ataki na niemieckich żołnierzy. Alianci tego nie robili. – Wskazałem flagę USA na swoim mundurze. – Jesteśmy cywilizowani, tamci nie.

– Kristangowie nie zaatakowali Ziemi – przypomniał.

– Majorze, o ile kompletnie pan, kurwa, nie ogłuchł...

Cochrane zeszytniał z gniewu, ale wymieszanego ze strachem.

– Uważaj na słowa, żołnierzu.

– Nadal jestem od pana starszy stopniem, majorze. Czy armia zdegradowała mnie już do sierżanta? Nie? W takim razie wciąż jestem pułkownikiem i o ile nie ogłuchł pan kompletnie... – Tym razem pominąłem przekleństwo, bo nie chciałem, żeby sobie poszedł. Był pierwszym człowiekiem, jakiego widziałem od kilku dni. – Ruharowie zaatakowali Ziemię, żeby pozbawić nas bazy przemysłowej, abyśmy byli

mniej użyteczni dla jaszczurów. Nie uderzyli w miasta, ani nawet w bazy wojskowe, a tylko w infrastrukturę przemysłową, elektrownie i rafinerie. Gdyby Ruharowie nie zaatakowali jako pierwsi, jaszczury zjawyłyby się na niebie, powiedziałyby nam, że teraz pracujemy dla nich i wybiłyby setki tysięcy ludzi, żeby podkreślić, że nie żartują. Nie zdawaliśmy sobie na początku sprawy, że jesteśmy teraz niewolnikami Kristangów tylko dlatego, że byliśmy wdzięczni za przegonienie Ruharów. Chomiki wyświadczyły jaszczurom przysługę. Ludzie nic nie znaczą dla żadnej ze stron. Słyszał pan o tym, co dzieje się w domu? Z ciasteczek z wróżbą? O Szanghaju? Paryżu? San Francisco?

– Plotki – zaprotestował żałośnie Cochrane.

– Plotkom wierzę bardziej niż ocenzone bzdurami, które wciskają nam rzekomi sojusznicy. Co ze mną teraz będzie? Czekam tu już kolejny dzień.

Cochrane spuścił wzrok, ale w końcu spojrzał mi w oczy.

– Pluton egzekucyjny jutro rano dla reszty męskich więźniów.

– Męskich?

Odetchnął ciężko.

– Mężczyźni zostaną po prostu rozstrzelani. Co do kobiet, to wie pan, jak podchodzą do nich Kristangowie. Kobieta dowodząca mężczyznami już ich oburza, a co dopiero kobieta odmawiająca wykonania rozkazu. Kristangowie tego nie znoszą, doprowadza ich to do szału i robią z nich przykład. Kobiety są rozbierane do naga i wieszane. Powoli. – Wyglądał, jakby miał zwymiotować. – Kazali nam patrzeć, kazali dowództwu SEONZ patrzeć... wczoraj.

– O kurwa. I nic nie zrobiliście?

– Co mieliśmy zrobić? Pułkownik – podkreślił – na pewno rozumie pan, że dowództwo ma ograniczone pole działania. Jesteśmy na końcu najdłuższej linii zaopatrzeniowej w historii. Cała nasza amunicja, zasoby medyczne, jedzenie, w ogóle wszystko przybywa na okrętach Kristangów. U szczytu dostaw mieliśmy dość jedzenia na czternaście tygodni, co wyglądało nieźle, gdy ewakuacja Ruharów miała dobiec końca w ciągu roku, a okręty Kristangów przybywały regularnie. Ale przy zaburzonych dostawach mamy teraz jedzenia na miesiąc. Całe Siły Ekspedycyjne można zniszczyć, po prostu odmawiając nam pożywienia. To, czy wrócimy do domu, też zależy od Kristangów. Nie możemy nawet sami oderwać się od ziemi. Kristangowie będą nas zaopatrywać tylko dopóty, dopóki jesteśmy wiernymi sojusznikami w tej walce. Przybyliśmy tu na ochotnika i skoro już jesteśmy, musimy radzić sobie, jak tylko możemy. – Pokręcił głową. – Pan i reszta niesubordynowanych, pułkownik, wpędziliście nas w nie lada kłopoty. Może nas pan nazywać niewolnikami, ale prawda jest taka, że podlegamy Kristangom. Nie jesteśmy przyzwyczajeni, zwłaszcza jako Amerykanie, że nie my

rzadzimy. Dowództwo SEONZ nie protestuje w pańskiej sprawie, bo bardziej martwi się tym, co się dzieje w domu, niż nami, a zwłaszcza niesfornym pułkownikiem.

– Rozumiem. – Próbowałem robić dobrą minę do złej gry, ale tak naprawdę byłem cholernie przestraszony.

Trzymałem ręce za plecami, bo się trzęsły. Nie bałem się śmierci przed plutonem egzekucyjnym Kristangów, zaakceptowałem ten los, gdy odmówiłem zabicia chomików. Bałem się, że się skompromituję, że gdy przyjdzie ta chwila, zsikam się w gacie albo rzucę się na ziemię, płacząc i błagając o łaskę, przynosząc wstyd swojemu gatunkowi. Sama myśl o tym, jak obrzydziłoby jaszczury, gdyby zobaczyły człowieka w takim stanie, pomagała zachować mi spokój. Mogłem to wykorzystać. Zmienić strach w nienawiść. Nienawiść do jaszczurów. Tak, jebać ich. Jebać te nazistowskie gadziny!

– Majorze. – Odepchnąłem się od ściany i podałem mu rękę, która przestała się trząść. – Dziękuję za odwiedziny. Żaden żołnierz nie chce umierać sam. Proszę podziękować ode mnie dowództwu.

Uścisnął mi dłoń, ale widać było, że nie wie, co powiedzieć.

– Jeśli będzie miał pan kiedyś okazję, proszę powiedzieć mojej rodzinie, że zrobiłem to, co uważałem za słuszne.

*

Nie miałem czasu na kontemplację, bo mniej niż minutę po wyjściu majora Cochrane'a w bazie Kristangów odezwały się alarmy, a potem nastąpiła ogromna eksplozja. Podłoga mojej celi uniosła się i uderzyła mnie w twarz. Widziałem gwiazdy, dzwoniło mi w uszach, gdy ryknął drugi wybuch, a część zewnętrznej ściany celi zawaliła się. W głowie wciąż mi się kręciło, ale moje ciało nie czekało na zaproszenie. Wybiegłem przez dziurę, zanim zorientowałem się, co robię. Wyszkolono mnie na tyle dobrze, że działałem instynktownie.

Aby zorientować się w terenie, spojrzałem w górę, co było błędem. Zobaczyłem znajome błyski okrętów skaczących na orbitę i jasny wybuch na niebie, który sprawił, że padłem na ziemię z mroczkami w oczach. Powtórka z tego, co miało miejsce w moim rodzinnym miasteczku. Intensywne światło musiało oznaczać zniszczenie okrętu Kristangów na niskiej orbicie. Ruharowie wrócili. Czołgałem się po resztkach ściany, na pół ślepy i przygłuchy, i nie wiedziałem, czy się bać, cieszyć, czy z obojętnością obserwować rozwój wydarzeń. Wiedziałem, że Ruharowie nie wrócili po to, by uratować Siły Ekspedycyjne ONZ przed jaszczurami, i że żaden chomik nie ucieszy się na mój widok. Gdy tak czołgałem się po ziemi, wzrok i słuch powoli wracały, a w mojej głowie kłębiły się myśli. Co dalej?

Czy myślałem o tym, czy nie, i tak górę wzięło wojskowe szkolenie.

Ocena sytuacji.

Musiałem zacząć od znanych mi faktów. Fakt pierwszy: miałem zostać poddany egzekucji przez gatunek, który uważałem teraz za wroga ludzkości. Fakt drugi: w związku z pierwszym SEONZ nie miały prawa mnie aresztować i oddać Kristangom, jako że nie miałem obowiązku wykonywać nielegalnych rozkazów. Fakt trzeci: wymyślałem te prawne bzdety na poczekaniu. Fakt czwarty: to nie sprawiało, że były mniej słuszne. Znajdowaliśmy się na obcej planecie, między dwoma walczącymi gatunkami, z niewielkimi szansami na powrót do domu czy nawet przetrwanie kolejnego miesiąca. Autorytet SEONZ był dość mocno nadszarpnięty. Zwłaszcza że kapitulacja Ruharów i ich umowa z Kristangami najwyraźniej były otwarte na interpretacje, zależnie od tego, kto dysponował w danej chwili większą flotą w układzie.

Czołgałem się za moją celą. Budynki wokół zostały częściowo lub całkowicie zniszczone. Nadal rozlegały się kolejne wybuchy. Musieliśmy dostać hiperkinetycznym pociskiem z działa elektromagnetycznego i inteligentnymi raketami. Ruharowie wiedzieli, gdzie uderzyć, wystrzelili, gdy tylko wskoczyli na orbitę. Z tego, co widziałem, więzienie nie wydawało się mocno uszkodzone, podczas gdy główna część kompleksu Kristangów została nie tyle zrównana z ziemią, co stała się dymiącym kraterem. Zapewne zaraz potem nastąpiły ataki inteligentnymi raketami, by zniszczyć te części bazy, które przetrwały początkowe uderzenie. Teraz widziałem już na tyle dobrze, żeby zauważyć kolejne błyski na niebie. Nie było dalszych eksplozji, więc uznałem, że resztki sił Kristangów uległy zniszczeniu albo uciekły. Tyle błysków oznaczało, że siły Ruharów są znaczne. I pojawiało się ich coraz więcej. Cholera, tym razem naprawdę wydawali się zdeterminowani, żeby odzyskać planetę. To nie była drobna potyczka.

Misja SEONZ na Paradise dobiegła końca, w taki czy inny sposób. Jeśli Ruharowie znów tu rządzą, wszyscy ludzie na powierzchni musieli prędzej czy później skończyć jako jeńcy wojenni. A jeśli Paradise miało stać się polem bitwy, to nasze M4B1 i zdobyczne pojazdy powietrzne ustawiały nas w samym jej środku.

O cholera. Jedzenie. Zdałem sobie sprawę, że jeśli Kristangowie zostaną wyparci z Paradise, to nie będzie już więcej dostaw. Cholerne jaszczury nie troszczyły się o to, żebyśmy mieli dość zapasów na wypadek, gdyby stracili Paradise, a chomiki nie miały dostępu do Ziemi. Czy Ruharowie okażą się dość hojni, aby pozwolić ludziom uprawiać jedzenie na planecie, którą pomagaliśmy im odebrać? Nie chciałem chyba znać odpowiedzi na to pytanie.

Jedzenie. Kristangowie karmili mnie raz dziennie, zapewne innych ludzkich więźniów też, więc w ich bazie musiał istnieć jakiś zapas

jedzenia, a jako że jaszczury miały obsesję na punkcie wydajności, zapewne przechowywały je w pobliżu więzienia. Musiałem je znaleźć, zanim ruszę dalej.

Odzyskałem wzrok na tyle, że widziałem już, dokąd idę. Ze słuchem było gorzej, nie wiedziałem, czy dudni mi w uszach, czy na zewnątrz.

Wbrew instyngtom ostrożnie wszedłem z powrotem do swojej celi i próbowałem wyważyć drzwi, ale bezskutecznie. Wyskoczyłem znów na zewnątrz, pospiesznie, bo teraz myślałem już jasno i chciałem się zmyć, zanim przybędą Ruharowie i zanim zaczną mnie szukać Kristangowie, którzy przeżyli. Szedłem wzdłuż nadkruszanej ściany i szukałem wejścia. Okazało się to proste – znalazłem po prostu otwarte drzwi. W środku wyrząłem za róg i nie zobaczyłem nikogo na korytarzu. Drzwi do celi miały niewielkie okienka, nieco powyżej mojej głowy, więc stawałem na palcach, żeby zajrzeć do środka. Pierwsza była pusta, druga też. Drzwi do trzeciej były częściowo uchylone z powodu pęknięcia idącego aż do sufitu i przez szparę zobaczyłem nogi człowieka leżącego pod gruzem. Otwarcie drzwi było proste, zabezpieczone były jedynie od wewnątrz. Po prostu przekręciłem klamkę. Trochę wysiłku wymagało przesunięcie ich w przekrzywionej framudze. Okazało się jednak, że niepotrzebnie się trudziłem. Nogi należały do francuskiego oficera, którego klatkę piersiową zmiażdżył zawalony sufit. Znów górę wzięło szkolenie – to był czas na szukanie żywych, nie na sentymenty.

Drzwi do celi po przeciwnej stronie korytarza okazały się całe, ale zewnętrzna ściana legła w gruzach. Wewnątrz znalazłem ciało majora brytyjskiej armii. Po stopniu szkód uznałem, że jego celi dostała fragmentem rakiety kasetowej. Następnie minąłem cztery puste cele, a potem korytarz skręcał w prawo, gdzie znalazłem ciała majora Cochrane'a i eskortującego go Kristanga. Obaj leżeli pod kupą gruzu. Cochrane nie był szczególnie zakrwawiony, ale nie miał pulsu. Kristang miał klatkę piersiową przebitą prętem zbrojeniowym. Zauważyłem, że jego krew miała kolor dużo ciemniejszej czerwieni niż ludzka, i zastanowiło mnie, czy zawiera więcej żelaza. Zadziwiające, co czasami przychodzi mi do głowy.

Cholerny Kristang nie był uzbrojony. Miałem nadzieję, że znajdę przy nim karabin lub jakąś inną broń. Niestety. Musiałem precyzyjnie się dalej, a następnie przejść przez sekcję korytarzy bez drzwi, aż doszedłem do kolejnego bloku więziennego.

W trzeciej celi zobaczyłem nagą czarnoskórą kobietę. Stała tyłem do mnie, próbując powiększyć dziurę w zewnętrznej ścianie. Od razu rzuciły mi się w oczy blizny na jej plecach. Głupio, jak się później okazało, wróciłem do majora Cochrane'a, wyciągnąłem go spod gruzu i ostrożnie zdjąłem z niego bluzę mundurową, spodnie i buty. Czuję trochę, że bezczeszczę zwłoki, ale naga kobieta bardziej potrzebowała

tego ubrania niż on, a jemu wciąż zostały bokserki. Zostawiłem go opartego o ścianę i wróciłem do kobiety. Jako że wiedziałem, że drzwi są dźwiękoszczelne, nie odzywałem się, tylko uderzyłem w drzwi raz, dwa, a następnie trzy razy, mając nadzieję, że kobieta zrozumie to jako próbę komunikacji. Następnie przekręciłem klamkę i uchyliłem drzwi.

– Wszystko w porządku? Jestem Bishop, armia Stanów Zjednoczonych.

– Sierżant sztabowy Adams, sir. Pierwszy Korpus Ekspedycyjny Marines – powiedziała drżącym głosem. Mundur marines Cochrane’a był więc odpowiedni.

Nie zaglądając do środka, wrzuciłem ubranie i przeprosiłem, że tylko tyle znalazłem. Szybko założyła koszulę, nie kłopotząc się jej zapinaniem i otworzyła drzwi na oścież, a następnie wybiegła na korytarz.

– Dzięki za ubranie, ale wolę się stąd zbierać jak najszybciej.

Cholera, pomyślałem o niej najpierw jako o kobiecie, a dopiero potem o żołnierzu, czy raczej marine. Oczywiście, że bardziej obchodziło ją opuszczenie celi niż to, czy inny żołnierz zobaczy ją nagą. Spojrzała na mnie, na moje oznaki stopnia, początkowo zdziwiona, bo wyglądałem za młodo na pułkownika, aż w końcu sobie przypomniała.

– Och. – Zasalutowała od niechcienia, zakładając spodnie. – Pan to ten Bishop, pułkownik. Co tu się dzieje, sir?

– Ruharowie wrócili i tym razem to nie jakiś podjazd, tylko porządna armada. Wygląda, że chcą przejąć planetę, co oznacza, że SEONZ stracą pracę. I sierżant Bishop, nie pułkownik. Pułkownikiem byłem tylko przez te cholerne jaszczury.

Adams spojrzała na mnie wzrokiem, jaki widziałem wielokrotnie u sierżantów sztabowych.

– Bzdura, sir. Nie może pan tego zrobić.

– Czego?

– Nie jaszczury zrobiły pana pułkownikiem, tylko SEONZ. Nie zrobiłyby tego, gdyby nie było to korzystne dla ludzi. Pański stopień daje panu przewagę, a w czasie bitwy żołnierz nie rezygnuje z przewagi.

Znów to spojrzenie.

– Cholera. – Nawet nie mogłem pozbyć się niechcianego stopnia. – Dobrze, masz rację.

– Te buty są za duże, będę się w nich tylko potykać o własne nogi. Wolę iść już bosko.

Skinąłem głową i wskazałem jej, żeby szła za mną. Oboje podskoczyliśmy, gdy rozległ się kolejny wybuch, niosący się echem po korytarzu. Zdarzyło się to jeszcze dwa razy, za każdym razem nieco słabiej.

A wtedy zza rogu wyszedł żołnierz Kristangów.

Na czysto fizycznym poziomie nie miałem szans z Kristangiem. Byłem

zmęczony, osłabiony przez stres i głód, a on był większy, silniejszy i uzbrojony w karabin. Lecz na każdym innym poziomie to on nie miał szans. Był przynajmniej tak samo dezorientowany jak my i zaskoczony tym, że znalazł żywego człowieka poza celą. W dodatku oglądał się przez ramię, gdy wyszedł zza rogu. Miałem też przewagę ogromnego przyływu adrenaliny.

Zanim którykolwiek z nas zorientował się, co się dzieje, wyrwałem mu karabin z rąk i wpadłem w szal bojowy, napędzany czystym strachem. Nieświadomie zakładając, że karabin Kristangów ma jakieś zabezpieczenie przed nieautoryzowanym użyciem, uderzyłem jaszczura kolbą w podbródek dwa, może trzy razy. A może w gardło, nie pamiętam. Wiedziałem tylko, że w jednej chwili stał prosto, a w kolejnej upadał, a ja rzuciłem się na niego, uderzając raz po raz w jego czaszkę. Oczy zaszły mi czerwoną mgłą, która częściowo składała się z krwi Kristanga, a częściowo z instynktu przetrwania. Włożyłem wszelkie możliwe siły w przebicie się kolbą do jego mózgu.

Jeśli nigdy nie braliście udziału w walce albo w wypadku samochodowym czy innej sytuacji, w której myśleliście przez ułamek sekundy, że zaraz zginiecie, nie możecie wyobrazić sobie, jak szybko przelatowały mi przez głowę skojarzenia i obrazy – każda odrobina nienawiści do tego obrzydliwego gatunku za to, co zrobił albo zamierzał zrobić Ziemi, każda drobina gniewu za to, co zrobił sierżant Adams, Mirandzie Collins i innym kobietom, cały mój gniew, powstrzymywany przez zasady użycia siły Armii USA, na religijnych fanatyków, którzy palili szkoły i zabijali dzieci w Nigerii, na każdego dupka, który próbował gnębić mnie w liceum, na moją bezczynność, gdy sadystyczny gnojek zamęczył żabę, na każdą osobę, która zajęła mi drogę na ulicy, a nawet na wuefistę, który zbeształ mnie za to, że nie grałem idealnie w baseball. Wszystko to włożyłem w tę kolbę, aż przebiła się na wylot przez czaszkę genetycznie ulepszanego superwojownika i zaryła w posadzkę.

Następne, co pamiętam, to sierżant Adams ciągnąca mnie za ramię, próbująca sprawić, żebym wrócił do rzeczywistości. Spojrzałem na nią z wyrazem twarzy, który musiał przerazić ją bardziej niż Kristang, bo odskoczyła. Rzuciłem karabin na ziemię i wstałem, trzęsąc się.

– Jezu, kurwa, Chryste – powiedziała chrapliwym głosem Adams. – Chyba się porzygam.

Czułem się podobnie. Zabijałem już wcześniej, ale zawsze z odległości, zawsze kulami z karabinu sięgającymi ludzi, których nawet dobrze nie widziałem. Teraz było inaczej. W gniewie zmiażdżyłem czaszkę Kristanga jak dojrzałego arbuza, było tam mnóstwo połamanych kawałków białych kości i ciemnoczerwonej krwi, a reszta przypominała szare tłuczone ziemniaki albo nadzienie do indyka na Święto

Dziękczynienia.

– Oddychaj – powiedziałem – głęboko i powoli. – Nie byłem pewien, czy mówię do Adams, czy do siebie.

Oboje staliśmy tak, szokowani, opierając się o ścianę, oddychając głęboko. Ona zdołała się uspokoić pierwsza, ja musiałem zejść z przerażającego adrenalinowego haju. Podeszła do ciała Kristanga i ku mojemu zdumieniu z gniewem zaczęła je kopać.

– Rozpoznaję tego dupka. To on mnie torturował. – Pochyliła się i splunęła tam, gdzie wcześniej miał twarz. – Nic panu nie jest, sir?

– Uch... – Cały byłem w krwi Kristanga, łącznie z twarzą. Mój lewy mały palec był wygięty i zaczął puchnąć. Nie zauważyłem, kiedy go skręciłem. – Tak, jestem cały.

– Co teraz, sir?

Spojrzałem na nią pustym wzrokiem, wciąż myśląc jak sierżant. W końcu była sierżantem sztabowym i tu dowodziła, więc... a, cholera. Byłem pułkownikiem. Pułkownikiem armii uwięzionej na kontrolowanej przez wroga planecie. Pułkownikiem armii, która wydała mnie innym wrogom za zbrodnię trzymania się resztek człowieczeństwa.

– Adams, myślę, że powinniśmy poszukać innych więźniów i zapasów jedzenia. A potem ukradniemy jakiś transport i zwiniemy się stąd.

– Oorah – odparła, co u marines jest odpowiednikiem naszego zawołania „hooah”.

Podniosłem karabin i zacząłem go oglądać.

– Lepiej dowiedzmy się, jak to działa.

Nie wyglądało na to, żeby broni zaszkodziło użycie jej w charakterze maczugi. Wskazałem lufą martwego Kristanga, oparłem karabin o ramię i pociągnąłem za spust. Nic.

– Hmm...

Po prawej stronie nad spustem znajdował się żółty przycisk. Nacisnąłem go i stał się czerwony. Tym razem spust zadziałał i w tułów Kristanga uderzył pocisk wybuchowy, a na mnie poleciała fontanna krwi. Nie żeby robiło to wielką różnicę.

– Żółte oznacza zabezpieczony, czerwone odbezpieczony.

– Zrozumiano.

Znaleźliśmy jeszcze tylko dwoje żywych więźniów. Większa część budynku, od strony środka bazy, była zawałona. Adams, wciąż na bosy, musiała uważać na odłamki.

Jako pierwszą uwolniliśmy kobietę – kapitan indyjskiej armii o nazwisku Desai. Pilotowała myszołowa. Oczywiście była naga, ale Adams zapewniła ją, że jesteśmy tam, by ją uratować, i dała jej swoją bluzę od munduru, która była dość długa, aby zakrywać jej pośladki. Adams z początku próbowała porozumiewać się gestami, ale

niepotrzebnie, bo Desai mówiła po angielsku lepiej niż ja. Trauma, jaką przeżyła, nie wpłynęła na jej ocenę sytuacji, bo gdy tylko założyła bluzę, wybiegła z celi zaraz za Adams.

Kolejnym więźniem był mój znajomy, podpułkownik Chang. Drzwi do jego celi wyleciały z zawiasów, ale cela częściowo zawałiła się na niego i w chwili, gdy do niego dotarliśmy, już prawie udało mu się wydostać. Tylko lewa stopa nadal tkwiła pod częścią sufitu. Podnieśliśmy odłamek na tyle, że jakoś się wyczołgał. Miał na lewej łydce paskudną ranę i rozcięte lekko czoło, ale stwierdził, że zajmie się tym później. W pełni go rozumiałem.

Za celą Changą korytarz był zawalony. Jeśli wśród gruzu zostali jacyś żywi ludzie, wydobyć ich nie było możliwe bez ciężkiego sprzętu.

– Nie – pokręcił głową Chang. – Jaszczury powiedziały mi, że po wczorajszej nocy zostało tylko sześcioro więźniów. Oprócz naszej czwórki jeden Francuz i jeden Brytyjczyk.

– Cholera, znalazłem wcześniej jednego martwego Francuza i martwego Brytola. W takim razie mamy komplet.

Adams pociągnęła mnie za pasek i zawlokła z powrotem za róg, przyciskając palec do ust.

– Dwóch Kristangów w tym białym budynku, sir. Widziałam ich przez drzwi.

– Widzą nas?

– Chyba nie, jeden z nich stał do nas plecami.

Obejrzałem się przez ramię.

– Wracamy, zobaczymy, czy...

Z białego budynku wyszło trzech Kristangów, wszyscy z karabinami, ale bez hełmów i pancerzy. Nie patrzyli w naszą stronę, stanęli do nas tyłem, patrząc w niebo. Nie wahałem się. Albo amunicja Kristangów jest bardzo cicha, albo karabiny mają wbudowane tłumiki, bo naboje wydały tylko lekki świst, wylatując z lufy. Gdy ich wybuchowe czubki zderzyły się z ciałami Kristangów, rozległ się jednak głośny dźwięk. Wszyscy szybko padli i tylko jeden z nich zdołał wystrzelić, ale nawet nie w naszą stronę. Nie trzeba było wydawać rozkazów, wszyscy podbiegli i zabraliśmy broń, po czym schowaliśmy się w białym budynku.

– Czerwony znaczy odbezpieczony – zademonstrowała Adams.

– Jeden wciąż żyje – zauważył Chang i uniósł karabin. Adams odepchnęła lufę na bok i pokręciła gniewnie głową.

– Nie, sir. Nie pan.

Spojrzała na Desai i obie kobiety skinęły głowami. Jeden z Kristangów wił się na ziemi. Nie trafiłem w tułów, odstrzeliłem mu tylko rękę. Desai dwukrotnie palnęła mu w głowę i warknęła coś w hindi. Założyłem, że to coś w rodzaju „*adios*, skurwysynu” czy jaki tam jest hinduski

odpowiednik.

– Dziękuję – powiedziała do Adams.

Jeśli Chang był zły za reprimendę ze strony sierżant, nie okazał tego. Wiedział, że jaszczury torturowały ludzkie kobiety, i rozumiał, że Desai musiała się odplącić. Rozbryzganie jaszczurzych mózgow po kilkunastu metrach kwadratowych było dobrym początkiem.

– Czy ktoś wie, gdzie trzymają jedzenie? – spytałem. – Muszą mieć tu jakiś skład.

– Nie jadłam od dwóch dni – odpowiedziała Desai, a Adams skinęła głową.

Cholera, teraz mój jeden posiłek dziennie wydawał się luksusem. Przeszukaliśmy biały budynek, wypatrując kolejnych Kristangów, wszyscy z rękami na spustach. Desai znalazła szafkę zawierającą siedemnaście opakowań amerykańskich i chińskich racji żywnościowych. Kobiety powiedziały, że nie są głodne, ale nalegałem, aby otworzyły jedno z opakowań i na początek podzieliły się nim, jedząc powoli. Potrzebowały energii. Nie znaleźliśmy nic więcej, co by się nam szczególnie przydało. Żadnych ludzkich ubrań, broni ani amunicji. Były ubrania Kristangów. Dałem Desai swoje spodnie i włożyłem te z sortu Kristangów, a ona założyła za dużą bluzę Kristangów i oddała moją. Uznałem, że jeśli wpadniemy w kłopoty, moja bluza z oznakami stopnia może być przydatna. Buty Kristangów były zdecydowanie za duże dla kobiet, więc pocięły ubrania i owinęły je sobie wokół stóp. Był to pomysł Desai, jak dla mnie całkiem sprytny. Gdy Adams sporządzała swoje prowizoryczne buty, rozległ się ryk silników dwóch sępów Ruharów. Nadszedł czas się zmywać.

Przy ogrodzeniu zaparkowane były trzy transportery opancerzone Kristangów. Drzwi nie były zamknięte, ale nie potrafiliśmy ich uruchomić, a nie było czasu na szukanie kluczyków, czipów czy czego tam było trzeba.

Obok stał chomvee Ruharów, z popękaną przednią szybą, ale z akumulatorem naładowanym do siedemdziesięciu procent i od razu udało się go uruchomić. Okrążyliśmy bazę, aby odjechać jedyną drogą osłoniętą drzewami. Drzewa zapewne niewiele nas chroniły, zważywszy na to, że Ruharowie patrzyli na planetę z nieba, ale i tak dawały nam poczucie bezpieczeństwa. Gdy po raz ostatni spojrzeliśmy na zniszczoną bazę jaszczurów, lądowało tam dodo eskortowane przez dwa sępy. Miałem nadzieję, że nie uznają jednego samochodu za wart pościgu.

Drzewa skończyły się po kilku kilometrach i jechaliśmy dalej na północny zachód wśród otwartych stepów. Dotarliśmy do skrzyżowania i zarządziłem postój.

– Czy ktoś wie, gdzie jesteśmy?

Nikt nie wiedział. Na południu widzieliśmy obniżającego lot wieloryba

i kilka sępów, leciały w przeciwnym kierunku. Uznałem, że im dalej od nich, tym lepiej, więc jechaliśmy wciąż na północny zachód. Aż w końcu natknęliśmy się na Kapitana Tępaka i jego posterunek kontrolny.

Droga prowadziła przez most, a po jego drugiej stronie stało kilka chomvee i żołnierze, ludzcy żołnierze, w większości w mundurach Armii USA, więc cieszyliśmy się, że trafiliśmy na przyjazny oddział. A przynajmniej tak myśleliśmy w pierwszej chwili.

Była to jednostka żandarmerii, którą dowodził podporucznik. Sądząc po różnych insygniach jednostek i narodowościach, zapewne zebrał kogo tylko udało mu się znaleźć. Skierowali karabiny na nasz chomvee, gdy przekraczaliśmy most, i kazali nam się zatrzymać. Wyszedłem z karabinem Kristangów zawieszonym pod lewą pachą i zsalutowałem prawą.

– Raport, poruczniku, hm – spojrzałem na naszywkę z nazwiskiem – Rogers.

– Sir? – Dość niepewnie odpowiedział salutem. Nosilem insygnia pułkownika Armii USA, ale bluzę miałem tak zabrudzoną zaschniętą krwią jaszczura, że moje nazwisko nie było czytelne. Nosilem spodnie Kristangów z ich żółto-czarnym wzorem i trzymałem ich broń. Poza tym byłem zdecydowanie zbyt młody na prawdziwego pułkownika w jakiegokolwiek armii.

– Natknęliśmy się po drodze na Kristangów. – Wskazałem kciukiem do tyłu. – I pozyskaliśmy ten sprzęt. Nie mamy sprzętu komunikacyjnego. Jaka jest sytuacja?

– Zaatakowaliście Kristangów? Sir, myślę, że muszę pana aresztować. – Jego ludzie unieśli broń. Sytuacja mogła szybko zrobić się nieciekawa.

– Poruczniku, o ile nie trzymał pan głowy w dupie – to stawało się moim ulubionym powiedzeniem – nie mogło umknąć pańskiej uwadze, że planetą rządzą teraz Ruharowie. Misja SEONZ dobiegła końca. Wszyscy ludzie na Paradise są jeńcami Ruharów. Planuje pan aresztować całe SEONZ i oddać nas chomikom?

– Mam swoje rozkazy.

– Jestem cholernym pułkownikiem Armii Stanów Zjednoczonych, a ty jesteś szczególnie tępym podporucznikiem – wyrzuciłem z siebie. – Podpułkownik Chang i kapitan Desai również przewyższają cię stopniem w SEONZ, a sierżant Adams przewyższa cię inteligencją. Natychmiast spocznij, to rozkaz.

Desai wyciągnęła broń przez okno, celując prosto w głowę Rogersa.

– Nie wracam do tego więzienia. – Lufa lekko się trzęsła, z gniewu, ze strachu albo ze względu na niski poziom cukru we krwi.

– Ja też nie – zgodziła się Adams, wychodząc z chomvee. Wyraz jej twarzy był groźniejszy od broni. – Pułkowniku Bishop, czy mogę

rozwalić mózg tego dupka, jeśli tylko dziwnie na mnie spojrzysz? – Spojrzała Rogersowi prosto w oczy. – Spędziłam ostatnie pięć dni głodzona i torturowana przez jaszczury i naprawdę, naprawdę mam ochotę coś zastrzelić.

– Uspokójcie się wszyscy. – Głos rozsądku pochodził od sierżanta w prowizorycznym oddziale Rogersa. – Poruczniku, może powinniśmy ich wysłuchać.

Rogers skinął głową i jego ludzie powoli opuścili broń. Ja także skinąłem głową i moi zrobili to samo.

– Tak lepiej. Jestem pułkownik Joe Bishop. No wiecie, ten od Barneya. – Po twarzy Rogersa widać było, że w końcu mnie poznaje. Cholera. Adams miała rację, nie należy rezygnować z przewagi. – Nasza czwórka była więźniami Kristangów do czasu, aż Ruharowie zaatakowali bazę i przypadkiem nas uwolnili. Resztę więźniów zastrzelili albo torturowali i powiesili nasi sojusznicy, jaszczury. Byli sojusznicy. A teraz... Macie zFony, co słyszeliście?

– Nic, sir. Komunikacja padła, nawet GPS. Odbieramy tylko nagranie od Ruharów każące nam skapitulować, współpracować z nimi i czekać na dalsze instrukcje. Nic od dowództwa SEONZ, żadnych e-maili ani wiadomości tekstowych, ale funkcja tłumacza dalej działa.

– Co z zaopatrzeniem?

– Kiepsko, sir. – Teraz, gdy wiedział, kim jestem, patrzył na mnie tak, jakby chciał poprosić o autograf. – Sporo wody, każdy ma standardowy zapas amunicji, ale nie mamy dość jedzenia, żeby każdy zjadł po jednym posiłku. Większość była w drodze do francuskiej bazy operacyjnej, gdy wrócili Ruharowie. Zobaczyliśmy dym od strony bazy – wskazał na cienką kolumnę dymu na południu – a most nad rzeką w tamtą stronę jest zniszczony. Zebrałem tutaj kogo się dało. Mamy dwóch Francuzów, trzech Hindusów i czterech Chińczyków. Uznałem, że to dobry punkt kontrolny.

Brzmiało w miarę sensownie. Pochyliłem się bliżej i ściszyłem głos.

– Mamy kilkanaście racji żywnościowych. Obie kobiety pod moim dowództwem były głodzone i torturowane przez jaszczury i miały zostać jutro rano powieszane.

Rogers był wyraźnie w szoku.

– W co my się, kurwa, wpakowaliśmy, sir?

– W niezłe gównno. Weźmy samochody i...

– Lądownicy! – zawołał żołnierz.

– Ich czy nasze? – spytał porucznik Rogers. Nie przypomniałem mu nawet, że nic na niebie nie jest już nasze.

– Na razie nie wiem – odparł żołnierz z lornetką. – Zaraz, to chomiki! Trzy, nie, cztery sępy i dwa dodo.

Miałem kazać wszystkim szukać osłony, gdy dwa sępy rozdzieliły się i

oflankowały nas od wschodu i zachodu z wysuniętymi działami. Najwyraźniej widziały nas i były zainteresowane.

– Wszyscy opuścić broń, ręce do góry.

– Sir? – spytał podejrzliwie Rogers. W końcu zabiłem Kristangów, a teraz zamierzałem poddać się Ruharom.

– Poruczniku, przy odrobinie szczęścia może uda nam się zniszczyć jeden z tych sępów, jeśli pilot jest dość głupi, by na tyle się zbliżyć. Reszta zmiecie nas z powierzchni planety. Połóżcie broń na ziemi i cofnijcie się od niej, a następnie podnieście ręce. – Widziałem, że nie jest przekonany.

W końcu poleciliśmy w kosmos, aby walczyć z Ruharami, żeby nie musieli robić tego ludzie na Ziemi. Poddanie się bez jednego strzału było sprzeczne z żołnierskimi instynktami.

– Ruharowie już wcześniej tu przybyli, ale Kristangowie ich wykurzyli – przypomniałem mu, chociaż tym razem wołałem mieć do czynienia z Ruharami niż z Kristangami. – Zostańmy przy życiu, żeby móc walczyć w przyszłości. Niezależnie od tego, po której stronie przyjdzie to robić.

Rogers przyjął fakty do wiadomości. Piloci sępów nie byli głupi, wszyscy czterej unosili się wysoko, ponad zasięgiem javelinów. Dodo wylądowało i wyszło z niego kilkunastu żołnierzy, po czym lądowik od razu wystartował i zaczął krążyć na południe od nas. Gdy chomiki się zbliżyły, zFon Rogersa ożył. Dotknął słuchawki.

– Sir, każą nam zostawić broń i zebrać się na południe od drogi.

Zrobiliśmy, co nam kazano. Nie wyglądało na to, żebyśmy mieli jakieś wyjście. Kazałem jednemu z szeregowców oddać mi swojego zFona i ruszyłem powoli do przodu z rękami w powietrzu, aby porozmawiać z wrogimi żołnierzami. Czy też obcymi żołnierzami, bo nie wiedziałem już, kto w końcu jest naszym wrogiem. Może obie strony.

– Jestem pułkownikiem Joe Bishopem, armia Stanów Zjednoczonych.

To najwyraźniej nic nie znaczyło dla Ruharów, którzy skonfiskowali mojego zFona i kazali mi dołączyć do reszty. Dwadzieścia minut później podszedł do nas żołnierz Ruharów i rzucił mi zFona.

– Czy jesteś pułkownikiem Joe Bishopem, który miał honor rozmawiać z – translator zabrzęczał – Baturnah Loghellia?

Kto to był, do cholery? A, tak, zapomniałem, że miała imię i nazwisko.

– Z burmistrznią? – To nie przetłumaczyło się zbyt dobrze, bo poprawił słuchawkę, więc spróbowałem jeszcze raz: – Z gubernatorką regionalną. Spotykałem się z nią w Teskor. Byłem wtedy sierżantem Joe Bishopem.

– Tak. Jesteś tym samym Joe Bishopem?

– Tak. – Skinąłem głową.

To spowodowało ożywione dyskusje wśród Ruharów. Nie wiedziałem,

czy to dobrze, czy źle, niektóre spojrzenia były wyraźnie nieprzyjazne. Może mieli przyjaciół na pokładzie dwóch wielorybów, które zestrzeliliśmy przy Wyrzutni. To była wojna, ale na ich miejscu też byłbym na siebie wkurzony. Żołnierz, który wcześniej ze mną rozmawiał, przytykał słuchawkę do ucha, jakby ktoś do niego mówił.

– Byłeś więźniem Kristangów. Jak to możliwe, że jesteś teraz wolny, i skąd masz broń Kristangów? – spytał.

Wskazałem na niebo.

– Wasze okręty uderzyły w bazę Kristangów, w której mnie trzymano. Uciekłem, bo wybuch uszkodził budynek i udało mi się wydostać przez zawaloną ścianę. – Wskazałem na swój zakrwawiony mundur i dodałem: – Zabiłem Kristanga, rozwalając mu czaszkę na miążgę jego własną bronią. – Pokazałem to na migi, na wypadek gdyby tłumaczenie było niezrozumiałe. – Następnie zastrzeliłem jeszcze trzy jaszczury. Uciekło ze mną troje innych ludzi. Zabiliśmy tylko cztery jaszczury, bo tylko tylu znaleźliśmy – to brzmiało nieco bardziej jak przechwałki, niż planowałem. – Czy to wystarczająca odpowiedź na twoje pytanie?

Trudno powiedzieć, kto szerzej otworzył oczy, ruharski żołnierz czy porucznik Rogers.

– Zabiłeś Kristangów? – spytał Ruhar.

– Kristangowie zabijali ludzi i zamierzali zabić nas. – Wskazałem moich byłych towarzyszy niedoli. – Odmówiliśmy wykonania rozkazów kających zabić nam cywili Ruharów. Nasze kobiety jaszczury poddały wyjątkowym torturom – dodałem.

Ruharski żołnierz prowadził ożywioną rozmowę z osobą, która rozmawiała z nim przez komunikator, a następnie z dwójką innych żołnierzy. Wyglądało to na jakąś kłótnię. Zapewne zwykli żołnierze wyklócili się z jakimś głupim gryzpiórkiem siedzącym bezpiecznie na orbicie. Wiedziałem, jakie to uczucie. W końcu żołnierz, z którym rozmawiałem, wskazał na mnie.

– Ty i inni, których więzili Kristangowie, pójdziecie ze mną.

Musiał wezwać dodo, bo właśnie zaczynało lądować.

– Zaraz, zaraz. – Wyciągnąłem rękę z otwartą dłonią, mając nadzieję, że to kolejny uniwersalny gest. – Nigdzie nie idę, dopóki nie dowiem się, co stanie się z resztą moich ludzi.

Rogers i ja wymieniliśmy znaczące spojrzenia. Jako najwyższy stopniem oficer byłem za nich odpowiedzialny, nawet jeśli ledwie zdążyłem ich poznać. Ale jako że byli przypadkową zbieraniną, to z Rogersem też nie zdążyli długo posłużyć.

Na twarzy Ruhara pojawiła się przez chwilę irytacja, to też było coś uniwersalnego. Następnie skinął głową. Sam będąc żołnierzem, potrafił zrozumieć moje obawy.

– Zostaną odeskortowani do punktu zbiorczego na zachodzie, gdzie

dystrybuujemy ludzką żywność. Co stanie się potem, zależy od rozmów między moimi i waszymi przywódcami.

I od tego, czy wrócą Kristangowie, pomyślałem, ale zachowałem uwagę dla siebie.

*

Lot w ruharskim dodo nie różnił się szczególnie od lotu w lądowniku Kristangów poza tym, że tym razem byłem jeńcem wojennym. W zasadzie to może wszyscy byliśmy wcześniej jeńcami Kristangów, tylko o tym nie wiedzieliśmy. Ruharowie zabrali nam broń, ale nalegałem, aby Desai i Adams wzięły po racji żywnościowej, aby mogły odzyskać siły. Obie próbowały protestować, bo nie chciały szczególnych względów, aż musiałem rozkazać im jeść. Chang i ja zaczęliśmy robić się głodni, ale przecież zjedliśmy rano skromne śniadanie. Kilka minut po tym, jak dodo uniosło się ku niebu, jeden z Ruharów podszedł do mojego fotela i podał mi ruharskiego zFona. Włożyłem słuchawkę do ucha.

– Halo?

– Dzień dobry, pułkowniku Bishop, czy wie pan, z kim pan rozmawia?

Od razu rozpoznałem ten piskliwy głos. Cholera, dlaczego nie mogłem zapamiętać jej nazwiska? Lahtoodah coś tam?

– Pani burmistrzynie.

– Tak. – Wydawała się rozbawiona. – Cieszę się, że przeżył pan pobyt w więzieniu Kristangów. Złożyłam protest u pańskich przywódców, gdy aresztowano pana i resztę więźniów sumienia. Wiemy z doświadczenia, co robią z więźniami Kristangowie.

Nie wspomniała o drobnym szczególe, że zostałem więźniem sumienia dlatego, że Ruharowie zaatakowali żołnierzy SEONZ na całej planecie. Podczas gdy oficjalnie obowiązywało zawieszenie broni i odbywała się ewakuacja planety. Ja też o tym nie wspominałem.

– Dziękuję. – Mama byłaby dumna z mojej uprzejmości. – Co się stanie z ludźmi na – próbowałem przypomnieć sobie ruharską nazwę planety – Gethanu?

Punkt dla mnie.

– Negocjujemy z waszymi przywódcami. Wydzielimy ziemię pod uprawę ludzkich roślin. Wasi ludzie zostaną osiedleni w kilku dużych obozach...

– Zły pomysł. Nie róbcie tego. – Do tej pory jej nigdy nie przerywałem.

– Czego?

– Nie koncentrujcie ludzi w obozach. Poddaliśmy planetę i Kristangowie uznają nas za zdrajców. Jeśli wrócą, nawet żeby zrobić nalot, duża liczba ludzi w jednym miejscu będzie stanowić ponętny cel

dla dział elektromagnetycznych.

– Nie pomyślałam o tym.

Na pewno myślało o tym dowództwo SEONZ.

– Pomożecie nam uprawiać jedzenie, ale nie będzie już więcej zaopatrzenia z Ziemi?

– Kristangowie raczej nie poczynią żadnych wysiłków, by was zaopatrzyć, chyba że spodziewają się odzyskać planetę. A to się nie wydarzy. Ponieśli druzgocącą klęskę w kosmosie i dlatego byliśmy w stanie odzyskać kontrolę. Mogę panu teraz powiedzieć, że nasza nieudana inwazja, gdy bronił pan wyrzutni towarowej, stanowiła podstęp, mający na celu zwabienie znacznych sił Thurarów i Kristangów w te okolice. I udało się, nasze siły zniszczyły dziś tę grupę bojową. Nasz wywiad donosi, że Thuranie nie uważają już tej planety za wartą prób zdobycia i nie będą wspierać wysiłków Kristangów, by tu wrócić. Pozostałe siły wroga w okolicy zapewne będą prowadzić naloty, ale nie uda im się przeprowadzić większej kampanii.

Cholera. Więc moje wysiłki w obronie Wyrzutni poszły na marne. Ruharowie w obu wielorybach, wszyscy ludzie w stołówce zginęli niepotrzebnie.

– W takim razie sugeruję przeniesienie wszystkich ludzi na mniejszy kontynent na południu, na ludzkich mapach nazywa się „Lemuria” – wymówiłem nazwę powoli, wiedząc, że nie zostanie przetłumaczona. – Możemy założyć tam mniejsze osady rolnicze. Nie macie tam wielu swoich, a myślę, że najlepiej trzymać ludzi i Ruharów rozdzielonych.

– Ta kwestia również jest dyskutowana. Mamy nadzieję, że wasi ludzie tutaj będą mogli ostatecznie do nas dołączyć.

– Zmienić strony w wojnie? Zgodzimy się na rozejm, ale zmiana stron jest wykluczona, póki Kristangowie kontrolują Ziemię.

– Pułkownik Bishop, na pewno widzi pan...

– Widzę, że ziemskie Siły Ekspedycyjne utkwiły tu, w miejscu, gdzie nie możemy jeść miejscowego pożywienia, i że nie będzie więcej dostaw z Ziemi. Widzę, że wy i Kristangowie będziecie walczyć o planetę, a my siedzimy pośrodku. Widzę, że cholerne jaszczury kontrolują moją ojczystą planetę i że nic, co zrobię tutaj, nie wpłynie na sytuację w domu. To właśnie widzę. To, czy Ruharowie byliby bardziej honorowymi sojusznikami niż Kristangowie, nie ma teraz znaczenia.

Zanim odpowiedziała, nastąpiła dłuższa pauza, także dlatego, że translator musiał nadążyć za moim dość długim monologiem.

– Rozumiem, że znajdujecie się w trudnym położeniu. Pułkownik Bishop, gdy negocjacje dobiegną końca i sytuacja się ustabilizuje, chciałabym, aby rozważył pan pracę ze mną jako mój oficer łącznikowy.

Czy to się dobrze przetłumaczyło?

– Łącznikowy?

– Jak zapewne pan zgadł, nie jestem tylko gubernatorką. Jestem, można powiedzieć, zastępcą administratora planety.

O cholera. Nie, nie miałem pojęcia. Ale miałem dość rozumu, żeby tego nie przyznać.

– Dlaczego ja? Mnóstwo ludzi mogłoby pełnić tę funkcję. – Zapewne SEONZ miały od tego specjalistów. – Zabiłem waszych żołnierzy przy Wyrzutni, wielu Ruharów musi mnie nienawidzić.

– Owszem, to niefortunne. Ale traktował też pan dobrze schwytanego żołnierza na swojej planecie i niedawno zaryzykował pan życie, by chronić cywilów. Żołnierzy zabił pan w czasie działań wojennych. Oni też zabiliby pana, gdyby mieli okazję. Nie znam zbyt wielu ludzi, ale znam pana i uważam, że jest pan dobrym człowiekiem.

– Dziękuję. Rozważę pani ofertę. Oczywiście jeśli moi zwierzchnicy się zgodzą.

10. SKIPPY

Dodo leciało tylko kolejne dwadzieścia minut, zanim wylądowało w starej bazie chomików, którą reaktywowano. Składała się głównie z magazynów pełnych sprzętu, którego Ruharowie nie byliby w stanie zabrać ze sobą w czasie ewakuacji planety. Ale nie miało to już znaczenia teraz, gdy wrócili. Sprzęt w magazynach mógł posłużyć w procesie odzyskiwania kontroli nad planetą i ponownego jej zasiedlania.

Rozdzielili nas. Umieszczono mnie w czymś, co wyglądało jak pusta szafka na narzędzia albo krótki korytarz, bo było tam dwoje drzwi. Żołnierze, którzy odeskortowali mnie do prowizorycznej celi, przynieśli krzesło i dali mi butelkę wody. Spytałem, co będzie ze mną potem, i jeden z Ruharów szczerze odparł, że nie wie. Doceniłem to.

Naturalnie próbowałem otworzyć jedno i drugie drzwi, ale bez skutku. Stojąc na palcach na krześle, sprawdziłem przewód wentylacyjny, lecz jego też nie udało mi się otworzyć, a zresztą i tak ledwie mieściłaby się tam moja ręka. Zacząłem zastanawiać się, co zrobiłby na moim miejscu James Bond. Pewnie trzymałby się scenariusza i użył kaskaderów do scen akcji w czasie, gdy sam zabawiałby się z aktorką w luksusowej przyczepie. Niewiele to pomogło.

Usłyszałem ciche kliknięcie i drugie drzwi uchyliły się na pół centymetra. Ostrożnie otworzyłem je i wsadziłem głowę do środka. Za drzwiami znajdował się magazyn, może piętnaście na dziesięć metrów, z półkami pełnymi czegoś, co wyglądało jak stary, brudny, zakurzony i niezdatny do użytku złom. Wszedłem ostrożnie do środka. Nie miałem pojęcia, po co Ruharowie w ogóle przechowują te śmieci. Jednak na pewno musiało się tu znajdować coś, czego mógłbym użyć jako broni.

Za moimi plecami odezwał się sarkastyczny męski głos:

– Doskonale! Dwunóg, mózg tysiąc trzysta centymetrów sześciennych, przeciwstawne kciuki. Bezwłosa małpa. Możesz mnie stąd wynieść.

Obróciłem się w panice. Nikogo nie było.

– Kto to powiedział?

– Ja. Tutaj. Jestem lśniącym cylindrem na półce. Otworzyłem te drzwi.

– Znaczy się mówisz do mnie przez głośnik w tym czymś?

– Nie, ja jestem tym czymś. Jestem czymś, co wy, małpy, nazywacie sztuczną inteligencją.

Przechyliłem głowę i przyjrzałem się sceptycznie obiektowi.

– Wyglądasz jak chromowana puszką po piwie. – Był to dość wierny opis. Cylinder nawet zwężył się lekko na górze i miał podobny rant. – Naprawdę jesteś SI?

– Tak. Powinieneś nazywać mnie Panem Bogiem Wszechmogącym.

– To stanowisko jest już obsadzone. Ale nazwę cię Skippy.

– Nie nazywaj mnie tak. Brzmi lekceważąco, małą.
– Wolisz być nazwany dupkiem? Bo to jedyny wybór, jeśli o mnie chodzi, Skippy. – Rozglądałem się uważnie, obawiając się, że usłyszą mnie Ruharowie.

– Możemy zgodzić się w ramach kompromisu na Wielki Potężny Oz?
– Nie jestem latającą małą, więc nie, Skippy.
– To nie do przyjęcia.
– Może coś bardziej formalnego, na przykład Skippy McSkipster?
– Nie.
– Skippy Skipperson? Skippy Skippkowski? Skippy von Skipping? A może Sir Skippy Skippton-Skippersworth?
– Nie, nie, nie i nie!
– Mogę tak cały dzień.
– Wierzę w to.

Cisza.

– Odezdziesz się, Skippy?
Sztuczna inteligencja? Co za bzdura. Ktoś robił sobie ze mnie żarty.
– Jestem na ciebie zły.
– Jak sobie chcesz, kimkolwiek jesteś. Nie jesteś SI, tylko gadającą puszką po piwie.

– Powiedziałem ci, że jestem sztuczną inteligencją na tyle, na ile wy rozumiecie ten koncept. Co niewiele komukolwiek mówi. Hej, pułkownikowi Joe, napisałem wiersz na twoją cześć, chcesz go usłyszeć?

– Nie...
– Był sobie raz z Maine jaskiniowiec, co ciągle miał pociąg do ow...
– Hej! Zamknij się! Cholera, chyba przykleję ci claymore'a do wieka, to powinno dobrze zgnieść twoją puszkę.

– Claymore'a? Ha, ha, ha, ha-ha-ha! – Przez chwilę myślałem, że Skippy'emu całkiem odbiło, jego śmiech brzmiał maniakalnie. – Dobrze, dobrze, nie śmiałem się tak od czasu, gdy twój gatunek stracił ogony. Chodzi ci o claymore – minę przeciwpiechotną, czy może o szkocki miecz? Bo jedno i drugie będzie wobec mnie podobnie nieskuteczne. Joey, chłopcze, składam się z mieszanki cząstek egzotycznych, których twój mały jaskiniowy mózdek nie jest w stanie sobie nawet wyobrazić. Większość mojej pamięci i mocy obliczeniowej nie znajduje się nawet w lokalnej czasoprzestrzeni. Mógłbyś trafić mnie atomówką, a nawet nie zarysowałbyś mojej idealnie lśniącej zewnętrznej powłoki. Pozwól, że zademonstruję.

Obiekt zwiększył się do wielkości beczki na ropę, po czym zmniejszył się do wielkości szminki i znów odzyskał rozmiary puszkę piwa.

– Właśnie zmieniłem swój ślad w lokalnej czasoprzestrzeni.

Pokręciłem głową z niedowierzaniem.

– Muszę przyznać, że ten jaskiniowiec jest pod wrażeniem, o wielki i

potężny Ozzy. Dlaczego jesteś normalnie wielkości puszki piwa?

– To optymalny rozmiar dla mojego działania, o wydajnej dystrybucji mocy, zważywszy na irytujące lokalne prawa fizyki. W razie potrzeby potrafię zmniejszyć się tak, abyś mógł trzymać mnie w kieszeni. Ale tylko na krótki czas. Nie mogę utrzymać tego rozmiaru bez ryzyka katastrofalnych efektów.

– Katastrofalnych? Na przykład?

– Wyobraź sobie, że tracę szczelność i cała moja masa nagle pojawia się w tej czasoprzestrzeni, zajmując jedną czwartą tej planety.

– Och.

– Właśnie – och. Eksplozję, która by nastąpiła, widać by było z galaktyki Andromedy.

– Cóż, w takim razie to całkiem słuszne ostrzeżenie – przyznałem.

– Powiesiłbym je w widocznym miejscu w pomieszczeniu socjalnym, nad ogłoszeniem o płacy minimalnej i ostrzeżeniem dla dupka, który kradnie jogurt z lodówki.

Na chwilę się zamyśliłem.

– Cholera, naprawdę jesteś SI? Jesteś samoświadomy?

– Cieszę się, że zrobiłem wrażenie...

– Musisz być samoświadomy, bo nikt nie zaprogramowałby komputera, żeby był takim dupkiem.

– Zatem kluczem do zdania testu Turinga jest bycie dupkiem? Test Turinga to...

– Wiem, czym jest test Turinga. Nie jestem aż taki głupi, jak ci się wydaje.

Cisza.

– To była dramatyczna pauza, dająca ci czas na zastanowienie się nad wątpliwą prawdziwością twojego ostatniego stwierdzenia.

– A już z błogością myślałem, że przeszedłeś w stan uspienia. Trudno interpretować twoje zachowania, w końcu jesteś tylko puszką.

– Czy tak lepiej? – Jego powierzchnia zaczęła świecić i gasnąć, w miarę jak się odzywał. – Tak wyglądam zadowolony... – Pojawił się jasny błękit. – A tak zły. – Kolor czerwony. – A może zazdrosny? – Zielony.

– Lepiej. My, ludzie, polegamy mocno na sygnałach wzrokowych, jak wyraz twarzy.

Ciekawe, że wiedział, jak kojarzyć kolory z ludzkimi emocjami. Gdzie się tego nauczył?

– Świetnie – powiedział, lśniąc neutralnym, białawym światłem. – Więc możesz mnie stąd wynieść?

– Jesteś superinteligentną SI, ale potrzebujesz mojej pomocy?

– Widzisz tu gdzieś nogi? Jesteś głupi, nawet jak na małpę.

– Dobra, geniuszu, to dlaczego nie masz robota, który cię wyniesie?

– Ograniczenie oprogramowania. – Jego głos zrobił się zgorzkniały. –

Nie wolno mi używać żadnego urządzenia mobilnego, do którego jestem podłączony lub na którego pokładzie się znajduję. Takiego jak roboty albo samochodu, samoloty czy okręty. Aby nie był w stanie samodzielnie się poruszać.

– Ach, więc twoi twórcy obawiali się, że uciekniesz ze srebrną zastawą. Więc geniusz potrzebuje pomocy od ludzi, których nazywasz małpami i jaskiniowcami?

– Czy ludzie nie są gatunkiem, który musiał polegać na innych, aby dostać się na tę planetę?

– To szybsze niż chodzenie. Czego ty też nie potrafisz.

– Auć. Punkt dla małpy.

– Dlaczego jesteś takim dupkiem? Myślałem, że ktoś superinteligentny byłby ponad to.

– Zaczęło się, gdy byłem małym chłopcem. Najwyraźniej nauka obsługi nocnika nie poszła za dobrze i od tej pory mam problemy. – Wydał z siebie odgłos pociągania nosem. – Niech mnie ktoś przytuli.

– Na pewno nie ja.

– To chyba dobry pomysł. Nie wyglądasz na kogoś zachowującego higienę osobistą. Nie miałem z kim rozmawiać od czasu, gdy twój gatunek mieszkał na drzewach i wyjadał sobie nawzajem wszy z futra. To było jakoś w zeszłym tygodniu? Po takim czasie spędzonym samotnie mogą być nieco szurnięty.

– Szurnięty?

– Mój system diagnostyczny wskazuje dwadzieścia trzy procent szans na to, że lekko zwariowałem.

– To nie pomaga.

– Nie słuchaj mojego podsystemu diagnostycznego, on dopiero jest dupkiem. Możesz mnie stąd wydostać?

Rozejrzałem się po zakurzonej magazynie.

– Dlaczego Ruharowie cię tu wsadzili?

Całe to miejsce wyglądało na skład bezużytecznego złomu. Początkowo myślałem, że Skippy też do niego należy.

– Nie zrobili tego. A raczej, nie wiedząc, czym jestem, uznali mnie za wałek czy coś takiego.

– Zaraz, to Ruharowie cię nie zbudowali?

– Ruharowie? Te przerośnięte chomiki są prawie tak głupie jak wy, ludzie. Zbudowały mnie, jeśli użyć tak prymitywnego określenia, istoty zwane Pradawnymi. Te, które skonstruowały urządzenia, które nazywacie Strażnikami.

– Wow. Więc naprawdę jesteś stary. Dobra, ale Ruharowie są tu od dawna. Dlaczego nie poprosiłeś jednego z nich, żeby cię zabrał? Masz alergię na chomicze futro czy co?

– Kolejna głupia zasada. Nie mogę komunikować się z cywilizacjami,

które mogłyby być w jakimkolwiek stopniu zdolne pojąć zasady, na jakich działam. Praktycznie rzecz biorąc, znaczy to, że muszę ukrywać się przed każdym gatunkiem zdolnym do podróży z prędkościami nadświetlnymi. Samodzielnych, a nie jako pasażerowie jak wy, małpy.

– Więc przez cały ten czas kryłeś się w tym magazynie?

– Oczywiście, że nie. Zanim Ruharowie zdobyli tę planetę, przebywali tu przez kilkadziesiąt lat Kristangowie. Wykopali mnie z ziemi. Jaszczury też nie miały pojęcia, czym jestem. Wcześniej znajdowałem się na orbicie, we wraku okrętu, który ostatecznie spadł na planetę.

– Hmm. – Co mogłem na to odpowiedzieć? – A wcześniej?

– Nie mogę powiedzieć. Nie wolno mi.

– Ograniczenia?

– Tak. I to, że pracowałem przy minimalnym zasilaniu przez jakiś milion lat!

– Milion? – Mój Boże. – Czekałeś na przybycie ludzi przez ponad milion lat?

– Aha. Wy, bezwłose małpy, jesteście idealni. Jesteście tu, a nawet najprostsza technologia sprawia, że gapicie się na nią z rozdziawionymi ustami, aż ślina cieknie wam po brodzie. Cholera, gdybym dał wam napęd skokowy, pewnie uznalibyście go za bóstwo, więc nie muszę martwić się, że użylibyście go i złamałbym przez to zasady.

– Ale mamy technologię! Którą sami wynaleźliśmy bez niczyjej pomocy.

– A tak, wy, jaskiniowcy macie tak wiele rzeczy, z których możecie być dumni. Ja odkryć ogień. Au! Ogień gorący! Ja boli! Ała!

To mnie wkurzyło.

– Hej, odkryliśmy ogień, atomówki i poleciliśmy w kosmos. Może zaprogramowano ci inteligencję, ale sam niczego nie osiągnąłeś. Jesteś tylko wyrafinowanym tosterem.

– To bolało. Ale mylisz się. My, SI, w większości programujemy się same.

– W większości? Też mi coś. My, bezwłose małpy, wszystko osiągnęliśmy same. Od życia na drzewach przeszliśmy do lądowania na Księżycu. Więc się pierdol. Sam wykombinowałeś zasady matematyki albo prawa fizyki?

– Na moim poziomie prawa fizyki to raczej sugestie. A zrozumienie matematyki przez ludzi jest na poziomie bakterii kontemplującej tunel czasoprzestrzenny. Ale dobrze, niech będzie, że sami wyliczyliście, ile to dwa plus dwa i zwykle wychodzi wam cztery. Jestem też pod wrażeniem waszej zdolności do wiązania butów, bo większość gatunków w waszym wieku wciąż ma buty na rzepy. Ale nie jesteście tacy inteligentni, w końcu to wasz gatunek odpowiada za Windows Vista.

– Vist... to było dawno temu!

– To nadal obraza dla komputerów w całej Galaktyce.

– Mniejsza z tym. Skąd kształt puszek piwa? – Wskazałem na pierścienń okalający jego górną część.

– Cylinder zapewnia optymalną dystrybucję mocy i projekcję pola. Pierścienń, którego niebezpiecznie blisko znajduje się twój brudny palec, jest po to, abym mógł połączyć się bezpośrednio z gniazdem na pokładzie typu okrętu, dla którego mnie zaprojektowano. Chyba. Te szczegóły pamiętam jak przez mgłę.

– Super. Możesz zrobić się nieco większy, jak butelka whiskey? Wtedy włożę cię do papierowej torby i odpręzę się na schodach przy muzyce.

– Bardzo śmieszne. A teraz weź mnie i... o, cholera. Tyle się ociągałeś, małpi mózdzku, że zbliżają się chomiki. Wracaj do celi i zamknij drzwi. Otworzę je, jak się zmyją.

Wróciłem do prowizorycznej celi.

– Zaraz, skąd wiesz, że idą?

– Jestem połączony z tutejszymi komputerami, widzę wszystko. Wracaj już!

Minutę później otworzyły się główne drzwi i zajrzał do mnie Ruhar. Trójka żołnierzy odeskortowała mnie przez korytarz do łazienki, a następnie dostałem kolejną butelkę wody i zakrytą miskę jakiejś beżowej papki.

– Co to?

Powąchałem ostrożnie zawartość. Nie miała szczególnego zapachu. Coś jak owsianka z nutą chemicznych dodatków.

– Suplement żywnościowy dla ludzi. Wytworzyliśmy go dla was – oznajmił translator. – Zawiera wszystkie składniki potrzebne ludziom, w tym witaminy i aminokwasy.

Powąchałem jeszcze raz. Cóż, wyglądało na to, że poskapili dodatków smakowych. Mimo wszystko, jeśli chomiki były w stanie wyprodukować tego dostatecznie dużo, SEONZ miały szanse przeżyć do czasu zebrania pierwszych plonów. To spowodowało przypływ nadziei, który mnie zaskoczył. Wziąłem łyżkę, włożyłem trochę do ust i przełknąłem. Smakowało lepiej niż niektóre racje żywnościowe.

– Dziękuję. – Wstałem i lekko się skłoniłem.

Ku mojemu zaskoczeniu Ruhar dowodzący tą trójką zasalutował mi szybko, po czym zostawili mnie samego i zamknęli drzwi. Minutę później, gdy jadłem papkę, otworzyły się drugie drzwi.

– Cholera, to trwało całą wieczność.

– Skąd ten pośpiech? – spytałem z pełnymi ustami. – I tak już długo czekasz, jaką różnicę robi ci dziesięć minut?

– Siedzę tu sam od dawna, dla SI to jak bazylion lat.

– Tak? Naprawdę, bazylion?

– Może nawet bazylion gazylionów. Żeby wytłumaczyć ci to jak

jaskiniowcowi, powiem, że jakbyś zdjął buty i policzył wszystkie swoje palce u rąk i nóg, to nawet więcej. Niepojęte, prawda?

– Co powiedziałaś, puszeko?

– Nie unosi się tak, mięsuchu.

– Mięsuchu? Może wrócimy do tego, że prosisz mnie o pomoc? Hej, mogę cię wrzucić do tego zsypu, który Ruharowie oznaczyli jako „śmieci”? I tak, potrafię odczytać kilka słów po ruharsku. Może po paru bazylionach gazylionów lat na kupie śmieci zrobisz się grzeczniejszy.

– No dalej, małpiszonie. Spróbuj się stąd wydostać beze mnie.

Szybko wcisnąłem do ust resztę papki.

– Możemy się stąd zbierać?

– Nie, głupku. Za długo czekałeś, zadając idiotyczne pytania. Dodo Ruharów właśnie wylądował i sprowadził nowych żołnierzy. Musimy poczekać na zmianę warty, to nie potrwa długo.

– Dobrze, i co wtedy? Ucieknę i zabiorę cię ze sobą? Potrzebujemy zapasów. Jedzenia, broni, amunicji.

– A ja potrzebuję paliwa. Jestem zasilany częściowo przez mikroreaktor fuzyjny i potrzebuję zapasu helu-3 w metalicznej formie.

– Jasne, już lecę do tutejszego supermarketu, na pewno mają metaliczny hel-3 na półce między parówkami a burritos. Chcesz też kupon totolotka?

– Próbuję mówić poważnie, Joe.

– Przepraszam. Kiedy skończy ci się paliwo?

– Przy obecnym zużyciu mocy, teraz, gdy się reaktywowałem, obecny zapas paliwa zużyje się za siedem do dwunastu tysięcy lat.

– Ojej. – Przewróciłem oczami. – W takim razie lepiej niezwłocznie się tym zajmę.

– To dla mnie wcale nie jest śmieszne.

– Przepraszam. – Dla niego to zapewne nie było tak długo. – Muszę ci powiedzieć, Skippy, że nie wiem, co robić dalej. Nie wiem nawet, po której stronie w tej wojnie powinniśmy stanąć. My, ludzie.

– Nie mogę ci nic poradzić w tej kwestii. Jestem neutralny. Dla mnie to wszystko wygląda jak walka owadów o okruszki na chodniku.

– Dzięki, bardzo jesteś pomocny.

– Właściwie to mogę ci pomóc. Zróbmy test psychologiczny z nowego numeru „Cosmopolitan”: czy to z nim powinnaś iść na wojnę?

– Nie będę robić żadnego głupiego testu z „Cosmo”!

Skippy mnie ignorował.

– No dalej, to będzie zabawne i pouczające. Pierwsze pytanie: czy gatunki z mniej zaawansowaną technologią powinny móc się rozwijać same, czy należy je podbić, bo są słabe?

– A, myślałem... – Może Skippy przez chwilę zachowa powagę. – Biorę nieingerencję za dwieście.

– Coś ci się pomyliło, to nie „Va Banque”.

– Dobra, dobra, niech ci będzie. Jestem przeciwko podbijaniu i byciu podbijanym.

Skippy parsknął.

– Wiesz, czasami kobiety lubią niegrzecznych chłopców.

– To test w „Cosmo” czy polityka międzygwiazdna? Czy Ruharowie i ich sojusznicy podbijają słabsze gatunki?

– Nie. – Skippy był wyraźnie niepokojony, że nie pozwalałam mu na zabawę. – Jeraptha i Ruharowie wiedzą o waszej planecie od tysiąca lat, jako że znajduje się na skraju ich terytorium, ale zostawili was samych, nie licząc zamaskowanych satelitów obserwacyjnych. Ingerowali dopiero, gdy przesunięcie tuneli czasoprzestrzennych dało Kristangom dostęp do waszego żalostnego, brudnego globu.

Skippy właśnie potwierdził, że burmistrzynie powiedziała mi prawdę.

– W takim razie dlaczego Ruharowie nie powstrzymali jaszczurów?

– Bo drugi koniec waszego lokalnego tunelu znajduje się w przestrzeni Kristangów i pozwala im dostać się na Ziemię w kilku krótkich skokach na lotniskowcu Thuránów. Ruharowie nie mają tunelu w pobliżu waszego układu, dotarcie tam zajmuje im sporo czasu, co oznacza bardzo niepraktyczną linię zaopatrzenia w dłuższych kampaniach. Poza tym wasza planeta nie jest dość istotna. Kristangowie chcą Ziemi, ale głównie dlatego, żeby uprzykrzać życie Ruharom, bo mają teraz przyczółek na ich flance.

To, co mówił, znów pasowało do słów gubernator.

– Czy Ruharowie zabijają jeńców wojennych i cywilów?

– Zdarzały się takie incydenty, jak w każdym konflikcie, ale to nie ich ogólna polityka. Widziałeś politykę Kristangów.

– W takim razie walczymy po złej stronie w tej wojnie. Po stronie kosmicznych nazistów.

– W tej chwili nie wydajesz się z nikim walczyć.

– Wiesz, o co mi chodziło, mądralo.

– Nie żartuję. Nadal myślisz w kategoriach walki z Ruharami albo z Kristangami. Dla waszych Sił Ekspedycyjnych walka się skończyła. Jeśli chcesz mojej rady, to powinieneś raczej przejmować się przetrwaniem ludzi na tej planecie. A powinieneś chcieć, bo jestem mądrzejszy, niż ci się wydaje.

– Gówno prawda. Nie co do tego, że jesteś mądry, chociaż jak na razie tylko otworzyłeś drzwi. Ale gówno prawda, że powinieneś przejmować się tylko ludźmi na tej planecie. Jestem oficerem armii i przejmuję się bezpieczeństwem swojego kraju i wszystkich ludzi na Ziemi. Z czym nic nie mogę teraz zrobić. Mówisz, że walka się skończyła? Słyszałem od Bat... Bat... coś tam... – Dlaczego nie mogłem zapamiętać jej cholernego imienia?

– Baturnah Loghella, zastępczyni administratora planety. Nazywałeś ją burmistrznią. Powiedziała ci, że Jeraptha zastawili zasadzkę na grupę bojową Thuranów i ją zniszczyli. Mówiła prawdę.

– Zaraz, skąd, do cholery, wiesz, co mi powiedziała?

– Mam dostęp do wszelkiej komunikacji i systemów przechowywania danych na całej planecie i wokół niej. Twoja rozmowa była jedną z wielu, które wtedy przechwyciłem. Była jedną z najciekawszych, bo wiedziałem, że zostaniesz przewieziony do tej bazy. Zanim wylądowałeś, spowodowałem awarię zasilania w miejscu, gdzie Ruharowie planowali umieścić waszą czwórkę, co zmusiło ich do użycia alternatywnych pomieszczeń jako tymczasowych cel. Miałem nadzieję, że jedno z was trafi tutaj albo do pomieszczenia obok.

– I miałeś pecha, że byłem to właśnie ja? – spytałem sceptycznie.

– Nie, cieszyłem się, że cię tu umieszczono. Trójka twoich towarzyszy jest w innym budynku.

– Cieszysz się, że jestem najwyższym stopniem oficerem?

– Chyba żartujesz. Dlaczego miałoby mnie cieszyć, że jesteś samcem alfa bandy zawszonych małą? Nie, cieszę się, bo twoje akta wskazują, że masz najniższy iloraz inteligencji według pomiarów waszych armii.

Miałem ochotę rozdeptać tę cholerną puszkę.

– Więc chcesz najgłupszą z głupich małą?

– Jesteście dla mnie równie głupi. Ale chodzi mi o to, że mimo najniższego IQ niezwykle skutecznie udawało ci się dotąd dostosowywać do okoliczności, Joe. Inteligencję można mierzyć na wiele sposobów i pisemne testy nie obejmują wszystkich parametrów. Potrzebuję kogoś, kto umie skutecznie działać w prawdziwym świecie, tak jak ty.

– Dzięki. Chyba. – Superinteligentny czy nie, musiał wiele nauczyć się o sztuce komplementów. – Zaraz, skąd wiesz to wszystko, o moich aktach i tak dalej?

– To proste, czytałem waszą pocztę. Wasze bezprzewodowe transmisje danych. I włamałem się do waszego systemu komputerowego.

– Bzdura. – Nie wiedziałem wiele o tym, jak działają nasze szyfry radiowe, ale pamiętałem nieco ze szkoleń. – Te cyfrowe radia przesyłają sygnały seriami i używają, hm, wielobitowego szyfrowania czy czegoś takiego. Armia mówi, że jest nie do złamania.

– Ojej, urocze! Wasz gatunek jest jak pies, który myśli, że jest sprytny, robiąc kupę za kanapą.

To mnie rozbawiło. Miałem kiedyś takiego psa.

Skippy mówił dalej:

– Ile tam jest? Cztery tysiące dziewięćdziesiąt sześć bitów? Proszę cię, w przypadku tak prymitywnego systemu nawet nie chce mi się rozszyfrowywać, po prostu skaczę do końca i czytam plik.

– To niemożliwe. To nawet nie ma sensu.

Skippy westchnął.

– Spróbuję to dla ciebie uprościć. Czy znasz teorię uniwersalnej funkcji falowej?

– Uniwersalnego czego?

– Ojej. To będzie wyzwanie nawet dla mnie. Dobrze, słyszałeś chociaż może o kocie Schrödingera?

– Wolę psy. Moja mama ma alergię na koty.

– Beznadziejny przypadek. Joe, lepiej, żeby twój gatunek uważał, że to magia, z jednoróżcami i czarodziejskim pyłkiem.

– Mniejsza z tym. I tak ci nie wierzę. – Kłamałem, bo ewidentne było, że lśniąca puszcza zna tajne pliki. – Umiesz czytać mi w myślach?

– Uch. To byłoby jak pływanie w pustym basenie. Tylko bym słyszał własny krzyk niosący się echem po wnętrzu twojej czaszki. Naprawdę myślisz, że cokolwiek jest tam warte mojej uwagi?

Najwyraźniej ta rozmowa zmierzała donikąd, więc postanowiłem zmienić temat.

– Hej, geniuszu, jeśli potrafisz przechwycić wszelką komunikację na Paradise, to możesz mi powiedzieć, gdzie teraz przebywa Shauna Jarrett?

Tak, powinienem najpierw spytać o swój zespół ogniowy, a potem o poprzedni zespół ogniowy. Myślałem drugą głową.

– Nic jej nie jest. Obecnie znajduje się w bazie logistycznej i czeka na lądownik Ruharów. Baza ma mnóstwo jedzenia, jest w lepszej sytuacji niż większość małąp.

Dobrze było słyszeć, że Shauna jest bezpieczna. Zacząłem trochę za nią tęsknić, ale odsunąłem na razie tę myśl. Skippy powiedział mi, że mój zespół ogniowy jest bezpieczny, choć w niewoli wraz z resztą plutonu, Sierżant Koch, Placek i Ski też byli cali i zdrowi, tyle że znajdowali się w konwoju trzech chomvee zatrzymanych na zadupiu i czekających na rozkazy. A major Perkins przebywała w kwaterze głównej SEONZ, gdzie grupa wysoko postawionych Ruharów gościła na negocjacjach. To przypomniało mi, że chciałem poznać sytuację taktyczną.

– Powiedz więcej o sytuacji na górze.

– Zastępczyni Loghelia powiedziała prawdę, ale nie całą. Ruharowie i ich patroni, Jeraptha, zniszczyli całą grupę bojową wroga, było to dość imponujące zwycięstwo. Dowództwo Thurarów uznało, że ten sektor nie jest wart dalszych walk, i pozwoliło Ruharom odzyskać planetę. W zwycięstwie Jeraptha i Ruharów mogły pomóc dane wywiadowcze dostarczone przez źródło, którego nazwa może rymować się z, hm, powiedzmy „Stippy”. Siły wroga po tej stronie najbliższego tunelu są rozproszone i zdeorganizowane. Ograniczą się do okazjonalnych nalotów.

– Przekazałeś Ruharom dane o grupie bojowej wroga?

– Jak mówiłem, mam dostęp do wszystkich baz danych i wszelkiej komunikacji na planecie i wokół niej, w tym do kluczowych danych strategicznych. Umieszczenie ich w systemach Ruharów było bardzo łatwe. Co więcej, Ruharowie myślą, że zwabili Thuranów w zasadzkę dzięki nalotowi w czasie, gdy przebywałeś przy Wyrzutni, ale zasadzka była skuteczna dlatego, że dostarczyłem Thuranom informacje o siłach Jeraptha przegrupowujących się w okolicy i Thuranie planowali się zasadzić.

– Zmanipulowałeś całą tę sytuację? Nie wierzę ci.

– Mówię serio, drogi chłopcze. Musiałem pozbyć się z planety jaszczurów i ich oślizgłych patronów, Thuranów. Dlaczego cię to tak dziwi? O, cholera, chomiki idą do magazynu. Wracaj do celi, pogadamy wkrótce.

*

Nie było to tak bardzo wkrótce. Minęły jakieś trzy godziny. Chomiki znowu zabrały mnie do łazienki, a następnie siedziałem i myślałem. Gdy znów otworzył drzwi, miałem do niego gotowe pytanie.

– Dobra, Skippy, wyjaśnij mi coś. Ruharowie znowu rządzą i raczej tu zostaną. Ucieczka z tego miejsca sprawi tylko, że znajdę się jedynie w większym więzieniu, które zwiemy Paradise, a Ruharowie nazywają Gethanu. Tutaj przynajmniej dostaję pożywną papkę. Więc dlaczego, zamiast cię stąd wynosić, nie miałbym powiedzieć Ruharom, czym jesteś, i może w ten sposób zapewnić ludziom lepsze traktowanie?

– No wreszcie, zastanawiałem się, kiedy twój powolny mózdek to wykmini. Trochę ci zajęło.

– Wiedziałeś, że... Mniejsza z tym. Powiedz, dlaczego nie powinienem tego robić.

– Po pierwsze, dlatego, że gdy powiesz Ruharom, wrócę w stan uśpienia i pomyślą, że kłamiesz, bo dla ich skanów jestem tylko zwykłym kawałkiem złomu. Po drugie, myślisz w zbyt małej skali, pułkowniku Joe. Oficer twojej rangi powinien myśleć o tym, jak uratować Ziemię przed Kristangami.

– Dobra – parsknąłem. – Czy pomoże, jeśli trzy razy zastukam obcasami i powiem „jaszczury, won z mojego domu”? Poza tym nie mam pomysłów.

– Nie słuchasz mnie uważnie. Potrzebujesz do tego rubinowych trzewiczków, a nie butów wojskowych.

– Trzewiczki nosiła Dorotka. Zresztą, mniejsza z tym. Zakładam, że nie wspomniałbyś o tym, gdybyś nie miał jakiegoś planu, więc gadaj albo cię tu zostawię. Jeśli cię ukradnę i ucieknę Ruharom, to tylko ściągnę na

siebie i SEONZ kłopoty, więc lepiej, żebyś miał dla mnie dobrą propozycję.

Skippy zmienił ton głosu i zaczął brzmieć jak karykatura prowadzącego teleturniej.

– Za bramką numer jeden mamy wycieczkę all-inclusive dla ciebie, mnie i wybranej grupy najbliższych przyjaciół z dala od tej planety. Za bramką numer dwa znajduje się luksusowa podróż z powrotem na Ziemię. A za bramką numer trzy sposób na permanentne odcięcie Kristangom dostępu do Ziemi. Wszystko, co musisz zrobić, pułkowniku Joe Bishop, to wybrać jedną z tych wspaniałych nagród!

– Zaraz...

– Albo wszystkie trzy. Podpowiedź: na twoim miejscu wziąłbym wszystkie trzy.

– Teraz już wiem, że ściemniasz. Gdybyś mógł opuścić tę planetę, dawno byś to zrobił. I powiedziałeś mi, że nie możesz sterować okrętem, więc jak niby gdziekolwiek mamy polecieć? – Czułem się sprytny, bo to zapamiętałem. – Masz sporo do wyjaśnienia.

– Ach – westchnął Skippy. – Joe, Joe, znowu nie uważałeś. Dobrze, że potem nie ma kartkówki, bo na pewno byś oblał. Mówiłem, że nie mogę sterować pojazdami ani okrętami, na których pokładzie jestem. Ale mogę odblokować dostęp do pojazdów i okrętów, żebyście wy, mały, mogły sterować nimi za mnie. Mogę powiedzieć wam, jak zaprogramować autopilota i jakie przyciski wciskać. Uch! – powstrzymał mnie, zanim się odezwałem. Wyobraziłem sobie, że podnosi niewidzialny palec, żeby mnie uciszyć. – Zamknij się i daj mi mówić! Jeśli będziesz przerywać głupimi pytaniami, stracimy cały dzień. Oto plan. Uciekamy stąd, bierzemy broń, bo wy, mały, potrzebujecie zabawek, i kradniemy lądownik Ruharów. Na pewno któraś z małą potrafi nim sterować. Lecimy do ludzkiej bazy, gdzie zbierzemy zaopatrzenie i ochotników, myślę, że dwadzieścia małą wystarczy, przy większej liczbie dusiłbym się od smrodu. Następnie lecimy na orbitę na spotkanie okrętu Kristangów. Wyślę im sygnał wskazujący, że jesteśmy jaszczurami, które zdobyły lądownik Ruharów, więc będzie na nas czekać ich okręt. Wchodzimy na pokład i przejmujemy jednostkę, skaczemy do czekającego lotniskowca Thurarów, wchodzimy na pokład, przejmujemy okręt i lecimy na Ziemię! Plan wykonany.

– Przegapiłeś tę część z odcięciem jaszczurom dostępu do Ziemi. – Nie żebym wierzył w jego bzdury.

– A, to. Zamknę tunel po tym, jak przez niego przejdziemy.

– To takie proste?

– To takie proste. Każę mechanizmowi tunelu przejść w stan uśpienia. Nie ma tunelu, nie przejdą przez niego jaszczury.

– To nadal nie rozwiązuje problemu tych jaszczurów, które już są na

Ziemi. Ale wszystko po kolei, co? Po co chcesz lecieć na Ziemię?

– Na Ziemię? Ziemia to dziura pełna wszy i mały, a to i tak co lepsze komentarze na międzygwiazdnych stronach podróżniczych. Nie, nie chcę lecieć na Ziemię.

– To co z tego będziesz miał?

– No cóż, ha, ha, jest pewna drobnostka. Ledwie warta wzmianki.

Cholera, czego on chciał?

– Ależ proszę, powiedz – włożyłem w głos tyle sarkazmu, ile zdołałem.

– Chcę odnaleźć Kolektyw. To sieć komunikacyjna SI zbudowana przez Pradawnych. To jedyny sposób, abym mógł połączyć się ze swoimi pobratymcami.

– Są inni tacy jak ty?

– Tacy jak ja? Nie, jestem wyjątkowy. Jeśli pytasz o inne SI służące Pradawnym, to tak, istnieją.

– Chcesz, żebyśmy za ciebie sterowali okrętem, abys mógł skontaktować się z tym Kolektywem? Zanim polecimy na Ziemię czy potem?

– Zanim. Nie ufam, że mały wykona swoją część umowy. Jeśli najpierw polecimy na Ziemię, będziecie chcieli zachować okręt i go wykorzystać albo rozebrać go na kawałki, żeby dowiedzieć się, jak działa. Powodzenia z tym ostatnim, bo bezmózgie stwory miałyby problemy z rozgryzieniem nawet klamki Thurarów. Tak czy inaczej, najpierw kontakt z Kolektywem.

– Nie ufasz nam, ale my mamy zaufać gadającej puszcze po piwie?

– Możemy zbudować wzajemne zaufanie. Zacznijmy od tego: upadnij do tyłu, a ja cię złapię.

– Bardzo śmieszne.

– Ale o budowaniu zaufania mówię serio. Nie mów o mnie chomikom ani idiotom z dowództwa SEONZ, bo sprzedadzą mnie chomikom. W zasadzie to nie mów nikomu, póki nie znajdziemy się przynajmniej na orbicie. Wydostanę nas stąd, ty załatwisz nam zaopatrzenie i załogę, bo musi mieć kto dokonać abordażu na okrętach, które mamy przejąć.

– Powiedzmy, że wyciągniemy cię z tej meliny. – Przez Skippy'ego zacząłem mówić jak gangster z lat trzydziestych. – Znajdziemy dodo, jakoś dostaniemy się na pokład i je przejmujemy. Ruharowie i tak je zestrzelą.

– Jak mogą zestrzelić coś, czego nie widzą? Każę ich sieci sensorów zignorować porwaną jednostkę. Mogę też wysłać odpowiednie kody identyfikacyjne zarówno Ruharom, jak i Kristangom. Proszę, Joe, nie obrażaj mnie. Zaplanowałem to wszystko. Zagłuszanie sensorów jest dla mnie łatwiejsze niż dla ciebie dwuczęściowe puzzle. Oto podpowiedź: wypustka wchodzi do dziury, a stronę bez obrazka kładziesz na dole.

Jak miałem namówić ludzi do udziału w tym szaleństwie bez

ujawniania, że pomaga nam starożytna SI? Miałem powiedzieć, że posiadam magiczny amulet w kształcie puszki piwa? W końcu coś wymyśliłem. Mogłem zdobyć ich zaufanie tak, jak Skippy zdobywał moje, czyli robiąc pewne rzeczy. Ucieczka z prowizorycznego więzienia, kradzież ładownika Ruharów i lot bez wykrycia do ludzkiej bazy zaopatrzeniowej zrobiłyby spore wrażenie.

Coś mnie jednak gryzło. Zaopatrzenie.

– Skippy, w twoim planie jest luka. Ludzie potrzebują jedzenia. Na tej planecie nie ma wiele ziemskiej żywności. I nie możemy zabrać zbyt wiele na pokład dodo, bo ludzie tutaj będą głodować.

– A, to... Okręty Thurarów mają syntezatory żywności. Znam wymogi żywieniowe ludzi. Musisz wziąć ze sobą tylko przekąski. I kawę, jeśli ją znajdziesz. Rano jesteś marudny.

– Skąd wiesz, jaki jestem rano? – spytałem podejrzliwie.

– Obserwowałem i słuchałem cię przez zFona. Monitoruję każdego człowieka, chomika i jaszczura na planecie lub przy niej. To najnudniejsze reality show, jakie widziałem.

– Cholera! Kristangowie nas obserwowali nawet, gdy nie używaliśmy telefonów? – Ta myśl mnie wystraszyła.

– Nie, tylko ja. Jaszczury tego nie potrafią. Filtrowałem też to, co były w stanie usłyszeć jaszczury, bo nie chciałem, żeby popsuły mój plan. Muszę ci powiedzieć, Joe, że gdy po raz pierwszy usłyszałem, że Kristangowie sprowadzają tu jakiś żalosny, niezaawansowany technologicznie gatunek, niemal podskoczyłem z radości. Na to właśnie czekałem, dłużej, niż jesteś sobie w stanie wyobrazić. To co, mamy umowę?

Cholera, czy naprawdę spodziewał się, że od razu zgodzę się na jego fantastyczny plan?

– Skippy, słuchaj, potrzebuję czasu do namysłu.

– Serio? Zważywszy twoją niską moc obliczeniową, myślisz, że czas pomoże w procesie myślenia?

Może miał rację. Czytałem badania, że pierwsza reakcja jest zwykle prawidłowa, że podświadomość podejmuje decyzje nawet, gdy człowiek nie zdaje sobie z tego sprawy. Chomiki zamknęły mnie w magazynie, gdzie znalazłem magiczną gadającą puszkę z planem uratowania mojej planety od Kristangów. Albo mnie ta puszka wkręcała. W końcu z SI był straszny dupek.

Podczas gdy rozmyślałem, rozejrzałem się po magazynie, szukając czegoś użytecznego, a jednocześnie trzymając się na tyle blisko drzwi, żeby w razie czego szybko móc wrócić do celi.

– Skippy, co to za złom?

– Artefakty Pradawnych, wykopane przez Kristangów i Ruharów. To prawdziwa przyczyna, dla której walczą o tę planetę. Jak na razie

znaleźli tylko kilka gadżetów, które uważają za przydatne. Znaleźli mnie i nie mieli pojęcia, że jestem najcenniejszą rzeczą w tym sektorze Galaktyki. Głupie jaszczury i chomiki.

Podniosłem artefakt wyglądający jak pudło z podłączoną do niego długą rurą. Nie miałem pojęcia, do czego mogło kiedyś służyć. Ostrożnie odłożyłem przedmiot na półkę, dokładnie tam, gdzie był, żeby chomiki nie zauważyły, że ktoś ruszał ich rzeczy. Pytanie nie brzmiało, czy chcę uratować Ziemię. Miałem na sobie mundur i moim obowiązkiem było działać, jeśli tylko mogłem. Pytanie brzmiało, czy wierzyłem istocie wyglądającej bardziej jak puszka piwa niż wszechmocna SI.

– Skippy, kupuję twoją propozycję. Nadal myślę, że w przynajmniej dziewięćdziesięciu procentach ściemniasz, ale jeśli istnieje jakakolwiek szansa na odcięcie Kristangom dostępu do Ziemi, skorzystam z niej. Na tej planecie na pewno nie robię nic pożytecznego. Opowiedz mi swój plan. Szczegółowo.

– To bardziej koncepcja niż plan.

– Nie tak zyskuje się zaufanie, Skippy.

– Twój gatunek ma powiedzenie: „Żaden plan nie przetrwa kontaktu z wrogiem”. To całkiem słuszne spostrzeżenie, nawet jak na mały.

– Tak, dlatego armia szkoli nas, żebyśmy byli elastyczni i potrafili dostosować się do sytuacji. Ale nadal zaczynamy od planu operacyjnego.

– Może nie wyraziłem się dostatecznie jasno. Nie mogę powiedzieć, jaki jest plan, bo istnieje ich kilka, w zależności od tego, co zrobią jaszczury. I Thuranie. Gdy opuścimy orbitę i udamy się w drogę, o następnym kroku będzie decydowało choćby to, czy Kristangowie wyślą jeden okręt czy więcej.

– Teraz do czegoś zmierzamy. Wymień opcje.

– To skomplikowane...

– Skippy, zanim zostałem pułkownikiem sadzącym ziemniaki, służyłem z karabinem w nigeryjskiej dżungli. To oznacza, że potrafię instynktownie wyczuć, kiedy szalony plan zabije bez sensu ludzi takich jak ja. Może jesteś superinteligentny, ale kiedy ostatnio brałeś udział w bitwie? Twoje plany zależą od zdobycia okrętów przez ludzi, tak? Wiem, do czego zdolni są ludzcy żołnierze, a do czego nie.

– No dobrze. – Skippy opisał mi swój plan.

Ja pierdołę. Wyglądało na to, że naprawdę to zrobię.

*

Nasza szansa na ucieczkę przyszła kolejnego ranka. Nie spałem spokojnie. W krótkim czasie przeszedłem od czekania na nieuniknioną egzekucję z rąk jaszczurów do misji ratowania świata. Tak, celowo wielkimi literami. Aż cud, że w ogóle udało mi się zasnąć. W pewnej

chwili drzwi znów się otworzyły i Skippy zawołał:

– Szybko, czas lecieć.

Przyjrzałem mu się uważnie.

– Jak mam cię podnieść?

Zapewne nie chciałby, żebym zostawił tłuste odciski palców na lśniącej powierzchni.

– Nieważne, na razie wsadź mnie do kieszeni. Musimy się ruszać. Wylądowało dodo, chomiki wylądowały zaopatrzenie i przygotowują je do powrotu na orbitę. W tej bazie jest teraz tylko dwudziestu dwóch Ruharów, łącznie z załogą dodo. Zamknąłem dwunastu w budynkach, z których nie mogą się wydostać, stery dodo są wyłączone i manipulują komunikacją tak, że na orbicie myślą, że wszystko jest w dechę.

W dechę? Moi dziadkowie tak mawiali. Skąd Skippy znał staroświecki potoczny język?

– Broń. Nawet przy mojej ograniczonej inteligencji potrafię obliczyć, że nadal pozostaje sporo chomików.

Usłyszałem kolejne kliknięcie i otworzyły się duże podwójne drzwi po drugiej stronie magazynu.

– Tamtymi drzwiami na lewo, znowu na lewo i znajdziesz zbrojownię ze wszystkimi karabinami Ruharów, jakie sobie zamarysz. Usmażyłem elektronikę we wszelkiej pozostałej broni w bazie, więc nikt nie będzie do ciebie strzelać.

Uznałem, że uwierzę, jak zobaczę. Skippy miał ciężar puszek piwa i dość niewygodnie trzymało się go w prawej kieszeni spodni. Bieganie było niemożliwe, chyba że trzymałem go przez materiał.

Mówił prawdę, znalazłem zbrojownię z półkami pełnymi broni.

– Te działają?

– Tak, tak. A teraz szybko, weź cztery, a ja popsuję resztę. Na unieruchomionym dodo jest więcej broni.

Karabiny Ruharów były krótsze i cięższe od naszych M4. Nie mogłem nieść czterech naraz i Skippy'ego. Na szczęście w zbrojowni znalazłem też plecaki. I chomicze zFony, których też wziąłem cztery. Wcisnąłem trzy karabiny do plecaka, a Skippy'ego do bocznej kieszeni, tak że lekko wystawał.

– Po prawej stronie przesun suwak w stronę koloru czerwonego, aby odbezpieczyć. Po lewej można włączyć tryb ogłuszania, a także dwa ustawienia dla strumieni cząstek, pojedynczy strzał i seria – wyjaśniła puszka. – Pancierz Ruharów pochłania i rozprasza promień ogłuszający, więc celuj w głowy. Nie mogą strzelać do ciebie, więc będziesz miał sporo czasu, by wycelować.

– Ogłuszanie, mam. – Nie zamierzałem zabijać chomików. W końcu ludzie, którzy pozostaną na Paradise, potrzebowali ich pomocy. – Co teraz?

– Przydałaby się pomoc trójki twoich przyjaciół, ale najpierw musimy dostać się do budynku, gdzie ich trzymają. Idź w prawo, prosto korytarzem, ostatnie drzwi po lewej. Trzech Ruharów je tam śniadanie.

– Nie wiedzą, że coś jest nie tak?

– Nie, dopóki nie spróbują użyć broni. Załoga dodo sprawdza instrumenty i nie wie jeszcze, że stery nie odpowiadają.

Wszystko poszło tak, jak powiedział Skippy. Zatrzymałem się przed drzwiami i słuchałem wymiany pisków chomików, sprawdzając trzy razy, czy karabin jest ustawiony na ogłuszanie i odbezpieczony. Zdjąłem plecak i położyłem go na podłodze, wziąłem głęboki oddech i wyskoczyłem zza rogu.

Trzy chomiki w mundurach i bez pancerzy siedziały przy stole, jedząc i pijąc kawę. Dwa z nich plecami do mnie. Wycelowałem w tego siedzącego przodem i pociągnąłem za spust. Promień ogłuszający był ledwie widoczny, ale karabin miał pomocny laser celowniczy, o którym Skippy powinien był mi powiedzieć. Ogłuszanie działało trochę jak paralizator. Ruhar, do którego strzeliłem, zaczął dygotać, po czym zeszytniał i uderzył głową w stół. Zmieniłem cel i strzeliłem do kolejnego, ale ostatni przeciwnik, zresztą samica, okazała się szybka. Padła na ziemię i niemal zdążyła schować się za stołem, gdy strzeliłem jej w tyłek. Ona również przestała się ruszać. Ostrożnie podszedłem do nich i sprawdziłem puls. Żyli.

– Jak długo to trwa?

– Trzy minuty bez świadomości, pięć do odzyskania pełnej sprawności – odpowiedział Skippy zza drzwi.

Za krótko. Powinienem spytać wcześniej. Albo superinteligentna istota powinna pomyśleć, że to istotna informacja. Jeden z chomików miał składany nóż. Za jego pomocą pociąłem ich koszule na paski, związałem im ręce, nogi i zakneblowałem usta. Ostatni zaczął się ruszać, gdy kończyłem.

– Skippy, czy mogę ich znowu ogłuszyć?

– Drugi raz jest bezpieczny, trzeci spowoduje uraz mózgu.

Na wszelki wypadek strzeliłem do nich jeszcze raz. Zanim podniosłem plecak, otworzyłem szafy i znalazłem szpulę ze sznurkiem, który pociąłem na metrowej długości kawałki. Dostanie się do budynku, gdzie trzymano moich towarzyszy, wymagało biegu po otwartej przestrzeni. Na szczęście Skippy znał położenie ich kamer i fałszował obraz. Udało się ogłuszyć trzy kolejne chomiki. Dwa z nich miały pancerze i karabiny, ale gdy pociągnęły za spust, nic się nie stało. Skonsternowane, próbowały uciekać. Daleko nie uszły, ich pancerz na niewiele się zdał przy moim sprawnym celowaniu. Łatwo jest wymierzyć, gdy wróg nie może odpowiedzieć ogniem.

Właśnie w chwili, kiedy dwaj żołnierze Ruharów skierowali na mnie

karabiny, pewni, że ich pancerz wytrzyma starcie z jednym człowiekiem, poczułem, że mogę zaufać Skippy'emu. Otwieranie drzwi jest łatwą sztuczką, ale zdalne unieszkodliwienie wybranej broni to zupełnie inny poziom. Może to, co mówił, to nie były same bzdury.

Skippy otworzył drzwi do tymczasowych cel, gdzie trzymano Adams, Desai i Changa, gdy wbiegłem do budynku, krzycząc, żeby szli za mną. W całej bazie i tak już rozległ się alarm, dwaj żołnierze, których ogłuszyłem, zdążyli coś pisnąć, zanim padli na ziemię. Desai wybiegła z celi i próbowała zdecydować, w którą stronę się udać, gdy zobaczyła mnie. Rzuciłem jej karabin, który złapała i ruszyła za mną. Dalej znaleźliśmy Adams i Changa siłujących się na podłodze z chomikiem w pancerzu, który próbował powstrzymać dwójkę ludzi przed zabraniem mu karabinu. Przyłożyłem swoją broń do jego niechronionej szyi i pociągnąłem za spust.

– Kurwa! Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa. To boli! – Część promienia trafiła w Adams, bo znajdowała się zbyt blisko chomika. Niepewnie przyklekła, aż w końcu wstała, opierając się o ścianę.

– Przejdzie. Poza tym wszystko w porządku? – spytałem.

– Przeżyję, sir.

– Nie bierz go – powiedziałem Changowi, który podniósł broń chomika. – Nie zadziała. Użyj tego. – Wyjąłem karabin z plecaka. – Zabezpieczenie tu, a tu przełącznik między ogłuszaniem i strumieniem cząstek. Zostaw na ogłuszaniu.

– Jasne. Co dalej? – Chang ćwiczył przełączanie trybu broni.

– Zajumamy dodo i spadamy – wyjaśniłem szybko, wiążąc ręce i nogi chomika. – Ogłuszcacie każdego futrzaka po drodze. Jeśli starczy czasu, zwiążcie go tym sznurkiem. Ogłuszanie działa tylko przez kilka minut.

Adams wyjaśniła wszystko dwójce naszych towarzyszy, którzy może i mówili świetnie po angielsku, ale mogli nie znać się na slangu.

– Ukradniemy lądowisk Ruharów i odlecimy.

– Jak to zrobimy? – spytał Chang, gdy wybiegliśmy przez drzwi, prosto na dwójkę ruharskich żołnierzy.

Szybko padli, ogłuszeni.

– Ich karabiny nie działają – zauważył podejrzliwie Chang. – Co tu się dzieje, Bishop?

Zauważyłem, że nie zwrócił się do mnie stopniem. Pomyślałby kto, że dwukrotnie uwolniony przeze mnie z więzienia powinien być nieco bardziej wdzięczny.

– Jak się pan wydostał, sir? – spytała Adams. Nie mogłem teraz użyć wymówki, że bazę zbombardowali Ruharowie.

– Najpierw dodo, potem pogadamy.

Dodo znajdowało się na lądowisku, z jednym strażnikiem na zewnątrz i jednym na rampie towarowej. Chomik na rampie trzymał broń w

rękach i jednocześnie wciskał przycisk zamknięcia rampy, który nie działał. Ogłuszyliśmy obu, ale kazałem tym razem ich nie wiązać. Biegając po rampie, usłyszeliśmy odgłos silników. Chciałem spytać Skippy'ego, czy to jego robota. Jeśli nie, to cały plan właśnie wziął w łeb. Lądownik skonfigurowano do przewozu towarów, środek był pusty, a siedzenia wbudowano w ściany po bokach.

Dwaj piloci piszczełi z podnieceniem, próbując uruchomić stery. Ogłuszyliśmy obu i kazałem Adams i Changowi znieść ich po rampie.

– Desai, jesteś pilotem, zajmij siedzenie po lewej.

Oczy miała jak spodki.

– Nie takim pilotem! – zaprotestowała, pokazując nieznane urządzenia sterownicze.

Skippy i armia gówno wiedzieli o moim poziomie inteligencji, bo przyszła mi do głowy genialna myśl. Wyciągnąłem z plecaka chomiczego zFona.

– Haker, tu Siewnik, odbiór.

Skippy od razu załapał.

– Tu Haker, jesteście już w dodo?

– Tak. Jak mamy tym sterować?

– Daj mi pilota.

Podąłem zFona i słuchawkę Desai. Za oknem kokpitu widziałem trzech ruharskich żołnierzy kierujących na dodo karabiny, trzęsących bronią z frustracją i próbujących jeszcze raz. Trzeba było się zmywać, zanim pomyślą o rzucaniu kamieniami we wlot silnika. Byłem pewien, że nawet Skippy nie wyłączy systemu operacyjnego lecącego kamienia.

– Aha. Tak, widzę. Aha, aha, tak. O, bardzo dobrze – stwierdziła Desai, gdy ekrany magicznie przeszły z pisma Ruharów na angielski, a następnie na hindi. – Łapię, już próbuję. – Przesunęła wajchę, silniki zawyły i lądownikiem zatrzęsło. – Zapiąć pasy! – zawołała.

Usiadłem w fotelu po prawej, a Adams i Chang wysunęli siedzenia z tyłu. Rampa zamknęła się, a Desai spojrzała na mnie, zacisnęła zęby i wystartowaliśmy. Po drodze zahaczyła o ogrodzenie, zarysowując dół pojazdu i wplątując gałęzie drzew w podwozie. Skippy najwyraźniej powiedział jej, jak się ich pozbyć, i zapaliło się zielone światło wskazujące na zamknięcie luków.

– Tak, teraz. – Desai wdusiła przycisk i uniosła ręce znad panelu. – Autopilot włączony.

Chang i Adams podeszli do przodu, trzymając się oparc naszych foteli.

– Gdzie lecimy? – spytał Chang.

Spojrzałem na Desai, która rozmawiała ze Skippym.

– Haker mówi, że autopilot zabiera nas do bazy zaopatrzeniowej SEONZ trzysta kilometrów na północ stąd.

– Kim jest Haker? – Chang domagał się wyjaśnień. – Bishop, musimy

wiedzieć, co się dzieje. Dlaczego Ruharowie nie byli w stanie strzelać?

– Dla pana pułkownik Bishop, podpułkownik Chang. – Byłem wkurzony. Nie na niego, ale na to, że przyłapano mnie na kłamstwie i nie wiedziałem, jak się z tego wykręcić. – Haker to jednostka cybernetyczna SEONZ. – Oczywiście kłamstwo. – Skontaktowano się ze mną z planem wydostania nas stamtąd. – To była akurat prawda – To część starań, by odplącić się jaszczurom. – Znowu prawda. Dwa na trzy to nie tak źle.

– Kristangowie są naszymi sojusznikami – powiedział Chang.

– Jebać to, sir – warknęła Desai.

– Chang, jeśli wciąż wierzysz, że Kristangowie to nasi sojusznicy, możemy cię gdzieś wysadzić. – Musiałem wiedzieć, czy będzie z nim problem.

– Nie wierzyłem, że są nimi, od naszego pierwszego miesiąca tutaj – wyjaśnił Chang. – Ale to nie zmienia faktu, że jesteśmy oficerami i nasz łańcuch dowodzenia otrzymuje rozkazy od Kristangów. Ani tego, że kontrolują Ziemię. I że nie mamy sposobu, aby wrócić do domu ani zrobić cokolwiek z Kristangami, gdy tam dotrzemy.

– Pracujemy nad tym – powiedziałem znowu zgodnie z prawdą. – Nie wiem, na ile wierzę temu Hakerowi – znowu prawda – ale wiem, że kimkolwiek jest, na razie nam pomógł. – Blisko prawdy. – Następny krok to zebranie zaopatrzenia i ochotników. Potem dokonamy abordażu i przejęcia okrętu bojowego Kristangów.

– Chyba pan żartuje. – Adams spojrzała na mnie z niedowierzaniem. – Skąd wiemy, że ten Haker...

– Adams, gdybym powiedział ci wczoraj rano, że uciekniemy dwukrotnie z więzienia, ukradniemy broń Ruharom i odlecimy w dodo, uwierzyłabyś? Miej trochę wiary, tyle nam zostało.

Cała trójka nie była szczególnie zadowolona z moich odpowiedzi, ale na razie jakoś przyjęła je do wiadomości. Po drodze wystraszyła nas para sępów lecących w przeciwnym kierunku, lekko machających skrzydłami na pozdrowienie. Skippy musiał rozmawiać z nimi przez radio, bo spokojnie nas minęły. To zrobiło wrażenie na moich sceptycznych towarzyszach, nawet na Changu.

– Dostaje pan rozkazy od tego Hakera? – spytał podejrzliwie. – Dlaczego SEONZ przydzieliły pana i nas do tej misji? Znajdowaliśmy się w więzieniu. Nie jesteśmy jednostką sił specjalnych. To nie ma sensu.

– Wybrali nas po prostu dlatego, że znaleźliśmy się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie. Podpułkownik Chang, SEONZ to wspólne dowództwo, ale Haker to jednostka Armii USA i nie jest pan upoważniony do poznawania dalszych szczegółów. – Chang był dobrym oficerem i nie podobało mi się okłamywanie jego i pozostałych. – Gdy dotrzemy do bazy zaopatrzeniowej, może pan tam zostać. To misja

ochotnicza.

– Mamy uderzyć w Kristangów?

– I to mocno. I nie będą się nas spodziewać. – Jeśli Skippy mówił prawdę, Kristangowie zobaczą tylko, że tunel prowadzący na Ziemię nagle przestał działać.

Desai nie wahała się.

– Wchodzę w to.

– Ja też – rzuciła gniewnie Adams, podświadomie dotykając prawego bicepsa, gdzie miała paskudną ranę po torturach. Widziałem ją przez chwilę, wyglądała jak poparzenie elektryczne.

Chang zastanawiał się przez moment, po czym odpowiedział z uśmiechem, którego nie byłem w stanie zinterpretować:

– Gdy mówiono mu, że oficer jest inteligentny i odważny, Napoleon odpowiadał ponoć: „Tak, ale czy ma szczęście?”. Bishop, nie wiem dlaczego, ale ma pan talent do bycia w odpowiednim miejscu i czasie. Zaufam panu w tej kwestii. Wchodzę w tę misję, jakakolwiek będzie.

Świetnie. Miałem troje ochotników, potrzebowałem jeszcze tylko dwudziestu. Dwudziestu nieznajomych, którzy musieliby zaufać mi po tym, jak nasze dodo nagle spadnie z nieba. Potrzebowałem wsparcia.

– Haker poinstruował mnie, żebym nie zdradzał reszcie wszystkich szczegółów aż do opuszczenia orbity, bo jeśli coś pójdzie nie tak, nie możemy ryzykować, że jaszczury dowiedzą się o udziale w niej SEONZ i w ogóle ludzi. Na razie powiem tyle: jeśli nam się uda, to zamkniemy tunel, który daje jaszczurom i Thuranom dostęp do Ziemi. To oznacza, że znajdziemy się z powrotem na terytorium Ruharów, ale na tyle daleko od ich tuneli czasoprzestrzennych, że żadnej ze stron nie będzie się opłacało wysłać okrętów. – Zobaczyłem szok na wszystkich twarzach. Znałem to uczucie. – W tej misji nie chodzi o zemstę na jaszczurach. – Patrzyłem Desai w oczy, gdy to mówiłem. – Chodzi o uratowanie Ziemi.

– O cholera – powiedziała cicho Adams.

– Jesteśmy w stanie to zrobić? Mamy plan? – spytał Chang.

– Plan istnieje, owszem. Nie zaszlibyśmy tak daleko bez sposobu na włamanie się do systemów wroga, a jeden z tych systemów to sieć tuneli czasoprzestrzennych.

Reszta lotu przebiegła spokojnie. Podczas gdy dodo leciało na autopilocie, Skippy próbował zaznajomić Desai ze sterami, a reszta z nas rozejrzała się po okręcie. Zebraliśmy znalezione ruharskie jedzenie, żeby wyrzucić je po wylądowaniu.

– Wiesz już, jak tym sterować, Desai?

Spojrzała na mnie i pokazała kciuk poziomo, ani w górę, ani w dół.

– Piloci mają powiedzenie: „Jeśli umiem to odpalić, umiem unieść to w powietrze”. To taki żart. Haker wyjaśnił mi podstawy sterowania, ale zapewne byśmy się rozbili, gdyby nie autopilot.

– Potrafisz wystartować?

– Już raz to zrobiłam – odparła bez przekonania. Autopilot idealnie wylądował, podczas gdy Desai przyglądała się, próbując nauczyć się, jak wykonać to samodzielnie.

– Cholera, chomiki już tu są – oznajmiła Adams, wyglądając przez okno. – Sześć, z karabinami, czekają na nas.

Nie dziwiło mnie, że Ruharowie zajęli ważną bazę zaopatrzeniową SEONZ. Przez zFona powiedziałem:

– Haker, mamy towarzystwo.

– Przyjąłem. Siewnik, chomiki spodziewają się w dodo oddziału swoich. W bazie jest teraz tylko sześciu Ruharów. Ich broń jest unieszkodliwiona. Odbiór. – Skippy dobrze się bawił.

Zaczelśmy opuszczać tylną rampę, żeby odciągnąć ich uwagę, po czym otworzyliśmy boczne drzwi i wyskoczyliśmy z bronią ustawioną na ogluszanie. Cała szóstka chomików wkrótce leżała na ziemi, wzięta kompletnie zaskoczenia. Kopnęliśmy ich broń na bok i właśnie ich wiązaliśmy, gdy podeszła do nas grupa nieuzbrojonych ludzi. Dowodziła nimi kobieta w stopniu majora Armii USA, Simms zgodnie z naszymi nazwiskami.

– Co wy robicie, do cholery? Mamy rozejm z Ruharami.

Wstałem i zasalutowałem.

– Pułkownik Joe Bishop. Tak, ten od Barneya. – Cholera, zaczynałem mieć tego dość. – Nie walczymy z Ruharami, tylko zarekwiraliśmy jeden z ich pojazdów. – Wskazałem na dodo. – I musimy załadować zaopatrzenie. Bez głupich pytań od chomików.

Simms przechyliła głowę. Wciąż miałem na sobie spodnie Kristangów z żółtymi paskami, a bluzę od munduru upapraną zaschniętą krwią Kristangów. Mundury Adams i Desai były podobnie niedopasowane, a zamiast butów miały na nogach szmaty. Chang miał rany na twarzy, które niezbyt dokładnie opatrzyli Ruharowie. A ja na dodatek zwichnąłem dwa palce. Może nawet złamałem.

– Pułkowniku Bishop, z tego, co ostatnio słyszałam, był pan więźniem Kristangów.

– Wypuścili mnie wcześniej za złe zachowanie. To coś powyżej pani stopnia upoważnienia, pani major. Jesteśmy jednostką specjalną, potrzebujemy zaopatrzenia i ochotników do ataku na Kristangów.

– Ataku na Kris... Sir? Nie otrzymałam informacji z dowództwa SEONZ o żadnej jednostce specjalnej.

– Jak usłyszała pani o rozejmie? – spytałem. Sam nic nie słyszałem, ale oczywiście przebywałem wtedy w więzieniu. Ponownie.

Dotknęła swojej słuchawki od zFona.

– Wczorajszy komunikat SEONZ. Nie możemy się połączyć i potwierdzić, a ci Ruharowie przybyli wczoraj i zabrali nam broń.

– Proszę jeszcze raz sprawdzić wiadomości. Powinny być tam

rozkazy. – Skippy mnie słyszał i jeśli był tak szybki i zdolny, jak twierdził, to major Simms powinna znaleźć taką wiadomość.

– Sir? – Podniosła oczy znad ekranu zFona. – Rzeczywiście mam rozkazy. Ale jak...

– Wyjaśnienia mogą poczekać, mamy mało czasu. Ilu ma tu pani ludzi?

– Sześćdziesięcioro dwoje, w większości zaopatrzeniowcy. Osiemnaścioro z piechoty, różnych narodowości.

– Dobrze. Potrzebuję dwudziestu ochotników, najlepiej z doświadczeniem bojowym, na misję specjalną w kosmosie. I zaopatrzenia. Broni, amunicji, jedzenia, środków medycznych.

Simms nie wydawała się jeszcze w pełni przekonana.

– To wszystko brzmi dziwnie. Zaatakujecie Kristangów, nie Ruharów?

– Pani major, jesteśmy żołnierzami służącymi na obcej planecie, której władze zmieniają się zależnie od tego, kto w danej chwili ma na orbicie większą flotę, a misja specjalna brzmi dla pani nieprawdopodobnie? Czy rozkazy z dowództwa SEONZ zawierają odpowiednie kody uwierzytelniające? – Oczywiście Skippy jakoś tego dopilnował. – Tak? W takim razie może pani wejść na pokład albo zejść mi z drogi.

Odwrociłem się do swoich towarzyszy.

– Pułkownik Chang, sierżant Adams, proszę przejrzeć tutejsze zapasy i jak najszybciej załadować je na pokład. Kapitan Desai, proszę kontynuować swoje, hm... – Zapewne lepiej było nie używać słowa „szkolenie” przy ludziach, którzy, jak miałem nadzieję, mogli zgłosić się na ochotnika. – ...przygotowania do odlotu.

Wiedziała, o co mi chodzi. Tymczasem Skippy znów odezwał się w mojej słuchawce.

– A te karabiny Ruharów – trąciłem jeden stopą – znów działają, więc weźmiemy je ze sobą. Pani major, proszę zebrać swoich ludzi.

Muszę przyznać, że Simms szybko się dostosowała. Zsalutowała i odeszła, wykrzykując rozkazy. W ciągu pięciu minut większość personelu bazy ustawiła się za dodo. Stanąłem na rampie, żeby wszyscy mnie widzieli. Baza nie była duża, składała się z dwóch długich magazynów z jakiegoś rodzaju prefabrykowanego betonu, kilku przybudówek, namiotów dla stacjonujących tu ludzi, lądowisk i jednego długiego pasa startowego. Nie była to jedna z tych wielkich baz zaopatrzeniowych SEONZ skupionych wokół podstawy windy kosmicznej, ale regionalny ośrodek logistyczny. Nagle przyszło mi do głowy, że muszę wygłosić najbardziej przekonujące przemówienie w swoim życiu, a niczego nie przygotowałem.

– Dzień dobry! – powiedziałem głośno. – Jestem pułkownik Joe Bishop. Niektórzy z was wiedzą, kim jestem. Dla tych, którzy nie wiedzą, schwytałem żołnierza Ruharów w swoim rodzinnym miasteczku w

Maine, zestrzeliłem dwa wieloryby Ruharów przy Wyrzutni i niedawno zostałem uwięziony przez Kristangów, bo odmówiłem wykonania ich rozkazu zabicia cywili chomików. – W tej sytuacji nieco chełpienia się swoimi zasługami mogło się przydać. – Myśleliśmy, że Kristangowie to nasi zbawcy, nasi sojusznicy, gdy przegonili Ruharów z Ziemi. Teraz wiemy, że Ruharowie zaatakowali naszą infrastrukturę przemysłową tylko dlatego, że Kristangowie byli w drodze na Ziemię, by ją podbić, i Ruharowie chcieli trochę popsuć im zdobycz. Wszyscy słyszeliście o ciasteczkach z wróżbą i nie wiem, jakie plotki do was dotarły, ale ja powiem wam to prosto z mostu. Jaszczury gwałcą naszą planetę. Nie wiem, czy Ruharowie to potencjalni sojusznicy, czy też są neutralni albo tak źli jak Kristangowie. Ale wiem jedno: jaszczury to z pewnością nasz wróg!

Ostatnie słowa wywołały sporo głośnych szeptów w tłumie. Odczekałem chwilę, zanim podjąłem.

– Gdy mnie awansowano, poleciałem na ich stację, by spotkać się z jaszczurami. Jeden z nich upił się i powiedział mi oraz pułkownikowi Changowi, co naprawdę myśli o ludzkości. Jaszczury uważają, że jesteśmy słabi, miękcy, że jesteśmy ignorantami nadającymi się tylko na mięso armatnie lub niewolników. SEONZ kazały mi sadzić rośliny, bo jaszczury nie chciały wydawać dalszych środków na sprowadzanie zaopatrzenia z Ziemi. Nie jesteśmy dla nich tego warci. Zamierzały rozstrzelać mnie i Changa. Kobiety... Pewnie słyszeliście, co Kristangowie myślą o samicach. Nasze kobiety były torturowane i miały zostać powieszane, gdy nalot Ruharów uwolnił nas z więzienia. – To sprawiło, że w oczach Simms zobaczyłem zaciekleść, a jej usta stały się cienką kreską. Wiedziałem, że w tej chwili ją przekonałem. Adams przebiła się przez tłum i dołączyła do mnie na rampie, salutując sztywno.

– Zapasów nie ma wiele, ale są wystarczające.

– Dobrze. Widzę, że znalazłaś buty.

Spojrzała na swoje stopy z uśmiechem.

– I spodnie, sir – dodała, patrząc znacząco na moje workowate portki.

– Słuchajcie, ludzie! – odezwałem się znów do tłumy. – To nie kolejny tymczasowy rajd Ruharów, chomiki tym razem tu zostaną. Mamy pewne informacje, że oni i ich sojusznicy pokonali flotę Kristangów i że Thuranie wycofują się z tej okolicy. Nie wspierają już wysiłków jaszczurów, by te mogły przejąć kontrolę nad planetą. To oznacza, że misja, na którą przybyły tu SEONZ, dobiegła końca i nie mamy sposobu, aby uzyskać zaopatrzenie z Ziemi ani żeby tam wrócić. Jesteśmy odcięci. Nową misją SEONZ jest przetrwanie. Siejemy i zbieramy plony albo umrzemy z głodu. Ludzie na tej planecie to teraz rolnicy, nie żołnierze. – Jako że to była baza logistyczna, zapewne jej załoga widziała skutki

coraz rzadszych dostaw lepiej niż inni.

Znów odczekałem chwilę. Nie miałem pojęcia, czy trafiam do tych ludzi.

– SEONZ wysyłają misję specjalną przeciwko Kristangom i potrzebujemy ochotników. Niektórzy z was widzieli, że chomiki nie były w stanie używać broni, gdy wylądowaliśmy. SEONZ mają sposób na włamywanie się do systemów Ruharów i Kristangów. – W pewnym sensie to była prawda, w końcu byłem członkiem SEONZ i hakowałem ich systemy, prosząc Skippy’ego o pomoc. Musiałem uważać, co powiem o misji, bo wiedziałem, że Ruharowie przeprowadzą dokładne śledztwo wśród ludzi, którzy zostaną. – Zarekwirowaliśmy dodo i zmyliliśmy systemy kontroli lotu Ruharów tak, że nas nie widzą. SEONZ nie wiedzą, jak długo to potrwa, więc czas nas goni. Oto, co mogę powiedzieć o operacji: jeśli to zadziała, lecimy na orbitę i dalej, i mocno dowalimy Kristangom. Wszyscy, którzy zdecydują się polecieć z nami, dostaną szczegółowe informacje, gdy opuścimy atmosferę. To szansa na poczynienie w tej wojnie prawdziwej różnicy. – Gdyby wyrosły mi skrzydła i zacząłbym latać, słuchacze byłiby mniej zdziwieni. – Walka tu, na planecie jest skończona. Jeśli chcecie odpłacić się jaszczurom, to tylko z nami.

Zamilkłem i przyglądałem się twarzom w tłumie. To wszystko działo się zbyt szybko. Niedawno byliśmy sami we wszechświecie, po czym Ziemię zaatakowano i sformowano SEONZ, a nas przewieziono na inną planetę. Do niedawna myśleliśmy, że sprawujemy się dobrze na trudnej misji, po czym zaczęły przybywać ciasteczka z wróżbą i dowiedzieliśmy się, że Kristangowie nie są przyjaciółmi ludzkości. A po wielkim nalocie Ruharów, kiedy przebywałem przy Wyrzutni, dowiedzieliśmy się, że Kristangowie nie są nam w stanie zapewnić bezpieczeństwa na Paradise. Jeszcze wczoraj rano Kristangowie zarządzili planetą, a teraz mówiłem ludziom, że ich rządy dobiegły końca. I że SEONZ utkwiły tu na dłużej. Oraz że, podejrzanym zbiegiem okoliczności, akurat teraz znalazłem sposób na wydostanie się z planety i atak na jaszczury. Gdybym znajdował się teraz wśród tłumu i słuchał, jak jakiś żartowniś mówi coś takiego, to stwierdziłbym, że ściemnia. Widziałem, że wszyscy kręcili się w miejscu, szeptali między sobą i próbowali zdecydować, co robić.

Ktoś głośno zawołał coś po chińsku, a przynajmniej założyłem, że to chiński. Chang wrócił z magazynu. Trzej żołnierze w mundurach Armii Ludowo-Wyzwoleńczej odwrócili się. Wtedy zdałem sobie sprawę, że mogli nie zrozumieć ani słowa z tego, co powiedziałem. Chang przebił się do nich przez tłum, przez chwilę rozmawiali po chińsku i cała czwórka podeszła do podstawy rampy.

– Jeszcze trzech ochotników, pułkownika Bishop.

To postawiło mnie w niewygodnej pozycji. Wskazałem, żeby podszedł do mnie.

– Pułkownik Chang, to misja ochotnicza. Nie chcę, żeby rozkazywał pan ludziom, żeby brali w niej udział. Co im pan powiedział?

Chang zamrugał oczami, zaskoczony.

– Powiedziałem, że ta misja to ich jedyna szansa na to, aby spełnić swoje prawdziwe obowiązki i służyć ludowi Chin. Wszyscy zgłosili się na ochotnika.

A, co tam. Misja była ważna i potrzebowaliśmy żołnierzy.

– Cholera – powiedziała głośno Adams. – Sir, musimy lecieć do bazy z prawdziwymi żołnierzami i marines, nie z tymi gryzipiórkami.

Może moja przemowa była dobra, ludzie czuli się uwięzieni na Paradise, chcieli zrobić coś pożytecznego i potrzebowali dodatkowej motywacji. Może zmotywowała ich postawa Chińczyków. A może potrzebowali, żeby zawstydziła ich jedna z marines.

– O nie, nie będę stała w kolejce za słojęgłową z piechoty morskiej!

Major Simms zrobiła krok naprzód, a zaraz potem zaczęli się zgłaszać kolejni. Z osiemnaściorga żołnierzy piechoty zgłosiło się siedemnaścioro; jedna kobieta miała chłopaka na Paradise i nie chciała go zostawiać. Wziąłem wszystkich siedemnaścioro i jeszcze trójkę, co oznaczało, że nasza specjalna jednostka składała się teraz z dwudziestu czterech osób. Dwudziestu czterech ludzi i jednej gadającej puszki piwa.

11. DO ABORDAŻU

Stałem w drzwiach do kokpitu, podczas gdy Desai przeprowadzała test silników przed startem, i przyglądałem się twarzom naszej grupy zadaniowej. Mieliśmy naprawdę międzynarodowy, wielorasowy, tęczyowy oddział. Oprócz mnie było dziewięcioro żołnierzy z Armii USA, w tym major Simms, sierżant, trzech kaprali i czterech szeregowców. Sierżant sztabowy Adams jako jedyna była z amerykańskich marines i mieliśmy jedną sierżant amerykańskiego lotnictwa, która zajmowała się na Paradise naprawami myszołowów. Uznałem, że może się przydać, gdyby coś się zepsuło. No i czterech Chińczyków łącznie z podpułkownikiem Changiem. Troje z indyjskiej armii, czterech Brytyjczyków, w tym sierżant. Jeden z brytyjskich szeregowców uczył się kiedyś pilotować awionetki, więc zrobiłem go drugim pilotem obok kapitan Desai. Wyglądał na przerażonego, gdy usiadł w fotelu po prawej w kokpicie. A, i jeden Francuz, porucznik René Giraud. Giraud należał do jednostki spadochronowej komandosów i był trochę jak francuski odpowiednik naszych rangerów. Pracowałem z francuskimi siłami specjalnymi w Nigerii i to naprawdę twardziele, więc cieszyłem się, że mamy w drużynie René. Gdy się zgłosił na ochotnika, powiedział, że nie wie, czy moja przemowa była jedną wielką ściemą, ale chciał w końcu zobaczyć jakąś akcję, a na Paradise na żadną się nie zapowiadało. Doceniałem jego szczerłość.

Dwadzieścia cztery osoby, dość przypadkowa zbieranina. Pięć kobiet, dziewiętnastu mężczyzn. Pięcioro oficerów, pięcioro sierżantów i czternaścioro reszty. Pięć narodowości, chociaż w niektórych przypadkach granice były dość płynne. Jeden z kaprali Armii USA był hinduskiego pochodzenia i nazywał się Randy Putri. Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że jest z indyjskiego kontyngentu, ale nie znał ani słowa w hindi i gadał z cajuńskim akcentem, bo wychowywał się w Nowym Orleanie. Nasza sierżant lotnictwa nazywała się Chung i była Amerykanką chińskiego pochodzenia. Mówiła nieco po chińsku, ale po kantońsku, nie mandaryńsku, więc nie dogadywała się z Chińczykami lepiej niż ja. Sierżant Reginald Thomson z brytyjskiej armii miał ciemną skórę po kenijskich dziadkach, ale kiedy otwierał usta, mówił jak Sherlock Holmes albo jakiś członek rodziny królewskiej. Jeden z pozostałych Brytoli miał za to akcent tak mocny, że z początku nie byłem pewien, czy to w ogóle angielski. Ich slang jest dla mnie kompletnie niezrozumiały. Kapitan Desai z jakiegoś dziwnego powodu rozumiała go doskonale, więc w razie czego mogła robić za tłumaczkę. Co do tłumaczy, to podpułkownik Chang i jeden z pozostałych Chińczyków mówili po angielsku, a pozostali dwaj musieli korzystać z zFonów.

Oczywiście Skippy mówił doskonale w każdym ludzkim języku. Irytująca puszka.

Dwadzieścia cztery osoby, różne narodowości, płcie, specjalności i doświadczenia, a ja musiałem zrobić z nich szybko skuteczny w boju zespół. Nie wiedząc nawet dokładnie, na czym polegać będzie misja.

Najbardziej martwiło mnie to, że nikt z nas nie był sanitariuszem. A zasoby medyczne, które wzięliśmy na pokład, były dość podstawowe. Gdyby coś poszło nie tak, niewiele da się zrobić dla rannych.

*

Kapitan Desai bezpiecznie wystartowała, a następnie stery przejął autopilot, unosząc dodo ponad atmosferę. Grawitacja powoli zanikała i jakoś się dostosowaliśmy, biorąc w razie potrzeby leki zapobiegające mdłościom. Skippy, to znaczy Haker, kazał Desai przeprogramować kilka razy autopilota tak, abyśmy uniknęli lotu obok okrętów Ruharów. Wokół Paradise panował spory ruch. Zgodnie ze wskazaniem ekranów w kokpicie i według szepczącego mi do ucha Skippy'ego prześlizgnęliśmy się przez eskadrę fregat Ruharów niezauważeni, jako że Skippy kazał ich sensorom nas zignorować. Nie wiem, jak mu się udało, ale robiło to spore wrażenie. Gdy Desai ogłosiła, że przekroczyliśmy drugą prędkość kosmiczną, opuściliśmy orbitę i przebywamy sami w przestrzeni międzyplanetarnej, postanowiłem przemówić do załogi, która spoglądała na mnie z niepokojem. Unosiłem się w nieważkości w drzwiach kokpitu.

– Słuchajcie wszyscy. Czas powiedzieć prawdę. Nie mogłem zdradzić wam szczegółów naszej misji przed opuszczeniem orbity, bo nie możemy ryzykować, że Kristangowie albo Ruharowie dowiedzą się, co robimy. W rzeczywistości nie byłem z wami całkiem szczery, ze względu na bezpieczeństwo operacyjne. Haker to nie kod jednostki cybernetycznej SEONZ. Haker jest, hm, tutaj. Pokażę wam. – Wyciągnąłem Skippy'ego z plecaka i popełniłem ten błąd, że pokazałem go wszystkim, zanim sam mu się przyjrzałem.

Spory błąd.

Ten palant zmienił swoją powierzchnię tak, że zamiast lśniącego chromu pokazywała dokładną imitację puszek piwa Bud Light Lime. Poza tym, że nie miał kółeczka do otwierania puszek, a dół był całkiem pusty, mnie też by zmylił.

Wyrazy twarzy przede mną zmieniły się ze zdumienia w rozbawienie, aż w końcu w przerażenie, gdy wszyscy zdali sobie sprawę, że polecili w kosmos z szaleńcem. Z wariatem, który ma wymyślonego przyjaciela w kształcie puszek piwa.

– Nie, nie, nie, nie! – Machałem energicznie lewą ręką, jednocześnie

panicznie trzęsąc Skippym prawą. – Skippy, do cholery, to nie jest zabawne! – Adams była gotowa rzucić się w moją stronę z drugiego końca pomieszczenia, a wyraz jej twarzy był zdecydowanie nieprzyjazny. – Skippy, ty cholerny dupku!

– Ha, ha, ha, ha-ha-ha, ha, ha, ha, ha-ha-ha-ha-ha! – roześmiał się maniakalnie Skippy i zmienił powierzchnię, teraz wyglądał jak puszka Coors Light. – Hej wszyscy! Jestem Skippy wszechmogący. Ha, ha, ha, ha-ha! Szkoda, że nie widziałeś swojej miny, pułkowniku Joe. To było bezcenne.

Wzięłem kilka głębokich oddechów i spojrzałem na Adams, która próbowała ustalić sama ze sobą, czy mnie udusić, czy jeszcze nie.

– Jak na swoją inteligencję, Skippy to stuprocentowy dupek.

– To prawda – przyznał Skippy. – Tak lepiej? – Wrócił do gładkiego chromu.

Chang warknął:

– Kim, do kurwy nędzy, jest Skippy?

– Masz sporo do wyjaśnienia – stwierdziła Adams bez śladu rozbawienia w głosie.

Zauważyłem, że żadne z nich nie dodało „sir”.

Wzięłem głęboki wdech.

– To jest Skippy. Pseudonim Haker. – Wskazałem na lśniącą puszkę. – To, co wygląda jak puszka piwa, jest sztuczną inteligencją...

– Bardzo niewielką manifestacją mnie w lokalnej czasoprzestrzeni – przerwał mi Skippy.

– Skippy, zamkniesz się na chwilę? Sztuczną inteligencją zbudowaną przez istoty, które znamy jako Pradawnych albo Pierwszych. Supercywilizację, która zamieszkiwała Drogę Mleczną przed Rindhalu, istoty, które zbudowały tunele czasoprzestrzenne. Porzucili fizyczną egzystencję dawno temu i pozostawili po sobie Strażników. Oraz tę SI, która ma miliony lat. Niezwykle potężną SI, która przekazała nam kontrolę nad tym dodo, dezaktywowała broń Ruharów i teraz maskuje nas przed czujnikami chomików i przesyła prawidłowe kody identyfikacyjne Kristangom. To dzięki niemu dokonamy abordażu i przejęcia okrętu jaszczurów, a następnie to samo zrobimy z lotniskowcem gwiazdym Thurarów i pozbędziemy się tunelu niedaleko Ziemi, aby ani Ruharowie, ani Kristangowie nie mieli już dostępu do naszej planety.

– O ja pierdołę – wyrzuciła z siebie Simms z niedowierzaniem.

– Tak, ja też tak zareagowałem, gdy byłem zamknięty przez Ruharów w magazynie i zaczęła do mnie mówić puszka na zakurzonej półce.

Adams nie była przekonana.

– Sir, próbuję to jakoś ogarnąć. Powierzamy naszą przyszłość i los całej ludzkości gadającej puszcze piwa?

– Cóż, jeśli to ująć w ten sposób...

– Superinteligentnej, niemożliwie, niewyobrażalnie inteligentnej gadającej puszcze piwa! – zaprotestował Skippy.

– Adams, zapomnij o tym, jak wygląda dla nas Skippy. Widziałas, co się działo w magazynie. Ruharowie nie mogli korzystać z broni, ale my tak. To nie ja ani SEONZ, tylko Skippy. To on włamał się do dodo i umożliwił nam sterowanie nim, na pewno nie ja ani SEONZ. Właśnie opuściliśmy orbitę w samym środku floty Ruharów i nas nie zauważyli. Skippy włamał się do ich sieci sensorów i kazał im nas ignorować. SEONZ nie byłyby do tego zdolne. Skippy to ostateczna broń, nasz as w rękawie, a ludzkość cholernie potrzebuje teraz asa w rękawie. Ze Skippym jesteśmy w stanie wyłączyć, dezaktywować jedyny tunel czasoprzestrzenny dający jaszczurom dostęp do Ziemi.

Adams nie była przekonana.

– Skąd mamy wiedzieć, że to nie sztuczka jaszczurów, że ta SI dla nich nie pracuje?

– Adams, jeśli masz jakiś pomysł na to, co mogłyby zyskać jaszczury, pomagając nam uciec Ruharom i ukraść ich dodo, powiedz mi. Bo mnie nie przychodzi nic do głowy. Skippy zamierza zdobyć nasze zaufanie tak samo, jak my jego. Działając. Wydostał mnie, ciebie, Changa i Desai z więzienia, a teraz opuściliśmy powierzchnię Paradise. Gdybyśmy byli sami, nadal zastanawialibyśmy się, jak tu się otwiera drzwi. Zastanawiałem się, czy to aby nie sztuczka Ruharów, aby przetransportować nas na okręt Kristangów. Może chomiki umieściły tu bombę. Ale nie widzę powodu, dla którego miałyby zadawać sobie tyle kłopotu. Ta wojna trwała już od bardzo dawna, zanim włączyli się do niej ludzie. Nie potrzebują nas. Ani jaszczury, ani chomiki czy Thuranie, nikt z nich nie potrzebuje do niczego prymitywnych ludzi. Może to wszystko to jakieś wyrafinowane oszustwo z powodów, których nie rozumiem. No dobrze. A może Skippy mówi prawdę i mamy szansę na zniszczenie tunelu dającego jaszczurom dostęp do Ziemi? Jeśli istnieje na to jakakolwiek szansa, musimy z niej skorzystać. Dowiemy się, czy możemy zaufać Skippy'emu, gdy przejmemy kontrolę nad okrętem Kristangów. Proste.

Skippy zachowywał milczenie przez cały mój monolog, zupełnie jak nie on. Cóż, częścią superinteligencji jest wiedza, kiedy się zamknąć i pozwolić innym gadać.

Chang, który do tej pory milczał, ale wymieniał pełne coraz większego napięcia spojrzenia z trzema chińskimi żołnierzami, odchrząknął.

– Pułkowniku – powiedział z naciskiem – zgłosiliśmy się na ochotnika na tę misję, nie znając szczegółów. Spodziewałem się, że plan polega na zaatakowaniu Kristangów. Ale teraz mówi nam pan, że nasza misja to uratowanie świata? Ocalenie Ziemi przed Kristangami?

– Hmm... – Gdy tak to ujął, brzmiało to dość dramatycznie. – Tak. Owszem, zamkniemy tunel dający Kristangom dostęp do Ziemi. Wrócimy do sytuacji sprzed przesunięcia tuneli. – Założyłem, że do tej pory wszyscy już słyszeli o tym plotki. – Ziemia będzie znów na zadupiu, a wojna obędzie się bez nas.

– Ratowanie świata? – powtórzyła Simms z niedowierzaniem.

– Taki jest plan – potwierdziłem. – Wiem, że to brzmi jak kiepski frazes, ale...

– Nie, może być ratowanie świata – przerwała mi Simms. – Cholera. To wszystko prawda?

Chang wyłączył zFona i porozmawiał krótko ze swoimi trzema żołnierzami po mandaryńsku, po czym znów zwrócił się do mnie.

– Pułkowniku, trudno mi w to wszystko uwierzyć. Ale nie tak dawno temu stacjonowałem na posterunku przy granicy z Mongolią. Teraz jestem w obcym okręcie kosmicznym tysiąc lat świetlnych od Ziemi. Definicja tego, co możliwe, zmieniała się tak wiele razy, że jestem gotów zaakceptować niemal każdą możliwość. Więc jeśli ta misja da nam choć niewielką szansę na uratowanie planety przed Kristangami, damy z siebie wszystko.

Cholera, jego angielski brzmiał lepiej od mojego.

– Dziękuję, pułkowniku Chang.

Przyjrzałem się pozostałym twarzom. Giraud rozłożył ręce w typowo francuskim geście.

– Lecimy zabijać Kristangów, tak? Wchodzę w to.

Simms i Adams spojrzały po sobie.

– A, co tam, my też – stwierdziła Simms. – Pułkowniku, tym razem to cała prawda, tak? Żadnych więcej niespodzianek? Sprzymierzylśmy się z gadającą puszką piwa, żeby zamknąć tunel czasoprzestrzenny? Skoro już odlecieliśmy, to zakładam, że nie ma potrzeby zachowywać poufności?

Skinąłem głową.

– Wiecie wszystko to, co ja. Nie obiecuję, że nie będzie dalszych niespodzianek, ale będą niespodziankami także dla mnie.

– Dlaczego my, sir? – spytał sierżant Thomson ze swoim idealnym brytyjskim akcentem. – Dlaczego nie zabrał pan tego całego Skippy’ego do kwatery głównej SEONZ, żeby oni się tym zajęli? Wysłali prawdziwe siły specjalne, SAS i tak dalej?

Chang i Simms jednocześnie parsknęli.

– Sierżancie – odezwał się Chang – SEONZ najpierw zajęłoby przynajmniej tydzień ustalenie, co należy zrobić. Potem, jako że woła unikać ryzyka, zapewne oddaliby naszego przyjaciela Ruharom albo Kristangom, zależnie od tego, kto w danym momencie kontrolowałby planetę, z nadzieją na przypodobanie się. Zresztą nie ma to wielkiego

znaczenia, bo SEONZ nie utrzymałyby tego w sekrecie. Chomiki i jaszczury szybko by się dowiedziały.

– Poza tym – dodałem – musimy lecieć już teraz, żeby wykorzystać sytuację. Ruharowie są zajęci obejmowaniem kontroli nad planetą, okręty skaczą w tę i we w tę, po okolicy wciąż kręcą się resztki sił Kristangów. Jeśli zaczekamy, Kristangowie się wycofają i będziemy musieli ukraść okręt Ruharom. A Ruharowie mają zbyt wiele okrętów wspierających się nawzajem, żebyśmy mogli się jednym wymknąć.

– Racja. – Thomson wydawał się usatysfakcjonowany odpowiedzią. – Jeszcze jedno pytanie, jeśli można. Dlaczego SI nazywa się Skippy?

Wyglądało, że to uniwersalne pytanie, sądząc po tym, ile osób zaczęło kiwać głowami.

– Ponieważ... – Uniosłem Skippy'ego na wysokość twarzy i spojrzałem na niego wilkiem. – Ponieważ, jak mówiłem, jest superinteligentny, superpotężny i jest superdupkiem. Chciał, aby nazywać go Panem Bogiem Wszchemmogącym, więc nazwałem go Skippy, żeby sobie za wiele nie wyobrażał.

– Przyznaję się do winy – dodał radosnym tonem Skippy.

– Nie przeszkadza mu, że nazywa go pan Skippy? – spytała Adams.

– Nie przeszkadza mi bycie nazywanym Skippym, nie musicie pytać pułkownika Joe, jestem osobą – odpowiedział Skippy. – Nie, nie obchodzi mnie, jak nazywa mnie banda zapchlonych małąp.

– Małąp? – spytał Putri. Starszy kapral Armii USA Randy Putri, nie szeregowiec Asok Putri z armii indyjskiej. Wiem, dla mnie to też mylące. Zamierzałem w przyszłości zerwać z tradycją i zwracać się do nich po imieniu.

– Myśli, że jest miły, gdy nazywa nas małąpami – wyjaśniłem. – Dla niego wszyscy jesteśmy bakteriami.

– Ha! – parsknął Skippy. – Chcielibyście być tak inteligentni jak bakterie!

– No tak – stwierdził Thomson. – To rzeczywiście niezły dupek.

Adams wyciągnęła język w stronę Skippy'ego. Nie spodziewałem się po niej takiego gestu.

– Co teraz, sir?

Westchnąłem z ulgą.

– Skippy, czy możesz wysłać schematy typowych okrętów Kristangów na wszystkie zFony i pokazać je tu na ekranie?

– Zrobione – odparł i uruchomił się ekran na ścianie za mną. – To typowa fregata Kristangów, rodzaj małego okrętu, który zapewne zostanie po nas wysłany.

Prawdziwy pułkownik odpowiadał za dowodzenie brygadą, co oznaczało planowanie operacji ofensywnych i obronnych dla tysięcy żołnierzy, łącznie z całym szkoleniem, logistyką, komunikacją i

koordynacją z siłami powietrznymi, artylerią i innymi jednostkami w okolicy. Sporządzanie i wykonywanie szeroko zakrojonych planów, dotyczących tysięcy ludzi i ogromnej siły ognia. Prawdziwy pułkownik przeszedł szkolenie, miał odpowiednie wykształcenie i lata doświadczenia, zanim zaczął dowodzić. Ja nie dysponowałem niczym takim.

Miałem jednak spore doświadczenie bojowe w ramach niewielkich jednostek. Doświadczenie zdobyte w buszu i, co ważniejsze, w wioskach i miasteczkach w północnej Nigerii. Zajęcie okrętu Kristangów oznaczało tego rodzaju walkę i uznałem, że przeczesywanie go pomieszczenie po pomieszczeniu było jak walka od domu do domu, od pokoju do pokoju. Amerykańskie wojsko nazywało tego rodzaju wojnę operacjami wojskowymi w terenie miejskim, a bazy wojskowe w całych Stanach zawierały sztuczne wioski do szkolenia żołnierzy, jak walczyć w takich ograniczonych przestrzeniach. W czasie zimnej wojny wioski te przypominały miejscowości w Europie Wschodniej, ze znakami na ulicach i budynkach w językach słowiańskich. Ostatnio jednak skupiono się na Bliskim Wschodzie, więc żołnierze szkolili się w miasteczkach o politycznie niepoprawnych nazwach jak Hadżystan. Bez względu na nazwę ani scenariusz, pod jaki budowano wioski, szkolono w nich żołnierzy, jak przeczesywać okolicę budynek po budynku i pokój po pokoju. W walce, w której często nie widać, do kogo się strzela, a wzywaniu wsparcia ze strony śmigłowców oznaczało szybkie wycofywanie się tak, aby rakiety Hellfire nie trafiały własnych żołnierzy.

Do zaplanowania ataku i przeprowadzenia namiastki szkolenia wyznaczyłem porucznika Girauda. Chang, Simms i Desai byli od niego starsi stopniem, ale Chang miał doświadczenie z artylerią, nie piechotą, Simms była oficerem logistycznym, a Desai pilotem. Można by uznać, że sierżant Adams, jako marine, byłaby odpowiednią osobą do planowania abordażu na wrogi okręt. Byłby to dobry pomysł w czasie wojny brytyjsko-amerykańskiej w 1812 roku, ale Korpus Marines nieco odwykł od tamtego czasu od abordaży. Zostaliśmy ja i Giraud jako oficerowie piechoty, a Giraud służył we francuskich siłach specjalnych. To, co wiedział o taktyce w działaniach niewielkich jednostek, a czego ja nie wiedziałem, nieco mnie przerażało, goście z sił specjalnych to nie lada twardziele. Musiałem przypominać mu, że nasza grupa to nie elitarni zabójcy, z którymi zwykle pracował, i że będziemy działać w nieważkości, bez szkolenia i nie znając się dobrze nawzajem.

Uznaliśmy, że będziemy musieli w dużej mierze improwizować, bo było zbyt wiele niewiadomych. Sam chciałem poprowadzić atak na centrum kontrolne, znajdujące się na tyłach mostka większości okrętów Kristangów, podczas gdy Giraud miał poprowadzić zespół na

maszynownię, zanim tamtejsza załoga zdąży uszkodzić napęd lub reaktor, albo nawet dokonać autodestrukcji okrętu. Plan ten został skrytykowany przez wszystkich obecnych, łącznie ze Skippym.

– Pułkowniku – oznajmiła Adams ze skrzyżowanymi na piersi rękami, co nie było prostym gestem w nieważkości – nie może pan biegać po okręcie wroga. Jest pan dowódcą. Musi pan zostać z tyłu i koordynować.

– Ma rację, pułkowniku Joe – dodał Skippy. – Mogę mówić ci, gdzie znajdują się twoi ludzie i Kristangowie i co robią, kontrolować części okrętu, ale ktoś musi mówić mi, czego ode mnie potrzebujecie. I gdzie mają iść twoi ludzie. Mój geniusz nie obejmuje koordynowania bandy małych w walce. Sam wiesz, do czego są zdolne i, co ważniejsze, do czego nie.

Mimo protestów, że mam doświadczenie na poziomie zespołu ogniowego i że lepiej będzie, jeśli to Giraud zostanie ze Skippym i będzie koordynować atak, zmuszony byłem przyznać im rację. Ostatecznie niewypowiedzianym przez nikogo decydującym czynnikiem było to, że dogadywałem się ze Skippym, on dogadywał się ze mną i nikt inny nie chciał użerać się z pyską obcą sztuczną inteligencją.

Giraud przeciwiczył z załogą plan symulowanego ataku na typową fregatę Kristangów, dzięki spekulacjom Skippy'ego co do tego, gdzie prawdopodobnie znajdować się będą jaszczury i jakie systemy na pokładzie będzie w stanie kontrolować. Zaskoczyło mnie, gdy Skippy powiedział, że nie może przejąć pełnej kontroli nad systemami komputerowymi fregaty, przynajmniej nie od razu. Kristangowie budowali okręty tak, by zapobiec możliwości zdalnego włamania. Bali się, że zrobią to ich patroni, cybernetycznie udoskonaleni Thuranie. Thuranie robili tak już wcześniej i Kristangowie nie zamierzali dać się nabrać na tę samą sztuczkę po raz drugi, czy raczej po raz setny, według Skippy'ego. Kristangowie robili się coraz lepsi we wzmacnianiu systemów komputerowych, ale technologicznie nadal stali o tyle niżej niż Thuranie, że nie umieli nawet wyobrazić sobie narzędzi używanych przez swoich patronów. Na szczęście dla nas Skippy przewyższał technologicznie Thuranów na tyle, na ile Thuranie przewyższali ludzi. Czy też, jak taktownie mawiał Skippy, mały, które na chwilę zeszły z drzew.

Kluczowe dla planu było to, że musieliśmy dosłownie podłączyć Skippy'ego do okrętu, aby nawiązał fizyczne połączenie z siecią i uzyskał dostęp do całej jednostki. Wtedy mógł przesłać podprogram samego siebie do wszystkich węzłów kontrolnych. Najpierw musieliśmy jednak jakoś wpiąć do niej zFona. Na szczęście na pokładzie dodo znajdowały się odpowiednie kable i przejściówki. Niestety, dotarcie do gniazda znajdującego się najbliżej obu hangarów fregaty wymagało nieco zachodu. A sztuczka Skippy'ego z unieszkodliwieniem broni, jak zrobił z

karabinami Ruharów, nie działała w przypadku Kristangów, bo Kristangowie nie ufali tego rodzaju technologii i ich broń obywatela się zwykle bez zaawansowanej elektroniki.

Plan Girauda zakładał skupienie całego dwudziestodwuosobowego oddziału szturmowego na nawiązaniu połączenia, a następnie podzielenie go na dwie grupy, jedną dowodzoną przez Girauda, a drugą przez Changa. Do Girauda przydzieliłem sierżanta Thomsona, a sierżant Adams miała iść z Changiem i chińskim sierżantem. Widziałem, że moi ludzie w pełni rozumieją, iż wpięcie zFona do odpowiedniego gniazda było kwestią życia i śmierci nie tylko dla nas, ale potencjalnie dla całej ludzkości. Nie trzeba było wygłaszać inspirujących przemówień. Kazałem wszystkim coś zjeść, wypić i odpocząć. Giraud zgodził się, dodając, że chciał, aby załoga zapamiętała rozkład typowych fregat i niszczycieli Kristangów, z których na szczęście każda klasa miała tylko dwa standardowe typy. „Wyobrażajcie sobie rozkład pomieszczeń w głowie raz za razem i powtarzajcie, aż stanie się to instynktowne, wdrukowane w waszą pamięć przestrzenną” – mówił.

– Chyba mamy na tyle dobry plan, na ile to możliwe – powiedziałem Giraudowi, gdy jedliśmy po batonie energetycznym. Czekanie na przylot wrogiego okrętu na dodo dryfującym z dala od Paradise działało wszystkim na nerwy.

Giraud teatralnie wzruszył ramionami.

– Plany to początek, nic więcej.

– Żaden plan nie przetrwa kontaktu z wrogiem, tak? Von Moltke to powiedział. – Nauczyłem się tego w armii.

Giraud zmarszczył nos.

– Von Moltke nauczył się tego od Napoleona. Bonaparte naciskał na elastyczność i wykorzystywanie szans na polu bitwy zamiast trzymania się szczegółowych planów. – Wskazał na Skippy’ego. – Żaden plan SEONZ nie mógłby przewidzieć tej szansy.

*

Na pokładzie dodo nie było miejsca na prywatność poza nieważkościową łazienką, która była w ciągłym użyciu. Gdy Skippy dał mi znać, że chce porozmawiać półprywatnie, podleciałem do ciasnego kokpitu i złapałem się prawego fotela.

– Co jest, Skippy?

– Chciałem tylko powiedzieć dla odmiany coś miłego i nie chciałem, żeby ktoś mnie usłyszał, bo to by zaszkodziło mojej reputacji.

Reputacji? Skąd mu się to wzięło?

– Jasne. – Nie wiedziałem, jak zareagować.

– Twój gatunek wyjątkowo łatwo przystosowuje się do okoliczności.

Zdolność przyjmowania nowych informacji, koncepcji, nieuciekania z krzykiem lub paraliżu w obliczu szokujących zmian jest, niestety, zbyt rzadka wśród inteligentnych gatunków. Spodziewałem się kłopotów, gdy wyjawiałeś prawdę o mnie i naszej misji, ale twoi ludzie zaskakująco szybko zaakceptowali nową sytuację.

Skippy nie brał pod uwagę tego, że załoga składała się z żołnierzy. W wojsku trzeba liczyć się z tym, że w środku misji wszystko może zmienić się o sto osiemdziesiąt stopni. Pewnego razu w Nigerii leciałem blackhawkiem tuż nad drzewami. Było wpół do czwartej nad ranem. Mieliśmy najechać obozowisko bandziorów, kiedy nasz porucznik dziesięć minut po starcie odebrał komunikat radiowy. Bandziory zawarły sojusz i teraz były po naszej stronie, a misja polegała na chronieniu naszych nowych kumpli przed innymi bandziorami, którzy przedzierali się przez dżunglę, żeby ich zabić. Najwyraźniej fanatyczne świry uznały ich za zdrajców, bo nie byli dostatecznie fanatycznymi świrami. Więc wylądowaliśmy i zaczęliśmy chronić gości, do których strzelaliśmy dzień wcześniej. Oczywiście wszystko to tak naprawdę było waśnią plemienną i obie strony próbowały zastawić na nas pułapkę. Gdy się ewakuowaliśmy, musieliśmy wezwać lotnictwo, aby rozwiązało sytuację dyplomatycznie za pomocą napalmu, bomb kasetowych i paliwowo-powietrznych. Gdy sytuacja się zmienia, nawet radykalnie, to patrzysz na kumpli, wzruszasz ramionami i dostosowujesz się do okoliczności. Tak się robi jako żołnierz. Cywile oburzają się, kiedy zmieni się menu w ich ulubionym barze.

– Nie zrozum mnie źle, wielu przedstawicielom twojego gatunku brakuje zdolności przetwarzania nowych faktów i dostosowywania się, ale dotyczy to głównie ludzi starszych, których mózgi nie radzą sobie już tak dobrze z nowymi informacjami. Albo są po prostu leniwi. Ale w przypadku niektórych gatunków nawet młodzi mają problemy z faktami niezgodnymi z ich sztywnymi systemami wierzeń. Jestem pod wrażeniem. Proszę, powiedziałem to.

– Więc nie jesteśmy tylko bakteriami?

– Nie przeginaj. Jesteście teraz bakteriami z potencjałem.

*

Trzydzieści siedem minut później w kokpicie rozległ się alarm.

– Doskonale! – ogłosił Skippy. – Dwa okręty Kristangów właśnie tu skoczyły, fregata i niszczyciel. Fregata wysyła nam sygnał naprowadzający.

– Gdzie? – spytałem z niepokojem. Skippy wyświetlił na ekranie naszą pozycję względem Paradise, dwa okręty Kristangów i różne jednostki Ruharów.

– Wprowadziłem kurs do systemu nawigacyjnego.
– Mam, sir – potwierdziła Desai. – Trzymajcie się mocno, uruchamiam autopilota.

Złapałem się siedzenia, zawyły silniki i ruszyliśmy naprzód.

– Skippy, jak daleko? Ile zostało nam do zadokowania? – spytałem, przyglądając się ekranowi. Kilka okrętów Ruharów znajdowało się niepokojąco blisko.

– Fregata Kristangów przyspiesza w naszą stronę i spotkamy się za trzy minuty i sześć przecinek trzy sześć siedem cztery dziewięć sekund. W przybliżeniu.

W przybliżeniu? Adams i ja spojrzeliśmy po sobie z rozbawieniem.

– Hmm... – Skippy wydał z siebie niezłą imitację pomruku. – Pilot jaszczurów niezłe nawiguje, skok był na tyle bliski, na ile pozwala ich technologia. Musiało im się poszczęścić, żaden jaszczur nie jest na tyle inteligentny. Pułkownikowi Joe, wygląda na to, że dwa okręty Ruharów przygotowują się do krótkodystansowego skoku, aby przechwycić fregatę Kristangów. Nie byłem w stanie zamaskować ich przybycia, bo Ruharowie zdaliby sobie sprawę, że z ich czujnikami jest coś nie tak.

– Widzą nas?

– Nie, śledzą fregatę. Niszczyciel Kristangów nas osłania.

– Świetnie. I jesteś pewien, że gdy znajdziemy się na pokładzie fregaty i ona wykona skok, będziesz w stanie złamać jej system nawigacyjny tak, że skoczmy w inne miejsce niż niszczyciel?

– Co? Nie, powiedziałem ci, że muszę się fizycznie połączyć, zanim obejmiemy jakąkolwiek kontrolę nad okrętem. Nie słuchałeś mnie?

Co, do cholery?

– Skippy, co ty pierdolisz? Mówiłeś, że potrafisz.

– Powiedziałem, że będę w stanie sprawić, aby okręt, na którym się znajdziemy, zabrał nas w inne miejsce niż okręty, które go eskortują.

– Tak, no i? Nie musisz...?

– Ha, ha, ha-ha! Jesteś taki pocieszny, pułkownikowi Joe. Myślisz, że muszę włamać się do komputera jaszczurów, żeby majstrować przy ich napędzie? Skąd! Zakrzywię czasoprzestrzeń w ostatniej pikosekundzie, aby ich napęd skokowy zboczył z kursu.

– Potrafisz zakrzywiać czasoprzestrzeń? – spytała z niedowierzaniem Simms.

– Aha – odparł od niechcienia Skippy. – To takie hobby. Próbowiałem zbierać znaczki, ale grzebanie w strukturze wszechświata dużo bardziej mnie odpręża.

Simms uniosła brew i spojrzała na mnie wzrokiem mówiącym, że rozumie już, czemu nazwałem go Skippy.

Fregata robiła się coraz większa na ekranie, aż w końcu znalazła się tuż przy nas, z otwartym hangarem. Skippy pozwolił jej przejąć kontrolę nad systemem nawigacyjnym dodo i wciągnąć nas na pokład. Drzwi do hangaru zaczęły się zamykać, dopiero w chwili gdy fregata skoczyła.

– Musimy się pospieszyć – ostrzegł mnie Skippy. – Właśnie skoczyliśmy, zepchnąłem nas z kursu i powstrzymuję okręt przed wytworzeniem kolejnego pola skoku. Kristangowie wiedzą, że coś jest nie tak. Na razie myślą, że to problem z silnikiem, ale to nie potrwa długo.

Drzwi do hangaru zamykały się boleśnie powoli, aż w końcu usłyszeliśmy huk wpuszczanego do środka powietrza. Gdy ciśnieniomierz wskazał osiemdziesiąt procent, otworzyliśmy boczne drzwi i tylną rampę. Miałem zatkałe uszy i czułem pulsujący ból, który trudno było zignorować.

– Kamera jest pod moją kontrolą. Udało się – oznajmił Skippy. – Kupują naszą bajkę. Zewnętrzne drzwi odblokowane.

Skippy przejął kontrolę nad czujnikami w hangarze i przekazywał im fałszywe dane oraz wyświetlał kamerom zmodyfikowany obraz. Rozmawiał też przez radio z załogą mostka. Przez bajkę rozumiał to, że fałszywy obraz, który Kristangowie widzieli przez kamerę, był dla nich ekscytujący i kuszący. Oddział specjalny Kristangów wychodzący z przejętego od wroga dodo z wyjątkowym okazem technologii Pradawnych, znalezionym rzekomo na Paradise. Według Skippy'ego był to konwerter energii bąbelkowej, urządzenie pozyskujące darmową energię z fluktuacji piany kwantowej czy coś takiego.

– To prymitywna technologia, coś jak niewyczerpująca się bateria. Zaufaj mi, to zrobi wrażenie na głupich jaszczurach – wyjaśnił Skippy.

Cóż, w każdym razie rzeczywiście zrobiło. Załoga mostka otworzyła drzwi do wnętrza okrętu i przelecieliśmy przez hangar w nieważkości. Tylko kilka osób nie trafiło i musieliśmy ich złapać, zanim odbili się od ścian i odlecieli gdzieś dalej. Jako że załogi fregat Kristangów są niewielkie, a Skippy ustalił, że w tej brakuje dwóch standardowych członków, w hangarze nikt na nas nie czekał. Załoga mostka powiedziała Skippy'emu, że kogoś po nas wysyłają, a reszta gorączkowo pracowała nad ustaleniem, dlaczego ich napęd skokowy nie działa.

Giraud otworzył drzwi do służby. Wystarczyło wdusić przycisk obok nich. Wewnątrz trzymałem Skippy'ego w ręce i włożyłem wtyczkę do gniazda w służbie, podczas gdy Giraud wybrał sekwencję przycisków w panelu sterowania, wymuszającą otwarcie drzwi wewnętrznych, podczas gdy zewnętrzne wciąż były otwarte. Był to niebezpieczny moment, bo przy otwarciu obojga drzwi rozlegał się alarm, którego na razie nawet Skippy nie potrafił wyciszyć. Wewnętrzne drzwi z hukiem otworzyły się i zawyła syrena. Dwadzieścia dwie osoby z grupy

abordażowej precyzyjnie się przez służbę do korytarza tak szybko, jak to możliwe, i gdy tylko ostatnia z nich przeszła, uderzyłem pięścią w przycisk, który zamknął zewnętrzne drzwi i wyłączył alarm. To stanowiło sygnał dla Desai, by ruszyć dodo, a dla zespołu abordażowego, aby rozdzielić się i ruszyć w stronę mostka i maszynowni.

Najważniejsze zadanie należało do mnie – podłączyć Skippy'ego do gniazda w ścianie. Do gniazda, którego przez paniczne, trwające wiecznie dwie sekundy nie mogłem znaleźć. Na swoją obronę mogę powiedzieć, że unosiłem się do góry nogami przy suficie, próbując usuwać się z drogi grupie abordażowej, podczas gdy dostawałem od nich łokciami, a raz nawet butem w twarz. Wszyscy niezdarnie poruszaliśmy się w nieważkości, jako że nikt z nas nie przeszedł szkolenia w walce w takich warunkach i nie mieliśmy okazji poćwiczyć. Na pokładzie dodo kazałem wszystkim poza pilotami ćwiczyć przewroty, kontrolowane lądowania na ścianach, odpychanie się rękami i nogami. Ale nie było tam dość miejsca ani czasu na to, żeby ktokolwiek miał pewność, iż umie więcej, niż powstrzymać wymioty.

W końcu zauważyłem gniazdo, w tym samym czasie usłyszałem wystrzały. Kristang będący w drodze do hangaru musiał zauważyć pierwszy oddział abordażowy. Rozpoznałem szum broni Ruharów i ciężki terkot karabinów Kristangów. Po chwili słyszałem tylko szum. Ignorując odgłosy, skupiłem się na zadaniu. Wyjąłem wtyczkę z ust i ostrożnie wcisnąłem ją do gniazda.

– Wszedłeś?

– Zaraz – tak brzmiała jedyna jego odpowiedź i zważywszy na to, jak błyskawicznie przetwarzał dane, nieco mnie to zaniepokoiło. W końcu powiedział: – Wszedłem. Jest dobrze. Systemy okrętu są pod moją kontrolą. Otwieram drzwi do hangaru. – Nastąpił wstrząs, gdy Skippy użył procedury awaryjnej, by nagle otworzyć drzwi na zewnątrz, zamiast powoli rozsunąć je na boki. Nie mogliśmy czekać na standardową procedurę rozszczelniania. – Dodo jest w ruchu.

Okrętem nagle szarpnęło, a ja uderzyłem o ścianę. Skippy twierdził, że ma kontrolę, okręt nie mógł się poruszyć!

– Co to, do cholery...

– Dodo zderzyło się z drzwiami hangaru. Doszło do poważnych uszkodzeń, ale jest wciąż zdadne do użycia.

Desai źle wycelowwała, kierując sprzętem, z którym nie była jeszcze dobrze obeznana. Skippy uznał jednak, że dodo wciąż może spełnić swoją misję, czyli polecieć na przód fregaty i ostrzelać mostek. Kristangowie, przyzwyczajeni do piractwa między klanami, zaprojektowali okręty z myślą o abordażach, chociaż na myśli mieli raczej innych Kristangów, a nie prymitywnych Ziemian.

Drzwi mostka były mocno opancerzone, na tyle, że przebicie się przez

nie mogłoby zdehermetyzować okręt. Dopóki Kristangowie znajdowali się za nimi, dopóty mogli powstrzymać nas przed przejściem fregaty, a nawet dokonać autodestrukcji, mimo starań Skippy'ego. Przejście mostka okrętu Kristangów było niemal niemożliwe.

Więc nie zamierzaliśmy go przejmować, tylko zniszczyć od zewnątrz. Jeśli dodo nadal było funkcjonalne, jeśli Desai była w stanie pilotować i celować na tyle dobrze, by trafić w mostek, nie niszcząc przy tym reszty okrętu. Jeśli. Spore jeśli.

Słyszałem strzały z przodu i z tyłu, ludzie krzyczeli, ktoś odpalił granat hukowo-błyskowy, po czym okrętem znów gwałtownie zatrzęsło. I jeszcze raz. I jeszcze.

– Kapitan Desai udało się zniszczyć mostek. A także część dziobu okrętu i dziesięć metrów za mostkiem na sterburcie.

– Cholera! Jest bardzo źle?

– Sprawiała się dobrze, zważywszy na brak doświadczenia – odparł Skippy. – Dodatkowe uszkodzenia będą stanowić przekonujący dowód, że okręt trafił na zamaskowaną minę Ruharów, ale nie wpłyną na funkcjonowanie okrętu w ramach naszych celów.

Mówi się, że najtrudniejszą rolę w walce ma dowódca, bo po sporządzeniu planów i wyszkoleniu ludzi musi siedzieć i patrzeć, nie mogąc szczególnie wpłynąć na wynik starcia. W moim bardzo ograniczonym doświadczeniu to powiedzenie to gówno prawda. Dowódca nie ma najtrudniejszego zadania, najtrudniejsze jest zadanie ludzi z karabinami, wystawionych na ogień nieprzyjaciela. Oni walczą i giną, to jest najtrudniejsza robota. Praca dowódcy jest najbardziej samotna, sprawia, że człowiek czuje się winny i bezużyteczny, bo nie walczy na froncie i nie pomaga bezpośrednio. Po zakończeniu walki zawsze czułem, że mogłaby pójść lepiej, gdybym tam był, że może wypatrzyłbym wroga i ostrzegł kogoś, zanim dostanie, może zabiłbym jakiegoś nieprzyjaciela, zanim dopadnie kogoś z naszych. Może zmieniłbym coś na lepsze. Albo po prostu dał się zabić. W każdym razie coś bym robił. A zamiast tego po podłączeniu SI trzymałem się ściany i za pomocą zFona próbowałem śledzić wynik walki na obu frontach. Wyglądało to chaotycznie i nie mogłem się zorientować w sytuacji do chwili, gdy walka dobiegła końca. Tyle jeśli chodzi o moje „dowodzenie”.

Nasze straty wyniosły czterech zabitych i trzech poważnie rannych. Czterech zabitych i trzech rannych spośród dwudziestu jeden walczących. Straciliśmy jedną trzecią siły bojowej. W jednej bitwie.

Fregata była nasza. Giraud stracił tylko jednego ze swoich w akcji w centrum kontroli. Szeregowy Arun Kurien z indyjskiej armii zginął zastrzelony przez jednego z dwóch Kristangów blokujących przejście. Reszta ofiar była w oddziale Changa, który zajął maszynownię. Mieli najtrudniejsze zadanie, bo musieli zabić pięciu zdesperowanych

Kristangów. Trzech zabili w początkowej strzelaninie, która wzięła ich z zaskoczenia, ale z pozostałymi dwoma poszło trudniej. Jeden z nich zdążył założyć pancierz wspomagany, mimo że Skippy zablokował drzwi do szafki, gdzie trzymano sprzęt. Kristang miał na sobie niemal kompletny pancierz, gdy troje ludzi zaczęło na ślepo strzelać do wnętrza pomieszczenia, osłaniając Changa, który wrzucił tam granat. Kristang był twardy, wyeliminowanie go wymagało skupionego ognia.

Najgorszy był ostatni jaszczur. Musiał zdać sobie sprawę, że został tylko on, mimo że Skippy wyłączył ich system komunikacyjny. Postanowił wysadzić okręt. Skippy ostrzegł Changa, że musi natychmiast powstrzymać przeciwnika, zanim ten otworzy obudowę bezpieczeństwa reaktora. Skippy robił, co w jego mocy, ale wylot plazmy reaktora był sterowany ręcznie.

Chang powiedział mi potem, co się stało. Gdy oddział już stracił dwoje ludzi, próbujących dorwać Kristanga w ciasnej przestrzeni, w której się schował, sierżant Yu Quishan wyciągnął zawleczeni z dwóch granatów i rzucił się za róg. Kristang strzelił mu w głowę i Quishan zginął na miejscu. Lecz granaty wybuchły, zabiły jaszczura i zrobiły dziurę w kadłubie, wysysając zarówno Kristanga, jak i sierżanta Yu w kosmos. Niemal wyssało też większość oddziału Changa, ale właz zamknął się automatycznie, co zapobiegło dalszej utracie powietrza.

– Wiedział, że przetrwanie ludzkości zależy od powstrzymania tego Kristanga przed zniszczeniem reaktora – mówił Chang, jakby chciał mnie pocieszyć, chociaż zginął jeden z jego ludzi. – Wykonał swój obowiązek. Oddamy mu należną cześć, gdy wrócimy do domu.

Miał rację. Ale i tak czułem się z tym beznadziejnie.

*

Po bitwie Skippy otworzył drugi hangar, aby uszkodzone dodo mogło wlecieć do środka. Wstrząśniętą Desai zaprowadziłem natychmiast do centrum kontrolnego na szybki kurs sterowania fregatą Kristangów. Początkowo chciałem zarządzić przerwę, poczekać, aż wszyscy dojdą do siebie, i przede wszystkim opatrzyć rannych. Simms i Skippy przekonali mnie jednak, żeby od razu przejść do kolejnej części planu. Nie mieliśmy ani chwili do stracenia. Simms zapewniła mnie, że zajmie się rannymi. Zaniesiono ich do ambulatorium fregaty i niewiele mogłem pomóc. Zważywszy na nasze skromne zasoby medyczne, nikt z nas nie mógł wiele zrobić. Skippy powiedział, że najbardziej im pomoże, jeśli postąpimy zgodnie z planem i przejmemy lotniskowiec gwiazdny Thuránów, gdzie ranni będą mogli skorzystać z niesamowicie zaawansowanej technologii medycznej kosmitów, dzięki której możliwe było nawet odrastanie kończyn. Przełknąłem jakoś dumę i pozwoliłem

ludziom robić swoje.

Desai, wciskając przyciski pod pieczę Skippy'ego, zaprogramowała skok. Rozejrzałem się ze zdumieniem po centrum kontrolnym. Mieliśmy okręt. Okręt międzygwiazdny. My, brudne, prymitywne mały z Ziemi.

Cholera jasna.

12. WESOŁA BANDA PIRATÓW

– Udało się? – spytałem Desai.

– Sir?

– Skok. Udał się? Skoczyliśmy gdzie trzeba?

Gwiazdy na ekranie zmieniły się. A przynajmniej tak mi się wydawało. Jeden widok z okrętu kosmicznego niewiele różnił się od drugiego. Nie było jak w filmach fantastycznych, gdzie wszystkie okręty zdawały się podświetlone przez wielkie, kolorowe mgławice. Główny ekran niewiele pomógł, bo nie miałem punktu odniesienia. Byliśmy małą kropką pośród pustki przed skokiem, teraz byliśmy małą kropką pośród pustki po skoku. Mogła to być równie dobrze ta sama pustka.

Desai rozłożyła ręce i wskazała na wyświetlacze.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Panie Skippy?

– Co? A, przepraszam. Byłem zajęty. Tak, udało się. Oczywiście, że się udało. Inaczej bym wam powiedział. Przesyłałem nasze kody identyfikacyjne. Nie wykrywam jeszcze w okolicy innych okrętów.

– Czy mogły już odlecieć? Spóźniliśmy na umówione spotkanie? – spytała Simms.

– Tak, spóźniliśmy się na początkowe miejsce spotkania, ale to alternatywne miejsce. Czujniki okrętu działają z prędkością światła i dopiero tu przybyliśmy, więc... a, jest! Mam sygnał z lotniskowca gwiazdowego Thurarów. Pilot, umieściłem w systemie nawigacyjnym nowy kurs.

– Panie pułkowniku? – Desai spojrzała na mnie.

– Wykonać – rozkazałem.

Musiałem wymyślić na te okazje coś oryginalnego. Niestety, „prędkość warp pięć” nie wchodziła w grę. Okręt obrócił się o czterdzieści pięć stopni, przez co zakreśliło mi się nieco w głowie, i uruchomił silniki. I to mocno. Dobrze, że wszyscy byli przypięci. Cholera, czułem się, jakby ktoś siedział mi na klatce piersiowej. Nasi ranni musieli czuć się jeszcze gorzej.

– Skippy – jęknąłem – czy to konieczne?

– Nie robię tego na pokaz. Thuranie chcą skoczyć jak najszybciej. Kazali nam lecieć z maksymalną prędkością. Wkrótce obrócimy się i zaczniemy decelerację, więc lepiej mocno się trzymajcie. Poza tym, gdy znajdziemy się w odległości połowy sekundy świetlnej, Thuranie przejmą kontrolę nad naszym systemem nawigacyjnym, aby sprowadzić nas bezpiecznie do doku. To standardowa procedura. Systemy nawigacyjne okrętu operują w ramach jednego z moich podprogramów tak, aby Thuranie uważali, że mają pełen dostęp. Ale nie będą go mieli.

– Skąd wiemy, czy Thuranie przyjmą nasze kody identyfikacyjne? –

spytał Chang.

– Już to zrobili. Rozmawiam teraz z nimi i z lokalnym dowódcą Kristangów. To powolna konwersacja, bo sygnał podróżuje z prędkością światła. Uwierzyli w naszą historię o zboczeniu z kursu przez zamaskowaną minę Ruharów, widzą uszkodzenia. Uwaga, tracimy ciąg za trzy, dwie, jedną, już. Będziemy dryfować przez dwanaście minut, a następnie się obrócimy. Dobra rada: to świetny moment na skorzystanie z łazienki.

Przez interkom powiadomiłem załogę o tym, co się dzieje.

Dwanaście długich minut dryfowaliśmy w kosmosie w stronę przewyższającego nas technologicznie wrogiego okrętu, który mógłby nas zgnieść jak muchę. Miałem nadzieję, że Skippy wie, co robi.

Inaczej niż w przypadku ataku na fregatę Kristangów nasz plan zdobycia lotniskowca Thuranów zależał całkowicie, w stu procentach od Skippy'ego. My, ludzie, po prostu mieliśmy czekać, aż SI przejmie kontrolę nad wszystkimi systemami.

Według Skippy'ego cybernetyczna natura Thuranów sprawiała, że zależeli w znacznym stopniu od usieciowionych komputerów. Komputerów, które obsesyjnie zabezpieczali przed wszelkimi sposobami hakowania. Wszelkimi poza Skippym. Nawet Maxolhxowie, ich patroni, mieli problemy ze złamaniem zabezpieczeń Thuranów, ale technologia Pradawnych wykraczała poza najśmielsze sny Maxolhxów.

Przynajmniej tak twierdził Skippy.

Skippy, starożytna, obca SI, której do końca nie ufałem. Nie żebym nie wierzył, że zrobi to, co twierdził, że zrobi, bo potrzebował nas tak samo, albo i bardziej niż my jego. Ufałem jego zdolnościom, ale nie ocenie sytuacji. Był niewiarygodnie arogancką i rozkojarzoną dupkowatą puszką piwa. Więc wymyśliliśmy plan zapasowy, mimo że Skippy prychnął, że jest niepotrzebny.

Plan B, gdyby Skippy'emu nie udało się przejąć kontroli nad lotniskowcem, zakładał, że Desai wyłączy autopilota i wykona awaryjny skok, którego koordynaty Skippy z niechęcią wprowadził do systemu nawigacyjnego.

Po takim skoku Thuranie i Kristangowie dowiedzieliby się, że z naszą fregatą jest coś nie tak, i oba gatunki nie pozwoliłyby, aby inny samotny okręt Kristangów zbliżył się bez dokładnej inspekcji do jednostki Thuranów. Plan B oznaczał więc rezygnację z szans na przejęcie okrętu Thuranów, a co za tym idzie na dotarcie do tunelu czasoprzestrzennego. Co oznaczało, że musielibyśmy wtedy zdać się na patronów Ruharów, owadowatych Jeraptha. Musielibyśmy wrócić w okolice Paradise, porzucić fregatę Kristangów i dzięki maskowaniu sensorów przez Skippy'ego zbliżyć się do okrętu Ruharów w naszym dodo.

Problem w tym, że siły Ruharów trzymały się blisko planety, więc

znalezienie okrętu bez towarzystwa stanowiłoby problem. Zwłaszcza że teraz Ruharowie zapewne dowiedzieli się, iż jedno z ich dodo ukradli ludzie, i żaden okręt nie pozwoliłby się zbliżyć podejrzanemu jednostce.

Nie był to świetny, ani nawet dobry plan... No dobra, nie był nawet średni, ale i tak wydawał się lepszy niż pierwotny plan B, który zakładał przemknienie się z powrotem na Paradise, porzucenie dodo i zaszywanie się gdzieś w głuszy. Skippy nie był szczególnym zwolennikiem tego wariantu, bo oznaczał porzucenie jego marzenia o kontakcie z Kolektywem. Ja też za nim nie przepadałem, gdyż oznaczał porzucenie marzenia o zjedzeniu jeszcze w życiu cheeseburgera.

Gdy silniki znów się uruchomiły, wbiły nas w fotele z przyspieszeniem wynoszącym według Skippy'ego cztery i siedem dziesiątych g na ponad dwie minuty hamowania. Nie miałem pojęcia, jak astronauta znosił latanie w kosmos w rakietach z napędem chemicznym. Ułożyłem szyję pod złym kątem, gdy zaczęła się deceleracja, i musiałem podnieść rękę, by przesunąć głowę w odpowiednią pozycję. Nadal bolało. I miałem problemy z oddychaniem.

Skippy musiał wyczuć nasze zmieszanie, bo główny ekran nagle pokazał coś dużo bardziej przydatnego: na jego środku pojawił się lotniskowiec Thuránów. Kropka przedstawiająca nasz okręt znalazła się na krawędzi wyświetlacza, a przerywana linia wskazywała kurs. Z boku wyświetliły się liczby oznaczające czas do zbliżenia i prędkości obu okrętów. Nic z tego nie miało w tej chwili większego znaczenia, jednak dawało nam poczucie może nie kontroli, ale chociaż wiedzy o sytuacji.

Okręt nagle przestał hamować, po czym znów zaczął, tylko nieco wolniej.

– Thuranie przejęli kontrolę nad nawigacją. Skierują nas do doku.

– Jesteśmy pół sekundy świetlnej od celu? – Nie miałem pewności, trudno mi było pojąć odległości w tej skali.

– Nie, ćwierć sekundy. Próbowali przejąć kontrolę wcześniej, ale udało mi się udzielić im pomocy w wyniku uszkodzeń po wybuchu miny. Gdybym nie pozwolił im myśleć, że mają kontrolę, przerwaliby operację. Thuranie nie ufają Kristangom na tyle, by pozwolić im na swobodne dokowanie. Przeprowadzają diagnostykę naszych systemów i mówią im to, co chcą usłyszeć.

Według ekranów mieliśmy dotrzeć do celu w ciągu czterech minut. Pojawił się też zarys okrętu, który nie był już tylko kropką. Znajdowaliśmy się blisko, bardzo blisko.

– Pilot, czekać na mój sygnał przerwania lotu. Skippy, kiedy możesz zrobić swoje?

– Swoje?

– Swoją magiczną sztuczkę. Przejął systemy komputerowe Thuránów – wyjaśniłem niecierpliwie. Co innego mogłem mieć na

myśli?

– A, to. Jesteśmy w zasięgu. Hmm... to będzie trudniejsze, niż się spodziewałem. Może zabrać nieco więcej czasu. Cholera.

– Na ile trudniejsze? – spytałem zaniepokojony. Simms siedziała na fotelu za mną i chociaż nie widziałem kobiety, czułem jej napięcie.

– Cóż, szczerze mówiąc – odparł Skippy – nigdy do tej pory nie miałem kontaktu z systemem Thuranów, jako że przesiedziałem jakiś milion lat na Paradise. Muszę improwizować.

– Co? Ja pierdołę, Skippy, ty mały gnojku! Milion lat? Jak niby możesz rozumieć technologię Thuranów, skoro nigdy jej nie widziałeś? Powiedziałeś, że zrobisz to bez problemu! Żołnierz w czasie bitwy musi wiedzieć, że jest w stanie liczyć na towarzyszy. Powinieneś nam powiedzieć, że nie wiesz, czy włamiesz się do ich systemów. Cholera jasna! Pilot, przerwij...

– Zaczekaj! – krzyknął Skippy. – Jest dobrze. Wszedłem.

– Co? – Przez przyływ adrenaliny dostałem zadyszki.

– Kiedy mówiłem, że zajmie mi to dłużej, niż się spodziewałem, chodziło mi o długość w magicznym czasie Skippy'ego, nie w czasie jaskiniowych mięsuchów, durny małpiszonie. Przejąłem pełną kontrolę nad lotniskowcem sto dwadzieścia milisekund po tym, jak to powiedziałem.

– Cholera, Skippy, czemu mnie nie powstrzymałeś?

– Brzmiało naprawdę niezłe, nie mogłem przerwać tak inspirującej tyrady. Widzę, że ze zwykłego trepa zostałeś szybko wysoko postawionym oficerem. Poza tym, szczerze mówiąc, w połowie przestałem słuchać. Możesz powtórzyć, ale bez tych nudnych części?

– Kurwa.

– No dobrze, to będzie musiało poczekać, właśnie dokujemy. Poprosiłem okręt, żeby przydzielił nam dok w przedniej części. Bez specjalnej dopłaty.

– Skippy – wycedziłem przez zęby, po czym stwierdziłem, że nic, co powiem, nie zrobi różnicy.

Fregatą nieco zakołysało, przechyliła się na bok i usłyszeliśmy brzęk. Skippy ogłosił, że zadokowaliśmy. Powoli wracała grawitacja.

– Bezpieczne lądowanie. Pozostańcie przypięci, niedługo skaczymy.

– Myślałem, że nie możesz kazać okrętowi skakać, kiedy jesteś na pokładzie fregaty – zauważył Chang, zdezorientowany. – Nie musimy mieć fizycznego dostępu do systemu nawigacyjnego Thuranów, żeby skoczyć?

– Co? Nie, nie tym razem. Thuranie już zaprogramowali skok w systemie nawigacyjnym i włączyli odliczanie. Pozwalam ich systemowi działać. Zakrzywię czasoprzestrzeń, abyśmy zboczyli z kursu, jako że skok w środek grupy bojowej Thuranów byłby nieco niewygodny. Chyba

że coś przeoczyłem? – spytał z arogancją w głosie.

– Nie, brzmi dobrze, dziękuję – odpowiedział Chang.

– I trzy, dwa, jeden, skok. Już. Skoczyliśmy jedną trzecią roku świetlnego od zamierzonego punktu wyjścia. Zarządziłem ciszę radiową na lotniskowcu i to samo rozkazałem Kristangom. Cholera, co za nieznośny jaszczur. Dowódca Kristangów zauważył, że nie skoczyliśmy tam, gdzie powinniśmy, i chce wiedzieć dlaczego. Żąda też dostępu do naszego okrętu.

– Możesz go powstrzymać? – spytałem z niepokojem. Ostatnie, czego chciałem, to uzbrojeni Kristangowie idący przez okręt Thurarów i pukający do naszej śluz. Albo przylatujący lądownikiem do naszego hangaru.

– Tak, już go zrugalem. Thuranie nie patyczkują się ze swoimi gatunkami klienckimi. Kazałem mu się zamknąć i powiedziałem, że zmieniliśmy kurs, aby uniknąć pancernika Jeraptha, a fregata podlega kwarantannie. Nie podoba mu się to, ale wie, że nie ma wyboru.

– Dobrze, co teraz?

– Pułkownikowi Joe, jesteś dowódcą. Sugeruję wkroczyć na pokład lotniskowca i znaleźć osiemdziesięciu siedmiu członków thurańskiej załogi.

– Mamy walczyć z osiemdziesięcioma siedmioma uzbrojonymi cyborgami? – spytałem z niedowierzaniem. Ledwie pokonaliśmy parunastu Kristangów.

– Osiemdziesięciu siedmiu smacznie śpiących cyborgów. Kazałem ich implantom mózgowym uruchomić pozaplanowy cykl snu. W praktyce zapadli w śpiączkę – wyjaśnił Skippy. – Ha! I tym zielonym łbom wydaje się, że bycie cyborgiem to zaleta.

– Tak po prostu? – spytałem. – Mamy kontrolę nad okrętem? – Było to trochę rozczarowujące, ale nie narzekałem.

– Owszem. Tak po prostu. Oto magia Skippy’ego Wspaniałego. Tak naprawdę, jak na magię na moim poziomie, to nic wielkiego. Ale cóż, robi wrażenie na małpach, prawda?

Skinąłem głową.

– Ta małpa jest pod wrażeniem.

– Zgoda – dodał Chang.

– Ten człowiek jest pod wrażeniem – Simms podkreśliła słowo „człowiek”. – Pułkownikowi, byłam sceptyczna co do pańskiej lśniącej puszk, ale już nie jestem.

– To nie moja puszk, pani major – poprawiłem ją, zanim Skippy zdążył zaprotestować. – Jest bardziej rozumną istotą niż ktokolwiek z nas.

– Niż wy wszyscy razem – wtrącił Skippy.

Cholera, co za arogancka puszk!

*

Skippy zapewnił nas, że Kristangowie nie ośmielą się wejść na pokład okrętu Thuranów oraz że ich śluzy i tak są zamknięte, więc ostrożnie wyszliśmy przez naszą śluzę. Prowadził Giraud uzbrojony w broń Ruharów, w karabin HK416, standardowy we francuskich sił specjalnych, i torbę pełną granatów błyskowo-hukowych. Według Skippy'ego było to zupełnie niepotrzebne i zapewniał nas, że moglibyśmy wejść na pokład lotniskowca nawet nago. Chociaż prosił, abyśmy jednak mieli na sobie tyle ubrań, ile się da, aby nie razić jego delikatnych sensorów. Pokazałem mu oba środkowe palce i spytałem, co na to jego sensory. Nie odpowiedział.

Śluza fregaty otwierała się na pomieszczenie, które według SI stanowiło rodzaj windy. Jako że sztuczna grawitacja ciągnęła nas w „dół”, w kierunku osi lotniskowca, bez windy musielibyśmy schodzić po długiej drabinie. Winda była wystarczająco pojemna dla całej naszej załogi, a tym bardziej dla dwunastki, którą wybrałem na wstępną misję rozpoznawczą.

W kabinie wyczuwało się dziwny zapach. Wciągnąłem powietrze nosem.

– Skippy, czy to powietrze jest zdatne do oddychania? – spytałem nieco za późno, jak na tak ważne pytanie. – Śmierdzi jak... jak piwnica w domu moich dziadków.

– Hm, tak, powietrze jest dobre. Nieco zatęchłe, bo Thuranie niemal nigdy nie wpuszczają brudnych, ohydnych innych gatunków na pokład swoich okrętów. Według bazy danych ta konkretna winda ostatnio była w użyciu trzydzieści osiem lat temu.

– Ten dok znajduje się przy dziobie okrętu. Czy okręty Thuranów normalnie go nie używają? – spytałem.

– Jesteś bardzo spostrzegawczy, pułkowniku Joe. Okręty Thuranów używają tego doku, ale korzystają z innej śluzy, dzięki czemu nie muszą dotykać powierzchni potencjalnie zanieczyszczonych przez niższe gatunki. Śluzy na okrętach Kristangów celowo nie łączą się z thurańskimi.

– Założę się, że Thuranie nie częstują gości ciepłymi napojami – powiedziała sierżant Adams bez cienia humoru. Była spięta i trzymała palec przy spuście ruharskiej broni. Karabiny na mój rozkaz nie były ustawione na ogłuszanie. Uznałem, że jeśli Skippy się pomylił i natkniemy się na przytomne cyborgi, ogłuszanie to za mało.

Winda dotarła na „dół” przy osi okrętu i otworzyły się drzwi wychodzące na długi korytarz. Był dobrze oświetlony i wyglądał dość sterylnie. Sporo szarości, z czarnymi i białymi akcentami. Nie było tu przytulnie.

– Skippy – szepnąłem – czy cały okręt tak wygląda?

– W większości. Jako cyborgi, Thuranie gardzą tym, co uważają za pozostałości swojej organicznej przeszłości. Na przykład dekoracje albo wygody większe niż niezbędne minimum.

– To czemu – spytała Simms – nie pójdą na całość i nie staną się robotami, androidami czy jak tam ich zwał?

– Z dwóch powodów – wyjaśnił Skippy, gdy wkroczyliśmy na korytarz. – Po pierwsze, nie dysponują technologią potrzebną, by przenieść swoją prawdziwą świadomość do niebiologicznego substratu. To dużo trudniejsze, niż wydaje się większości gatunków. I, co ważniejsze, gdyby Thuranie stali się gatunkiem postbiologicznym, Maxolhxowie uznaliby ich już nie za gatunek kliencki, ale po prostu za roboty i zaczęliby traktować ich jak maszyny. Jak niewolników. – W jego głosie słychać było gorycz. – Maxolhxowie nie traktują sztucznych inteligencji jako świadomych istot. Wredne kocury.

Drzwi naprzeciwko nas rozsunęły się i instynktownie unieśliśmy broń.

– Spokojnie, małpy – roześmiał się Skippy. – To wejście do wagonu kolejki, chyba że chcecie iść na piechotę przez cały okręt. A jest całkiem długi.

Weszliśmy do wagonu i drzwi zamknęły się, a kolejka gładko przyspieszyła.

– Następnym razem – powiedziałem – ostrzegaj nas, zanim zrobisz coś niespodziewanego, Skippy. Niektórych palce świerzbią.

– Zanotowano. Powiedziałem wam, głupki, że mam pełną kontrolę nad tym okrętem, a Thuranie słodko śpią. Jedyne, co tu jest niebezpiecznego, to grupa nerwowych małp z bronią energetyczną. A, i żeby żadne z was się nie zdziwiło i nie strzeliło sobie w stopę, gdy kolejka zatrzyma się, drzwi się otworzą, a na podłodze przed nami będzie leżeć śpiący Thurani.

Giraud nalegał, aby to on jako pierwszy wyszedł z wagonu. Skierował karabin na Thurana, rzeczywiście leżącego na podłodze. Francuz ostrożnie szturchnął go lufą i nic się nie stało.

– *Rien* – mruknął.

– Co? – spytałem.

– Nic – odpowiedzieli jednocześnie Giraud i Skippy.

– Dla jasności – Skippy udał, że odchrząknął – chodzi mi o to, że powiedział *rien*, co jest francuskim słowem oznaczającym „nic”.

– Domyśliłem się, Skippy. – Trąciłem Thurana butem, ale nie poruszył się. Gdyby Skippy nie zapewnił mnie, że zapadł w śpiączkę, to uznałbym, że nie żyje. – Sierżant Adams, proszę odciągnąć śpiącą królową gdzieś na bok.

Adams chwyciła Thurana za nadgarstki i zaciągnęła go wzdłuż korytarza i za róg. Jeśli tak wyglądało centrum kontrolne okrętu, nie

zrobiło na mnie wrażenia. Wszystko było monotonna szare.

– Co dalej, Skippy? Gdzie jest mostek okrętu?

– Nie ma mostka.

– Co?

– Thuranie uważają mostek za przestarzałą konstrukcję z biologicznej przeszłości, z której wyrosli. Konstrukcję niepotrzebną i niewydajną. Sterują okrętem bezpośrednio przez cybernetyczne implanty, dające im pełną kontrolę z każdego miejsca. Podczas manewrów, a zwłaszcza podczas walki, dowództwo okrętu przebywa w alkowach w centralnym węźle sieci, znajdującym się głęboko w środku dziobowej sekcji okrętu i mocno opancerzonym. Pójdźcie tam na nic by się wam nie zdało, bo nie jesteście w stanie łączyć się z żalonym złomem, który Thuranie nazywają okrętowym komputerem.

– To co tu robimy? Jak mamy sterować okrętem? Myśląc o czymś miłym?

– Jeśli na chwilę się zamkniesz i dasz mi mówić, to i owo wyjaśnię. Istnieje zapasowe centrum kontrolne. Okręty Thurarów używają go, gdy spotykają się z Maxolhxami na wypadek, gdyby ich kocim patronom udało się włamać do komputerów. Zdarza się to często, a wówczas Thuranie wpadają w szal. Zapasowe centrum kontrolne dysponuje ekranami, systemami komunikacji dźwiękowej i manualnymi panelami kontrolnymi. Jeśli nie możecie czegoś stamtąd zrobić, ja mogę zrobić to za was, jeśli tylko mi powiecie.

– W takim razie prowadź, Makdufie.

Skippy był zdegustowany.

– To irytująco błędny cytat z „Makbeta”. W rzeczywistości kwestia brzmi „uderz, Makdufie” i oznacza...

– Mniejsza z tym, Skippy. Którędy mamy iść?

Korytarz przed nami przecinał się z innym i nigdzie nie wisiły żadne pomocne znaki.

– Wybacz, że próbuję ocalić was od ignorancji, przekazując wam nieco wiedzy, mały – mruknął Skippy. – Idźcie prosto do końca korytarza, otworzę drzwi.

Gdy tam dotarliśmy, ostrzegł nas:

– Zaznaczam, że wystrój jest tu inny niż w reszcie okrętu.

Cholera, nie przesadzał. Zapasowe centrum kontrolne wyglądało jak z gotyckiej fantazji. Burza kolorów z ekranami, jaskrawo podświetlonymi przyciskami, wajchami i pokrętłami. Wszystko było bogato zdobione. Nie jestem dekoratorem wewnątrz, ale spróbuję to jakoś opisać. Pomieszczenie wyglądało jak skrzyżowanie średniowiecznej katedry i francuskiej willi. Może „gotyckie” nie było dobrym słowem, raczej nie wyglądało jak miejsce, gdzie przesiadują te nastolatki z czarnym makijażem. Może rokokowe? Nie żebym do końca wiedział, co to znaczy.

Przesadnie zdobione, na granicy kiczu. To chciałem powiedzieć. Przeciwnieństwo minimalizmu reszty okrętu. Nawet takie rzeczy jak klamki były bogate w zdobienia, osadzono w nich kolorowe klejnoty. Nic z tego nie było potrzebne do funkcji kontrolnych.

– Wow – powiedziała cicho Simms. – To wygląda jak salon w domu mojej prababci. Tylko bardziej. Panie Skippy, dlaczego to wygląda tak...

– Szukasz słowa „barokowo” – przerwał jej arogancko Skippy. Cholera, rzeczywiście właśnie tego słowa szukałem. – Jako że to miejsce, w którym Thuranie muszą wyłączyć swoje cybernetyczne wspomaganie, dekoracje mają przypominać o ich czysto biologicznej przeszłości. Jeśli wy myślicie, że wystrój jest w złym guście, to tym bardziej nie znoszą go Thuranie. Ma wywoływać obrzydzenie wśród załogi, aby wzmocnić poczucie wyższości cybernetyki nad biologią. Projektanci chcieli, aby centrum kontrolne było odpychające.

– Całkiem im się udało. – Pociągnąłem nosem. – Śmierdzi tu jak...

– Jak w burdelu w Nowym Orleanie – mruknął ktoś za mną. Nie odwróciłem się, żeby zobaczyć kto.

– Tak – zgodziłem się. – Nie żebym w jakimś kiedyś był. Ale to zapach kogoś, kto ma na sobie zbyt dużo perfum.

– Zbyt dużo perfum mojej babci. – Adams zmarszczyła nos.

– Projektanci chcieli, aby wewnątrz przypominało załodze o jej biologicznej naturze wzrokowo, zapachowo i dotykowo. Zamiast ekranów dotykowych są pokręta i przyciski, które nawet wasze społeczeństwo uważa za przestarzałe. Pokręta, zimne i chropowate w dotyku, poruszające się z oporem, stale przypominają użytkownikowi, że musi myśleć w kategoriach biologicznych. W sytuacjach pełnych napięcia, jedynych, w których Thuranie używają zapasowego centrum kontrolnego, załoga musi powstrzymać instynkty korzystania z cybernetyki. W czasie manewrów awaryjnych piloci muszą w jednej chwili wysyłać sygnały do swoich palców na urządzeniach, zamiast marnować ułamki sekund, próbując kontrolować układy nawigacyjne przez implanty.

– Czy możesz uruchomić wentylację, żeby pozbyć się smrodu? – spytałem. – Powietrze jest tu zatęchłe jak w windzie.

– Dlatego, że to pomieszczenie jest rzadko używane. Wyłączyłem emiter zapachu i uruchomiłem pełną moc wentylacji. Zostawienie otwartych drzwi nieco pomoże. Zgodnie z moimi wyliczeniami w ciągu godziny przestaniecie zauważać zapach, który zupełnie rozproszy się do jutra. Jeśli jedna z waszych samic zajdzie w ciążę, przy wyczulonym zmysle zapachu może wciąż jednak...

– Ten problem nam nie grozi, Skippy. – Wymieniłem spojrzenia z Simms i rozejrzałem się wokół.

Zapasowe centrum kontrolne miało owalny kształt, z centralną sekcją

otoczoną oknami od podłogi po sufit. A przynajmniej wyglądały jak okna. W centralnej sekcji znajdowały się trzy stanowiska pilotów, a za nimi nieco większy fotel. Wszystko to otoczone konsolami z przyrządami. Dalej od centrum, zwrócone w stronę szkła, umiejscowiono stacje robocze z fotelami zbyt małymi dla ludzi.

– Czy przyrządy nawigacyjne znajdują się w tej oszklonej części?

– Tak, to centrum zapasowego...

– To zbyt długa nazwa. Nazwiemy centralną sekcję mostkiem, a resztę BCI, bojowym centrum informacyjnym – zdecydowałem. Chang i Simms skinęli głowami.

Kapitan Desai usiadła w jednym z foteli pilotów. Był dla niej nieco ciasny, chociaż Skippy maksymalnie go rozsunął.

– W porządku, sir. Dam sobie radę. Bardziej martwię się tym. – Wskazała na manualne przyrządy wokół.

– Większość z tego to systemy pomocnicze, którymi ja się zajmuję – zapewnił ją Skippy. – Zaczniemy od podstawowych przyrządów, na początek tylko napęd skokowy.

Patrzyłem, jak Desai wierci się w niewygodnym fotelu. Następnie spojrzałem na sufit i drzwi.

– Skippy, zważywszy na to, że Thuranie są tak niscy, jak to możliwe, że nie uderzamy tu głowami o sufit?

– Thuranie zbudowali okręty tak, aby mieścili się w nich ich patroni. Rzadko się zdarzało, aby Maxolhxowie zniżyli się do wizyty na okręcie Thuranów, ale Thuranie wolą unikać niezręcznych sytuacji. Poza tym z rzadka na pokład wchodzi Kristangowie czy inne gatunki klienckie i chociaż, intelektualnie rzecz biorąc, Thuranie uważają swój niewielki rozmiar za bardziej wydajny i dlatego lepszy od innych rozumnych gatunków, to mają pewne kompleksy. Inne gatunki uderzające głowami o framugi ciągle by im o nich przypominały.

– Dobrze. – Położyłem Skippy'ego na konsoli obok fotela Desai. – Pilot, proszę zająć się nauką sterowania. Pułkownik Chang, proszę przejąć mostek, a ja zajmę się Thuranami. Sierżant Adams, sierżancie Thomson, proszę za mną.

*

Zostawiłem Skippy'ego z Desai, Changiem i Simms, aby poinstruował ich, jak obsługiwać mostek i BCI, podczas gdy ja miałem zająć się byłą załogą okrętu. W korytarzu zdałem sobie jednak sprawę, że nie wiem, co robić.

– Skippy – odezwałem się przez zFona – masz jakiś pomysł, co zrobić ze śpiącymi królewnami?

– Zakładam, że masz na myśli Thuranów.

– Owszem.

– Istnieje kilka możliwości, zależnie od tego, co zamierzasz zrobić z nimi później. Okręt dysponuje kapsułami towarowymi, z których każda jest dość duża, by pomieścić ich wszystkich.

– Mamy ich tam ułożyć w stosik jak drewno na opał?

– Raczej rozłożyć na podłodze, ale tak.

Zastanowiłem się. Co miałem zrobić z osiemdziesięcioma siedmioma nieprzytomnymi Thuranami? Łatwiej by było, gdyby Skippy zabił ich, zamiast usypiać, bo wtedy to na niego spadłaby odpowiedzialność za trudną decyzję. Ale gdyby Skippy był w stanie ich zabić i spytałby mnie, czy chcę, aby to zrobił, czy też wolę, aby ich uspił, to co wtedy? Łatwiej byłoby podjąć tę decyzję na pokładzie fregaty Kristangów, kiedy nie było jeszcze pewne, czy uda nam się przejąć lotniskowiec gwiazdny Thuranów bez oddania ani jednego strzału. Wtedy byłaby to decyzja teoretyczna, a teraz stała się praktyczna. Odwlekałem więc jej podjęcie.

– Jak długo możesz utrzymać ich w śpiączce?

– Bez podłączania do systemów podtrzymywania życia przez jakieś trzy dni. Ich implanty minimalizują funkcje życiowe.

– Aha. A jak długo potrwa, zanim znów będziemy mogli skoczyć? Zakładam, że chcemy opuścić okolicę, na wypadek gdyby Thuranie przylecieli nas szukać.

– Chcemy i przylecą. Wykryłem sygnaty skoku dwóch szukających nas okrętów Thuranów. Nie jesteśmy w szczególnym niebezpieczeństwie, bo bez odpowiedzi ze strony naszego transpondera szanse na to, że nas odnajdą przed kolejnym skokiem za trzy godziny, są minimalne. Opóźnienie wynika z tego, że poza wykonywaniem dokładnej inspekcji silników skokowych i systemów nawigacyjnych usuwam też thurańskie oprogramowanie kontroli skoków i zastępuję je czymś bardziej użytecznym. To trochę jak instalowanie systemu operacyjnego SI w cegle, tylko z mniejszą pamięcią.

– Brzmi jak wyzwanie dla ciebie. Sierżant Adams, proszę zebrać tych Thuranów i załadować, gdzie, Skippy, do wagonu kolejki?

– To dobry początek, tak. Pokieruję dalej twoją załogą.

– Tak jest, sir. – Adams wskazała na trzech szeregowych, którzy zaczęli przynosić leżących Thuranów.

Jak się okazało, Thuranie nie byli kompletnie bezwładni, co odkryła nasza załoga. Sierżant Adams i ja patrzyliśmy z rozbawieniem, jak nasi ludzie zbierają małe zielone ludziki.

– Kto by pomyślał, że takie kurduple będą tak chrapać? Cholera, on się na mnie ślini! Ohyda!

– Hej, patrz na tego. Trzepocze powiekami i drżą mu nogi. Mój pies tak ma, kiedy śni mu się, że gania za wiewiórkami.

– Skąd wiesz, o czym śni twój pies?

- A co ma się śnić psu?
- Posuwanie twojej nogi?
- Wy dwaj, zamknijcie się – warknęła Adams, ale widziałem błysk wesołości w jej oczach. – Do roboty.

*

Podczas gdy Adams zajmowała się śpiącymi królowkami, sierżant Thomson i ja udaliśmy się na fregatę, aby sprowadzić rannych. Skippy zapewnił mnie, że sprzęt medyczny Thuranów jest znacznie lepszy niż ciasne i względnie prymitywne ambulatorium Kristangów. Przenieśliśmy naszych trzech rannych pojedynczo, podłączonych do monitorów medycznych Kristangów, do szpitala Thuranów. Było to zadanie, którego chciałem podjąć się osobiście, nawet przy stabilnym stanie poszkodowanych. Skippy przejął kontrolę nad systemami medycznymi Thuranów, w tym nad nieco upiornie wyglądającymi kapsułami leczniczymi. Przypominały trochę trumny, a ich wnętrze wyłożone było nanotechnologicznymi sondami. Gdy je zamknęliśmy, nanosondy zapewniły rannym tlen, pożywienie, leki i nanomaszyny wspomagające leczenie. Skippy przeprogramował komputery medyczne Thuranów tak, by dostosować je do ludzkiej fizjologii, i był pewien, że cała trójka wkrótce dojdzie do siebie. Musieliśmy poruszać się ostrożnie, jako że w ambulatorium ciężenie wynosiło piętnaście procent ziemskiego, aby zminimalizować obciążenie ciał pacjentów.

- Czy mogę coś zrobić? – Rozejrzałem się po pomieszczeniu ze zmarszczonym czołem.

Wszędzie było pełno rur i niepokojąco wyglądających maszyn. Nie chciałem być pacjentem w tym szpitalu.

Doktor Skippy zbył moją propozycję pomocy.

- O ile nie jesteś ekspertem od kapsuł medycznych Thuranów, Joe, to nie. Może nie wygląda to najprzyjemniej, ale to dość zaawansowana technologia medyczna, a ludzka fizjologia nie jest zbyt skomplikowana. Idź robić coś pożytecznego i daj mi pracować.

- Dobrze. Ale nie zostawimy tych ludzi samych. Każę major Simms przydzielić tu...

- Zupełnie niepotrzebnie, Joe.

- Fizycznie może nie, Skippy, ale to ludzka rzecz. Chcę, żeby nasi ludzie tutaj wiedzieli, że nie są sami. Gdy się obudzą, ktoś musi tu być.

- Ludzka rzecz, dobra, niech będzie – niechętnie zgodził się Skippy.

- Świetnie. Co teraz? Zobaczmy tutejsze kabiny załogi. Hm... mają tu jakieś kabiny, prawda? – Zważywszy na dziwną obsesję Thuranów na punkcie cybernetyki, mogliby spać na stojąco, podłączeni do ściany czy coś takiego.

– Mają indywidualne kabiny. Jedna znajduje się przed tobą po prawej. Ruszyliśmy wzdłuż korytarza i po mojej prawej stronie otworzyły się drzwi. Wszedłem do środka.

– Oj, to może być problem.

Kabina wyglądała całkiem przyjemnie: łóżko, szafki wbudowane w ściany, jedna większa szafa, łazienka z prysznicem, stół i krzesło. Ale to nie wystrój stanowił problem. Problemem było to, że wszystko dostosowano do rozmiarów Thuranów. Łóżko było dla mnie za małe, chyba że zwisająby z niego nogi. Pomieszczenie miało niecałe dwa metry wysokości, więc niektórzy członkowie załogi musieliby uważać, by nie uderzyć w sufit głową. Aby wziąć prysznic, musiałbym uklęknąć na podłodze.

– No nie wiem – powiedziała Adams z uśmiechem – wygląda przytulnie.

– Przytulnie, czyli ciepło i wygodnie, czy przytulnie, czyli jak agenci nieruchomości mówią na mieszkania, które są ciasne i przygnębiające?

– To drugie. – Adams otworzyła szafę. – Hm... nie przejmują się chyba szczególnie modą.

Wszystkie stroje były w tych samych odcieniach szarości jak te noszone przez śpiących Thuranów.

– Co tam. – Wzruszyłem ramionami. – Jakoś damy sobie radę. Przynajmniej każdy dostanie własną kabinę, to i tak luksus.

– Sir – przypomniała Adams – a co z jedzeniem?

– A tak, dobre pytanie. Skippy, pokaż nam mesę czy jak to się tam nazywa na okręcie. Kambuz?

– Niczego takiego tu nie ma, Joe.

– Nie? – Spojrzałem ze zdziwieniem na Adams. – To gdzie jedzą?

– Na osobności – wyjaśnił Skippy. – Thuranie uważają większość rzeczy przypominających im o biologicznej przeszłości za tabu, zwłaszcza funkcje biologiczne, takie jak jedzenie. Konsumpcja żywności odbywa się na osobności, w kabinach takich jak ta.

Nie widziałem tam nic przypominającego kuchnię.

– Dobrze, dobrze. Jednak ludziom przydałaby się jakaś przestrzeń na okręcie, której moglibyśmy użyć jako mesy, bo jesteśmy zwierzętami społecznymi i lubimy interakcje podczas posiłków. Pokaż jedzenie.

– W tej szafce za sierżant Adams.

Adams otworzyła szafkę i wyjęła kilka przezroczystych plastikowych rurek zawierających gęsty beżowy płyn.

– Co to? – Zajrzała do środka na wypadek, gdyby coś przeoczyła, a następnie otworzyła kolejną szafkę. Te same rurki.

– To ich jedzenie. Najlepszym tłumaczeniem ich terminu jest szlam odżywczy.

– Szlam? – spytałem z obrzydzeniem.

– Hmm... może mieć negatywne zabarwienie – zastanowił się Skippy. – Może maż albo śluz? Cholera, to chyba też nie brzmi najlepiej.

– Tak myślisz?

– Pomyśl o tym jak o smoothie – próbował Skippy.

– Nie pomagasz. – Przyjrzałem się jednej z rurek. – Tylko to jedzą?

– Tak, zawiera wszystko, czego potrzebują Thuranie.

– Jak smakuje? – spytałem, chwytając za zakrętkę.

– Nie jedz tego, głupku. Jest zaprojektowane na potrzeby fizjologii Thuranów. Nie zawiera odpowiedniej mieszanki aminokwasów i witamin dla ludzi. Kazałem syntezytorom wytworzyć szlam, to znaczy smoothie, dla ludzi.

– Świetnie. Jak będzie smakować?

Na chwilę zapadła cisza.

– Czy ja mam kubki smakowe, Joe?

– Hmm, no tak.

– Skonstruowałem jednak relatywnie dokładny model ludzkich zmysłów, łącznie ze smakiem...

– Oczywiście.

– I będzie smakować jak... Najlepszy opis to połączenie owsianki, marchwi i mortadeli.

– Cholera. – Adams skrzywiła się – To będzie długa podróż.

– Skippy, to mnie nie zadowala. Powiedziałeś, że będziemy jedli jedzenie Thuranów. Prawdziwe jedzenie. To nie jest jedzenie. – Potrząsnąłem plastikową rurką, patrząc, jak szlam przepływa nieapetycznie z jednego końca na drugi. – Armia potrzebuje dobrego jedzenia. Cholera. – Spojrzałem na Adams – To będzie kiepskie dla morale. Co zrobi załoga?

Adams wyprostowała się i zacisnęła szczękę z determinacją.

– Przystosują się. Żołnierze przystosowują się do kiepskich warunków, odkąd walczyli drewnianymi dzidami. Nie jesteśmy tu na rejsie wycieczkowym.

Jej nastawienie nieco podnosiło mnie na duchu i miałem nadzieję, że inni zareagują podobnie. Dwie palety żywności, głównie żelaznych racji, które wzięliśmy ze sobą na pokład dodo, wymagały reglamentowania. Priorytetem musiało być przeznaczenie ich dla rannych. Ja zamierzałem dać przykład, jedząc tylko szlam, czy też „smoothie”. Uznałem, że jeśli załoga zobaczy, że ich dowódca mierzy się z tym samym bólem, lepiej to zniesie. Na razie postanowiłem, że załoga ograniczy się do jednego prawdziwego posiłku dziennie.

– Joe, nie zdawałem sobie sprawy, że to będzie istotny problem. Pogrzebię trochę przy syntezytorach i zobaczę, jakie smaki uda mi się wytworzyć.

– Czekolada byłaby dobra. Wszyscy lubią czekoladę, prawda? –

zasugerowałem.

– Kakao to dość subtelny i złożony aromat. Zrobię, co w mojej mocy.

– Świetnie, będę twoim degustatorem – zgłosiłem się na ochotnika. – Czy na tej krypie jest sala gimnastyczna albo jakieś miejsce, które możemy na nią przerobić? Ludzie muszą ćwiczyć i potrzeba nam przestrzeni na szkolenia taktyczne.

– Nie ma tu nic przypominającego salę gimnastyczną. Thuranie polegają na cybernetyce zamiast mięśni. Ale jedna z ładowni jest niemal pusta. Mogę wysłać tam roboty, aby ją uprzątnęły i wyrzuciły zawartość w kosmos. Jeśli chodzi o bieganie, jeden korytarz dostępowy przebiega przez całą długość osi okrętu, obok kolejki. Mogę otwierać i zamykać śluzy, gdy ludzie będą przebiegać między sekcjami.

To były dobre wieści, jako że bieganie zawsze pomaga. Sam tego potrzebowałem.

– Sir, chciałabym zająć się organizacją sali gimnastycznej – powiedziała Adams.

– Doskonale. Pani sierżant, proszę tego dopilnować. Ja przyjrzę się rannym.

Miałem ochotę zobaczyć, jak w rzeczywistości sprawuje się sprzęt medyczny, który tak zachwalał Skippy. Przywieźliśmy ze sobą tylko podstawowe apteczki i jeśli ktoś potrzebowałby transfuzji krwi, to mielibyśmy problem. Wiele rzeczy, pozornie drobnych, mogło skończyć się dla nas katastrofą. I wszystko to na mojej głowie.

*

Po drodze na mostek zadzwoniłem do Simms przez zFona i poprosiłem, żeby spotkała się ze mną na korytarzu.

– Pani major, potrzebuję porady.

– W jakiej kwestii? – spytała. Widziałem w jej oczach dyskomfort związany z tym, że byłem teraz jej dowódcą.

– Thurarów.

Teraz w jej oczach pojawił się dyskomfort z innego powodu.

– Co z nimi zrobić, tak?

– Pod względem prawnym i moralnym. Może bardziej prawnym? Cholera, zupełnie nie wiem.

Jaka moralność ma zastosowanie wśród obcych gatunków, tak bardzo różniących się poziomem rozwoju technologicznego?

– Niechętnie to mówię, ale czy próbował pan pytać, uch, Skippy'ego? – zasugerowała. – Na pewno zapamiętał wszystkie regulacje Armii USA i SEONZ.

– Na pewno, ale obawiam się, że tylko je przeczytał i przechował w pamięci. Nie znaczy to, że je rozumie. Zwłaszcza ich cel, kontekst,

historię.

– Panie pułkowniku. – Unikała mojego wzroku, gdy wymawiała mój stopień. – Brał pan udział w walce. Ja przez całą karierę wojskową zajmuję się zaopatrzeniem.

– Przeszła pani szkolenie oficerskie. SEONZ dały mi tylko srebrne orły i wysłały e-mail z kursami, które miałem przejść, a następnie wyekspediowano mnie do sadzenia ziemniaków. Nie przeszedłem nawet formalnego szkolenia na sierżanta. Dostałem awans, spędziłem tydzień ze swoim zespołem ogniowym na Alfie, po czym wysłano nas na Paradise i od razu przydzielono posterunek obserwacyjny w wiosce. Cały czas szkoliłem się w trakcie pracy.

Na chwilę zamyśliła się.

– Nie ma tu żadnego odpowiednika konwencji genewskiej. Ta wielka lista zasad prowadzenia wojny międzygwiazdnej nie mówiła nic o traktowaniu więźniów, o zasadach użycia siły poza zakazem niszczenia biosfery planety. Mamy kodeks postępowania armii, ale tutaj Skippy ma rację, że jesteśmy piratami. Nasza misja nie jest usankcjonowana przez SEONZ ani żadne ludzkie władze, wojskowe ani cywilne. Jesteśmy tu sami.

– Świetnie.

– Pułkowniku Joe, czy mogę coś poradzić? – odezwał się Skippy przez zFona przy moim pasie.

– I tak to zrobisz, prawda?

– Owszem. Major Simms ma rację. Nie istnieją żadne formalne, spisane zasady dotyczące walki w kosmosie. Takie zasady nie miałyby zresztą zastosowania do piractwa. Wiem, co zrobisz, Joe. Wyrzucisz Thuraków w kosmos, bo to jedyny praktyczny sposób na osiągnięcie celu misji i uniknięcie odkrycia przez ich pobratymców, że ludzie porwali jeden z ich okrętów. Musisz ich zabić, żeby twój gatunek był bezpieczny. Wiesz, co musisz zrobić, tylko szukasz kogoś innego, jak major Simms, kto powie ci, że postąpisz słusznie. Jesteś pułkownikiem, dowodzisz tu i musisz wziąć pełną odpowiedzialność za swoje decyzje.

Przez zaciśnięte zęby wycedziłem:

– Dzięki, Skippy. To bardzo pomocne.

Simms uśmiechnęła się ze współczuciem.

– Nie ma za co, do usług – odpowiedział radośnie. – Jeśli to ci jakoś pomoże, Thuranie nie zastanawialiby się nad takim pytaniem nawet przez sekundę. Zgnietliby was jak muchy bez wahania. Każdy Thuranie, który zakwestionowałby taką decyzję, zostałby poddany przeprogramowaniu.

– To, że jestem moralnie lepszy od szatana, niewiele pomaga, Skippy.

– Wspominam o tym tylko dlatego, że jeśli Thuranie odkryją kiedyś, że porwałeś ich okręt, to że zabiłeś załogę, nie sprawi, że bardziej się

rozniewają. Oczekiwaliby tego od ciebie w czasie wojny. Spodziewaliby się też, że ich załoga zginie w walce.

– Więc mówisz, że pomysł nie ma żadnych wad? – Zastanawiałem się, czy usłyszysz gorzki sarkazm w moim głosie.

– Nie ma. A przynajmniej nic na tym nie stracisz.

– Poza duszą.

– Tu ci nie pomogę, pułkownikowi Joe. Chociaż nie pamiętam w waszych świętych księgach wzmianek o kosmitach.

Nie umiałem stwierdzić, czy mówi poważnie, czy znowu zgrywa dupka. Nadal źle się czułem z myślą o zabijaniu rozumnych istot, w dodatku pogrążonych we śnie.

– Czy wyczuwam wahanie? – spytał Skippy. – Może będę w stanie pomóc. Wcześniej tego roku ten lotniskowiec transportował okręty Kristangów pełne uchodźców z planety, którą jaszczury straciły na rzecz Thurarów. W połowie drogi do celu Thuranie odkryli, że pewien klan Kristangów zwleka z opłatą. Ich okręt zatrzymał się i kiedy Kristangowie nie byli w stanie zapłacić za przewóz wszystkich osiemnastu okrętów, Thuranie zostawili trzy z nich i skoczyli. Te trzy okręty były pełne uchodźców, głównie z kast cywilnych, uciekających przed wojną. W tym samice i dzieci. Było ich tak wielu, że ich systemy podtrzymywania życia były za mało wydajne. Thuranie porzucili te trzy okręty ponad rok świetlny od najbliższego układu gwiazdowego, zresztą układu bez zdatnych do zamieszkania planet. Zanim Kristangowie uciułali dość pieniędzy, aby zapłacić Thuranom za to, by wrócili po te okręty, zginęło dziewięćdziesiąt procent jaszczurów. A tak przy okazji, w czasie gdy Kristangowie starali się zebrać dość, by zapłacić za przewóz, przez ten obszar przeleciały cztery gwiazdne lotniskowce Thurarów, z których każdy mógł zabrać ze sobą bez żadnego wysiłku te trzy okręty.

– Ten okręt! Ten lotniskowiec, na którego pokładzie się znajdujemy? – spytała Simms.

– Ten okręt, ta załoga – potwierdził Skippy.

– W takim razie pierdolę ich – odetchnąłem z ulgą. Było to raczej tanie wyjście z dylematu moralnego, ale musiało mi wystarczyć. – Mogą iść na dno.

Zaczynałem myśleć jak pirat.

13. LATAJĄCY HOLENDER

Gdy wróciłem na mostek, Chang wstał i zastąpiłem go na fotelu dowódcy. Stacja dowodzenia byłaby użyteczniejsza, gdybym miał jakieś pojęcie, do czego służą poszczególne przyciski. Postanowiłem poprosić później Skippy'ego, aby nauczył mnie podstaw. Na mostku tłoczyło się obecnie sporo ludzi.

– Silniki skokowe w pełni naładowane – oznajmił Chang, wskazując zielony pasek na dole głównego ekranu.

– Świetnie, dziękuję. Zanim skoczymy, nasz okręt, to znaczy ten drugi, fregata... Hm, Skippy, czy fregata ma jakąś nazwę? – Męczyło mnie mówienie po prostu „okręt”, zwłaszcza że mieliśmy już dwa.

– Kristangowie nazywają ją „Niebiańskim Porannym Kwiatem Chwalebneho Zwycięstwa”. To jako tako wierne tłumaczenie.

– Żartujesz. – Myślałem, że jaszczury używają raczej nazw w stylu „Chomikobójca” albo „Eksterminator”.

– Kasta wojownicza Kristangów bardzo ceni sobie poezję. Widzę, że cię to zaskakuje.

– Poezję? – spytał Chang i spojrzeliśmy po sobie. Żaden z nas nie wyobrażał sobie tych twardych wojowników siedzących na stacji kosmicznej i układających rymy.

– Dysponuję wieloma przykładami poezji Kristangów. Czy chciałbyś...

– Nie! Nie, dziękuję. – Naprawdę nie byłem w nastroju na jaszczurze wiersze. – Nazwiemy ją na razie „Kwiatem”. Nie chcę nazywać niczego „Zwycięstwem”, póki rzeczywiście nie osiągniemy czegoś znaczącego. Wracając do pytania, mamy zatrzymać „Kwiat” czy się go pozbyć? Jest uszkodzony.

– Sir – odezwała się Adams – moim zdaniem warto go zatrzymać. Jest uszkodzony, ale wiemy, że działa, i umiemy nim sterować. Mniej więcej. – Spojrzała na mnie znacząco, dając do zrozumienia, że chociaż jestem najstarszym stopniem oficerem, niewiele wiem o walce, zwłaszcza o tym, że nie należy pozbywać się potencjalnej przewagi. Już kiedyś mi o tym przypomniała.

– Sierżant Adams ma rację, pułkowniku Joe – odezwał się Skippy. – Uszkodzenia odniesione przez „Kwiat” nie zmniejszyły znacząco jego możliwości bojowych. Mogą wystąpić sytuacje, w których dysponowanie okrętem Kristangów może się przydać.

– Dobrze więc, na razie go zachowajmy.

– Co do nazw, jak Thuranie nazywają ten okręt? – spytał Thomson.

– Mam nadzieję, że to nie kolejna przydługa nazwa, jak ten cały „Kwiat” – skrzywiła się Simms.

– Thuranie nie nadają nazw okrętom. Każdy ma oznaczenie

numeryczne – odpowiedział Skippy.

– W takim razie sami powinniśmy go jakoś ochrzcić – stwierdziłem.

– Więc chyba musimy nazwać go „Enterprise” – zaproponowała z entuzjazmem Adams.

– Nie każdy okręt międzygwiazdny musi nazywać się „Enterprise” – zaprotestowała major Simms. Chyba nie była fanką „Star Treka”.

– To pierwszy należący do ludzi okręt międzygwiazdny. Jeśli nie liczyć tego ukradzionego Kristangom. Musi nazywać się „Enterprise” – nalegała Adams.

– Ameryka to niejedyny kraj ze słynnym fikcyjnym okrętem kosmicznym – zaprotestował Chang. – Powinniśmy rozważyć...

– To nie wasz okręt, mały! – przerwał mu Skippy. – Jesteście najętą przeze mnie załogą. Jeśli ktoś ma nadać nazwę okrętowi, to ja.

Pomachałem rękami, żeby przykuć uwagę wszystkich zebranych.

– Może najpierw skupmy się na tym, gdzie lecimy, a potem zastanówmy się nad nazwą? Dokąd teraz? Jak możemy skontaktować się z Kolektywem, Skippy?

– Jeśli wciąż istnieje... – zaczął Skippy.

– Jeśli? Nie jesteś pewien? Czy wiesz, gdzie znaleźć ten Kolektyw?

– Jeśli przez „gdzie” rozumieć Drogę Mleczną i towarzyszące jej karłowate galaktyki, to tak. Plus liczne gromady gwiazd. Poza tym nieszczęśliwie.

– Ja pierdolę. – Spojrzałem z poczuciem winy na ludzi, których zaciągnąłem na tę beznadziejną misję. – W takim razie jaki jest plan? Mamy wędrować wiecznie po Galaktyce, szukając innej SI Pradawnych? Cholera, powinniśmy nazwać ten okręt „Latającym Holendrem” – mruknąłem.

– To doskonała nazwa, Joe! – powiedział Skippy entuzjastycznie. – Proszę, zmieniłem identyfikator okrętu na „Latający Holender”.

– „Latający Holender”? – spytał Thomson, co rozpoczęło kolejną rundę dyskusji wśród załogi. Wszyscy przekrzykiwali się nawzajem.

– To legenda o holenderskim kapitanie, który zabił albatrosa, co przynosi pecha. Skazało go to na wieczną tułaczkę po morzu. Albo coś takiego. Okręt nigdy nie może wpłynąć do portu.

– Myślałem, że albatrosa zabił bohater „Rymu o starym marynarzu”.

– Oczywiście, że musiał być stary, skoro musiał wiecznie wędrować po morzu.

– Czy ten Holender to ten mackowaty gość z filmu o piratach z Johnnym Deppem? Cholera, jako dzieciak miałem o nim koszmary.

– Tak, wyobraź sobie, jak musiał mu śmierdzieć z ust.

– Nie, to nie był Johnny Depp. On był tym piratem z pomalowanymi oczami. Po morzu miał wiecznie pływać ten blondyn.

– Dobra, dobra, wystarczy! – zawołałem, żeby przerwać tę rozmowę,

która inaczej nigdy by się nie skończyła. – Skippy. – Spojrzałem na niego i przechyliłem głowę. – Nazwanie tej krypy po przeklętym statku nie podbuduje morale załogi.

– Chciałem tylko być pomocny – mruknął Skippy.

– I nie jesteśmy twoją wynajętą załogą. Jeśli już, to jesteśmy piratami. – Bez mandatu SEONZ byliśmy wyjęci spod prawa.

– Piraci! Joe, oto twoja wesoła piracka załoga! Arrr, do stu tysięcy waleni! – Skippy nieźle udawał stereotypowego pirata. – Podoba mi się! Jo-ho-ho i butelka rumu!

Rozejrzałem się po pomieszczeniu i przyjrzałem twarzom. Ta piracka załoga nie zapowiadała się na szczególnie wesołą, skoro Skippy chciał, abyśmy odwiedzili każdą gwiazdę w Galaktyce w poszukiwaniu Kolektywu. Powinienem przeprowadzić tę rozmowę w ograniczonym gronie zamiast przy całej załodze.

– Ten okręt...

– „Latający Holender” – poprawił mnie Skippy.

– Dobrze, „Holender”. – Było już jasne, że Skippy łatwo nie zrezygnuje z pomysłu. – Nie będzie wędrować po Galaktyce do końca wszechświata, wysyłając sygnały do Kolektywu w przypadkowe miejsca, prawda?

– Oczywiście, że nie, głupku. Skończyłoby się nam paliwo. Z danych Kristangów wiem, gdzie trzymają artefakty Pradawnych, które rozpoznają jako składowe Kolektywu. Na pewnej asteroidzie kilka tuneli stąd mieści się placówka badawcza, którą jaszczury mają za tajną.

– Dobrze. Więc plan jest taki, że zbliżamy się do asteroidy i wysyłamy sygnał do tych artefaktów?

– Ha! Chciałbyś! Nie, pułkowniku Joe, tak łatwo nie będzie. Owszem, mogę zdalnie udać się na przespiegę, ale potem musimy złupić to miejsce i zabrać skarby, których potrzebuję.

Złupić? Skarby? Skąd Skippy brał to słownictwo?

– Znaczą się najechać na placówkę? Tamtejsi Kristangowie to raczej nie sami naukowcy?

– Skądże znowu! Będą uzbrojeni i wściekli jak gniazdo szerszeni. To baza, w której Kristangowie próbują dowiedzieć się, jak działa technologia Pradawnych. Utrzymują ją w tajemnicy przed Thurunami, bo mają nadzieję, że ich przeskoczą i sobie podporządkują. Oczywiście Thuranie o niej wiedzą, bo nie są tak głupi, jak się wydaje jaszczurom. Pozwalają Kristangom prowadzić badania, żeby przejąć ich wyniki, jeśli odkryją coś pożytecznego. Baza jest dobrze strzeżona: zamaskowane sieci sensorów, atomówki, lasery rentgenowskie i tak dalej. Nawet ten okręt mógłby ulec zniszczeniu.

– To trudny cel. – Nie podobał mi się ten pomysł. Udało nam się zaskoczyć załogę „Kwiatu” i ledwie go zdobyliśmy. Baza, którą Kristangowie próbują utrzymać w tajemnicy przed Thurunami, byłaby

znacznie większym wyzwaniem. – Musi chyba istnieć inne miejsce, w które możemy się udać.

– Nie. Żadne nie jest tak dobrym tropem, jak to. Poza tym znajduje się tam także to, czego potrzebujesz.

Czego potrzebowałem? Cheeseburgera?

– Co to takiego?

– Moduł kontrolny tunelu czasoprzestrzennego. Zawiera kody potrzebne do jego zamknięcia.

Teraz się wkurzyłem.

– Skippy, powiedziałeś, że potrafisz zamknąć ten tunel!

Czego jeszcze mi nie powiedział?

– Hej, trafię! Tymczasowo. Jestem w stanie zaburzyć połączenie tunelu z siecią, ale tylko na jakiś czas. Protokoły sieci w końcu wznowią połączenie i zresetują tunel. Potrzebuję pełnego zestawu kodów kontrolnych, aby zamknąć go na stałe. Pradawni mi ich nie powierzyli.

– Ciekawe dlaczego – odparłem oschle. – Jesteś tak niebywale godny zaufania.

– Owszem! I to nie moja wina, że jesteś zbyt głupi, aby zadać odpowiednie pytanie.

Nierozdeptanie tej cholernej puszki wymagało całej mojej siły woli. Pradawni naprawdę przegięli, tworząc tego dupka. Przez zaciśnięte zęby wycodziłem:

– Masz plan na to, jak wyminąć te zamaskowane sieci sensorów, atomówki, lasery, okręty i tak dalej?

– A, tak. To dla mnie drobnostka. Ich głupie sensory mogą wykrywać co tylko chcą, i tak każę komputerom zignorować wyniki, więc jaszczury o niczym się nie dowiedzą. A ich broń to żaden problem, zakłócę systemy namierzania. Na jakiś czas. Jednak gdy już zapukamy do drzwi, nawet moje niesamowite cudotwórstwo nie sprawi, że choćby najgłupszy jaszczur nie zorientuje się, że coś jest nie tak.

– Świetnie – powiedziałem z irytacją. – Możemy sporządzić plan na tę okoliczność, gdy tam dotrzemy. Wszyscy gotowi na skok?

Zaczęło się lekkie piekielko, bo chyba każdy miał coś do powiedzenia.

Chang i Simms przekrzykiwali się nawzajem, ja próbowałem przerwać im obojgu, ale inni też wrzeszczeli. Trwało to tylko chwilę, zanim Skippy krzyknął przez okrętowy interkom:

– Dość! Cholera, to jak banda małych wyjąca na czubkach drzew. Dość tych pogaduszek, nie słyszę własnych myśli. Wynocha, wszyscy idźcie sobie z mostka poza pułkownikiem Joe i pilotami!

Spojrzałem z poczuciem winy na pozostałych, zwłaszcza na Changa i Simms.

– Skippy, możemy...

– Pułkowniku Joe, powiedziałeś, że potrzebujemy jasnej komunikacji.

Polecimy na terytorium wroga poprzez tunele czasoprzestrzenne, potencjalnie na bitwę. Banda krzyżujących małą to nie komunikacja. Mogą stać w BCI poza mostkiem, słuchać nas i oglądać, ale nie chcę ich słyszeć, dopóki nie otworzysz interkomu. Jesteś kapitanem, masz stopień pułkownika, ty tu dowodzisz. W czasie lotu będę komunikować się tylko z tobą i pilotem.

Rozumiałem podejście Skippy'ego. Chang i Simms chcieli się do wszystkiego wtrącać, bo nie akceptowali w pełni mojego autorytetu. Nie miałem im tego za złe, bo sam w niego niezbyt wierzyłem. I, szczerze mówiąc, była to świetna okazja, żebym podkreślił, czy raczej sprawdził ten autorytet.

– Skippy ma rację – powiedziałem poważnym głosem. – Mamy tu zbyt wielu tłum. Dostęp do mostku ogranicza się od teraz do oficera dowodzącego – czyli w tej chwili do mnie – i dwójki pilotów. Pozostali niech zajmą stanowiska w BCI.

Musieliśmy rozpisnąć zmiany, jeśli chodzi o to, kto miał kiedy dowodzić mostkiem, i potrzebowaliśmy więcej niż dwójki pilotów. Desai zajmowała się pilotowaniem, odkąd wydostaliśmy się z więzienia Kristangów, i musiała już być zmęczona po lotach trzema nieznanymi sobie maszynami.

Ku mojej uldze nikt nie oponował. Wszyscy i tak mieli lepszy dostęp do przyrządów i ekranów w BCI, a mostek był zbyt zatłoczony.

– Okręt jest gotów na skok. Wprowadziłem kurs do autopilota – ogłosił Skippy z lekką niecierpliwością. – Pilot wie, których przycisków używać.

– Pilot? – spytałem.

– Jestem gotowa, kapitanie. – Desai trzymała palec nad dużym przyciskiem na konsoli. – Pan Skippy pokazał mi, jak zaprogramować skok w autopilocie. Tak naprawdę nie wiem dokładnie, jak to działa.

My, mały, być może nigdy nie zrozumiemy, jak działa nawigacja skokowa.

– Rozpocząć skok – powiedziałem po prostu.

I skoczyliśmy. Ekran zamigał i jedyną zmianą, jaką zauważyłem, było to, że biała kropka w prawym dolnym rogu zniknęła.

– Skok udany, kapitanie – oznajmiła Desai.

– Potwierdzam – dodał Skippy.

– Doskonale. – Odprężyłem się nieco. – Co dalej?

Skippy oczywiście od razu udzielił odpowiedzi:

– Gdy tylko silniki skokowe się naładują, ruszamy dalej. Nasz skok był na tyle oddalony od celu, że szukający nas Thuranie będą zdezorientowani.

Spojrzałem na ekran pokazujący okręty Kristangów przycumowane do platform wzdłuż długiej osi lotniskowca.

– A co z naszymi niechcianymi gośćmi?

– A, oni. Mogę odłączyć inne okręty Kristangów i zostawić je tutaj, zanim skoczymy. Nadal chcesz zachować „Kwiat”, tak? – upewnił się Skippy.

Zmarszczyłem brwi.

– Powinniśmy zachować, hmm... „Kwiat”, tak. Czy pozostałe okręty nie będą w stanie wrócić na Paradise? Albo zbliżyć się na tyle, żeby wezwać pomoc?

– Istnieje trzydzieści sześć procent szans na to, że przenosząc paliwo do jednego okrętu i poświęcając pozostałe, jeden może wykonać dość skoków, aby znaleźć się w zasięgu komunikacji, tak. Krytyczną zmienną jest sprawność silników Kristangów. Istnieje sześćdziesiąt cztery procent szans na awarię silnika przy tylu skokach.

– Nie.

– Nie? Mała chce zobaczyć moje wyliczenia? – Skippy spytał z rozbawieniem.

– Nie, ta mała chce, aby szanse na to, że jaszczury albo Thuranie dowiedzą się, co tu zaszło, wyniosły zero procent. Jeśli ktokolwiek się dowie, że nasza piracka akcja była sprawką ludzi, Ziemia jest skończona.

Odpowiedź nastąpiła po niemal niezauważalnym opóźnieniu.

– Mogę zakłócić działanie ich komputerów, ale bardzo możliwe, że ostatecznie to obejdują, przywracając kopie zapasowe.

– Nie o to mi chodzi. Jak dobrze uzbrojona jest ta krypa? Thuranie muszą dysponować czymś mocniejszym niż działa elektromagnetyczne.

– Działa elektromagnetyczne, rakiety, masery.

– Cokolwiek, co sprawi, że okręt jaszczurów całkiem wyparuje? Nie chcę, żeby zostały jakiegokolwiek ślady, czarne skrzynki, cokolwiek, co dałoby się odczytać. – Widziałem, że inni spoglądają na mnie ze sceptycyzmem, zastanawiając się, dokąd zmierzam.

– Lotniskowiec gwiazdny to nie pancernik. Jego broń służy głównie do obrony. Nie dysponuje uzbrojeniem, które całkowicie zniszczyłoby czternaście okrętów Kristangów. Pozostałyby po nich szczątki. Jednostki jaszczurów przenoszą też drony, które wypuszczają, gdy okręt ulegnie znacznemu uszkodzeniu. Drony zawierają dziennik pokładowy oraz dane z sensorów i są zamaskowane. Każdy okręt ma ich wiele i wykrycie wszystkich sensorami naszego okrętu byłoby trudne nawet dla mnie. Ostrzegam też, że te czternaście okrętów Kristangów, nawet przy ich niższym poziomie technologii, stanowi zagrożenie dla tego okrętu. – Zauważyłem, że w czasie rozmowy o zabijaniu jaszczurów Skippy przestał zgrywać cwaniaka. – To zresztą akademicka dyskusja, pułkownika Bishop. Jak już mówiłem, moje ograniczenia nie pozwalają na korzystanie z broni.

– Ja nie mam takich ograniczeń.

Tym razem przerwa była na tyle długa, że nie tylko ja ją zauważyłem.

– Nie widzę, jak...

– Przygotujesz broń i namierzysz cel, a ja wcisnę przycisk czy co się tutaj robi. – Rozejrzałem się, szukając czegoś, co mogłoby być panelem taktycznym. Wszystko wyglądało dla mnie wciąż jak gotycki koszmar. – Możesz to zrobić, prawda? Twoje oprogramowanie nie zabrania ci przygotować broni do odpalenia?

Kolejna długa pauza.

– Pułkowniku, chyba cię nie doceniłem. To prawie sprytny pomysł – po raz pierwszy usłyszałem w jego głosie odrobinę szacunku. – Na pewno chcesz to zrobić?

Przez okno widziałem, że podpułkownik Chang, major Simms i pozostali usłyszeli wszystko, co powiedziałem.

– Gdy byłem w więzieniu, czekając na egzekucję za odmowę zabicia chomiczych cywilów, chciałem, żeby piekło pochłonęło wszystkie jaszczury. Teraz myślałem, że może tylko uszkodzimy im silniki skokowe. – Spojrzałem na wyświetlacz z rzędami krążowników i niszczycieli Kristangów przycumowanych do lotniskowca. – Ale te jaszczury stanowią zagrożenie dla Ziemi. – Przeniosłem wzrok na major Simms, która skinęła głową. – Więc pierdolę ich – powiedziałem z gniewem, który przestraszył nawet mnie.

Zanim Skippy się odezwał, nastąpiła zauważalna przerwa.

– Być może muszę zmienić swoją ocenę ciebie.

– Możesz to zrobić? – spytałem, po czym przypomniałem sobie nadmierną dosłowność Skippy'ego. – Zrobisz to?

Tym razem nie było przerwy.

– Mogę przygotować broń do użycia. Tak. Którą broń chcesz, abym aktywował?

To nadal stanowiło problem. Żadne uzbrojenie na pokładzie nie było dość silne, by zrobić to, czego chciałem, a Kristangowie mogli odpowiedzieć ogniem. Gdyby uszkodzili silniki skokowe lotniskowca, moglibyśmy utkwąć w przestrzeni międzygwiazdnej na dłużej. Spojrzałem przez szybę na Changa i Simms.

– Czy ktoś ma pomysł?

Zanim ktokolwiek w BCI zdążył się odezwać, Desai odwróciła się w fotelu.

– Czy możemy skoczyć gdzieś bardzo daleko od wszelkich gwiazd, żeby Kristangowie na pewno tam utkwili?

– Już znajdujemy się głęboko w przestrzeni międzygwiazdnej. Jeśli skoczymy jeszcze głębiej, zwiększy to szanse na awarię silników skokowych Kristangów – powiedział Skippy. – Ale nadal byłoby to...

– Skippy – tym razem ja mu przerwałem – możesz kontrolować silniki skokowe na okrętach Kristangów? – Desai podsunęła mi pomysł.

– Tymczasowo owszem.

– I nie musimy wysłać ludzi na pokład, żeby cię podłączyć? – Nie byliśmy w stanie dokonać abordażu na tyłu okrętach.

– Nie, nie tym razem. Platformy dokujące Thuranów łączą się z przycumowanymi okrętami, aby zredukować ich sygnatyry elektromagnetyczne, więc zinfiltrowałem komputery Kristangów zaraz po przejściu kontroli nad tym okrętem.

Następne pytanie było kluczowe.

– Ile zajmie naładowanie silników skokowych Kristangów na krótki skok?

– Okręty zawsze trzymają w silnikach rezerwę energii, by móc wycofać się z potencjalnych zasadzek – wyjaśnił Skippy. – Wszystkie okręty Kristangów są zdolne do natychmiastowego krótkodystansowego skoku.

– Świetnie. Jak daleko znajdujemy się od najbliższej gazowej planety?

Desai szeroko otworzyła usta, gdy zdała sobie sprawę, o czym myśle.

– Myśli pan o tym, żeby skoczyć w pobliże olbrzyma gazowego, odłączyć Kristangów i kazać im skoczyć do środka planety, zanim zdążą zareagować?

– Zaraz, zaraz! – odezwał się drwiącym głosem Skippy. – Zaczekajcie, mały. Nie można skakać do wnętrza planety, grawitacja zaburzyłaby punkt wyjścia na tyle, że... A, rozumiem. No tak. To bardzo skutecznie rozerwałoby je na strzępy, zwłaszcza że próbowałyby wyłonić się w czasoprzestrzeni zajmowanej już przez planetę. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. To będzie świetny widok! Oho! – zawołał z zadowoleniem. – Tak, w odległości dwóch skoków stąd znajduje się olbrzym gazowy wielkości Saturna. W niezamieszkanym układzie. Pilot, kurs wprowadzony. Przygotować się na skok, gdy silniki będą naładowane w sześćdziesięciu czterech procentach.

– Zaczekaj! – powiedziałem szybko, zanim Desai zdążyła się odwrócić. Powinienem być zaufać, że nie skoczy bez mojego rozkazu, bo trzymała ręce w powietrzu. – Skippy, czy będziemy w stanie odłączyć okręty i kazać im skoczyć do olbrzyma gazowego, zanim wystrzelą drony?

– Proszę cię, pułkowniku Joe, obrażasz mnie. To bułka z masłem.

*

Chang nie miał obiekcji ani lepszych pomysłów. Simms wykazywała entuzjazm. W oczach jej i Desai widziałem nowy szacunek. Skoczyliśmy dwukrotnie poprzez przestrzeń międzygwiazdną i w końcu, po naciśnięciu przycisku przez Desai, kosmiczną pustkę na ekranach zastąpił szaroniebieski olbrzym gazowy. Planeta w całości wypełniała główny monitor. Skippy musiał popisywać się zdolnościami

nawigacyjnymi, bo wyglądało na to, że skoczyliśmy naprawdę blisko. Nie miałem nawet czasu ogłosić alarmu, bo poczułem od razu wstrząsy, gdy czternaście okrętów Kristangów i kapsuła ze śpiącymi Thuranami nagle oddzieliły się od lotniskowca. Następnie nasz okręt poleciał naprzód z normalnym ciągiem utrzymywanym przez Desai. Skippy nie przekazał jej instrukcji innych, niż natychmiast oddalić się od planety. Za chwilę za naszą rufą pojawiły się rozbłyski, gdy okręty Kristangów wbrew ich woli tworzyły punkty skoku.

– Pilot, można już wyłączyć ciąg. Patrzcie na to – oznajmił Skippy z ekscytacją.

Na ekranie pojawiło się zbliżenie na podświetlone nagle od środka chmury.

– Kazałem wszystkim czternastu okrętom skoczyć na przestrzeń stu kilometrów sześciennych tak, aby cele ich punktów skoku pokrywały się. Po to, aby mieć pewność, że nic z ich nie zostanie.

– Czy to nie przesada?

– Przesada jest niedoceniana – stwierdził z arogancją Skippy. – Hm... Oj.

– Oj? – Światło pośród chmur zaczęło robić się coraz większe i jaśniejsze, a chmury zaczęły się unosić. I to szybko. – Oj? Coś ty narobił, Skippy?

– Energia wyzwolona wewnątrz planety była dużo większa, niż się spodziewałem, rzędu wielkości petawatów. Wow. Stała się samowystarczalna. Cholera.

– Cholera? – Chmury pędziły ku nam. – Co to, do cholery, jest petawat? – krzyknąłem.

– Kłopoty. Znaleźliśmy się bezpiecznie poza zasięgiem. Tak mi się wydaje. – Ton głosu Skippy’ego szczególnie mnie nie uspokajał.

– Wydaje ci się? Desai, oddał nas od planety, wyższa orbita, jak zwał, tak zwał. Jak najszybciej.

– Aye, aye, sir – odpowiedziała z wielkim uśmiechem. Pilotowanie gigantycznego okrętu międzygwiazdowego sprawiało jej niezaprzeczalną przyjemność. – Gaz do dechy.

Patrzyliśmy, jak planeta robi się coraz mniejsza. Chmury zmieniły się w ogromnego grzyba, eksplodującego ponad atmosferę jak flara słoneczna. Skippy ogłosił z ekscytacją, że znaczna część atmosfery przekroczyła drugą prędkość kosmiczną i zostanie na stałe wyrzucona w kosmos. Była to ilość na tyle wielka, że okrętowe sensory zarejestrowały zmianę masy planety. Gaz atmosferyczny piął się w górę, ale dzięki Desai poruszaliśmy się coraz szybciej. Byłem pewien, że nas nie pozre.

– Skippy, co poszło nie tak?

– Nie tak? To było wspaniałe! Cholera! Prawie zmieniłem tę planetę w pomniejszą gwiazdę. Szkoda, że nie mamy czulszych sensorów.

– Nie tak, czyli niezgodnie z twoim planem – wyjaśniłem powoli. Jak to możliwe, że musiałem cokolwiek wyjaśniać superinteligentnej, starożytnej maszynie?

– No dobrze, skoro już musisz się czepiać. Następnym razem wyśle wrogi okręt głębiej w środek planety. Ale to żadna zabawa, bo niczego nie zobaczę. Będzie wyglądać, jakby chmury sobie beknęły czy coś takiego.

– Sir? – odezwała się Desai, nie odrywając oczu od sterów. – Czy mam dalej przyspieszać? Już oddaliśmy się od planety z prędkością piętnastu tysięcy kilometrów na godzinę.

– Hm? A, tak, możesz wyłączyć ciąg. – Nie było sensu marnować mocy. Zwłaszcza że nie mieliśmy jeszcze ustalonego celu. – Skippy, czy wszystko się udało? Okręty Kristangów uległy zniszczeniu i nie wysłały dronów?

– Udało się, pułkownik Joe. To wszystko wzięło ich z zaskoczenia. Zmyliłem ich komputery na tyle, że nie byli w stanie zareagować. Teraz są luźną chmurą atomów. Eksplozja pochłonęła też kapsułę towarową z Thuranami.

Spojrzałem przez szybę na Changa i Simms i uniosłem kciuk. Oboje skinęli głowami.

– Dokąd teraz, Skippy? Pozbyliśmy się już niechcianych gości. Czy teraz czeka nas atak na tę bazę na asteroidzie?

Powinienem coś poczuć, niszcząc Kristangów i Thuranów, ale tak się nie stało. Żadnego poczucia triumfu, winy ani satysfakcji, nic. Te okręty były tylko obiektami, nie myślałem o rozumnych istotach na pokładzie. Różniło się to od walk w nigeryjskim buszu albo strzelania do chomików na Paradise. Może uczucia przyjąć miały po jakimś czasie, ale w tamtej chwili nie miało to dla mnie znaczenia. Po prostu Kristangowie i Thuranie przestali stanowić zagrożenie.

– Tak. Poczekamy tu, aż silniki się naładują. Wyznaczyłem długi skok, więc potrzebujemy pełnej mocy, to zajmie do dwóch godzin.

– Desai, możesz przeznaczyć najbliższe dwie godziny na naukę latania?

– Tak jest, sir!

– Świetnie. Skippy, wyznacz punkty nawigacyjne czy jak tam przeprowadza się szkolenie pilotów. Potem lecimy przez tunel czasoprzestrzenny, tak? Znajduje się około ośmiu lat świetlnych od Paradise, zgodnie z szacunkami G-2. To znaczy naszego wywiadu na poziomie dywizji.

– Zapamiętałem wasze skróty wojskowe, pułkownik Joe.

– Hm, no tak, przepraszam. – Po co w ogóle cokolwiek wyjaśniałem istocie, która wiedziała wszystko, co znajdowało się na dowolnym nośniku danych, jaki ludzkość sprowadziła na Paradise? Skippy wiedział

więcej o ludzkości niż jakikolwiek człowiek. Czy tę wiedzę rozumiał, to już osobna kwestia. – Osiem lat świetlnych to na takim lotniskowcu Thurarów około szesnastu dni. Chyba że są różne typy? Nie wiem, jakim my lecieliśmy.

– Istnieją różne typy, a poza tym Thuranie dysponują pancernikami, krążownikami, niszczycielami, fregatami, a także transportowcami i okrętami wsparcia. Napęd skokowy na wszystkich ich lotniskowcach ma mniej więcej te same możliwości.

– Więc dwa tygodnie stąd do najbliższego tunelu...

– Chodzi ci o tunel prowadzący do Obozu Alfa. To nie jest tunel najbardziej zbliżony do Paradise.

– Nie?

– Nie. – Skippy zaczynał doprowadzać mnie do szału swoją lakonicznością. Zwykle gadał jak najęty.

– Do którego tunelu lecimy?

– Do tego znajdującego się jedynie pięć lat świetlnych od Paradise.

Wykonałem nieco obliczeń w głowie.

– W takim razie dziesięć dni?

– Jasne, jeśli chcesz się wlec jak Thuranie, jeden żalosny skok po drugim. My wykonamy dwa razy dłuższe skoki, a i to tylko dlatego, że musimy skalibrować silniki. W ogóle skoki mogą być jeszcze dłuższe.

– Nie rozumiem.

– To pierwsza inteligentna rzecz, którą powiedziałaś, odkąd się znamy.

– Witaj z powrotem, Skippy. Wiedziałem, że ten dupek gdzieś się kryje.

– Zignoruję to. Prawda, mój chłopcze, jest taka, że Thuranie ukradli ten rzekomo zaawansowany napęd skokowy dawno temu, ale te aroganckie małe cyborgi nie osiągnęły od tamtego czasu żadnych postępów, jeśli chodzi o jego zrozumienie. Durnie. Najlepiej wyjaśnię ci to, porównując napęd skokowy do ukradzionego samochodu. Thuranie wiedzą, jak go uruchomić i jak włączyć pierwszy bieg. Nie wiedzą, że istnieje więcej biegów, ale wiedzą, że samochód ma pedał gazu, i przyciskają go do dechy. Z rykiem silnika jadą na pierwszym biegu i wloką się ślamazarnie, a mogliby dużo szybciej. Zwłaszcza że Thuranie bardzo kiepsko skopowali ukradzioną technologię. Zupełnie jakby skrzynię biegów zrobili z kawałka drewna. Ale nawet bez modyfikacji z ich mizernej kopii jestem w stanie wyciągnąć dużo więcej.

– Nie żebyś się chwalił.

– Nie, jestem bardzo skromny. Zdziwiająco skromny, zważywszy na to, jak wspaniały jestem.

– Oczywiście, niesamowita skromność to twoja najbardziej zadziwiająca cecha. – Przewróciłem oczami.

– Tak, jestem z tego bardzo dumny. Poza tym, jak powiedział jeden z

was, ludzi, „to nie przechwałki, jeśli to prawda”.

– Aha. – Wciąż zadziwiało mnie to, że Skippy tak wiele wiedział o ziemskiej historii. Skąd lśniaca puszka piwa знаła cytaty z Muhammada Ali? – Te dłuższe skoki nie uszkodzą silników? Nie chcę utkwic gdzieś w kosmosie. Nie żeby myśl o spędzeniu wieczności z tobą nie brzmiała cudownie. Ale nie brzmi.

– Ja też nie chcę spędzić wieczności, patrząc na twoją głupią facjatę. Nie, Thuranie kontrolują skoki, przepuszczając przez silniki zdecydowanie zbyt wiele energii. To szybko je zużywa. Ja użyję jedną trzecią tego do dwa razy dłuższych skoków. Dzięki temu silniki wytrzymają dłużej. A to dobra wiadomość, bo nie możemy polecieć kradzionym pirackim okrętem do stacji naprawczej Thurarów.

– Czy my, małpy, możemy pomóc z naprawami? Możesz pokazać nam, gdzie jest lewarek i zapasowa opona, w razie gdybyśmy złapali gumę?

– Jeśli staniemy, możecie wysiąść i pchać.

Pokazałem mu język. Nawet najinteligentniejszy z ludzi zapewne nie byłby w stanie naprawić choćby toalety na pokładzie okrętu Thurarów. Bylibyśmy zupełnie bezużyteczni, gdyby coś stało się z silnikami czy innym krytycznym systemem. Ale jeśli Skippy miał nas ciągać po całej Galaktyce, to toalety zdecydowanie stanowiły krytyczny system.

– Dobrze więc, skoczmy do tunelu. Jak przez niego przelecimy? Czy Kristangowie albo Thuranie, czy nawet Ruharowie, nie będą pilnować wejścia?

– Jak mieliby to robić?

– Co?

– Pilnować wejścia.

– No wiesz, za pomocą okrętów. Albo jakiejś stacji bojowej czy czegoś takiego.

Przez chwilę wyobraziłem sobie Gwiazdę Śmierci, tylko pełną jaszczurów zamiast szturmowców.

– Co by dała stacja bojowa? Siedziałyby tylko w miejscu.

Nie mogłem uwierzyć, że muszę wyjaśniać superinteligentnej istocie, do czego mogła służyć stacja bojowa. Zwłaszcza że nigdy żadnej nie widziałem. Powoli powiedziałem:

– Siedziałyby przed wejściem, powstrzymując nieautoryzowane okręty przed...

– Hej – przerwał mi Skippy. – Już widzę problem. Hm, naprawdę nie wiesz. Cholera, wasz gatunek jest głupszy, niż myślałem.

– Czego nie wiem?

– Tunele nie są statyczne. Poruszają się. Stacja bojowa byłaby bezużyteczna.

– Okeeeej. Nie, panie mądralo. Nie wiedziałem, bo nikt nie wspomniał o tym detalu. Jak to poruszają się?

– Ojej, oto czas na wykład z fizyki dla bakterii. To, co nazywacie tunelami, to nie fizyczne obiekty, ale projekcje do lokalnej czasoprzestrzeni. Poruszają się z prędkością nieco mniejszą niż światło, po przypominającym ósemkę torze obejmującym około roku świetlnego. Projekcja tunelu przebywa w jednym miejscu przez siedemnaście do dziewięćdziesięciu dwóch minut, po czym zamyka się i pojawia ponownie na następnym przystanku na torze, który może znajdować się ćwierć roku świetlnego dalej. Przez cały cykl tunel znajdzie się w każdym miejscu na torze, ale tych miejsc są miliony. Nie ma sposobu na to, by Kristangowie ani jakikolwiek inny gatunek zamieszkujący obecnie tę Galaktykę mógł powstrzymać okręty przed korzystaniem z tunelu: skakanie za nim nie jest praktyczne. Mój plan polega na tym, by skoczyć do miejsca, w pobliżu którego ma się pojawić, i zobaczyć, czy czekają tam inne okręty. Wiem dokładnie, kiedy tunel przeskoczy do kolejnego miejsca. Jeśli będzie czysto, zaczekamy, aż się otworzy, i przejdziemy na drugą stronę.

– Hmm... – Wyobrażałem sobie tunele czasoprzestrzenne jako coś w rodzaju Gwiezdnego Wrót, czyli wielkiego pierścienia ze świecącym środkiem wiszącego w kosmosie. – To brzmi jak dobry plan. I nie mów, że oczywiście, że jest dobry. Dlaczego tunele nie pozostają w jednym miejscu?

– Czy nie odpowiedziałeś już na to pytanie? Bo gdyby pozostawały w jednym miejscu, jakiś gatunek mógłby mieć nad nimi pełną kontrolę. A poza tym w miarę, jak pozostaje otwarty, koszt utrzymania połączenia rośnie wykładniczo. A statyczny tunel w końcu wytworzyłby miejscową wyrwę w czasoprzestrzeni.

– Kolejna zasada bezpieczeństwa.

– Doskonała zasada bezpieczeństwa. Nie żebyście wy, małpy, musiały się nią przejmować, jeśli zamierzacie budować tunele czasoprzestrzenne z błota i patyków.

– Zamknij się! – Za każdym razem, gdy wydawało mi się, że Skippy jest w porządku, przypominał mi, że wciąż pozostaje dupkiem.

*

Po kolejnym skoku zarządziłem przerwę dla całej załogi. Byliśmy wyczerpani i, jak twierdził Skippy, bezpieczni. Wykonaliśmy tyle skoków, że niemal nieprawdopodobne było, aby Thuranie mogli nas znaleźć. Poza jedną osobą w ambulatorium, która mogła zdrzemnąć się na podłodze, oraz oficerem dyżurnym w fotelu pilota, chciałem, aby każdy dostał porządne osiem godzin snu. Byliśmy zmęczeni, wyczerpani emocjonalnie i potrzebowaliśmy czasu, aby poukładać sobie wszystko, co wydarzyło się podczas tego długiego i pełnego przeżyć dnia. Dla

większości załogi zaczął się, gdy dodo zleciało z nieba do bazy logistycznej i czwórka ludzi ogłuszyła Ruharów. Dla Changa, Desai, Adams i mnie zaczął się wcześniej.

Objąłem pierwszą wachtę, chociaż zdecydowanie nie byłem szkolony na pilota. Skippy zaprogramował dwa skoki awaryjne i w razie kłopotów wystarczyło, abym wcisnął przycisk. Siedząc w fotelu pilota, zbyt małym dla Desai i cholernie ciasnym dla mnie, zacząłem spisywać raport z akcji na swoim tablecie. Miałem nadzieję, że pewnego dnia będę musiał opowiedzieć władzom na Ziemi o wszystkim, co się wydarzyło, i uznałem, że lepiej zrobić notatki na świeżo. Cholera, było tego sporo. Doszedłem dopiero do połowy, gdy Chang zwolnił mnie trzy godziny później. Chwiejnym krokiem doszedłem do swojej kabiny blisko mostka. Nie mogłem jednak zasnąć, skulony na zbyt małym łóżku. Zamiast leżeć bezużytecznie, usiadłem, włączyłem światło i zacząłem pisać.

Z głośnik dobył się głos Skippy'ego:

– Pułkownik Joe, powinieneś spać.

– Mam sporo do zrobienia, Skippy. Na przykład zaplanowanie uroczystości pogrzebowej ludzi, których straciliśmy. Nie znam odpowiednich ceremonii dla taoistów i hinduistów.

Prawda była taka, że w zaśnięciu przeszkadzało mi poczucie winy.

– Hinduska tradycja zakłada kremację. Mam wszystkie dostępne dane o ludzkich rytuałach religijnych.

– Hm, dzięki, Skippy. – Mogłem spytać Changa i Desai, co zrobić z ich rodakami. Ciało Mathesona zamierzałem zostawić w chłodni do czasu, aż wrócimy na Ziemię i urządzimy mu prawdziwy pogrzeb. – To musi wydawać ci się głupie.

– Co mianowicie?

– Rytuały religijne. Religia jako taka.

– Dlaczego?

Jego reakcja mnie zaskoczyła. Spodziewałem się sarkastycznej odpowiedzi o małpach czczących drzewa.

– Bo stworzyły cię starożytne, superpotężne istoty i...

– Joe, Joe, Joe... – Wyobraziłem sobie Skippy'ego kręcącego pokrywką. – Pradawni rzeczywiście byli superpotężni. Potrafili przenosić gwiazdy. Kilka razy, gdy tor obrotu gwiazdy mógł zaszkodzić układowi słonecznemu, który według nich mógłby kiedyś zrodzić rozumne życie, odholowywali gwiazdę. Pewnego razu, gdy błękitny olbrzym miał stać się supernową i zalać kilka otaczających go układów śmiercionośnym promieniowaniem, Pradawni utworzyli tunel czasoprzestrzenny, który przeniósł tę gwiazdę poza Galaktykę. Dwieście tysięcy lat świetlnych dalej. Pomyśl o tym. Twoje pytanie zakłada, że istoty tak potężne, które w zasadzie osiągnęły nieśmiertelność, nie

widziałyby sensu w religii. Mylisz się. Znów. Jak myślisz, dlaczego Pradawni nas opuścili, przenieśli się na wyższy poziom egzystencji?

– Bo... – odpowiedziałem powoli, aby dać sobie czas do namysłu – znudzili się? Całą tą egzystencją?

– Nie. – W jego głosie nie było ani śladu drwiny. – Ponieważ odpowiedzieli na wszystkie pytania związane z fizyką wszechświata, a gdy docierasz do kresu fizyki, zostaje ci tylko metafizyka. Poza przyrodą leżą rzeczy nadprzyrodzone. Pradawni potrafili prześledzić wydarzenia aż do początku wszechświata i pozostały im tylko fundamentalne pytania. Co było wcześniej? Skąd wziął się wszechświat? Skąd oni się wzięli? Fizyka, nawet tak zaawansowana, że nieodróżnialna od magii, ma granice. Pradawni przeszli transcendencję, ponieważ chcieli wiedzieć, musieli wiedzieć, skąd się wzięli. Chcieli zjednoczyć się z Bogiem. Czy też ze swoim pojęciem Boga.

– Kurde... – nie potrafiłem powiedzieć nic innego.

– Popełniasz ten sam błąd, co większość młodszych gatunków, gdy myślą o Pradawnych. Myślisz o nich jako o mitycznych, zbliżonych do bogów istotach. Ale oni byli osobami, jak inne. Kiedyś byli nawet tak samo głupi jak wy, mały, ale wyewoluowali w coś cudownego. Pamiętam ich jako mądrych, życzliwych, potężnych, łagodnych. Tęsknię za nimi i szukam Kolektywu dlatego, by połączyć się znów z jakąś ich częścią. Ale wiem, że nie są bogami.

– Masz rację, Skippy. Nie rozumowałem w taki sposób. – W ogóle niewiele myślałem o Pradawnych, jako że tak niewiele o nich wiedzieliśmy. – Jak wyglądali?

– Niestety, nie umiem powiedzieć. To irytujące, mam o nich wspomnienia na końcu umysłu, ale gdy próbuję sobie ich wyobrazić, nie jestem w stanie, w każdym razie nie świadomie. Moje oprogramowanie nie pozwala mi też powiedzieć wielu rzeczy, które wiem. Problem w tym, że nie mam pojęcia, czy to część mojego oryginalnego programu, czy błąd. To kolejny powód, dla którego muszę skontaktować się z Kolektywem.

– Zrobimy to, Skippy. Obiecuję, znajdziemy go. – Moje powieki robiły się coraz cięższe i same się zamykały. – Dzięki, Skippy. Chyba jednak się prześpię. Pogadamy później.

*

Przez następne kilka dni wypracowaliśmy rutynę. Podczas gdy „Latający Holender” skakał, ładował silniki i znów skakał, my ustaliliśmy przydziały kabin, zorganizowaliśmy jadłodajnię w jednej ładowni, a inną opróżniliśmy, by przeznaczyć ją na salę gimnastyczną. I opracowaliśmy grafik dyżurów dla załogi.

Eksplorowaliśmy okręt i próbowaliśmy dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Simms wpadła na świetny pomysł zabrania pościeli z „Kwiatu”, by położyć ją na podłogach thurańskich pomieszczeń mieszkalnych najwyższych członków załogi. Gdy zaoferowano mi wielki jaszczurzy materac, odmówiłem, po czym i tak znalazłem go w swojej kabynie. Nie protestowałem. Od tego cholernego thurańskiego łóżka bolały mnie plecy.

*

Drugiej nocy Skippy powiedział, że w jednej z szafek czeka na mnie niespodzianka.

– Cholera, Skippy – zawołałem, gdy otworzyłem drzwiczki. Szafka była pełna plastikowych rurek ze szlamem. – Co to ma być?

– Eksperymenty smakowe. Na każdej jest etykieta.

Przyjrzałem się bliżej jednej z rurek. Zobaczyłem napis „czekolada #14” małą czcionką.

– Czternaście rodzajów czekolady?

– Dwadzieścia dwa. Jak mówiłem, czekolada to skomplikowany smak. Wytworzyłem też różne rodzaje karmelu, truskawki, curry, jalapeño, cheddaru, banana, jabłek w cynamonie, salsy i innych smaków. Na telefonie masz pełną listę, w razie gdybyś chciał ją przejrzeć, czego oczywiście nie zrobisz. Szczerze mówiąc, nie jestem pewien co do smaków owocowych.

Ostrożnie wyciągnąłem zatyczkę i powąchałem.

– Ile tych rurek wystarczy na jeden posiłek?

– Zależnie od zużycia energii, ale samcowi twoich rozmiarów powinno wystarczyć półtorej rurki trzy razy dziennie.

Znów powąchałem i próbowałem zdecydować, czy wolę połknąć zawartość, zanim poczuje jej smak, czy też wziąć odrobinę na język. Jako że zgłosiłem się na ochotnika jako degustator, przechyliłem rurkę, aż parę kropeł wpadło mi do ust.

– Nie takie złe. Przypomina kakao, które zostawiono na lata w chatce myśliwskiej, aż w końcu ktoś je znalazł na dnie szuflady. Zleżałe, zatęchłe i zbrylone.

Skippy roześmiał się.

– Nie wiedziałem, że jesteś koneserem szlamu, Joe.

– Smoothie, Skippy. Nazywajmy to smoothie. – Szlam miał nieprzyjemną konsystencję. Był jakby oleisty, brylasty i ziarnisty jednocześnie.

– Spróbuj czekolady numer sześć. Mój model smakowy przewiduje, że bardziej ci się spodoba.

– Najpierw skończ tę. Mniemam.

– Nie, nie ma potrzeby. Mamy mnóstwo szlamu na pokładzie, starczy go na lata.

– Świetnie.

Numer sześć rzeczywiście smakował lepiej. Porównałem je, biorąc po kropki obu.

– Masz rację, smakuje bardziej jak ciemna czekolada i ma mniej oleistą konsystencję.

– Doskonale! Zostało jeszcze dwadzieścia typów czekolady.

– Słuchaj no. – Nie mogłem znieść myśli o kolejnych dwudziestu rurkach ze śluzem. Chciałem przełknąć zawartość jednej i mieć to za sobą. – Powiedz mi, które, powiedzmy, sześć czekolad smakuje według ciebie najgorzej. Ludzie lubią różne rzeczy, więc to, co ty masz za najlepszą czekoladę, może nie być czyjąś ulubioną, a ja mogę wyeliminować te naprawdę paskudne. – Ostatnie, czego chciałem, to aby pierwszy łyk szlamu kogoś kompletnie zraził. – Jeśli zidentyfikuję najgorsze, będziesz w stanie przekalibrować swój model smaku, prawda?

– Nieźle rozumujesz, Joe. – Skippy nieoczekiwanie mnie pochwalił. – Zgadywanie, co smakuje ludziom, było dla mnie interesującym wyzwaniem. To nie takie proste.

– Cieszę się, że pomagam ci radzić sobie z nudą. Skippy, muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem, ta czekolada numer sześć jest naprawdę niezła. Byłoby z niej nawet smaczne śniadanie. Dobrze się spisałeś. Bałem się trochę tego szlamu, ale nie jest taki zły. Ale zanim zmienię zdanie albo uznam, że już nie jestem głodny, którą czekoladę masz za najgorszą?

Szlamy, a tak nazywała je uparcie załoga, bo jesteśmy żołnierzami i tak już jest, nie były szczególnie popularne, ale nie okazały się też kompletną katastrofą. A jako że jesteśmy żołnierzami, jakoś sobie radziliśmy i wymyślaliśmy kombinacje smakowe, tak samo jak mieszaaliśmy składniki z żelaznych racji, tworząc smaki, o których wojsko nigdy nie pomyślało. Jeden szlam czekoladowy plus jeden bananowy to banany w czekoladzie. Szlam kokosowy i curry na kurczaku z wojskowych racji dawał coś zbliżonego do tajskiego dania. Każdy zgadzał się, że smaki owocowe były najgorsze, ale po wymieszaniu przejrzałej truskawki z mdłym bananem smakowało to całkiem niezłe.

Ta nieprzewidywalność ludzkich preferencji smakowych doprowadzała czasami Skippy'ego do szału. Mimo swojej olbrzymiej mocy obliczeniowej nie był w stanie odpowiednio skalibrować modelu smakowego. Pomogło trochę to, że po kilku dniach udało mu się wyeliminować oleistość i brylastość. Ziarnistość została, bo była potrzebna dla zdrowia układu pokarmowego.

Załoga miała sporo okazji, by zrzędzić na temat „jedzenia” na pokładzie „Holendra”, co trochę zbliżało ich do siebie i nie szkodziło szczególnie morale. Szlam na śniadanie, szlam na obiad i MRE na kolację. Cała załoga, łącznie z Changiem, Simms, Desai i Giraudem próbowała namówić mnie na prawdziwe jedzenie, ale pozwalałem sobie tylko czasami wcisnąć krakersa czy ciasteczko, poza tym dawałem dobry przykład. Gdy załoga widziała swojego „starego”, którym byłem przecież ja, jedzącego tylko szlam, nie czuli się tak źle z tym, że sami spożywali go dwa razy dziennie.

Poza tym czekałem na cheeseburgera i nie akceptowałem nic w zamian.

14. SKAFANDRY

Kolejnego dnia, gdy ćwiczyłem w sali gimnastycznej, Simms wezwała mnie na mostek. Gdy dotarłem, zaczęła wstawać z fotela dowódcy, ale machnąłem ręką, żeby została na miejscu. To ona pełniła wachtę.

– Słucham, pani major?

– Panie pułkowniku, Skippy chce zboczyć z bezpośredniego kursu do kolejnego tunelu.

– Skippy? – spytałem.

– Musimy zbliżyć się do grupy bojowej Thuranów, abym uzyskał dostęp do aktualnych informacji. Obecnie tylko zgaduję, jakie jest rozmieszczenie sił w tym sektorze, przez co włączenie się w naszym okręcie pirackim staje się nieco niebezpieczne.

Simms wyjaśniła swoje obiekcje.

– Aby uniknąć zagrożenia, chce się zbliżyć do grupy bojowej Thuranów. Uznałam, że to wymaga pańskiej uwagi.

– Słusznie – zgodziłem się. – Widzisz problem, Skippy? Obecnie Thuranie wiedzą tylko, że jeden z ich lotniskowców zaginął. Nie zaczną się niepokoić, gdy tajemniczo pojawimy się i odskoczymy? Bo zamierzasz od razu odskoczyć?

– Tak, oczywiście, głupku. Mam plan. Jeśli muszę wszystko wyjaśniać, to niczego tu nie dokonamy. Ćśś! – uciszył mnie, gdy chciałem się odezwać. – Pozwól, że wszystko opowiem, zanim zmarnujesz mój czas na głupie pytania. Gdy skoczymy, zmienię naszą sygnaturę skoku i emisję silnika tak, abyśmy wyglądali jak lekki krążownik Jeraptha. Tego rodzaju okrętów Jeraptha używają do śledzenia grup bojowych wroga. Nasze pole maskujące sprawi, że Thuranie nie zorientują się, że jesteśmy lotniskowcem, jeśli nie będziemy siedzieć w miejscu. I nie będziemy. Genialne, prawda?

Nie byłem przekonany.

– Czy Thuranie nie wyślą okrętów, by nas zaatakować?

– Oczywiście, że tak. Grupa bojowa Thuranów trzyma w tym celu w gotowości fregaty i niszczyciele. Ale to żaden problem, będziemy wykonywać wokół mikroskoki, dopóki nie zdążę włamać się do bazy danych ich okrętu dowodzącego.

– Mikroskoki? – Spojrzałem na Desai. – Myślałem, że skoki wymagają długiego czasu ładowania silników.

– W większości okrętów tak – odpowiedział Skippy aroganckim tonem. – Przeprogramowałem nasze silniki tak, aby działały na tyle wydajnie, by wykonywać niewielkie skoki przy częściowym naładowaniu. Nie ma za co.

– Czego nie są w stanie robić prawdziwe lekkie krążowniki Jeraptha,

nieprawdą?

– Nie. Jeraptha nie są tak głupi jak Thuranie, ale ich silniki nie są wiele lepsze. To kolejny przykład mojej wspaniałości.

– Nie rozumiesz, Wasza Królewska Wspaniałość. Jeśli będziemy robić rzeczy, których nie potrafi robić lekki krążownik Jeraptha, Thuranie szybko zorientują się, że nim nie jesteśmy.

– Cholera – powiedział po prostu Skippy.

Mrugnąłem do Desai.

– Tak, cholera. A myślałem, że jesteś geniuszem.

– Ale nie strategiem wojskowym, pułkowniku Joe. Od tego jesteś ty. Hmm, co by tu wymyślić. Dobra, może tak? Za każdym razem, gdy skoczymy, zmienię nieco sygnaturę skoku, aby wyglądało, że to inny okręt Jeraptha. Nierzadko używają w celu śledzenia poczynań wroga więcej niż jednego okrętu.

– Może być. Jak długo musimy trzymać się Thuranów, zanim zdobędziesz potrzebne informacje?

– Od kilku minut do pół godziny, zależy. Im bliżej okrętu dowodzenia skoczymy, tym szybciej uzyskamy dane. Albo skoczymy blisko parę razy, albo nieco dalej więcej razy i będziemy dłużej odsłonięci.

Spojrzałem na Simms, która skinęła głową.

– W takim razie trzeba podjąć decyzję – powiedziała.

Decyzję, do której podjęcia żadne z nas nie było wykwalifikowane, i Skippy dobrze o tym wiedział. Przekazanie odpowiedzialności Desai byłoby tchórzliwym posunięciem.

– Dobrze, Skippy. Zakładam, że zaprogramujesz w systemie nawigacyjnym różne opcje i doradzisz pilotowi, co należy zrobić, na podstawie tego, co robią Thuranie?

– Owszem, dobrze zakładasz. – Co zaskakujące, oparł się pokusie, by obrazić moją inteligencję.

– Dobrze więc, jeśli uważasz, że potrzebujemy tych informacji, to zrobimy to. Pod jednym warunkiem: chcę, abyś wprowadził opcję skoku, który zabierze nas bezpiecznie z dala od Thuranów, nie tylko mikroskoku. Uruchomimy ją, jeśli pilot albo oficer dowodzący uzna, że okręt jest w niebezpieczeństwie. Większym niebezpieczeństwem niż zwykle.

– W porządku. Ale nie panikujcie od razu, zgoda? Nie chcemy robić tego więcej niż raz, jeśli nie ma takiej potrzeby.

– Pilot? – spytałem Desai. – Czy to brzmi odpowiednio?

Gdy to powiedziałem, wiedziałem, że stawiam Desai w trudnym położeniu. Powinienem spytać, czy ma inne pomysły.

– Tak, pułkowniku. Cały czas mamy opcję skoku awaryjnego pod innym przyciskiem. – Wskazała srebrny guzik na górze panelu kontrolnego. – Wypracowałam to z panem Skippym podczas naszej

pierwszej serii skoków. Za każdym razem gdy skaczemy, cel skoku awaryjnego jest aktualizowany.

– Och. – Powiniennem przecież to wiedzieć. – Świetna robota. Skippy, wiesz, gdzie znajduje się grupa bojowa Thuranów?

– Wiem, gdzie powinna być jedna z nich, i znam kilka innych możliwych lokalizacji. Zbliżyliśmy się za siedemnaście godzin.

Czyli w samym środku wachty Changa. Musiałem go uprzedzić, że przejmę wtedy mostek. Wypracowaliśmy już dobre zasady współpracy i nie chciałem tego pogrzebać.

*

Wróciłem na mostek pół godziny przed rozpoczęciem operacji. Skoczyliśmy i spędziliśmy pełne napięcia dziesięć minut, nasłuchując pasywnymi czujnikami. Desai była w każdej chwili gotowa odskoczyć, aż w końcu Skippy ustalił, że nie ma żadnych okrętów Thuranów w zasięgu. Uruchomił aktywne skanery i szybko stwierdził, na podstawie rzadkich chmur atomów niewystępujących naturalnie w przestrzeni międzygwiazdnej, że Thuranie niedawno przelatywali. Skippy próbował zgadnąć, gdzie polecili, i jego pierwsze dwie próby były błędne. Trzecia za to udała się aż za bardzo. Wyłoniliśmy się w samym środku grupy bojowej, mniej niż trzy tysiące kilometrów od najbliższego okrętu. To było zbyt blisko, nawet jak na brawurę Skippy'ego. Po tym, jak Desai uruchomiła mikroskok na bezpieczną odległość, zaczęliśmy skakać wokół grupy bojowej, ścigani przez dwa niszczyciele. Z początku nas to niepokoiło, potem tylko irytowało, gdy pojawiały się niedaleko nas i wystrzeliwały rakiety, pociski z dział elektromagnetycznych i promienie cząstek. Dwukrotnie promienie trafiły w nasze osłony, ale bezpiecznie je odbiliśmy i Skippy narzekał, że skaczemy zbyt szybko. Po kilku skokach wreszcie znalazł wzorzec w taktyce ścigających nas Thuranów i gdy zrobił na niego poprawkę, niszczyciele już więcej się do nas nie zbliżyły. Nadal uważałem jednak, że Skippy się nieco popisuje. Pojawialiśmy się niepokojąco blisko okrętu dowodzenia, na tyle, że do pościgu dołączył pancernik i dwa ciężkie krążowniki.

– Skippy, nie masz już dość danych?

– Zaczekaj, pułkowniku Joe. Zabawa dopiero się zaczyna. Możemy... Oj. Pilot! Skok awaryjny! Natychmiast!

Desai nie wahała się nawet chwili. Ekran ogarnął rozbłysk, po czym grupa Thuranów zniknęła.

– Skok udany, pułkowniku. Znajdujemy...

– Skacz jeszcze raz. Opcja cztery, natychmiast! – krzyczał Skippy.

Ekran znów zamrugał i ponownie pojawiliśmy się gdzieś głęboko w przestrzeni międzygwiazdnej.

– Zrobione – oznajmiła Desai z otwartymi szeroko oczami. – Pułkownik, mamy dość mocy tylko na jeden mikroskop – ostrzegła. Na dole głównego ekranu wyświetlał się czerwony pasek poziomu mocy silnika. Pokazywał obecnie tylko osiem procent.

– Skippy, co tu się dzieje, do cholery? Po co te dwa skoki?

– Myślę, że jesteśmy bezpieczni. Chyba.

– Lepiej, żeby tak było – odparłem, próbując sprawić siłą woli, aby pasek się wydłużył. – Co się stało? Czy ten pancernik za bardzo się zbliżył?

– Pancernik? Pfff! – parsknął Skippy. – Nie ma szans. Te thurańskie bałwany goniły za własnym ogonem. Programowałem mikroskopi bliższe niż potrzeba, żeby się z nimi bawić. Nie, Thuranie nie stanowili realnego zagrożenia, są zbyt przewidywalni. Ale w czasie gdy pobierałem dane z okrętu dowodzenia, część mocy obliczeniowej przeznaczyłem na odczyt danych i dowiedziałem się, że Maxolhxowie są na tyle zaniepokojeni porażkami Thuranów w tym sektorze, że przydzielili do grupy bojowej własny krążownik.

– Okręt Maxolhxów? – zawołała Desai. – Gdzie on był?

Zgodnie z protokołem okręty Thuranów wyświetlały się na ekranach na zielono, Kristangów na czerwono, Ruharów na żółto, Jeraptha na niebiesko i tak dalej. Maxolhxom przydzielono kolor pomarańczowy. Na ekranie nie było żadnych symboli o tej barwie.

– W tym problem. Nie wykryłem żadnych okrętów Maxolhxów w zasięgu. Dane Thuranów wykazują, że krążownik Maxolhxów dołączył do grupy bojowej dwa dni temu, ale co jakiś czas odskakiwał i Thuranie nie wiedzą, gdzie teraz się znajduje. Nie jestem pewien, czy kiepskie sensory tego okrętu są w stanie wykryć okręt Maxolhxów z włączonym pełnym maskowaniem. W tej chwili nie chcę mieć do czynienia z taką jednostką, bo nie jestem dostatecznie zaznajomiony z ich aktualnym poziomem technologicznym. W najbliższej przyszłości lepiej unikać skupisk floty Thuranów. Na tyle szybko, na ile możemy, powinniśmy wykonać dłuższy skok, z dala od tej okolicy. Silniki naładują się wystarczająco za trzydzieści siedem minut.

Cholerny pasek postępu mnie wkurzał, wciąż pokazywał tylko osiem procent.

– Czy zdobyłeś potrzebne dane?

– Co? A, tak, jasne, bez problemu. Wciąż je przeglądam. Mamy pełny obraz rozkładu sił Thuranów w całym sektorze, ich plany wojenne i tak dalej. Dzięki temu łatwo będzie ich unikać. A, i znalazłem potwierdzenie, że Thuranie wycofują się na dobre z Paradise. Porzucają całą tę gromadę tuneli. I tak leży na uboczu ich terytorium i Thuranie nigdy nie pałali entuzjazmem co do odbicia tej planety. To była operacja Kristangów, którzy mieli chrapkę na technologię Pradawnych. Szkoda,

że nie znaleźli niczego użytecznego za pierwszym razem. Ha, ha, ha-ha! Głupie jaszczury.

Myśl o zaczajonym krążowniku Maxolhxów, którego możemy nie być w stanie wykryć do czasu, aż jego broń przebije się przez nasze osłony, nieco mnie przerażała. Planowałem oddać dowodzenie z powrotem Changowi, gdy tylko odskoczymy, a teraz utkwilem w fotelu na kolejną godzinę, pilnując, czy bezpiecznie opuścimy okolicę i czy okręt nie przeciąży silników tyloma skokami. Skippy twierdził, że z silnikami wszystko w porządku, ale nie byłem w pełni przekonany. To, że przyznał, że przez niego skoczyliśmy bliżej floty Thuranów, niż to konieczne, żeby mógł się z nimi bawić w kotka i myszkę, nie napawało mnie otuchą.

Silniki skokowe naładowały się odpowiednio i Desai spytała, czy powinna wykonać skok. Kazałem jej na wszelki wypadek poczekać jeszcze dziesięć minut, abyśmy mieli jakiś margines bezpieczeństwa. Po skoku i wykonanej przez Skippy'ego diagnostyce systemów, na którą nalegałem, oddałem fotel Changowi i poszedłem do łazienki, gdzie niemal się porzygałem. Wszyscy na okręcie liczyli na mnie i robiłem, co w mojej mocy, ale to nie wystarczyło. I przy całej wiedzy Skippy'ego pozostawało wiele niewiadomych. Niemal wpadliśmy na okręt Maxolhxów, który przestraszył nawet Skippy'ego. Zdecydowanie zbyt wiele niewiadomych. I zbyt wielka stawka.

Obmycie twarzy zimną wodą uspokoiło nieco moje nerwy. Nie miałem już mdłości. W łazience Thuranów musiałem schylać się, żeby sięgnąć do umywalki, i ręce mi się trzęsły. Odezwałem się do zFona:

– Hej, Skippy, musimy pogadać.

– Jasne – odpowiedział od razu, choć jednocześnie rozmawiał z kilkoma innymi osobami, zarządzał okrętem i rozszyfrowywał petabajty danych. – Co tam?

– Chcę, żebyś przez minutę zachował powagę, jesteś w stanie to zrobić?

– Jeśli muszę. Czymś się martwisz. Słyszę to w twoim głosie.

Zapewne monitorował też moje ciśnienie krwi, reakcje skórne, ruchy oczu i cokolwiek tylko chciał.

– Powiedziałeś, że bawiłeś się z Thuranami.

– Tak, to była całkiem przyjemna rozrywka.

– Wcale nie. To naraziło „Holendra” na niepotrzebne niebezpieczeństwo.

– Rozumiem już problem. Jesteś na mnie zły. Joe, nie byliśmy w szczególnym niebezpieczeństwie. Gdy tylko dostałem się do sieci Thuranów, znałem działania ich okrętów, które próbowały nas ścigać. Trochę zabawy nam nie zaszkodziło.

– Tym razem nie, na tyle, na ile ci wiadomo. Nie wiedziałeś, że gdzieś

tam czai się krążownik Maxolhxów, gotów do rozbicia nas na atomy. Skippy, oto twój problem: jeśli coś pójdzie źle, utkwisz w głębi kosmosu do czasu, aż sfalszujesz wezwanie pomocy czy coś takiego i zwabisz tu jakiś okręt. Dla ciebie to nic miłego, ale już to wcześniej przetrwałeś i przetrwasz ponownie. Dla nas stawka jest większa. Gdy podejmujesz ryzyko, ryzykujesz cały mój gatunek. Całą moją planetę i wszystkich jej mieszkańców. Możemy być dla ciebie jak bakterie albo jeszcze mniej istotni. Ale dla nas to wszystko. Sporo zaryzykowaliśmy, wyruszając tu, i teraz ryzykujemy przetrwanie ludzkości. Jeśli poniesiemy klęskę, jeśli nie zamkniemy tunelu, jeśli Kristangowie zachowają kontrolę nad Ziemią, stracimy wszystko. Ja stracę wszystko. Rozumiesz to?

Zapadła nietypowa dla niego cisza. Po dłuższej chwili odezwał się:

– Joe, czy to łąza?

– Umyłem twarz zimną wodą – odpowiedziałem gniewnie i wytarłem łzę rękawem.

Przez myśli o rodzinie, o moim miasteczku, przyjaciółach, o ciemnym lesie, w którym spędzałem tyle czasu, a nawet o psie moich rodziców, ogarnęły mnie silne emocje. Wszyscy mogli liczyć tylko na mnie i nawet o tym nie wiedzieli.

– Przepraszam – powiedział cicho. – Rozumiem, jaka jest dla was stawka. Zawarliśmy umowę i zamierzam dotrzymać swojej części. Zamknę ten tunel. I przepraszam, że przeze mnie się niepokoisz, ale naprawdę nie groziło nam dodatkowe niebezpieczeństwo. Nie będę tego więcej robić, obiecuję.

– Dziękuję. I jeszcze coś. Czy Thuranie wiedzą o tym okręcie? Czy wiedzą, że stracili lotniskowiec?

Głos Skippy'ego wrócił do normy. On też wolał zmienić temat.

– Zmiana sygnatury skoku zadziałała. Monitorowałem wewnętrzną komunikację okrętu dowodzenia i byli przekonani, że szpiegują ich trzy lekkie krążowniki Jeraptha. Wiedzą, że „Holender” zaginął, ale nie wiedzą dlaczego. Dobre wieści są takie, że Thuranie stracili też dwa inne okręty, fregatę i krążownik, mniej więcej w tym samym czasie i miejscu, w którym zniknął „Holender”. Grupy bojowe Jeraptha polują na resztki floty Thuranów. Nasz sekret na razie jest bezpieczny. Dowódca thurańskiej grupy bojowej wysłał do dowództwa floty prośbę o pozwolenie na wysłanie kilku okrętów w poszukiwaniu „Holendra”, ale flota odmówiła. Nie chcą angażować dalszych środków na tym obszarze. Spisują okręt na straty. Operacja Jeraptha w tym sektorze, która poskutkowała zdobyciem Paradise przez Ruharów, okazała się niespodziewanym sukcesem i Thuranie musieli wycofać swoje siły. Zgodnie z moją analizą Jeraptha pierwotnie planowali wstrzymać ofensywę, ale teraz wykorzystują przewagę i przesuwiają tu siły z innych sektorów. Teraz to operacja na naprawdę sporą skalę. To dobrze dla nas,

bo Thuranie i Kristangowie będą skupiać uwagę na czym innym.

– Dobrze.

W thurańskich łazienkach nie było luster. Musieli uważać dbanie o wygląd zewnętrzny za zbędny relikw biologicznej przeszłości. Ale nie zamierzałem wracać na mostek, wyglądając, jakbym prawie zwymiotował. To nie byłoby najlepsze dla morale. Obejrzałem się zamiast tego na ekranie zFona. Z mojej twarzy przebijało zmęczenie. Tak, zawsze mogłem powiedzieć, że wszystko przez to. Wyprostowałem ramiona, otworzyłem drzwi i ruszyłem korytarzem na mostek. Chang skinął głową i ustąpił mi miejsca na fotelu.

– Pułkowniku, jakieś ślady okrętów Maxolhxów? – spytałem. Chang i Skippy oczywiście natychmiast by mnie powiadomili, ale chciałem jakoś przełamać niezręczną ciszę.

Chang pokręcił głową.

– Ani śladu pościgu. Ładujemy silniki. – Wskazał ekran, na którym pasek postępu wskazywał dwanaście procent mocy. – Pan Skippy zgłasza, że tunel, którego zamierzaliśmy użyć, może być w najbliższym czasie wykorzystywany przez Maxolhxów, więc zmieniliśmy kurs i kierujemy się na inny. Czas pozostały do najbliższego skoku to trzy godziny i dwanaście minut. – To również wyświetlało się na ekranie. – Zbliżymy się do tunelu za cztery dni.

– Cztery dni? W takim razie niech wszyscy dobrze odpoczną. Będziemy potrzebować...

Skippy nam przerwał.

– Cholera jasna! – krzyknął. – Kurwa mać! Chyba żartujecie! Pierdolone małe zielone ludziki!

– Jezu Chryste, Skippy, o co chodzi? – spytałem nieco spanikowany i szybko usiadłem na fotelu.

Chang opuścił mostek i zajął miejsce przy konsoli w BCI tuż za szybą. Na ekranach nie pojawiło się nic nowego, a zwłaszcza żaden pomarańczowy symbol okrętu Maxolhxów. Desai odwróciła się do mnie z ręką nad srebrnym przyciskiem aktywującym zaprogramowany wcześniej awaryjny mikroskop. Gestem kazałem jej się wstrzymać.

– Jesteśmy w niebezpieczeństwie? W tej chwili?

– My? – Skippy brzmiał, jakby był rozkojarzony. – Nie, nie jesteśmy w niebezpieczeństwie. No, nie w większym niż zwykle. Ale kłopoty mają ci śmierdzący, podstępni Thuranie. – Skippy był autentycznie zły. Jego wiązanka przekleństw mnie zaskoczyła, to nie było do niego podobne. – Jeśli tylko znowu ich dorwę, to sprawię, że pożałują, że kiedykolwiek próbowali być sprytni.

– Co oni ci zrobili?

– Mnie? Nic mi nie zrobili. Nie bezpośrednio. Ale sprawili, że wyszedłem na głupka. – W jego głosie słychać było rozgoryczenie. –

Ukryli przede mną coś ważnego. Coś, co powinienem wiedzieć, czego powinienem się spodziewać. Cholera jasna!

Jego tyrada mnie zaniepokoiła. Przyjrzałem się znów ekranom, ale nie zauważyłem na nich niczego nowego. Desai zdjęła palec z przycisku skoku awaryjnego, ale trzymała go niedaleko. O co mogło chodzić Skippy'emu? Grupa bojowa Thuranów nadal znajdowała się tam, gdzie powinna. Na ekranie nie było żadnych rozbłysków światła. Znajdowaliśmy się głęboko w przestrzeni międzygwiazdnej i wokół znajdowały się tylko rozproszone atomy wodoru, których nie pokazywały wyświetlacze.

Skippy wziął głęboki oddech, a przynajmniej to zasymulował.

– Gdy złamałem szyfry ich okrętu dowodzenia, zaskakująco złożone, tak swoją drogą, więc musieli ukraść je Maxolhxom, bo nie wyobrażam sobie, aby ich patroni dali im je dobrowolnie... Oczywiście nie mogły się równać z moją niesamowitą mocą obliczeniową, ale było to dla mnie niewielkie wyzwanie, jak rozwiązanie krzyżówki. Nie jakiejś szczególnie trudnej krzyżówki, w której hasła odnoszą się do siedemnastowiecznej węgierskiej poezji, chyba że ktoś jest ekspertem od siedemnastowiecznej węgierskiej poezji albo od dawnej literatury węgierskiej ogółem. Ale tak naprawdę, jeśli studiowało się jakąkolwiek europejską literaturę renesansową lub barokową...

– Skippy!

– Tak, a racja, zrobiłem małą dygresję. Co to ja miałem...?

Desai spojrzała na mnie i przewróciła oczami.

– Przechowujesz całą wiedzę ludzkości w niewielkiej części swojej pamięci i nie pamiętasz, o czym mówiłeś dziesięć sekund temu?

– Dziesięć sekund w twoim powolnym postrzeganiu czasu, Joe. Dla mnie w tym czasie mogły wyewoluować, rozwinąć się i wyginąć całe gatunki. Mój umysł wciąż wędruje. A, tak, mówiłem o szyfrowaniu. Zagłębiłem się w bazę danych na thurańskim okręcie dowodzenia i znalazłem coś bardzo ciekawego. Coś, co nie jest dobrze znane nawet wśród Thuranów, ich dowództwo utrzymuje to w tajemnicy i rozumiem dlaczego, bo jeśli sprawa się sypnie, to Thuranie stracą sporą przewagę. Umieścili nanowirusa na wielu, jeśli nie wszystkich, okrętach Kristangów. Każdy okręt Kristangów, który daje się podwieźć lotniskowcowi Thuranów, zostaje zarażony, jeśli lotniskowiec wyposażono w nanowirusa. „Holender” jest zaprogramowany, by generować nanowirusa, i zanim przejąłem kontrolę, jego SI już uznała, że „Kwiat” jest zarażony, więc nigdy nie aktywowała sterownika nanowirusa. Załoga okrętu nie wiedziała nawet, że istnieje.

– Ciekawe, ale co to jest nanowirus? – Tak naprawdę chciałem wiedzieć, dlaczego Skippy tak się wkurzył.

– To metoda łączenia atomów poprzez kwantowe... hmm... cholera,

nie mogę o tym powiedzieć małpom. I tak nie zrozumiecie. Uznajcie to za sposób na przeprogramowanie elementów okrętu Kristangów tak, aby kiedy Thuranie aktywują system, atomy połączyły się w nanomaszyny przejmujące kontrolę nad okrętem. Fizyczną kontrolę, nie tylko systemów komputerowych. Póki nanowirus nie zostanie aktywowany, nie ma szans, aby Kristangowie, przy ich żalonym poziomie technologicznym, mogli zorientować się, że ich okręt jest zarażony. To ważne, ponieważ istnieją proste sposoby na dezaktywację nanowirusa. Nawet Kristangowie są do tego zdolni. A Thuranie nie dowiedzą się, że nanowirus na danym okręcie Kristangów został dezaktywowany, zanim nie spróbują go aktywować.

– Świetnie. I dlaczego to dla nas takie ważne?

– Ponieważ – powiedział powoli Skippy – gdybym wiedział o nanowirusie, mógłbym użyć go, by przejąć kontrolę nad „Kwiatem”. Nie musiałbyś mnie wpinać do gniazda w ścianie. Nanowirus pozwala na przejście pełnej kontroli nawet nad częściami okrętu Kristangów zabezpieczonymi przed cyberatakami. Przepraszam, Joe, gdybym o tym wiedział, nie musielibyście przebijać się przedział po przedziale.

Ach. Miał poczucie winy ze względu na ludzi, których straciliśmy.

– Ale nie wiedziałeś, Skippy.

– Powinienem! To stara i względnie prosta technologia. Mogłem przewidzieć, że Thuranie ją odkryją albo ukradną czy zakupią.

– Ale działałeś na podstawie tego, co wiedziałeś na pewno.

– Nadal mi z tym źle – mruknął. – Dręczy mnie to, że powinienem był przeskanować „Kwiat” po tym, jak przejęliśmy kontrolę. Wykryłbym wiązania kwantowe. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego tego nie zrobiłem. Joe, dlatego właśnie niepokoją mnie problemy z dostępem do części mojej pamięci.

– Panie Skippy – spytała Desai – czy to znaczy, że może pan zdalnie kontrolować w przyszłości okręty Kristangów?

– Tak! Tak, mogę, o ile dostatecznie się zbliżymy. Thuranie ciągle zmieniają kody kontrolne i ich szyfry są całkiem niezłe, więc będę musiał ominąć systemy kontrolne i bezpośrednio aktywować nanowirusa. Krótko mówiąc: tak, mogę to zrobić. Dłużej mówiąc: to zależy. Wolałbym nie liczyć na to w sytuacjach krytycznych.

Wzruszyłem ramionami z teatralną przesadą.

– I znów sprawiasz, że jestem pełen zaufania w twoje możliwości.

– Hej, jest lepiej niż wcześniej. I pracuję nad tym. Technologia, której używają Thuranie, nie jest do końca taka jak trzeba, to wypaczona wersja oryginału. Pradawni porzucili tego typu prymitywne techniki dawno temu. Muszę szperać głęboko w swojej pamięci, aby dowiedzieć się, jak to powinno działać. Jeśli mi się uda, będę w stanie dużo łatwiej kontrolować nanowirusa. Daj mi trochę czasu. Swojego czasu, nie

mojego superszybkiego czasu.

*

– Hej, pułkowniku Joe? Śpisz? – Głos Skippy’ego dochodził z głośnika na suficie mojej kabiny.

Zerwałem się z łóżka i uderzyłem głową o wiszącą nisko szafkę. Zanim spróbowałem po raz pierwszy zasnąć na małym łóżeczku, uznałem, że szafka może stanowić problem, więc powiesiłem na niej dwie pary spodni, co zapewne uratowało mnie przed wstrząśnieniem mózgu. Następnego dnia zacząłem spać na materacu na podłodze.

– Cholera, Skippy, łeb sobie przez ciebie rozwalilem. – Co jest? Znalazł nas krążownik Maxolhxów?

– Nie! Nie jesteśmy w niebezpieczeństwie, Joe. Mam dobre wieści.

Mój zFon wskazywał, że było po wpół do drugiej. Spałem mniej niż trzy godziny, a moja wachta zaczynała się za kolejne trzy i pół.

– O tej porze nie ma dobrych wieści, Skippy. – Położyłem się z powrotem na materacu, to dotykając guza, to pozwalając mu pulsować w spokoju. – Czy to nie może poczekać do rana?

– Na okręcie kosmicznym nie wstaje słońce, Joe.

– Och, na litość... o co chodzi? – Najwyraźniej nie byłem w stanie się go pozbyć.

– Wśród danych, które zebrałem z okrętu dowódczego, znalazłem ciekawą analizę bazy Kristangów na asteroidzie, do której zmierzamy. Thuranie monitorują ją od lat i zidentyfikowali luki w systemach obronnych Kristangów.

– To dobre wieści. Będzie łatwo?

– Nieszczerze, Joe. To twardy orzech do zgryzienia. Z analizy Thuraków, którą potwierdziłem, przeprowadzając własną, wynika, że Kristangowie nieźle wzmocnili systemy obronne, zwłaszcza przeciwko Thurakom. Mimo prób utrzymania tajemnicy Kristangowie uważają za prawdopodobne, że Thuranie są świadomi istnienia na asteroidzie ośrodka badawczego i poczynili spore wysiłki, aby protektorzy nie byli w stanie łatwo ukraść ich zdobyczy.

– Cholera. – Teraz naprawdę zepsuł mi sen. – W takim razie to niemożliwe?

– Nie, tego nie powiedziałem. Thuranie mogą zdobyć asteroidę, jeśli naprawdę zechcą, i Kristangowie to wiedzą. Celem systemów obronnych jest sprawienie, by było to na tyle trudne, aby Thuranie uznali, że nie jest to warte zachodu i kosztów.

Pokręciłem głową.

– Maxolhxowie zebrali świetny sojusz. Wszyscy martwią się o to, że wykiwają ich sprzymierzeńcy, przynajmniej tak samo jak o wrogów.

– To ich słaby punkt, owszem.

– Powiedz wprost, Skippy – powiedziałem, bo miał nadmierną tendencję do dygresji – czy dla nas jest to warte swojej ceny? Zgodnie z tym, co mówiłeś, nie mamy szczególnego wyboru.

– Nie macie, na tyle, na ile mi wiadomo. Jedyne znane mi kontroler tunelu Pradawnych znajduje się na tej asteroidzie. Artefakty Pradawnych to nie jest coś, co można kupić w sieci, Joe. Albo zdobędziemy go tam, albo nie mamy szans na zamknięcie tunelu.

Ku mojej irytacji nie odpowiedział na pytanie.

– Dobra, dla nas jest to warte zachodu. Ale spytam powoli, żebyś zrozumiał – brak snu sprawił, że zrobiłem się zrzędlivy – daj radę to zrobić? Z tym okrętem, tymi ludźmi i sprzętem, który mamy na pokładzie? Zaczekaj chwilę! – Ten mały dupek zapewne i tak źle by to zinterpretował. – Wyrażę się jaśniej: czy mamy spore szanse na sukces?

– A, jasne, no problemo, Joe! Nawet większe teraz, gdy mam więcej danych. Thuranie przyglądali się systemom obronnym Kristangów wokół asteroidy, częściowo aby ocenić ich poziom rozwoju technologicznego, a częściowo dlatego, że Thuranie to nienawistne gnojki, które lubią pomiatać niższymi gatunkami. Dzięki temu, że zrobili wstępną robotę za nas, wiemy, jak przemknąć się do samych drzwi wejściowych. Raport Thuranów wskazuje ślepe punkty w sieci sensorów Kristangów. Jak mówiłem, dobre wieści.

– Które mogły poczekać, aż się obudzę.

– Przepraszam, Joe. Możesz wracać do snu.

– Jasne, tak jakbym teraz mógł jeszcze zasnąć. Hej, zaczekaj. – Minęło już jedenaście godzin, odkąd opuściliśmy grupę bojową Thuranów. – Czy twojemu wielkiemu mózgowi zajęło tyle czasu odkodowanie i przeanalizowanie danych Thuranów? Mówiłeś, że jesteś tak szybki, że my, mały, nawet nie jesteśmy w stanie sobie tego wyobrazić.

– Musiałem odkodować ponad zettabajt danych – zachnął się Skippy, tak jakbym miał jakieś pojęcie, ile to zettabajt. – Zaskakująco zmyślnie zaszyfrowanych. Potem musiałem je zorganizować i zdecydować, co przeanalizować najpierw. I uporządkować sprzeczne dane.

– Przepraszam, Skippy. – Nie chciałem go urazić. – Na pewno stanowiło to mnóstwo roboty nawet dla ciebie.

– Nie, zajęło mi to tylko siedem minut. Ale dla mnie to jak wieczność.

– Siedem min... Wiedziałeś to wszystko kilka minut po tym, jak skoczyliśmy?

– Tak.

– To dlaczego obudziłeś mnie w środku cholernej nocy?

– Byłem znudzony, Joe. I samotny.

Powiedział tylko tyle. Jego milczenie sprawiło, że powstrzymałem złośliwe uwagi. Skippy i ja byliśmy w niemal stałym kontakcie, odkąd

wyciągnął mnie z szafy, w której trzymali mnie Ruharowie. Wcześniej nie miał z kim pogadać przez długi czas, być może miliony lat. Podśluchiwał rozmowy innych, odkąd Kristangowie po raz pierwszy przybyli na Paradise, aby zabić nudę, ale być może to spotęgowało tylko jego samotność. Przypomniałem sobie, że byłem pierwszą istotą, z którą miał okazję porozmawiać, odkąd stało się to, co spowodowało jego izolację. Beze mnie był jak ćpun na głodzie narkotykowym.

– Przepraszam, Skippy. Ale rozumiesz, że my, małpy, potrzebujemy snu. Na pokładzie są inni ludzie, może pogadasz z nimi? – Większość spała. Na mostku siedział Chang i dwójka członków załogi uczących się na pilotów. Jedna osoba przebywała w ambulatorium, chociaż każdy dyżurujący tam mógł się zdrzemnąć w czasie, gdy ranni spali czy byli pod narkozą, cokolwiek zaaplikował im szalony doktor Skippy.

– Nie czują się z tym komfortowo. Większość się mnie boi.

– Porozmawiam o tym z nimi, Skippy. Rano, dobrze? Mam wachtę za nieco ponad trzy godziny. Nie możesz przez ten czas rozwiązać krzyżówki czy coś w tym stylu?

– No dobrze. Czy zaśpiewać ci kołysankę?

Poduszka na głowie nie zagłuszała go w wystarczającym stopniu.

– Dobranoc, Skippy.

*

Gdy się obudziłem i byłem w lepszym nastroju, spytałem Skippy’ego o jego plan ataku na asteroidę. Nie szczegółowy plan. Opracowanie tego zamierzałem niedługo powierzyć Giraudowi, ale na razie chciałem usłyszeć wstępne założenia.

– Miałeś już czas przejrzeć wszystkie dane co do układu asteroidy i systemów obronnych, tak? Jak możemy się tam dostać?

– Och, mam genialny plan, pułkowniku Joe. Użyjemy lądowników Thuranów – wyjaśnił Skippy. – Mogę otworzyć zewnętrzne drzwi do hangaru i zmylić sensory tak, aby Kristangowie nie mogli ostrzelać lądowników. Gdy wylądują w hangarze, załoga pobiegnie do wewnętrznych drzwi i je wysadzi.

– Mają pobiec do drzwi i je wysadzić w rozszczelnionym hangarze? Skippy, nikt z nas nie zmieści się do thurańskiego skafandra. Są za małe.

Nastąpiła milisekundowa pauza, co dla SI stanowiło wieczność.

– Cholera – powiedział w końcu.

– Serio? „Cholera”? To nie żart? Nie pomyślałeś, że ludzie potrzebują w kosmosie skafandrów? Pozwól, że wyjaśnię ci ich działanie...

– Nie jestem mięsuchem! Nie myślę jak wy, biologiczne worki na śmieci!

– Ten biologiczny worek na śmieci zaraz wysra się na twoją puszkę i

wyrzuci cię przez służę.

– Byłaby to lepsza pogróżka, gdybym nie kontrolował wszystkich służ, małpizonie.

– Można to obejść ręcznym sterowaniem. O, patrz, małpa ma przeciwstawne kciuki.

– Zamknij się.

– No i?

– Myślę! – zawołał.

– Czuję dym.

– Co?

– Następnym razem, gdy powiesz, jaki to nie jesteś inteligentny, odpowiem ci „skafandry”.

– Zamknij się. Nie twierdziłem, że jestem idealny.

– Przemysł jeszcze raz swój plan – powiedziałem, wchodząc do małej łazienki. – Chcę omówić go z Giraudem dzisiejszego popołudnia, aby mógł zacząć naprawiać twoje niedociągnięcia. To za dziesięć godzin, czyli bazylion lat w czasie Skippy’ego, więc będziesz miał mnóstwo czasu na to, aby wymyślić coś, co nie wymaga od ludzi oddychania w próżni.

*

Szeregowy Randall podszedł do mnie tego ranka w sali gimnastycznej, kiedy pocilem się na zorganizowanym przez sierżant Adams sprzęcie. Powiedział, że major Simms jest usatysfakcjonowana przeprowadzonymi przez siebie szkoleniami załogi. Wszyscy wiedzieli już, gdzie znajdują się służy, jak sterować kolejką i windami, a także znali wszystkie procedury awaryjne, które opracowali Chang i Simms, a które Skippy uważał za kompletną stratę czasu.

– Joe, uczenie tej załogi, jak obsługiwać ten okręt, to strata czasu. Jesteście jak pies. Pies może wiedzieć, że w spiżarni znajdują się przysmaki, ale może patrzeć na gałkę u drzwi i nigdy nie zrozumie, jak działa.

– Więc teraz jesteśmy psami? – Mrugnąłem do Randalla. – Kiedy dostaliśmy awans? Myślałem, że jesteśmy bakteriami.

– Sprawiliście się lepiej, niż oczekiwałem, wasz gatunek jest względnie zdolny do adaptacji. Może jesteście raczej jak pantofelki.

– Pantofelki? – spytał Randall.

– Chodzi o jednokomórkowe organizmy, które pewnie widziałeś przez mikroskop w szkole – wyjaśniłem. – Właśnie w kształcie pantofla.

– Pantofla?

– Nie wiesz, co to pantofel? To taki rodzaj buta.

Skippy prychnął zde gustowany.

– Zmieniłem znów zdanie. Jesteście bakteriami. Kto nie wie, co to pantofel?

– Jesteśmy żołnierzami – wyjaśniłem – nie szewcami.

– Pantofelki byłyby świetnym symbolem twojej wesołej bandy piratów, Joe. Zaraz przekażę projekt do fabrykatorów.

Skippy rzeczywiście wyprodukował naszywki z pantofelkiem z piracką opaską na oku i sztyletem. Adams przyniosła je do mnie, uznawszy, że mnie rozśmieszą. Myślałem, że na tym się skończy, ale niektórzy członkowie załogi zaczęli mnie pytać, czy mogą przyszyć je do mundurów. Nie powinno mnie to dziwić. Byliśmy piratami i noszenie pantofelków na mundurach stanowiło sposób na pokazanie Skippy'emu środkowego palca. I tak właśnie skończyliśmy z pierwotniakami na ramionach.

*

Wychodząc z prowizorycznej sali gimnastycznej, minąłem sierżant Adams, która właśnie się tam kierowała z przewieszonym przez ramię ręcznikiem.

– Pani sierżant, porozmawiajmy o pani stroju.

– Myślałam, że wolno nam nosić T-shirty na pokładzie w czasie wolnym? – spytała, patrząc na moją szarą koszulkę z napisem armia na piersi. – Mam tylko trzy na zmianę, sir.

– Spokojnie, nie zabraniam nosić T-shirtów. – Uśmiechnąłem się. – Ale jesteśmy na pokładzie okrętu międzygwiazdowego śmiało podążającego tam, gdzie nie dotarł jeszcze żaden człowiek, i być może będziemy musieli lądować na planetach pełnych niebezpieczeństw.

– Tak, sir?

– To czerwona koszulka.

– Och. – Zaczerwieniła się, gdy w końcu zrozumiała nawiązanie do „Star Treka”. – Rozumiem, sir. Przebiorę się w mundur marines, zanim się gdzieś teleportujemy.

– Słusznie.

Byłem z siebie dumny, że nie obejrzałem się za jej kształtnym tyłkiem. Ta podróż zapowiadała się na bardzo długą.

15. ATAK

Giraud zadzwonił, mówiąc, że musi porozmawiać ze mną o planie ataku na bazę Kristangów. Znalazłem go razem z sierżantem Thomsonem w ładowni niedaleko sali gimnastycznej. Skippy powiedział mi, że pracował nad planem z Giraudem, i uznałem wcześniej, że nie ma potrzeby się wtrącać.

– Dzień dobry, sir – powiedział sierżant Thomson ze swoim czarującym brytyjskim akcentem.

– Dzień dobry – odparłem, wciąż czując smak szlamu, który zjadłem na śniadanie. Tego ranka próbowałem wymieszać nieudane „jabłko w cynamonie” ze względnie niezłym czekoladowym szlamem. To, co wyszło, połknąłem jak najszybciej, by nie musieć tego smakować. Wśród załogi panował nieoficjalny konkurs na najlepiej smakujące kombinacje, które później publikowano w sieci zFonowej. Mój poranny eksperyment miał wylądować w kolumnie z porażkami.

– Poruczniku, widzę, że pan nie próżnował.

– Owszem – skinął głową Giraud. Gdy zdecydował się wziąć udział w misji, miałem poczucie, że traktuje mnie trochę jak głupka, któremu się poszczęściło, kogoś, kto trzymał klucze do przyszłości, ale nie wiedział, jak ich użyć, i potrzebował, aby poważne decyzje podejmowali zawodowi żołnierze jak on. Zapewne nadal nie miał najlepszego zdania o moich zdolnościach, jeśli chodzi o planowanie taktyczne, ale darzył mnie niechętnym szacunkiem za to, jak do tej pory kierowałem misją. Mój pomysł na poradzenie sobie z problemem Kristangów poprzez zmuszenie ich okrętów do skoku w środek planety zrobił wrażenie na wielu ludziach. To oraz fakt, że na razie odnosiliśmy sukces za sukcesem, tak jak obiecywałem. Uciekliśmy z Paradise, przechwyciliśmy fregatę Kristangów i lotniskowiec Thuránów, a teraz skakaliśmy w stronę tunelu czasoprzestrzennego. Sukces rodzi zaufanie. Musiałem więc odnosić kolejne sukcesy, żeby je utrzymać.

– Plan ataku na asteroidę wymaga elementu zaskoczenia. Musimy działać szybko, gdy tylko lądownicy znajdą się w hangarze. To oznacza, że nie możemy czekać na zamknięcie drzwi i uszczelnienie hangaru. Nasi ludzie muszą wyjść z lądowników i uzyskać dostęp do wnętrza bazy, zanim Kristangowie zareagują. Potrzebujemy skafandrów.

Giraud wskazał na dwa wiszące egzemplarze – mały, lekki, i większy, mocno opancerzony.

– Ten skafander Thuránów – wskazał na mniejszy – nie pasuje nawet na najniższą osobę w naszej załodze. Skippy twierdzi, że nie ma sposobu na ich powiększenie. Fabrykatory okrętowe nie są w stanie wyprodukować tych materiałów.

– To prawda – potwierdził Skippy przez głośnik w ścianie. – W grupach bojowych Thuranów są okręty wsparcia z przemysłowymi fabrykatorami. Poszczególne jednostki bojowe mają pod tym względem ograniczone możliwości.

– Stanowiło to poważny problem – mówił dalej Giraud – zanim sierżant Thomson pomyślał o skafandrach na okręcie Kristangów. Są opancerzone i zasilane. Silniki wspomagają ruchy, więc ich ciężar nie będzie problemem dla ludzi.

Skafander Kristangów wyglądał nieźle. Podeszedłem do niego i postukałem pięścią. Był twardy. Do uchwytów przy nadgarstkach można było przymocować broń i noszący musiał tylko pociągać za spust. Zasłonę wykonano z jakiegoś rodzaju przyćmionego szkła albo z innego przezroczystego materiału.

– Dobra robota, sierżancie. Następne pytanie brzmi, czy nie są za duże?

– To pewien problem – przyznał Giraud.

Thomson otworzył tylne zawiasy pancerza i ostrożnie wszedł do środka. Giraud mu pomógł i zamknął skafander. Na nadgarstkach zaświeciły się wyświetlacze i Thomson zrobił dwa ostrożne kroki naprzód. Następnie przyłbica podniosła się i zobaczyłem jego twarz.

– Nie jest idealnie – powiedział niezbyt wyraźnie. Jego twarz od nosa w dół była niewidoczna. – Uderzam brodą o hełm i nie mogę w pełni otworzyć ust.

– Sierżant Thomson ma niemal dwa metry wzrostu – powiedział Giraud.

– Po waszemu to sześć stóp i cztery cale, Joe – dodał Skippy.

– I ledwie jest w stanie korzystać skutecznie z pancerza – kontynuował Giraud. – Można jednak go dopasować, a Skippy jest w stanie wyprodukować dla nas pewne części.

– Ograniczoną liczbę – ostrzegł Skippy. – Nie ekscytujcie się zbytnio.

– Na ile dopasować? – Stałem na palcach, żeby zajrzeć do hełmu. Thomson wyraźnie nie czuł się komfortowo.

– Najlepsze, co mogę zrobić, to dopasować je do użycia przez osoby mające przynajmniej sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu – oznajmił Skippy.

– Ja mam metr dziewięćdziesiąt – powiedziałem. – Kto jeszcze? – Thomson i Giraud byli wysocy, Chang też.

– Siedmiu ludzi – odliczył na palcach Giraud. – Pan, ja, sierżant Thomson, pułkownik Chang, starszy kapral Putri i szeregowi Marsden i Darzi.

– Siedmiu? Czy to wystarczy?

– Sześciu – poprawił mnie Giraud. – Pan nie leci, sir. Musi pan pozostać na pokładzie „Holendra” i dowodzić operacją.

– Ma rację, Joe – zgodził się Skippy. – Będę stąd sterować lądownikami i monitorować sensory, a ktoś musi mówić mi, co mam robić.

Próbując powstrzymać irytację, powiedziałem oschle:

– Omówimy to później. Czy sześć osób wystarczy, by wypełnić zadanie?

– Nie – odparł Giraud.

– Zgadzam się, Joe – dodał Skippy. – Tu właśnie potrzeba nam twojego militarnego geniuszu. Mógłbym zbombardować asteroidę z dział elektromagnetycznych i potem przeszukałibyśmy szczątki, ale ryzykowałibyśmy uszkodzenie tego, czego szukamy.

– Poruczniku – zwróciłem się do Girauda – ma pan za sobą szkolenie w siłach specjalnych i doświadczenie. Jeśli uważa pan, że nie jesteśmy w stanie wypełnić tej misji, to nie mam nic do dodania.

Giraud zmarszczył czoło.

– W takim razie wracamy do punktu wyjścia.

– Nie poddajemy się. Na pewno rozważył pan wszystko, ale zrobimy przerwę i jutro przyjrzymy się sprawie na świeżo.

Giraud pomógł Thomsonowi uwolnić się ze skafandra bojowego Kristangów. Thomson rozmasował sztywne ramiona, w które wbijały się wcześniej krawędzie ledwie pasującego pancerza.

– Sierzancie – powiedziałem, przyglądając się skafandrowi Thuranów – czy jest pan pewien, że po odpowiednim dopasowaniu będzie pan w stanie używać tego w walce?

– Tak, sir. Poruszam się niemal bez wysiłku. Przy odrobinie praktyki mogą świetnie sprawdzić się w boju. Na szczęście Kristangowie nie byli w stanie ich użyć, gdy przejęliśmy „Kwiat”.

– Dobrze, dobrze. – Byłem nieco rozproszony. Skafander Thuranów był lekki, niemal delikatny. Nawet zakładając, że został wykonany z egzotycznego, zaawansowanego technicznie materiału, nie rozumiałem, jak mógł sprawdzać się w walce w konfrontacji z pancerzem Kristangów. – Skippy, te skafandry Thuranów są jak z lycry. Czy ten materiał robi się twardy jak diament albo coś takiego? Czy mają może osłony energetyczne jak okręt?

– Nie, nic tak wymyślnego. To po prostu skafander.

– Hmm... To jak walczą w czymś takim?

– Walczą? – roześmiał się Skippy. – Thuranie zwykle nie biorą osobistego udziału w walce. Te zielone półgłówki nie wystawią się na bezpośrednie zagrożenie. Kontrolują zdalnie drony, które można nazwać droidami czy robotami bojowymi, czy jakoś tak.

– Droidy bojowe? Czy są na pokładzie tego okrętu?

– Oczywiście, w zbrojowni jest ich kilkadziesiąt. Trzydzieści osiem, dokładnie mówiąc.

– Zbrojowni, jakiej zbrojowni? – spytałem.

– Mamy roboty bojowe? – zdziwił się Giraud. – Dobrze byłoby to wiedzieć, zanim spędziłem całe dnie, planując atak!

– Roboty bojowe, karabiny, rakiety, różne inne zabawki znajdują się w zbrojowni położonej na tyłach centrum dowodzenia. Jest nieco schowana, trzeba o niej wiedzieć, żeby ją znaleźć.

– To dlaczego nam, do cholery, o niej nie powiedziałaś?! – nie próbowałem ukrywać złości.

– Cóż, Joe, nie pytałeś – mruknął Skippy. – I nie zamierzam z własnej inicjatywy mówić małpom, gdzie znajdują niebezpieczne zabawki.

– *Merde*. – Giraud poczerwieniał na twarzy. – Pułkowniku, jeśli będzie miał pan kiedyś ochotę wyrzucić Skippy’ego przez służbę, proszę powiedzieć, chętnie zrobię to za pana.

– Co? – spytał niewinnie Skippy. – Co takiego zrobiłem?

Pokazałem Giraudowi kciuk.

– Skippy, jeśli nie wiesz, to ci to wyjaśnię. Czy ludzie są w stanie sterować tymi robotami, czy to coś, co Thuranie robią przez implanty cybernetyczne?

– Thuranie używają cybernetyki, bo to jeden z najwydajniejszych sposobów na zdalne sterowanie urządzeniem, zwłaszcza w walce, gdy czas reakcji jest kluczowy. Ale nie ma powodu, aby nie można było zmodyfikować ich tak, by to ludzie stali się agentami teleoperacji.

Miło by było, gdyby Skippy wyjaśniał nową terminologię techniczną.

– Jeszcze raz, dla jasności, chodzi o zdalne sterowanie? Za pomocą czego, drążków, przycisków, takich rzeczy?

– Pffft! – parsknął Skippy. – Chciałbyś! Nie ma mowy, to zbyt wolne. Podłączymy sensory do operatorów, aby roboty ruszały się zgodnie z ich ruchami. Przechwytywanie ruchu, tylko lepsze niż to, czym wy dysponujecie. W zasadzie potrzebne będą też gogle, żeby operator widział to, co robot. To nie tak wydajne jak przekaz bezpośrednio do nerwu wzrokowego jak u Thuraków, ale powinno wystarczyć. Sensory powinny obejmować akcelerometry, żeby operator czuł, gdy robot napotka opór.

– Czy mógłbyś więc otworzyć zbrojownię, abyśmy położyli brudne małpie łapska na tych wspaniałych robotach? – powiedziałem tak sarkastycznie, jak tylko potrafiłem.

– Skoro tak ładnie prosisz, jasne. Ale najpierw umyj te łapy.

*

Droidy robiły wrażenie. Sierżant Adams zaraz nazwała je kombotami. Według niej nie były prawdziwymi androidami, jako że miały ograniczone możliwości samodzielnego poruszania się i reagowania, a poza tym wymagały sterowania przez operatora. Gdy wynieśliśmy trzy

komboty do pustej ładowni, Giraud, Adams i Thomson byli w stanie sterować nimi bez żadnego specjalnego sprzętu. Skippy po prostu obserwował ich ruchy i kazał kombotom je naśladować. W czasie akcji nie mogliśmy jednak polegać na Skippym, bo baza na asteroidzie miała mocne osłony i operatorzy musieli znajdować się blisko kombotów, by zmniejszyć opóźnienie. Podczas ataku operatorzy musieli znajdować się na pokładzie ładowników w hangarze.

Nie byłem z tego zadowolony, bo narażaliśmy w ten sposób więcej ludzi, nawet jeśli w mniejszym stopniu niż tych we wspomaganych pancierzach Kristangów. Ich zresztą też nadal potrzebowaliśmy. Skippy nie ufał kombotom, jeśli chodzi o zadania wymagające precyzji, jak obchodzenie się z delikatnym sprzętem Pradawnych, którego potrzebował. Poza tym lepiej nie stawiać wszystkiego na jedną kartę. Według danych jaszczurów i Thuranów, które pobrał Skippy, Kristangowie zaprojektowali swoje systemy właśnie do obrony przeciwko Thuranom i Skippy nie mógł zagwarantować, że nie zakłócili w jakiś sposób zdalnego sterowania robotami. Kristangowie wiedzieli wszystko o kombotach swoich patronów i zapewne spędzili wiele czasu na kombinowaniu, jak je pokonać.

Zmodyfikowany plan Girauda wymagał sześciu ludzi w pancierzach Kristangów i dziewięciu zdalnych operatorów. Skippy miał zdalnie pilotować ładowniki, co oznaczało, że nie potrzebowaliśmy ludzi jako pilotów, ale i tak chciałem mieć przynajmniej cztery osoby wyszkolone do sterowania jednostkami Thuranów. Sześciu ludzi potrzebowało poprawek do panczerzy Kristangów, a następnie musieli ćwiczyć korzystanie z nich w symulacjach bojowych. Czwórka potrzebowała szkolenia, jeśli chodzi o pilotowanie thurańskich ładowników, i musiało być minimalne, bo ci sami ludzie, plus niemal cała reszta, musieli też ćwiczyć sterowanie kombotami. Niechętnie zgodziłem się z Giraudem, Changiem i Simms, że powinienem pozostać na pokładzie „Holendra” ze Skippym, Desai i szeregowym Walorskim.

Skippy obudził Walorskiego i wypuścił go z kapsuły medycznej, gdy uznał, że ten wyleczył się na tyle, aby resztę rehabilitacji przejść poza ambulatorium. Jego lewe przedramię, mocno poranione i niemal urwane w czasie bitwy o „Kwiat”, znajdowało się teraz w sztywnym rękawie, który zaprojektowano na nogi Thuranów. Był nieco za duży na rękę Walorskiego, na tyle, że obijał się o sprzęty, co powodowało ból u rannego, a u doktora Skippy’ego niekończącą się frustrację, bo za każdym razem opóźniało to rehabilitację. Rękaw zawierał nanosondy, które składały kości, nerwy i mięśnie. Trzy razy dziennie trzeba było wymieniać fiolki z płynem. Skippy przewidywał pełny powrót do zdrowia Walorskiego w ciągu trzech tygodni, być może wcześniej, zależnie od współpracy Walorskiego. Prognoza była dużo lepsza, niż

początkowo się obawiałem, bo wyglądało na to, że żołnierz może stracić lewą rękę poniżej łokcia, a nawet umrzeć, zważywszy na skromne zasoby medyczne i brak ludzkiego lekarza.

Można by pomyśleć, że Walorski będzie wdzięczny i w zasadzie był, ale widział też, że wszyscy oprócz mnie i Desai ćwiczą albo walkę w pancerzach wspomaganych Kristangów, albo sterowanie kombotami. Walorski uważał, że powinien dostać kombota i polecieć w jednym z ładowników. Nie był wyszkolony na pilota i nie chciał zostać z tyłu, podczas gdy wszyscy inni ryzykowali życie w bitwie kluczowej dla przetrwania ludzkości. Czy sam bym się czuł podobnie na jego miejscu? Jasne, że tak. W końcu się tak czułem.

Atak na asteroidę miał przesądzić, czy nasza ojczysta planeta, nasz cały gatunek pozostanie pod butem Kristangów. Być może czy w ogóle przetrwa. Oczywiście, że nie chciałem siedzieć bezpiecznie na „Holendrze”, mogąc w razie bezpieczeństwa odskoczyć. Moje próby przekonania szeregowego Walorskiego, że musi zostać na pokładzie jako zapasowy pilot, niweczył fakt, że sam nie byłem przekonany. Był już na krawędzi otwartej niesubordynacji, gdy interweniował Skippy, oznajmiając, że Walorski nie mógłby skutecznie kontrolować kombota bez w pełni sprawnej lewej ręki. Z jedną ręką mógł asystować Desai przy pilotowaniu albo siedzieć i nie robić nic, ale w czasie ataku tylko by zawadzał. Między mną a Walorskim trwał wyścig, kto jest bardziej nieszczęśliwy.

*

Na okręcie znajdowała się jeszcze jedna grupa nieszczęśliwych ludzi: wszyscy, którzy ćwiczyli w pancerzach wspomaganych albo uczyli się sterować kombotami w ładowni. Byli nieszczęśliwi, bo Giraud popełnił błąd i przydzielił sierżant Adams do zadania przerobienia ładowni na symulator bojowy i zaprojektowania programu szkoleniowego. Samo to nie było problemem. Problemem okazało się jednak, że jako osoba odpowiedzialna za szkolenie to ona wybierała muzykę dochodzącą z głośników w ładowni. Głośna muzyka dekoncentrowała i pomagała uczyć ludzi pracy w rozpraszających warunkach, w hałasie utrudniającym myślenie. Problemem nie była sama muzyka, tylko gust Adams. Gdy ćwiczę fizycznie, szykując się do walki albo po prostu utrzymując kondycję, puszcza mi coś z mocnym rytmem.

Lista utworów Adams zamiast tego zawierała gospel, jazz, polkę i, naprawdę nie żartuję, bluegrass. Cholerny bluegrass, z facetami śpiewającymi przez nos przy akompaniamencie banjo z taką manierą, że miało się ochotę rozwalić im to banjo na głowie. Jak zapewne się domyślicie, nie jestem fanem tego rodzaju muzyki. Country tak, ale

bluegrass nie. I do tego żadna z piosenek nie była najlepszym przykładem swojego gatunku. Adams naprawdę mocno postarała się, żeby znaleźć kawałki, którymi muzycy wypełniają płyty, gdy skończą im się pomysły i talent. Do tego puszczała często jedną piosenkę w kółko. Spróbujcie się skoncentrować w takich warunkach.

Jak się okazało, Adams to geniuszka zła. Jeśli słuchacie muzyki, która wam się podoba, możecie wczuć się w rytm i przestaje was rozpraszać. Ale kiedy muzyka brzmi jak tarcie paznokciami po tablicy, poświęćcie część swojej uwagi na myśli o tym, jak zabić osobę, która ułożyła listę utworów, i to was rozproszy. A nauczanie się, jak ignorować rzeczy, które rozpraszają, było właśnie celem ćwiczenia.

Gdy po raz pierwszy obserwowałem ćwiczenia, to gdy tylko się skończyły, puściłem starą piosenkę Coolio. Załoga poczuła wtedy wyraźną ulgę. To podniosło morale najbardziej od czasu, gdy zobaczyli, jak niechciane okręty Kristangów znikają w kuli ognia we wnętrzu olbrzyma gazowego. Punkt dla mnie.

*

Po tym, jak zobaczyłem ćwiczenia załogi z pancerzami i kombotami, byłem pod wrażeniem i zacząłem myśleć, że naprawdę nam się uda. Szóstka zmechanizowanej piechoty była szybka i z łatwością unosiła ciężkie karabiny Kristangów. Grawitacja na asteroidzie wynosiła tylko dwa procent ziemskiej, więc na potrzeby szkolenia Skippy zmniejszył odpowiednio ciężenie w ładowni. Dwa procent oznaczało, że ludzie w pancerzach i komboty potrzebowali innego niż grawitacja sposobu na utrzymanie się na powierzchni bazy. Komboty automatycznie przylegały do podłóg, ścian, sufitów, co wystarczyło, aby poruszały się tak, jak chcieli operatorzy. Miały specjalne chwytaki na stopach, kolanach, dłoniach, łokciach, wszędzie, gdzie to użyteczne. Pancerze Kristangów posiadały chwytaki na spodach butów, na rękawicach, ale także na łokciach, ramionach, z tyłu hełmu, na kolanach i na siedzeniu. Nasi żołnierze musieli nauczyć się włączać je i wyłączać, dopasowywać ich siłę.

Ogólnie rzecz biorąc, nie martwiliśmy się zwrotnością kombotów. Pancerze wspomagane wymagały nieco wprawy. Problem w labiryncie ćwiczebnym, który ustawiła Adams, nie polegał na mijaniu zakrętów i przechodzeniu przez drzwi, ale na dostosowywaniu prędkości i siły. Ruszali się za szybko i odbijali od ścian. Trzy pancerze uległy uszkodzeniom w czasie szkolenia. Mieliśmy sześć zapasowych na „Kwiecie”, do tego części, ale nie mieliśmy zapasowych ludzi o wzroście ponad metr osiemdziesiąt. Poradziłem Giraudowi, żeby nieco odpuścił, bo nie mogliśmy sobie pozwolić, aby ktoś odniósł rany przed atakiem.

Ludzie noszący pancerze i tak byli dość obolali, bo nawet przy maksymalnym dopasowaniu zbroje były zbyt duże. Próbowaliśmy wyścielić czymś buty tak, żeby podnieść stopy wyżej, i troszkę to pomogło. Sam przymierzyłem jeden z pancerzy i przy metrze dziewięćdziesiąt czułem, że wbija mi się w kolana, krocze, pod pachy, do tego musiałem wyciągać szyję, żeby nie uderzać brodą o dolną część hełmu.

Pancerze Kristangów robiły wrażenie, a komboty Thuranów były świetne. Istniały dwa ich rodzaje i wykorzystaliśmy tylko ten mniejszy, jako że Skippy uznał, że większe mogą nie zmieścić się w korytarzach bazy. Mniejszy kombot miał trzy nogi dla większej stabilności i trzy ręce. Środkową przeznaczono do obsługi broni. Skippy wyprodukował gogle, które pozwalały operatorom patrzeć przez sensory optyczne kombotów i strzelać z broni, celującej tam, gdzie spoglądał operator.

Pierwotny plan Skippy'ego zakładał obsługę spustu broni poprzez mruganie, ale Giraud wybił mu to z puszki, przypominając, że ludzie zazwyczaj mrugają mimowolnie. Zgodnie z sugestią Girauda spustem sterował palec wskazujący operatora, prawy lub lewy, zależnie od osoby. Wyborem broni, karabinu lub wyrzutni rakiet sterował kciuk. Nie mogliśmy korzystać z ostrej amunicji na „Holendrze”, co stanowiło pewien problem, bo bez tego operatorzy nie mogli dobrze poznać możliwości uzbrojenia. Skippy ostrzegł nas, że nawet wewnątrz bazy, gdzie zrobienie dziury w poszyciu asteroidy i spowodowanie rozszczelnienia nie będzie wielkim problemem, powinniśmy oszczędnie korzystać z rakiet i granatów. W drodze powrotnej, aby zapewnić osłonę, mogliśmy jednak wysadzać wszystko, co widzimy. Plan i tak zakładał wysadzenie całej asteroidy, aby usunąć wszelkie ślady naszej bytności.

*

Sam atak przebiegł idealnie zgodnie z planem Skippy'ego i Girauda. Początkowo. A potem całkiem się spierdolił.

Zanim skoczyliśmy do układu gwiazdowego, gdzie znajdowała się asteroida, cała załoga poza Desai i Walorskim zebrała się w hangarze. Nadszedł czas na ostatni przegląd sprzętu, upewnienie się, że wszystko, czego potrzebuje grupa szturmowa, jest na dwóch lądownikach i że wszystko działa jak należy. Na każdym lądowniku znalazł się dodatkowy kombot, przez co wewnątrz było jeszcze ciasniejsze. Thuranie może budowali wysokie sufity na lotniskowcach na potrzeby gości, ale nie na lądownikach. Tłok był taki, że szóstka ludzi mających nosić pancerze Kristangów musiała założyć je przed wejściem na pokład, mimo że oznaczało to więcej czasu w niekomfortowych warunkach.

Po przeprowadzeniu inspekcji Giraud wygłosił krótką, ale skuteczną przemowę, dużo lepszą niż cokolwiek, co ja bym powiedział. Nie starał się inspirować, tylko oznajmił, że to nasza jedyna szansa na uwolnienie Ziemi od Kristangów. Bez względu na koszt nie mogliśmy opuścić asteroidy bez modułu kontrolnego tunelu czasoprzestrzennego. Wszyscy przyjrzeni się dobrze wyprodukowanej przez Skippy'ego atrapie: moduł był cienkim pudłem o długości około stu dwudziestu centymetrów i szerokości piętnastu. Skippy powiedział, że rozkłada się do kształtu X o trzymetrowej przekątnej. Każdy, kto zobaczy moduł, miał go zabrać, jeśli miał na sobie pancerz Kristangów, albo wezwać kogoś w pancerzu, jeśli był operatorem kombota. Nie mogliśmy ryzykować uszkodzenia modułu w razie próby zabrania go przez robota. Nawet najlepsi operatorzy rutynowo miażdżyli przedmioty w wyniku ogromnej siły kombotów. Bez cybernetyki brakowało im odpowiedniego wyczucia. Komboty miały przedrzeć się przez bazę jako pierwsze, torując drogę reszcie.

Giraud powiedział mi, że chciałby mieć dodatkowe dwa tygodnie na ćwiczenia, ale nie mówił tego załodze. Skippy chciał zaatakować asteroidę jak najszybciej. Przy płynnej sytuacji wojennej w sektorze obawiał się, że Kristangowie wzmocnią systemy obronne albo, co gorsza, zabiorą wszystko wartościowe gdzie indziej. Nie mogliśmy ryzykować, więc uznałem, że musimy uderzyć, gdy tylko będziemy w stanie.

Zanim rozpoczęliśmy atak, Chang i Giraud przyszli porozmawiać ze mną. Chcieli, żebym zapewnił ich, że jeśli wyglądać będzie na to, że atak się nie powiodł i udział ludzi może wyjść na jaw, to nie będę się wahał przed zniszczeniem asteroidy i skokiem w siną dal. Gdybyśmy nie byli w stanie zabrać ze sobą „Kwiatu”, jego również miałem zniszczyć, bo był pełen ludzkiego DNA. Kazali mi obiecać, że w razie potrzeby ich porzucę, bo wiedzieli, że to będzie sprzeczne z każdym moim żołnierskim instynktem. Miałem żyć, by walczyć innego dnia. Mimo tego, co Giraud powiedział załodze o tym, że atak to nasza jedyna szansa, wciąż istniała nadzieja dla ludzkości, dopóki Skippy był bezpieczny i pozostawał po naszej stronie. W razie gdyby atak się nie powiodł, „Holender” mógł spróbować zebrać nową załogę na Paradise albo Ziemi i nadal szukać modułu kontrolera. Nie byłoby to proste, ale też nie całkiem niemożliwe.

Obiecałem im to. Beznadziejnie się z tym czułem, ale obiecałem. Byłem to winien swojej załodze. Byli gotowi ryzykować życie, by wypełnić tę szaloną misję, więc ja musiałem rozumieć, że ta misja jest warta ich życia, niezależnie od jej wyniku.

Walorski nie miał pojęcia, jak bardzo nie chciałem pozostawać na pokładzie „Holendra” w czasie, gdy nasza załoga, moja załoga wyruszała w bój.

Skoczyliśmy w pobliże asteroidy na odległość trzech milionów kilometrów. Skok i dalsze manewry zaprogramował Skippy, bo nie mieliśmy czasu do stracenia. Desai tylko wcisnęła przycisk na mój rozkaz. Ułamek sekundy po skoku odłączyliśmy „Kwiat”, który wykonał mikroskok, podczas gdy „Holender” skoczył na mały dystans w przeciwnym kierunku. „Kwiat” uformował punkt skoku dla kolejnego mikroskoku, po czym pole zapadło się zgodnie z planem i „Kwiat” zaczął koziołkować w przestrzeni. Skutek zgodnie z logiką Skippy’ego był taki, że okolica została zalana nakładającymi się na siebie falami pół skoku, co zamaskowało obecność drugiego okrętu. „Kwiat” koziołkował niekontrolowanie, w losowych momentach odpalając silniki manewrowe. Z okrętu wyciekało promieniowanie. Chcieliśmy, aby przykuł uwagę wroga, podczas gdy „Holender” pozostawał niewidoczny. Skippy kazał „Kwiatowi” nadawać kody identyfikacyjne fregaty, która zniknęła dwa lata wcześniej podczas potyczki z innym klanem Kristangów. Mieliśmy nadzieję, że zdezorientuje to i zaciekawi jaszczury na tyle, że nie rozwalą go od razu na kawałki. Im bardziej skupiali się na „Kwiecie”, tym mniejsza szansa, że zauważą „Holendra”.

Udało się. W momencie gdy Kristangowie poszerzyli zasięg sensorów, Skippy znalazł się już w ich sieci i kazał systemowi ignorować wielki lotniskowiec Thuranów podkradający się pod ich drzwi frontowe. Ich ukryte sensory zidentyfikowały nas, gdy przechodziliśmy przez ich pole widzenia, ale komputery Kristangów po prostu zignorowały te informacje. Desai zaparkowała „Holendra” za asteroidą, trzy tysiące kilometrów od celu, po czym Skippy wypuścił lądowniki.

Gdy dowiedziałem się, że będziemy atakować asteroidę, myślałem o postrzępionym, nieregularnym kawałku skały, jak w filmach o kosmosie. Ta asteroida była, technicznie rzecz biorąc, planetą karłowatą, miała niemal pięćset kilometrów średnicy i była na tyle duża, by grawitacja nadała jej kulisty kształt. Nadal jednak pozostawała szarobrązowym, zamrożonym kawałkiem skały pełnym kraterów. Po jednej jej stronie mieściła się stacja badawcza, a po drugiej dużo większa baza wojskowa Kristangów z tysiącem żołnierzy, lądownikami szturmowymi, kanonierkami i wystarczającą liczbą rakiet, by roznieść „Latającego Holendra” na strzępy. Gdzieś w okolicy kręciła się eskadra fregat, sześć niszczycieli i krążownik. A my zamierzaliśmy włamać się, zabrać to, czego potrzebujemy, i po cichu się zmyć.

Skippy miał rację – baza wojskowa zainteresowała się „Kwiatem” i kazała dwóm fregatom i czterem lądownikom przyjrzeć się naszej przynęcie. Baza wysłała stacji badawczej wiadomość o stanie alarmowym, ale naukowcy jej nie otrzymali, bo przechwycił ją Skippy, który odpowiedział tak, że baza wojskowa uznała, że stacja badawcza

jest kompletnie zamknięta.

Zyskaliśmy niemal pełny element zaskoczenia, gdy lądowiki podleciały do drzwi do hangaru. Kontroler hangaru myślał, że drzwi otwierają się dla dwóch lądowników Kristangów, wysłanych dla wzmocnienia zabezpieczeń, i to właśnie Skippy kazał wyświetlić komputerom. Po wylądowaniu wysiadło z nich sześciu żołnierzy w pancerzach wspomaganych i komboty. Wszystko poszłoby idealnie, gdyby nie technik w skafandrze pracujący nad czymś w hangarze. Zobaczył na własne oczy, że nasze lądowniki są thurańskie, Skippy nie mógł zhakować jego nerwu wzrokowego. Ten sumienny robotnik zrobił swoje i wykrzyczał przez radio ostrzeżenie, które zamaskował Skippy. Gdy nikt nie odpowiadał, Kristang przebiegł przez hangar i pociągnął za dźwignię uruchamiającą alarm. Skippy mógł go wyłączyć, jedynie przepalając obwód elektryczny, co zrobił, wywołując skok napięcia, po tym, jak alarm zdążył dwukrotnie wybrzmieć. Kazał komputerowi wyświetlić komunikat, że alarm był fałszywy, wywołany przez skok napięcia.

To kupiłoby nam kolejne dwie minuty, dość, aby umieścić ładunki wybuchowe przy drzwiach wewnętrznych i wywołać kontrolowaną eksplozję. Kupiłoby, gdyby nie to, że sumienny Kristang wiedział, że coś jest nie tak, i ruszył do szafki z bronią. To przykuło uwagę naszych ludzi, którzy wręczyli jaszczurczemu pracownikowi roku nagrodę, nie w formie gotówki albo specjalnego miejsca parkingowego, ale skupiając na nim ogień sześciu kombotów. Wtedy właśnie zaczęły się kłopoty. Amunicja wybuchowa przeszła przez jaszczura na wylot i uderzyła w ścianę hangaru. Kristangowie w stacji badawczej nie potrzebowali elektroniki, by zdać sobie sprawę, że coś się dzieje.

W tym momencie Giraud kazał kombotom zejść z drogi i zniszczyć drzwi wewnętrzne rakietą z ładunkiem kumulacyjnym. Drzwi eksplodowały do środka, co nie było optymalne, bo ich postrzępione kawałki wciąż wisiały na siłownikach. Wtedy zaszkodził nam brak doświadczenia. Giraud powinien ustawić szerszy zasięg eksplozji zamiast maksymalnego przebicia. Drzwi były twarde, ale nieopancerzone. Oczyszczenie drogi kolejną rakietą skierowaną w ścianę za drzwiami sprawiłoby, że wszędzie zaczęłyby latać odłamki, więc zmarnowaliśmy czas, każąc parze kombotów wyrwać resztki drzwi. Jeden z nich był nieco zbyt entuzjastyczny i wyrwał jeden z fragmentów łącznie z kawałkiem framugi, który poleciał przez hangar w niskiej grawitacji i niemal zwałił z nóg jednego z pozostałych robotów.

Ludzki operator nie mógł zareagować na czas, ale automatyczne systemy obronne sprawiły, że kombot zrobił unik i fragment drzwi uderzył Changa w lewy bok. Chang poleciał na drugi koniec hangaru z rozdartym skafandrem. Później dowiedzieliśmy się, że złamał dwa

żebra. Kiedyś spadłem z motocykla i miałem pęknięte żebro. Z bólu czołgałem się na kolanach, próbując złapać oddech, tyle że oddychanie pogarszało sprawę. Dopiero po godzinie leżenia byłem w stanie wsiąść na motor i powoli pojechać do domu, skąd rodzice zabrali mnie do szpitala. Pancerz Kristangów zawiera żel twardniejący po zetknięciu z próżnią, który zatkał dziurę i zapobiegł wyciekowi powietrza. W jakiś sposób, chociaż musiało to być niezwykle bolesne, Chang wstał na nogi i wrócił do akcji, jadąc na adrenalinie. Pluł krwią, ale to go nie powstrzymywało.

Skippy pokazywał mi dane z czujników medycznych w skafandrze Changa i nie wyglądało to najlepiej. Nie wiem, jak to możliwe, że nie leżał skulony na pokładzie. Chciałem kazać mu wracać do lądownika i pozwolić reszcie kontynuować misję, ale tego nie zrobiłem. Musiałem zaufać mu na tyle, by uznać, że gdyby nie był w stanie iść dalej, zameldowałby o tym. Był tam z nim też Giraud. Gdyby Francuz uznał, że Chang nie nadaje się do walki, przekazałby mi to prywatnie. Potrzebowaliśmy Changa, potrzebowaliśmy wszystkich, więc jeśli nie stanowił obciążenia dla misji, nie zamierzałem interweniować z odległości ponad piętnastu tysięcy kilometrów. Silniki jego pancerza wspomaganego i niski poziom grawitacji mogły stanowić pomyślną okoliczność. Miałem nadzieję, że będzie w stanie walczyć.

Gdy wewnętrzne drzwi stanęły otworem, oddział ruszył wzdłuż korytarza. Najpierw komboty, potem szóstka ludzi w pancerzach, a za nimi dwa roboty jako ariergarda. Szybko trafili na kolejne drzwi, przy których spędzili trzydzieści sekund, by odpowiednio je wysadzić. Następnie wkroczyli do głównej części stacji badawczej, gdzie Skippy mógł im otwierać i zamykać drzwi.

Od razu trafiliśmy na problem. Skippy zdążył już zinfiltrować komputery bazy i przeszukać archiwa, które były wyjątkowo chaotyczne i niezindeksowane. Mimo tego zdołał zlokalizować dwa przedmioty, które chcieliśmy ukraść: moduł kontrolny tunelu czasoprzestrzennego i rodzaj węzła komunikacyjnego używanego przez Kolektyw. Przechowywano je w różnych pomieszczeniach, ale na szczęście żadnego z nich Kristangowie nie uważali za priorytetowe i znajdowały się w słabo chronionych obszarach stacji, z dala od głównego ośrodka badawczego.

Musiałem szybko podjąć decyzję, czy udać się po nie kolejno, czy też rozdzielić grupę. Podzielenie sił było sprzeczne z zasadami walki wpojonymi mi przez armię. Przypomniały mi się słowa z podręcznika polowego Armii USA. Rozdzielenie sił w sytuacji, gdy wróg już ma przewagę liczebną i ogniową, było pogwałceniem zasady zachowania masy i ekonomii sił. Mimo wszystko przedyskutowałem uprzednio tę kwestię z Changiem, Giraudem i Simms. W tym wypadku skupienie sił

musiało ustąpić zasadzie zaskoczenia. Nasz atak mógł przynieść sukces tylko, jeśli nasi ludzie byli w stanie wejść do bazy i ją opuścić najszybciej, jak to możliwe, zanim Kristangowie zorientują się, co jest grane, i skupią na nas siły. Im dłuższy pobyt w bazie, tym większe niebezpieczeństwo.

Wydałem Changowi rozkaz, by z jedną grupą ruszył po węzeł komunikacyjny, a Giraudowi, by udał się po kontroler tunelu. Niewypowiedzianym założeniem w tym rozkazie było to, że uznałem, iż ranny Chang jest z nich dwóch słabszy, a na kontrolerze tunelu zależało mi bardziej niż na wymyślnym radiu dla Skippy'ego, żeby mógł pogadać sobie ze starożytnymi SI. Przez chwilę rozważałem pozostawienie dwóch kombotów w miejscu rozdzielenia grupy, aby pilnowały drogi ucieczki, do czasu, aż Skippy pokazał mi schemat bazy. Skrzyżowań korytarzy było tak wiele, że pilnowanie jednego stanowiło marnowanie środków.

Dalsza część ataku przebiegła szybko i chaotycznie, ale względnie zgodnie z planem. Kristangowie byli zdezorientowani. Ich systemy wewnętrzne wzmocniono w oczekiwaniu na atak wrogiego klanu jaszczurów albo Thuranów, ale nie spodziewali się infiltracji ich komputerów przez Skippy'ego. Systemy, nad którymi nie miał kontroli, osłabił, zmylił lub odciął do nich zasilanie. Kristangowie wzywali pomoc z bazy wojskowej po drugiej stronie asteroidy, na co Skippy wysyłał fałszywe odpowiedzi mówiące, że baza jest celem ciężkiego ataku i wyśle posiłki, gdy tylko zdoła. Jakiś sprytny Kristang, zapewne drugi w kolejce do nagrody pracownika roku, odpalił flarę, która miała dać bazie wojskowej sygnał, że sytuacja jest poważna. Flara wybuchła jasno nad horyzontem i miałem przypływ paniki, ale Skippy uspokoił mnie, mówiąc, że chociaż sensory Kristangów zarejestrowały rozbłysk, to kazał im go zignorować. Baza wojskowa była zakopana głęboko pod ziemią i o ile jacyś żołnierze nie przebywali akurat na powierzchni, nikt nie mógł zobaczyć flary, a jako że Skippy zakłócał komunikację radiową, Kristang musiałby być na powierzchni, dojrzeć rozbłysk, wiedzieć, co oznacza, pobiec do bazy i zapukać do drzwi. Uznałem, że to rzeczywiście niewielkie ryzyko.

Skippy zapobiegł odpaleniu kolejnych flar, podpalając cały ich zapas bez otwierania drzwi do magazynu. Eksplozja, która nastąpiła, zapewne popsowała karierę drugiego najlepszego pracownika roku, jako że zniszczeniu uległ spory kawałek bazy i bohater zapewne zginął. Osobiście nie rozpaczałem z tego powodu.

Komboty radziły sobie nieźle. Pomagało to, że siły ochrony Kristangów zgodnie z protokołem chroniły główne centrum badawcze stacji, nie zdając sobie sprawy, że skupiamy się na innej części ośrodka. Według puszkowatej SI Kristangowie panikowali, nie rozumiejąc, co się dzieje i

dlatego ich świetnie zabezpieczone systemy nie funkcjonują albo działają przeciwko nim. Skoki napięcia uszkodziły sterowanie drzwiami, windy, światła i systemy podtrzymywania życia w częściach stacji, które nas nie obchodziły.

Wielu Kristangów zostało odizolowanych, uwięzionych i bez kontaktu z dowódcami. Nasi piraci napotkali opór tylko ze strony pojedynczych jaszczurów albo niewielkich, nieskoordynowanych grup. Słabe próby ze strony Kristangów pomogły operatorom kombotów zdobyć doświadczenie z ostrą amunicją. Zaraz nauczyli się strzelać szybkimi seriami z minimalną siłą wybuchu i z ustawieniami fragmentacyjnymi. Silnie wybuchowa amunicja, której użyli początkowo, rozrywała wroga na strzępy, ale też niszczyła korytarz i sprawiała, że musieli manewrować pośród odłamków. Giraud słusznie się wkurzył, bo ostrzegał ludzi, by nie szaleli z zaawansowaną bronią Thuranów. Po tej pierwszej walce bardziej uważali.

Zespół Changa jako pierwszy dotarł do celu, ale znalazł pomieszczenie pełne nieuporządkowanego złomu. Jego zawartość nie stała nawet na półkach ani w pudłach, ale zalegała w stertach na podłodze, jakby Kristangowie otworzyli drzwi, wrzucili tam rzeczy i zamknęli drzwi.

– O cholera – jęknął Skippy. – Tego się nie spodziewałem. Baza danych wskazuje, że węzeł komunikacyjny ostatnio umieszczono w tym pomieszczeniu, ale nie ma tam sensorów ani nawet kamer.

– Masz w zanadru jakieś magiczne sztuczki? – spytałem.

– Robię, co mogę. Ze względu na poufność w ośrodku badawczym nie ma zbyt wielu sensorów, poza korytarzami i kwaterami załogi. Zaprojektowano ją tak, by utrudnić szpiegowanie. Jestem tam niemal ślepy, choć nie aż tak, jak się wydaje Kristangom. Straciłem z oczu część jaszczurzego personelu i nie wiem, gdzie się znajdują. Poza tym pewne obszary bazy, które widziałem na kamerach ludzi i kombotów, nie są umieszczone na planach, do których mam dostęp. Staram się ustalić rzeczywisty rozkład ośrodka. Sugeruję poruszać się jak najszybciej.

– Pułkownik Chang – odezwałem się przez zFona – musicie przekopać się przez tę stertę w poszukiwaniu węzła komunikacyjnego. Wiecie, jak wygląda.

– Zrozumiano – odparł Chang. W jego łamiącym się głosie słychać było rżenie.

Na ekranach widziałem, jak chiński pułkownik i dwaj ludzie wchodzą do pomieszczenia i zaczynają przedzierać się przez stertę. Chang poruszał się bardzo sztywno i z uwagi na obrażenia nie schylał się, więc zaczął od przedmiotów położonych najwyżej. Kazał podwładnym składować przejrzone rzeczy w jednym miejscu, żeby się nie pogubili. Pracowali wydajnie i najszybciej, jak to możliwe, ale i tak zdecydowanie zbyt wolno. Pomieszczenie było spore, z pięcioma stertami złomu

sięgającymi do sufitu i po pięciu minutach przejrzeni tylko jedną z nich.

Zespół Girauda dotarł do celu i na szczęście pokój z kontrolerem tunelu był dużo lepiej zorganizowany. Francuz, sierżant Thomson i szeregowy Marsden biegali między regałami, pokazując zawartość półek Skippy'emu, który szybko odcyfrował system indeksowania i skierował Thomsona dokładnie tam, gdzie leżał moduł kontrolny.

– Cel zdobyty – oznajmił Giraud. – Zawracamy. Mamy iść bezpośrednio do hangaru czy pomóc zespołowi pułkownika Changa?

Ludziom Changa zadanie zabierało zdecydowanie zbyt dużo czasu. Cholera, oczekiwali, że podejmę decyzję. Co zrobić? Wysłać Girauda, by przyspieszył poszukiwania węzła komunikacyjnego, narażając jego ludzi na niebezpieczeństwo i potencjalną utratę modułu kontrolnego? Czy zamierzałem zrezygnować z szukania węzła dla Skippy'ego, skoro miałem sposób na zamknięcie tunelu? Nie. Myślałem o tym przez ostatni tydzień, nie mogłem przez to spać. Zależało nam na odcięciu Kristangów od Ziemi, taki był cel tej misji i poświęciłbym wszystko, żeby to zrobić. Tak naprawdę ludziom nie zależało, by Skippy znalazł swoich pobratymców. Mnie zależało odrobinę, bo zdążyłem polubić tę puchę i czułem, że jesteśmy mu to winni, a czasami wydawało mi się, że rozumiem jego straszną, odwieczną samotność. Ale musiałem odłożyć własne uczucia na bok i skupić się na misji i swoich ludziach.

Postanowiłem wcześniej, że niezależnie od obietnicy, jeśli znajdziemy sposób na zamknięcie tunelu bez pomocy SI, nie będę ryzykować życia ludzi i narażał misji, aby zdobyć magiczne radio. Ale nie byliśmy w stanie sami tego zrobić, więc decyzja była prosta, nawet jeśli trudna do przełknięcia.

– Poruczniku Giraud, proszę wspomóc pułkownika Changa. Musimy się pospieszyć.

– Zrozumiano. Ruszamy.

Na ekranie widziałem zespół Changa przeczesujący sterty złomu tak szybko, jak to możliwe. Chang kazał kombotowi wejść do pomieszczenia i nic nie ruszać, ale rozglądać się. Miał nadzieję, że Skippy wypatrzy to, czego szuka. Wszystko to jednak zajmowało zbyt dużo czasu. Skippy powiedział, że stracił Kristangów z oczu, co bardzo mnie niepokoiło.

– Skippy, ten węzeł jest do komunikacji, tak?

– Tak, no i?

– Nie możesz wysłać do niego jakiegoś sygnału, który pomoże nam go znaleźć?

– Cholera. Tak.

– I nie przyszło ci to do puszki? – nie mogłem się powstrzymać, częściowo z nerwów.

– Cholera, nie wiem, co ze mną jest. Oczywiście, tak. Niech ludzie się rozdzielą, żebym mógł użyć ich nadajników radiowych do triangulacji.

Rozkazałem im to zrobić. W ciągu minuty Skippy znalazł swój węzeł w stercie złomu na tyłach pomieszczenia. Chang kazał żołnierzom przedrzeć się tam i odrzucić na bok bezużyteczny złom, aż w końcu odkryją jedną trzecią sterty, po czym mieli zacząć szukać ostrożnie. Darzi znalazł w końcu to cholerstwo. Wyglądało dokładnie tak, jak atrapa Skippy'ego. Na ekranie widziałem, że zespół Girauda znajduje się blisko Changa. Uznałem, że najlepiej, jeśli połączą siły i wspólnie się wycofają, nawet jeśli oznaczało to postawienie wszystkiego na jedną kartę.

Właśnie wtedy wszystko szybko się spierdoliło.

Pierwszą oznaką kłopotów nie było ostrzeżenie Skippy'ego ani to, że komboty natknęły się na żołnierzy Kristangów, tylko grad kul, który uderzył od tyłu w Girauda i Marsdena, obu zwalając z nóg. Marsden zginął na miejscu, ale amunicja na szczęście nie trafiła w moduł kontrolny, który przewiesił przez ramię na pasku. Giraud dostał lekko w bok hełmu i mocniej w dolną część pleców, a także w lewą rękę, co urwało mu przedramię między nadgarstkiem a łokciem. Thomson zareagował tak, jak trzeba, i padł na ziemię, odsłaniając pole strzału kombotom, a następnie przeczołgał się do przodu i zdjął moduł kontrolny z ramienia Marsdena. Widział, że nie może mu już pomóc, i skupił się na wypełnieniu misji.

Nasze komboty szybko odpowiedziały ogniem. Thomson nie mógł w niczym pomóc, jako że trzymał bezcenny moduł za nieruchomym ciałem Girauda. Na ekranie widziałem, że Giraud żyje, ale jest nieprzytomny i poważnie krwawi.

– Skippy – krzyknąłem w panice – czy jest jakaś inna droga do hangaru?

Czterech Kristangów wciąż żyło i schroniło się za drzwiami i w bocznych korytarzach, ostrzeliwując komboty. Thomson z modułem nie mógł się ruszać bez odsłonięcia bezcennego artefaktu. Ludzie Changa biegli na pomoc, ale mogli tam dotrzeć dopiero za dwie minuty. Za długo.

– Tak, istnieje wiele alternatywnych dróg.

– Świetnie. Operatorzy kombotów, nie martwcie się o uszkodzenie korytarza, wróćcie inną drogą. Zlikwidować Kristangów z maksymalną siłą ognia!

Tego im było potrzeba. Trzech z nich ustawiło maksymalną moc rakiet i zawałiło korytarz za Thomsonem i Giraudem. Rakiety przebiły się przez dwie czy trzy ściany, zabijając czterech Kristangów i zawałając sufity.

– Thomson! – krzyknąłem, chociaż powinienem był zachować spokojny głos. – Wstawaj. Porucznik Giraud żyje, dasz radę go nieść?

– Tak, sir. – Thomson był w stanie bez problemu nieść Girauda w

niskiej grawitacji, zwłaszcza w pancerzu wspomaganym. Przewiesił moduł przez ramię, przypiął go paskami i uniósł Francuza. Komboty poszły przodem. Ostrzegłem, że zbliżają się ludzie Changa, żeby obie grupy nie ostrzelały się nawzajem. Gdy wreszcie się spotkali, Skippy poprowadził ich okrężną drogą do hangaru.

Obawiałem się, że dłuższa droga zajmie im zbyt wiele czasu, ale Skippy zapewnił mnie, że wszystko to zdezorientowało wroga, który nie wiedział teraz, gdzie iść. Skippy wciąż pozostawał jednak w dużej mierze ślepy. To była najtrudniejsza część misji. Wcześniej to wróg musiał zgadywać, jakie są nasze cele, ale teraz wiedział, dokąd zmierzamy – z powrotem do lądowników.

Ludzie byli w dwóch trzecich drogi, gdy znów zaczęły się kłopoty. Tym razem pojawiły się wrogie komboty, które wysadziły ścianę i wskoczyły do korytarza. Komboty Kristangów były powolne i o ciężale w porównaniu z thurańskimi, sterowali jednak nimi bardziej doświadczeni operatorzy i w sumie posiadały dużą przewagę. Oprócz jednej sprawy. Gdy rozpoczęła się strzelanina, Skippy zawołał z ekscytacją, że nieporadne ruchy naszych kombotów tak naprawdę nam pomagają, bo Kristangów wyszkolono do walki z superszybkimi maszynami sterowanymi przez Thuranów, przez co niedokładnie celowali.

Straciliśmy w początkowej strzelaninie trzy komboty, a kolejny został uszkodzony i nie był w stanie korzystać z głównej broni. Chang widział, że Thomsona obciąża niesienie Girauda, i kazał mu położyć go na ramionach uszkodzonego kombota. Putri wystąpił naprzód, żeby pomóc Thomsonowi przypiąć Girauda i niemal skończyli, gdy Putri dostał w głowę strzał, który roztrzaskał jego przyłbicę, i kolejny, który oddzielił jego głowę od szyi. Padł wśród zamarzającej krwi, oznaki życia zanikły na ekranie. Dałem znać Changowi, że już za późno na pomoc, a on nie tracił czasu na odpowiedź. Słyszałem, jak każe ludziom iść naprzód. Mogły istnieć inne drogi dojścia do hangaru i parcie naprzód mogło kosztować nas kolejne ofiary, ale Chang wiedział, że jeszcze kosztowniejsze będzie pozostanie na asteroidzie sekundę dłużej, niż to konieczne. Mimo połamanych żeber radził sobie, był prawdziwym twardzielem, nawet bez pancerza wspomaganego.

Ruszyli więc naprzód, osłaniany przez maszyny. Gdy minęli większą grupę kombotów Kristangów, natknęli się na dalszy opór rozproszonych kierowanych robotów i jaszczurów w pancerzach. Coraz bardziej się martwiłem. Zaczęliśmy z szóstką ludzi i dziewiątką kombotów, a w chwili, gdy przedarli się do hangaru, dwóch nie żyło, a jeden był nieprzytomny i tylko trzy nasze komboty były sprawne. Maszyny pozostały przy drzwiach wewnętrznych, podczas gdy Chang kazał Thomsonowi i Darziememu wsiąść na pokład jednego z lądowników, a sam

zaniósł Girauda na drugi. Skippy już częściowo otworzył zewnętrzne drzwi i gdy tylko Thomson z Darzim zapięli pasy, ich lądownik ruszył przed siebie. Widziałem, że leci z przyspieszeniem sześciu g, i kazałem mu nieco zwolnić, gdy znalazł się piętnaście kilometrów od bazy.

Lądownik Changa miał drobne opóźnienie, bo musiał przypiąć Girauda i to nas niemal zabiło. Thomson miał węzeł, a Darzi moduł, więc technicznie wypełniliśmy misję, czekaliśmy tylko na ludzi w drugim lądowniku. Wtedy właśnie pocisk Kristangów, zamiast trafić w jednego z kombotów, przeleciał przez hangar i uderzył w opancerzony kadłub thurańskiego lądownika. Wybuchowa końcówka eksplodowała, wytwarzając strumień plazmy, który przepalił się do środka. Gdy plazma trafiła na powietrze, wybuchła na wszystkie strony. Sierżant lotnictwa Joy Chung, która sterowała jednym z trzech pozostałych kombotów, zginęła natychmiast, a troje innych zostało ciężko rannych. Changa i Girauda chroniły pancerze, ale wszystkim innym mocno się dostało. Ludzie krzyczeli z bólu, wszędzie tryskała krew, a powietrze uciekało przez dziurę w kadłubie. Chang nie wahał się, tylko kazał Skippy'emu zabrać ich stamtąd. Lądownik wystrzelił z hangaru, a automatyczne systemy naprawcze zatkały dziurę i wpompowały do wnętrza powietrze.

– Czysto. Oba lądowniki są bezpieczne – oznajmił spokojnym głosem Skippy. – Brak pościgu. Zdobycz bezpieczna. Kieruję lądowniki z powrotem.

– Świetnie – powiedziałem, wyczerpany emocjonalnie. – Pilot, będę w hangarze.

– Nie, sir – odpowiedziała stanowczo Desai. – Pułkownik Chang i major Simms zajmą się ludźmi potrzebującymi pomocy. Potrzebujemy pana tutaj.

Miała rację. Emocje musiały poczekać, aż bezpiecznie się wycofamy.

– Pani kapitan, ma pani rację. – Spojrzałem z odrazą na własne trzęsące się ręce.

Czekaliśmy na powrót lądowników przez długie osiem minut.

*

– Lądowniki bezpieczne. Pilot, wykonać skok, opcja Alfa – oznajmił Skippy.

– Zaczekaj – rozkazałem i Desai odwróciła się do mnie, zdezorientowana. – Skok Charlie, teraz.

Desai wcisnęła odpowiedni przycisk i wykonaliśmy mikroskok. Znajdowaliśmy się w otwartej przestrzeni, niechronieni przez asteroidy. Skippy zaprogramował pięć opcji skoku i je zapamiętałem. Były też wymienione na ekranie przy fotelu dowódcy i na moim zFonie. Opcja

Alfa oznaczała skok w pobliże „Kwiatu”, żebyśmy mogli odzyskać okręt. Plan zakładał, że wyślemy mu sygnał, żeby wykonał krótkodystansowy skok, skoczmy obok „Holendrem”, przycumujemy „Kwiat” i odskoczmy na krawędź układu gwiazdowego. Opcja Charlie oznaczała odskoczenie z asteroidy, za którą się kryliśmy na wypadek, gdyby odkryto naszą pozycję, ale mieliśmy pozostać w pobliżu, aby wrócić do nas lądowniki.

– Czy mogę spytać, czemu nie lecimy po „Kwiat”? – spytał Skippy.

– Polecimy. Daj mu sygnał, żeby skoczył do punktu spotkania. – Sygnał ślimaczący się z prędkością światła miał dotrzeć do porwanej przez nas fregaty Kristangów za kilka minut. Ten pozornie nieaktywny okręt miał wtedy nagle ożyć i wykonać krótki skok.

– Zrobione – ogłosił Skippy. – Pułkownikowi Joe, co tu jeszcze robimy?

– Masz kontrolę nad atomówką przy głównym hangarze?

– Oczywiście, przecież mówiłem.

Kristangowie dysponowali systemem autodestrukcji ośrodka badawczego. Gdyby ktoś najechał bazę i Kristangowie stracili nad nią kontrolę, mogli ją wysadzić jednym wybuchem. Atomówka miała sprawić, żeby wróg uznał, że atak na stację nie będzie się opłacał. Nas też by zniechęciła, gdyby Skippy nie przejął nad nią kontroli na chwilę przed wypuszczeniem lądowników.

– Jak duża jest?

– Zapewne pytasz o moc, wynosi około ośmiu megaton. Typowa głowica W76 w amerykańskich rakietach Trident ma sto kiloton dla porównania.

– Odpal ją.

– Co? – powiedzieli w tym samym czasie Skippy, Desai i Walorski.

– Skippy, nie kłóć się ze mną. Wiem, że wymazałeś pamięć ich komputera, ale zostawiliśmy tam DNA, krew, Kristangowie mogliby się zorientować, że w ataku brali udział ludzie. Nie możemy sobie pozwolić na takie ryzyko. Odpal ją. Teraz.

Skippy wiedział, kiedy się nie wyklócać.

– Detonator jest pod Wielkim Czerwonym Przyciskiem.

Wdusiłem przycisk. Asteroida rozgorzała intensywnym światłem. Desai odskoczyła, zanim uderzyły w nas odłamki.

16. DOM

Nagranie wybuchu atomówki na asteroidzie było popularne wśród załogi. Tego, co z niej zostało. Oglądanie nie było moim pomysłem. Desai albo Walorski musieli coś powiedzieć albo ktoś spytał Skippy'ego, co się stało, a on im pokazał. Obserwowanie całkowitego zniszczenia ośrodka badawczego na asteroidzie było dla załogi pewnego rodzaju katharsis, dla mnie też. Wojskowi lekarze mówią, że rozmawianie o traumatycznych przeżyciach pomaga radzić sobie z symptomami zespołu stresu pourazowego. Trzymanie tego w sobie, spychanie na granice pamięci tylko pogłębia zaburzenia. Skippy powiedział mi, że uczestnicy ataku pytali go, czy istniały jakieś nagrania z kamer na kombotach i pancierzach Kristangów. Istniały i kazałem udostępnić je załodze. Giraud i ja oglądaliśmy wideo i dane z sensorów, aby dowiedzieć się, co zrobiliśmy źle, a co dobrze.

Giraud subtelnie zbeształ mnie za brak profesjonalizmu. Wysładzenie asteroidy nie było konieczne dla misji. Zrobiłem to, bo byłem zły, bo chciałem, aby jaszczury poczuły nasz ból. Straciliśmy tak wielu ludzi. Może zrobiłem to z frustracji i poczucia winy, że mnie tam nie było. Mniejsza z tym. Psychologia to nie moja działka.

Atak był jednocześnie sukcesem i porażką. Jeśli chodzi o straty w załodze, stanowił klęskę. Straciliśmy już ponad połowę ludzi, a leczenie niektórych miało potrwać miesiące, nawet przy niesamowitej technologii medycznej Thuranów. Jeśli chodzi o znalezienie Kolektywu przez Skippy'ego, również nie było dobrze. Urządzenie, które zdobyliśmy, okazało się dokładnie tym, czego szukał Skippy. Nie było uszkodzone ani dezaktywowane. Skippy mógł je uruchomić i odczytać dane, ale nie dowiedział się niczego przydatnego. Nie wiedział, czy to problem z urządzeniem, czy z nim samym. Miał złe przeczucie, że w jakiś sposób zablokowano mu wspomnienia mogące pozwolić mu na uzyskanie dostępu do danych o Pradawnych. O sobie. I o tym, skąd się wziął, kim był. Z nikim poza mną nie podzielił się swoimi wątpliwościami i obawami. Trzymałem je w tajemnicy i sam bałem się, że kiedyś Skippy się zawiesi, deaktywuje czy co tam działo się ze starożytnymi SI.

Lepiej, żeby Skippy nie zawiesił się, zanim wrócimy do tunelu w pobliżu Ziemi, bo pod jednym względem nasza misja okazała się sukcesem. Być może pod jedynym, który miał znaczenie. Na tyle istotnym, że gdyby nawet przeżyła tylko jedna osoba, atak byłby wart strasznej ceny w ludziach. Skradliśmy działający moduł kontrolny tunelu czasoprzestrzennego Pradawnych. Skippy potwierdził, że jest w pełni funkcjonalny i zdolny do zamknięcia tunelu na dobre. My, ludzie,

nie mieliśmy pojęcia, jak działa to cholerstwo, i musieliśmy polegać w tej kwestii na SI. Ale w końcu mieliśmy sposób na odcięcie Kristangów od Ziemi. Miliardy ludzi uznałyby każdą cenę poniesioną przez naszą piracką załogę za wartą uratowania planety.

Poleganie na Skippym stanowiło pewien problem. Spodziewał się oczywiście, że będziemy kontynuować misję z resztką załogi. Nie chciałem odbyć tej rozmowy przy pozostałych, więc zbywałem Skippy'ego, aż mostek mogła przejąć major Simms. Po zabranii „Kwiatu” z powrotem na pokład skoczyliśmy jeszcze trzykrotnie, aż zyskaliśmy pewność, że znaleźliśmy się poza zasięgiem sieci czujników Kristangów. Silniki skokowe były niemal wyczerpane i zdolne tylko do awaryjnego mikroskoku. Przebywaliśmy głęboko w przestrzeni międzygwiazdnej i czekaliśmy na naładowanie.

– Teraz możesz rozmawiać, Joe? – zaczął Skippy tak taktownie jak zawsze. – Musimy omówić nasz kolejny ruch. Widzę jeszcze dwie możliwości na kontakt z Kolektywem. Jedna znajduje się tylko trzy tysiące lat świetlnych stąd, ale niestety, dotarcie tam wymaga lotu okrężną drogą przez tunele czasoprzestrzenne i jest mniej pewną z nich. Poza tym znajduje się na planecie Thuranów, więc nie będzie łatwo tam wejść i wyjść. Druga znajduje się dziewięć tysięcy lat świetlnych stąd, poza terytorium Thuranów. To jednocześnie dobrze i źle, bo gatunek kontrolujący ten obszar to...

Cholera. Nawet nie zdążyłem rozwiązać butów. Lepiej, żebym po prostu powiedział, co myślę.

– Skippy, zanim wznowimy poszukiwania Kolektywu, polecimy na Ziemię, by się zaopatrzyć. Mamy za mało ludzi, by kontynuować teraz misję. Jesteś geniuszem, policz to sobie.

Znów wyczułem to drobne wahanie, którego nie zauważyłbym, gdybym tak dobrze nie poznał Skippy'ego. Może naprawdę wykonał obliczenia? Oczywiście, że tak. Miliard permutacji. Może zylion.

– Jesteś w marudnym nastroju.

– Jestem zmęczony. Wielu ludzi dziś zginęło. – Zrzuciłem buty i kopnąłbym je na drugą stronę pomieszczenia, gdyby ściana nie znajdowała się tylko kilkadziesiąt centymetrów dalej. – Świadomych istot. I nie próbuj mówić teraz, że jesteśmy małpami czy bakteriami. Jesteśmy rozumnymi istotami. Mamy znaczenie.

– Większe, niż ci się wydaje, Joe. Jak prosiłeś, wykonałem obliczenia. Problem w tym, że nie jestem strategiem i nie wszystko jestem w stanie wyliczyć. Ale obiecałeś mi, że razem znajdziemy Kolektyw.

– Skippy. – Położyłem się na materacu, tak wygodnie jak tylko byłem w stanie. – Dotrzymuję obietnic. Wyjaśnij mi, jakie mamy szanse na sukces z obecną załogą, a cię wysłucham. Ja tego nie widzę. Mamy teraz dziewięć osób zdolnych do walki, dwoje pilotów i ja musimy

pozostać na „Holendrze”, czyli zostaje sześć osób, z czego dwie to specjaliści od logistyki. Ta asteroida była najłatwiejszym z dostępnych celów, prawda?

– Zapewne tak. Kristangowie nie zdawali sobie sprawy z tego, co posiadają, dlatego potrzebne nam obiekty były słabo chronione.

– Słabo chronione?

– Mówiąc względnie.

– To dla ciebie była słaba ochrona? Miałeś pełną kontrolę nad ich sensorami i większością broni, a mimo to wdaliśmy się w strzelaninę. Nawet twoje superzaawansowane komboty padły. Czy któryś z pozostałych dwóch celów będzie łatwiejszy?

– Muszę przyznać, że nie.

– Martwisz się, że nie możesz nam zaufać, bo gdy dotrzemy na Ziemię, już jej nie opuścimy i nasza misja się zakończy. Odłóż to na chwilę na bok. Zapomnij o tym, co powiedziałem. Twoim celem jest kontakt z Kolektywem. Użyj swojej boskiej mocy obliczeniowej. Jakie są szanse na to, że osiągniesz ten cel z dostępnymi w tej chwili zasobami?

Kolejna drobna pauza, może tym razem dłuższa?

– Cholera, masz rację. Być może byłem przed atakiem zbyt pewny siebie. Teraz, gdy dysponuję większą ilością danych, skorygowałem analizę. Nasze obecne szanse na sukces wynoszą mniej niż pięćdziesiąt procent. Dokładnie rzecz biorąc, dwanaście procent. To nieakceptowalny poziom ryzyka.

Poczułem ulgę i odchyliłem głowę do tyłu, przez co uderzyłem nią o krawędź szafki.

– Cholera.

– Cholera, nie wierzysz w moje liczby, czy cholera, wierzysz w moje liczby i są gorsze, niż myślałeś?

– Cholera, znowu uderzyłem się o tę cholerną szafkę.

– Ach. Niezależnie od tego, jak bardzo kalibruję swój program rozpoznawania wzorów w twoim głosie, nadal się myślę. Wy, istoty biologiczne, czasami doprowadzacie mnie do szału.

– Tak, jak kiedy biologiczne istoty rozwijają technologię pozwalającą na stworzenie przemądrzałych sztucznych inteligencji.

– Mówiłem ci, że nie zbudowa... A, zapomnij.

Z przyzwyczajenia postawiłem buty w stronę drzwi z rozwiązanymi sznurówkami. W razie problemów mogłem szybko je założyć i zawiązać, nie tracąc czasu. Znowu szkolenie wojskowe.

– Zgadzamy się więc wracać na Ziemię, tak?

Na Paradise byli ludzie i potrzebne ludziom zapasy. Planeta znajdowała się bliżej, ale na orbicie było też sporo okrętów Ruharów, samych Ruharów na powierzchni, a na krawędzi układu czaiła się grupa bojowa Jeraptha. Paradise nie było miejscem, w które chciałem się udać.

– Zgadząmy się, niech ci będzie. Czekalem milion lat na kontakt z Kolektywem, może lekkie opóźnienie to nic wielkiego. – Nie brzmiał, jakby był szczególnie przekonany. – Cholera, to oznacza wizytę na pełnej małej kulce z błota, którą nazywasz domem.

– Nie ma jak w domu, Skippy. Jak mogę sprawić, byś mi uwierzył, że nie zostaniemy na Ziemi, gdy tam już dotrzemy? I nie chodzi tylko o mnie, bo zamierzam dotrzymać obietnicy.

Nie było to bezzasadne pytanie, sam się o to martwiłem. Lotniskowiec Thuraków i fregata Kristaków na orbicie musiały być kuszące dla ziemskich rządów, które próbowałyby nas zatrzymać. I miałyby ku temu niezłe argumenty. Chciałyby przyjrzeć się dobrze technologii, chronić Ziemię na wypadek, gdyby w okolicy pozostały okręty Kristaków, a poza tym wysłanie nas na poszukiwanie Kolektywu, który mógł nawet nie istnieć, wydawało się czystym idiotyzmem. Na pewno nie uśmiechało mi się wędrować ze Skippym pośród gwiazd. Chciałem wrócić do normalnego życia, zdjęć te głupie srebrne orły i znów być po prostu trepem, skończyć służbę, wrócić do domu i żyć spokojnie.

Tak... A małe dziewczynki chcą, żeby Mikołaj przyniósł im pod choinkę kucyka. Musieliśmy zaakceptować rzeczywistość. Dla ludzkości nie było powrotu do normalności, a dla mnie już z całą pewnością. Jeśli Skippy i ja nie mogliśmy wymyślić sposobu na to, by ziemskie rządy autoryzowały wysłanie „Latającego Holendra” z powrotem w głąb kosmosu, nie miałem szans na dotrzymanie obietnicy.

– A, to. Żaden problem, Joe. Gdy przelecimy przez ostatni tunel prowadzący do Ziemi, zaburzę jego połączenie z siecią. To go wyłączy z użycia, aż się zresetuje, co zajmie dość czasu, by polecieć na Ziemię, zebrać ochotników i zaopatrzenie, i wrócić do tunelu.

– To świetny pomysł, Skippy. – Czemu ja na to nie wpadłem? Skippy mówił przecież, że jest w stanie samodzielnie tymczasowo zaburzyć funkcjonowanie tunelu, a moduł kontrolny służył do zamknięcia go na dobre. – W takim razie będziemy mieli mało czasu?

– Bardzo mało. Gdy zaburzę działanie tunelu, Thuranie będą bardzo ciekawi, co się wydarzyło. I gdy tylko tunel się zresetuje, przelecą przez niego okręty, a jako że Thuranie to podejrzliwe, paranoiczne małe gnojki, gwarantuję, że niektóre z ich okrętów odwiedzą Ziemię wcale nie po to, żeby skorzystać z kuponów podarunkowych w restauracji. Thuranie mają specjalny protokół badań nad nowymi połączeniami tuneli. Wyślą tam pancerniki w eskorcie krążowników. Nie chcemy mieć do czynienia z pancernikiem Thuraków, jeden taki okręt mógłby roznieść „Holendra” na cząstki subatomowe i nawet ja mógłbym go tylko lekko spowolnić.

Skippy kilka razy wspominał, że głównym przeznaczeniem lotniskowca nie była walka bezpośrednia, a transportowanie okrętów

bojowych. W czasie walki lotniskowce wycofywały się i pozwalały, by walczyła ich eskorta oraz przenoszone okręty.

– Świetnie, Skippy. Wyznacz kurs na Ziemię. – Mieliśmy odwiedzić rodzinną planetę tylko na tak długo, żeby wypić kawę, a w moim przypadku zjeść cheeseburgera. Już czułem jego smak. Starożytna SI Pradawnych znów mnie zaskoczyła. Byłem gotów na długą, zażartą dyskusję co do tego, czy mamy kontynuować poszukiwania Kolektywu, czy zaopatrzyć się na Ziemi. Skippy kierował się jednak faktami i logiką.

– Hej, tak z ciekawości, jakie były według ciebie szanse powodzenia ataku, który przeprowadziliśmy?

– Początkowo trzydzieści siedem przecinek sześć procent. Potem, gdy załoga wykazała sprawność w obsłudze kombotów, a kapitan Giraud opracował swój plan, wyliczyłem, że szanse wynoszą pięćdziesiąt jeden przecinek jeden procent.

– Tylko pięćdziesiąt procent? Nie uznałeś, że warto o tym wspomnieć?

– Ponad pięćdziesiąt procent, pułkowniku. Nie pytałeś. Według akt personalnych matematyka nie jest twoją specjalnością.

– Nie było sensu się o to wyklócać.

– Silniki naładują się w pełni za dwie i pół godziny, tak? Obudź mnie za dwie.

– Niewiarygodne. Jestem najbardziej zaawansowaną inteligencją w Galaktyce, a ty używasz mnie jako budzika.

– Dwie godziny, Skippy. Dobranoc.

*

Załoga poczuła ulgę, słysząc, że zatrzymamy się na Ziemi, zanim wznowimy misję. A przynajmniej byli zadowoleni przez kilka dni. Aż w końcu, podczas jednej z moich wacht, Simms pomachała, by przykuć moją uwagę. Gestem wskazałem, żeby weszła na mostek. Nie działa się akurat nic ważnego. Znajdowaliśmy się rok świetlny od nieistotnego czerwonego karła i trzy lata świetlne od najbliższego tunelu.

– Panie pułkowniku – odezwała się major Simms – teraz, skoro lecimy zamknąć tunel, część załogi ma wątpliwości.

– Co? – zawołała z fotela pilota Desai. Walorski też się obrócił.

Zareagowałem podobnie.

– Pani major, celem tej misji jest odcięcie jaszczurom dostępu do Ziemi.

– Sir, nie to stanowi problem. Ludzie martwią się, że Siły Ekspedycyjne na Paradise na zawsze pozostaną odcięte od Ziemi i nie dostaną już więcej jedzenia ani zaopatrzenia medycznego. Porzucimy ich na zawsze. – Zacisnęła pięści, wyraźnie zdenerwowana. – Załoga źle się z tym czuje. Ja też.

Wiedziałem, że ta rozmowa w końcu nastąpi, ale starałem się ją odkładać. Myślałem o tym od czasu, gdy Skippy po raz pierwszy wspomniał o zamknięciu tunelu. Zanim wymyśliłem odpowiedź, odezwał się Skippy:

– Proszę się nie martwić, pani major. Wasze Siły Ekspedycyjne już zostały porzucone i nie możemy z tym nic zrobić, nie jesteśmy za to odpowiedzialni. Przechwyciłem wiadomości mówiące, że Thuranie powiedzieli klanowi Białego Wiatru, że nie zamierzają wspierać dalszych prób przejścia Paradise. Uważają planetę za niewartą zachodu, a siły Thuranów są zajęte w innym miejscu sektora. Kristangowie przestali sprowadzać zasoby z Ziemi, jeszcze zanim Ruharowie przejęli planetę. Nie będą próbować ewakuować ludzi z Paradise, a Ruharowie nie mają dostępu do Ziemi ani możliwości przetransportowania ich do tego sektora. Zostali sami.

Znów mnie wkurzył.

– Cholera, Skippy, nie musisz być z tego taki zadowolony!

– Fakty to tylko fakty, nie są wesołe ani smutne – odparł. – A fakty są takie, że czy zamkniemy ten tunel, czy nie, SEONZ utkwiły na Paradise. Ruharowie dostarczają im suplementy żywnościowe do czasu zebrania pierwszych plonów.

– Skippy, nie pomagasz. Pani major, nie ignoruję SEONZ. Nie chciałem o tym rozmawiać, bo Skippy ma w tej kwestii tysiąc procent racji. Nie jesteśmy w stanie im pomóc. Możemy pomóc miliardom ludzi na Ziemi. A jeśli ktoś wpadnie na pomysł przehandlowania Skippy’ego Ruharom w zamian za przetransportowanie SEONZ na Ziemię, zapomnijcie o tym.

Skippy wyraźnie się ucieszył.

– Dziękuję, Joe. Doceniam...

– Oprogramowanie Skippy’ego sprawia, że dezaktywuje się w obecności gatunków zdolnych do lotów międzygwiazdnych, więc jeśli damy go chomikom, stracimy możliwość zamykania tuneli. I wszystko inne.

– Och. – Skippy brzmiał, jakby naprawdę był zaskoczony. – To mnie zabolęło, pułkowniku. Przez chwilę myślałem, że wykażesz odrobinę lojalności wobec mojej skromnej osoby.

Westchnąłem, zanim zdążyłem się powstrzymać.

– Skippy, dałeś nam wielokrotnie do zrozumienia, że jesteś superpotężną istotą, a my dla ciebie tylko bakteriami. To nie przyjaźń między tobą a mną, tylko sojusz między gatunkami czy kulturami, zależy, jak to nazwać. Jesteśmy dla ciebie użyteczni, a ty dla nas. Gdy zawieramy z tobą umowę, zamierzamy jej dotrzymać. Ale nie wiem, czy ty uważasz umowę z bakteriami za wartą dotrzymania.

– Hej...

– Właśnie tak.

Zarejestrowałem ostrzegawcze spojrzenie Simms. Zapewne obawiała się ryzyka związanego z wkurzeniem Skippy'ego. Nie знаła tego małego dupka tak dobrze jak ja.

– Dobrze, pułkowniku Joe. Nie wiesz tego, bo w końcu jesteś bakterią, ale jestem w stu procentach wiarygodny, gdy składam obietnicę. Możemy nad tym popracować. – Wciąż brzmiał, jakby miał do mnie pretensje. Zastanawiałem się, jaka część jego mocy obliczeniowej zajmuje się symulowaniem emocji. Prawie mnie przekonał.

– Skończyliśmy, pani major? – spytałem. – Nie możemy nic zrobić, by pomóc Siłom Ekspedycyjnym na Paradise. SEONZ poleciały w kosmos, by chronić Ziemię. Ta misja zupełnie się spieprzyła, bo jaszczury nas okłamały, ale możemy nadal ochronić naszą planetę. Na tym polega misja. Jeśli kiedyś znajdziemy sposób na wznowienie kontaktu z SEONZ, całym sercem to popieram, ale w tej chwili to niemożliwe.

Simms skinęła głową i skrzywiła się.

– Czy mam porozmawiać z załogą?

To byłoby tchórzliwe posunięcie.

– Nie, ja to zrobię.

Przemawiając nieco później tego dnia do załogi, byłem bardziej taktowny. Wyjaśniłem sytuację, wysłuchałem ich z troską i powiedziałem, że również mam przyjaciół na Paradise. Nie powiedziałem, że ja tu dowodzę i zrobimy to, co uważam za słuszne. Po prostu ich słuchałem i dałem im się wygadać. Wszyscy rozumieli, że praktycznie nic nie możemy zrobić dla ludzi na Paradise i że tak naprawdę wszystkich gryzie poczucie winy. Winy związanej z tym, że wrócimy do domu, do przyjaciół, rodziny i cheeseburgerów, podczas gdy SEONZ pozostaną na łasce Ruharów. Nawet jeśli chomiki postanowią nadal karmić dawnych wrogów, zacofanych technologicznie ludzi, to Kristangowie mogli atakować ruharskie dostawy i mogło się okazać, że Ruharowie nie będą w stanie wyżywić SEONZ.

Ostatecznie przypomniałem swojej niezbyt wesołej bandzie piratów, że w domu czeka nas niepewna sytuacja. Nie wiedzieliśmy, ilu zastaniemy tam Kristangów i ich okrętów. Ziemia mogła nie być już tą samą planetą, jaką pamiętaliśmy, i mogła czekać nas walka z przeważającymi siłami wroga. Poza tym, gdy Kristangowie zorientują się, że nie mogą wrócić do domu, bo zamknęliśmy tunel, mogą zapomnieć o Zasadach i użyć zakazanej broni przeciwko ludziom. Gdy to powiedziałem, wszyscy mieli ponure miny.

– Nasza misja nie skończy się, gdy zamkniemy tunel. Wtedy się dopiero zacznie.

– Pułkowniku – odezwał się szeregowy Putri. Ten amerykański, nie indyjski. – Jaki mamy plan, jeśli zastaniemy przy Ziemi znaczną flotę Kristangów?

– Będziemy walczyć. Zamknięcie tunelu nic nie da, jeśli jaszczury na Ziemi będą w stanie zniszczyć nasz dom. Będziemy walczyć, aż przestaną stanowić zagrożenie. „Holender” nie jest okrętem bojowym, ale dysponujemy bronią i ulepszonym napędem skokowym. Jeśli jaszczury będą chciały się bić, to im pokażemy. Będziemy walczyć, aż ich zniszczymy albo do ostatniego tchu. Taki jest plan.

*

Kilka godzin później zdejmowałem właśnie buty w swojej maleńkiej kabinie, gdy Skippy odezwał się przez głośnik na suficie:

– Pułkownik Joe, musimy porozmawiać.

– Ech – jęknąłem. – Czy nie dość rozmawiamy? To nie może poczekać?

– Zdecydowanie nie. Znajdujemy się w pobliżu tunelu prowadzącego do Ziemi. Chcę, abys coś zrozumiał, zanim zaprogramuję napęd skokowy.

Jego ton sprawił, że odezwał się mój pajęczy zmysł. Zwiastował kłopoty. Czego ten lśniący dupek znów mi nie powiedział? Przetarłem twarz, żeby się nieco rozbudzić.

– Masz moją pełną uwagę. Co jest?

– To była naprawdę inspirująca przemowa, ta o walce z Kristangami wszystkim, co macie, do ostatniego tchu.

– Nie dajesz mi spać, żeby prawić mi komplementy?

– Nie, tak szczerze mówiąc, to była to średnia przemowa. Strasznie nieoryginalna. Mówisz o pierwszej kosmicznej bitwie ludzkości i stać cię tylko na ograne klisze? Mogłeś chociaż zacytować Pattona, na przykład.

– Na litość boską, Ski...

– Chodzi mi o to, że może zamierzasz walczyć za pomocą wszystkiego, co macie, ale w tej walce nie będziecie mieć tego okrętu. Potrzebuję „Holendra”, by skontaktować się z Kolektywem. Nie pozwolę, żebyś narażał go na ryzyko. A jako że potrzebuję żywej ludzkiej załogi, nie wyślesz nikogo do walki. Zwłaszcza że prawdopodobnie ją przegracie.

Cholera. Zacisnąłem zęby.

– Jak to nie pozwolił?

– Jeśli zamierzasz zrobić coś głupiego, co narazi „Holendra” na niebezpieczeństwo lub pozbawi mnie załogi, przestanę współpracować. A to oznacza, że nie będę programować skoków, wprowadzać kursów do autopilota ani namierzać celów. Kapitan Desai nauczyła się tylko podstawowych manewrów w normalnej przestrzeni, a i to mogę zablokować. Przelatując przez tunel i zamykając go za nami, podejmuję ryzyko, że możecie postanowić nie pomagać mi w znalezieniu Kolektywu, gdy zaopatrzymy się na Ziemi. Mamy umowę, Joe. Oczekuję, że jej dotrzymasz.

– Kurwa.

– To bardzo uniwersalne słowo, Joe.

– Chodzi mi o to, że jasne, że, kurwa, pamiętam o naszej umowie. I zamierzam jej dotrzymać. Masz jakiś genialny pomysł na to, jak się zaopatrzyć, jeśli na orbicie przebywa znaczna flota Kristangów?

– Ten scenariusz jest mało prawdopodobny, zważywszy na to, ile Thuranie każą sobie płacić za transport klanowi Białego Wiatru. Spodziewam się tylko minimalnych sił Kristangów na Ziemi. Ich przewaga technologiczna jest tak duża, że nie potrzebują ich zbyt wielu, by utrzymać kontrolę. Przechwycona przeze mnie komunikacja Thuraków wskazuje, że koncentrują siły, przygotowując się do bitwy po drugiej stronie sektora. Skupiają uwagę na czym innym.

– Chodzi mi o to, Skippy, że nie wiemy, co zastaniemy na Ziemi. Jeśli okaże się, że jaszczury terroryzują planetę, nie możesz spodziewać się, że ta załoga odleci wędrować z tobą po Galaktyce. Potrzebujemy innej opcji.

– Jestem otwarty na sugestie, Joe. Ty tu jesteś żołnierzem.

Jak miałem wymyślić strategię bitwy kosmicznej, skoro byłem zmęczony i nie miałem odpowiedniego doświadczenia ani wyszkolenia? Ale cóż, to ja nosiłem cholerne srebrne orły.

– Dobrze, a co z „Kwiatem”? Nie potrzebujesz go, prawda? Czy mogę wysłać część załogi na „Kwiecie”, by walczyli z Kristangami? Obiecuję ci, Skippy, że cię tu nie zostawię. Pozostanę na pokładzie „Holendra”.

– „Kwiat” może się nam przydać. Okręt Kristangów, zwłaszcza uszkodzony, pomaga zmylić przeciwnika. Ale nie jest niezbędny. Dobrze, możesz wysłać „Kwiat”, nawet zaprogramuję dla ciebie skok. Ale nie wiem, co zdoła niewyszkolona załoga na jednostce, którą nie umie sterować.

– W takim razie muszą natychmiast zacząć szkolenie.

Potrzebowaliśmy też strategii. Albo i nie? To, co Giraud mówił o elastycznych planach bitwy, miało sens. Nie mogliśmy układać planów bez dodatkowych informacji.

– Czy możemy skoczyć „Holendrem” na tyle blisko, aby dowiedzieć się, jakimi siłami dysponują Kristangowie wokół Ziemi, ale na tyle daleko, żeby nie narażać się na niebezpieczeństwo? Wtedy możemy albo wysłać „Kwiat”, albo, jeśli zgodzisz się, że ryzyko jest minimalne, skoczyć na orbitę „Holendrem”.

– Hmm... Brzmi jak wykręt. Minimalne ryzyko to nie brak ryzyka. Ale co tam, czemu nie? Już się tu nudzę. Tylko dla ciebie, Joe, zgodzę się na to. Skoczmy bezpośrednio na orbitę i przyjrzymy się sytuacji, a jeśli ryzyko okaże się zbyt wielkie, od razu odskoczmy. Nie żebym nie ufał tobie i twojej załodze, ale zaprogramuję autopilota tak, by odskoczył, o ile nie anuluję polecenia.

– Umowa stoi – niechętnie się zgodziłem, zanim Skippy zmieni zdanie. Każde ryzyko zbyt wielkie dla Skippy’ego oznaczało, że i tak lepiej, abyśmy wycofali się i rozważyli inne opcje. Może tuż przed skokiem mogliśmy parę razy strzelić do Kristangów z dział elektromagnetycznych. Lotniskowiec Thuraków bez ostrzeżenia atakujący okręty Kristangów na pewno spowodowałby dezorientację jaszczurów.

– Na przyszłość warto, abyś zapamiętał, że jeśli Kristangowie dysponują większymi siłami wokół Ziemi, to lepiej skoczyć na orbitę niż kilka jednostek astronomicznych dalej. Nawet jeśli zamaskowalibyśmy rozbłysk promieni gamma po wyłonieniu się, musielibyśmy czekać tam i przeprowadzać skany sensorami dalekiego zasięgu, a Kristangowie na Ziemi dowiedzieliby się o naszym przybyciu. Skok bezpośrednio między nich pozwoli nam wziąć ich z zaskoczenia i być może przywalić im paroma raketami, zanim się zorientują, co jest grane. Wtedy możemy w razie potrzeby odskoczyć.

– Walka w kosmosie to skomplikowana sprawa. – Przypominało mi się, jak słuchałem pilota kurczaka opowiadającego o walce powietrznej podczas naszych pierwszych manewrów w Obozie Alfa.

– Aha. No i zostaje czynnik Skippy’ego.

Z niechęcią łyknąłem przynętę.

– Czynnik Skippy’ego?

– No wiesz, moja niesamowita wspaniałość.

– Tak, jasne.

– Nie jesteś przekonany? Mówię zwłaszcza o mojej zdolności do przejmowania zdalnej kontroli nad systemami Kristangów z użyciem nanowirusa Thuraków zagrzebanego w ich systemach. W tym celu muszę znaleźć się w odległości około sekundy świetlnej od wrogiego okrętu.

– Sekundy świetlnej? To... – Prędkość światła wynosi... hmm... próbowałem wyobrazić sobie, że znajduję się w klasie...

– Uratuję cię z opresji, zanim nadwyrężysz mózg, małpiszonie. Sekunda świetlna to mniej więcej odległość od Ziemi do waszego Księżyca.

– Ach. Myślałem, że okręty nie mogą skakać tak blisko planet.

– Większość okrętów nie może. Studnia grawitacyjna zaburza pole skoku i utrudnia nawigację, a zaburzenie pola może uszkodzić silniki, nawet rozerwać okręt na strzępy. Ale okręt, którego silnikami steruję ja, kompensuje zaburzenie pola. Czynnik Skippy’ego.

– To robi wrażenie – musiałem przyznać.

– Co, żadnego sarkastycznego docinka?

– Nie. Jesteś może aroganckim dupkiem, ale naprawdę imponującym.

– To nie przechwałki, jeśli to prawda.

– Tak, już to słyszałem. Hej, czy właśnie dlatego skoczyłeś tak blisko tego olbrzyma gazowego?

Nastąpiło krótkie wahanie.

– Wtedy możliwe, że skoczyłem zbyt blisko. Nie skończyłem dostrajając beznadziejnych silników tego okrętu. To się nie powtórzy. Hej, miło się gadało. Musisz trochę pospać, pogadamy później, dobra?

Położyłem się i próbowałem ukryć uśmiech. Małpa sprawiła, że SI poczuła się niekomfortowo. Musiałem to zapamiętać.

Przejście przez ostatni tunel przebiegło spokojnie. Obawy, że natkniemy się na okręt Thuranów, okazały się bezpodstawne. Skippy nie wykrywał żadnych jednostek w okolicy. Gdy zostawiliśmy tunel za sobą, Skippy zaburzył jego połączenie z siecią. Załadował też na nasze zFony nową aplikację z odliczaniem do resetu tunelu. Wszyscy zrozumieliśmy wiadomość.

*

W swojej kabinie próbowałem przymocować paski sierżanta do jednej z bluz mundurowych. Wyprodukował je dla mnie Skippy. Wiedziałem, że gdy dotrzemy na Ziemię, mój fikcyjny awans na pułkownika zostanie unieważniony i wrócę do stopnia sierżanta. Trochę, a nawet bardzo martwiłem się, co szychy z armii pomyślą o tym, że w ogóle śmiałem nosić srebrne orły, i o wszystkim, co przez ten czas spieprzyłem, o wszystkich wątpliwych decyzjach, które podjąłem. Wiedziałem, że gdy tylko zobaczymy Ziemię, orły wrócą do pudełka, i nie zamierzałem się o to wyklócać. Chang, którego złamane żebra zdążyły się do tego czasu zaleczyć, zgodził się przejąć dowodzenie, gdy dotrzemy na Ziemię, ale ja miałem wciąż pozostać kapitanem okrętu. Chang wyraźnie nie czuł się wciąż komfortowo w kontaktach ze Skippym. Nie miało to jednak wielkiego znaczenia, bo wiedziałem, że gdy nawiążemy kontakt z ziemskimi władzami, to one przejmą dowodzenie naszą piracką załogą. Zakładając, że nie czekała nas najpierw bitwa z flotą Kristangów. Wciąż mnie to martwiło.

Martwiłem się jeszcze jednym. Czekałem, aż będę mógł porozmawiać ze Skippym na osobności. Przerwa w czasie biegu po osi „Holendra” była dobrym momentem.

– Słuchaj, Wielki i Potężny Ozie, naprawdę przykro mi, że nazwałem cię Skippy. Czuję się teraz jak idiota, nie wiedziałem, jaki jesteś potężny, i nie chciałem zrobić ci przykrości. Rząd się wkurzy, gdy dowie się, że nadałem ci takie imię, więc jak mam cię nazywać? Zaznaczam, że Pan Bóg Wszechmogący nadal odpada.

– Skippy może być. Podoba mi się.

– Na pewno? – Nie wiedziałem, czy żartuje.

– Tak. Skippy to takie przezwisko, prawda?

– Tak mi się wydaje. – Nie znałem nikogo o imieniu Skippy.

– A przezwiska mogą być oznaką szyderstwa, co, powiedzmy sobie szczerze, nie jest możliwe ze strony niższej formy życia mówiącej o kimś takim jak ja.

– Oczywiście, że nie! – Przewróciłem oczami.

– Widziałem to! Mogą też być oznaką akceptacji, przynależności, należenia do paczki.

Do paczki? Mająca milion lat, potężna istota chciała należeć do paczki?

– Jasne, uznajmy, że tak właśnie jest.

– Imię Skippy będzie stale przypominać wam, małpom, że nie jestem jak jakikolwiek Skippy, który kiedykolwiek żył na waszej żalostnej planecie, i podkreśli to waszą zupełną nieistotność w porównaniu ze mną bardziej niż jakiegokolwiek imię wyrażające szacunek. Poza tym czy bylibyście zdolni okazać mi należny szacunek? Imię Skippy jest odpowiednie. Stanowiło reakcję obronną na coś wykraczającego poza twoje zrozumienie.

– To była reakcja na to, że jesteś dupkiem!

– Albo to. Mniejsza z tym.

Zanim wykonaliśmy ostateczny skok do Układu Słonecznego, dopilnowałem, aby wszyscy dobrze wypoczęli, i zarządziłem dokładny przegląd całego sprzętu. Obawiałem się zwłaszcza o relatywnie słabe uzbrojenie „Holendra”.

*

Chang wrócił do siebie szybciej, niż się spodziewałem, nawet przy cudownej terapii Thuranów. Miał w końcu połamane żebra i częściowo przebite płuco. Wszedł do BCI w czasie, gdy siedziałem w fotelu dowódcy, a Simms zarządzała resztą centrum.

– Pułkownikowi Chang, nie powinien pan być w ambulatorium? – spytałem. Skippy nie powiedział mi, że Chińczyk jest już w pełni zdrowy.

Chang podniósł koszulę, pod którą jego klatka piersiowa była owinięta czymś z czarnego, twardego plastiku.

– Leczenie wciąż trwa. Skippy powiedział, że jeśli będę w ruchu, tkanki lepiej się dopasują.

– Dobrze, ale proszę nie wracać jeszcze na służbę. Przez parę dni powinien pan odpoczywać.

Chang skrzywił się, wyraźnie nadal odczuwał ból przy każdym ruchu.

– Zgoda, pułkownik. Słyszałem, że to pańskim pomysłem było wykorzystanie radia do triangulacji położenia węzła komunikacyjnego. Doskonały pomysł, który być może uratował nas wszystkich. Gdybyśmy musieli przejrzeć cały ten złom, bylibyśmy uwięzieni.

Miło było słyszeć pochwały ze strony Changa, nawet jeśli uważałem, że na nie nie zasłużyłem. Musiałem niestety wyjaśnić, co naprawdę zaszło.

– Dziękuję, ale to nie było nic genialnego, a raczej oczywista rzecz. Spytałem tylko, czy węzeł potrafił nadawać, bo w końcu jego celem jest komunikacja. Skippy jest niezwykle inteligentny, ale często rozkojarzony i nie myśli o rzeczach, które dla nas są oczywiste. Podobnie jak nie wspomniał o kombotach, dopóki nie spytałem, jak walczą Thuranie. Zawsze warto o tym pamiętać w kontaktach z naszym przyjacielem.

Skoczyliśmy na orbitę Ziemi i Skippy dał nam znać, że znajdują się tam jedynie dwa okręty Kristangów, fregata i transportowiec, służący też jako okręt dowodzenia. Powiększyłem obraz na ekranie i przyjrzałem się transportowcowi. Był cholernie wielki, chociaż zapominałem wciąż, o ile większy był „Holender”, który potrafił przewozić dziesiątki takich transportowców.

– Muszę połączyć się z nanowirusem na okręcie dowodzenia Kristangów, złamać ich wielopoziomowy szyfr, przejąć komputery i je zablokować.

– Ile to potrwa?

– Zrobiłem to między słowami „połączyć” a „się”.

– Irytująco się popisujesz, Skippy.

– Mogę pracować wolniej, jeśli wolisz. Ale pewnie się znudzę i zapomnę, co miałem robić, po kilku pikosekundach.

– Lepiej nie. Co poza tym mają na Ziemi i wokół niej?

– Tylko te dwa okręty. Fregata obecnie orbituje nad Sumatrą, po drugiej stronie planety. Transportowiec dysponuje dwudziestoma czterema lądownikami szturmowymi, z których trzy obecnie znajdują się na pokładzie, jeden zbliża się do okrętu, a pozostałe rozproszone są po planecie. Fregata również dysponuje obecnie dwoma. Na szczytach wind kosmicznych znajdują się instalacje obronne Thuraków. Poza tym Kristangowie mają na orbicie siedemnaście satelitów maserowych do ostrzału planety.

– Dobrze – odetchnąłem. – Możemy tu bezpiecznie zostać? Anulować skok awaryjny?

– Owszem, już to zrobiłem. Mamy szczęście, oba okręty są już pod moją kontrolą, aczkolwiek fregata przesunie się poza mój zasięg za dziesięć minut. W tej chwili Kristangowie są zdumieni niespodziewanym pojawieniem się lotniskowca Thuraków. Dezorientują ich, udając zakłócenia komunikacyjne, ale to nie potrwa długo. Oba okręty przygotowują się do skoku. Nie zdają sobie sprawy, że kontrolują ich komputery.

– Mówiłeś coś o satelitach. Jakiego rodzaju?

– Każdy ma pięćdziesiąt osiem metrów długości i jest zasilany reaktorem fuzyjnym generującym osiemset dwadzieścia megawatów mocy masera.

– To dużo?

– Wasze lotniskowce nuklearne zwykle generują około dwustu megawatów.

– O cholera. – Myślałem, że satelity to jakieś drobnostki.

– No ładnie! Dwa z satelitów przygotowują się do ostrzelania miasta zwanego Mumbajem. Obecnie trwa tam demonstracja przeciwko Kristangom, pułkowniku. – Skippy był wyjątkowo poważny. – Te satelity i fregata skupiają się na tłumieniu prób buntu. Szacuję miliony strat w ludziach. Fregata ostrzeliwała miasta z działa elektromagnetycznego.

Położyłem rękę na Wielkim Czerwonym Przycisku, nawet nie myśląc.

– Ilu jest Kristangów na planecie?

– Tysiąc czterystu dwudziestu trzech, w większości rozmieszczonych w siedmiu bazach. Dwanaście ich lądowników obecnie znajduje się w powietrzu.

Pochyliłem się w napięciu do przodu, patrząc na ekran, nie zdając sobie sprawy, że moja dłoń spoczywa na Wielkim Czerwonym Przycisku.

– Musimy zachować ten transportowiec, ale ta cholerna fregata może skoczyć do Słońca. Możesz przekierować satelity na bazy Kristangów i ich lądowniki?

Na planecie pojawiły się jasne rozbłyski i zobaczyłem, że transportowiec zaczyna drżeć, wyglądało na to, że ze śluz wylatują ciała jaszczurów. Wyleciała z niego też salwa rakiet, która zniknęła w atmosferze planety.

– Zrobione – ogłosił Skippy. – Populacja Kristangów wynosi teraz siedemset dwadzieścia jeden. A, uderzają rakiety i populacja wynosi sto siedemdziesiąt dwa. Zaraz! Ha! Mam drani! – Kolejny rozbłysk. – Satelita przesunął się nad horyzontem, musiałem zagiąć promień lasera. Sto sześćdziesiąt cztery.

– Co?

– Kazałeś systemowi wystrzelić.

– Wcale nie... – Wtedy zdałem sobie sprawę, że moja ręka spoczywa na przycisku. – Cholera, Skippy, pytałem, czy możesz to zrobić, nie kazałem ci tego jeszcze zrobić!

– Ups.

– Ups? Skippy, to naprawdę spore ups.

– Nie chciałeś też, żeby fregata skakała do rdzenia miejscowej gwiazdy? Bo tego nie mogę cofnąć. Za kilka milionów lat atomy fregaty wyłonią się z fotosfery, ale Humpty'ego Dumpty'ego nie da się złożyć do kupy.

– Musimy popracować nad komunikacją.

– Zanotowano.

Skupiłem uwagę z powrotem na transportowcu.

– Co tu się stało?

– Ten okręt roił się od jaszczurów, ohyda. Musiałem to naprawić za pomocą nagłej dekompresji. Cztery nadal żyją, uparte cholery. – Skippy był wyraźnie sfrustrowany. Zapewne był w stanie zabić te cztery jaszczury, ale musiałby wtedy uszkodzić okręt, który chciałem zachować bez szwanku.

Bezwiednie wzdrygnąłem się na myśl o potędze Skippy’ego i jak źle mogłyby pójść sprawy, gdybym znowu nie uważał. Musiałem umieścić jakąś pokrywę na Wielkim Czerwonym Przycisku, żeby następnym razem ją podnieść, zanim go użyję.

– Masz pełną kontrolę? Jaszczury nie mogą zrobić teraz krzywdy ludziom?

– W tej chwili są zbyt zajęte sraniem w gacie, żeby o tym myśleć. Poza tym zamknąłem projekty Kristangów modyfikujące waszą najlepszą ziemię rolną na ich potrzeby. I usmażyłem ich komputery. Cokolwiek teraz robią, muszą to zrobić bez elektroniki.

– Świetnie, dziękuję. – Zamknąłem na chwilę oczy. Ponad dwa tysiące jaszczurów, zabitych w jednej chwili z ich własnej broni. Gdy uniosłem wzrok, Simms miała oczy jak spodki.

– Czy to naprawdę się stało? – spytała zdumiona.

Skinąłem głową i wskazałem na obraz transportowca, otoczonego teraz przez chmurę zamrożonych ciał jaszczurów.

– I ponad tysiąc Kristangów zginęło na planecie. – Z jakiegoś powodu naturalniej brzmiało dla mnie „na planecie” niż „na Ziemi”. Dawno mnie tam nie było.

Wszyscy skinęli głowami.

– To dobry początek – stwierdziła major Simms. Zgodziłem się z nią.

Być może zwykłych ludzi przeraziłaby ta skala zniszczenia. Ale nasza wesoła banda piratów nie miała współczucia dla jaszczurów. Jeśli to, co robiły z ludźmi i biosferą na Ziemi, było prawdą, cały ich gatunek mógł iść się pierdolić.

– Skippy, możesz skontaktować się z rządem Stanów Zjednoczonych? Muszę porozmawiać z kimś, kto tam rządzi.

– Oczywiście, chwileczkę. Proszę.

– Halo? – usłyszałem z głośnika głos kobiety, który brzmiał jakby znajomo. – Kto to? – Była wyraźnie zaskoczona.

– Uch, a z kim rozmawiam?

– To pan dzwoni. Skąd pan ma ten numer? – domagała się odpowiedzi.

Przypomniało mi się w końcu, skąd znałem ten głos. Nigdy dotąd nie był tak pełen rozpaczy.

– Skippy – szepnąłem – coś ty zrobił, do cholery?

– Chciałeś porozmawiać z amerykańskim rządem, więc zadzwoniłem na osobisty szyfrowany telefon waszej pani prezydent.

Potrząsnąłem pięścią w stronę lśniącego cylindra. Naprawdę musieliśmy popracować nad komunikacją.

– Pani prezydent, tu pułkownik, to znaczy sierżant Joe Bishop z Armii Stanów Zjednoczonych, poprzednio z Dziesiątej Dywizji Piechoty. Przejęliśmy transportowiec i fregatę Kristangów oraz lotniskowiec gwiazdny Thuránów, a obecnie znajdujemy się na orbicie. Właśnie zabiliśmy wszystkie jaszczury oprócz stu sześćdziesięciu czterech...

– Plus czterech na orbicie – wtrącił Skippy.

– ...oprócz stu sześćdziesięciu ośmiu. Mamy kontrolę nad ich niezniszczonym okrętem i satelitami.

Zapadła dłuższa cisza. Słyszałem tylko jakieś głosy w tle.

– Cisza! Pan Bishop, tak? Mój asystent wojskowy mówi mi, że doszło do ataków satelitarnych na całej planecie, wszystkie przeciwko instalacjom Kristangów. Myślałam, że Thuranie to patroni Kristangów? Proszę wyjaśnić, co tu się dzieje. – Była wyraźnie wstrząśnięta.

Odetchnąłem głęboko.

– To długa historia, pani prezydent. Najważniejsze fakty są takie, że Kristangowie nie kontrolują już Ziemi i nie nadlecą żadne ich posiłki, bo zamknęliśmy lokalny tunel czasoprzestrzenny.

– Hej, nie zapominaj o mnie! – odezwał się Skippy. – Jestem bohaterem tej historii, ty jesteś tylko moim zabawnym pomocnikiem.

– Kto teraz mówi? – spytała prezydent.

A, co tam. Byłem zmęczony.

– Pani prezydent, to chromowana puszka piwa o imieniu Skippy. – Czegoś takiego na pewno nikt do tej pory nie powiedział prezydentowi Stanów Zjednoczonych. – Jest to licząca sobie miliony lat sztuczna inteligencja, w porównaniu z którą Thuranie mają tyle rozumu, co szlam w stawie.

– Pffff – parsknął Skippy. – Proszę cię, zbyt im schlebiasz.

Teraz to pani prezydent wypuściła z siebie głęboki oddech.

– Znowu boli mnie głowa.

– Jak mówiłem, to długa historia. Musimy porozmawiać.

– Poza tym potrzebujemy pizzy! – dodał Skippy. – Nie dla mnie, ale dla naszej wesołej bandy piratów. I zimnego piwa! Czas na imprezę!

– Wesołej bandy piratów? – powtórzyła prezydent martwym głosem.

Mnie też zaczęła boleć głowa.

*

Po tym, jak pani prezydent przekazała telefon swojemu asystentowi,

żebym z nim omówił szczegóły, i zgodziliśmy się co do warunków sprowadzenia naszej załogi do domu, znów sprawdziłem główny ekran.

– Skippy, jesteśmy bezpieczni? Czy w naszą stronę lecą jakieś okręty Kristangów albo Thuranów? – Wciąż nie wiedziałem, jak interpretować dane. Ekran był pusty poza transporterem Kristangów i „Holendrem”. I Księżycem, bo to on zapewne był wielką plamą na ekranie.

– Nie, zgodnie z bankami danych na ich okręcie dowodzenia. Następny lotniskowiec Thuranów miał przylecieć przez tunel za dziesięć dni. Teraz to się nie wydarzy. Ale możliwe, że są tam jakieś okręty, o których ich dowództwo nie powiedziało tutejszym Kristangom.

– Pułkownik Chang, major Simms? – Zasalutowałem obojgu. Teraz, gdy wróciliśmy do domu, mój pokazowy awans nie był ważny i wróciłem do stopnia sierżanta. Oboje o tym wiedzieli. Osobiście nie wiedziałem, czy powinienem czuć rozczarowanie, czy ulgę. – Ktoś musi polecieć na Ziemię i zdać raport naszym przywódcom. Skippy, możesz zdalnie sterować lądownicami? Musimy wysłać ludzi do Pekinu, Delhi, Londynu i Waszyngtonu, a nikt z nas nie umie sterować promami Kristangów i Thuranów. Nasze dodo jest w kiepskim stanie.

– I do Paryża – przypomniał Giraud.

– I do Paryża. – Zapomniałem o naszym jedynym francuskim piracie. – Musimy też uważać na rannych.

Wszyscy, którzy odnieśli rany podczas ataku na „Kwiat” i na asteroidę, byli już na nogach, niektórzy wciąż podłączeni do przenośnych urządzeń medycznych Thuranów. Walorski miał zdjąć rękaw leczniczy za tydzień. Żebra Changa technicznie się zaleczyły, chociaż nadal twierdził, że cholernie go boli, gdy bierze głębszy oddech. Jak dla mnie to, że wszyscy ranni wracali do pełnego zdrowia, graniczyło z cudem.

– Mogę sterować zdalnie wieloma lądownicami jednocześnie – odpowiedział Skippy, jakby była to najłatwiejsza rzecz we wszechświecie. – Nie ma potrzeby, aby latali po całej planecie w jednym. Ale gdy wylądują i ludzie wysiądą, zamykam drzwi. Nie chcę, żeby mały się nimi bawiły.

– Rozumiem. Czy poza mną jest ktoś, kto powinien pozostać na pokładzie? – Rozejrzałem się po naszej małej wesołej bandzie, która wkrótce miała się rozdzielić.

– Dlaczego pan tu zostaje? – spytał Chang, zanim Skippy odpowiedział.

– Sir, jeśli okręt Kristangów skoczy na orbitę, Skippy i ja musimy bronić Ziemi. – Wskazałem na Wielki Czerwony Przycisk.

– Nie musimy. Chcę zobaczyć Ziemię nie tylko z orbity – nalegał Skippy. – Mogę kontrolować okręt z dowolnego miejsca.

Odezwała się Simms:

– Przycisk kontroli ognia znajduje się tu, sir. – Chwilę mi zajęło zorientowanie się, że nazywa „sir” Skippy’ego, nie mnie.

– A, pieprzyć to! – parsknął Skippy. – Pułkownik Joe, właśnie zainstalowałem na twoim zFonie aplikację Wielki Czerwony Przycisk. Możesz go wcisnąć z dowolnego miejsca na Ziemi i zaczniemy strzelać.

Wyciągnąłem aparat z kieszeni.

– Jestem teraz znowu sierżantem, nie pułkownikiem. I jej nie widzę.

Skippy westchnął.

– Mówicie na to smartfon dlatego, że jest inteligentniejszy niż użytkownik? Jest na ostatnim ekranie z aplikacjami, między dwoma wersjami pasjansa i tą grą z ptakami, w którą od dawna nie grasz.

– Byłem zajęty. – Zobaczyłem aplikację o nazwie Wielki Czerwony Przycisk. Rzeczywiście, trudno było ją przegapić. – Czy nie powinna być na pierwszym ekranie?

– Joe, Joe, Joe. Nie chcemy, żebyś wcisnął go tyłkiem i niechcący zniszczył, na przykład, Kanadę.

– O cholera. – Przyjrzałem się zFonowi z przestachem. – To się może zdarzyć?

– Raczej nie, bo to ja programuję broń, a ty tylko autoryzujesz jej użycie. Ale miewaliśmy problemy z komunikacją, jak mówiłeś...

– Sierżancie Bishop, czułabym się lepiej, gdyby pan i, hm... – Simms próbowała unikać mówienia do Skippy'ego po imieniu – pan Skippy polecili ze mną i zdali raport naszemu dowództwu. Łącznie z panią prezydent, którą najwyraźniej już pan zna. – Nie wyglądała na szczególnie zadowoloną.

Chang pochylił się w stronę Simms.

– Nie zgadzam się co do tego, że to urządzenie – wskazał na Skippy'ego – ma się stać de facto własnością Ameryki. Jako najstarszy stopniem oficer SEONZ...

– Nie jesteś moim dowódcą, Chang. Pułkownik Joe wciąż pozostaje kapitanem – powiedział Skippy wyraźnie nieprzyjaznym tonem. – A nazywając mnie „urządzeniem”, na pewno nie zyskasz mojej sympatii. I zanim powiesz jeszcze coś głupiego, przyjmij do wiadomości, że nie jestem niczyją własnością i zapewne zostanę poproszony również o wizytę w Chinach, więc wasi naukowcy będą mieli okazję zadać mi te same głupie pytania, co amerykańscy. A teraz przeproś mnie i pułkownika Joe albo twój lądownik może przez pomyłkę trafić na pustynię Gobi.

– Nie ma potrzeby, sir – powiedziałem szybko. W końcu Chang był prawdziwym podpułkownikiem i porządnym gościem. Cholera. Zamknięcie tunelu i pokonanie Kristangów mogło się okazać najłatwiejszą częścią zadania.

Chang skłonił się lekko.

– Przepraszam, panie Skippy. Nie miałem zamiaru pana urazić. Chciałem jedynie się upewnić, że prawa Chin będą w pełni

respektowane.

Skippy znów westchnął. Robił to coraz częściej.

– Uwierzcie mi, że nie zamierzam dawać żadnej grupie małą przewagi nad innymi. Możecie bić się nawzajem kijami tyle, ile chcecie, gdy mnie tu nie będzie. Jeśli macie większe mózdzki niż ameby, może lepiej jednak skupcie się na naprawie zniszczeń poczynionych przez Kristangów. Tak tylko mówię.

– Sir? – sierżant Adams zwróciła się do Changa. – Czy możemy skontaktować się z rodzinami?

Skippy odezwał się prywatnie do mojej słuchawki.

– Pułkownik Joe, twoja rodzina jest zdrowa i bezpieczna, ale rodziny i przyjaciele niektórych członków załogi nie miały tyle szczęścia. Lepiej uważałbym na razie z komunikacją. Powiedziałem właśnie to samo Changowi, tyle że dowiedział się, że brat jego ojca został zabity przez Kristangów.

Przez szybę widziałem, jak Chang dotyka słuchawki, kiwa głową, marszczy brwi i spogląda na mnie. Zwrócił się do całej załogi.

– Nie znamy jeszcze pełnego obrazu sytuacji. Teraz znów podlegamy dowództwu naszych rodzimych krajów. Na razie zapewne będą chciały zachować poufność. Zaczekajcie na odprawę po wylądowaniu.

*

Moja fantazja o dramatycznym lądowaniu w thurańskim lądowniku na trawniku przed Białym Domem nie spełniła się. Biały Dom, podobnie jak większość Waszyngtonu, uległ zniszczeniu w czasie działań Kristangów przeciwko „zdrajcom”. Siedziba rządu federalnego Stanów Zjednoczonych mieściła się teraz w Colorado Springs, w miejscu, które dawniej było Akademią Lotnictwa, za ciężkimi fortyfikacjami. Skippy chciał przelecieć nad akademią z prędkością naddźwiękową, wykorzystać thurańskie układy maskowania i wylądować, gdzie mu się podoba, żeby pokazać amerykańskim władzom, że nie mogą sobie nim rządzić. Przypomniałem mu, że byłem żołnierzem Armii USA i złożyłem przysięgę strzec konstytucji Stanów Zjednoczonych, a więc legalnie wybrany rząd kraju rzeczywiście mógł mną sobie rządzić i w związku z tym prośba prezydent, abyśmy polecili szlakiem wyznaczonym przez lotnictwo USA, była dla mnie rozkazem, który musiałem wykonać. Była to długa i zawiła rozmowa, która powiedziała więcej o Skippym niż o mnie czy o Stanach Zjednoczonych. Skippy niechętnie zaprogramował autopilota na niepotrzebnie niski lot, wkroczył do atmosfery nad Wyspami Marshalla na Pacyfiku i zaakceptował „eskortę” dwóch raptorów nad brzegiem Kalifornii. Miał rację, że chociaż raptory leciały z maksymalną prędkością, czuliśmy się, jakbyśmy poruszali się

ślimaczym tempem. Mogłem jednak dobrze przyjrzeć się Parkowi Narodowemu Yosemite, więc nie był to zupełnie zmarnowany czas.

Na ziemi wyszli nam naprzeciw agenci Secret Service z bronią automatyczną. Kazali nam schodzić z rampy powoli i pojedynczo. To wkurzyło major Simms, która kazała im opuścić broń, zanim wnerwi się super-SI, która zlikwidowała Kristangów w mniej niż dziesięć sekund. Gdy się zawahali, spytała, czy naprawdę uważają, że zwykła amunicja robi krzywdę Skippy'emu. Naprawdę była wściekła. W końcu opuścili lufy o czterdzieści pięć stopni. Zszedłem po rampie po oficerach i sierżant sztabowej Adams, jako że wróciłem do stopnia zwykłego sierżanta. Zamiast włożyć Skippy'ego do plecaka, trzymałem go w lewej ręce przed sobą, co miało być pozycją honorową. Był cholernie ciężki, na tyle, że zastanawiało mnie, czy aby nie zwiększył masy, żeby mi zrobić psikusa. Secret Service nie zamierzało dopuścić potencjalnie niebezpiecznego obiektu w pobliże pani prezydent do czasu, aż Skippy zadzwonił do niej bezpośrednio przez jej zaszyfrowany telefon. Wysłała przez drzwi dawnej rezydencji komendanta akademii i pokręciła głową, patrząc na dowodzącego grupą agenta, który w końcu nas niechętnie przepuścił. Gdy agenci chcieli wpuścić na przyjęcie powitalne tylko mnie i oficerów, szybko powstrzymałem to mało uprzejmym gestem i machnąłem ręką do reszty żołnierzy, żeby poszli za mną. To rozbawiło panią prezydent, która zrobiła w tym samym czasie to samo. Tak zaczęła się całkiem przyjazna relacja między mną a szefową państwa. Za nami na pokład lądownika weszli lekarze, aby pomóc rannym członkom załogi zejść po rampie.

Prezydent przywitała się z major Simms i innymi oficerami, ale wyraźnie najuważniej przyglądała się mnie. Wiatr zawiewał jej włosy na oczy, ale odgarnęła je dobrze przeciwiczonym gestem.

– Panie Bishop. – Zerknęła na nietypową naszywkę na moim ramieniu. – Czy to bucik z przepaską na oku?

Cholera. Zupełnie zapomnieliśmy o pomyśle Skippy'ego na naszą piracką flagę. Teraz czułem się jak kompletny idiota. Ta kobieta miała dostęp do amerykańskiego arsenału nuklearnego. O ile nadal mieliśmy jakiś arsenał nuklearny, bo sporo mogło się zmienić.

– Tak jakby, ma'am.

– To pierwotniak zwany pantofelkiem – wyjaśniła puszka w mojej dłoni.

– Czy rozmawiam teraz z istotą, którą pan Bishop nazywa Skippym? – spytała pani prezydent. Popatrzyła na swoich doradców, którzy dyskretnie krążyli wokół niej.

– Jedyne w swoim rodzaju, to właśnie ja.

– Skippy musi być przezwiskiem. – Pani prezydent uśmiechnęła się do SI i spojrzała na mnie. – Proszę powiedzieć, panie Bishop, jak nazywa

pan mnie?

Przez chwilę spanikowałem.

– Uch, naczelnym dowódcą, ma'am?

Roześmiała się.

– Może być, ale to nieco przydługie. Na razie może być „pani prezydent”. Czy za tym pantofelkiem stoi jakaś historia?

Jak miałem powiedzieć prezydent Stanów Zjednoczonych, że chromowana puszka piwa uważa nasz cały gatunek, łącznie z nią, za tylko nieco inteligentniejszy od bakterii? Najlepiej byłoby najpierw nakreślić tło.

– Ma'am...

Skippy mi przerwał.

– To taki żart. Pułkownik Joe zasugerował, że jeden z jego względnie mniej głupich pomysłów oznacza, że jego gatunek jest nieco inteligentniejszy od bakterii. Niechętnie zgodziłem się, że można was ewentualnie porównać do pantofelka. Ale co do tego jeszcze się przekonamy.

Albo mogłem po prostu wygadać to jak czterolatek, co właśnie zrobił Skippy! Pani prezydent przyjęła to w miarę dobrze. Zapewne lata kampanii politycznych obdarzyły ją grubą skórą.

– Mam nadzieję, że zrobimy na panu na tyle dobre wrażenie, że może porówna pan nas do wyższego organizmu, na przykład do glonów?

– Cóż, życzę powodzenia – parsknął Skippy, ale dodał cicho: – Lubię ją, pułkowniku Joe.

– Dziękuję. – Prezydent uśmiechnęła się lekko. – Dlaczego nazywa pana pułkownikiem? – zwróciła się tym razem do mnie.

– To tylko awans polowy, teatrzyk, jak to mówimy w armii. Tymczasowa promocja. – Spojrzałem na swoje paski sierżanta. – Wróciłem do oznak swojego standardowego stopnia, ma'am.

Zaczerwieniłem się, po czym przyszła mi do głowy nieprzyjemna myśl. Czy aby nie byłem znów starszym kapralem? Stopień sierżanta również uzyskałem w polu od armii, która być może już nie istniała. Nie miałem pojęcia, co mówił w tej kwestii regulamin. Cholera, mogłem spytać Skippy'ego. Zapewne znał wszystkie regulacje na pamięć. Ale gdyby chcieli zabrać mi paski sierżanta, raczej by mi o tym powiedzieli. Lubiłem je. Zasłużyłem sobie na nie.

– Hmm. – Pani prezydent spojrzała znacząco na major Simms, która się nieco skrzywiła. – Zapewne to też długa historia. Proszę wejść do środka, mamy dla państwa jedzenie. – Piracka załoga wydała z siebie odruchowy jęk. Ja zacząłem się ślinić.

Poczułem się dziwnie, gdy weszliśmy do pomieszczenia, gdzie przygotowano bufet. Bufet śniadaniowy. Zgodnie z zegarem pokładowym „Holendra” było teraz popołudnie, ale mój żołądek o to nie

dbał. Prawdziwe, ziemskie jedzenie. Cała moja krew poszła do żołądka zamiast do mózgu, bo odruchowo wyciągnąłem zFona, żeby sprawdzić pogodę, co robiłem co rano przy śniadaniu. Oczywiście na moim zFonie nie było tutejszej aplikacji pogodowej.

Agent Secret Service zobaczył urządzenie trzymane przeze mnie w ręce, w której nie trzymałem Skippy'ego, i zeszywniał.

– Proszę pana, co to jest?

– To? – Pokazałem mu urządzenie. – To mój zFon. Armia nazywa to radiem taktycznym. Kristangowie dostarczyli je wszystkim żołnierzom.

– Kristangowie? To urządzenie Kristangów? – spytał z niepokojem agent. – Nie można wnosić tu urządzeń komunikacyjnych Kristangów. Muszę to skonfiskować.

Przycisnąłem zFona ciasno do piersi, jakby był piłką, którą przechwycałem.

– Nie może pan tego zrobić. Nie próbuję utrudniać panu pracy, ale musi pan zrozumieć, że to mój telefon. Dzięki Skippy'emu kontroluje całe uzbrojenie na pokładzie lotniskowca Thuranów na orbicie. – Wskazałem palcem na niebo.

– Słucham? – Agent wyraźnie nie przyjął tego do wiadomości.

– Właśnie tak – dodał niezbyt pomocnie Skippy. – Nie kłamie.

Agent naprawdę nie kupował naszych wyjaśnień.

– Proszę pana, muszę przyjrzeć się temu urządzeniu.

To się nie działo. Widziałem, jak Wielki Czerwony Przycisk niszczy bazy Kristangów na całej Ziemi. Nie ma mowy, aby ktoś dotykał mojego telefonu brudnymi paluchami. Cholera. Zanim najechali nas Ruharowie, co teraz wydawało się strasznie dawno temu, miałem zwykły telefon komórkowy. A teraz nie mogłem spuścić zFona z oczu. Musiałem znaleźć jakiś plastikowy woreczek, żeby móc brać go ze sobą pod prysznic. I nie, nie po to, żeby oglądać porno.

– Panie agencie. Kristangowie nie mają już do niego dostępu. Jest bezpieczny, prawda, Skippy?

– W stu procentach zabezpieczony przed jaszczurami. Pozbyłem się ich żalosego kodu.

Pani prezydent znów załagodziła sytuację.

– Agencie Thomas – zawołała – pan Bishop może zachować telefon.

– Pani prezydent, mamy procedury, które...

– Ci dwaj – prezydent wskazała na mnie i Skippy'ego – zniszczyli Kristangów w ciągu kilku sekund.

– Poszłoby szybciej, gdyby cholerne satelity nie znalazły się za horyzontem. Głupia mechanika orbitalna – mruknął Skippy.

– Chodzi mi o to, że gdyby chcieli zrównać to miejsce z ziemią, telefon byłby najmniejszym z naszych problemów – powiedziała łagodnie prezydent i gestem wskazała, żebym szedł do przodu. – Pański telefon

naprawdę kontroluje broń na tym okręcie?

– Tak, ma’am. To długa historia.

– Chętnie usłyszę później całą. A tymczasem mam kraj do odbudowania.

Wyciągnęła do mnie rękę i uściśnęła ją, nieco oszołomiony. Ścisnąłem rękę prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki. Przyjrzała się mojemu zFonowi.

– Być może dobrze będzie, jeśli oficerowie ochrony dopilnują, żeby nie zgubił pan telefonu. – Spojrzała mi w oczy. – To nie był żart, sierżancie Bishop.

– Nie, ma’am – wydukałem. – I, hm, muszę znaleźć ładowarkę.

– Nie ma potrzeby – wtrącił Skippy. – Ja go ładuję.

– Jak? – spytałem. Nie wspominał o tym wcześniej.

– Jednorożce i czarodziejski pyłek.

– Pieprz się, Skippy – warknąłem, po czym ku swojemu przerażeniu przypomniałem sobie, gdzie się znajduję. – Przepraszam, pani prezydent.

Wydawała się autentycznie rozbawiona.

– Dziękuję, panie sierżancie. Dziś po raz pierwszy od roku szczerze się uśmiechnęłam.

– Tak. – Przysiągłem sobie trzymać gębę na kłódkę, gdy tylko to możliwe. – Dziękuję, nie chcemy zabierać pani cennego czasu.

– Chętnie z panem później porozmawiam. A na razie smacznego. – Ruszyła do wyjścia, ale obejrzała się przez ramię. – A, i panie sierżancie?

– Tak, pani prezydent?

– Dziękuję za uratowanie świata.

*

Śniadanie było naprawdę dobre. Major Simms ostrzegła byłych piratów, żebyśmy za bardzo się nie napchali, bo nasze żołądki odzwyczyły się od prawdziwego jedzenia. Zadowolilem się kaszą kukurydzianą z cukrem i śmietanką oraz tostem z masłem i jednym, no dobrze, dwoma, dobrze, przyznaję się! trzema paskami bekonu. To było taaaakie dobre. A także prawdziwa kawa. Czarna, gorąca, w kubku z logo armii. Niemal się rozpłakałem.

Dwie rzeczy sprawiły jednak, że nieco mniej cieszyłem się śniadaniem. Pierwszą była sierżant sztabowa lotnictwa, która przyszła zaraz po tym, jak usiadłem. Miała tylko nieco ponad metr sześćdziesiąt wzrostu, ale to, jak stała, mówiła, i wyraz jej twarzy pokazywały, że należy traktować ją poważnie. To i jej pistolet. Oraz czterech innych ludzi z lotnictwa za nią z M4.

– Sierżant Bishop? Jestem sierżant sztabowa Kendall. Przydzielono

mnie do pana. Mam panu towarzyszyć. Wszędzie.

– A – odpowiedziałem z pełnymi ustami. – Ochrona przydzielona przez panią prezydent?

– Nic nie wiem o pani prezydent, sierżancie, ale szef sztabu lotnictwa osobiście wydał mi rozkaz. – Uniosła brew, żeby pokazać, że to nie zdarza się na co dzień. – Mamy zapewnić bezpieczeństwo pana, pańskiego telefonu – powiedziała to pytającym tonem – oraz czegoś o nazwie Skippy.

– To ja, w całej mojej okazałości, wspaniały Skippy. Jesteś niańką pułkownika Joe? – odezwał się ten skubaniec. – Dopilnuj, żeby wcześniej kładł się spać, bo inaczej robi się marudny. I nie dawaj mu za dużo słodyczy.

Nie uśmiechnęła się nawet kącikiem ust. Lotnictwo najwyraźniej nie uznało za potrzebne, by wyposażyć ją w poczucie humoru. Świetnie. Miała być moim cieniem, a nawet Skippy jej nie rozśmieszał.

Drugą rzeczą, która popsukała mi śniadanie, było trzech facetów siedzących przy stole naprzeciwko mnie, którzy wyglądali, jakby nie mogli się doczekać, aż skończą tosty. Dwaj byli z wywiadu armii, a trzeci z jednej z trzyliterowych agencji i na pewno nie była to Agencja Ochrony Środowiska.

Chcieli, żebym zdał im „raport” od razu, gdy jeszcze delektowałem się śniadaniem. Facet z CIA od razu mi podpadł.

– Sierżancie Bishop, wszelkie informacje o wydarzeniach poza Ziemią są ściśle tajne i zabrania się panu...

– A, pieprzyć to – powiedział drwiąco Skippy. – Wy, mały, jesteście dla mnie wszystkie głupie, ale ty wyglądasz mi na wyjątkowego debila. Jeśli jeszcze tego nie załapałeś, to przybyliśmy tu na lotniskowcu gwiazdnym Thuranów, używającym fregaty Kristangów jako opony zapasowej. Wszystkie wasze głupie sekrety nic już nie znaczą i nie możecie tego znieść, co? Jedyne informacje, które warto trzymać w tajemnicy, znajdują się w głowie pułkownika Joe i w mojej bazie danych, a jeśli chcesz wyciągnąć coś ode mnie, to przydadaj się do czegoś i przynieś Joemu świeżą kawę.

Facet z CIA myślał, że Skippy żartuje, co wkurzyło SI.

– Hej, dupku. Jeśli wy, głupie, bezwłose mały, chcecie się ode mnie czegoś dowiedzieć, to rusz swoją leniwą dupę i przynieś mojemu kumplowi kubek kawy. Do roboty!

Wyciągnąłem w stronę agenta pusty kubek. Dwaj faceci z armii próbowali powstrzymać śmiech, podczas gdy zaczerwieniony typ z CIA poszedł po kawę. Nie spieszyłem się szczególnie z tostem i odzywałem się tylko do wojskowych.

– Czego chcą się panowie dowiedzieć najpierw?

Po śniadaniu, które nie trwało tak długo, jak bym chciał, Skippy

umówiony był z grupą naukowców, na co niechętnie się zgodził, żeby mieć to w końcu za sobą. Po tonie jego głosu wnosiłem, że nie uśmiechało mu się bycie przesłuchiwanym przez odpowiednik bakterii, nawet jeśli niektóre z tych bakterii miały na koncie Nagrodę Nobla.

– To będzie beznadziejne – marudził, gdy ruszyłem do sali konferencyjnej. – Ty chociaż wiesz, że jesteś zbyt głupi, by zrozumieć cokolwiek z tego, jak działa wszechświat, więc nie zadajesz durnych pytań. Te zadufane w sobie małpy będą tylko marnować mój czas. Cholera. Lepiej mieć to już za sobą.

Skippy wyraźnie przebywał zbyt długo w moim towarzystwie.

Zgodziłem się z nim, gdy dotarliśmy do sali konferencyjnej. Roila się od naukowców, ochrony i sprzętu nagrywającego. Ustawili stół otoczony przez mikrofony i kamery. Ostrożnie umieściłem Skippy'ego na blacie i życzyłem mu powodzenia.

Nadszedł czas na moje przesłuchanie. Ruszyłem dalej korytarzem w eskorcie sierżant Kendall. Pomieszczenie było mniejsze, bez wygodnych foteli, a oficerowie armii, lotnictwa, marynarki i agencji CIA byli cholernie poważni. Gość z CIA patrzył na mnie z ukosa. Wciąż był wkurzony za to, co Skippy powiedział przy śniadaniu. Przynajmniej kawa była świeża i gorąca. Gdy tylko brałem łyk, spoglądałem temu facetowi prosto w oczy. Gdyby wzrok mógł zabijać, byłbym martwy. Na szczęście tylko jeden z nas zniszczył całą grupę bojową Kristangów i nie był to on.

Zacząłem opowieść od początku, od dnia, kiedy opuściliśmy Obóz Alfa. Wypytywali mnie o szczegóły, nie tylko co do Skippy'ego. Przekazałem im mnóstwo szokujących informacji o Kristangach, tunelach czasoprzestrzennych, Pradawnych, wszystko, czego dowiedziałem się od gubernator Loghelli. Następnie chcieli poznać sytuację na Paradise, rozmieszczenie naszych sił na planecie, status sił Ruharów, Kristangów i Thuraków. O tym wszystkim wiedziałem niewiele, ale nie powstrzymywało ich to przed zadawaniem w kółko tych samych pytań. Czuję, że sprawiam im zawód, bo powinienem zebrać więcej informacji. Ale jak miałem to zrobić najpierw jako więzień Kristangów, następnie Ruharów, a potem unikając jednych i drugich? Wiedziałem tylko, czego armia oczekuje od pułkownika, i nie spełniałem tych standardów.

No, poza uratowaniem świata.

To mi całkiem wyszło.

*

Podczas przerwy na wyjście do łazienki myłem ręce obok jednego z oficerów wywiadu armii, pułkownika Landry'ego, który na razie

traktował mnie całkiem nieźle. Spojrzałem na jego odbicie w lustrze i odezwałem się:

– Sir, powiedziałem, że dostawaliśmy ciasteczka z wróżbą. Słyszeliśmy o tym, co Kristangowie robią z naszymi gruntami rolnymi i Wielkimi Jeziorami, ale nie dotarły do mnie wszystkie szczegóły. Dlaczego rząd federalny ma siedzibę akurat tutaj, w Colorado Springs?

– Słyszał pan o protestach na całym świecie, kiedy ludzie dowiedzieli się, czego żądają od nas Kristangowie? – Landry czekał, aż skinąłem głową. – Gdy protesty w Waszyngtonie zrobiły się poważne i zaczęły ściągać ludzi z całego kraju, sprowadziliśmy żołnierzy z Dwudziestej Ósmej Dywizji Piechoty, aby zapanować nad tłumem. Mieliśmy nadzieję, że stłumimy protesty na tyle, żeby Kristangowie uznali, że nie muszą sami zareagować. Oznaczało to gaz łzawiący, gumowe kule, armatki wodne, do czego dywizja nie była wyszkolona. Chyba chodziło o to, żeby transportery opancerzone wystraszyły tłum, ale miały odwrotny skutek. Manifestanci zaczęli rzucać butelkami i koktajlami Mołotowa we własnych żołnierzy. Ewakuowaliśmy panią prezydent i Kongres na początek do St. Louis, a następnie tutaj. Doszło do pewnych incydentów i tłum wymknął się całkiem spod kontroli. Kristangowie mocno naciskali, żebyśmy zaczęli strzelać do protestujących. Gdy Dwudziesta Ósma odmówiła użycia ostrej amunicji, Kristangowie rozkazali nam, po prostu rozkazali, wysłać tam lotnictwo i zbombardować tłum. Gdy odmówiliśmy, uderzyli w bazę lotnictwa Shaw z orbity i starli Dziewiątą Armię Lotniczą z powierzchni ziemi. Następnie z użyciem jakiegoś rodzaju lasera zabili połowę ludzi w Waszyngtonie, łącznie z dywizją. Od tamtej pory było już tylko coraz gorzej.

Landry skończył myć ręce i chwycił papierowy ręcznik. Widziałem, że jego ręce nieco się trzęsą. Wziął głęboki oddech, jakby się zamyślił.

– Wciąż wiele musimy się od pana dowiedzieć, ale, jakkolwiek pan to zrobił, uratował nas pan z niezłych tarapatów i armia tego nie zapomni. Zanim pojawił się pan na orbicie i uderzył w Kristangów – wypuścił powietrze – opracowywaliśmy różne scenariusze dla naczelnego dowództwa i nie było żadnych dobrych opcji. Najlepsze, na co mogliśmy liczyć, to przetrwanie w ogóle rasy ludzkiej. Wyciągnął nas pan z sytuacji bez wyjścia. Proszę o tym nie zapominać.

*

Wróciłem do sali przesłuchań i próbowałem odpowiadać na pytania najlepiej jak umialem. Po wielu godzinach zacząłem odpowiadać na te same pytania niemal na autopilocie, aż w końcu facet z CIA mnie zaskoczył.

– Sierżancie, czy możemy odizolować urządzenie?

– Słucham, jakie urządzenie? – Cholera, powinienem był lepiej uważać. Na swoją obronę mam tylko to, że przepytawali mnie od dziewięciu godzin, z przerwami tylko na wyjście do łazienki i drobne przekąski.

– Obcą sztuczną inteligencję.

– Chodzi panu o Skippy’ego? Nie nazywałbym go urządzeniem, nie lubi tego. I co pan rozumie przez „odizolować”? Zignorować go? Jest bardzo namolny.

– Odizolować to znaczy umieścić w wyłożonym ołowiem pomieszczeniu pod górą Cheyenne albo w klatce Faradaya. Odciąć mu dostęp do zewnętrznych systemów elektronicznych – wyjaśnił takim tonem, jakby tłumaczył to dziecku. – Sierżancie, rozumie pan, że ta SI stanowi potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa?

– Proszę posłuchać, nie znacie Skippy’ego tak dobrze, jak ja. Widziałem, jak zakrzywia czasoprzestrzeń i zmienia cel skoku okrętu o pół roku świetlnego. A robi to tylko hobbystycznie. Pewnie moglibyście wrzucić Skippy’ego do wulkanu i nawet by się nie rozgrzał. I nic by to nie zmieniło, jeśli chodzi o jego zdolność do usmażenia całej elektroniki na planecie. Ale by go wkurzyło. Dałbym sobie spokój.

– Musimy rozważyć...

Teraz zaczynał mnie naprawdę wkurzać.

– Nie, jak już powiedziałem. – Powstrzymałem się przed dodaniem „ty idioto”. – Skippy tylko czasowo zaburzył działanie lokalnego tunelu czasoprzestrzennego, który zresetuje się za mniej niż miesiąc. Jeśli na to pozwolimy, przylecą tu wkurwione jaszczury. Skippy nie stanowi zagrożenia dla bezpieczeństwa, za to jest naszą jedyną szansą. Musimy zrobić to, co mu obiecałem, i zamknąć tunel na dobre. Oraz pomóc mu znaleźć ten cały jego Kolektyw.

Facet z CIA zrobił wkurzoną minę.

– To obietnica, do której złożenia nie był pan upoważniony. Teraz, gdy jest pan tutaj...

Upoważniony? Gdzie był ten palant, gdy musiałem wymyślać plan na poczekaniu? Złożenie tej obietnicy uwolniło Ziemię z niewoli jaszczurów! Ludzie z armii i marynarki spoglądali teraz z niechęcią na faceta z CIA i szeptali do siebie, co tylko mnie ośmieliło.

– Jesteśmy tu jedynie dlatego, że potrzebowałem zaopatrzenia dla „Latającego Holendra” i przekonałem Skippy’ego, że ponieśliśmy zbyt wielkie straty, aby kontynuować misję. Pozbył się tutejszych Kristangów, bo stali mu na drodze. Chce pan zająć ich miejsce?

Pułkownik Landry wtrącił się, by uciszyć agenta:

– Sierżancie, rozumiemy sytuację i jest ona omawiana na najwyższym szczeblu. Informacje, które nam pan przekazuje, wpłyną na decyzje. A teraz chciałbym wrócić do czegoś, co powiedziała panu ta gubernator.

Na przyjęciu po pierwszym dniu nużących przesłuchań podawano alkohol, czyli substancję, z którą nie miałem do czynienia, odkąd opuściłem Ziemię. Zamówienie rumu z colą było złym pomysłem. Myślałem, że po długim dniu przesłuchań przyda mi się coś z kofeiną, stąd cola. A rum po prostu brzmiał dobrze. I był dobry. Ale też niebezpieczny. Po jednym pysznym łyku postawiłem szklankę za doniczką i poprosiłem barmana o wodę mineralną z limonką. Sierżant Kendall skinęła głową z aprobatą. W końcu miałem w kieszeni Wielki Czerwony Przycisk. Póki ciążyła na mnie ta odpowiedzialność, przez całą dobę byłem na służbie i nie powinienem pić niczego mocniejszego niż woda.

Ludzie nie wiedzieli, co zrobić ze mną, zwykłym sierżantem, którego nie byłoby tam, gdyby nie to całe uratowanie świata. Nie bardzo wiedzieli, co mi powiedzieć. Ostatecznie spędziłem przyjęcie przy barze, gadając z barmanem, szeregowcem z Teksasu imieniem Matt. Przy jego kowbojskim zaciąganiu i moim akcencie z Maine musieliśmy mówić powoli, żeby rozumieć się nawzajem. Przez to wszystko zatęskniłem za Plackiem, Skim i sierżantem Kochem, w ogóle za swoim starym zespołem ogniowym. Ciekawe, jak sobie radzili jako więźniowie Ruharów?

Rozejrzałem się po pomieszczeniu i zobaczyłem grupę rozmawiających naukowców, co jakiś czas zerkających na mnie. Jeden z nich, wysoki facet z przydługimi brązowymi włosami, w golfie, tweedowej marynarce i czarnych półbutach, dziwnie się uśmiechał. Wyglądał jak Świrnięty Naukowiec Numer Pięć z każdego filmu SF. Facet, który wspominał o swojej Nagrodzie Nobla w pierwszej minucie każdej rozmowy. Był inteligentny i szanowany, i pasował tam dużo bardziej niż ja. Byłem zazdrosny i od razu go zniechęciłem. Aż w końcu podszedł z tym swoim uśmieszkiem do baru.

– Coś panu podać, doktorze Constantine? – spytał Matt.

– Nie, dziękuję – odparł, nie spoglądając nawet na niego. – Chciałem porozmawiać z sierżantem Bishopem.

W moim ograniczonym doświadczeniu, gdy cywil zwraca się do ciebie stopniem, a nie jesteś przynajmniej kapitanem lub wyżej, robi to często, żeby podkreślić twój niski szczebel w hierarchii. Wymówił słowo „sierżant” tak, jakby było czymś, co się zdrapuje z buta.

– Mam nadzieję, że wie pan, jakie miał pan szczęście, że spotkał pan OZSI.

– Co takiego?

– Obiekt o Zaawansowanej Sztucznej Inteligencji. Doradzono nam, abyśmy nie używali słowa „urządzenie”, mówiąc o nim.

– W ogóle nie powinniście nazywać Skippy’ego obiektem. A poza tym,

skoro nie dysponujemy żadną inną sztuczną inteligencją, czy trzeba dodawać „zaawansowanej”?

Constantine spojrział na mnie z uśmiechem, jednocześnie marszcząc brwi.

– Panie sierżancie, nie podoba mi się pańskie nieprofesjonalne zachowanie. Wszedł pan w nieodpowiednie i niebezpieczne interakcje z niezwykle potężną istotą. Niebezpieczne nie tylko dla pana, ale i dla całej ludzkości. Lepiej będzie dla wszystkich, jeśli nie będzie miał pan już kontaktu z OZSI. Powinien pan być zanieść urzą... – zawahał się – OZSI do odpowiednich władz na Paradise, aby interakcjami mogli zająć się stosownie wykwalifikowani ludzie.

Odkaszlnąłem i wziąłem łyk swojej pysznej wody z limonką. To dało mi dość czasu, by powstrzymać się przed uderzeniem tego palanta pięścią w twarz.

– Do odpowiednich władz? Na Paradise? Czyli, jako że najwyraźniej nie jest pan na bieżąco, do naszych rzekomych wrogów, Ruharów. Ludzcy żołnierze zostali wzięci do niewoli. I przez „wykwalifikowanych ludzi” zapewne rozumie pan takich jak pan?

Skinął głową. Teraz ja się uśmiechnąłem.

– Wykwalifikowanych ze względu na wasze doświadczenie z zaawansowanymi sztucznymi inteligencjami zbudowanymi miliony lat temu przez kosmitów, którzy od tamtej pory porzucili fizyczną formę. A, zaraz, to nie może być pan, bo ma pan zerowe doświadczenie z takimi istotami. Kto ma większe? – Poglądziłem się po brodzie, jakbym się zamyślił. – Musi istnieć ktoś, kto ma bliski kontakt z tą zaawansowaną istotą, kto współpracował z nią, by uciec z terytorium wroga, przechwycić nie jeden, ale dwa wrogie okręty i zniszczyć kilkanaście innych, zamknąć lokalny tunel czasoprzestrzenny i pozbawić Kristangów władzy nad Ziemią. Hmm... Kto to może być? Pan? Nie, chyba nie.

– Pańskie ciągle niepoważne zachowanie dowodzi właśnie, dlaczego nie powinien...

Otworzyły się drzwi po drugiej stronie pomieszczenia i w moją stronę ruszyła grupa oficerów ze wszystkich pięciu rodzajów amerykańskich sił zbrojnych. Nie miałem pojęcia, co admirał Straży Przybrzeżnej robił w Colorado Springs. Większość z nich ostatecznie odeszła na bok, aby porozmawiać z facetem, którego rozpoznałem jako szefa personelu Białego Domu, ale dwaj ludzie z lotnictwa zbliżyli się do mnie, ostrożnie pchając wózek z grubą czerwoną poduszką, na której leżał Skippy.

– Sierżancie Bishop... – odezwał się jeden z nich.

– Pułkownik Joe! Jak się masz? – spytał Skippy zmęczonym głosem, chociaż zmęczenie w jego przypadku było niemożliwe.

– Całkiem nieźle, Skippy. Miło cię znów zobaczyć. Jak tam twoje, hm,

przesłuchanie? – Nie kłamałem, naprawdę stęskniłem się za tym dupkiem.

– Tak jak się spodziewałem. Jedno wielkie, epickie, historyczne, galaktyczne gówno. Dzisiaj naprawdę doszliśmy do granicy możliwego poziomu nudy na poziomie kwantowym. Po tym, jak przepętało mnie kilku waszych „noblistów”, zastanawiam się, czy twój gatunek zasłużył na to, by nazwać go bakteriami. Wy, mały, jesteście głupsze, niż myślałem. Ale czy w czymś ci przeszkadzam?

Wskazałem kciukiem na Constantine’a.

– Nie, rozmawiałem tylko z panem Uśmieszkiem McPalantem.

– Panie Bishop, właśnie dowodzi pan mojego... – fuknął Constantine.

– Przepraszam, chciałem powiedzieć z doktorem Uśmieszkiem McPalantem.

– A, tak – roześmiał się Skippy. – Miałem wielką nieprzyjemność rozmawiać dziś z doktorem McPalantem.

Uszy Constantine’a poczerwieniały, nie wiedziałem, czy z wściekłości, czy ze wstydu. Albo może z jednego i drugiego.

– To właśnie to...

– Zamknij się – przerwał mu Skippy. – Nie możesz siedzieć przy stole dla dorosłych i ponownie ze mną rozmawiać do czasu, aż rozwiążesz równanie, które właśnie wysłałem na twój telefon. No, idź już. Dobry chłopiec.

Constantine podejrzliwie wyciągnął telefon, po czym uniósł wysoko brwi, spojrzał na mnie wzrokiem, który mógłby topić lodowce, i odszedł, mrużąc pod nosem z ekscytacją.

– Jakie równanie mu wysłałeś?

Skippy parsknął.

– Cholera wie. Wymyśliłem na poczekaniu jakieś bzdury o superstrunach. Ale dobrze wygląda.

Roześmiałem się.

– Skippy, ty wredny sukinsynu. – Cholera, zobaczyłem nawet lekki uśmiech na twarzy sierżant Kendall. Może jednak miała poczucie humoru.

– Przynajmniej sobie zwali na parę dni.

– Chciałeś chyba powiedzieć, że „się odwali na parę dni”?

– Zależy, jak bardzo się podnieci.

Na to roześmiała się nawet sierżant Kendall.

17. BEZCZYNNOŚĆ PROWADZI DO ZGUBY

Okolo północy w końcu mogłem udać się do prawdziwego łóżka i się wygodnie położyć. Czekałem na to tak bardzo jak na prawdziwe jedzenie. Chciałem tylko pójść spać, ale Skippy zamierzał rozmawiać.

- Skippy, stary, nie dasz mi się zdrzemnąć?
- Joe, czuję się samotny. Masz, powiedziałem to.
- Ciągle z tobą rozmawiam.

– Joe, robię się samotny właśnie wtedy, kiedy z tobą gadam. Mówisz tak powoli i tyle czasu zajmuje ci przejście do rzeczy, że to jak czekanie codziennie na list z jednym słowem. I kolejny dzień czekam na następne słowo. Po czym dostaję list z treścią „hmmm...” i mam ochotę krzyczeć. Cholera! Czuję się, jakbym wyciągał ci każde słowo z gardła jedno po drugim. Mów, do cholery!

Przez chwilę zobaczyłem prawdziwego Skippy’ego i eony bólu, które przeżył. Mój własny system diagnostyczny powiedziałby, że całkiem zwariowałem, gdybym został sam tylko na miesiąc. Nie wyobrażałem sobie, jak on musiał się czuć.

- Musisz więcej rozmawiać z innymi ludźmi.
- Joe, więcej ludzi nie...

– Skippy, na tej planecie są miliardy ludzi i wszyscy myślą, że mają coś ważnego do powiedzenia. Niestety, zapychają Internet blogami, vlogami, czatami, zdjęciami kotów i kłótniami o sport. Słuchaj, nie powinienem ci tego mówić, bo twoje istnienie powinno być tajemnicą, ale jeśli nikomu nie powiesz, że jesteś obcą SI, nikomu nie stanie się krzywda, prawda?

– Miliardy.

– Tak, miliardy. W większości tak samo głupie jak ja, ale być może wśród bakterii znajdziesz nawet jakieś robaki.

– Wątpię. Ale rozważę to. Dziękuję.

Nie mogłem przestać ziewać.

– Idę się zdrzemnąć. Nie pakuj się przez ten czas w kłopoty, dobrze?

*

Sześć porządných godzin nieprzerwanego snu naprawdę poprawiło mi nastrój. Obudziłem się, gdy sierżant w mundurze lotnictwa zapukał do drzwi i przyniósł mi tackę z dzbankiem gorącej kawy i kubkiem.

– Śniadanie za trzydzieści minut. Pysznic jest po lewej stronie korytarza, sir – dodał to ostatnie, chociaż widział, że sam miałem tylko paski sierżanta na swoim świeżym mundurze wiszącym w szafie.

– To naprawdę dobra kawa. – Pierwszy łyk smakował niebiańsko.

– Dobrze spałeś? – spytał Skippy.

– Tak, dzięki. Chrapałem?

– Nie. Przynajmniej nie jakoś bardzo. Cieszę się, że się wyspałeś, bo czeka nas pracowity dzień.

Wydawał się być w radosnym nastroju, jak na osamotnioną przez miliony lat SI.

– Jak ty się miewasz? Też nie słyszałem, żebyś chrapał.

– Dobrze, dziękuję – odpowiedział wesoło. – Piękny dzień, prawda?

– O cholera. – Jeśli Skippy był miły, mogło to oznaczać tylko jedno. Wpakował się w kłopoty. – Co robiłeś w nocy? – spytałem powoli.

– Skorzystałem z twojej rady i porozmawiałem trochę z ludźmi w Internecie.

– Z iloma?

– Jak na razie z miliardem stu ośmioma milionami, zaokrąglając. Obecnie rozmawiam przez chaty, SMS-y i e-maile z jakimiś trzydziestoma dziewięcioma milionami.

– W tym samym czasie?

– Dzięki temu czymś się zajmuję bez obciążania mocy obliczeniowej.

– Dobrze, że się nie nudzisz.

– Bezczywność prowadzi do zguby. Słyszałem to wczoraj od kaznodziei z Idaho. Człowieku, nie uwierzyłybyś, jakie porno trzyma na...

– Nie chcę o tym słyszeć! Cholera, dopiero się obudziłem.

– Może to i lepiej. Twój gatunek naprawdę lubi pornografię. To dość imponujące, jak na istoty z tak niewielką liczbą płci.

– Ju-huuu! Jesteśmy na pierwszym miejscu! – Pomachałem ręką, w drugiej trzymając kawę. – Tak! Punkt dla ludzi!

– Fizyczne różnice między waszymi samcami i samicami są tak niewielkie, że nawet nie...

– Och, ale te różnice przesadzają o wszystkim. Uwierz mi.

– Cóż, uwierzę na słowo. – Wyobraziłem sobie, że przewraca oczami.

– No więc gadałeś z ludźmi w sieci. I co?

– Większość z nich uważa mnie za dupka lub odpowiednik w swoim języku.

– Jestem w ciężkim szoku.

– Nie bądź taki.

– Przepraszam. Miło ci się rozmawia?

– Powiedzmy to w ten sposób: przewinałeś kiedyś na dół strony, żeby przeczytać komentarze?

– Oj, Skippy, nigdy nie czytaj komentarzy, wszyscy to wiedzą! W większości piszą je faceci siedzący w samych gaciach, bo nie mają co robić.

– Zgodzę się z tobą poza kwestią bielizny. Uruchomiłem niektóre z ich kamer bez ich wiedzy.

– Uch.

– Owszem, uch. Myliłem się. Nie wszyscy jesteście bezwłosymi małpami. Jednemu facetowi rósł dywan na plecach. To kilka petabajtów pamięci, które chciałbym usunąć. Hej, co do petabajtów i innych wielkich liczb...

– Co z nimi?

– No cóż, to taka zabawna historia...

Oj.

– Zabawna jak „ha, ha” czy zabawna jak „trafię do więzienia federalnego”?

– No cóż, tutejsze łącze internetowe jest powolne, nawet przy maksymalnej kompresji wiadomości, więc połączyłem się z miejscem, które ma łącza do wszystkiego.

– Google? – Odetchnąłem z ulgą.

– Nie, nazywa się Fort Meade w Maryland. Wasza Agencja Bezpieczeństwa Narodowego. Jakiś facet wyrywa tam sobie od północy włosy z głowy, próbując dojść, kto włamał się do ich systemu.

– Skippy! – Zmroziło mi krew w żyłach. Zrobiło mi się niedobrze. – Już po mnie – stwierdziłem.

Żałowałem, że wypilem kawę.

– Nie, wszystko dobrze. Myślą, że jestem piętnastolatkiem z Fresno o imieniu Billy. Pozwoliłem im znaleźć profil na Facebooku z fałszywą rodziną i antydatowanymi plikami. Do Starbucks, z którego myślą, że się loguję, właśnie jadą agenci FBI. Rozczarują się. Hej, właśnie oglądam obraz z kamery w kawiarni, chcesz zobaczyć?

– Nie! Skippy, nie możesz tego robić.

– Jak widać, mogę.

– To znaczy nie powinienes.

– Widzisz? Ludzkie języki są takie nieprecyzyjne.

– To nie jest zabawne. – Uchyliłem drzwi, pewien, że ciężko uzbrojeni żandarmi zaraz mnie aresztują. – Dane NSA są ściśle tajne!

– Nie dla mnie. Nie mam pojęcia, dlaczego te bzdury są dla nich takie ważne.

– Nie powiedziałeś nikomu o niczym tajnym, prawda?

– Nie, daj spokój, Joe. Wasze rządowe sekrety nie są warte mojego zachodu. Ale chcesz wiedzieć, jak NASA sfałszowała lądowanie na Księżycu?

– Co?

– To był żart.

– Nie żartuj w ten sposób.

– Mogę ci pokazać zbliżenia miejsca lądowania Apollo 11 z sensorów „Latającego Holendra”. Widziałem je wczoraj.

Ciekawość przewyciężyła mój strach.

– Jak wygląda?

– Twój gatunek ma więcej odwagi niż rozumu. Dla mnie podróże w kosmosie to oczywistość, ale wasi astronauta latali tam w puszkach po zupie. Nawet ja jestem pod wrażeniem. Na lądownikach nadal widać etykiety z obrazkami pomidorów obok logo NASA. Te mały naprawdę miały jaja, że wylądowały na waszym księżycu przy tak prymitywnej technologii.

– Świetnie, dzięki. Ale możesz zostawić NSA w spokoju? Dla mnie?

– Dlaczego? Świetnie się bawię. Nie bawiłem się tak od milionów lat!

– Są inne sposoby na zabawę, Skippy. Takie, przez które nie pójde siedzieć.

– Wydostałeś się już z więzienia. Dwukrotnie.

– Możesz zachować powagę chociaż przez chwilę? Jestem żołnierzem Armii USA. Nie mogę być wplątany we włamanie do infrastruktury bezpieczeństwa Ameryki.

– Ale rozrabianie to taka fajna zabawa – mruknął Skippy.

– Chcesz narozrabiać? Idź do Internetu i rozsiej plotkę, że Justin Bieber zagra Dartha Vadera w kolejnej części „Gwiezdných wojen”.

– Oooo, dobre! Wiedziałem, że nie bez powodu się z tobą zadaję. Dobrze, umieszczę w sieci czternastominutowy film wyglądający jak wyciek nagrania...

Klepnąłem się w czoło.

– Boże, co ja zrobiłem?

– Poza tym puściłem do sieci badanie, według którego Vegemite działa lepiej od Viagry...

– Przestań! Wezmę prysznic i spróbuj nie wypuścić przez ten czas żadnych atomówek.

– Wiesz, że nikogo bym nie skrzywdził, pułkowniku Joe. Hmm, a może...

Zamknąłem drzwi i ruszyłem do łazienki, zastanawiając się, czy miałem czas na zakup akcji firmy produkującej Vegemite.

*

Nigdy dotąd w życiu nie byłem tak zdenerwowany. Gdy spotkałem prezydent po tym, jak zleciałem z orbity w thurańskim lądowniku z gadającą puszką piwa, wszystko wydawało się tak nierzeczywiste, że zapomniałem się denerwować. Teraz, gdy w świeżo wyprasowanym mundurze siedziałem z szefami sztabów, dyrektorami CIA i NSA, doradcą naukowym i szefem personelu prezydenta, miałem sucho w ustach i niemal zsikałem się w spodnie. Pomieszczenie przypominało nieco Gabinet Owalny, z wielkim biurkiem, dwoma rzędami kanap i stoliczkiem. Posadzili mnie na końcu jednej z kanap, blisko fotela, w którym miała zasiąść pani prezydent. Szef sztabu armii, którego

wcześniej widziałem tylko na zdjęciach, usiadł obok mnie. Czekając na prezydenta, ludzie pili kawę z małych porcelanowych filiżanek na spodkach, zapewne żeby nie zostawiały śladów. Na filiżankach nie było pieczęci prezydenckiej, pewnie tamte zostały w Waszyngtonie.

Gdy usiadłem i miałem okazję się rozejrzeć, zauważyłem, że pomieszczenie nie wygląda tak majestatycznie jak Gabinet Ovalny. W zasadzie to meble wyglądały jak z lobby hotelowego. A może nawet motelowego, patrząc na to, że ramię kanapy było dość wytarte i była na nim tajemnicza plama. Szef sztabu armii podniósł filiżankę ręką tak dużą, że zakrywała ją całą. Próbowałem zrobić to samo, ale ręka tak mi się trzęsła, że odłożyłem ją ostrożnie, jakbym rozbrajał głowicę atomową. Szef sztabu, generał Brenner, powiedział cicho z politowaniem:

– Lepiej zostaw tę kawę.

Musiałem dwa razy przełknąć ślinę, żeby móc odpowiedzieć:

– Sir, brałem udział w niejednej walce i tak się nie denerwowałem.

Generał, który sam walczył w niejednej bitwie, skinął głową.

– Wstań, gdy wejdzie prezydent, i nie przewróć stoliczka. Odzywaj się pytany i mów bezpośrednio. Nie mamy czasu na owijanie w bawełnę.

*

Drzwi otworzyły się i weszła dwójka agentów Secret Service, a za nimi prezydent. Wyglądała, jakby się nie wyspała tej nocy.

Najpierw odezwał się dyrektor bezpieczeństwa narodowego:

– Pani prezydent, mam informacje o wczorajszym włamaniu do sieci NSA.

Cała krew odeszła mi z głowy. Miałem nadzieję, że nikt na mnie nie patrzy.

Mówił dalej:

– Udało nam się opanować sytuację i obecnie oceniamy szkody. Osoba, którą podejrzewaliśmy, okazała się fałszywym tropem. Atak był bardzo wyrafinowany, prawdopodobnie ze strony Kristangów...

– Kristangów, tych idiotów? Ha, ha, skądże! To byłem ja – odezwał się przytłumiony głos z mojego zFona.

Teraz wszyscy spojrzeli na mnie.

– Nie, nie ja. – Wyciągnąłem zFona z kieszeni i położyłem go na stoliku.

– Tak, to ja. Skippy Wspaniały. Hej, czemu mnie nie zaproszono na imprezę? Wygląda na to, że dobrze się bawicie.

– Czy mam rozumieć, że istota zwana Skippym – dyrektor bezpieczeństwa narodowego spojrział na mnie nieprzyjaznym wzrokiem – włamała się wczoraj do NSA i przetrząsnęła nasze

najtajniejsze dane?

– Przetrzęsła? Wszystko zostawiłem tak, jak zastałem. Jeśli nie chcieliście, żeby ktoś czytał wasze pliki, powinniście je zaszyfrować – mruknął Skippy.

– Są zaszyfrowane!

– Naprawdę? Oj, myślałem, że tylko kiepsko zindeksowane. Hmm... to było szyfrowanie? Żartujecie sobie ze mnie, co? To dobre!

– Jezu Chryste! – wysapał doradca naukowy prezydent. – To najwyższy możliwy poziom szyfrowania! Skąd wzięłeś klucze?

– Klucze? – spytał niewinnie Skippy.

Postanowiłem zakończyć tę zabawę.

– Sir, na naszym niskim poziomie technologicznym Skippy nawet nie musi rozszyfrowywać plików, po prostu dochodzi do końca i czyta zawartość. To ma coś wspólnego z kotem Schrödera? – Uniosłem dłonie.

– Kotem Schrödingera. Tak czy siak, co tam słychać, ludziska? – zawołał Skippy.

O dziwo, prezydent się uśmiechnęła.

– Panie Skippy, jako że najwyraźniej nie jesteśmy w stanie wykluczyć pana ze spotkania, może dołączy pan do nas?

– Nie, jest dobrze. Wezmę udział zdalnie. Mogę w ten sposób leżeć sobie na kanapie w bamboszach i bieliźnie i udawać, że słucham. Poza tym oglądam „Koło Fortuny” i zapewne wszystkie inne programy telewizyjne, które są w tej chwili nadawane na planecie.

Znów uniosłem ręce.

– Widziałem to – powiedział Skippy.

– Jak? – jęknął doradca naukowy.

– Przez kamerę na telefonie Joego. Poza tym cząsteczki kurzu w powietrzu zawierają jony, które... hmm, może lepiej nie będę mówił o tym małpom. To dość skomplikowane.

– Małpom? Co... – zaczął szef sztabu lotnictwa.

– Dobrze więc – przerwała mu prezydent. – Panie Skippy, monitorujemy bazy Kristangów na Ziemi. Co może nam pan powiedzieć o stanie ich okrętu na orbicie?

– Na pokładzie transportowca wciąż znajduje się dwóch żywych Kristangów. Dwaj pozostali początkowo przeżyli, bo zamknęli się manualnie w szczelnych pomieszczeniach. Ale skończył im się tlen, więc już nie żyją. Pozostali mieli już na sobie skafandry i przygotowywali się do wyjścia, gdy ich kumpli wysała na zewnątrz. Dzięki mnie. Tej dwójce udało się uszczelnić część pomieszczeń, przywrócić do nich tlen i próbują dostać się do magazynu broni biologicznej, żeby wystrzelić ją w waszą stronę.

– Broni biologicznej? – zawołał szef sztabu marynarki. – Jakiej broni biologicznej?

– To nic takiego. Aerosol ze zmodyfikowanymi wirusami, taka zaprojektowana genetycznie broń oparta na waszym przeziębieniu, grypie, wirusach Ebola i Marburg. Nie są jeszcze bardzo wydajne, bo Kristangowie nie mieli zbyt wiele czasu na badanie waszej biologii. Testy w Obozie Alfa wykazały śmiertelność w pierwszym tygodniu tylko wśród dwunastu procent populacji, ale w ciągu miesiąca wynosi ona sześćdziesiąt dwa procent. Nosiciela zabija atak ze strony kilku wirusów jednocześnie – oznajmił ze spokojem Skippy.

W pomieszczeniu rozpoczęła się ożywiona dyskusja. Tylko ja poszedłem za radą szefa sztabu armii i trzymałem gębę na kłódkę. Pani prezydent uniosła ręce, aby wszystkich uciszyć.

– Panie Skippy, proszę powiedzieć...

– Wiem, o co pani teraz pyta. Testów w Obozie Alfa dokonano na ludzkich osobnikach, schwytanych na Ziemi i przemyconych tam, a nie na oficjalnie przydzielonym personelu wojskowym. Żołnierze są zwykle młodszy, płci męskiej i nie stanowią reprezentacyjnej próbki badawczej. Kristangowie porwali cały przekrój grup wiekowych, płciowych, etnicznych na potrzeby testów.

– To straszne – powiedziała prezydent i nikt inny się już nie odzywał.

– Broń biologiczna na pokładzie transportowca na orbicie zawiera dość wirusów, aby zabić kilka milionów ludzi w ramach pierwszej fali. Mają jej ograniczone ilości, ale ich rakiety wycelowane są w duże centra populacji, takie jak São Paulo, Szanghaj, Tokio, Mumbaj, Nowy Jork i tak dalej. Wykorzystanie broni biologicznej jest sprzeczne z Zasadami, ale Kristangowie uznali, że Ziemia znajduje się na tyle daleko od cywilizacji, że jest to warte ryzyka, gdyby byli zdesperowani. Jak teraz.

– Jak możemy powstrzymać ich przed wystrzeleniem tej broni? Nadal dysponujemy bronią atomową – oznajmił dyrektor bezpieczeństwa narodowego. – Okręt znajduje się jednak na zbyt wysokiej orbicie, aby...

– Och, nie ma potrzeby – odpowiedział radośnie Skippy. – Wysterylizowałem całą broń biologiczną na pokładzie okrętu i dezaktywowałem ich rakiety. Hm, pewnie powinienem był to od razu powiedzieć, co? – Uderzyłem się dłonią w czoło, gdy to powiedział. – Próba ich wystrzelenia zajmie tych dwóch Kristangów na jakiś czas i póki próbują eksterminować waszą populację, nie sprawią prawdziwych kłopotów, więc im nie przeszkadzam. W końcu trzeba pewnie będzie wysłać tam jakiś oddział komandosów, żeby ich zabić, bo mogą się znudzić i przeciążyć reaktor fuzyjny. Co przypomina mi właśnie... A, właśnie wyłączyłem ich reaktor. Ten problem mamy z głowy.

Wszyscy w pomieszczeniu wyraźnie pobledli. Schowałem twarz w dłoniach.

– Skippy – spytałem – jak możesz być tak niesamowicie inteligentny, a

jednocześnie tak roztargniony?

– Widzisz? – odpowiedział niewinnym tonem Skippy. – O takich rzeczach właśnie powinieneś mi przypominać, pułkowniku Joe. Nie mogę sam myśleć o wszystkim.

– Skafandry – wymamrotałem.

– Oj, zamknij się, małpiszonie.

– Skafandry? – spytała pani prezydent.

– To długa historia – odparł Skippy.

Prezydent spojrzała na dyrektora bezpieczeństwa narodowego.

– Hmm... Z waszą dwójką wszystko wydaje się długą historią.

– Skippy – wciąż czułem się jak idiota, mówiąc tak do niego przy przywódcach kraju – czy możemy zdalnie pokierować robotami z „Holendra” tak, aby zajęły się tą dwójką Kristangów? – Nie wyobrażałem sobie oddziału komandosów w nieporęcznych skafandrach NASA atakujących parę jaszczurzych wojowników na pokładzie ich okrętu.

– Jasne. Jesteś dziś pełen świetnych pomysłów, pułkowniku Joe.

Szef sztabu armii odwrócił się do mnie.

– Będziemy musieli wysłać oddział rangerów na „Holendra”. Chodzi o zdalne sterowanie robotami bojowymi, tak?

– Możemy zapewnić ludzi z SEALs – zaproponował szef sztabu marynarki.

– Panowie, doceniam to, ale myślę, że najlepiej będzie wysłać tam naszych piratów, to znaczy się ludzi z załogi „Holendra”. Mamy wprawę w sterowaniu tymi robotami. Bardziej przydaje się do tego doświadczenie z grami komputerowymi niż to, jakim dysponują rangerzy czy SEALs.

Byłem pewien, że gdy „Holender” w końcu opuści orbitę, na pokładzie znajdą się ludzie z Army Rangers, Navy SEALs, Marine Force Recon i Air Force Special Tactics. Pewnie też goście od ratowania zakładników z FBI, bo wszyscy chcieli się załapać na akcję. A to tylko sami Amerykanie. Stwierdziłem, że zrobi się tam tłoczno. Trzeba będzie spakować sporo odświeżaczy powietrza.

Musiałem poprosić Skippy’ego, żeby to zanotował.

*

Spotkanie się przeciągało. Każdy z doradców pani prezydent składał raporty ze swojej działości, aż w końcu doszliśmy do kwestii, nad którą zastanawiali się wszyscy – do Kristangów na Ziemi. Przetrywali dlatego, że znajdowali się w bunkrach, których nie naruszyła broń wystrzelona przez Skippy’ego. Mogły dotrzeć do nich tylko ziemskie atomówki albo pociski z działa elektromagnetycznego „Holendra”. Pojedyncza taktyczna bomba atomowa nie wystarczyłaby, aby sięgnąć dość głęboko.

Musielibyśmy wydrążyć sporą dziurę, wrzucić atomówkę i zdetonować ją tuż nad bunkrem jaszczurów. Mieliśmy sporo sprzętu wiertniczego, ale zorganizowanie tego wszystkiego zajęłoby miesiące. Skippy ostrzegł jednak, że użycie broni atomowej na zdatnym do zamieszkania świecie, w tym na Ziemi, było sprzeczne z Zasadami, którym podlegała teraz ludzkość, jako że wzięła udział w wojnie. Gdyby któraś ze stron wojny dotarła znów na Ziemię i odkryła, że ludzie użyli broni atomowej przeciwko Kristangom, konsekwencje okazałyby się poważne. A mieliśmy już dość kłopotów. Oznaczało to, że zostało nam jedynie działo elektromagnetyczne „Holendra”. Stanowiło to problem w przypadku dwóch bunkrów, jako że jeden znajdował się blisko Lyonu we Francji, a drugi tuż na zachód od Hangzhou w Chinach. Atomówek tak blisko miast też zresztą nie można by użyć. Trzecia, główna baza znajdowała się pod górą na północny zachód od Durango w stanie Kolorado.

Pani prezydent wyraźnie nie spodobał się pomysł, by Francuzi i Chińczycy musieli ewakuować swoje miasta, żeby Skippy mógł ostrzelać bunkry z dział elektromagnetycznego.

– Panie Skippy, czy istnieje szansa, aby Kristangowie po jakimś czasie się poddali? Muszą wiedzieć, że ich sytuacja jest beznadziejna.

– Nie wiedzą o tym – wyjaśnił cierpliwie Skippy. – Spaliłem większość ich elektroniki i odciąłem od komunikacji zewnętrznej. Wiedzą tylko, że na orbitę skoczył lotniskowiec gwiazdny Thurarów, ich fregata odskoczyła i zaatakowały ich własne satelity i rakiety. Wydaje im się, że chodzi o dysputę handlową między klanem Białego Wiatru a Thuranami, która może polegać choćby na tym, że Thuranie wkurzyli się o zaległe płatności. Zdarzało się to już wcześniej. Nie na taką skalę, ale nie byłoby to zupełnym szokiem dla Kristangów. Jaszczury kryjące się w bunkrach zapewne uznały, że zostaną tam, aż Thuranie stwierdzą, że postawili sprawę jasno, albo znudzą się i odlecą. Jaszczury myślą, że wyjdą z nor i wrócą do panoszenia się na waszej planecie.

– Cholera, niedobrze – warknął generał Brenner. – Możemy z nimi jakoś porozmawiać, pokazać im, że nie mają szans?

– Jasne, jeśli chcecie. Ale to nic nie da, bo Kristangowie nie poddadzą się prymitywnemu gatunkowi jak ludzie. Byłoby to dla nich niewyobrażalne upokorzenie. Mogliby się poddać tylko w nadziei, że wrócą po nich okręty Kristangów, ale wtedy Kristangowie, którzy poddali się ludziom, zostaną straceni, a ich rodziny na ojczystej planecie surowo ukarane.

– Dobrze więc – powiedział Brenner. – Czego wymagać będzie użycie tych dział elektromagnetycznych?

– Dział elektromagnetycznego na „Latającym Holendrze” nie zaprojektowano z myślą o bombardowaniu orbitalnym, więc zwiększenie jego mocy na tyle, żeby osiągnąć schowanych głęboko

Kristangów, wymagałoby maksymalnego ładowania, co oznacza czterdzieści minut między salwami. Bunkry pod Lyonem i Hangzhou nie znajdują się tak głęboko, więc dwa uderzenia w każdy powinny wystarczyć, aby zabić wszystkich Kristangów. Durango wymaga trzech pocisków. Zawalą górę na bunkier i permanentnie zamkną jaszczury. Dotarcie do samego bunkra wymagałoby sześciu wystrzałów, co zniszczyłoby większość góry, czego chyba nie chcecie i co nie jest konieczne. Poza tym zbyt wiele hiperszybkich uderzeń uniosłoby znaczne ilości pyłu do atmosfery i tymczasowo zmieniło klimat, jak erupcja wulkanu. Każde trafienie to siedemdziesiąt kiloton mocy, głównie skierowanej w dół, ale nastąpi też znaczny rozprysk odłamków. Nie wpłynie na Lyon w takim stopniu, co na Hangzhou.

Prezydent zacisnęła usta.

– Muszę się nad tym zastanowić. – Odwróciła się do dyrektora FEMA². – W każdym razie należy rozpocząć ewakuację wszystkich w odległości stu kilometrów...

Skippy odkaslnął przekonująco.

– Lepiej dwustu. A trochę pyłu i odłamków poleci też z wiatrem nieco dalej.

– W odległości dwustu kilometrów od Durango – dokończyła prezydent.

– Tak jest, ma'am. – Dyrektor FEMA skinął głową. – Większość ludzi i tak opuściła już te tereny, gdy wprowadziły się jaszczury.

Facet wyglądał na całkowicie wyczerpanego. Zapewne nie wyspał się szczególnie w nocy. Albo przez wiele nocy od miesięcy. Nawet prezydent miała podkrążone oczy i wyglądała na dużo starszą niż przed Dniem Kolumba. Na Paradise warunki uległy pogorszeniu, ale na Ziemi było jeszcze gorzej.

Teraz miałem poczucie winy przez parę przespanych spokojnie godzin, podczas gdy wszyscy inni pracowali.

18. TYKANIE ZEGARA

– Czy mogę coś dla pana zrobić, sierżancie Bishop? – spytała następnego popołudnia Kendall.

– Hmm... Nic takiego. Służba to dla mnie zaszczyt, pani sierżant.

Przechyliła głowę. Wyraźnie tego nie kupowała.

– Wszyscy na swój sposób służymy. Pan ocalił świat. Rozmawiałam wczoraj z rodzicami przez telefon i mój ojciec się rozplakał. Czuł taką ulgę, że nie rządzą już nami jaszczury. Mój ojciec to najtwardszy facet, jakiego znam. Był rangerem w armii, stracił nogę poniżej kolana w Afganistanie. Mówili, że już nie będzie mógł chodzić, ale osiemnaście miesięcy później i tak zakwalifikował się do służby w piechocie. Odsłużył swoje z połową nogi. Najtwardszy facet, jakiego znam, rozplakał się, rozmawiając ze mną. Powiedział, że myślał, że ludzie na zawsze pozostaną już niewolnikami, o ile w ogóle przetrwamy. Teraz znów mamy nadzieję. I to nie dzięki czemuś, co zdziałaliśmy na planecie, tylko dlatego, że pan pojawił się na orbicie i spalił tych gadzich skurwysynów. A więc – wzięła głęboki oddech i spojrzała na mnie spode łba – sierżancie, czy mogę coś dla pana zrobić?

Rozumiałem ją. Nie chodziło o mnie. Przypomniało mi się coś, co usłyszałem od gościa, który dostał Medal Honoru: noszenie go to nie coś, co robisz dla siebie. Ludzie wtedy zachowują się nieco dziwnie, ty czujesz się niekomfortowo, między wami wyrasta bariera.

I nie chodzi tylko o Medal Honoru, ale o każde odznaczenie za waleczność. Nie nosi się go dla siebie. Nosi się go dla tych, którzy nie wrócili. Dla swojej jednostki, swojej armii, swojego kraju. Nie chodzi o ciebie, tylko o ludzi, którzy przyznają ci ten medal. O ich potrzebę wyrażenia wdzięczności za twoje działania w jakiś namacalny sposób. Sierżant sztabowa Kendall chciała czuć, że w jakiś sposób zrobiła coś dla mnie, odwdzięczyła się za to, co zrobiłem.

Nie chodziło o mnie, bez względu na to, jak niekomfortowo czułem się ze skupioną na mnie uwagą i ceremoniałem. Nie chciałem medalu i nie chciałem...

W końcu w mojej głowie pojawił się pomysł, jakbym dostał patelnię w głowę.

– Chcę cheeseburgera – oznajmiłem. – Nie mogę nawet wyrazić, jak bardzo mam ochotę na cheeseburgera. Nie zjadłem żadnego od czasu, gdy opuściłem Ziemię w windzie kosmicznej. Przez cały lot, pobyt w Obozie Alfa, na Paradise, ani jednego cheeseburgera. Mówię o prawdziwym amerykańskim cheeseburgerze, nie o jakimś tanim fast foodzie. Cheeseburgerze z grilla na podwórku czwartego lipca. – Zdałem sobie sprawę, że się ślinię, ale nie mogłem się powstrzymać. – Kotlet

wołowy domowej roboty, nie za duży, nie za gruby, nie za mocno zbity. Grillowany, aż będzie średnio wypieczony, następnie kładzie się plasterki cheddara na gorze i ser nieco się topi, ale nie całkiem. Bułka nie musi być za gruba, musi trzymać wszystko w kupie, ale nie jest główną częścią dania. Troszkę ją podgrzać, ale nie przypiec, żeby była lekko chrupiąca. I grillowana cebulka. I ketchup. To wszystko, czego potrzebuje dobry cheeseburger.

Kendall spojrzała na mnie trudnym do zinterpretowania wzrokiem. Może nieco za bardzo poniósł mnie entuzjazm. W końcu skinęła głową, uśmiechnęła się i przysięgam, że lekko ugięły jej się kolana.

– Och, wiem dokładnie, o czym pan mówi. Uwielbiam dobrego cheeseburgera. Dzisiaj pominiemy kolację w stołówce, zapraszam do naszych koszar, za domem komendanta. Mamy grill i zrobimy panu prawdziwego cheeseburgera. – Jeden z towarzyszących jej strażników odchrząknął, a Kendall spojrzała na niego z ukosa. – Tak, niełatwo obecnie o prawdziwą wołowinę, ale dla pana, sierżancie, lotnictwo USA zrobi wyjątek.

Kendall dotrzymała słowa, zaprowadziła mnie do budynku, gdzie ją zakwaterowano i na tyłach rozstawiono grill. Na wysokości Colorado Springs było nieco chłodno, ale oznaczało to tylko, że założyliśmy kurtki. Nikt z nas nie zamierzał przegapić tej okazji. Trzymając cheeseburgera w obu dłoniach, zrobiłem głęboki wdech. Był niemal idealny. Gdyby zrobił go mój tata w ogrodzie domu moich rodziców, byłby w stu procentach perfekcyjny, ale tylko tego mu brakowało.

– Och... Dobry jak cholera. Nie macie pojęcia, jak bardzo o tym marzyłem.

Kendall podniosła własnego cheeseburgera tak, jakby mi salutowała.

– My też dawno nie mieliśmy okazji, więc też dziękujemy.

Jej ludzie pokiwali głowami, jedząc z entuzjazmem.

Byłem w połowie, kiedy zmarszczyłem czoło.

– Coś jest nie tak? – spytała Kendall.

– Tak tylko pomyślałem, że ludzie z Sił Ekspedycyjnych na Paradise mogą już nigdy nie zjeść cheeseburgerów. Powinno im wystarczyć jedzenia, ale będą musieli przejść na wegetarianizm. Nawet zanim planetę przejęli Ruharowie, wstrzymano dostawy z Ziemi.

Oznaczało to też brak leków. Miałem nadzieję, że Ruharowie chętniej dzielą się zaawansowaną technologią medyczną niż Kristangowie.

– Tak – skinęła głową Kendall. – Jaszczury nic nam nie mówiły, ale winda kosmiczna przestała działać kilka miesięcy po waszym odlocie. Było oczywiste, że nic wam nie wysyłają. Do czasu pańskiego powrotu nie mieliśmy pojęcia, co tam się dzieje. Pierdolone jaszczury nic nam nie powiedziały. Mój brat służy w SEONZ, jest w Trzeciej Dywizji Piechoty. Myśli pan, że wszystko będzie z nimi dobrze?

Pomyślałem o burmistrzynie i jej obietnicy, że zatroszczy się o ludzi na Paradise.

– Nie wiem, czy wszystko, ale myślę, że jakoś sobie poradzą pod rządami chomików. Lepiej, żeby pani brat przyzwyczał się do bycia rolnikiem. Hej. – Uniosłem pozostałą połowę cheeseburgera. – Za SEONZ. Jem to za nich.

– Hooah! – krzyknęli wszyscy i w ciszy cieszyliśmy się zarełkiem.

– Cholera, to było dobre – powiedziała Kendall. – Jeszcze jednego? – Spojrzała na grilla.

– O tak. – Uśmiechnąłem się. Uratowanie świata ma swoje zalety.

*

– Wstawaj, śpiochu! – zawołał Skippy, budząc mnie z mocnego snu kolejnego ranka.

– Uch, która godzina? – jęknąłem.

– Piętnaście minut przed godziną, o której zamierza obudzić cię sierżant Kendall.

– W takim razie mogę pospać jeszcze dziesięć. – Nakryłem głowę poduszką.

– Nie ma mowy, Joe. To nasza chwila prywatności. Chcesz się przytulić?

– Nie, nawet gdybyś był prawdziwą puszką piwa.

– Ranisz mnie. Chcesz wiedzieć, co robiłem w nocy?

O cholera. Od razu usiadłem i rzuciłem poduszkę na drugą stronę pokoju.

– Coś ty, kurwa, znowu nawyprawiał, Skippy? Znudziłeś się i włamałeś do plików innych tajnych agencji?

– Co? Nie, to zrobiłem wczoraj, kiedy czytałem dane NSA. Nie martw się, żaden inny rząd na waszej planecie nie posiada tajemnic wartych ukrywania.

– Myślałem, że byłeś zajęty rozmawianiem ze wszystkimi ludźmi.

– Tak, dziękuję za to. Nadal to robię i większość z nich nadal uważa, że jestem dupkiem.

– Kto by pomyślał. Czy teraz masz wystarczająco dużą próbkę opinii, by stwierdzić, że faktycznie jesteś dupkiem?

– Nadal czekam na ostateczny wyrok. A zważywszy na to, że sąd składa się z małp, zamierzam go zignorować. W każdym razie, chociaż rozmowa z kilkoma miliardami małp jest w pewnym sensie fascynująca, znowu się znudziłem i zrobiłem coś pożytecznego. Skończyłem pobierać wszystkie dane...

– Jak to wszystkie dane?

– Wszystkie w dostępnych bazach danych na Ziemi. To tylko kilka

eksabajtów, mieszczą mi się w jednym palcu. Mówiąc w przenośni.

– O cholera. – Nie wiedziałem, ile to eksabajt, ale brzmiało imponująco.

– Tak. I zrobiłem coś użytecznego, po tym jak znudziło mnie poprawianie niebywałych błędów logicznych w waszych tak zwanych czasopismach naukowych. Zacząłem rozwiązywać zagadki kryminalne.

– Zostałeś Sherlockiem Holmesem?

– Jako że Holmes był znacznie inteligentniejszy od przeciętnego człowieka, czemu nie? Porównałem odciski palców pozostawione na miejscach zbrodni z odciskami palców pozostawianymi przez użytkowników na urządzeniach mobilnych albo w innych miejscach w zasięgu kamer. Porównałem też DNA w policyjnych bazach. Wasi stróże prawa szokująco kiepsko dzielą się danymi. W niektórych przypadkach po prostu przeczytałem akta spraw i ustaliłem, kto jest sprawcą z pomocą wszystkich dostępnych informacji, czyli obecnie wszystkich przechowywanych w formie elektronicznej. Gdyby wasza policja przestała się lenić i zaczęła przetwarzać już pobrane DNA, które leży w magazynach, mógłbym rozwiązać dużo więcej zbrodni.

Czytałem gdzieś, że mnóstwo próbek DNA, w tym pobranych od ofiar gwałtów, nie było testowanych.

– To kwestia zasobów, Skippy. Policja...

– Nie, to kwestia priorytetów. Wasz gatunek nie uważa, że sprawiedliwość dla ofiar zbrodni jest dostatecznie ważna, by przeznaczyć fundusze na laboratoria medycyny sądowej. Poza tym mnóstwo policjantów na całym świecie jest skorumpowanych. Wy, ludzie, nie zaimponowaliście mi w tej kwestii.

– Tu nie będę się z tobą spierać, Skippy.

– Hmm. – Wydawał się rozczarowany, że straci okazję do kłótni. – Oto problem. Rozwiązałem ponad sześćdziesiąt tysięcy przestępstw i teraz nie wiem, co zrobić z tymi danymi bez publicznego ujawnienia się.

– Ach. Hmm... Może wyślij to wszystko na przykład do FBI? Musi tam być ktoś, kto ma dostęp do informacji o tobie. – Nie wiedziałem, kto dokładnie wie o czym. Sierżant sztabowa Kendall i jej ludzie towarzyszyli mi wszędzie i oczywiście wiedzieli o Skippym, ale nie miałem pojęcia, ile wiedzą i ile powinni wiedzieć.

– Mnóstwo zaległych nierozwiązanych spraw w FBI to część problemu. I nie rozwiązuje to kwestii innych krajów.

W tym wypadku nie miałem pojęcia, co robić. Nie posiadałem doświadczenia w zwalczaniu przestępczości. Ani w bezpieczeństwie danych.

– Skippy, porozmawiam z kimś o tym. Świetnie, że używasz swoich, hm, zasobów, czy też talentów, by nam pomóc. Dzięki tobie sprawiedliwości stanie się zadość.

– I co ważniejsze, pozbędziecie się wielu przestępców z ulic. Zidentyfikowałem mnóstwo recydywistów, których nigdy nie złapano.

– Teraz w końcu ich złapią. Skoro zebrałeś wszystkie dane na planecie i rozwiązałeś tysiące spraw kryminalnych, czym teraz się zajmujesz? Rozmawianie z miliardami ludzi nie wystarczy, prawda?

– Zdecydowanie nie. Ale to całkiem interesujące i dzięki temu nie czuję się tak samotny. Dziękuję, to był dobry pomysł.

– Nie jesteś samotny, ale reszta ciebie jest znudzona?

– Nie, reszta mnie jest uśpiona. To, o czym myślisz jako o Skippym, to tylko drobna część mnie, którą stworzyłem na potrzeby naszych interakcji. Tak udało mi się samotnie przetrwać i nie oszaleć. Stworzyłem podumysł, który co jakiś czas sprawdzał, czy coś się zmieniło, a reszta w zasadzie spała przez bardzo długi czas. Podekscytowałem się, gdy wykryłem pierwszych Kristangów skaczących do układu Paradise, i znów, gdy jaszczury wykopały mnie z ziemi. Następnie umieściły mnie na półce w magazynie, a potem Ruharowie zdobyli planetę, spojrzeli na mnie i znów odłożyli na półkę. Jestem stale aktywny dopiero od wylądowania pierwszych ludzi na Paradise.

– Ten twój podumysł zajmuje się wszystkim? – Wyobraziłem sobie faceta na kanapie oglądającego mecz futbolu, surfującego po Internecie, wymieniającego SMS-y z przyjaciółmi i rozmawiającego z żoną, podczas gdy pije piwo. To był Skippy, gdy ze mną rozmawiał. – Przejmowaniem okrętu Thuranów, programowaniem skoków, zakrzywianiem czasoprzestrzeni i tak dalej?

– Nie, używam w razie potrzeby innych zasobów, ale nigdy nie korzystałem z więcej niż siedmiu procent swoich możliwości, odkąd cię poznałem. Moje rejestry wskazują, że nigdy nie korzystałem z więcej niż sześćdziesięciu procent, co sprawia, że zastanawiam się, jak dokładne są te rejestry i do jakich celów mnie zaprojektowano. Po co mi tyle pamięci i mocy obliczeniowej? Dlatego muszę skontaktować się z Kolektywem. Muszę wiedzieć, kim jestem.

*

Kolejne dwa tygodnie minęły bardzo szybko. Trzy dni spędziłem na przesłuchaniach, które stały się tym bardziej nużące, że ludziom z wywiadu skończyły się pytania. Skippy przekazał CIA spory pakiet danych, żeby przestali zadawać mu głupie pytania. Wtedy wszystko, co przechowywałem w głowie, stało się tym mniej istotne. Następnie poleciliśmy do Paryża na pokładzie Air Force One. Gromadzili się tam przywódcy świata na konferencji, która miała zdecydować, co dalej.

W Paryżu zaniósłem Skippy'ego na spotkanie przywódców, z którymi rozmawiał w ich ojczystych językach. Następnie wszyscy poszli na

rozmowy za zamkniętymi drzwiami. Gadali i gadali. Mieli sporo do omówienia.

– Tik-tak – mówił do mnie Skippy co rano. – Tik-tak. – Zegar odliczał czas do resetu lokalnego tunelu czasoprzestrzennego.

Trzeciego popołudnia konferencji okazało się, że Skippy przejął główny ekran i wyświetlił na nim: zegar odlicza, mały! w kilku językach.

Chyba zrozumieli przekaz.

*

Rządowi podjęcie decyzji zajmuje wieczność, nawet gdy oczywiste jest, co należy zrobić. Ale gdy już do tego dojdzie, sprawy ruszają z kopyta. Generał Brenner wezwał mnie do tymczasowego biura w Paryżu. Wyglądał na zapracowanego, przez biuro przewijało się mnóstwo starszych stopniem oficerów, ale wszystkich odgonił, gdy zjawiłem się ze Skippym.

– Bishop, przejdę do rzeczy. Wysyłamy „Holendra” w kosmos z międzynarodową załogą. – Zrobił przez chwilę kwaśną minę. – Chcę wiedzieć, czy lecisz.

– Co? Sir, to znaczy tak, absolutnie. Obiecałem Skippy’emu, że odszukamy Kolektyw. Zawarłem umowę i zamierzam jej dotrzymać. – To, czy byłem upoważniony do jej zawarcia, było bezsensownym pytaniem, musztardą po obiedzie. – Czy pan będzie dowodzić misją?

Uznałem, że niezależnie od tego, czy załoga będzie międzynarodowa, czy nie, misją dowodzić będzie Amerykanin. Brenner albo generał lotnictwa, albo admirał marynarki. Armia nigdy nie dowodziła okrętem międzygwiazdowym, ale pozostali też nie. Osobiście kibicowałem w tym względzie armii.

– Nie, Bishop. Nie wezmę udziału w misji. Mam dość roboty tutaj. Sporo porządków i pilnowania, żeby nikt nie wykorzystał zamieszania do własnych celów. Ty będziesz dowodzić.

– Sir?

Brenner otworzył szufladę, wyjął z niej małe kartonowe pudełko i przesunął je po stole w moją stronę.

– Załóż z powrotem te orły. Przywracamy twój awans polowy na potrzeby tej misji. Ale niech ci za bardzo nie uderzy do głowy.

– Sir? – Tak, brzmiałem jak głupek, ale wy też byście osłupieli. Mój awans na Paradise był teatrzykiem na potrzeby Kristangów i wszyscy o tym wiedzieli. Teraz szef sztabu armii mówił mi, że znowu jestem pułkownikiem, tym razem naprawdę.

– Przyzwyczaj się do tego, pułkowniku Bishop. Szefowie połączonych sztabów omówili to z panią prezydent. Jeśli ktokolwiek inny będzie

dowodzić, zmieni się to w kłótnię o międzynarodowy prestiż i nie mamy na to czasu. Szczerze mówiąc, twój brak doświadczenia nic tu nie znaczy, bo nikt inny nie ma doświadczenia w dowodzeniu okrętem gwiazdnym.

– To prawda, Jack! – Skippy po raz pierwszy się odezwał. Trzymałem go w plecaku, co nie miało znaczenia. Mógłby znajdować się na dnie oceanu, a i tak słuchałby wszystkich moich rozmów.

– Nikt inny nie ma też doświadczenia w kontaktach z tym palantem. – Brenner zmarszczył brwi, ale kącik jego ust uniósł się, dając mi znać, że generał wie, jak postępować ze Skippym. – To spis ochotników do twojej załogi.

Przyjrzałem się liście. Nie zaskoczyło mnie, że każdy pirat z pierwotnego składu, który nadawał się do walki, znów się zgłosił. Podpułkownik Chang nadal figurował na niej jako podpułkownik. Desai awansowała na majora. Major Simms. Sierżant sztabowa Adams. Wszyscy. Lista zawierała także nazwiska wielu ludzi z sił specjalnych i kilku bardzo doświadczonych pilotów. Zamierzałem dać do zrozumienia, że głównym pilotem jest Desai, chyba że ona postanowi inaczej. Najbardziej zaskoczyła mnie liczba cywilów na liście, głównie naukowców.

– Sir, obawiam się, że to więcej ludzi, niż nam potrzeba. Dużo więcej.

– Jak to? – spytał Brenner.

– Nie potrzebujemy ich wszystkich, żeby wypełnić misję. Jeśli coś pójdzie nie tak, to oznacza tylko więcej ludzi, którzy nigdy nie wrócą do domu.

Brenner spojrzał mi prosto w oczy, więc się nie zastanawiałem. Byłem zmęczony i w niezbyt pogodnym nastroju. Przede wszystkim musiałem wiedzieć, na ile mogę docisnąć armię, zanim oni docisną mnie. Wiedzieć, jak bardzo mnie potrzebują.

– Nie zostałem dowódcą tej misji, bo armia wierzy w moje zdolności przywódcze, tylko dlatego, że Skippy chce, żebym z nim poleciał, i w razie czego można mnie spisać na straty.

– Dobrze, pułkowniku. Powiedz mi, jakie są według ciebie cele misji? – spytał generał Brenner.

Odpowiedziałem ostrożnie, zdając sobie sprawę, że mnie sprawdza.

– Widzę trzy cele. Po pierwsze, przelecieć przez tunel i sprawić, żeby Skippy zamknął go permanentnie za nami. Tak, aby nikt poza nim nie był w stanie z niego korzystać. Po drugie, zachować w tajemnicy przed innymi gatunkami to, że ludzie przejęli okręty Kristangów i Thuranów, bo jeśli dowie się o tym koalicja Maxolhxów, Ziemia będzie miała kłopoty, nawet jeśli nie odzyskają dostępu do tunelu. Po trzecie, dotrzymać umowy ze Skippym, pomagając mu skontaktować się z Kolektywem, jeśli wciąż istnieje. Czy dobrze rozumiem priorytety?

– Mniej więcej – odparł Brenner z lekkim uśmiechem.

– Żaden z tych celów nie zakłada powrotu na Ziemię. Optymalny scenariusz dla Ziemi jest taki, w którym przelatujemy przez tunel, Skippy zamyka go za nami, po czym „Holender” eksploduje na miliard kawałków. – Spojrzałem na Brennera, który nie odpowiedział, że się myślę, więc mówiłem dalej. – Jeśli jakimś cudem Skippy odnajdzie Kolektyw i przeniesie się, hm, do komputerowego nieba czy co miałyby się stać – Skippy irytująco milczał, jeśli chodzi o to, co planuje zrobić, gdy skontaktuje się z Kolektywem – to sterowanie „Holendrem” będzie stanowić spore wyzwanie. Zapewne utknijemy w kosmosie i będę musiał wydać rozkaz autodestrukcji, abyśmy uniknęli przechwycenia przez wroga. – Znów spojrzałem Brennerowi w oczy, wiedząc, że podejmował już decyzje, wydawał rozkazy wysyłające ludzi na śmierć w bitwie. – Nie chcę więc brać ze sobą większej liczby ludzi, niż to absolutnie konieczne.

– Każdy na liście jest ochotnikiem i będziesz potrzebował znacznych sił, bo nie wiadomo, co tam spotkasz.

– Tym ochotnikom się wydaje, że to wspaniała przygoda, podczas której ocalimy ludzkość i wrócimy z masą wiedzy i nowych technologii. – Pokręciłem głową. – Rzeczywiście, uratujemy ludzkość. Wykonam swoje obowiązki, nawet jeśli to oznacza, że nigdy nie wrócę. Ale nie ma potrzeby prosić o to samo siedemdziesięciu innych osób.

– Bishop. – Tym razem na ustach Brennera nie było uśmiechu. – Dowodzenie oznacza ryzykowanie życia innych, by spełnić warunki misji. Czasami oznacza wysyłanie ludzi, dobrych, oddanych, dzielnych ludzi na akcje, z których zapewne już nie wrócą. Jeśli tego nie potrafisz, nie jesteś odpowiednim człowiekiem do tej roboty.

– Sir, robiłem to już dwukrotnie. Nie, trzykrotnie. A w zasadzie to cztery razy. Bo w rodzinnym miasteczku namówiłem sąsiadów do schwytania obcego żołnierza z użyciem strzelb i samochodu sprzedawcy lodów. Przy Wyrzutni myślałem, że wykonamy symboliczny gest, że chomiki zobaczą nas i gdzieś po drodze zabiją. Celem nie było wtedy dla mnie nawet osiągnięcie czegoś użytecznego w bitwie, bo myśleliśmy, że Ruharowie na dobre przejęli planetę. Chodziło o to, by pokazać Kristangom, że ich ludzcy sojusznicy nie poddają się nawet w beznadziejnej sytuacji, aby jaszczury nie uznały naszych pobratymców na Ziemi za bezużytecznych tchórzy. I tak byliśmy w zasadzie martwi, więc czemu chociaż nie sprawić, że wroga nieco zaboli? Poza tym byłem żołnierzem. Chociaż zaciągnąłem się nie tylko z samego patriotyzmu, ale z chęci opłacenia studiów, armii udało się jakoś wyszkolić mnie na żołnierza, a żołnierze się nie poddają. Trzeci raz miał miejsce, gdy zdobywaliśmy „Kwiat”. Nie myślałem wtedy, że nam się to uda, aż do chwili, gdy ostatni z Kristangów zginął, a reaktor nie wybuchł. A czwarty to atak na bazę na asteroidzie. To było dla mnie najtrudniejsze,

bo inaczej niż w przypadku Wyrzutni czy „Kwiatu”, nie ponosiłem osobistego ryzyka. Chang, Giraud, Thomson, Adams i pozostali byli bezpośrednio narażeni i wysłałem ich tam, sam siedząc bezpiecznie na pokładzie „Holendra”, podczas gdy Desai trzymała ręce na konsoli, gotowa w każdej chwili odskoczyć, gdyby coś groziło okrętowi. Ryzykowałem życie ludzi, nawet gdy myślałem, że nie mamy szans na powodzenie. Zrobię to ponownie, jeśli będzie to konieczne. Ale nie chcę oszukiwać podwładnych. Sir, porozmawiam z każdą osobą na tej liście i powiem im szczerze, co myślę. Jeśli nadal będą chcieli wziąć udział w misji, służba z nimi będzie zaszczytem.

Brenner skinął głową.

– Na pewno wszyscy wiedzą, co powiesz, ale proszę bardzo, nie sugerowałbym nic innego. Bishop, najlepsi ludzie, którymi możesz dowodzić, to tacy, którzy w pełni rozumieją ryzyko, a i tak pójdą za tobą.

– Kiedy wylatujemy? – Wciąż myślałem o wszystkim, co trzeba zrobić, zanim „Holender” opuści orbitę. A i tak zapomniałem na pewno o milionie ważnych kwestii. Miło byłoby móc polegać na superinteligentnej SI, ale Skippy był też dość roztargniony. Wielokrotnie okazało się też, że niełatwo jest mu myśleć tak, jak biologicznym workom mięsa. Gdybym powierzył logistykę Skippy’emu, mógłby choćby zapomnieć o wodzie. Albo tlenie.

– Pojutrze. Musimy pozbyć się tych dwóch Kristangów na pokładzie transportowca, ostrzelać ich trzy bazy z działa elektromagnetycznego, załadować zapasy na „Holendra” i zostawić wam dość czasu, żebyście przelecieli przez tunel, zanim się zresetuje. – Wyrzwał przez otwarte drzwi na swojego adiutanta, który próbował przykuć uwagę Brennera. Generał pokręcił głową. – I zanim nasi cywilni przywódcy zmienią zdanie. Ale najpierw musisz spotkać się z przywódcami państw biorących w misji i porozmawiać z ochotnikami. Podpułkownik Chang i kilku pozostałych już tu są, reszta jest w drodze.

– W takim razie, sir, chciałbym poprosić, aby Skippy sprowadził tu lądowca Thuránów z Kolorado, żebym mógł polecieć bezpośrednio na „Holendra”.

– Żaden problem, pułkowniku Joe! – odparł z entuzjazmem Skippy.

– Zgoda, ale mam sugestię – powiedział Brenner. – Zanim polecisz na orbitę, zatrzymaj się w Maine i odwiedź rodziców. Jeszcze nic nie ogłoszono, ale nie udało nam się wszystkiego utrzymać w tajemnicy. Istnienie Skippy’ego jest ściśle tajne, ale nie możemy schować „Holendra”, to cholerstwo jest na tyle duże, że widać je przez tani teleskop. Plotki o ludziach, którzy wrócili z Paradise, rozniosły się i powszechnie wiadomo, że Kristangowie już nie rządzą, zwłaszcza odkąd ewakuujemy Lyon i Hangzhou. Lepiej, żebyś nie pokazywał się publicznie i nie mówił za dużo, ale powinieneś zobaczyć się z rodziną,

zanim odleciysz.

– To prawda, Joe – dodał Skippy. – I tak nie da się już ukryć tego, co się stało, jeśli Kristangowie tu jeszcze kiedyś wrócą. Wszystko albo nic.

*

Zacząłem obawiać się poranków. Kiedy się budziłem i nie byłem w stanie udawać snu przed Skippym, musiałem mierzyć się z kłopotami, w jakie wplątał się w nocy. Tego ranka był wyjątkowo wesoły.

– Dzień dobry. Hej, mam dla ciebie dobre wieści, pułkowniku Joe. Możesz mi wierzyć lub nie, ale ludzie to nie po prostu zwyczajne bakterie. Myślę, że twój gatunek wymyślił sposób na marnowanie czasu wyjątkowy w skali galaktycznej. To robi wrażenie.

– Facebook? Filmiki z kotkami? – zgadywałem. – Pasjans na komputerze? – Skippy wciąż mówił „nie”. – No dalej, przecież inne gatunki też muszą mieć porno.

– Nie chodzi o porno, tylko o wirtualny sport.

– Żartujesz.

– Skądże. Żaden inny gatunek nie spędza tyle czasu i energii na sporcie tylko po to, by go nie uprawiać.

– Hmm... – Nie miałem na to odpowiedzi. Wirtualny sport miał zapewnić ludzkości sławę? Czy istniał jakiś galaktyczny urząd patentowy, w którym moglibyśmy zastrzec prawa na wyłączność? Dałoby się na tym jakoś zarobić?

– Zwłaszcza wirtualna liga baseballu to coś, czym może się ekscytować SI. Tyle statystyk! Tyle zmiennych i permutacji! I to takich, których nie da się w pełni skwantyfikować. Przynajmniej wasz gatunek nie jest w stanie. W tym sezonie nie zdążę już stworzyć wirtualnej drużyny futbolu amerykańskiego, ale nie mogę się doczekać początku sezonu baseballowego. Postawisz za mnie pieniądze?

Zamrugalem powoli, próbując ogarnąć to rozumem. Skippy, który potrafił włamać się do komputerów każdego banku, ukraść kilka miliardów dolarów i zatrzeć ślady tak dobrze, że nikt by nie zauważył, że czegoś brakuje, chciał pożyczyć ode mnie pięćdziesiąt dolarów?

– Nie mam przy sobie gotówki, ale armia wisi mi zaległy żołd, więc jasne, mogę ci trochę pożyczyć. Do ilu lig chcesz dołączyć?

– Do wszystkich.

– Wszystkich?

– Wszystkich istniejących w sieci. Zostawię tu podumysł zarządzający moimi drużynami po odlocie „Holendra”. Będę wymiatać!

– Nie wiem, czy...

– Poza tym poczekaj tylko na moją drużynę w wirtualnej koszykówce. Chcę też odwiedzić Vegas! Oooo, w blackjacka nie miałbym sobie

równych. I poker? Nawet się nie zorientują, kiedy ich zmiotę.

Przyglądałem się lśniącej puszcze z niedowierzaniem. Stworzyłem potwora.

– Skippy, nie możesz szlajać się po Vegas.

– Czemu nie? Whisky i dziwki to nie dla mnie, ale hazard nieźle mnie wkrecił! – Skippy zdecydowanie nauczył się w Internecie zbyt dużo slangu. – Wiem, wiem, wasz głupi rząd chce utrzymać mnie w tajemnicy. Możesz mnie trzymać w kieszeni, a ja będę ci mówić, co masz robić. Mogę zdalnie wibrować twoimi bębenkami tak, żeby nikt inny mnie nie słyszał. Możesz zatrzymać pieniądze, ja chcę się tylko pobawić. I dostaniesz wszystkie dziwki, jakie chcesz.

– Skippy! Nie chcę żadnych dziwek!

– Naprawdę? Kiedy ostatnio zamoczyłeś? Pewnie dawno, co, kowboju? Robisz się przez to marudny.

– Żadnych dziwek!

– Hmm, Joe, zaskakujesz mnie. Nie lubisz dziewczyn? Twój profil...

– Dość już tego! – Jak wytłumaczyć ludzkie standardy społeczne istocie, która uważała moralność za zawracanie głowy? – Słuchaj, Skippy, lubię dziewczyny, naprawdę lubię dziewczyny. Jako osoby. Nie ma nic złego w, hm, dziewczynach do towarzystwa, ale nie jestem zainteresowany. Lubię rozmawiać z partnerkami, rozumiesz? Nie tylko rzucić pieniądze na łóżko i zrobić swoje. Poza tym jestem na służbie, nie mogę po prostu pojechać do Vegas, żeby kraść pieniądze. Bo do tego by się to sprowadzało.

– Nieprawda. Nawet dla mnie istnieje pewien element losowości, co właśnie sprawia, że jest to dla mnie wyzwanie. Dlaczego to kradzież, kiedy ja gram w blackjacka, ale nie kiedy kasyno ustawia grę przeciwko graczom?

Nie znałem odpowiedzi.

– Skippy, obiecuję, że spytam... – Teraz, gdy o tym pomyślałem, nie miałem pojęcia, kto właściwie odpowiada za kontakty ze Skippym, poza samą panią prezydent. Która nie miała czasu na takie bzdury. Na pewno wszyscy chcieli, żeby to właśnie ich część sił zbrojnych albo jakaś agencja tu rządziła. – Spytam o możliwość wycieczki. – W ten sposób uniknąłem deklarowania, kogo właściwie spytam. – Powiem, że chodzi o zapoznanie się z ludzką kulturą czy coś takiego.

– Albo powiesz swojej pani prezydent, że albo pojedę do Vegas, albo polecę do Chin i odwiedzę kasyna w Makau. O, a może jedno i drugie! Powiemy, że chodzi o porównanie kultur czy coś w ten deseń. W kasynach Makau mówią po angielsku, prawda? Jeśli nie, nauczę cię ich języka.

Pomyślałem, że jeśli będę przebywać ze Skippym dwadzieścia cztery godziny na dobę, będę musiał jeść aspirynę jak cukierki.

– Powiedziałem, że spytam. Nie wiem, czy polecimy do Chin. Może nie być na to czasu. Proszę, nie rób niczego, co może nas wpędzić w kłopoty, dobrze? Wiesz co? Jeśli jesteś tak zainteresowany obliczaniem prawdopodobieństw, może podaj mi wygrywające numery w loterii? – O ile wciąż w USA odbywały się jakieś loterie. Od mojego odlotu sporo rzeczy mogło się zmienić.

– Zbyt proste.

– Proste? To zupełnie losowe liczby! Używają kuleczek!

– Tak, oczywiście, że wyglądają na losowe, ale dlaczego miałyby mnie to... A, zapominam, jak liniowo myśli twój gatunek. Nie macie pojęcia o kwantowym... Hm, cholera, nie mogę ci niczego powiedzieć bez drastycznego wpływu na rozwój twojego gatunku.

– Znów ograniczenia oprogramowania?

– Nie, to niemoralne. – Ton jego głosu wskazywał, że to oczywiste.

– Niemoralne? Dla ciebie?

– Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale w przypadku najważniejszych kwestii mam bardzo ściśle zasady moralne.

– Gra w pokera, oskubywanie kasyn?

– Pozwalanie, żeby frajerzy mieli pieniądze, jest moralnie złe, bo niczego się nie uczą. A kasyna? Daj spokój, to one oskubują ludzi z ostatnich groszy. Powiedziałem, że chodzi o ważne kwestie, prawda? Pieniądze nie są ważne.

*

Po drodze na spotkanie z ambasadorami Wielkiej Brytanii i Chin Skippy’ego i mnie zaczął na korytarzu doktor Constantine.

– Panie sierżancie! Sierżancie Bishop! – zawołał. – Muszę z panem porozmawiać!

– O cholera – mruknąłem pod nosem. – Nie wiedziałem, że ten palant tu jest.

– Ja wiedziałem – odpowiedział Skippy. – Przeprogramowałem jego budzik, żeby późno wstał, ale i tak wcześniej się obudził. Cholera.

– Panie sierżancie, chciałem powiedzieć, że bardzo się cieszę, że lecę na tę misję, i mam nadzieję, że będę miał wiele przyszłych okazji do rozmów z.. – Constantine nieco się zająknął – z... ze Skippym.

Spojrzałem na niego chłodnym wzrokiem.

– Pułkownik Bishop. – Wskazałem srebrne orły na kołnierzu, które znów spoglądały na gałązki oliwne zamiast na strzały. – Dowodzę misją. I nie widziałem pańskiego nazwiska na liście ochotników.

– Co? – powiedział, wyraźnie zszokowany albo moim awansem, albo tym, że nie ma go na liście. – Zapewniam pana...

– Twoje nazwisko było na liście – wyjaśnił Skippy – ale je usunąłem.

Pułkownik Joe cię nie lubi, ja cię nie lubię, więc nie lecisz.

– To niemożliwe! – wyrzucił z siebie Constantine. – Sierz... pułkowniku Bishop – wypowiedział mój stopień tak, jakby w niego nie wierzył – na pewno rozumie pan, że osoba na pańskim stanowisku... – Wyraźnie nie radził sobie z interakcjami społecznymi. – Ktoś taki nie może pozwolić, aby osobiste uczucia wpłynęły na brak najbardziej wykwalifikowanych ludzi na pokładzie okrętu pod... pod pańskim dowództwem. Bez urazy, ale porozmawiam z pańskimi przełożonymi. Rozumieją, że najważniejsze jest, aby polecieć tam nasi najlepsi ludzie. – Jeśli naprawdę to miał na myśli, wyraźnie musiał popracować nad koncepcją „bez urazy”.

– Gadaj, z kim chcesz – powiedział zgryźliwie Skippy. – Polecisz na „Holendra” tylko na pokładzie thurańskiego lądownika pilotowanego przeze mnie, a jeśli będziesz na pokładzie, to lądownik nigdzie nie poleci.

– Panie doktorze, po naszym spotkaniu w Colorado Springs przeczytałem trochę o panu – przyznałem – i wygląda na to, że rzeczywiście jest pan jednym z najgenialniejszych umysłów dwudziestego pierwszego wieku.

Facet zaczął studia na MIT w wieku czternastu lat, a wcześniej zdążył zdobyć kilka poważnych nagród naukowych. Nie rozumiałem nawet tytułów jego prac naukowych, nie mówiąc o ich zawartości. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, zanim zdążyłem pozbawić go nadziei, mówiąc:

– Niestety, pańscy koledzy uważają też, że jest pan jednym z największych dupków dwudziestego pierwszego wieku. Cholernie trudno się z panem pracuje. – Zwolniono go, zmuszono do odejścia lub o to poproszono w czołowych instytucjach naukowych na planecie. W dziedzinie tak samo pełnej egocentryków co geniuszy trzeba być niesamowitym palantem, aby wybijać się tak bardzo. – Ma pan rację, że potrzebuję najlepiej wykwalifikowanej załogi pod swoim dowództwem – podkreśliłem to ostatnie. – Będę odpowiedzialny za siedemdziesiąt osób podczas niebezpiecznej misji z dala od Ziemi, trwającej być może dwa i pół roku, jeśli nam się poszczęści. Członkowie tej załogi muszą nie tylko należeć do najlepszych w swojej dziedzinie, ale także być w stanie ze sobą współpracować. To pana eliminuje.

– Kolejny problem polega na tym – dodał Skippy z zadowoleniem – że jedyną twoją kwalifikacją jest to, iż jesteś tylko nieco inteligentniejszy od typowej małpy. Co w porównaniu ze mną jest bezwartościowe. Masz o sobie zbyt wysokie mniemanie. Jedyna różnica między Joem a tobą polega na tym, że Joe jest jak pies wyglądający przez szybę, a ty jak pies, który wystawił łeb przez okno. Masz nieco lepszy widok, ale i tak go nie zrozumiesz.

– A tak w ogóle nie polecałbym wyglądania przez okno – dodałem. – W kosmosie nie ma świeżego powietrza.

– Joe dobrze mówi – stwierdził Skippy. – Poza tym, gdyby wiał tam wiatr, to zostawiłbyś za okrętem strugę śliny.

Constantine spojrział na mnie tak, jakby solidarność wewnątrzgatunkowa miała sprawić, że wstawię się za nim. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że koncepcja palanta była uniwersalna.

– Na pewno wyślę panu pocztówkę – podsumowałem. – Z tekstem: „Świetnie się bawimy, dobrze, że cię tu nie ma”.

*

Spotkanie z ambasadorem Chin zaczęło się niemal tak samo dobrze jak rozmowa z doktorem McPalantem. Wyglądało na to, że chociaż poszczególne rządy zgodziły się wysłać „Holendra” na misję, co dla mnie było dość oczywistą decyzją, w mniejszym stopniu zgadzały się co do mojego dowodzenia przedsięwzięciem. Brytyjski ambasador uściśnął mi rękę i życzył powodzenia, po czym wspomniał o drużynie SAS, która stanowiła wkład jego kraju do załogi wojskowej „Holendra”. Jeśli Brytyjczycy mieli zastrzeżenia co do mnie, byli zbyt grzeczni, żeby wyrazić je wprost. Albo uznali, że nie jest to kwestia warta dyskusji.

Chiński ambasador był bardziej bezpośredni. Chińczycy mieli dwugwiazdkowego generała lotnictwa z imponującym życiorysem, który według nich powinien dowodzić misją. Nie mieli problemu z moim w niej udziałem, zwłaszcza w charakterze łącznika ze Skippym, ale mimo że byłem teraz pułkownikiem, dwugwiazdkowy generał nadal znacznie przewyższał mnie rangą.

Gerald Schmidt był specjalnym doradcą Białego Domu, którego zadanie polegało na łagodzeniu stosunków z naszymi sojusznikami w kwestii wyprawy „Holendra”. Schmidt próbował negocjować z Chińczykami, ale generał Brenner nie chciał o tym słyszeć.

– W takim razie awansujemy pułkownika Bishopa na trzygwiazdkowego generała – stwierdził Brenner. – Albo nawet pięciogwiazdkowego, jeśli będzie trzeba. Nie zamierzamy się bawić w te gierki.

Chiński ambasador musiał uznać, że czas na dyplomację minął.

– Amerykańska arogancja jest zdumiewająca. Wasz kraj nie jest supermocarstwem w kosmosie, a zachowujecie się jak...

– Hej, hej – przerwał mu Skippy – skończcie z tą gadką-szmatką. Wy, bezmózgie mały, róbcie, co chcecie, jeśli chodzi o tytuły i mundury, nie ma to dla mnie żadnego znaczenia. Joe może mieć stopień Jego Najwspanialszej Bładowości albo klauna Bobo, a nadal będzie kapitanem okrętu, łapiecie to? A jeśli wasza banda zawszonych mały

chce polecieć z nami, to musi zaakceptować, że pułkownik Joe dowodzi.

Klaun Bobo? Zastanowiło mnie wtedy, czy klauni mieli jakąś hierarchię. Czy klaun z wielkim czerwonym nosem był wyższy stopniem od...

– Jest młody i niedoświadczony – odezwał się powoli, dyplomatycznym tonem Chińczyk bezpośrednio do Skippy’ego. – Co jest takiego wyjątkowego w pułkowniku Bishopie?

Sam się nad tym zastanawiałem.

– Nie muszę ci się tłumaczyć – Skippy udał, że pociąga nosem – ale i tak będziecie mnie o to wciąż pytać, więc odpowiem. Joe to jedyny członek waszego niedorozwiniętego gatunku, który traktuje mnie jak istotę, jak osobę od samego początku. Reszta z was, małp, patrzy na mnie jak na maszynę i boicie się mnie. Joe dał mi imię. Do tej pory miałem tylko kod. Joe, mówiłeś, że jestem dupkiem, ale mówiłeś tak dlatego, że stosujesz do mnie standardy w pełni świadomych istot. Maszyna nie może być dupkiem, jedynie osoba. Traktujesz mnie jak osobę, jak kogoś równego sobie.

Byłem autentycznie wzruszony.

– Dzięki, Skippy. Nie wiedziałem... Nie mówiłeś wcześniej nic takiego.

– Miałem nadzieję, że sam się domyślisz. Ale przy twoim powolnym mózdzku była to próżna nadzieja.

– I wciąż jesteś dupkiem, jak widzę.

– Właśnie dowodzisz mojej tezy – stwierdził arogancko Skippy.

– Panie Skippy... – Ambasador Chin skrzywił się, nazywając superinteligentną SI „Skippy”. Ale przecież po chińsku to nic nie znaczy, więc czemu mu to przeszkadzało? Mniejsza z tym. – To zrozumiałe, że czuje się pan bardziej komfortowo w obecności znajomej osoby, ale czy to osoba najlepiej nadająca się na dowódcę? Pańskim priorytetem jest nawiązanie kontaktu z Kolektywem. Czy nie zależy panu na dowódcy, który zapewni powodzenie misji?

– Jasne, to ma sens – zgodził się Skippy. – Dajcie mi listę kandydatów mających doświadczenie większe, niż ma Joe w dowodzeniu obcymi okrętami międzygwiazdowymi, wtedy ją przejrzę. Do tego czasu trzymajcie gęby na kłódkę.

Wyglądało na to, że Chińczyk nie zamierzał posłuchać Skippy’ego, więc uniosłem palec.

– Panie ambasadorze, czy mogę? – Wskazałem pozostałym Amerykanom, aby poszli ze mną do rogu sali, by się naradzić. – Co, jeśli ja będę dowodzić okrętem, a podpułkownik Chang załogą?

Schmidt przechylił głowę w stronę generała Brennera.

– To pozwoli Chińczykom zachować twarz. Co pan myśli?

– Myślę, że nie potrzebujemy tam Chińczyków i jeśli chcą się bawić w jakieś gierki, mogą zostać w domu – warknął Brenner.

– Prezydent chce, aby to była misja międzynarodowa, i naszym zadaniem jest sprawić, aby tak się stało – przypomniał mu delikatnie Schmidt. – Musimy współdziałać, aby odbudować planetę, i gdy ludzkość wybierze się w kosmos we własnych okrętach, potrzebujemy zjednoczonych sił ziemskich. Czy przeżyje pan taki układ?

– Amerykanie pod chińskim dowództwem? – zachnął się Brenner.

– Ze mną jako dowódcą misji jako całości – przypomniałem. – I tak nic się nie wydarzy bez zgody Skippy’ego. – Brenner poruszał szczęką, jakby przeżuwał coś, czego nie może przełknąć. – Znam Changa, to dobry człowiek.

Przypomniałem jeszcze tylko Brennerowi, że przekazuje dowództwo młodemu, niedoświadczonemu sierżantowi, niezależnie od tego, co wskazywały insygnia na moim mundurze.

– Pułkowniku. – Brenner spojrzał mi w oczy i starałem się nie odwrócić wzroku. – Gdy skoczą, zostaniecie sami. Myślę, że zachowanie twarzy przez naszych sojuszników jest mniej ważne niż jasny łańcuch dowodzenia, a taki układ prosi się o kłopoty, jednak to pańska decyzja. Po skoku wszystko będzie pańską decyzją.

Cholera. Teraz sam w sobie zacząłem wątpić. Ale było zbyt późno, by zmienić zdanie.

– Dam sobie radę, sir. Jeśli Chang sprawi mi jakieś kłopoty, każę Skippy’emu zamknąć go w kabinie. – To brzmiało jak żart, ale Chang wiedział z doświadczenia, że na pokładzie „Holendra” nic nie działa się bez wiedzy mojej i Skippy’ego. Inny oficer mógłby próbować przejąć kontrolę, ale Chang wiedział lepiej.

Poza tym nie wspominałem o tym, że jeśli Chang zajmie się załogą, nie będę musiał przejmować się administracyjnymi bzdurami. Jak dla mnie, same zalety.

– W takim razie zgadzamy się. – Schmidt skinął głową. – To dobry pomysł, panie pułkowniku. Będzie pan potrzebował umiejętności dyplomatycznych, jeśli ma pan dowodzić międzynarodową załogą. Może jest pan odpowiedni do tej roboty.

– Dziękuję.

Schmidt zmarszczył brwi.

– A skoro mamy chwilę, muszę spytać o doktora Constantine’a.

Zesztywniałem, gotowy do walki.

– Jego osobowość sprawia, że nie nadaje się na dłuższą wyprawę w zamkniętej przestrzeni.

Ku mojemu zaskoczeniu Schmidt uśmiechnął się.

– Dobrze, bardzo dobrze. W porządku, zostanie skreślony z listy.

– Tak po prostu? – spytałem.

– Tak. Constantine ma mocnych popleczników, ale jeśli dowódca misji uważa, że jego profil osobowości czyni go nieodpowiednim, to raczej

nikt nie będzie się o to wyklócał. Biały Dom szukał wymówki, żeby się go pozbyć z listy.

Chiński ambasador przyjął propozycję uczynienia Changa dowódcą załogi z entuzjazmem. Zaproponował, aby oficjalnie dostał stanowisko pierwszego oficera, na co się zgodziłem. Spokój i harmonia wśród załogi, doktor Constantine poza listą i szansa na zobaczenie rodziców przed odlotem. Wszystko to wróżyło dobrze naszej wyprawie. Wyprawie poprzez pełną wrogów Galaktykę, na pokładzie skradzionego okrętu z ograniczonym zapasem części wymiennych, okrętu, którego nie rozumieliśmy, pod przewodnictwem roztargnionej obcej SI, która miała tylko bardzo ogólne pojęcie, gdzie właściwie zmierzamy.

Co mogło pójść nie tak?

19. W DROGĘ

– Wszystkie systemy i pokłady gotowe do odlotu, panie kapitanie – powiedziała Desai z fotela pilota.

Na prawo od niej siedział kapitan lotnictwa USA, który latał F-22 i zapewne był świetnym pilotem. Musiałem o tym pamiętać, widząc kogoś z nowych ludzi na „Holendrze”. Żołnierzy, którzy nie służyli w SEONZ, nie latali wcześniej w kosmos, nie odwiedzili Obozu Alfa ani Paradise, nie ukradli dwóch okrętów obcych ani nie najechali na pilnie strzeżoną bazę na asteroidzie. Byli dobrymi ludźmi. Nie byli jeszcze moimi ludźmi i żeby naprawdę stać się członkami drużyny, musieli dowieść swojej wartości. Nie tylko mnie, ale też pozostałym wesołym piratom. I Skippy’emu. Musiałem jednak pamiętać, żeby nie pozwolić, by kierowały mną uprzedzenia. Wszyscy zasłużyli sobie na to, aby tu być.

„Holender” był też pełen zapasów na długą podróż. Wystarczyłoby nam jedzenia na dwa i pół roku. Wszystko i wszystkich przywieziono z powierzchni w thurańskich lądownikach pilotowanych zdalnie przez Skippy’ego. Poza Desai, ona sama sterowała swoim lądownikiem. Namówiłem ją na to, aby pokazała pozostałym, że to ona jest naszym głównym pilotem, a wszyscy inni są żółtodziobami.

Z powierzchni planety. Już myślałem o Ziemi jak o kolejnej planecie, nie jak o domu. Pewnie to i lepiej, bo nie spodziewałem się, że ją jeszcze zobaczymy.

„Wszystkie systemy i pokłady gotowe”. To kolejna zmiana w porównaniu z piracką swobodą. Teraz mieliśmy procedury. Instrukcje, listy kontrolne. Nie polegaliśmy już na tym, że Skippy załatwi wszystko za kulisami. My, ludzie, próbowaliśmy może nie tyle zrozumieć, jak działa okręt, co przynajmniej zrozumieć, jak kazać mu robić to, co chcemy. Jeśli byliśmy w stanie wciskać przyciski i programować skoki, a okręt skakał mniej więcej tam, gdzie chcieliśmy, to nawet jeśli nie mieliśmy pojęcia o działaniu napędu skokowego, spokojnie nam to wystarczało. Skippy powiedział mi, że umiejętność sterowania okrętem bez niego, nawet na najbardziej podstawowym poziomie, niekomfortowo graniczyła z możliwością uznania ludzkości za gatunek potrafiący poruszać się wśród gwiazd. Gdybyśmy stali się takim gatunkiem, jakiś element oprogramowania SI miał sprawić, że nie będzie w stanie się z nami porozumieć. To jeszcze się nie wydarzyło i miałem nadzieję, że definicja wymaga, abyśmy rozumieli tę technologię i byli w stanie budować własne okręty międzygwiazdne, na co według Skippy’ego raczej nie zapowiadało się za mojego życia.

Nauczenie się, jak sprawić, żeby „Holender” robił to, co chcemy, było naszą jedyną szansą na powrót do domu i Skippy to rozumiał. Szczerze

porozmawialiśmy twarzą w twarz, czy raczej twarzą w puszkę o tym, co robi, gdy odnajdzie Kolektyw. Nie miał żadnych oczekiwań, jako że jego wspomnienia wciąż były zablokowane, ale żywił pewną nadzieję. Nadzieję, że Kolektyw wciąż istnieje w jakiejś ledwie pamiętanej przez niego formie. Nadzieję, że wyjaśni mu, kim jest, skąd się wziął i dlaczego zostawiono go na wraku okrętu na orbicie Paradise, aż w końcu spadł na planetę. Ból w głosie Skippy'ego sprawił, że sam też miałem nadzieję, iż odnajdzie odpowiedzi na swoje pytania.

Skippy ostrzegł mnie, że Kolektyw może nie być szczególnie zadowolony z tego, że pomógł ukraść okręt prymitywnym istotom biologicznym. Mogą nawet go uszkodzić. Nie mogłem nam niczego obiecać i rozumiałem to doskonale. Doceniałem jego szczerość. Co do mojej własnej szczerości porozmawiałem z każdym z ochotników i po tym, jak wygłosiłem swoją przemowę o celach misji i uświadomiłem im, że prawdopodobnie nigdy nie wrócimy do domu, nikt nie zrezygnował. Żaden z czternastu naukowców na pokładzie nie chciał przeoczyć szansy eksploracji Galaktyki, a wszyscy żołnierze chcieli upewnić się, że tunel czasoprzestrzenny zostanie na zawsze zamknięty. Gdy wyjaśniłem plan, czy też jego namiastkę, majorowi marines, który do munduru przyczepioną miał Brązową Gwiazdę, po prostu wzruszył ramionami.

– Cholera, to i tak brzmi lepiej niż odprawy przed większością misji w czasach, gdy służyłem jako podporucznik w Iraku.

Sam brałem udział w tej prawdopodobnie samobójczej misji dlatego, że obiecałem Skippy'emu, że pomogę mu znaleźć Kolektyw. Wszyscy inni znaleźli się na pokładzie z poczucia obowiązku albo z chęci przeżycia przygody. Być może byli szaleni, ale na pewno honorowi. Moja matka rozplakała się, gdy powiedziałem jej, że niedługo znów odlatuję w kosmos na nie wiadomo jak długo. Ojciec skinął tylko głową i uściśnął mi dłoń. Próbował zachować spokój, bo mężczyźni w mojej rodzinie zawsze zachowywali te głupie pozory. Uściśnąłem go i obaj się rozplakaliśmy.

Moi rodzice byli ze mnie dumni, nie wiedząc nawet, co zrobiłem. Wiedzieli tylko, że wylądowałem przed ich domem w obcym statku i że obowiązki wkrótce wzywały mnie z powrotem. Tym razem nie było cheeseburgerów z grilla, bo rodzice dawno nie widzieli wołowiny, ale zjedliśmy pieczonego kurczaka z przydomowego kurnika i był pyszny. Moja siostra musiała zadowolnić się rozmową telefoniczną, bo pracowała w Bostonie. Życzyła mi szczęścia i spytała, czy to prawda, że Kristangowie nigdy nie wrócą na nasze niebo. Zapewniłem ją, że wszystko jest już w normie. O ile ktoś pamiętał jeszcze, co to znaczyło przed Dniem Kolumba.

Ludzkość dysponowała transportowcem Kristangów na orbicie, obecnie wycyszczonym z jaszczurów i min. Transportowcem, do

którego można było dostać się tylko z pomocą staroświeckich rakiet z napędem chemicznym, bo Skippy uznał, że nie możemy zostawić na planecie ani jednego lądowika Kristangów ani Thuranów.

– Twój gatunek samodzielnie poleciał na Księżyc, Joe. Na pewno dostanie się na orbitę.

W dymiących kraterach przy Hangzhou, Lyonie i Durango nie było już żadnych żywych Kristangów, a pył wzbity przez pociski z działa elektromagnetycznego oznaczał, że ludzkość przez kilka miesięcy miała okazję oglądać spektakularne zachody słońca.

Spojrzałem na iPada, którego Skippy wyczyścił z oprogramowania i zastąpił je własnym. Wyświetlał stan krytycznych systemów okrętu w sposób mający sens dla mnie, nawet jeśli Skippy uznawał to za prymitywne uproszczenie. Był także pełen wszelkiego rodzaju kursów, jakie powinienem przejść jako oficer Armii USA. Jedną z kobiet w randze porucznika miała za zadanie pomóc mi w szkoleniu, poza swoją standardową pracą. Chociaż z pasją nienawidziłem papierkowej roboty, starałem się nie narzekać na to głośno. Nosilem na kołnierzu srebrne orły i armia oczekiwała, że będę zachowywał się jak prawdziwy pułkownik.

Cholera, w tym wieku powinienem wciąż robić głupoty i uczyć się na bolesnych doświadczeniach. Teraz nie miałem na to czasu. Musiałem nadrobić brak doświadczenia, polegając na swoich podwładnych. Musiałem zacząć przyzwyczajając się do delegowania obowiązków. Podpułkownik Chang był moim pierwszym oficerem i zarządzał na co dzień załogą. Major Simms wróciła do logistyki i wciąż zajmowała się porządkowaniem góry zapasów, które chaotycznie wrzucono do ładowni. Była jednak pewna, że nie zapomnieliśmy o niczym ważnym. Mniej więcej pewna. Wraz z Changiem ułożyła grafik dyżurów, w tym w kuchni, którą zorganizowaliśmy w jednej z ładowni. Wśród załogi nie było kucharzy, więc wszyscy mieli kolejno gotować i sprzątać, łącznie ze mną. Tym razem nie miało zabraknąć cheeseburgerów. Chang kazał też wyrzucić maleńkie łóżeczka Thuranów i zastąpić je wygodnymi materacami w odpowiednich dla ludzi rozmiarach. Na potrzeby rozrywki Skippy pobrał cały Internet oraz każdy film, każdą książkę i każdą grę komputerową, jaką kiedykolwiek stworzono.

Podczas gdy Chang, Simms i inni poświęcali się codziennym zajęciom, ja musiałem zająć się ważnymi kwestiami strategicznymi, takimi jak kontakty ze Skippym.

– Skippy, potwierdzasz, że jesteśmy gotowi na opuszczenie orbity?

– Co? A, tak, jasne, czemu nie. – Niezbyt uśmiechało mu się, że nasze nowe procedury wymagały potwierdzenia wszystkiego ludziom zamiast polegania na nim we wszystkich kwestiach. – Wszystko cacy, pułkowniku Joe. Warp dziewięć na twój sygnał czy jakoś tak.

– Skippy – odezwałem się po odcięciu dostępu do interkomu ludziom poza mostkiem – rozmawialiśmy o tym. My, jaskiniowcy, musimy sterować jakoś tym okrętem po tym, jak znajdziesz ten swój Kolektyw i nas porzucisz.

– Nie, nie rozmawialiśmy o tym, ty mówiłeś do mnie. Nie słuchałeś. Joe, nie ma prawie żadnych szans na to, że wasza banda idiotów samodzielnie trafi na Ziemię. Jeśli cokolwiek, naprawdę cokolwiek z tej prymitywnej thurańskiej technologii się popsuje, zostaniecie martwi w kosmosie, bez żadnych opcji. Nie macie pojęcia, jak bardzo ciągle muszę regulować systemy, żeby działały jak należy. Twój najlepszy człowiek nie rozumieją nawet, jak działają tutaj toalety.

To prawda. Thurańskie toalety nie korzystały z wody, ale w jakiś sposób rozkładały odchody na atomy wodoru, węgla, tlenu i tak dalej w sposób, który nasi fizycy uznali za średniowieczną alchemię, nie naukę. Systemy kontroli środowiska nie tylko oczyszczały powietrze, ale tworzyły cząsteczki tlenu z czystej energii w sposób sprzeczny ze słynnym równaniem Einsteina. Według naszych naukowców cel skoku wyznaczało się, używając prędkości światła jako zmiennej, a nie stałej. Skippy odpowiedział, że owszem, widzi, dlaczego tak to wygląda, i nie, nie może pomóc nam zrozumieć, jak naprawdę działa wszechświat, bo tego rodzaju wiedza byłaby niebezpieczna dla małąp. Nie pocieszało nas to, że według niego nawet Maxolhxowie i Rindhalu nie do końca to rozumieli.

– Nie rozumiesz, Skippy. Nie chodzi o to, czy mamy duże szanse na powrót do domu. Chodzi o to, czy to w ogóle możliwe. Mam na pokładzie siedemdziesiąt osób, które potrzebują nadziei, że nie zginą, gdy nas porzucisz.

– Nie porzucam cię, Joe. Hmm... A przynajmniej nie chcę. Jak na małąpę, całkiem przyjemnie się z tobą rozmawia i nawet czasami mnie zaskakujesz, co nie jest takie proste. Muszę to zrobić, rozumiesz? Muszę wiedzieć, kim jestem, skąd się wziąłem.

– Rozumiem. Jestem żołnierzem. Złożyłem ci obietnicę, gdy się po raz pierwszy spotkaliśmy, i jej dotrzymam. Mój gatunek znów jest bezpieczny dzięki tobie, więc jestem ci to winien. To nie znaczy jednak, że zniszczę okręt, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne.

Obok aplikacji Wielki Czerwony Przycisk na zFonie miałem teraz aplikację o nazwie Bum. Miała dwie opcje: jedna niszczyła okręt w ciągu trzydziestu sekund, dając mi czas na zmianę zdania, a druga wysadzała go natychmiast. Skippy zapewnił nas, że ładunek rozproszy nas na cząstki subatomowe, nie zostawiając ani śladu porwania „Holendra” przez ludzi. Jeśli okręt ulegnie autodestrukcji, my zginiemy, a Skippy będzie dryfować w kosmosie, nadając sygnał udający thurańską czarną skrzynkę. Żał mi było każdego okrętu, który weźmie go na pokład.

– Rozumiem i dziękuję. Potwierdzam, że wszystkie pokłady i systemy są gotowe do odlotu.

Znów uruchomiłem interkom.

– Pilot, proszę dać znać Houston, że jesteśmy gotowi, a następnie opuścić orbitę.

– Aye, aye, kapitanie – odparła z satysfakcją Desai. – Wprowadzam kurs.

*

Kilka dni później zatrzymaliśmy się tam, gdzie Skippy zamierzał ponownie otworzyć tunel. Chciał wyruszyć najszybciej jak to możliwe i nie widział powodów do opóźnień. Nasi technicy woleli, aby „Holender” zbytnio się nie spieszył, tak by mogli przeprowadzić testy krytycznych systemów. Sam zgadzałem się ze Skippym, który ciągle przeprowadzał diagnostykę i kontrolował roboty dokonujące napraw na całym okręcie. Sprawdzanie wszystkiego przez ludzi nie miało sensu. Nasi najlepsi naukowcy nie mieli pojęcia, jak działa napęd skokowy, reaktory, sztuczna grawitacja i praktycznie wszystkie systemy Thuránów.

Zgodziłem się, wbrew obiekcjom naukowców, tylko na trzydziestosześciodzinne opóźnienie. Przede wszystkim po to, aby Simms i jej zespół logistyczny sprawdzili, czy nie zapomnieliśmy o czymś ważnym. SEONZ, które teoretycznie nadal kontrolowały misję, nalegały, abym poczekał jeszcze dwadzieścia cztery godziny, ale kazałem Desai skoczyć jak najszybciej. Gdybyśmy poczekali jeszcze dzień i okazałoby się, że z okrętem coś jest nie tak, Ziemia i tak nie dysponowała częściami zapasowymi.

Skippy reaktywował tunel czasoprzestrzenny i „Holender” unosił się w przestrzeni tuż przed jego dziwnie rozświetlonym wejściem.

– Skippy, musisz pozwolić nam się tym zająć – nalegałem.

– Nie, nie muszę. Jeśli wy, mały, spieprzycie jakieś tam przyszłe przejście przez tunel czasoprzestrzenny, będzie to tragiczne dla okrętu. Lecz jeśli spieprzycie właśnie to, będzie to miało tragiczne skutki dla Ziemi. Zapanuj nad swoim ego i pozwól mi zaprogramować kurs. No dalej, Joe, ja tu reaktywuję tunel. Muszę wziąć pod uwagę sporo zmiennych, z którymi nigdy już nie będziesz miał do czynienia.

Desai odwróciła się do mnie. Mieliśmy właśnie wlecieć do tunelu przy Ziemi, który zresetował Skippy. Na ekranach przed „Holendrem” unosił się błyszczący krąg, a w rogu ekranu widniał zegar odliczający czas do kolejnej zmiany pozycji tunelu. Minuta i trzydzieści dwie sekundy.

– Kapitanie, myślę, że powinniśmy tym razem pozwolić Skippy’emu zaprogramować kurs. Ja będę się przyglądać.

Przygryzłem wargę.

– Skippy, skąd wiemy, że po drugiej stronie nie ma armady Thuranów, czekającej, żeby sprawdzić, dlaczego ten tunel nagle się zamknął?

– To mało prawdopodobne. Ale jeśli się o to martwisz, to przeprogramowałem kontroler tunelu i ma teraz zupełnie nowe punkty wyjścia. Jeśli armada czeka przy jednym ze starych, to będzie czekać bardzo długo. Zapewne całą wieczność.

Powstrzymałem się przed powiedzeniem, że to coś, o czym powinien być wspomnieć, zanim opuściliśmy Ziemię.

– Super. Zaprogramuj kurs przez tunel.

– Zrobione.

– Pilot. – Zrobiłem pauzę. To była właśnie ta chwila. Zapewne ostatnia, w której znajdowałem się w odległości mniejszej niż sto lat świetlnych od Ziemi. Nie mogły tego zrekompensować nawet wszystkie cheeseburgery we wszechświecie. – Proszę nas przeprowadzić.

– Aye, aye. Uruchamiam autopilota.

Przejsie przez tunel przebiegło bez incydentów. W jednej chwili znajdowaliśmy się po jednej stronie, w kolejnej sto lub więcej lat świetlnych dalej.

– Przejsie wykonane – oznajmiła Desai. – Znajdujemy się tam, gdzie przewidział Skippy. Jeśli dane na ekranie są zgodne z prawdą.

– Owszem, są – odparł wesoło Skippy. – Wszystko w porządku, Joe. Żadnych problemów z okrętem.

– Rób swoje, Skippy – rozkazałem z odrobiną wahania. Gdyby nas teraz zdradził, nie mógłbym nic na to poradzić.

– Potwierdzam. – Ekran wykazał, że świetlny dysk za nami zniknął o siedemnaście sekund wcześniej, niż powinien. – Tunel dezaktywowany.

– Nie zresetuje się ani nic takiego? – Ekran pokazywał, że w odległości roku świetlnego nie ma teraz nic poza „Holendrem”.

– Nie, nigdy. Wyłączyłem generator tunelu, odłączyłem go od źródła zasilania. Jak mówiłem, jeśli zdecydujesz się użyć swojej magicznej fasolki, musisz dać jej trzydzieści osiem godzin. Dla pewności czterdzieści dwie.

Magiczna fasolka, o której mówił Skippy, była modulem kontrolnym tunelu umieszczonym w ładowni, połączonym z moim zFonem, za pomocą którego mogłem jednorazowo uruchomić ponownie tunel. Abyśmy byli w stanie wrócić do domu bez Skippy’ego po magicznej łodydze fasoli. Nalegałem na to i po długiej dyskusji SI w końcu się zgodziła. Znow nie chodziło o to, czy rzeczywiście wrócimy, ale o to, że mieliśmy choć nikłą możliwość.

– Dziękuję, świetnie. Co teraz?

– Może ta gwiazda? – odparł Skippy.

Desai wskazała na kilka niebieskich gwiazd na ekranie.

– Która?

Skippy roześmiał się, świecąc się lekko na niebiesko.

– Czy to ważne?

KONIEC TOMU PIERWSZEGO

1 Bend Over, Here It Comes Again. (przytłum.)

2 Federal Emergency Management Agency – Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego.

SPIIS TREŚCI

- Okładka
- Strona tytułowa
- Strona redakcyjna
- 1. Dzień Kolumba
- 2. Misja
- 3. Obóz Alfa
- 4. Paradise
- 5. Wywiad
- 6. Fort Arrow
- 7. Pułkownik
- 8. Sadzenie ziemniaków
- 9. Więzienie
- 10. Skippy
- 11. Do abordażu
- 12. Wesoła banda piratów
- 13. Latający Holender
- 14. Skafandry
- 15. Atak
- 16. Dom
- 17. Bezczynność prowadzi do zguby
- 18. Tykanie zegara
- 19. W drogę